

ŚMIERĆ

FRAJEROM

ZŁOTA MASKA

GRZEGORZ KALINOWSKI



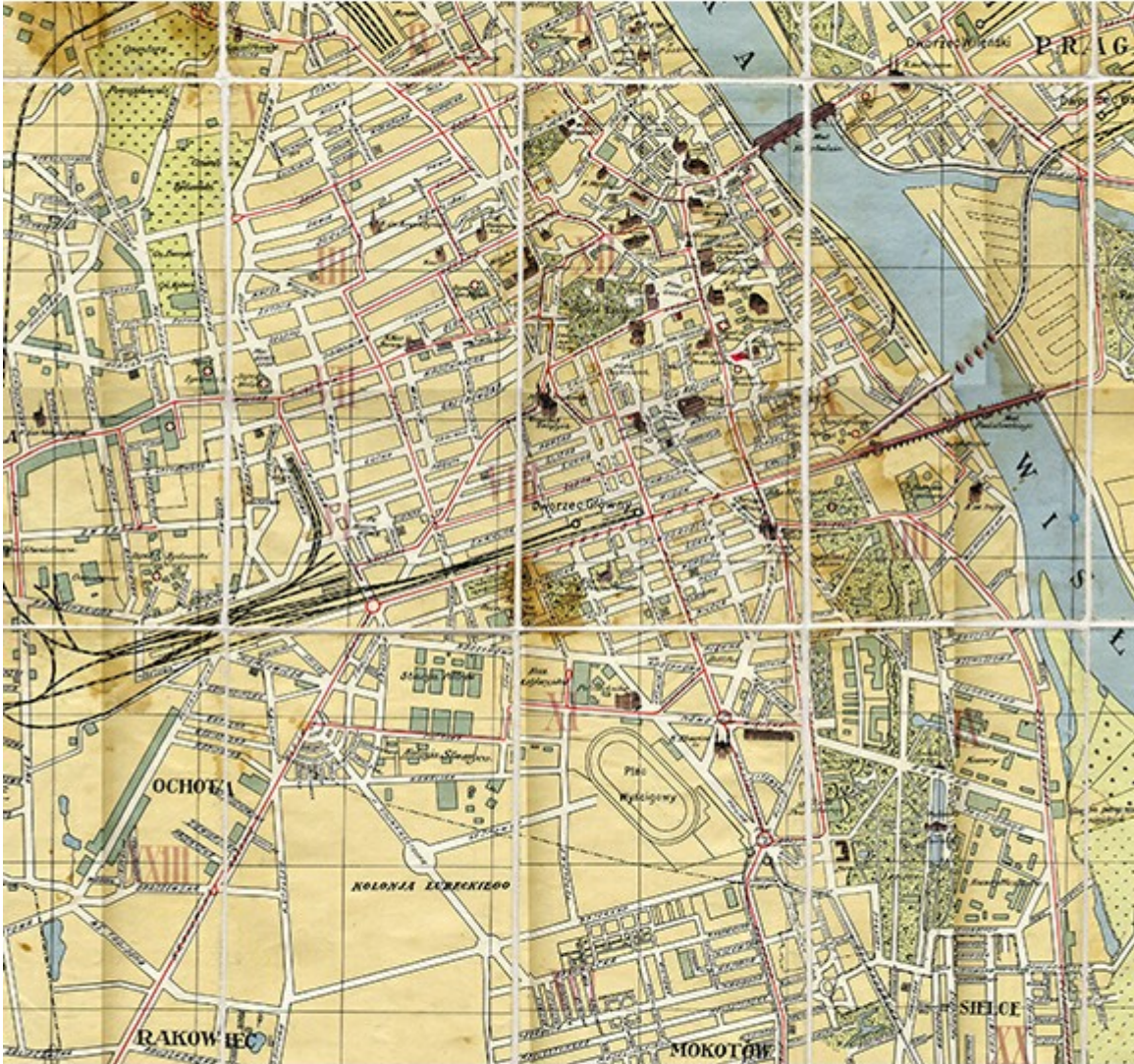
GRZEGORZ KALINOWSKI

ŚMIERĆ  
FRAJEROM  
ZŁOTA MASKA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE  
MUZA SA







Projekt okładki: Mariusz Banachowicz  
Redakcja: Adrianna Michalewska  
Redaktor prowadzący: Małgorzata Burakiewicz  
Redakcja techniczna: Anna Sawicka-Banaszkiewicz

Korekta: Irma Iwaszko

Autor i wydawnictwo dziękują panu Zbigniewowi Danylukowi za udostępnienie mapy wykorzystanej na wewnętrznych stronach okładki (plan Warszawy wydawnictwa PTTK Ruch z 1926 roku; z kolekcji Zbigniewa Danyluka i ze strony [www.trasbus.com](http://www.trasbus.com))

© by Grzegorz Kalinowski  
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2015

ISBN 978-83-287-0213-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
Warszawa 2015

Wydanie I

Mojej Żonie Beacie





## CZĘŚĆ PIERWSZA

### POWRÓT Z DALEKIEJ PODRÓŻY

#### I

### DZIEŃ ŚWIĘTEGO ANTONIEGO AD 1797

Był 13 czerwca Roku Pańskiego 1797, dzień świętego Antoniego. Młoda kobieta schodziła powoli po kamiennych zamkowych schodach. Była piękna, smukła, z twarzą o mocno zarysowanych kościach policzkowych i o niezwyklej, śniadej cerze. Na pierwszy rzut oka mogła wyglądać na urodziwą Cygankę, ubraną w szlacheckie szaty. Ci, którzy ją znali, wiedzieli, że urodę i karnację zawdzięczała związkowi europejskiego szlachcica z zamorską księżniczką. Stąpała bardzo ostrożnie, niosąc kilkunastomiesięcznego chłopca. Jego skóra była ciemniejsza od matczynej. Gdyby imperium trwało nadal, gdyby najeźdźcy nie obrócili wszystkiego w ruinę, to męża Uminy nie byłoby nawet w kolejce do przywództwa. Należałby do dalszych krewnych władcy, który być może nawet nie znałby go z imienia.

Gdy brali ślub, Umina nie przypuszczała nawet, że Miguel Clemente Condorcanqui może stać się tym, któremu będzie dane przewodzić Inkom... Nigdy o tym nie marzył, nie miał takich ambicji, był przecież Metyseem, więc kiedyś nie miałby żadnego prawa, ale wszystko się zmieniło, a historia wybrała za niego. Zdecydował przypadek, a raczej bezwzględność żołnierzy katolickiego króla, którzy mordowali, jednego po drugim, kuzynów królewskiego rodu. Była to kara za rebelię, która ogarnęła kraj. Rebelię, którą wywołały okrucieństwa i bezduszność okupantów. Ziemia spływała krwią potomków i krewnych jedyne Boga.

Sposób w jaki stracono przywódcę powstania José Gabriela Condorcanqui y Noguera, który ogłosił się następcą Tupaca Amaru, był wyjątkowo okrutny. Po kolejnej przegranej bitwie pojmano go i sprowadzono jego rodzinę do Cuzco. Tam 15 maja 1781 roku na Plaza de Armas uduszono garotą jego synów i najbliższych, po czym stracono i jego, ćwiartując potem zwłoki i wysyłając krwawe szczątki do najodleglejszych miejsc zamorskiego terytorium, by wszyscy się dowiedzieli, jak katolicki król każe buntowników i zdrajców. Przeżył tylko najmłodszy syn Tupaca Amaru, Fernando. Hiszpanie wywieźli go do Madrytu, gdzie był więziony aż do dnia śmierci. Ginęli więc następni przywódcy i wojownicy, aż wreszcie walka stała się beznadziejna.

Czekała ich pewna i okrutna śmierć lub straszna niewola, więc ojciec Uminy, Sebastian, zarządził ucieczkę, jak najdalej od ojczyzny matki i jak najdalej od ziem katolickich królów. W ten sposób trafili do Wenecji. Ocalili nie tylko swoje życie, ale i resztki skarbu dynastii, na której czele niespodziewanie stanął Miguel

Clemente. *La Serenissima Repubblica di Venezia* gwarantowała bezpieczeństwo im oraz ich skarbowi, a wkrótce także potomkowi, którego się spodziewali. Musiała nad nimi wisieć klątwa, bo ledwie tam przybyli, a Wenecja zaczęła się chwiać w posadach. Republika, tak jak reszta Europy, pogrążyła się w chaosie wywołanym przez francuską rewolucję i Napoleona Bonaparte. Najpotężniejsi ludzie *Serenissimy*: doża Ludovico Manin, arystokraci i bankierzy, myśleli już tylko o tym jak przetrwać. Najstarsza republika świata rozkładała się na ich oczach, była gnijącym truchłem dawnej potęgi.

To ośmieliło jeszcze bardziej szpiegów katolickiego króla. Wyśledzili ich, poczekali na dogodny moment i popłynęła krew, a Umina została wdową z malutkim dzieckiem. Jej ojciec wiedział, że teraz to córka i wnuk będą kolejnymi celami skrytobójców. Trzeba było uciekać jeszcze dalej, w strony skąd pochodził, gdzie można było liczyć na rodzinę i przyjaciół, tam gdzie szpiegzy katolickiego króla będą się czuli obco, a ich pojawienie się nie ujdzie uwagi miejscowych. W Wenecji agenci mogli się wtopić w wielonarodowościowy tłum, ale tam, na północnym wschodzie Europy, zawsze będą obcymi. Dziadek Antonia kupił położony na odludziu zamek. Kamienna budowla stała na wysokiej skale obmywanej przez rwącą rzekę, a z murów i wież doskonale było widać ruch na wiodącym z południa trakcie.

Warownia nie była najpiękniejszym i najmilszym miejscem na świecie, ale nie kojarzyła się jej z więzieniem. Strzeliste góry rysujące się na horyzoncie przypominały Uminie rodzinne strony. Klimat był ostry, a słońce świeciło słabiej, za to powietrze było gęstsze, lepiej wypełniające płuca, dające pełniejszy oddech...

Najważniejsze, że Umina ocalała nie tylko resztki skarbu, lecz i syna Antonia Tupaca Amaru. Chłopiec jeszcze o tym nie wiedział, ale czekano na niego w bezkresnej, górzystej krainie i być może kiedyś zostanie wezwany tam, by rządzić ludźmi i prowadzić ich do zwycięskiej walki.

Na razie bawił się brzegami rytualnej maski, która przykrywała jego drobne ciało, ale za kilkanaście lat założy ją oraz królewski diadem. Stanie się wtedy pełnoprawnym władcą, który przywróci siłę i dumę swojemu ludowi. Wtedy powstaną jeszcze raz i to wytrąci argumenty z ręki okrutnych okupantów. Zamek dawał poczucie bezpieczeństwa, a jednak Umina, lepiej niż ktokolwiek inny, wiedziała, jak może ono być ulotne i zdradliwe.

Na północnym brzegu rzeki na wysokiej skale stały ruiny zamku, który jeszcze niedawno był potężny jak ich siedziba. Kilka lat temu w podupadającą twierdzę trafił piorun i dumna budowla stała się kupą kamieni. Wszystko zależy bowiem od ludzi, bo to oni ożywiają mury. Umina czuła, że ci, którzy służyli jej ojcu, pozostali lojalni i dzielni. Byli inni niż ci, których spotkała do tej pory i mówili niezrozumiałym językiem, ale wiedziała, że może liczyć na ich wsparcie. To dawało jej nową nadzieję, że wbrew wszystkim przeciwnościom losu ich życie ułoży się w sposób, o jakim jeszcze do niedawna nie śmiała marzyć. Pokładała w przyszłości ogromną ufność, modliła się też, prosząc o wszelkie łaski. Za chwilę miejscowy ksiądz odprawi mszę dziękczynną za szczęśliwą ucieczkę. Tak zarządził ojciec, którego po śmierci męża słuchała we wszystkim. Kapłan i uczestnicy mszy – miejscowa rodzina i resztki królewskiej świty – będą się modlić do patrona chłopca, świętego Antoniego. Poproszą o szczęśliwą przyszłość

i długie życie. Mały orszak był już na dziedzińcu, gdy nagle rozległ się tętent koni i krzyk mieszający się z metalicznymi dźwiękami.

Czterech jeźdźców wpadło na dziedziniec. Hajducy stojący przy bramie nie zdołali ich powstrzymać. Zbrojni strzegący wjazdu dali się zaskoczyć i padli z rozplatanymi głowami.

Kobieta ruszyła biegiem w kierunku kaplicy, tam było bliżej niż do zamkowych korytarzy. Biegąc z dzieckiem, słyszała toczącą się wokół walkę. Gdy była już kilka metrów od drzwi, zrozumiała, że nie zdąży. Spojrzała za siebie – jeździec brał zamach ręką trzymającą rapier. Wiedziała, że przytula synka ostatni raz w życiu. Po chwili ostry metal przeciął jej ciało. Nie słyszała już krzyku swego ojca, płaczu syna i odgłosu końskich kopyt. Zapadła w nieprzeniknioną ciemność i ogarnęła ją cisza.

## II

### POBUDKA

Jadwiga Muszyńska, nauczycielka języka polskiego i wychowawczyni w klasie wstępnej z Prywatnej Szkoły Żeńskiej przy ulicy Wiejskiej, była młodym pedagogiem, więc to, co ją czekało w nowym roku szkolnym, stawało się najpoważniejszym wyzwaniem w kilkuletniej karierze przewodniczki dziewcząt. Stefę Wcisło pamiętała jeszcze z egzaminów. Była bystra, miała dużą wiedzę i pochodziła z wyjątkowej rodziny. To nie byli ani kupcy, ani przemysłowcy, ani też wysocy urzędnicy czy familia oficerska. Ojciec zginął w bitwie warszawskiej, więc głową rodziny został jej brat, zaledwie dwudziestoletni Henryk. Był rzemieślnikiem i prowadził, wraz ze stryjem, warsztat samochodowy, ale – na co z miejsca zwróciła uwagę – mógł niemal każdemu zaimponować odczytaniem i erudycją. Później się dowiedziała, że chłopak chodził do dwóch dobrych szkół; kolejówki z Chmielnej i Wawelberga z Mokotowskiej. Nie doszedł do matury, ale dużo czytał i był ciekawy świata. Niestety, na niespełna dwa tygodnie przed rozpoczęciem roku szkolnego gruchnęła niewiarygodna i przygnębiająco smutna informacja; jednego dnia, w ciągu zaledwie kilkunastu godzin, Stefę dotknęły



dwa nieszczęścia. Matka dziewczynki została zamordowana, a brat nieomal zginął w ulicznym napadzie. Zastanawiała się, co uczynić, jak jej pomóc?

Po naradzie ze starszymi i bardziej doświadczonymi pedagogami przekonała babcię dziewczynki, by Stefa normalnie – oczywiście jeśli w tej sytuacji właściwe jest słowo normalnie – rozpoczęła rok szkolny. Dzień wcześniej, na koniec wakacji, spotkała się z dziewczynką i zaproponowała jej pisanie dziennika. Pomyślała, że to ją zajmie i oderwie od koszmarnych wspomnień. Stefa, zgodnie z sugestią nauczycielki, przyniosła do szkoły piękny kajet, w którym jeszcze przed wyjściem z domu dokonała pierwszego wpisu. Jadwiga Muszyńska zajrzała do środka, bo dziewczynka bardzo chciała, by jej wychowawczyni zobaczyła i oceniła jej dzieło. Miało tak być pierwszy i ostatni raz, bo ten zeszyt miał być azylem Stefy, jej małym intymnym światem.

*Dziennik Stefanii Wcisło, uczennicy klasy wstępnej Prywatnej Szkoły Żeńskiej przy ulicy Wiejskiej w Warszawie*

*Warszawa, wtorek 1 września roku 1925*

*Jestem Stefa Wcisło, a to mój dziennik. Postanowiłam go prowadzić, bo panna Jadwiga Muszyńska, moja wychowawczyni, powiedziała nam na lekcji, że warto prowadzić jakieś zapiski. Jest dziś 1 września 1925 roku, pierwszy dzień nowego roku szkolnego. Chcę zacząć ten ważny dzień od pisania swojego dziennika. Mam jedenaście lat i mieszkam w Warszawie, stolicy*

*Polski, przy ulicy Młynarskiej pod numerem siódmym. Mieszkam tam razem z moją babcią Eleonorą i bratem, bo rodzice już nie żyją. Mój Tatuś zginął na wojnie zabity przez bolszewików, a moją Mamusię zamordował bandyta. Brat ma na imię Henio i jest ode mnie starszy o dziesięć lat. On już jest dorosły. Bardzo go kocham i martwię się o niego, bo nie jest zdrow. W tym samym dniu, gdy zginęła nasza Kochana Mamusia, Henio miał wypadek. Gdy szedł po ulicy ze swoim przyjacielem, panem oficerem, z którym razem służyli w czasie wojny, to napadli na nich jacyś źli ludzie. Zakotłowało się i ktoś wypalił z rewolweru, a inny dał po głowie. Mój braciszek został ranny i pan oficer też. To było prawie dwa tygodnie temu i Henio wciąż dochodzi do siebie. Nic nie mówi i ciągle śpi, i nawet nie mógł być na pogrzebie naszej Mamusi. Bardzo się o niego martwię. Pan doktor powiedział, że będzie żył i że niedługo znów wszystko wróci do należytego porządku.*

Nic nie było w porządku, kompletnie nic. Nie czuł i nie widział, aż w końcu dotarło do niego światło, które oślepiło oczy. Razem z nim szum, z którego wyłaniały się dźwięki przypominające mowę. Próbował się ruszyć, coś powiedzieć, dać jakiś znak, ale na próżno. Przeraziło go to. Chciał krzyczeć, a głos ugrzązł w gardle, wszystko zawirowało i głowa wtopiła się w poduszkę.

Potem były kolejne przebudzenia, światło już tak nie raziło, a z cichnącego szumu coraz mocniej wyłaniały się głosy, ale on zbyt szybko tracił przytomność lub zapadał w sen, by pojąć, kto i o czym mówi. Minął kolejny tydzień i wreszcie usłyszał:

- Znów otworzył oczy! Panie doktorze!

Wokół zrobiło się białe. Świecono mu w twarz, dotykano, zaglądano za koszulę. Wreszcie poczuł, że może wziąć w tym wszystkim udział.

- Gdzie ja jestem, co się dzieje? – wychrypiał.

- Chwała Bogu, że pan pyta – odpowiedział mu ubrany na białe człowiek z siwiejącą bródką – chwała Bogu! Od dwóch tygodni czekamy na pana przebudzenie i na pana słowa, panie Henryku.

- Ale gdzie ja jestem, co się stało, kim pan jest? – Próbował się podnieść, ale bez skutku.

- Panie Henryku, a właściwie panie kapralu – uśmiechnął się jegomość z bródką – jest pan w szpitalu wojskowym na Ujazdowie, a ja jestem doktor Jerzy Gromulski.

- Ale co ja tu robię?

- To ważne pytanie, ale najpierw ja zapytam pana o parę spraw. Jak pan kapral ma na nazwisko, gdzie zamieszkuje i co o sobie wie...

- Henryk, Henryk Wcisło, mieszkam na Woli. Mieszkam w Hrabiaku... tak, na pewno w Hrabiaku. Już nie na Czystem przy Dworskiej, tylko w Hrabiaku. – Doktor patrzył na niego dobrotliwie, a on starał się poukładać skrawki pamięci w jakąś sensowną całość – Nie, nie na Wolskiej, tylko na Młynarskiej w kamienicy Lisowskiego.

- A najbliżsi?

- A najbliżsi... – Heniek zająknął się – najbliżsi, oni...

Chciał krzyczeć z wściekłości, lecz zamiast tego zaczął płakać.

Czuł, jak na nowo ogarnia go fala zła, które mu wyrządzono, był jednak bezsilny i nad chęcią rewanżu wziął górę

niewyobrażalny smutek. Im bardziej pragnął przeklinać i wyzywać ludzi, którzy go skrzywdzili, tym jego spazm był głośniejszy.

- Siostró, zastrzyk! – zaordynował doktor.

Heniek poczuł ukłucie i znów zapadł w sen.

Przeciągły świst gwizdka przeszył chłodne nocne powietrze. Aspirant Karol Denhel poczuł się jak na futbolowym meczu. Ten dźwięk był dla niego jak głos bojowej surmy. Kochał piłkę i cały czas marzył, że się przebije do pierwszej drużyny Warszawianki. Miał na to nadzieję już cztery lata temu, gdy z grupą buntowników opuszczał Polonię. Przecież założyli nowy klub po to, by zagrać w końcu w pierwszym zespole! Prawie wszyscy spełnili to marzenie, tylko nie on... Prawy łącznik napadu Denhel dalej tkwił w drużynie rezerw. Za wolny na skrzydłowego, a za słaby fizycznie, by grać bliżej środka.

Gdyby umiał wózkować<sup>1</sup> ... ale nie umiał. Walczył więc jak lew i przeciwnicy bali się jego bezpardonowej gry. Co z tego, skoro sędziowie zawarli przeciwko niemu jakiś spisek, wyrzucając go z boiska za rzekome brutalne faule. Nawet się zdarzało, że nieradzący sobie z jego ostrą grą rywale atakowali go pięściami, na co reagowano dziwnie pobłaźliwie, więc musiał się bronić sam. Robił to na tyle skutecznie, że to on, a nie ci furci, wylatywał z boiska. Na futbolowym placu nie doceniano jego oddania.

Jebał to pies, są miejsca i są ludzie, którzy cenią jego wytrwałość i wierność, myślał. Gwizdek rozległ się raz jeszcze, gdy poczuł klepięcie w plecy.

- Panie aspirancie, wchodzimy!

Starszy przodownik Rutkowski przypomniał mu, gdzie jest i co ma robić. Denhel spojrział na potężnego wąsatego mundurowego, poprawił okulary i grzywkę, która opadała mu na czoło, po czym sięgnął prawą ręką po pistolet, a lewą przytrzymał kapelusz, by nie zsunął mu się z głowy. Razem z innymi ruszył naprzód. Służył w policji od niedawna i po raz pierwszy brał udział w obławie. Drugi sygnał gwizdka był znakiem, że jego zespół ma ruszyć w głąb podziemi soboru świętego Aleksandra Newskiego, a raczej tego, co z niego zostało.

Ruiny potężnej budowli zwieńczonej pięcioma wiezami o cebulastych hełmach były jeszcze do niedawna pilnie strzeżone, ale po zdjęciu mozaik, cennych posadzek i marmurów największa warszawska cerkiew została pozostawiona niemal sama sobie. W dzień trwały prace rozbiórkowe i rządili tam robotnicy oraz saperzy, a nocą ruiny obejmowały w swe panowanie szumowiny przeróżnego autoramentu. Od najgorszych cichodajek, lumpów i drobnych złodziejasków po bandziorów i zawodowych złodziei. Oczywiście taki przybytek nie mógł zwabić arystokracji podziemnego świata, kasiarze, kieszonkowcy, elita alfonsów i podopieczne tego szczególnego impresariatu omijali to miejsce. Można ich było spotkać w pobliskich, sławnych hotelach Europejskim i Bristolu, a wieczór kończyli w królowej warszawskiej nocy – Oazie, którą prowadził człowiek nobilitowany dubeltowo – Jan Rawicz Weiss – z urodzenia ziemianin, a z wyboru jeden z najlepszych kasiarzy.

Wszyscy o tym wiedzieli, ale w słynnym nocnym lokalu policja nie mogła robić obław, bo kogo by zamknęła w kotle wraz

z przestępcami? Panów oficerów, przemysłowców, artystów, polityków i adwokatów, którzy bawili się z wyglądającymi na przykładowych i zamożnych obywateli arystokratami półświatka. A gdyby nawet, to jakie zarzuty można im było postawić? Że ich żony, metresy i kochanki miały kosztowne perły, a z kieszeni swych nienagannie skrojonych i uszytych z najdoskonalszych materiałów ubrań wyjmowali pliki banknotów? Na wszystko mieli kwity, a swoje już odsiedzieli, więc o co chodzi? Łatwiej było zrobić przesiew wśród złodziejskiej czerni, dlatego tuż po północy policja weszła do meliny w ruinach soboru.

Aspirant Denhel ze swoimi ludźmi miał za zadanie zaryglować pułapkę, w której się znalazły szumowiny. Był młodym oficerem, dlatego starsi koledzy dali mu to niewdzięczne zadanie, bo chcąc odciąć przestępcom drogę ucieczki, musiał się przecisnąć ze swoim oddziałem tunelem prowadzącym z kotłowni przy ulicy Królewskiej. To zadziwiające rozwiązanie powstało w celu odsunięcia od monumentalnej bryły soboru mała eleganckich budynków technicznych, stąd kotłownia stała w stosownej odległości od świątyni.

Pojawienie się przy tylnych drzwiach śledczych po cywilu i mundurowych podziałało tak, jakby ktoś w czasie kinowego pokazu wyłączył projektor. Rozległ się okrzyk:

- Policja Państwowa! Nie macie żadnych szans, ustawie się na środku i czekać w spokoju na dalsze polecenia!

Ta komenda skutecznie podziałała na szemrane towarzystwo, bo zgiełk i poruszenie, które panowały w ciemnych wnętrzach, ustały. Niemal jak brzytwą uciął zostały przerwane karciane rozgrywki, wymiana trefnych towarów i picie wódki. Ludzie,



którzy się znajdowali w środku, po chwilowym zrywie szybko ocenili swe szanse jako zerowe. Teraz nie pozostawało, już nic innego jak tylko liczyć na jakiś cud bądź pomyłkę.

Szemrani pokornie poczuli się ustawiać na środku – tak jak tego sobie życzyli policjanci – i czekali na dalsze komendy. Gorączkowo przekazywano sobie plotki i cynki, dokonywano szybkich transakcji. Ci, którzy pewni byli swego losu, wymieniali złotówki na najpewniejszą więzienną walutę – papierosy.

W ciągu pierwszych kilkunastu sekund policjanci zdążyli już wyłowić doskonale znanych sobie przestępców. Kolejnych mieli wytypować po przejrzeniu dokumentów i krótkich przesłuchaniach. W tym czasie ekipa śledczych przeszukiwała zakamarki oraz porzucone pakunki i ubrania. Było tego sporo i szybko zebrała się widoczna kolekcja trefnych przedmiotów. Tak oto zakończyła się pierwsza i ostatnia taka akcja w ruinach soboru, wkrótce kolejne wybuchy miały zmieść z powierzchni ziemi jego ściany i zasypać podziemia, a plac przed pałacem Saskim planowano wyrównać i elegancko przykryć brukiem.

Aspirant Denhel popatrzył na ten ludzki zwierzyniec, zbiór indywiduów, z których dwadzieścia, a może nawet trzydzieści okazów miało wkrótce trafić do aresztu przy Daniłowiczowskiej. Szkoda, że nie znalazł między nimi tego całego Wcisły. Jego miejsce powinno być w kryminale, a nie w wygodnym szpitalnym łóżku.

Nastąpiła niedziela trzynastego września, ósma rano. Kapitan Juliusz Beniowski był na nogach już od godziny. To był jedyny

dzień w tygodniu, kiedy mógł pospać dłużej, ale przyzwyczajenie, natłok myśli związanych ze służbą w wywiadzie oraz szum spowodowany rozrywkami ubiegłej nocy wyrwały go z objęć Morfeusza.

Kapitan spojrzął na zegarek, wstał, umył się i zasiadł za biurkiem. Cały czas miał zaległą robotę, ale i tak pochłaniało go coś zupełnie innego. Musiał posprzątać po skutkach akcji, w której brał udział wspólnie z Heńkiem. To, czego dokonali, nie potrzebowało rozgłosu. Ich praca była podwójnie, a w tej chwili nawet potrójnie utajniona. To, że o akcji nie mogły się dowiedzieć prasa i opinia publiczna, było jasne jak słońce i to był ten pierwszy stopień tajności. Drugi oznaczał ograniczenie wiedzy na ten temat w samym Oddziale II Sztabu Generalnego. O akcji, podczas której wykradzono z sejfu bolszewickiej szajki dokumenty i pieniądze, wiedziało zaledwie kilku wyższych oficerów. Nie wszyscy w Sztabie Generalnym i ministerstwie popierali takie pomysły. Byli nawet tacy, którzy zrobiliby raban, tym bardziej że mieli trupy.

Kilka tygodni wcześniej, wspólnie z Heńkiem oraz dwoma chłopakami Antkiem Bożyczką i szemranym Franiem z Czerniakowa, zrobili skok na kasę należącą do komunistów. W trakcie włamu Franio – jego dawny podkomendny spod Kijowa, poderżnął gardło niejakiemu Reniakowi, agentowi Kominternu i tajnemu kasjerowi KPP<sup>2</sup>. Ta sprawa pociągnęła za sobą łańcuch wydarzeń. Inny komunista – radca Stróżyński, strzelił sobie w łeb, a żona Reniaka zaginęła. Do tego bez śladu przepadł przyjaciel Heńka z dzieciństwa – Antek Bożyczko, a Franio ledwo

uszedł z życiem, bo ktoś podziurawił go jak sito strzałami z rewolweru.

Heniek mówił przed akcją, że się nie robi skoków na sąsiadów, a przecież komunistyczni agenci mieszkali w jego dawnym domu, w którym wciąż miał matkę, babcię i siostrę. Być może złamanie złodziejskiego kodeksu honorowego rzuciło na nich jakąś straszną klątwę, bo najgorsze dopiero miało się wydarzyć. Tuż przed świętami splądrowano warsztat Heńkowego stryja oraz mieszkania Wlazły i matki. Heńka i stryjka złodzieje nie zastali, wpadli za to na Gertrudę Wcisło...

Juliusz Beniowski dotarł na miejsce zbrodni jako jeden z pierwszych, to, co zobaczył w mieszkaniu przy Wolskiej, wstrząsnęło nim. Na podłodze leżała bez tchu matka przyjaciela. Bez dwóch zdań była to zemsta za to, co zrobili, ale nie zemsta wywiadu na wywiadzie, lecz wywiadu na złodzieju i jego rodzinie.

W mniemaniu komunistów z wydziału wojskowego KPP i centrali w Moskwie włamanie przyniosło jedynie stratę pieniędzy, bo to, co najważniejsze, czyli lewe paszporty, pozostało w tajnych skrytkach. Mylili się, Heniek znalazł je i zdążył zrobić kopie małym aparatem fotograficznym. Moskiewscy agenci i ich polscy współpracownicy nie zdawali sobie sprawy z tego, że na ich szyjach zaciska się pętla. Wywiad miał w odpowiednim momencie powiadomić defensywę<sup>3</sup>, nakryć całą siatkę i wylapać agentów, agitatorów oraz łączników.

Dla wąskiego kręgu wtajemniczonych w „dwójce”<sup>4</sup> był to majstersztyk, który, jak to w takiej robocie bywa, przyniósł jednak parę efektów ubocznych. Gdyby kulisy sprawy wyszły na jaw, to głosy wojskowych oraz polityków byłyby zapewne

podzielone. Jedni by bili brawo, a inni krzyczeli o nadużywaniu władzy. Jakoś by się wywinęli, ale pewne jest, że nikt nie godziłby się na to, że Julek postanowił samodzielnie zdecydować o podziale pieniędzy.

Miał ambicje, a te kosztowały. Uznał, że komórka, którą dowodził, będzie działać sprawniej, jeśli dostanie dodatkowe fundusze. Wiadomo, że takich sum, jakie są im potrzebne, nigdy by się nie doczekali, trzeba więc było zorganizować je samodzielnie. Julek doszedł do wniosku, że dobrze sytuowany oficer wywiadu zdziała więcej niż ten, który jest biedny jak mysz kościelna. Zabawa w kwatermistrza otwierała trzeci, najtajniejszy poziom akcji, a dochodziło do niego jeszcze to, co nastąpiło później u Grubego Joska. Tam w wyniku splotu okoliczności doszło do strzelaniny z pułkownikiem Nowickim. Udział w pojedynku był u przełożonych bardzo niemile widziany, a co dopiero awantura w szynku połączona z wymianą ognia!

Z rozmyślenia wyrwał go dzwonek telefonu, błyskawicznie sięgnął po słuchawkę i jeszcze szybciej zaklął z bólu. Po chwili już ostrożniej odebrał telefon.

- Beniowski, słucham!

- Panie kapitanie, tu doktor Gromulski – usłyszał podniecony głos. – Henryk Wcisło się ocknął, proszę natychmiast jechać do szpitala!

Pierwszy raz Juliusz Beniowski nie żałował, że jego dom jest wciąż w budowie. Gdyby kamienica, która rosła u zbiegu Powsińskiej i Morszyńskiej, już stała, gdyby kapitan był już lokatorem oficereckiego osiedla na Sadybie, to droga do Szpitala Ujazdowskiego zajęłaby mu co najmniej pół godziny. Jeszcze dalej

miałby, mieszkając na Cytadeli, na szczęście czasy kwaterowania w pokoiku oficerskim bezpowrotnie się skończyły. Niedługo po zrobieniu sejfu komunistów wynajął sobie pokój w pensjonacie hrabiego Ledóchowskiego przy Przemysłowej. Nie było tanio, ale oficer „dwójki” musiał mieć lokum z telefonem. Dodatkowym atutem była zawsze czekająca na klienta dorożka na gumach.

Po błyskawicznej toalecie, ubierając się niemal w biegu, kapitan Beniowski dosłownie wskoczył do dryndy i kazał się wieźć do Szpitala Ujazdowskiego. Sałata, widząc zaaferowanego klienta, zaciął konia i ruszył w kierunku Górnośląskiej. Po dziesięciu minutach kapitan był już przed drzwiami sali, w której leżał Heniek. Okazało się, że niepotrzebnie się śpieszył, bo pacjent, do którego gnał w takim pośpiechu, ponownie stracił przytomność.

- Musieliśmy kapralowi Wciśle zaaplikować środki uspokajające. Bardzo źle zareagował na pytanie o najbliższych, ale z drugiej strony to znak, że coś pamięta.

- Kiedy się wybudzi?

- To może nastąpić lada chwila, byłoby dobrze posłać po babcię i siostrę, dziś niedziela, a w niedziele przychodzą około drugiej po południu. Najlepiej, gdyby były już, teraz. Zorganizuje to pan, kapitanie? Będziemy też musieli poinformować policję. –

Gromulski porozumiewawczo spojrzał na wojskowego. –

Oczywiście wtedy, gdy będzie absolutna pewność, że chory jest w stanie rozmawiać. Nie będziemy nadwyreżać jego sił i niepotrzebnie fatygować panów śledczych – zakończył z delikatnym uśmiechem.

- Zrobię to osobiście panie doktorze! Kapral rezerwy Wcisło to nie tylko mój były podwładny, ale także przyjaciel.

- Wiem o tym, pamiętam – doktor spojrzał na Beniowskiego z wyrzutem. – Przecież pan kapitan podkreślał to wielokrotnie.

Dobrze, że na wszelki wypadek kazał poczekać dorożce. Szybko ruszył pod doskonale znany sobie adres – Młynarska 7. Dwa tygodnie temu mieszkał tam zamożny, samotny kawaler Henryk Wcisło. Po tragicznym wypadku w Herbaciarni przy ulicy Rynkowej Wcisło był w szpitalu, a w jego obszernym pokoju i kuchni urządziły się jedenastoletnia siostrzyczka Stefania i babka Eleonora Müller. Wcześniej zajmowały dwupokojowy lokal w eleganckiej kamienicy zwanej Hrabiakiem przy Wolskiej 56. Z tego miejsca mało kto się wynosił, bo na Woli nie było lepszych kamienic. Babka i wnuczka nie wyprowadziły się jednak dla większych luksusów, lecz z powodu mordu, który popełniono w mieszkaniu w Hrabiaku na ich córce i matce.

Śmierć Gertrudy Wcisło wstrząsnęła sąsiadami, z których dwóch także postanowiło przenieść się w inne miejsce, trudno więc było sobie wyobrazić, by najbliższe jej osoby mogły pozostać tam dłużej. Babka i wnuczka przeprowadziły się więc do mieszkania Heńka.

Kapitan nacisnął dzwonek, usłyszał szybkie, drobne kroczyki i dziewczęcy głosik:

- Kto tam?

- Kapitan Juliusz Beniowski – odpowiedział.



Pół godziny później Stefa i jej babcia siedziały przy łóżku Heńka. Kapitan był następnym w kolejce, wejdzie do środka po siostrze i babci, oczywiście o ile pacjent wciąż będzie przytomny.

Szumowiny zatrzymane w ruinach soboru zostały już posegregowane. Policyjny filtr zatrzymał większość z nich. To był dobry połów, a sprawy na tyle jasne, że szybciotko się z nimi uporano.

- Raz dwa i po wszystkim – krzyknął wesoło aspirant Konrad Strasburger.

- Rach-ciach, ciach – odpowiedział mu podkomisarz Hilary Pijanowski i cała kompania wybuchnęła śmiechem.

Aspirant Strasburger zaczął ich uciszać.

- Csiii, panowie, cisza, teraz opowiem dowcip.

Jak zwykle, pomyślał Denhel, który nie mógł się przyzwyczać do błazenady Strasburgera.

- A jakże by mogło być inaczej – ucieszył się Pijanowski.

- Dyrektor pyta się sekretarki: Panno Alicjo, czy dała pani do gazety ogłoszenie, że szukamy nocnego stróża? Oczywiście panie dyrektorze, dałam! I jakie są tego efekty? Natychmiastowe, panie dyrektorze, już pierwszej nocy okradziono nam magazyn!

Pokój zdawał się eksplodować rubasznym śmiechem policjantów.

Opowiedziany przez aspiranta kawał wydawał się Denhelowi żenujący, a jeszcze gorsze było to, że starsi koledzy śmiali się tak, że niewiele brakowało, by zaczęli się turlać po podłodze.

Z czego tu się cieszyć, myślał, skoro to oni, policjanci, głośno śmiali się z tego, że Rzeczpospolita była państwem złodziei! Rzezimieszki wszelakiego autoramentu zatruwały życie porządnym obywatelom, oplatając kraj siecią utkaną z mniejszych i większych przestępstw.

Polska daleka była od doskonałości, więc zdarzało się wiele kradzieży popełnianych przez głodujących amatorów, chcących do kawałka suchego chleba dorzucić choćby najcieńszą warstewkę masła. Ci byli łapani niemal od razu i wypełniali kryminały w całym kraju, gorzej było z zawodowcami. Lista złodziejskich sprawności była dłuższa od tych, które zdobywali skauci, i bogatsza niż spis fakultetów na warszawskich uczelniach czy specjalizacji, jakie uprawiali lekarze. Przestępcy tworzyli prawdziwą armię, która kpiła sobie z ładu, sprawiedliwości i przede wszystkim z policji. Tymczasem ci, którzy powinni z tym zrobić porządek, mieli ze skali tego odrażającego procederu ubaw po pachy.

- Efekt natychmiastowy, magazyn okradziony – śmiał się Hilary Pijanowski, ocierając łzę, płynącą mu po policzku.

- Zatrudniasz pan stróża nocnego, a tu... Rach-ciach, ciach towaru nie ma! – ryczał wywiadowca Chajzer.

- Rach-ciach, ciach panowie – powtórzył Strasburger, puszczając do starszych kolegów oko. – Rach-ciach, ciach? – powtórzył jeszcze raz pytająco.

- Rach-ciach, ciach!!! – odpowiedział mu zgodny chór.

Karol Denhel wiedział, co to oznaczało. Starsi koledzy pójdą do knajpy oblewać łatwy sukces. Rach-ciach, ciach, kolejka za kolejką. Znów go będą zapraszać, a on grzecznie powie:

„Dziękuję”. Oni wszystko traktowali powierzchownie, a on miał przecież do wypełnienia misję. Tamci się bawili, a Karol zostawał po godzinach, ślęczał nad papierami, wracał do spraw dawno porzuconych lub po prostu nierozwiązanych. Najbardziej jednak interesowały go te zakończone, w których szukał jeszcze drugiego dna.

- Skaut Lolek szpera w papierach, jak nic znajdzie w Ministerstwie Spraw Wojskowych brata Lenina i dostanie za to przeniesienie do defensywy – usłyszał kiedyś teatralny szept Strasburgera, a w chwilę później wybuch śmiechu śledczych.

Nazywali go Skaut Lolek lub Harcerzyk, bo nie pił i nie palił.

Jakby tego było mało, uznano, że zachowuje się w sposób nazbyt dystyngowany, i został także Panem Hrabią. Koledzy dokazywali z nim na całego, koledzy oczywiście w znaczeniu rzymskim, gdzie każdy konsul miał na urzędzie swojego kolegę i niekoniecznie musiał go lubić. Ich strata. Ich, a nie jego. Oni na zawsze pozostaną niedouczonymi, lekceważącymi swe obowiązki stójkowymi, których miejsce powinno być na komisariacie w Stanisławowie. A gdzież tam w Stanisławowie! To miasto wojewódzkie, więc byłby to dla nich zbyt zaszczyt. Powiat to wszystko, na co zasłużyli! Jakiś Kosów Poleski, Kołomyja albo Żydaczów, a najlepiej jedna z tych dziur przy granicy z Sowietami. Tam niczego by nie zepsuli, bo tam nad wszystkimi panuje Korpus Ochrony Pogranicza.

Tak powinno być, tymczasem te indywidua pracują w Warszawie i mają czelność dowcipkować z jego pracowitości. Nie tylko z tego powodu nie był przez nich lubiany. Zazdrościli mu wykształcenia, szyku i znajomości. Jego ojciec – Antoni Denhel –

znany warszawski prawnik, był przyjacielem Edwarda Rostockiego, wysokiego urzędnika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a stryjek Olgierd radcą w resorcie sprawiedliwości. Mógł więc zrobić z tym towarzystwem wszystko, wystarczyłoby, żeby w czasie obiadu z Rostockimi powiedzieć, kto pracuje w Urzędzie Śledczym. Był jednak honorowy, załatwi ich sam, równie skutecznie, jak będzie eliminował przestępców. Przyszedł do policji, by pokazać, co jest wart Karol Denhel i słowo przez niego dane.

Jego powierzchowność i kultura osobista sprawiały, że nie traktowano go jak mocnego człowieka. Nie miał masywnej sylwetki, nosił okulary, miał dobre maniery i głęboką wiedzę, ale pozory myliły. Wydawał się szczupły, ale dobrze skrojone ubrania kryły mocne mięśnie, a wiedza o ciemnej stronie życia była nie mniejsza od tej, którą zdobył w bibliotece uniwersyteckiej. Nie afiszował się z tym, no, może czasami, podczas gry w futbol, pokazywał, na co go stać. Pokaże to także policyjnym niedowiarkom, którzy sądzili, że jest za miękki na służbę w Urzędzie Śledczym.

To chyba była jedyna państwowa posada, do której się nie ustawiały kolejki, lecz słynęła z wakatów. Wymagania były spore, a w zamian oferowano kontakt z oszustami, złodziejami i mordercami. Niewielu chciało nadstawiać karku w wojnie z bandziorami, więc nawet w warszawskiej policji kryminalnej nie było pełnej obsady.

- Panie naczelniku, strach się bać! – Tak podobno powiedział kiedyś jeden z policjantów, któremu zaproponowano pracę przy Daniłowiczowskiej, ale Karol Denhel nie mógł się bać, bo ONA

potrzebowała bohatera. Musiał brnąć naprzód, płacąc w ten sposób za deklarację podjętą w okolicznościach, w których ludzie zobowiązują się raczej do tego, czy posłodzą herbatę, czy też nie.

To się stało podczas wizyty u Rostockich. Już po obiedzie, gdy podano kawę, Edward Rostocki zapytał, ot tak dla podtrzymania rozmowy, jaką karierę wybierze Karol. Wszyscy spodziewali się, że student trzeciego roku prawa odpowie, iż zostanie adwokatem lub sędzią, tymczasem on wypalił, że chce pracować w wywiadzie wojskowym, Brygadzie Ochronnej<sup>5</sup> lub policji politycznej. Powiedział to dla zgrywy, tak dla zwykłej draki, po to by zaszokować towarzystwo i zwrócić na siebie uwagę Leokadii. Wszyscy ucichli, bo przecież miał pójść w ślady ojca lub stryjka, a on strzelił w nich słowami: „Chcę służyć w «dwójce», defensywie lub w Brygadzie Ochronnej”.

Bez dwóch zdań cel został osiągnięty; rodzice podskoczyli, jakby ktoś dotknął ich siedzeń rozpalonym pogrzebaczem, a Leokadia wyprostowała się i z podziwem spojrzała mu w oczy. Później jednak wypadki wymknęły się spod kontroli; Rostocki wyczuł intencje Karola i postanowił go zgasić. Uniósł brwi i powiedział:

- To piękne, że tak wartościowy młody człowiek chce służyć w wywiadzie lub w Policji Państwowej, chronić pana prezydenta i rząd albo tropić szpiegów oraz komunistycznych agentów. „Dwójka”, defensywa czy Brygada Ochronna są ważne, ale Rzeczpospolitej zagraża inny, kto wie czy nie groźniejszy, wróg! Nasza młoda niepodległość zalewana jest falą złodziejstwa i bandytyzmu. Kasiarze prowadzą interesy niemal jak legalni przedsiębiorcy, oszuści budują majątki na nieszczęściu dziesiątek

tysięcy obywateli. Nie można pozwolić na to, by rzezimieszki i ladacznice śmiali się uczciwym ludziom w twarz! Policja Państwowa robi, co może, ale na każdego funkcjonariusza przypada kilku typów spod ciemnej gwiazdy. Nasi ludzie są ofiarni, a rząd nie skąpi pieniędzy. Może policjanci nie opływają w luksusy, ale przecież nikt nie jest tak pewnym pracodawcą jak państwo. Ludzie garną się do służby, bo są dodatki, sorty mundurowe, ochronki dla dzieci, mieszkania oraz emerytury. Brakuje jednak tych młodych i wykształconych kandydatów z pasją. A najbardziej ich nieobecność doskwiera nam w Urzędzie Śledczym. Osoby pańskiego pokroju w zasadzie nie zgłaszają się do policji, a jeśli nawet, to omijają służbę w kryminalnej szerokim łukiem, bo praca w niej owiana jest złą sławą. To nie jest zabawa w Sherlocka Holmesa, to nie obóz dla skautów, to poważna robota pełna niebezpieczeństw i, mimo licznych zachęt, nie możemy znaleźć chętnych do pracy. To zajęcie dla ludzi odważnych i nierzucających słów na wiatr!

Zapadła krępująca cisza. Zdawało się, że Rostocki wygrał licytację, ale niespodziewanie chłopak podjął ją, przebijając stawkę wywindowaną przez doświadczonego gracza i do tego wykładając na stół silne karty.

- Ja się nie boję – odpowiedział. – Wstąpię do policji i będę, jeśli to możliwe, służył w Urzędzie Śledczym.

Mówił to, patrząc nie tyle na Edwarda Rostockiego, ile na jego córkę Leokadię. Matka Karola o mało nie zemdląła, a ojciec wyglądał na kompletnie zbitego z tropu. Rostocki był jak słup soli, bo nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy. Chciał przywołać młokosa do porządku, tymczasem jego prowokacja obróciła się



przeciwno niemu. Oczywiście Denhelów mówiły wszystko: „Jak nam to mogłeś uczynić, Edwardzie! Jak, czemu? A może się skończy na gadaniu i podczas kolejnego spotkania Karol spokojnie będzie mówił o zmianie planów?”. Nic z tego, młody mężczyzna wstał i wyciągnął w kierunku Rostockiego rękę, mówiąc:

- Dziękuję panu za pomoc w podjęciu decyzji, która zmieni moje życie! Daję słowo, że swoim wyborem nie przyniosę zebranych tu wstydu.

A więc klamka zapadła.

Skąd ta szalona decyzja rujnująca dotychczasowe plany? – zastanawiali się rodzice przyszłego policjanta. Co takiego uczyniliśmy, by nasz jedyny syn popełnił takie szaleństwo, gdzie zrobiliśmy błąd? Karol dokładnie wiedział. Rodzice nie zdawali sobie sprawy z niedźwiedziej przysługi, którą mu wyrządzili przed paroma laty.

Gdy wiosną 1920 roku tuż przed maturą rzucił szkołę, by zaciągnąć się do wojska, zrobili wszystko, by uchronić go przed pójściem w okopy. Nim dotarł do zwykłej jednostki piechoty, przyszło do niego powołanie do jednostki żandarmerii polowej. Wykorzystując swoje koneksje, Denhelowie załatwili mu spokojną służbę na tyłach. Myśleli, że to uratuje synka przed całym złem, tymczasem wpakowali go prosto do piekła. Nie dość, że i tak trafił w wir walki, bo w sierpniu przedpola Warszawy stały się linią frontu, to na dodatek to, co się działo w okopach, było w porównaniu ze służbą na tyłach chłopięcą zabawą. Nie wiedzieli, dlaczego ich syn się zmienił, czemu stał się małomówny, i że niemal każdego dnia walczył ze sobą, by nie wypalić przy domowym obiedzie: „Dziękuję wam, rodzice, że byłem

żandarmem!”. Antoni i Elżbieta Denhelowie byli nieświadomi tego, jak wyglądała jego „spokojna” wojaczka, a bardziej niż wojenne odznaczenia i pochwały interesowało ich nie za co je dostał, lecz to, że zaważył rok nauki i z opóźnieniem zdał maturę. To było dla nich ważne, a nie prawdziwe problemy, które miał po wojnie ich wychuchany jedynak. Dręczyły go koszmary „bezpiecznej i spokojnej” służby w żandarmerii, nikomu się z nich nie zwierzał, bo i tak nikt by mu nie pomógł. Słuchał za to świergotu rodziców.

„Nasz Lolek, nasza pociecha, nasz as, nasza przyszłość” – mierziło go to gadanie i żałował, że nie pojechał na studia gdzieś daleko, w bezpiecznej odległości od mdlącego, słodkiego zapachu rodzicielskiej opieki. Gdy zwierzył się kiedyś jednemu z kolegów, mówiąc, że kiedyś się zbuntuje, usłyszał:

- Z ciebie, Karolku, taki buntownik jak z koziej dupy trąba. Jest ci u rodziców wygodnie, lubisz luksusy i domowe obiady, więc będziesz tak gnął, póki cię nie wyrwie z tego jakaś babka.

Za szczere, uczciwie słowa Denhel odpłacił koledze zerwaniem przyjaźni. Wiedział, że tamten miał rację, ale nie potrafił się z tym pogodzić i za to, co walnął prosto z mostu, skazał przyjaciela na ostracyzm, nie sądząc przy tym, że scenariusz przez niego przedstawiony okaże się tak precyzyjnym.

Wizyta Denhelów u Rostockich i wspólny obiad zmieniły jego życie, ale by tak się nie stało, gdyby nie siedząca vis-à-vis siedemnastoletnia córka gospodarzy Leokadia. Gdy ją ujrzał, usłyszał jej głos i poczuł podczas powitania dotknięcie jej dłoni, postanowił, że zrobi wszystko, by ją zdobyć i uszczęśliwić. Na

początek chciał się przed nią tak po prostu popisać, a jednocześnie zrobić na złość rodzicom.

Ze zwykłej paplaniny wyszła jednak poważna deklaracja, która się zakończyła opuszczeniem uniwersytetu i wstąpieniem do policji. Zdawało się, że był to strzał w dziesiątkę, bo rodzice dostali to, co im się od dawna należało, i siedzieli zmieszani w milczeniu. Za to Leokadia krzyknęła:

- Brawo, ale pan jest dzielny, panie Karolu!

To była nagroda, pierwsza z wielu, jakie miał nadzieję od niej otrzymać.

Sprawy potoczyły się błyskawicznie, rzucił studia i zamiast pisać pracę końcową i szykować się do aplikacji w którejś z zacnych kancelarii prawnych, wstąpił na trzymiesięczny kurs w Głównej Szkole Policji w Warszawie. Ukończył go z pierwszą nagrodą, a na uroczystości było wielu ważnych ludzi z policji i ministerstwa. Nie zabrakło też pracującego w Wydziale Bezpieczeństwa Publicznego ojca Leokadii. Karol się ucieszył, bo na obecności Edwarda Rostockiego zależało mu bardziej niż na obecności ministra Raczkiewicza. Jeszcze ważniejsze od nagrody były przysięga i szlify oficerskie. Karol Denhel stanął w galowym granatowym mundurze i wyrecytował:

- Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu na powierzonym mi stanowisku pożytek Państwa Polskiego oraz dobro publiczne mieć zawsze przed oczyma; Władzy zwierzchniej Państwa Polskiego wierności dochować, wszystkich obywateli kraju w równym mając zachowaniu, przepisów prawa strzec pilnie, obowiązki swoje spełniać gorliwie i sumiennie, rozkazy

przełożonych wykonywać dokładnie, tajemnicy urzędowej dochować. Tak mi Panie Boże dopomóż<sup>6</sup>.

W ten sposób został policjantem, a w chwilę później mianowano go na aspiranta z zapewnieniem, że szybko awansuje na podkomisarza. Pamiętny obiad odbył się pod koniec 1924 roku, a już na początku września roku 1925 aspirant Karol Denhel, pełen werwy i zapału, przekroczył drzwi Urzędu Śledczego przy Daniłowiczowskiej 3. Siedziba warszawskiej policji kryminalnej mieściła się, podobnie jak sąsiadujący z nią Areszt Centralny, na tyłach ratusza. Starsi złodzieje mówili więc na areszt Ratusz, a młodszy Centralniak. Z zewnątrz budynek przypominał raczej szkołę lub urząd, któremu architekt nadał kształt wielopiętrowego renesansowego pałacu z elegancką attyką. Tylko niewielkie okna oraz okolony drutem kolczastym mur spacerniaka zdradzały, że w środku nie przebywają uczniowie lub urzędnicy, lecz przestępcy. Mogło się to wydawać nawet zabawne, że aresztanci siedzą w tak dostojnym gmachu, gdy dosłownie parę kroków dalej pracowali ci, za których sprawą się tam znaleźli. Siedziba warszawskiej policji kryminalnej mieściła się w odrapanej kamieniczce, w której wiele okien było zamurowanych, a wejście przypominało bardziej prowincjonalny sklep niż poważny urząd.

Nad drzwiami, do których wiodły trzy schodki, wisiał biały szyld z napisem Urząd Śledczy M. St. Warszawy, wykonany tak, że analfabeta mógłby wkroczyć do środka z pełnym przekonaniem, że odwiedza co najwyżej pocztę. Jednak nie szata zdoła człowieka, a o powadze instytucji nie zaświadcza wyłącznie jej siedziba. W ciasnym, marnie wyglądającym przybytku

urzędowały najtęższe policyjne umysły, a spotkanie z nimi miało być dla aspiranta Denhela wstępem do wielkiej przygody.

Niestety Urząd Śledczy okazał się wielkim rozczarowaniem, praca w nim była żmudna i nie polegała na misternych śledztwach i dedukcji, lecz na mało efektywnych działaniach uzupełnianych o pisanie niezliczonych raportów. Ani romantyki, ani chłopięcej przygody, nie mówiąc już o intelektualnych emocjach. Zamiast wysublimowanych pojedynków z geniuszem zbrodni profesorem Moriartym<sup>7</sup> był kontakt ze śmierdzącymi indywiduami, które ubabrane ekskrementami i rzygowinami dokonywały swoich małych przestępstw. Do tego obławy i naloty na nory, w których mieszkali, pili i parzyli się jak króliki, wizytacje lupanarów i melin.

Nie mniej rozczarowująca była kompania, z którą przyszło mu pracować. Reklamowani mu przez naczelnika Maurycego Sonnenberga i jego zastępcę Ludwika Kurnatowskiego doświadczeni śledczy, od których miał się uczyć, nie wyglądali ani na herosów, ani na facetów, których ktoś siłą oderwał od pianin i książek, by skierować do pracy w policji. Wydali mu się nijacy, pozbawieni inwencji i zblazowani. On też nie przypadł im do gustu, wiele wskazywało na to, że przeżyje tu chwile tak samo ciężkie jak w Warszawiance, gdzie nie chciano docenić jego umiejętności i oddania dla drużyny. Oczywiście nie było ceny, jakiej by nie zapłacił za przychylność Łodzi, ale okazało się, że już na starcie był przegrany, bo zasiadł do partii, w której grano znaczonymi kartami.

Jej umysłem zawładnął robociarski syn bez szkoły, zwykły typek z Woli, nikt z towarzystwa. Henryk Wcisło, jak to brzmi?

Jak ktoś taki mógłby zaistnieć w socjocie? Ubrany był jak trzeba i że przy pieniądzach – to ustalił bardzo szybko, a jeszcze szybciej, że ten jego szyk i prostactwo wywarły na Leokadii Rostockiej kolosalne wrażenie. Ten Wcisło zdobył ją nieomal z marszu, podczas gdy on nieustannie był częstowany czarną polewką. Typek okręcił ją sobie wokół palca, zamykając rozgrywkę. To było niepojęte, bo Karol wielu, często dojrzalszym kobietom imponował i mógł – gdyby tylko chciał – rwać je na pęczki. Nastoletnia pannica, otumaniona przez wolskiego cwaniaczka, nawet nie patrzyła w jego kierunku, co rozpałało go jeszcze bardziej. Taki miał charakter, im bardziej nie chciano go w piłkarskim zespole, tym mocniej trenował i zacieklej walczył o miejsce w drużynie.

Podobnie było z córką Edwarda Rostockiego. Wydawało się, że sukcesy w miłości i w futbolowym teamie łączy bardzo wiele. I tu, i tam zawsze jest szansa, że człowiek z rezerwy może się kiedyś na coś przydać. W futbolu aż do końca rozgrzewki jest na to szansa. Wielokrotnie bywało, że trenerzy zmieniali zdanie w ostatniej chwili z powodu jakiegoś widzimisię lub zmuszała ich do tego kontuzja jednego z graczy. W miłości też widywano takie rzeczy, zdarzało się, że kandydat na męża odrzucany był tuż przed ołtarzem, ale tak jak w przypadku futbolu, żeby wziąć udział w grze, żeby wejść na boisko lub zbliżyć się do ołtarza, trzeba pierw należeć do klubu.

Karol Denhel szybko i boleśnie dowiedział się, że w klubie Leokadii Rostockiej nie ma miejsca dla jego osoby. Jak to się stało? Gdy po raz kolejny chciał ją zaprosić do kina, odpowiedziała mu z dziwnym, rozmarzonym uśmiechem:

- Nie mogę, drogi panie, bo umówiłam się z koleżanką. Nie może nam pan towarzyszyć, panie Lolku, bo wszystkie bilety już wyprzedane.

To podziałało na niego niczym płachta na byka. Leokadia nie powiedziała, dokąd idą, a on nie chciał być nieuprzejmy, więc postanowił nie pytać o dalsze szczegóły. Miał to zrobić dyskretnie, tak by Leokadia doprowadziła go do kina, pod którym Denhel kupiłby bilet od konika. Później planował wejść do sali, a tam... niby przypadkiem wpaść na nią. Nie wpadł, bo ona nie była umówiona z koleżanką, lecz z jakimś młodym elegancikiem.

Był młodszy od niego, a na sobie miał z kilkaset złotych – jak nic ze dwie oficerskie pensje. Denhel dosłownie był w myślach, rachując, jak dobrze ustawiony musiał być człowiek, który sięga po jego własność. Tak! Własność, bo aspirant traktował Leokadię jak swą zdobycz, żonę in spe. Szybko ustalił personalia złodzieja, który poważił się na zabór miłości jego życia, szybko też doszedł do przekonania, że znajdzie na niego jakiegoś haka.

Wkrótce życie obdarzyło go miłym punktem zaczepienia, ktoś był na tyle uprzejmy, że obił tej wolskiej szumowinie mordę tak mocno, że ten – o ile z tego wyjdzie – spędzi w szpitalu blisko miesiąc. Leokadia chyba nic o tym nie wiedziała albo zapomniała już o nim, jej nazwiska nie było w księdze wizyt szpitala na Ujazdowie. Nie wiedziała więc także, że parę godzin wcześniej ktoś zamordował jego matkę, a jeden z jego najbliższych kolegów nie wrócił ze szkolenia w jednostce wojskowej.

Coś za dużo zbiegów okoliczności, pomyślał aspirant Denhel i wyciągnął z biurka kartkę.

To był początek jego prywatnego śledztwa, które miało ustalić, kim tak naprawdę jest Henryk Wcisło. Jeśli przeżyje, opuści szpital i raz jeszcze zbliży się do Leokadii Rostockiej, to tylko po to, by wziąć udział we własnej klęsce. Nie minie parę miesięcy, jak skompromituje tego typa, wtrąci do więzienia i otworzy Leokadii szeroko oczy. W tym kryminalnym konkursie to ona będzie jego główną nagrodą!



### III

## CUD NIEPAMIĘCI, CZYLI REKONSTRUKCJA ZDARZEŃ

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 22 września roku 1925*

*Będzie w Warszawie metro, podziemna kolej, taka jak w Londynie, Paryżu Wiedniu i Budapeszcie. Dzisiaj to uchwalono i bardzo się z tego cieszę, bo muszę się z czegoś cieszyć. Ten kawaler, z którym się spotykałam, przepadł. Może wolał ode mnie jakąś lepszą, ładniejszą? Nie wiem i pewno nigdy nie dostanę na to pytanie odpowiedzi.*

Pierwszy dzień w domu. Dawno go tu nie było, prawie miesiąc. Niemal wszystko się przez ten czas zmieniło i będzie zmieniać, bo postara się pomścić śmierć matki. Miał nadzieję, że Julek mu w tym pomoże, potrzebował go do tego bardziej niż kogokolwiek, chociaż zaraz po odzyskaniu przytomności o mało nie wyrzucił go za szpitalne drzwi.

- Paszoł won, po cholere tu przysześ? – przywitał dawnego dowódcę i przyjaciela słabym, chrypiącym głosem.

Dla Beniowskiego było to jak mowa z zaświatów.

- Przyszedłem, żeby ratować, co się da...

- Czyli swoją oficerską dupę, tak?

- Też, ale jeśli mi dasz dojść do słowa, to zrozumiesz, że dupa jak to dupa, jest zawsze z tyłu.

- Aha... ratujemy twarz, karierę i tak dalej. Czego ode mnie chcesz? Gadaj, bo jak nie, to wezwę lekarza i wyrzucą cię na zbity pysk.

- Ustalmy może na początek, że to ja cię tu przywiozłem, a doktor Gromulski to mój człowiek. Jesteś w wojskowym szpitalu na Ujazdowie, jakbyś jeszcze tego nie zauważył. A jakby szanowny pan nie wiedział, to jest bardzo duża różnica między leżeniem w tym przybytku a izolatką dla chorych w Centralniaku. – Mówiąc te słowa, Juliusz Beniowski chodził wokół łóżka, jakby był wykładowcą, który spaceruje po katedrze. – Chyba zapomniałeś, że wyciągnąłeś u Grubego Joska pistolet i groziłeś nim podpułkownikowi kawalerii? Pamiętasz czy nie?

Heniek spróbował się podnieść.

- Pamiętam, ale to ty doprowadziłeś do tego wszystkiego. Ten typ żyje? – zakończył, opadając ciężko na poduszkę.

Tymczasem Beniowski nie przerywał swojego coraz bardziej irytującego spaceru.

- Żyje i jest w dobrym zdrowiu, a ty nigdy go nie spotkałeś, takie są fakty, o których wiedzą policja i żandarmeria. Rozumiem ból po stracie matki, ale próba zabójstwa nigdy nie jest mile widziana, zwłaszcza jeśli ofiarą ma być przygodnie poznany wyższy oficer Wojska Polskiego. Nieważne, jakie były intencje i jak się to skończyło, ale to ty pierwszy wyciągnąłeś broń. Gdybyś dosięgnął oprawcy matki, to wtedy biłaby ci brawo cała Polska i to włącznie z panem sędzią. Nikt i nic nie przeszkodziłby w wypuszczeniu cię na wolność, ani uparty śledczy, ani nawet najostrzejszy prokurator.

Wywód Beniowskiego nie zrobił na Heńku najmniejszego wrażenia.

- W sumie głównie mnie to obchodzi. – Oczy Heńka wyglądały jakby były szklane, a on sam zdawał się nieobecny.

- A chcesz dorwać drania? Myślisz, że już siedzi w kryminale za coś innego i tylko czeka, aż i ty tam trafisz po to, żeby go wykończyć na spacerunku albo w łaźni? – ironizował Beniowski. – Jak narobisz mi smrodu, to nie tylko ty na tym stracisz. Wszyscy będziemy skończeni, zgnijemy w więzieniu, twoja babka i siostra trafią na bruk, a morderca matki będzie się śmiał w kułak.

Heniek nic nie odpowiedział, tylko przekrzywił głowę na bok, chcąc uniknąć wzroku Julka. Leżał tak z minutę, mając w skołataną głowę przetaczające się przez nią myśli. W końcu obrócił się w stronę gościa. Kapitan zauważył, że wzrok Heńka stał się jakby rozumniejszy, że chory powoli porządkuje chaos i zaczyna pojmować swoje położenie.

- Już się uspokoiłeś? – Heniek kiwnął głową. – To dobrze, na początek dobra rada: nic nie pamiętasz. Nic a nic, jeśli chcesz pozostać na wolności, pomścić matkę i... raz jeszcze spotkać tę pannę z dobrego domu. – Julek się uśmiechnął i na twarzy Heńka także pojawił się cień uśmiechu. – Kapujesz?

- Kapuję, no bo naprawdę niewiele pamiętam... Co z Franiem i Antkiem?

- Franio liże się z ran, a Antek...

- Co Antek?!

- Antek dalej nie daje znaku życia.

Na korytarzu rozległy się kroki, coraz wyraźniej zbliżające się do drzwi sali, w której leżał Heniek.

- To na pewno policja, szpital miał ich poinformować, jak tylko odzyskasz przytomność. Zamykaj oczy, kimaj, a jak się w końcu „obudzisz” i zaczną cię odpytywać, to wiesz, co masz mówić?

- Że nic nie pamiętam.

- Brawo, wpadnę jutro, wtedy wyjaśnię ci, co jest grane w tym całym bałaganie. Trzymaj się, przyjacielu.

W tym momencie otworzyły się drzwi, a do sali wkroczyli doktor Gromulski i dwaj mężczyźni.

- Panowie się poznają – medyk rozpoczął prezentację. – Kapitan Juliusz Beniowski, towarzysz broni kaprała Wcisły – Julek ukłonił się – a to panowie z policji, pan aspirant Marian Sokołowski i pan przodownik Maurycy Mrozek.

- Już się znamy – odpowiedział Beniowski. – Panowie śledczy, oczywiście za zgodą moich przełożonych, przesłuchiwali mnie w sprawie tej napaści i jej tragicznych skutków.

- Od dawna pan tu jest, kapitanie? – zapytał Sokołowski.

- Od paru minut, niestety nie miałem z nim żadnego kontaktu, wcześniej były tu jego babcia i siostra... Mogą panowie sprawdzić w książce wejść. Gdy przyszedłem, doktor Gromulski poinformował mnie, że Wcisło odzyskał przytomność, ale gdy wszedłem do pokoju, on z powrotem spał. Niestety nie zdążyłem z nim porozmawiać.

- Jak to się stało, że my na końcu dowiadujemy się o tym, że ważny dla nas świadek odzyskał przytomność? – Sokołowski spojrzał badawczo na doktora i kapitana.

- To oczywiste, pani Müller i jej wnuczka oraz pan kapitan codziennie odwiedzają pana Wcisłę – odparł doktor.

Policjanci wiedzieli, że nic nie wskórają, w książce wejść Oficerskiej Szkoły Sanitarnej widniały wpisy informujące o tym, że wymieniona trójka każdego dnia pojawiała się w szpitalu. Oni też powinni byli tak zrobić, a najlepiej gdyby mieli pod drzwiami swojego człowieka, ale było to marzenie ściętej głowy. Liczba

spraw przekraczała ludzkie pojęcie; kradzieże, włamania, pobicia, bójki i wreszcie morderstwa i sprute kasy. Każdy dzień zasypywał warszawskich policjantów lawiną zdarzeń, spod której próbowali się wygrzebać.

- Panie doktorze, czy są przeciwwskazania, by przesłuchać pacjenta? – spytał Mrozek.

- Oczywiście, że nie, byleby tylko panowie go nie budzili.

- Nie będziemy tego robić, poczekamy na korytarzu – powiedział Sokołowski i skierował się do wyjścia z sali.

- W takim razie nic tu po mnie, widzę, że mojego przyjaciela czeka urzędowa rozmowa. Będę jutro o zwykłej porze, do widzenia panom. – Julek skłonił się i także opuścił szpital.

- Do widzenia, panie kapitanie – pożegnał go chór trzech męskich głosów.

Tak jak chciał tego Beniowski, Heniek nic nie pamiętał. Odgrywanie przed policjantami, że ma wielką dziurę w pamięci, szło mu lepiej niż późniejsze poskładanie wszystkiego do kupy. Najpierw musiał się wyuczyć nowej historii, opowiedzieć ją śledczym i grać – co w sumie nie było trudne – ciężko chorego, który z trudem ustalał to, co się z nim stało. Po kwadransie policjanci dali mu spokój. Mieli wrócić następnego dnia, ale nowa sprawa związana ze zrobieniem pierwszej od kilku dni kasy kazała im zmienić plany.

Zamiast śledczych do szpitala przyszedł Julek, który pomógł Heńkowi w zrekonstruowaniu zdarzeń i w zapoznaniu się ze scenariuszem ułożonym dla policji i żandarmerii. Heniek zaczął się raz jeszcze zagłębiać w mrok sierpniowej nocy.

Po śmierci matki wziął kieszonkowy pistolet i, będąc w szoku, wyruszył na poszukiwanie mordercy, które zakończyło się rajdem po lokalach z wódką. Po drodze poznał eleganckiego, starszego od siebie gościa, który pił, bo miał jakieś kłopoty z żoną. Finał nastąpił na Gnojnej u Grubego Joska. Tam kompletnie pijanemu i psychicznie rozbitemu Heńkowi odbiła palma. Zaczął dokuczać swojemu kompanowi, a ten, choć do tej pory zdawał się zupełnie pozbawiony ikry, zareagował agresywnie i po kozacku.

Zaczęli się szarpać, a Heniek wyciągnął broń. Czuł już wtedy, że wdepnął w poważną sprawę, bo gość, którego brał za belfra uczącego łaciny, okazał się niezłym zakapiorem. Wtedy do Herbaciarni Grubego Joska weszli poszukujący go Tasiemka, Kosiorek i Beniowski. I to był prawdziwy początek końca! Okazało się, że typ, z którym pił Heniek, nerwowo zareagował na pojawienie się Julka. Chodziło o żonę, którą kapitan ponoć mu podprowadził. Dalej poszło z górki, Heniek dostał przez łeb własnym pistoletem, a tracąc przytomność, usłyszał strzały.

Podczas kolejnej wizyty Beniowski wytłumaczył Heńkowi, co dokładnie stało się w Herbaciarni Grubego Joska.

- Ten gość, na którego wpadłeś w barze Pod Setką i z którym pożeglowałeś do Grubego Joska, to podpułkownik kawalerii Aleksander Nowicki. Pech chciał, że kobieta, o której ci tak wiele opowiadałem, miłość mojego życia, to... to żona Nowickiego. Dlatego jak mnie zobaczył, stało się to, co się stało. To zrozumiałe, że chciał mnie zastrzelić, więc wyszarpnął ci pistolet, po czym, żebyś mu nie przeszkadzał, walnął cię nim przez łeb jak kastetem. Wtedy ja sięgnąłem po swoją broń i wypaliliśmy po razie. Więcej nabroić nie zdążyliśmy, bo skoczyli na nas Tasiemka, Kosiorek i

tragarskie towarzystwo od Grubego Joska. Nowicki jeszcze się rzucał i ryczał, że wszystkich pozabija i to ze mną na czele, ale na szczęście tragarze mocno go trzymali. Josek oczywiście nic nie widział i bywalcy jego lokalu także.

Sypnęliśmy trochę groszem, rzecz jasna Josele, jako stary bojowiec, nic nie chciał przyjąć. Wygląda na zwykłego, grubego szynkarza, ale to wychowany w konspirze charakterny gość, jemu nie trzeba było długo wyjaśniać, bo się zdarzały już w jego Herbaciarni różne trefne sytuacje. Słyszałem, że za rewolucji nie o takie rzeczy go proszono. Porobił trochę scen, ale w końcu dał sobie wepchnąć do kieszeni dwie dyszki za stół, który mu połamaliście. Najważniejsze, że pułkownik Nowicki się uspokoił.

Na początek przestał mówić do mnie per skurwysynu, a później dał sobie założyć opatrunek. Przeprosiłem go, powiedziałem, że nie mieliśmy z Emilią żadnej okoliczności, tylko zamiary, które spełzły na niczym, bo ona nie chciała go zdradzić. Było w tym wtedy sporo kitu, bo przecież miała ze mną uciec.

- I co, uciekła?

Kapitan Beniowski ciężko westchnął.

- Niestety, kobieta zmienną jest. Emilia po wszystkim została z tym raptusem. Ale to nieważne, liczyło się, że Nowicki nie chciał już się zabijać, tylko uścisnęliśmy sobie dłonie, tak jakby to był pojedynek. Uznaliśmy, że doszło do honorowego załatwienia sprawy, po czym Tasiemka wraz Kosiorkiem zawieźli go autem do domu. Cieć z kamienicy przy Mokotowskiej dostał stosowną zapłatę, by zeznać później policji, że pan pułkownik wrócił do domu o własnych siłach, tylko troszkę nalany, a nie z prawie odstrzeloną nogą i wleczony przez dwóch obcych gości. Emilii nie

było, bo wtedy jeszcze miała w planach rozpoczęcie nowego życia z niejakim kapitanem Beniowskim. – Julek uśmiechnął się smętnie. – A teściowi pan pułkownik sprzedał historyjkę bliską prawdy, że brał udział w honorowym pojedynku. Oczywiście dla władz była zupełnie inna bajka, by ją potwierdzić, wypalił w podłogę z pistoletu. Gdy przyjechało pogotowie, lekarz usłyszał, że pułkownik Nowicki trochę wypił i w lekko chwiejnym stanie postanowił czyścić prywatną broń, ta wypaliła i raniła nogę, a kula wbiła się w parkiet. Wypadek podczas czyszczenia broni to dyżurna wymówka oficerów biorących udział w pojedynkach. Jak nie ma trupa albo rannego, to sprawie ukręcany jest łeb nieomal z urzędu. Oczywiście są czasami kary, jak popłynię krew, ale najczęściej się kończy na zamknięciu w twierdzy.

- W twierdzy?

- Mieszka taki pan oficer na cytadeli albo w Modlinie, spotyka się ze znajomymi w kasynie, a rodzina przywozi mu obiady. Idzie przeżyć. Prawda?

Heniek pokiwał głową.

- Ale ja nie jestem oficer, a wy nie braliście udziału w pojedynku, tylko w zwykłej strzelaninie...

Beniowski odetchnął z ulgą, Heniek zaczyna łapać, o co chodzi i jak z tego wyjść.

- Otóż to, dlatego musimy teraz kombinować. Słuchaj dalej, co było, i jeszcze uważniej o tym, co się nie zdarzyło, ale za to znalazło w zeznaniach. Pogotowie natychmiast zabrało Nowickiego do szpitala na Ujazdowie, a tam... leżeliśmy już my. Zawiózł nas sałata, który był w czasie szamotaniny u Grubego



Joska. Nazywa się Karaś, jest z ferajny, nie przepada za policją, a do tego bardzo lubi zarobić za kurs sto złotych!

- Julek... – powiedział Heniek proszącym głosem.

- Słucham.

- Zanim mi opowiesz, co mam mówić policji, jak odzyskam pamięć, to chciałem cię prosić o pewną przysługę. – Mówiąc to, ścisnął Beniowskiego za ranną rękę.

Kapitan ledwie się powstrzymał od syknięcia z bólu.

Tak, to mogło boleć. Aspirant Karol Denhel był więcej niż niepokieszony, że to Sokołowski z Mrozkiem, a nie on, pracowali przy sprawie napaści na Beniowskiego i Wcisłę. Na szczęście nie była to proszona kolacja czy też przedstawienie za biletami, więc młody śledczy zarządził własne, prywatne śledztwo. Zamiast, jak inni, wracać po pracy do domu wieczorami siedział w biurze przy Daniłowiczowskiej i zbierał informacje o swoim osobistym wrogu i jego otoczeniu. Wpierw była to tylko jedna, niezbyt wielka kupka papierów, która jednak szybko się rozrosła do rozmiarów sporej sterty. Materiałów i tematów było tyle, że dla każdego z nich trzeba było założyć oddzielną teczkę.

Zaczął, rzecz jasna, od tej poświęconej Henrykowi Wcisłe. Około północy skończył segregować dokumenty i mógł ruszyć z pracą nad notatką podsumowującą informacje, które do tej pory o nim zebrał. Choć raporty go irytowały, to jednak tym razem zapalał do nich miłością i postanowił pisać je... sam do siebie. Uznał, że to pomoże mu uporządkować śledztwo, lepiej zbierać myśli oraz planować kolejne działania, wierzył też, że dzięki starannie sporządzonym notatkom i umieszczeniu ich w teczkach nie umknie mu żaden szczegół.

Od początku zakładał, że musi kopiować dokumenty ze swojego prywatnego dochodzenia. Nie ufał bowiem nikomu, a poza tym uważał, że strzeżonego Pan Bóg strzeże. Pisał z mozołem, bo nie dość, że robił to przez kalkę, to na dodatek po wyczerpującym dniu padał już na twarz. Zacisnął jednak zęby i wzmacniając się kawą, parł naprzód, bo obiecał sobie, że dzisiaj spisze przynajmniej podstawowe dane i fakty, które udało mu się ustalić.

*Imię i nazwisko podejznanego – Henryk Wcisło.*

*Data i miejsce urodzenia 27 IV 1904, Warszawa.*

*Imiona rodziców – Władysław († 1920) i Gertruda z domu Müller (†1925).*

*Narodowość – polska.*

*Wyznanie – katolickie.*

*Miejsce zamieszkania – Warszawa, ulica Młynarska 7 mieszkania 14. Wykształcenie – wydalony z klasy maturalnej szkoły Wawelberga.*

*Zawód wyuczony – ślusarz po szkole kolejowej.*

*Zatrudnienie – zakład mechaniczny przy ulicy Wolskiej, podejrzany jest tam współwłaścicielem.*

*Służba wojskowa – 1. Pułk Piechoty Legionów, kapral rezerwy odznaczony Krzyżem Walecznych za udział w wojnie bolszewickiej.*

*Niekarany.*

Jeszcze niekarany, pomyślał Denhel i z satysfakcją odnotował, że zrobił pierwszy krok. Później wyciągnął kilka czystych kartek, a na każdej z nich wypisał imiona oraz nazwiska krewnych i znajomych Wcisły; Eleonora Müller – babka, Stefania Wcisło – siostra, Jan Wcisło – stryj i wspólnik, Zofia Klajster z domu

Wyględa – kuzynka, Juliusz Beniowski – długoletni znajomy, były przełożony, kapitan WP Antoni Bożyczko – kolega z Woli, obecnie zaginiony. W przyszłym tygodniu opíše resztę danych i zacznie zbierać materiały na ludzi z jego otoczenia. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku schował papier do kartonowej teczki, którą opisał:

### SPRAWA HENRYKA WCISŁY

#### Główny podejrzany

To na początek. Wkrótce nazwisk przybędzie, a niektóre z nich będą miały swoje własne dossier. Na pewno czeka to Juliusza Beniowskiego, który na razie sprytnie pograł z policyjnymi śledczymi.

Kapitan jako wojskowy i do tego pracownik „dwójki”, mógł skutecznie unikać przesłuchania albo przynajmniej je opóźniać, tymczasem był bardzo chętny do współpracy i sam wystąpił do lekarzy i swoich przełożonych o zgodę na przesłuchanie, nim zdążyli o tym pomyśleć policjanci z Urzędu Śledczego. Jego zeznania były rzeczowe i spójne. Wieczorem 21 sierpnia ubiegłego roku usłyszał, że jego kolega z dzieciństwa, a później podwładny w wojsku, Henryk Wcisło został dotknięty straszną tragedią; matka Wcisły została zamordowana, a on sam wpadł w obłąd, ruszając w miasto.

Nie znalazłszy go ani w pobliskim kościele pod wezwaniem Świętego Wojciecha, ani też w mieszkaniu przy Młynarskiej, kapitan postanowił przeszukać lokale, w których spodziewał się zastać przyjaciela. Traf chciał, że spotkał go kompletnie zalanego na Krakowskim Przedmieściu, jak szedł od Nowego Świata w kierunku Karowej. Nie mogąc mu wyperswadować dalszej

pijatyki, postanowił towarzyszyć awanturującemu się w drodze do gospody Pod Retmanem na Mariensztacie. Wcisło zachowywał się niepoprawnie, był wulgarny i w niewybredny sposób dawał kapitanowi do zrozumienia, że jeśli nie ma zamiaru z nim pić, to powinien go zostawić w spokoju. Juliusz Beniowski obiecał więc, że wychyli z nim kielicha, uznał bowiem, że towarzysząc Wcisłe, może go uchronić przed poważnymi kłopotami.

Okazało się, że intuicja nie zawiodła wojskowego, ale kłopoty wynikły nie z powodu fatalnego stanu Wcisły lecz zwykłego przypadku. Gdy zbliżali się do Wybrzeża Kościuszkowskiego, na wysokości szpitala położniczego i przepompowni ścieków zaczęło ich czterech mężczyzn. Najpierw poprosili o papierosy, a za chwilę o całą resztę. Bandyci mieli nie tylko przewagę liczebną, ale i pistolet. Niemal równocześnie swoją broń wyszarpnął z kieszeni Beniowski. Doszło do walki, w której wyniku Wcisło otrzymał cios w głowę, a kapitan postrzał w rękę.

Napastnicy nie byli przygotowani na zdecydowany opór, więc zbiegli, Beniowski bił w nich ze swojego pistoletu, ale kule nie dosięgły żadnego z uciekających. Wszystko to się stało na oczach dorożkarza, który jechał od strony mostu Kierbedzia. Udzielił im pomocy i zachował się bardzo szlachetnie, bo za darmo odwiózł poszkodowanych do szpitala wojskowego Oficerskiej Szkoły Sanitarnej na Ujazdowie. Co prawda mogli się dowlec na piechotę do pobliskiego szpitala położniczego księżnej Anny Mazowieckiej, ale kapitan zbagatelizował obrażenia Wcisły, sądząc, że się za chwilę ocknie. Jego przypuszczenia były jednak mylne i po otrzymaniu reprimendy od doktora Gromulskiego wie, że postąpił źle i nigdy podobnego błędu już nie powtórzy. Dalej następowały

szczegóły; liczne, lecz praktycznie nic a nic niewnoszące do sprawy. Napastnicy wyglądali jak typowi apasze, a więc szukaj wiatru w polu.

Dorożkarz Feliks Karaś opowiedział to samo, choć o wiele barwniejszym językiem:

- Jechałem Nadbrzeżną od Retmana i skręciłem w Karową przy ściekach, no wiesz pan, tam gdzie gówno i insze śmieci z rur pompują. Zobaczyłem sześciu facetów, najpierw myślałem, że przypalają papieroska, a później się zaczęła szarpanina i strzały. Dwóch osunęło się na ziemię, ale jeden z nich miał pistolet i klęcząc, walił z niego jak trzeba. Czterech gości dostało charakteru w nogach i wieli, jakby im ktoś tyłki tempertyną posmarował. Zaciałem kobyłę i podjechałem bliżej, okazało się, że tych dwóch napadniętych jest rannych. Młodszy koleżka miał rozwaloną łepetynę. Ktoś fachowo – musi być szpadryną – przypalantował mu w łeb. Ten nieco starszy, co się przedstawił, że jest kapitanem Wojska Polskiego, był troszkie ranny w ręce. Ten z rozwaloną łepetyną był niegramotny, ale pan oficer jako przytomniak zarządził, że jedziemy do szpitala na Ujazdowie. Pod nosem był szpital, w którym fachowo zajmują się akuszerką, no wiesz pan, tam babki dzieci rodzą, ale kapitan powiedział, że jego koleżka tylko chwilowo zaniemógł, więc się kazał wieźć do wojskowych, bo tam od tych spraw najlepsi fachowcy. Ja bym się troszkie bał, bo na tem Ujazdowie to podobnież na pacjentach ćwiczą wojskowe studenciaki ze szkoły medycznej, ale że on mundurowy, choć chwilowo po cywilu, to kazał walić tam jak w dym. Zapakowałem ich do dryndy krzyknąłem: Wio, Baśka! i w try miga byliśmy w szpitalu. Pan kapitan okazał się klawy gość,

bo chociaż za friko kursik wykonałem, żeby wspomóc bliźniego, to obskoczyłem od niego dyszkę. Złoty chłop z niego i charakterny, bo funfla i siebie samego z tarapatów wyciągnął i do tego nie żydził floty na sałacińskiego.

Denhel był z natury nieufny i z miejsca zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno była to dyszka, a nie na przykład stówka, i czy kurs był dokładnie z tego miejsca. Aspirant skrzywił się na samą myśl o tym, że Sokołowski i Mrozek nie odpytali na okoliczność nocnej strzelaniny personelu szpitala, pracowników przepompowni i mieszkańców kamienic nad Wisłą. Było to jego zdaniem skandaliczne zaniedbanie, które postara się wkrótce nadrobić. Najbardziej chciałby przesłuchać Wcisłę, ale wiedział, że, przynajmniej na razie, jest to niemożliwe.

Oczywiście przesłuchanie typa z Woli dokonane tuż po tym, jak odzyskał przytomność, nie wniosło do sprawy nic nowego. Pamiętał mało, bo najpierw był pijany, a później dostał po głowie. Takich drak policja notowała miesięcznie dziesiątki, choć rzadko kiedy się zdarzało użycie broni palnej, w grę wchodziły raczej pięści, noże lub kastety. Sprawa nie do rozwiązania, jakich wiele, i nawet pozycja jednego z poszkodowanych nie była w stanie wyczarować sprawców. Niby przypadek, ale Karol Denhel czuł w tym wszystkim coś trefnego i na szczęście śledczy podzielali ten pogląd.

Ich, podobnie jak aspiranta, bardziej niż rozbój dokonany przez bandytów znad Wisły zainteresowało fatum Wcisły. Tego samego dnia zabito jego matkę, a on sam otarł się o śmierć. Żeby było ciekawiej, kamienica, w której mieszkała i w tragiczny sposób zakończyła życie matka Wcisły, była świadkiem

romantycznego mordu popełnionego przez zazdrosnego kochanka. Sprawa radcy Mariana Stróżyńskiego, który przyprawił poroże sąsiadowi Michałowi Reniakowi, po czym zabił go i strzelił sobie w łeb, nie została zakończona, ponieważ wciąż nie odnaleziono żony nieboszczyka.

Do tego koleżka Wcisły, pracownik remizy tramwajowej Antoni Bożyczko, nie powrócił do domu. Po ćwiczeniach wojskowych chłopak przepadł jak kamień w wodę. Nic dziwnego, że wobec takiej liczby tajemniczych i niewyjaśnionych zdarzeń praca śledczych skoncentrowała się przede wszystkim na dwudziestojednoletnim, nienotowanym kapralu rezerwy, bohaterze wojennym i współwłaścicielu znanego warsztatu samochodowego z Wolskiej. Gdyby mógł, to zarządziłby objęcie śledztwem i obserwacją także kapitana, wiedział jednak, że w przypadku oficera ze Sztabu Generalnego jest to marzenie świętej głowy. Aby wprowadzić taki plan w życie, musiałby być nadkomisarzem, a może nawet podinspektorem, i to z dobrymi koneksjami. Był aspirantem i to nie on wydawał rozkazy i podejmował ważne decyzje. Ale nic straconego, zrobi to sam, bez niczyjej wiedzy i lepiej niż inni, ateczka z informacjami dotyczącymi Beniowskiego będzie puchła aż miło. Zamierzał węszyć wokół Beniowskiego, a na razie zajmie się zaginionym kolegą Wcisły – Bożyczką.

W głowie kapitana Beniowskiego wprost huczało od nadmiaru myśli, ale musiał wszystko rzucić dla przysługi, którą był winny Heńkowi. Punkt o drugiej wymknął się z Pałacu Saskiego, gdzie mieścił się Sztab Generalny WP, by zdążyć na zakończenie lekcji u Platerek przy Pięknej. Stał w bezpiecznej odległości od

budynku i patrzył na wychodzące dziewczęta. Uczennica, która go interesowała, chodziła do ostatniej, maturalnej klasy, miała popielate włosy, zielone oczy i wyróżniała się wzrostem. Szybko wytypował tę, dla której się tu zjawił, i poszedł w ślad za nią. Dziewczyna odpowiadała podanemu przez Heńka opisowi i szła w ustalonym kierunku. Towarzyszyły jej koleżanki, których na szczęście ubywało. Na Pięknej było ich sześć, na rogu z Emilią Plater rozdzieliły się na dwie trójki, jedna skręciła w kierunku Alej Jerozolimskich, pozostałe, w tym i ta, która go interesowała, poszły przed siebie Koszykową. Od Chałubińskiego dziewczyna była już sama, przy skrzyżowaniu z Żelazną przyspieszył kroku i zapytał:

- Najmocniej przepraszam, czy panna Leokadia Rostocka?

- Tak! – odpowiedziała, jakby ktoś wyrwał ją ze snu. – Tak, a kto pyta? – dodała, już pewniej i spokojniej.

- Moje nazwisko nic pani nie powie, ale nazwisko mojego przyjaciela zapewne wiele, przynajmniej on ma taką nadzieję...

- Henryk?! – nieomal wykrzyknęła.

- Tak. Henryk Wcisło to przyjaciel, którego mam zaszczyt, a widzę, że i przyjemność, reprezentować. – To mówiąc, skłonił się, ujął jej dłoń i pocałował. – Nazywam się Juliusz i to pani musi na razie wystarczyć, moje nazwisko nie potrzebuje rozgłosu, podobnie jak sytuacja, w której się znalazł nasz wspólny przyjaciel...

- Co z nim?

- Interesuje to panią? To dobrze, bo Heniek bardzo się bał, że straci pani zainteresowanie jego losem...

- To on stracił zainteresowanie mną, a nie ja nim!



- Niezupełnie. On nieomal stracił zainteresowanie życiem, Heniek przeżył straszne chwile, tuż po tym, jak się rozstaliście, dowiedział się, że zamordowano jego matkę. – Twarz Leokadii wyrażała zdumienie i przerażenie. – Później wcale nie było lepiej, w nocy napadnięto go na ulicy i ciężko pobito, na szczęście wszystko jest już w należyтым porządku i od dzisiaj Heniek znów jest w domu!

Leokadia nie chciała, by wyszła z tego scena jak z jakiejś taniej powieści dla starych panien, ale nie mogła powstrzymać łez, które popłynęły jej po policzkach.

Pierwszy tydzień w domu minął Heńkowi na wizytach; Julek Beniowski, Tata Tasiemka, stryjek Janek, chłopaki z sąsiedztwa: Witek Chachorek i Leszek Gryń. Ci ostatni chcieli go nawet częstować pierwszorzędnym bimberkiem od Genia Aptekarza, ale im grzecznie tego poczęstunku odmówił. Chłopaki się tym specjalnie nie zmartwili i zrobili na poczekaniu ćwiarteczkę za jego zdrowie i pomyślność. Najważniejsza wśród odwiedzających była, rzecz jasna, Leokadia. Dziewczyna zrobiła ogromne wrażenie na babci Eleonorze i Stefie, szybko się polubiły i znalazły wspólny temat, którym była troska o jego zdrowie. Dzięki temu Heniek żył jak pączek w maśle i szybko wracał do zdrowia. Inny bodziec otrzymał od stryjka Janka, którego wizyta uspokoiła go i podniosła na duchu.

- No i co, mój wspólniku? – zaczął stryjek. – Kiedy wpadniesz do warsztatu, żeby zobaczyć, jak kwitnie nasz interes? Warsztat został pięknie odnowiony, na zewnątrz nowy tynk, a w środku odmalowany, lamperie są prima sort! W kantorku ustawiłem dwa nowe biurka i piękne krzesła. – Stryjek opowiadał z dumą, a

Heniek chłonał jego słowa. – Zamontowałem też elegancki ustęp, no i w końcu nasi mechanicy mają fest łazienkę. – Tu zrobił minę jak magik, co robi hokus-pokus. – I to z ciepłą wodą!

Heniek wysłuchał stryjka ze wzruszeniem, bo jeszcze niedawno była to skromna buda, a teraz... Czuł dumę, bo jego pieniądze i kontakty pomogły rozhulać interes, ale po chwili wzruszenia się przestraszył. Warsztat miał być przykrywką dla jego kasiarskich interesów, pompował więc w niego pieniądź, ale teraz... Teraz będzie musiał wyciągać z niego solidny zarobek, bo to jego jedyne źródło utrzymania. W jednej chwili przeszedł mu dobry nastrój, po prostu się zląkł, czy wszystko nie pęknie jak mydlana bańka. Miał jeszcze odłożone pieniądze, ale była to żelazna rezerwa, były place, ale to też już ostateczność. Stryjek spostrzegł niepokój na twarzy Henia i z miejsca go uspokoił.

- Wspólniku, coś taki strapiony? Stać nas na to, wszystko się kręci jak ta lala, a może zapomniałeś, że startujemy z pompą i będziemy tankować benzynę? Stacja paliw obok warsztatu i wszystko to przy szosie na Poznań, to jak kopalnia złota!

Heniek odetchnął i w głębi serca poczuł ulgę.

- Stryj to prawdziwy magik!

- Ja? To twój projekt, tyś wpadał na pomysły i ty sypnąłeś forszą, kiedy było trzeba. Moja zasługa jest taka, że ja to zacząłem, a później krok po kroku wdrażałem to, co przyszło ci do głowy. – Stryjek wprost promieniał. – Heniek, mordo ty moja, podporo rodziny, dzięki temu interesikowi mamy zabezpieczoną przyszłość, i ty, i ja, i moje dzieci. Felek w tym roku zdaje maturę, a Ziuta kończy szkołę powszechną i nie muszę się bać, że nie wydołę na dobre gimnazjum.

Heniek słuchał tego, potakując głową.

- A ty, Heniek, kiedy się ustatkujesz? Jak czas żałoby minie, trzeba będzie troszkę gotówki wydać na jakie wesele.

- Ja się tam nie śpieszę.

- No tak, bo teraz łatwiej to co i owszem załatwić jeszcze przed ślubem – zaśmiał się stryjek.

- Trzeba jeszcze mieć z kim.

Heńkowi nie było do śmiechu, kochał Leokadię i pragnął jej, ale cały czas traktował dziewczynę jak marzenie senne. Bał się, że kiedyś się obudzi z niczym, a pytania takie jak stryjka wytrącały go z równowagi. Jego życie rozleciało się na kawałki i musiał je jakoś ułożyć. Zrobienie tego z Leokadią byłoby piękne, ale i piekielnie trudne.

## IV

### POŁÓW

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 2 października roku 1925*

*Skończył się wrzesień, pierwszy miesiąc mojego dziennika. Był to dla mnie bardzo ważny miesiąc, bo pierwszy w nowej szkole. Bardzo mi się tam podoba i myślę, że i nauczyciele, z panną Jadwigą Muszyńską na czele, są ze mnie zadowoleni. Cieszę się, ale najbardziej z tego, że Heniek wraca do zdrowia. Mój braciszek wychodzi już sam na ulicę i wygląda prawie tak samo jak kiedyś. Jest tylko taki smutny. Wszyscy jesteśmy smutni, i ja, i babcia Eleonora, i Henio. Tęsknimy za świętej pamięci Mamusią. Modlę się do Pana Boga i Najświętszej Maryi, by było Jej i Tacie dobrze w niebie, modlę się też o to, by nie wydarzyło się nic złego.*

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 2 października roku 1925*

*Z Heńkiem już coraz lepiej, może wkrótce pójdziemy do kina. Pod koniec miesiąca ma być premiera obrazu Wampiry Warszawy. Tajemnica taksówki nr 1051. Heniek powiedział, że na premierę biletów nie załatwi, ale na pierwszy dzień normalnych projekcji*

*na pewno tak. Wierzę mu, bo to mężczyzna, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych!*

Zwłoki wyłowiono w okolicach Góry Kalwarii. Kto wie, czy kiedykolwiek by je znaleziono, bo były solidnie obciążone, ale człowiek próbujący ukryć zbrodnię zapomniał, że miejscowi to uparte chłopy. Rybak, który zarzucał sieci w tej okolicy, najpierw koniecznie chciał coś złowić, a potem już tylko odzyskać swoje narzędzie pracy. Myślał, że złapał wielką rybę, ale szybko zrozumiał, że sieć o coś zahaczyła, szarpał więc, ciągnął, aż wyłowił...

Nie był to udany połów, zwłoki leżały w rzece już dłuższy czas i zaczęły się rozkładać, a na dokładkę twarz zabitego została zmasakrowana, prawdopodobnie cegłą. Na ciele nie było żadnych znaków szczególnych, ale wszystko wskazywało na to, że zginął młody mężczyzna, szatyn, mierzący metr siedemdziesiąt dwa. Nie było za to żadnych wątpliwości, jak zakończył żywot. Oczywiście tylko dla policjantów, bo doktor z prosektorium nie był niczego pewien.

- Dla panów to po prostu śmierć zadana ostrzem noża, a dla mnie zagadka nie do rozwiązania. Dwa wprawne ruchy, z których na dobrą sprawę każdy był zabójczy, ale który był najpierw? Czy morderca poderżnął gardło, a później wbił nóż w serce, czy na odwrót? Jedno jest pewne, czego nie muszę panom mówić, każda z tych ran była śmiertelna, a ten bandyta to mistrz. Dawno nie widziałem zwłok człowieka, którego pozbawiono życia tak

fachowo. Nie chcę się wtrącać, ale powinni panowie szukać wśród tych, którzy już kiedyś w taki sposób zabili.

- Tyle to i ja wiem, panie doktorze, problem w tym, że jeśli kto popełnił taką zbrodnię, a my się o tym dowiedzieliśmy, to znaczy, że ten ktoś zadyndał na stryczku - podsumował wypowiedź doktora Świętochowskiego aspirant Strasburger.

- Hola, hola. To było jakiś miesiąc, półtora temu, więc chyba przez ten czas łotr nie został złapany, osądzony i stracony?

- Chyba że przez sąd doraźny, panie doktorze! - wtrącił się Denhel. - Sądy doraźne zajmują się wyjątkowymi zbrodniami, które w dodatku zostały szybko wykryte.

- Pan mecenas ma rację - z uśmiechem zauważył Strasburger.

- Dochodzenie, którego finał ma miejsce w doraźniaku, musi się zamknąć w dwóch tygodniach, takich spraw nie ma zbyt wiele i więcej jest ich na wschodzie niż w Warszawie. Widać, że to okrutny łotr, możliwe więc, że się załapał na taki wyrok.

- Okrutny, tak, ale to raczej nie był prymitywny typ, co wpadł migiem albo wręcz na gorącym uczynku. To zrobił osobnik, który wszystko sobie zaplanował, to ktoś skrajnie mściwy lub wyrachowany. Najpierw perfekcyjnie wykorzystał nóż, a dopiero potem...

- Doktor zawiesił głos. - Albo zrobił z twarzy tego nieszczęśnika befsztyk tatarski, bo chciał zatrzeć jego rysy tak, by nikt nie doszedł, kim był za życia, albo zrobił to w akcie zemsty.

Śledczy patrzyli z podziwem na doktora, a ten nie kończył jeszcze swojego wykładu.

- I jeszcze jedno, ten łotr popełnił błąd, bo obciążył trupa ciężarem zawieszonym na sznurku, dlatego po paru dniach, gdy

gazy gnilne wypełniły ciało, zwłoki uniosły się w górę, zupełnie jak boja, dlatego się złapały w sieć. Kto wie, gdyby obciążył go inaczej, ciało nigdy nie zostałoby odnalezione. To na razie jedyny błąd, jaki popełnił...

Tak, to było jedyne, co się zabójcy nie udało. W tej sytuacji nawet wesolek Strasburger nie był skory do żartów i wychodząc z prosektorium, z nietypową dla siebie zadumą w głosie powiedział:

- Nie będzie go łatwo dopaść, ale jeśli to się uda, to rozwiąże się być może parę innych zagadek. Dziękuję panu doktorowi. Panie kolego - zwrócił się do Denhela. - Musimy opisać nieboszczyka i puścić informację po komisariatach, niech chłopaki z rewirów popytają takich, co zawsze najwięcej wiedzą. Żeby ustalić, kto zabił, wpierw musimy wiedzieć kogo!

Tę lekcję policji w praktyce Karol Denheł o mało nie przypłacił torsjami. Widok zwłok, które spoczywały w rzece przez półtora miesiąca, nie nastrajał nie tylko do tego, by zjeść drugie śniadanie, ale także do przymierzania się do jakiegokolwiek posiłku tego dnia. Do aspiranta z trudem dotarło, że po wszystkim doktor poszedł na kawkę z rogalikiem.

Dwa dni później na biurku kapitana Beniowskiego zadzwonił telefon. Oficer podniósł słuchawkę.

- Beniowski, słucham.

- Czołem, kapitanie, powspominamy? - rozległ się znajomy głos Heńka Wcisły.

To był ich kod, tak zawsze rozpoczynali wszystkie rozmowy, których zakończenie odbywało się z dala od budynku Sztabu

Generalnego, gdzie pracował Beniowski. Kapitan był w końcu oficerem „dwójki”, więc wiedział, jak łatwo podsłuchać kogoś przez telefon, stąd nigdy nie chciał mówić do słuchawki rzeczy, z których nie mógłby się potem wytłumaczyć.

- Ależ oczywiście, kapralu Wcisło, powspominamy! Wyskoczę na obiad i pół do drugiej spotkajmy się na placu Teatralnym. Albo nie! Na Fredry pod Bankiem Dyskontowym.

Spotkali się, przywitani i sprawdzili, czy są sami. Nadmierna ostrożność może przejść w obsesję, ale odpowiednio dozowana ludziom takim jak Henryk Wcisło i kapitan Juliusz Beniowski oddaje nieocenione zasługi. Obaj przeszli zbyt wiele i nie mniej mieli do ukrycia, by rezygnować z tej zasady.

- Witaj, jestem głodny, polećmy na Mazowiecką Pod Wróbla, dziś czwartek, więc dają flaki, są najlepsze w mieście!

- A na wolskich bazarach najlepsze na świecie - odparował Heniek. - Nie wiem zresztą, czy mam apetyt.

- Co się stało?

- Nie czytasz gazet?

- Czytam. Chodzi ci o tę informację o zwłokach, które wyłowił rybak pod Górą Kalwarią?

Heniek kiwnął głową.

- Dokładnie, policja była u Bożyczków, to pewnie jest Antek...

- Nie ma takiej pewności - próbował uspokajać Beniowski.

- A jak nie on, to kto? - Heniek wcale nie był spokojny.

Nim dotarli do Wróbla, weszli do Ogrodu Saskiego i znaleźli tam ustronną ławeczkę. Zapalili po egipskim i ciągnęli rozmowę.

- Policja była również w drugim mieszkaniu w tej okolicy... - Beniowski zaciągnął się dymem. - Najgorsze w tym wszystkim, że



to lokal, w którym mieszka człowiek związany z naszą sprawą.

- Kto to?

- Niejaki Kozłowski, Stanisław Kozłowski.

Heniek szukał w pamięci, znał paru Kozłowskich ale żadnego o imieniu Stanisław.

- Nic mi to nie mówi - odpowiedział więc kapitanowi.

- Giser<sup>8</sup> z Gerlacha, lat dwadzieścia, bywalec czerwonego klubu młodzieżowego przy Wolskiej - wyjaśnił Beniowski. - On też zaginął, wsiąkł jak kamfora dokładnie w tym samym czasie co Antek, do tego jego rodzice są spod Góry Kalwarii. Mamy go w kartotece, bo to nie był taki sobie młodziak, tylko całkiem sprytny czerwony pajaczek. Uczestniczył w bójkach i nie tylko w bójkach... Podejrzewamy, że jest cynglem partii, a w najlepszym wypadku stał na świecy, gdy likwidowali policyjnych informatorów. Jest jeszcze jedna rzecz, ma niemal dokładnie taki sam rysopis jak Antek; ten sam wzrost, ten sam kolor włosów, brak znaków szczególnych. Za życia nie byli do siebie podobni, bo twarze mieli zupełnie inne, ale te zwłoki... sam wiesz.

Heniek wiedział dokładnie, bo gazety oczywiście podały, że trup nie ma twarzy. Przez moment milczeli, jeden patrzył na drugiego, aż w końcu Heniek kiwnął głową w kierunku kapitana.

- Ciekawe, czy myślisz o tym samym?

- Pewno tak - powiedział Beniowski z posępną miną, nie próbując nawet uspokoić Heńka. - Wydaje mi się, że sądzimy dokładnie to samo, niezależnie od tego, czy tym trupem jest Antoś, czy ten czerwony aktywista, to i tak jest to zbrodnia związana z naszą sprawą.

Znów zapadła cisza.

- Co dalej? - zapytał Heniek.

- Gdyby nas mieli sprzątnąć, już by to zrobili. Na pewno wkrótce się dowiemy, kogo zadźgano, a następnie zmasakrowano i wrzucono do Wisły. Dowiemy się, ale nie będziemy wiedzieć, czy drugi z nich żyje, bo zniknęli obaj. Ktoś mógł załatwić obu, ale rybak wyłowił tylko jedno ciało, albo...

- Albo jeden mógł załatwić drugiego? - dokończył Heniek.

Julek Beniowski pokiwał głową i zapalił papierosa.

Znów milczeli, a Heniek wyciągnął rękę w kierunku kapitana.

- Daj zapalić - powiedział, a gdy już dostał papierosa i go zapalił, dorzucił: - Jakby co, to wolę umrzeć najedzony, idziemy do tego Wróbla.

- Głowa do góry, skoro żyjemy, to znaczy, że już nikt na nas nie czyha - powiedział Beniowski z wymuszonym uśmiechem.

- Oby. - Heniek zaciągnął się głęboko, a że palił rzadko, zakręciło mu się nieco w głowie, gdy wstawał z ławki.

Ruszyli z Fredry przez Ogród Saski w kierunku Mazowieckiej. Siłą rzeczy musieli przejść wzdłuż budynku pałacu, w którym mieścił się Sztab Generalny. Pod kolumnadą trwały prace, murarze krzatali się wśród żywo rozprawiającej grupy cywilów i wojskowych.

- Za dwa tygodnie mają odsłonić, więc się śpieszą - wyjaśnił Julek.

- Ci tam, to pewno architekci i ludzie z ministerstwa. W marcu to mieliśmy tutaj niezłe kino, ustawili pod kolumnadą makietę.

- Makietę czego, co tu mają odsłonić?

- Grób Nieznanego Żołnierza.

- A, tak. - Zamyślił się. - Dobrze, że to nie żaden z nas.

Beniowski przytaknął.

- Nie dość, że chłopak nie przeżył wojny, to ze spóźnionym pogrzebem. To już trzeci termin, najpierw nie zdążyli na rocznicę Konstytucji Trzeciego maja, później na piętnastego sierpnia, a teraz celują na Dzień Zaduszny.

- Teraz to pewnie zdążą.

- Pewnie tak.

- Ten nieznany chłopaczyna to skąd?

- Ze Lwowa.

- Znam jednego nieznanego i zaginionego, co odżył i na dodatek złapał nowe nazwisko...

- Ja też.

- Ty to, cholera, wiesz wszystko.

- Taki fach, wiedzieć wszystko przed wszystkimi, a czasem nawet wyprzedzać wydarzenia i sterować nimi.

Wywiad wojskowy, przewidywanie, zbieranie informacji na temat wroga, ukrywanie swoich, dezinformacja i dywersja. To wszystko Heniek rozumiał, ale nie mógł pojąć, jak kapitan się dowiedział, że dawny szeregowiec z jego oddziału - Franciszek Wlazło, który zaginął w czasie odwrotu spod Kijowa, nagle się zmaterializował w Warszawie pod nazwiskiem Paprocki. Jak to się stało, że Beniowski odnalazł go i wciągnął do akcji wywiadu na sejf z pieniędzmi i dokumentami komunistów.

- Jak trafiłeś na Frania?

- To on trafił na mnie!

- Opowiadasz!

- Napadł mnie w nocy, jak wracałem z zakrapianej kolacji, ale się naciął!

Heniek zaczął się śmiać i długi czas nie mógł się uspokoić, aż wreszcie, gdy złapał oddech, powiedział:

- A to dobre, a wiesz, że niedaleko stąd razem ze swoją bandą i sprytną dziwką skroili mnie z zegarka?

Teraz ataku śmiechu dostał Beniowski.

- Świat jest mały! - Heniek, chichocząc, ocierał łzę płynącą po policzku. - Ale już szczególnie w Warszawie.

- Każdy każdemu może dać w mordę...

- Albo ustrzelić w Herbaciarni u Grubego Joska!

Długo jeszcze śmieli się do rozpuku, budząc zainteresowanie przechodniów, którymi o tej porze były w parku przeważnie niańki z dziećmi oraz mężczyźni, co podobnie jak oni szybkim krokiem zmierzali w kierunku barów i restauracji.

Ich wyborem na przerwę obiadową był robiący coraz większą furorę bar Pod Wróblem. To miejsce miało wszelkie atuty, lokalizację w centrum miasta, sąsiedztwo legendarnej już Małej Ziemiańskiej i wreszcie dobre, nieprzekombinowane żarcie i obsługę. Kelnerzy byli świetni, mięsa świeże i tylko wystrój oraz elegancja pozostawały w tyle. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi, ważne, że goście byli dobrze ubrani i często reprezentowali najwytworniejsze i najbardziej wpływowe sfery miasta. Z trudem znaleźli wolny stolik i usiedli.

- Słuchaj, męczy mnie sprawa Frania. Co się z nim dzieje? - spytał Heniek, ciągnąc temat, który nie tak dawno rozbawił ich do łez. Tym razem nie było mu już jednak do śmiechu.

- Z nim dość marnie. - odpowiedział kapitan. - Dałem mu kasę na leczenie, ale chyba ją przehulał. Prawdę mówiąc, to nie chcę wiedzieć, co robi, boję się, że napyta sobie i nam biedy.

- Trochę mi głupio... - z wyraźną skruchą w głosie powiedział Heniek.

- Dlaczego?

- Bo wiesz, zanim przytrafiło się to nieszczęście z nim, a potem z mamą, to ja myślałem, że to Franek nas zdradził.

- Nie ty jeden, ja też go podejrzewałem. Wychodziło mi na to, że to on załatwił Antka, że chce wyrwać nam tę kasę...

Obaj w milczeniu spuścili głowy.

- Był ktoś jeszcze, ale kto? - zapytał Heniek. - Mówiłeś, że Reniakowa panicznie się bała agentów sowieckich.

- Bała się, bo oni nie mają sentymentu dla spalonych szpiegów.

- A może...

- Zastanawiasz się, czy Franek, mimo wszystko, nie jest jednym z nich? Gdyby tak było, zdjęliby go, przynajmniej próbowaliby drugi i trzeci raz, aż do skutku. To wszystko się nie klei, on jest zwykły apasz, ja jestem szpieg z polskiego wywiadu, ty jesteś kasiarz, oni są bolszewiccy agenci, a może? - Beniowski zawiesił głos. - A może jest jeszcze jakaś inna, potężna siła, z której nie zdajemy sobie sprawy.

Przerwali, bo podszedł kelner. Pan starszy sugerował pieczoną kaczkę, ale obaj woleli tę od Herszfinklów, a poza tym brakowało czasu i postanowili wziąć dania barowe. W końcu wybrali flaki i pyzy z mięsem, a co do reszty to mieli się jeszcze namyślić.

- Czasem myślę sobie, że jadę gdzieś hen, daleko i nie mogę zjeść ani flaków, ani pyz - zamyślił się Heniek.

- Ani rosółu, nie mówiąc już o bigosie... - dodał Juliusz Beniowski.

- Świat bez schaboszczaka... - Heniek przedłużał apokaliptyczną wizję.

- A sznycełek po wiedeńsku? - Beniowski zapytał przymilnym głosem kelnera proponującego specjalność zakładu.

- Za cienki... - Heniek pokręcił z niechęcią głową.

- Oj, chyba zgłodniałem, może jeszcze szybciotko jakąś przekąskę na zimno? - zastanowił się Beniowski. - Zamówię dwa razy nóżki w galarecie!

- Oj nie, ja nie lubię meduzy - zaprotestował Heniek. - Ale ssie mnie w żołądku, więc mogę wciąć śledzika. - To mówiąc, wezwał gestem obsługę.

- Śledzik i nóżki - zaordynował Julek.

- Rybka lubi pływać, panowie. - Kelner pochylił się nad nimi z szelmowską miną.

- Czytasz pan w myślach! - Julek polechtał mile zawodową sprawność obsługującego.

- Do usług szanownym panom! - Mężczyzna trzasnął obcasami i, niczym podoficer po dobrze wykonanym zadaniu, odmaszerował w kierunku kuchni.

Julek po chwili milczenia zagadnął Heńka:

- A co cię tak wzięło na myślenie o wyjazdach w dalekie strony?

- Nie myślałem o takim zwykłym wyjeździe, takiego nie planuję. Nie chcę i nie mogę się ruszać z Warszawy, bo póki Stefcia jest mała, muszę jej zastępować ojca. Ona rośnie, ale łatwiej nie będzie, bo babcia coraz starsza. Muszę zarabiać forszę i czuwać nad domem, nie dla mnie wojaże; Paryże, Nowe Jorki i Londyny. Boję się jednak, że kiedyś ktoś mnie zmusi do tego, żeby

wiać. Wiesz, jak jest. Zamknąłem sprawę z kasiarstwem, ale to może wrócić, ktoś mnie kiedyś może dorwać i wystawić rachunek za to, co robiłem.

Beniowski widział w jego oczach coś dziwnego. Nie był to strach, ale raczej troska. Tam, gdzie Heniek decydował sam o sobie, był chojrakiem, takim go znał i lubił, ale teraz doszedł jeszcze szacunek za to, że myślał o innych. Kapitan postanowił poprawić nastrój.

- Wiesz, że jak będzie krucho, to będę cię chronił!

- Wiem, ale trzech osób nie dasz rady schować przed zemstą lub policją. Cudów nie ma, za to ja nie jestem sam, mam jeszcze siostrę i babkę.

- Będzie dobrze, zobaczysz!

Krępującą sytuację przerwało pojawienie się kelnera, który przyniósł talerze z zakąskami. Porzucili niepewny świat doczesny dla nieba w gębie. Nie byli w tym odosobnieni, bo wraz z nimi pałaszowało kilkadziesiąt osób różnych stanów, majątków i zawodów. Głównie byli to mężczyźni, bo bar Pod Wróblem nie był lokalem z wyrefinowanymi daniami ani miejscem, do którego zaprasza się damy. Ramię w ramię jedli hodowcy koni, którzy mieli po sąsiedzku swoje towarzystwo, rzemieślnicy, urzędnicy, adwokaci, a także artyści, którzy zgłodnieli przy kawce w Małej Ziemiańskiej.

Jest jak na wyścigach, pomyślał Heniek. Cała kochana Warszawka w jednym miejscu. Prawie cała, bo jadło też kilku starozakonnych, choć o tej kuchni można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest koszerna. Zapachy, które unosiły się nad stolikami, i wielkie porcje kusiły tak, że oparłby się im tylko

chasyd, więc od czasu do czasu pojawiali się też artyści żydowskiego pochodzenia, których wielu rezydowało w sąsiedniej kawiarence.

Tak jak inni goście, Heniek czuł się tu dobrze, było byczo pochłaniać fasolkę po bretońsku, flaki, bigosik, pyzy, schaboszczaki, sztuki mięs, pieczyste i drób, a wszystko to w niezobowiązującej atmosferze. Właściciele baru, państwo Wachowiczowie, mogli być dumni, bo ich lokal miał kuchnię i klimat, a więc to, czego nie można ot, tak po prostu kupić czy zorganizować przy pomocy zdolnego dekoratora. Uważa się, że muzyka łagodzi obyczaje, ale za to jedzenie w barze Pod Wróblem potrafiło ukoić nawet ból duszy.

- Doszedłeś do siebie? - zapytał między jedną a drugą łyżką flaków Julek.

- Już o tym nie myślę, to mnie nachodzi tylko od czasu do czasu.

- Pytam tak ogólnie, o całość.

- Prawie, ale czuję, że życie mnie gryzie. Od czasu śmierci mamy wszystko idzie nie tak. Nie wiem, czy potrafisz mnie zrozumieć, mam niby forszę, jestem fest ustawiony, dobrze mieszkam, ale jest taka pustka.

- Moja też zmarła. Dwa tygodnie temu był pogrzeb.

Wiadomość o śmierci Narcyzy Beniowskiej zaskoczyła Heńka.

- Współczuję, nie wiedziałem. Niespecjalnie mnie lubiła, ale matka przyjaciela to matka przyjaciela. Szkoda, że nie powiedziałeś, różnie z nami bywało, ale na pogrzeb bym poszedł.

- Raczej nie, byłeś jeszcze w marnej formie. Przyszło tylko parę osób, mama nie miała zbyt wielu przyjaciół, sam wiesz o tym



najlepiej. A do tego ostatnie miesiące spędziła w zakładzie<sup>9</sup>.

Zapadło krępujące milczenie, więc wypili po kolejnym kieliszeczku wódki.

- A co ze Stefą? - zmienił temat Beniowski.

- W porządku, jeszcze przed tym wszystkim dostała się do szkoły przy Wiejskiej, więc ja płacę czesne, a ona się uczy. Mądra dziewczyna i dobra. - W głosie Heńka słyhać było dumę z młodszej siostry.

- Warsztat idzie na medal? - Beniowski wiedział jak jest, ale chciał, żeby Heniek miał się czym chwalić, żeby w ten sposób odzyskał pełen spokój i humor.

- Na medal! Prosperuje pierwszorzędnie, to była dobra inwestycja

- Wciślak odpowiedział dziarsko i z dumą w głosie. - Dzięki temu się ustatkowałem i nie muszę kombinować. Chcę prowadzić spokojne życie.

- Nie uwierzę, że już się wyszalałeś. Za dobrze cię znam - uśmiechnął się kapitan - więc przypominam, że jakbyś chciał to robić w majestacie prawa i dla obrony najjaśniejszej Rzeczypospolitej...

To było jak rytuał, niemal za każdym razem Julek proponował Heńkowi wstąpienie do wojska. Kiedyś się wymigiwał niechęcią do munduru, ale gdy jego przyjaciel związał się z wywiadem i namawiał go do wstąpienia do tajnej służby, musiał szukać innych argumentów.

- Dziękuję, ale nie. Czuję, że to nie dla mnie. Miałbym kłopoty z podporządkowaniem się rozkazom. Zawsze miałem, a im jestem starszy, tym jest gorzej. A poza tym...

- Co poza tym?

- Nie powiedziałbym, że tam u ciebie wszystko od deski do deski jest w majestacie prawa i dla dobra najjaśniejszej...

- Trudno, nie będę cię namawiał. Przynajmniej dziś dam sobie spokój.

I znów kelner pojawił się we właściwym momencie. Miał jakiś siódmy zmysł, który kazał mu podchodzić do stolika w odpowiedniej porze. Na stół wjechała taca z pyzami.

- Pyszne, jak zwykle - rozsmakował się Heniek.

- Jak zwykle - przytaknął Julek.

- Wiesz, przypomniawszy mi ten oficer, który był u Herszfinkla, co u niego, oczywiście jeśli to nie tajemnica państwowa?

- Tajemnica państwowa to może jeszcze nie, choć w gazecie nie przeczytasz, a i rozpowiadać nie warto, ale tobie powiem. Dalej jest na Śląsku, ale w sztabie chcą mu powierzyć delegaturę w Gdańsku.

- Fiu, fiu - Heniek zagwizdał z podziwem.

Dokończyli pyzy i w końcu Heniek powiedział, co musiał powiedzieć, choć bał się tego, co potem nastąpi:

- Bardzo ci dziękuję, że odnalazłeś i powiadomiłeś Leokadię.

- Nie ma sprawy - rozpromienił się Julek. - A co tam u was?

- Sam nie wiem, kocham ją i ona mnie, ale jakoś mi z tym niewygodnie. Wiesz jak jest, jedziemy pociągiem donikąd, jej rodzina, towarzystwo... ja tam nie pasuję. Wkoło sami mundurowi albo inteligenci. No, nie patrz się tak na mnie, ty jesteś inny, ani pizpan, ani studencik, ani nadęty oficer. Nie wiem, czemu tak jest, może akurat mamy wspólne tematy? Nasi ojcowie, matki,

książki, no i wojna oraz reszta naszych spraw. Ty wiesz, jak życie wygląda, i nie jestem dla ciebie jak okaz z zoologu.

Julek pokiwał głową, po czym się uśmiechnął, jakby znalazł coś, czego szukał.

- Powiem ci jedno, łatwiej byłoby ci się starać o Leokadię...

- Gdybym wstąpił do wojska... - Heniek odgadł myśli Julka. - A ty znowu swoje! Ta droga i tak jest stracona. Na to, by Henryk Wcisło został oficerem, jest już za późno, przegrałem to trzy lata temu. Mogłem skończyć Wawelberga albo pójść za twoją namową do woja. Teraz, jak to mówią chłopaki ze Śląska, jest...

- Po ptokach - Julek, jako weteran powstania śląskiego, doskonale złapał, o co chodziło Heńkowi.

- Dokładnie tak, mój starszy i lepiej wykształcony przyjacielu. Teraz to nawet jakbym wstąpił do policji, toby było za mało, bo pan Edward Rostocki nie jest zwykłym przodownikiem, tylko urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Musiałbym być oficerem albo nie wiem kim, żeby się tam swobodnie wpasować - przyznał z żalem. - To, w czym jestem arystokratą i profesorem, nie jest powodem do chwalenia się przed urzędniczo-mundurową rodziną.

- Na koniec Heniek zdobył się na uśmiech.

- Gdyby ktoś tak spisał tę waszą historię, to byłoby z tego niezłe kino, romans kryminalno-policyjny, szalona miłość córki urzędnika z MSW i kasiarza.

- Byłoby kino, tylko na razie główna aktorka grająca w tym filmie nie ma o tym wszystkim zielonego pojęcia. Tak jak ci mówiłem, to jest piękna jazda, ale kompletnie donikąd.

Zaśmiali się obaj i stuknęli kieliszkami, po czym delektowali się tym, co leżało na talerzach. Przez jakiś czas jedli w milczeniu. Teraz Heniek miał ochotę dowiedzieć się tego i owego o Julku, ale czekał, aż ten sam mu to powie. Wyczuł go dobrze, bo w pewnym momencie kapitan zaczął mówić, tak jakby od ostatniego zdania dzieliły ich tylko sekundy, a nie minuty pracowitej konsumpcji.

- Moja jazda donikąd też się skończyła i to jak! - Juliusz Beniowski pokręcił bezradnie głową z kwaśnym uśmiechem na ustach.

- W Emilii widziałem szansę na jakąś stabilizację, no ale nie wyszło, jej związek z panem pułkownikiem Nowickim rozkwitł na nowo. Najzabawniejsze jest to, że facet dobrze funkcjonuje w wojskowych układach, ma chody u tego młodego generała Tokarzewskiego. Mają takie pewne hobby, prometeizm<sup>10</sup>, który jest bardzo blisko związany z tym, co robi „dwójka”, i wcale się nie zdziwię, jak go spotkamy wkrótce na jakiejś naradzie.

Wypili jeszcze po kieliszeczku i ruszyli każdy w swoją stronę, Heniek na Młynarską, a Beniowski na Powiśle. Przed rozstaniem, jak większość znajomych, życzyli sobie rychłego spotkania.

Gdy Heniek Wcisło i Julek Beniowski wychodzili z baru Pod Wróblem, w Urzędzie Śledczym zawrzało. Rodzina Antoniego Bożyczki rozpoznała zegarek znaleziony przy zwłokach. Znaczyło to, że ciało należało do młodego pracownika remizy tramwajowej przy Młynarskiej, który zaginął, wracając z ćwiczeń wojskowych na wschodzie Polski. Familia wpadła w rozpacz, ale śledczy kuli żelazo, póki gorące. Bożyczkowie i ich sąsiedzi musieli zostać

wypytni o to, o co zwykle się pyta rodzinę zamordowanego; czy miał wrogów, kto był jego przyjacielem, w jakich kręgach się obracał?

Aspirant Karol Denhel na słowa: trup, morderstwo, Wola i adres rodziny zamordowanego - Dworska, szybko się nawinał pod rękę Teodorowi Szukowi, który szukał ludzi do wyjazdu na miejsce. Dworska, to tam się urodził Wcisło, zawsze więc warto sprawdzić!

Sukces, załapał się do ekipy i w pół godziny później siedział z notesem przed sędziwym mężczyzną w tramwajarskiej czapce.

- Pan jest dla zamordowanego...

- Dziadkiem - odpowiedział trzęsącym się głosem - jestem dziadkiem Antosia, nazywam się Franciszek Bożyczko.

- Panie Franciszku, czy wnuk miał jakichś wrogów?

- Nie - odpowiedział zdecydowanym głosem starzec. - Miał za to wielu przyjaciół, to dobrzy chłopcy, a najlepszy z nich to Heniek Wcisło.

Rozległ się trzask pękającego wkładu w ołówku, kawałek grafitu wyprysnął w powietrze, a drewniane drzazgi pokiereszowały kartkę notatnika.

- Czy mógłby pan powtórzyć to nazwisko?

- Wcisło, Heniek Wcisło, panie policjancie.

Denhel czuł, że zalewa go fala gorąca, miłego i zwycięskiego, takiego jak po biegu, w którym jako pierwszy mija się linię mety.

**RODZINNE PROBLEMY**

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 4 listopada 1925*

*Znów się martwię o Henia, bo chodzi taki smutny. Dwa tygodnie temu mój kochany brat pożegnał swojego kolegę, Antka Bożyczkę. I ja go też znałam, i mnie też trudno w to uwierzyć. Znów bliska osoba opuściła nas na zawsze. Do tego jesień coraz smutniejsza, dni robią się krótkie, jest coraz zimniej, a liście bez ustanku spadają z drzew.*

Wola otoczona jest cmentarzami i torami kolejowymi - aspirant Karol Denhel uświadomił to sobie dwa tygodnie temu, gdy jechał tramwajem na pogrzeb Antoniego Bożyczki. Po drodze mijał cmentarz prawosławny, obie nekropolie leżały na zachodniej granicy Woli, będącej jednocześnie krańcem miasta. Od południa dzielnicę zamykały tory i bocznice kolejowe, a od północy wchodził w nią potężny cmentarny klin - pierw skromne miejsce pochówku kalwinistów, a następnie większe dla augsburskich, za nimi się kryły potężne połacie cmentarzy żydowskiego i powązkowskiego. Cmentarny archipelag kończyła, stale się rozrastająca, wyspa,

którą tworzyły na zachodnim skraju groby wojskowych. Tylko od wschodu dzielnica graniczyła ze zwykłym miastem, o ile tym mianem można było nazwać żydowską enklawę, w której mieszkało ponad trzysta tysięcy starozakonnych.

Żadne inne europejskie miasto nie miało tyłu Żydów, ani Paryż, ani Londyn, ani Berlin czy Wiedeń, choć każde z nich było większe od Warszawy. Niedługo będzie tu mieszkało milion ludzi, a co drugi z nich będzie Żydem, bo mieszkali oni nie tylko w swojej dzielnicy. Razem blisko prawie pół miliona Żydów, tyłu naraz w jednym miejscu mieszkało chyba tylko za oceanem; w Nowym Jorku albo Chicago, bo na pewno nie w Jerozolimie. Ich historyczna stolica, środek Ziemi Obiecanej, była miastem nieco większym od Stanisławowa, a wszystkich Żydów żyło tam jakieś trzydzieści tysięcy! Warszawa to Jerozolima pomnożona jakieś szesnaście, może nawet siedemnaście razy, prawdziwa żydowska metropolia ze swoimi świątyniami, szkołami, szpitalami, knajpami, targami, a także władzą, nie tylko tą rabinacką, ale także podziemną. Wielu śledczych temu właśnie przypisywało wzrost niewykrytych przestępstw, żydowskie gangi były bowiem hermetyczne, a łącząc się z polskimi, nic nie traciły na swym konspiracyjnym, zamkniętym charakterze.

Te bandyckie polsko-żydowskie hybrydy stawały się arcygroźnym przeciwnikiem, przecież nie tak dawno w Wilnie upadł przestępczy syndykat Bruderferajn, który łączył typową dla starozakonnych hermetyczność z polską skłonnością do konspiracji, to była mieszanka doskonała, choć raczej chciałoby się powiedzieć: najpaskudniejsza, gdyż łączyła w sobie najgorsze cechy obydwu narodów. Byli jak państwo w państwie, ze swoją

władzą, złodziejskim sejmikiem, sądami i księgowością. Wpadli właśnie przez księgowość, bo jeden z gangów się do nich nie przyłączył i wszczął nierówną walkę.

Zwykli przestępcy nie mieli szans z organizacją, która nie tylko się posługiwała biciem, porwaniami i skrytobójstwem. Jak było trzeba, Bruderferajn robiła widowiskowe egzekucje swych przeciwników i nie wahała się także używać przeciwko nim bomb! Zagrożone śmiercią bandziory wydały policji silniejszą konkurencję, wskazując miejsce, w którym można było znaleźć dowody; księgi, rachunki, listy z nazwiskami. Bruderferajn była jak ośmiornica, która oplatała Wilno, i wcale nie było powiedziane, że coś takiego nie działa w Warszawie.

Skazanie przed rokiem jej szefów Saszki Lichtsohna vel Chany Bobkesa i Arona Wójcika nie oznaczało zupełnego zwycięstwa wileńskiej policji. Marszałkowie poszli siedzieć, ich armia licząca blisko tysiąc rzezimieszków ocalała. Były wręcz całe gangi, które w zwartych szykach opuściły Wilno i rozlały się na całą Polskę, nie było wątpliwości, że największe siły poszły na Warszawę. Ten cały Wcisło był zbyt młody, by zawiązać pierwszorzędną szajkę, ale Denhel widział go oczyma wyobraźni jako przybocznego podziemnych przywódców i nie zdziwiłby się, gdyby w grę wchodziły konszachty z żydowskimi przestępcami.

Wolscy kryminaliści nie mieli zahamowań przed współpracą ze starozakonnymi i jeśli warszawska Bruderferajn miała powstać, to tylko tam, na styku dwóch dzielnic, na Kercelaku lub w którymś z otaczających ją szynków.

Pogrzeb rozczarował Denhela, nie wyłowił tam nikogo ciekawego, żadnych Żydów, którzy pasowaliby do jego spiskowej



koncepcji zakładającej powstanie wielkiego gangu wzorowanego na wileńskiej bandzie, żadnych poszukiwanych listami gończymi, których portrety studiował przed wyjściem z Urzędu Śledczego. Dopiero opuszczając cmentarz, zobaczył mężczyznę przyglądającego się ceremonii, tak jak on, z daleka. W pierwszej chwili myślał, że to ktoś z Daniłowiczowskiej, ale nagle w człowieku w płaszczu z wysoko postawionym kołnierzem rozpoznał kapitana Beniowskiego, oficera będącego świadkiem, a także ofiarą ulicznej napaści, w której Wcisło o mało nie stracił życia.

Poczuł, jakby przeszedł przez niego elektryczny prąd, a później czekał dyskretnie, aż ci dwaj podejną do siebie. Nie podeszli, ale ich spojrzenia się skrzyżowały. Łączyła ich wspólna znajomość z nieboszczykiem i jakaś tajemnica. Nie zdążył nawet pomyśleć jaka, gdy przy cmentarnej bramie podszedł do obserwowanego wysoki, postawny chłopak o semickich rysach. Wcisło włókł się na końcu grupy żałobników, a tamten zbliżył się do niego od tyłu i położył mu rękę na ramieniu.

Heniek był kompletnie przybity, strata przyjaciela i poczucie winy rozłożyło go na cacy, a gdy zobaczył Beniowskiego, przestraszył się, że przybył tu jako posłaniec, przynoszący wiadomość o kolejnej śmierci. Na szczęście nie, kapitan po prostu przyszedł na pogrzeb Antka, dał mu znak głową, że nie ma żadnych wiadomości, i szybko opuścił cmentarz. Wcisło przyjął to z ulgą, ale wiedział, że czekały go tego dnia jeszcze ciężkie chwile, musiał bowiem, jako jeden z najbliższych kolegów Antka,

uczestniczyć w stypie. Wlókł się w grupie żałobników, taplając się w jesiennym błocie i słuchając zawodzenia matki, babki i kuzynek.

Na moment pozostał nieco z tyłu, nie mogąc znieść przejmującego płaczu, wtedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się i zobaczył znajomo wyglądającą twarz w okularach. Coś mu jednak nie pasowało, oczy należące do starego kumpla patrzyły na niego z wysoka, a do tego cała reszta nie przystawała do dawnego obrazu, przecież był wysoki, ale nie aż tak, a do tego tykowaty i słaby, stworzony tylko do książek i geszeftów, a nie do ciężkiej pracy tragarza, którym był jego ojciec.

- Adaś - zapytał niepewnie - Adaś Goldfarb?

- Tak, to ja - uśmiechnął się młody Żyd. - Aż tak bardzo się zmieniłem?

- No nie gadaj, że nie, jakiś taki się potężny zrobiłeś...

- Mówisz to tak, jakbyś nie widział nigdy mojego ojca.

Fakt, Dawid Goldfarb był potężnym facetem, przy którym nie tylko jego ojciec i słynny Tata Tasiemka wyglądali jak młodszy bracia. Adaś był wysoki, ale słabowity, a tu...

- Minęło parę lat i okazało się, że poszedłem w *tate*, przecież mój *tate* jest jak niedźwiedź. - Zawiesił jednak głos. - Ale nie o mnie i o tobie chcę rozmawiać, *aj waj, aj waj*, co to się stało?

- Zamordowali go...

- Tyle to i ja wiem, ale po co?

- Nikt nie wie, dlaczego tak się stało - odpowiedział Heniek, choć była to tylko połowa prawdy.

- Zadawał się z jakie złe towarzystwo? Robił jakiś interes?

- Nie, skąd, wiesz, jaki był.

- A to *czikawes*<sup>11</sup> ... - zastanowił się Adaś. - On był aniołek, który chodził z lipkarzami, jak był mały...

- Ale to było, jak był szczeniakiem, później mu przeszło.

- Z małą przerwą na przejażdżkę kradziony tramwaj - zaśmiał się Goldfarb - ale to był tylko taki *szwicen*<sup>12</sup>. A co dzieje się z ten trzeci chłopak? Jak on się nazywał, Wałek?

- Jak wiesz, poszliśmy razem do wojska, tyle że ja wróciłem, a on nie.

Adaś zrozumiał, że nie było to dobre pytanie, zobaczył też, że jeden z żalobników macha na Heńka ręką. Był to dziadek Antka, stary tramwajarz, od którego Wciślak nauczył się prowadzenia elektrycznych wagonów.

- Muszę iść - wytłumaczył. - Dziadek Antka mnie woła, idziemy na konsolację.

- To idź, trzeba się spotkać. U mnie się dużo zmieniło, chcę ci o tym opowiedzieć.

- Tak, bo jeszcze niedawno się wydawało, że nie będę się z nikim spotykać...

- Stało się coś?

- Aż za wiele, chodzi o moje *jidyszkajt*, o moje żydostwo - uśmiechnął się z dumą - ja ciebie muszę to opowiedzieć!

Adaś już o nic nie pytał, choć miał na to ogromną ochotę. Podał Heńkowi rękę na pożegnanie i powiedział:

- Wał do swoich, masz obowiązki.

Heniek uścisnął mu dłoń i zapewnił na pożegnanie:

- Odezwę się, gdzie cię szukać?

- Tam gdzie zawsze, przy Miłej. *Zaj gezunt! Ojf widerzejn*<sup>13</sup>.

Goldfarb patrzył, jak przyjaciel szybkim krokiem dołączył do żałobników.

Gdy Heniek Wcisło zalewał się na smutno z Bożyczkami, aspirant Karol Denhel poszedł za młodym Żydem. Na początku śledzenie go nie było trudne, jechali bowiem z pętli tramwajem linii 23, a gdy kolega Wcisły wysiadł przy placu Żelaznej Bramy, Denhel poczuł niepokój. Tu będzie jak w ulu, może go zgubić i zaprzepaścić swoją szansę. Na szczęście śledzony znacznie przewyższał wzrostem innych przechodniów, więc łatwo go było wypatrzyć. Dzięki temu Denhel mógł sobie nawet pozwolić na to, by zwiększyć do niego dystans. Szedł za nim w bezpiecznej odległości, patrząc, jak jego głowa unosi się jak spławik na ludzkiej fali. Tak doszli aż do skrzyżowania Nalewek z Senatorską, tam żydowski kolega Wcisły wszedł do Pasażu Simonsa, istnego mrowiska, w którym znajdowały się dziesiątki sklepów, kantorów, biur, knajp, a nawet domów modlitw i szkół. Dokąd pójdzie ten gagatek? Pracuje tu czy jest tylko umówiony?

Na ucznia żeńskiej szkoły ani ortodoksyjnego Żyda nie wyglądał, w końcu się okazało, co było jego celem, sala wynajmowana przez klub sportowy Maccabi. Denhel jako sportsmen z miejsca wiedział, z kim ma do czynienia, znajomek Wcisły musi być syjonistą, bo właśnie oni należeli do tego klubu. Psuło to układankę, bo to nie było środowisko, z którego się wywodzili zawodowi złodzieje.

Od pogrzebu Bożyczki minęły dwa tygodnie i aspirant Denhel wiedział już o przyjacielu Wcisły niemal wszystko; Adam Goldfarb, syn socjalisty Dawida, nienotowany i niekarany, uczeń szkoły wieczorowej, robotnik, bokser i syjonista. Praca, nauka, szykowanie się do emigracji, to zajmowało mu niemal cały czas. Ale było jeszcze jedno zajęcie, które ukrywał przed światem. Nie były to jednak brudne interesy, tylko spotkania z Esterą Landau, córką szanowanego lekarza i... syjonisty. Szkoda, wielka szkoda straconego czasu, trzeba więc będzie drążyć w innych kierunkach, na przykład jeszcze dokładniej zbadać przeszłość tego Bożyczki.

Na razie wiedział, że był tramwajarzem, jak dziadek i ojciec, ale w przeciwieństwie do nich początkującym komuchem. Ktoś z defensywy mówił mu, że Bożyczko wszedł w krąg klubu z Wolskiej, że poznał tam jednego z czerwonych cyngli... Znał doskonale Wcisłę, a jego dziadek wspominał, że był mu jak młodszy brat. Co ich łączyło? Czy Wcisło bratał się z komunistami? Co może mieć wspólnego KPP z kimś, kto ma za przyjaciela oficera „dwójki”? Kapitan Beniowski jest poza zasięgiem, musi więc szukać mniejszych i łatwiejszych celów. Wierzył, że będzie nim Adam Goldfarb, ale okazało się, że to nie ten, kogo szukał. Aspirant przegrał ten ruch, ale znajdzie kogo i co trzeba, to tylko kwestia czasu oraz możliwości jego umysłu, a te miał niemałe.

Na przykład jego ostatni majstersztyk, który pozwolił mu się zbliżyć do Leokadii. Zrobił to dyskretnie i skutecznie, zaprzyjaźniając się ze starszą siostrą szkolnej koleżanki Leokadii, Elizą Okołowicz. Śmiał się w duchu z adoratorów, których zaloty odrzuciła po to, by bywać u jego boku. Kawalerowie byli wściekli i

bezsilni, patrząc, jak ta piękna osóbką występuje w towarzystwie Karola Denhela. Dla nich, dla nieopierzonych chłystków, którzy nie mieli o życiu większego pojęcia, piękna Eliza była spełnieniem marzeń, a dla niego tylko przepustką do świata Leokadii Rostockiej.

Dzięki temu, że zdobył jej przychylność, mógł się regularnie pojawiać w kręgu Leokadii, czuł teraz, że trzyma rękę na pulsie, że stale jest w pogotowiu i jeśli tylko pojawi się nadarzająca okazja, to bez dwóch zdań wykorzysta ją bez reszty. Okazja się jednak nie zdarzała, za to Eliza Okołowicz zdawała się do niego coraz mocniej przywiązywać, stając się coraz bardziej otwarta i gotowa na kolejne awanse.

Była to ładna dziewczyna, więc odczuwał rosnące pożądanie, dusił je jednak w sobie, gdyż kto inny stanowił jego cel. Celem była ONA

- Leokadia Rostocka.

Denhel posprzątał na biurku i schował dokumenty, najlepiej, jak szybko pójdzie do domu, bo wolał, żeby nikt nie wynalazł mu jakiegoś głupiego zajęcia. Poza tym urząd nie był specjalnie miłym i wygodnym miejscem, a pan aspirant od zawsze był przyzwyczajony do luksusów. Teraz żył wygodnie w mieszkaniu złożonym z dwóch pokoi, salonu, toalety, łazienki oraz kuchni ze służówką i oddzielnym wejściem. Lokum przy Marszałkowskiej śmiało można było określić jako luksusowe, nie popełniłoby się też błędu, ryzykując stwierdzenie, że żaden z młodszych stopniem oficerów policji nie mieszkał w tak doskonałych warunkach. To był lokal godny szarży inspektora, jednak było jedno „ale”, aspirant Denhel mieszkał w tym pięknym lokalu razem z rodzicami.

Podła pogoda, podły nastrój, podła okazja. Heniek długo dochodził do siebie po pogrzebie Antka, czuł się jak Jonasz, który sprowadził na Wolską i Dworską nieszczęście. Sąsiedzi, matka, Antek... A to nie koniec, bo przecież będzie się mścić. To było oczywiste, ale na kim? Tego nie wiedział. Wiedział natomiast, że trzeba myśleć o żywych, babci, Stefie i Łodzi. Dlatego, gdy spotkał na pogrzebie Adasia Goldfarba, zrazu się ucieszył, ale szybko ostudził swą radość, po co mu ta przyjaźń, po co? Przecież nic dobrego z tego nie będzie, na pewno nie dla Adasia. A co z Łodzią, czy nie powinien dla jej dobra skończyć tego związku? Bał się, że także na nią ściągnie jakieś nieszczęście, nie potrafił jednak zrezygnować z tego, by odprowadzać ją ze szkoły, to było silniejsze od niego. Na razie ograniczali się tylko do wspólnego powrotu ze szkoły, pierwsze po przerwie wyjście do kina miało nastąpić na okoliczność premiery *Wampirów Warszawy*. Film sensacyjny, koń by się uśmieł, sensacje to były w jego życiu. Łodzią nie znała o nim całej prawdy. On też nie wszystko wiedział o innych, z oczu zniknęła mu kuzynka Zośka Wyględa, po mężu

- Klajster. Kobieta chodziła do niego do szpitala, dopytywała się, pocieszała, przynosiła smakołyki i nagle jak nożem uciał. Męczyło go to, czuł, że z jego kuzynką jest coś nie tak.

Decyzję podjął nagle, wyszedł z domu, podbiegł do podjeżdżającej na przystanek „jedenastki”, wskoczył do środka i dojechał nią aż do rogu Marszałkowskiej z Żurawią. Dalej poszedł na piechotę, ruszył w kierunku placu Trzech Krzyży i tam miał wsiąść w „dwójkę” albo w „P”, ale postanowił puścić się Książęcą

w dół, aż do Ludnej, gdzie mieszkała Zośka ze swoim mężem Ryśkiem Klajstrem i pięcioletnim synkiem Wickiem. Ich kamienica mieściła się zaraz za skrzyżowaniem z ulicą Rozbrat, niemal wprost gazowni na Powiślu.

Gdy wchodził do bramy, zagadnął go cieć:

- A szanowny pan do kogo?

- Do rodziny.

- A jak się familia szanownego pana nazywa?

- Klajster. - Heniek starał się być cierpliwy wobec natarczywego dozorca.

Cieć spojrzał na Heńka i teraz na dobre zagroził mu drogę do wejścia.

- No to masz pan mocno nieaktualny adres! - powiedział z niemałą satysfakcją.

- Jak to? - Dla Heńka było to coś więcej niż niespodzianka.

Cieć triumfował, najpierw nie wpuścił dobrze ubranego i pewnego siebie kawalera do kamienicy, a teraz sprowadził go na ziemię, informując o upadku rodziny. Już cieszył się z kolejnej przewagi, tajemnej wiedzy, którą mógł się dzielić z elegancikiem.

- Nie płacili rachunków od pół roku i poszli na bruk, a tak to.

- Upoiwszy się swoją władzą i poczuciem ważności, przystąpił do efektownego finiszu: - Zmykaj pan, chyba że przyszłeś do gospodarza uregulować należność. Mam zawołać pana Niedbalskiego?

Heniek nie dał się zbić z tropu, otrząsnął się z zaskoczenia i wypalił:

- Słuchaj no pan, nie jestem kasa zapomogowa, zamiast cwaniakować powiedz mi lepiej, dokąd poszli.



- Poszli w cholere, tam gdzie miejsce takiego moczymordy i cwaniaczka, jakim jest Rysiu Klajster. Ot i tyle. Do widzenia. - Dozorca wyraźnie zakończył rozmowę i zaczął zamazyście sprzątać miotłą tuż przed nogami Heńka.

Ciecie kochali się czuć ważni i potrzebni, a władzy wręcz pożąдали, uwielbiali też każdą nową monetę w kieszeni. Heniek od niechcienia wyciągnął dwie złotówki i podrzucał je w dłoni, błysk i brzęk metalu podziały na cerbera bramy przy Ludnej jak kość na psa.

- No więc... - powiedział Heniek, bawiąc się złotówkami.

- Cholera, nie wiem - powiedział żalonym tonem dozorca. Nie był już cerberem, panem i władcą, lecz tylko zwykłym cieciem i do tego przegrany. Dwie złotóweczki, a może i więcej... - pomyślał. Było tak blisko, ale naprawdę nie miał pojęcia, gdzie ten cholerny Klajster się wyprowadził, gdyby wiedział, to doniósłby przecież panu Niedbalskiemu.

- Trudno, co zrobić - powiedział Heniek i strzelił na pożegnanie palcami w daszek czapki.

Schował złotówki do kieszeni, po czym postawił kołnierz płaszcza i zatarł ręce. Było zimno, więc w chwilę później dłonie w ślad za złotówkami powędrowały do ciepłych kieszeni. Ale krewa, pomyślał i wyszedł z bramy. Odwrócił się i poszedł, skąd przyszedł - na plac Trzech Krzyży.

Schodziło się Książęcą lekko w dół, ale podejście było ostre, to była jedna z najmocniej pochylonych ulic w Warszawie. Przeszedł na drugą stronę Rozbrat i zaczął się wlec w górę. Ta niemal górską wspinaczką sprzyjała rozmyślaniam. Nijak nie mógł pojąć, co takiego mogło się przytrafić? Rysiek Klajster nie wyglądał na

ministranta, ale forszę do domu przynosił, przynajmniej tak było. Udało mu się jakoś zapracować na porządne mieszkanie, nie miało co prawda wszystkich wygod, ale było nie najgorzej.

Wypić owszem lubiał, ale kto nie pije? Nie wydawało mu się, żeby był chlejusem i moczymordą, ot, przeciętny koleś, który za kołnierz nie wylewa. Widywał się z nimi raz w miesiącu i wydawało się, że jakoś wszystko grało, musiało się coś stać, ale co? Z rozmyślań wyrwał go tupot nóg i krzyk:

- Proszę pana, proszę pana!

Obskoczyło go dwóch małych chłopaków.

- Słucham?

- Dasz pan po dwajścia groszy? - wypalił szczerbaty, może ośmioletni piegus.

- Tak za friko?

- Nie, za friko to przecież nawet w mazepę nie można dostać - odparował szczeniak.

- Gadane, synek, masz, ale nie jesteś papuga, żebym ci za samo gadanie dał kaszkę - uśmiechnął się Heniek.

- Mamy towar pierwsza klasa - wyseplenił ostrzyżony pod garnek pięcioletni pulchny chłopaczek.

- Prima sort! - szybko dorzucił piegus.

- Dasz pan dwajścia groszy? - domagali się jeden przez drugiego.

- Nie bądź pan żyła, daj pan!

- Ale tak konkretnie to za co, co to za towar? - Heniek ostudził ich zapędy.

- Wiemy, gdzie mieszka Wicus! - wykrzyknęli niemal równocześnie. Wicus był synem Zośki, jego młodszym kuzynem, w

zasadzie siostrzeńcem, a więc wiadomość była warta dla niego znacznie więcej. Wyciągnął z kieszeni dwie pięćdziesięciogroszówki i pokazał je chłopcom.

- Pasuje?

- Pasuje - odkrzyknęli. - Browarna, Kłajstry mieszkają przy Browarnej!

- A pod jakim numerem?

Chłopcy spojrzeli po sobie bezradnie.

- No, nie pamiętamy...

- Ale możemy zaprowadzić, może być? - z nadzieją w głosie zapytał piegus.

- Może. No to prowadźcie.

Chłopcy dogonili go w miejscu, gdzie się rozpoczynały tereny należące do szpitala Świętego Łazarza, zawrócili więc w dół, skręcili w Smolną, po czym przeszli pod wiaduktem mostu Poniatowskiego, a następnie przeskoczyli przez budowę nieczynnej jeszcze linii średnicowej. Z zaciekawieniem spojrzeli w kierunku drążonego pod skarpą tunelu kolejowego. Wygląda na to, że za parę lat będzie można przejechać przez środek miasta koleją, do tej pory wielu pasażerów jadących z zachodu wysiadało na Dworcu Wiedeńskim, po czym dryndą udawało się na drugi brzeg, by w dalszą drogę ruszyć z dworców Wileńskiego lub Wschodniego. Dryndziarze i taryfiarze już teraz utyskiwali, że stracą wielu klientów, ale oni zawsze narzekali i lubili się martwić na zapas.

Idąc między budową i szpitalem Czerwonego Krzyża, dotarli do Solca, jeszcze tylko Topiel i będzie Browarna. Szli szybko, momentami nawet biegli, bo chłopcy chcieli jak najszybciej dostać

swoją nagrodę. Czasu nie marnowali, bo po drodze, w ciągu nieco ponad kwadransa marszobiegu, który zarządzili mali przewodnicy, Heniek wysłuchał opowiadania o tym, co działo się z rodziną Zośki..

- Wicus fajny kolega - zagadnął ich.

- Fest chłopak!

- A jak mu się mieszkało na Ludnej?

- Najlepiej na świecie, ma się rozumieć - wykrzyknął piegus.

- Przecież miał tam fajnych kolegów!

- I mieszkali całkiem nieźle - wtrącił młodszy.

- To wiem, bywałem u nich - wyjaśnił Heniek. - Ale już ich w waszej kamienicy nie ma.

- Bo nie płacili - z miną mędrca obwieścił pulchny brunecik.

- To też wiem, ale nie wiem dlaczego. Przecież Klajster miał chyba niezłą robotę?

Chłopcy spojrzeli na niego jak na kogoś, kto nie potrafi zliczyć do dwóch.

- No przecież ojciec Wicka stracił pracę, wylali go i to konkretnie.

- Piegus podkreślił ostatnie słowo. - Podobnież coś zachachmęcił na budowie.

- Mój tata mówił, że ojciec Wicusia stale coś kombinował - mówił z rezerwową miną pulchny brunecik - bo inaczej nie starczyłoby mu na to wszystko.

- Na jakie wszystko?

- No jak to na jakie? - zdziwił się brunecik. - No, nno - zająknął się. - No na wszystko.

- Na panienki i knajpę! - szybko dorzucił piegus. - Ty gówniarz jesteś, to nie wiesz, o co chodzi - powiedział, patrząc z góry na kolegę. - On ciągle siedział w knajpie i nie tylko w knajpie, moja mama mówiła, że się cały czas szlajał!

Im dłużej szli, tym bardziej Heniek poznawał swego szwagra; moczymorda, marny cwaniak, najpierw kobieciarz, a z czasem dziwkarz, i na koniec bezrobotny na własne życzenie. Gdy doszli na Browarną, chłopcy wskazali na jedną z drewnianych ruder. Heniek podziękował im i nagroził dwiema pięćdziesięciogroszówkami.

Wszedł tak, jak wskazywali, na poddasze i zapukał do drzwi.

- Kto tam? - usłyszał głos Zośki.

- To ja, Heniek!

W mroku podłej sieni zazgrzytał otwierany skobel, a zaraz potem zaskrzypiały uchylane drzwi.

Dzwonek przy wejściu wyrwał Emilię z lektury. Odłożyła książkę i ruszyła szybko z fotela, by bez pytania otworzyć zamki.

- To ja, córeczko! - zagrzemiał radośnie mężczyzna w sile wieku.

Stanisław Radziejowski dziarsko przekroczył próg mieszkania i uściskał córkę. Ostatnio w mieszkaniu przy Mokotowskiej już tylko nocował i to nie zawsze, bo często wyjeżdżał do Konstancina, gdzie wzorem innych zamożnych warszawiaków miał swoją letnią willę.

Kupiec i finansista przeżywał drugą młodość, kwitnąc u boku wdowy Elżbiety Ponimirskiej. Parę lat temu byłoby to nie

pomyślenia, bo pan Stanisław zdawał się pozostawać w wiecznej żałobie po swojej żonie Gabrieli, a jednak...

Emilia też nie wyobrażała sobie kiedyś podobnej sytuacji, ale czas leczył rany, choć oczywiście nie wszystkie. Parę ostatnich lat było ciężkich, a zaczęło się od tego, że mąż miał romans ze służącą, posądzała go nawet o to, że był sprawcą jej haniebnej ciąży. Nowicka uznawała się za kobietę wykształconą i nowoczesną, ale flirt męża z inną kobietą był rzeczą niedopuszczalną. Nigdy nie przypuszczała, że będzie potępiać wiejską dziewczynę, która urodzi nieślubne dziecko. Wspierała takie osoby, bo czytała postępowe książki i walczyła z kołtuństwem i drobnomieszczaństwem, ale Ludmiła dopuściła się rzeczy niesłychanej.

Na służbie w Warszawie miała zbierać na swój posag, bo czekał ją ślub z pasierbem wachmistrza Iwanowa. To właśnie Iwanow, wierny towarzysz Olka, polecił im swoją przyszłą synową, a ta się odwzajemniła podwójną zdradą, nie dość, że miała płomienny romans z jakimś młodym chłopakiem, to odważyła się też wciągnąć do swojego łóżka w służbówce Aleksandra. To było niepodobne do niczego, obrzydliwe i podłe... Ale okazali jej serce, wysyłając do majątku znajomych. Właśnie Emilia uprosiła o to Aleksandra, bo żal jej było dziecka.

Sprawa miała nieoczekiwane zakończenie, któregoś dnia przyjechał po nią Michał Iwanow, wybaczył jej i zabrał na Kresy, gdzie dzięki rekomendacji dotychczasowego pracodawcy, pułkownika Kawelina, dostał dobrą pracę w tartaku. Emilia też jej darowała i nie pamiętała tego także Olkowi, nie zniosła jednak po raz drugi, gdy dowiedziała się o tancerzce z kabaretu.

Aleksander się zaklinał, że to nie było tak, jak myślała i jak słyszała, bo ludzie różne rzeczy mówią, ale tym razem i ona sama postanowiła mieć chwilę słabości. Wobec romansu męża oraz jego bezsensownej decyzji o objęciu jakiegoś prowincjonalnego garnizonu była bliska ucieczki w ramiona kapitana Juliusza Beniowskiego.

Chciała się spakować i wyprowadzić do niego razem z małym Stasiem. Nie przypuszczała, że sprawę zakończy pojedynek, a ona sama, na wieść o tym, że obaj są ranni, bardziej się zdenerwuje stanem zdrowia Aleksandra. Na szczęście szybko doszedł do siebie i poskromił wojskowe ambicje, okazało się, że wynikały one z chęci ucieczki od pokus wielkiego miasta. Wybaczyli sobie wzajemnie i przyszedł okres powtórnego wybuchu miłości. Niestety nic, co dobre, nie trwa wiecznie, Olek ostatnio się przepracowywał, mówił, że szykuje coś nowego. Ojciec Emilii miał nadzieję, że przejmie firmę, ale zorientował się, że Olek nie zamierzał jeszcze tego robić.

- Za parę lat - mówił, uśmiechając się. - Za parę lat. Teraz muszę pomóc w rozkręceniu czegoś, co jest dla nas znacznie ważniejsze niż handel i finanse.

Podpułkownik Nowicki przepadał gdzieś wieczorami, a od czasu do czasu wracał bardzo późno, wręcz w środku nocy. W czasie wojny Emilia należała do POW<sup>14</sup> i pomagała organizacji w zbieraniu informacji wywiadowczych, rozumiała więc, co to tajemnica, i doskonale potrafiła rozpoznać w swoim mężu konspiratora. Na razie nie wiedziała, co o tym myśleć, bo choć czuła zrozumiały niepokój, to jednak intuicja podpowiadała jej, że tym razem nie chodzi o kobietę.

Poszła do kuchni, gdzie była Małgorzata, ich służąca, która parę lat temu zastąpiła Ludmiłę. Poprosiła ją o kawę, po czym usiadła i zaczęła się zastanawiać nad tym, co robi Aleksander. Może to ta jego teozofia zajmuje go bez reszty wieczorami? Chyba nie, bo teozofami są też i kobiety, więc czemu nie miałyby jej w to wciągnąć? Pewnie chodziło o masonerię, tam kobiety nie były jeszcze zbyt mile widziane, godzenie się na łoże adopcyjne było upokarzające. Wszystko jedno, ważne, że Aleksander nie poświęcał czasu innym kobietom, wszak każdy ma prawo do swoich zainteresowań i życia duchowego. Jej męża pociągały masońskie spotkania, a ją seanse spirytystyczne, a skoro wrócił ojciec, to może zostawić Stasia razem z nim. Tych dwóch Stanisławów, dziadek i wnuk, rozumiało się doskonale, nie będzie więc im przeszkadzać i wpadnie na herbatkę do inżynierostwa Łęckich, dziś czwartek, więc w domu przy Koszykowej odbędzie się seans!

Zośka otworzyła zamknięte na skobel nędzne drzwi. Gdyby nie głos, to pewnie by jej nie poznał, postarzała się tak na oko z dziesięć lat, miała ziemistą cerę, potargane włosy, w których były srebrne nitki, jakich wcześniej u kuzynki nie widział. Do tego te łachy, a przecież ona zawsze lubiła się wystroić.

- Heniu... - zaczęła niepewnie.

- Wujek, wujek! - zawołał Wicuś. - Jak dobrze, że jesteś.

- Twoi koledzy z Ludnej też tu są, wyjdź do nich, czekają na dole.



Wicusz wybiegł z mieszkania i słychać było, jak zbiega po schodach, by jak najszybciej spotkać dawnych przyjaciół.

- Co tu robicie? - Heniek sam zadawał sobie to pytanie, patrząc na żalosne wnętrze. Nierówna podłoga, parę tandetnych mebli, dykta zasłaniająca wybitą szybę w oknie i zardzewiała miska, jako jedyna wygoda w tym domu. Naftówka przypominała, że w tych okolicach prąd był, ale tylko w elektrowni i w lepszych domach, o kanalizacji zaś nie było mowy. Ciekawe, jak daleko chodzili po wodę, na podwórku nie widział studni. Zośka była wyraźnie skrepowana i długo się zbierała do tego, by coś z siebie wydusić.

- Rysiek stracił pracę...

- Stracił?

- Tak, stracił - powtórzyła niepewnym głosem.

- A jak?

Zośka znów długo zwlekała z odpowiedzią.

- Ty też kiedyś straciłeś robotę.

- Ale mnie wywalili, bo był kryzys, a Rysio...

Kuzynka spuściła głowę i zaczęła płakać.

- On chciał, żeby nam było lepiej.

- Komu? Wam czy jego dziwkom? Czego chciał mieć więcej, waszego szczęścia czy wody?

- Ja mu wybaczyłam, teraz już wszystko będzie lepiej, Rysiek wszystko zrozumiał - łkała.

Za to Heniek nie potrafił zrozumieć, nie mieściło mu się w głowie, jak taka obrotna, czasami bezczelna kobitka jak Zośka mogła się dawać wykorzystywać temu cwaniaczkowi, jak znosiła upadek, który jej zafundował. Jakby wiedząc, co myśli, otarła łzy i

pewniejszym głosem przypominającym dawną Zośkę Wyględę wypaliła:

- A co miałam zrobić? Wrócić na wieś czy się pętać samotnie z dzieckiem?

- A on w czym ci pomaga? - zaśmiał się Heniek

- Chłop to chłop.

- A bida to bida, długo jeszcze będziecie w tej norze?

- Bywało gorzej, a co ty myślisz, że wszyscy mieszkają jak ty, jak jakieś jaśniepaństwo? Trzeba kraść albo nieźle cwaniakować, żeby się dorobić!

- Ja się jakoś dorobiłem i stryjek także, a i wam było nie najgorzej, póki Rysiu nie zaczął kombinować.

- A może właśnie dlatego było nam tak, jak było, bo Rysiu kombinował, co? - Zośka znów się stała pewna siebie i pyskata.

Heniek się wkurzył i nie wiedział, co jej jeszcze można powiedzieć. Bronił swojego faceta ze wszystkich sił, wypierając z pamięci dawne, wygodniejsze życie. Gdy oni mieszkali przy Dworskiej w jednej izbie przegrodzonej zasłoną, świecili naftówką i myli się w misce, ciesząc się z tego, że pompa była na podwórzu, ona żyła jak królowa. Tylko wybrańcy mieli wszystkie wygody, najbogatsi warszawiacy i ich służba, a Zośka pracując dla inżynierostwa Beniowskich, należała do tych, co na co dzień oglądali piece kaflowe, bieżącą wodę, światło elektryczne i ubikację.

Ich kuzynka dostała tam nawet swój kącik, mały pokój, we wnęce za kuchnią, gdzie stało jej własne łóżko! Szybko się przyzwyczaiła do wielkopańskich wygód i jak wielka pani się

nosiła, bo inżynierowa dawała jej swoje rzeczy, a teraz... Nędzna izba, w której nie było śladu pieca, jak oni przeżyją zimą?

- Gdzie jest Rysiek?

- Szuka pracy, stara się, przynosi jakieś grosze, no przecież jakoś żyjemy...

Może faktycznie szuka, może się opamiętał? Pies go jebał, tymczasem pomoże Zośce. Heniek wyciągnął z kieszeni dwa banknoty dziesięciozłotowe i powiedział:

- Masz, to na życie, dojadaj, sobie kup jaki ciuch, ale nie dawaj Ryśkowi, rozumiesz? - Sięgnął jeszcze raz do kieszeni i wyciągnął kolejny banknot. - A za to sprowadź piecyk, zimno jest jak psia mać, pochorujecie się, a mały jeszcze gruźlicy dostanie.

Zośka straciła rezon i dumę, dziękowała bez słów, kiwając głową, aż w końcu się popłakała i wydusiła z siebie:

- Dziękuję, Heniu, dziękuję.

- Będę tu wpadał, powiedz to Ryśkowi.

- Wpadaj, Heniu, wpadaj.

Kuzynka odprowadziła go na dół, nieustannie dziękując i ściskając go za rękę.

- Ale nie mów swojej babce - powtarzała. - Nie chcę, bo to wszystko taki wstyd.

Wstyd był w tym wszystkim najważniejszy; trzeba było zacisnąć zęby i nic nie zmieniać, no bo jak? Uciec, wyrzucić męża, zabić go? Do tego czasem dochodziło, tak robiły najbardziej zdesperowane kobiety. Znosiła wszystko, bo Rysiek nie podniósł jeszcze na nią ręki, a poza tym obiecywał poprawę. Najlepiej więc spuścić nad wszystkim zasłonę milczenia, tak robiły setki, jeśli nie tysiące żon typów takich jak Rysiu Klajster.

Słońce, jak to późną jesienią, zaszło błyskawicznie. Zrobiło się ciemno, a zegar w salonie wybił siódmą.

- Czas na kolację - ożywił się ojciec Karola.

- Ależ drogi Antoni, już wszystko gotowe - uspokoiła go żona Elżbieta. - Karol wrócił dziś wcześniej, więc nie zmarnujemy takiej okazji, zjemy razem, jak dawniej. Klara już wszystko przygotowała, moi panowie, zapraszam do stołu.

Karol Denhel odłożył książkę i pomyślał sobie, że czeka go kolacja ze słodkim deserem. Cokolwiek ich gosposia Klara podałyby na stół, to i tak będzie przesłodzone, zadbają o to matka z ojcem. Te rozmówki, świergotanie matki, jej troska, optymizm ojca, to było nieustanne słodzenie, lukrowanie i polewanie melasą. Od tego wszystkiego dostawał mdłości, ale trudno, co zrobić, na wojnie i w Urzędzie Śledczym zdarzały się rzeczy straszniejsze. A swoją drogą, ciekawe, jak to wygląda u tego Wcisły, jaką ma rodzinę, musi się im dokładniej przyjrzeć.

## CZEŚĆ DRUGA

### ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY..

#### VI

### NA GÓRSKIEJ DRODZE

Don Roque delikatnie zwolnił i dał znak, nie czyniąc przy tym żadnego zauważalnego dla niewtajemniczonych gestu ani nie wypowiadając zbędnego słowa. Pozycja w siodle, nieco wolniejsze tempo jazdy i nic nieznaczące dla postronnych obserwatorów ruchy palców lewej dłoni sprawiły, że podążający wraz z nim dwaj jeźdźcy zaczęli się dyskretnie rozglądać wokół siebie. Musieli uważać i nie mogli lekceważyć żadnego sygnału, bo tajny radca poselstwa katolickiego króla w Wiedniu ostrzegał ich przed bandami napadającymi podróżnych na tych traktach. Nie było to dla nich nic nowego, przeprawy przez Pireneje też obfitowały w pułapki, jednak nic i nikt nie mógł im stanąć na drodze, bo byli wysłannikami śmierci - zawodowymi zabójcami w służbie najpotężniejszego monarchy świata. Zadanie, którego najcięższą część mieli już za sobą, mogło stanowić ukoronowanie ich kariery.

Przed ponad rokiem w Wenecji dopadli poszukiwanego mężczyznę. Sam finał poszedł gładko, ale na to, pracowali bardzo ciężko. Osaczali swą ofiarę nieznośnie długo, mieszkając w mieście, gdzie latem, w bezwietrzne dni, zapach złota, kosztowności oraz egzotycznych towarów mieszał się z odorem wydobywającym się z kanałów. Musieli być jednak cierpliwi, a cnotę tę umacniały talary z królewskiego skarbcza, dzięki którym życie w Wenecji okazywało się znośne i choć nie lak wystawne jak doży czy patrycjusza, to na pewno nie gorsze niż sekretarza hiszpańskiego posła.

Bardziej niż niewątpliwe uciechy miasta przykuwały ich uwagę obyczaje przyszłej ofiary, a przede wszystkim to, co robiła silna i niezwykle czujna obstawa. W końcu buntownik popełnił błąd, zgubiła go rutyna i pewnego dnia wyszedł sam, bez swych opiekunów. Pracowali na jego pomyłkę, nie szczczędząc królewskich pieniędzy, bo niełatwo i nietanio było uczynić przynętą diwę z Teatro La Fenice. Ona skusiła się na talary, a ich cel skusił się na jej wdzięki. Gdy primadonna zorientowała się, do czego może doprowadzić ten zorganizowany przez Hiszpanów flirt, chciała się wycofać, ale wtedy powiedzieli jej, że teatr spłonie wraz z nią, tak jak ta poprzednia buda, w której śpiewała, San Benedetto.

Klamka zapadła i szpiegowska machina ruszyła, śpiewaczka zwabiła buntownika, a oni dopadli go w ciemnym zaułku, pchnęli sztyletem i wrzucili ciało do kanału. Jako dowód zabrali charakteryzujące zmarłego przedmioty, a zwłoki uniosła w kierunku Canal Grande aqua alta.

Okazało się jednak, że to jeszcze nie był koniec. Jego żona była w ciąży i urodziła następcę, kolejnego buntownika, którego

należało zlikwidować. Zanim to zaplanowali, matki dziecka oraz ich świty nie było już w Wenecji. Jej ojciec, a dziadek malca, który nie był jednym z nich, lecz szlachcicem z północy Europy, ukrył ściganych w swych rodzinnych stronach.

Niełatwo jednak ukryć coś przed szpiegami katolickiego króla Carlosa IV, niełatwo, nawet jeśli się ma złoto i zamki. Rysy twarzy i kolor skóry tych ludzi zbyt mocno rzucały się w oczy, tak więc po roku mogli dokończyć sprawę. Był dzień świętego Antoniego i to, co miało stanowić dla tych dzikusów błogosławieństwo, okazało się ich zgubą. Wykorzystali uroczystą mszę i zamieszanie, jakie panowało na zamku, by zniemacka i gwałtownie zaatakować.

Udało się. Dzisiaj kobieta i dziecko dostali to, co im było pisane. Ludzie Don Roque z impetem przejechali przez bramę wykorzystując chwilę nieuwagi strażników. Posiekli ich i stratowali, a następnie zabrali się do tych, którzy byli głównym celem. Pacheco nieomal rozciął ich na dwoje. Od lat używano już tylko szpad i szabli, ale Andaluzyjczyk wciąż walczył ciężkim rapierem. Po cięciu zeskoczył z konia i dla pewności przeszył kobietę sztyletem. Pchnął tak mocno, że ostrze musiało się wbić także w leżące pod nią dziecko. Najważniejsze, że chwilę potem Pacheco rzucił w ręce Don Roquego złoty przedmiot, który ścisnął wcześniej malec. Był to dowód na zabicie uzurpatorów i symbol, co kolejnym buntownikom wytrąci argument z ręki. Wcześniej zdobyli koronę, a teraz dostali także maskę.

Te popaprańce były katolikami, a ten, który zaczął rebelię, ukończył nawet jezuicką szkołę. Ale cóż teraz znaczą jezuici? Wszak to wichrzyciele, wygnani z Hiszpanii przeszło trzydzieści lat temu przez katolickiego króla Carlosa III. Wypędził ich, bo

namówili do buntu madryckich mieszczan, nic więc dziwnego, że ich uczeń, ten przeklęty Metys, zbuntował się przeciwko swemu władcy, a kto występuje przeciwko katolickiemu królowi, występuje zarazem przeciw Bogu i Kościołowi!

Dzikusy zawsze wierzyły w te swoje gusła, symbole i znaki, bez tego się czuły słabi, dlatego zdobycie ceremonialnej maski było tak ważne. Pozbawiało ich kolejnego symbolu, bez którego ta ich cała zafajdana, czarcia układanka traciła rację bytu. Kto wie, czy nie było to najważniejsze zadanie wykonane przez Pacheca w ciągu długiej i niebezpiecznej służby. Na pewno było ostatnim czynem, który ten dzielny wojak spełnił dla króla i swych towarzyszy. Złoty przedmiot nie zdążył jeszcze wylądować w rękach Don Roquego, gdy błysnęła szabla i głcwa Pacheca niemal oddzieliła się od korpusu. Na dziedziniec poleła się strumień krwi, a ich kompan na zawsze pozostał w tym ponurym zakątku świata.

Szkoda, bo dobry był z niego żołnierz, ale przecież taki ich los, los szpiegów i morderców w służbie katolickich królów. Co roku zabijają dziesiątki ludzi, ale i co roku giną także wojownicy tej niewidzialnej armii. W zwykłym wojsku płacono mniej, a śmierć zbierała jeszcze obfitsze żniwo. Don Roque wiedział o tym najlepiej, bo był w służbie od blisko trzydziestu lat. W Hiszpanii zwalczał buntowników, w Ameryce tłumził powstanie antychrystów i brał udział w podburzaniu kolonistów przeciwko angielskiemu królowi. Nawet wśród zaufanych szpiegów i morderców Carlosa III, a potem jego następcy Carlosa IV niewielu było tak twardych i doświadczonych jak on, dlatego bezbłędnie wyczuwał w powietrzu krew.



Teraz też ją czuł i wiedział, że za chwilę zostanie przelana. Czuli to także jego towarzysze i krótka, niedostrzegalna wymiana gestów i spojrzeń wystarczyły, by byli przygotowani do walki.

Don Roque, Rodrigo i Chico raz jeszcze wymienili porozumiewawcze spojrzenia, bo każdy z nich rozumiał, że w lesie jest co najmniej kilku ludzi, których oczy śledzą ich każdy ruch. Byli także pewni, że nie są to strachliwi obserwatorzy, lecz, podobnie jak oni, bezwzględni mordercy. Nie czuli trwogi, lecz raczej radosne podniecenie, bo się gotowali na to, co w życiu umieli robić najlepiej. Ich pistolety, szable i szpady były w pogotowiu. Niech tylko przeciwnicy zaatakują, to zostaną rozniesieni w pył, nie masz bowiem lepszych szermierzy i rębajłów od nich; od szpiegów i morderców w tajnej służbie katolickiego króla Carlosa IV.

## VII

### ĆWIARTECZKA POD CHAŁWĘ

*Dziennik Stefami Wcisło*

*Warszawa, 10 listopada roku 1925*

*Skończyła się złota polska jesień. W szkole malowałyśmy obrazki i pisałyśmy o tym wypracowania. Było cudnie, tak kolorowo i tak słonecznie, ale się robi coraz chłodniej i ubywa dnia. Za chwilę będzie smutno, bo opadną wszystkie liście, a później będą już tylko szaruga, bioto i smutek.*

Na początku listopada Heniek znów był sobą. Nie miał już kłopotów z łapaniem równowagi, minął też natrętny szum w głowie, ale najważniejsze, że poukładał sobie myśli. Pamiętał, co się stało i jaka była kolejność zdarzeń, przede wszystkim zaś mógł się w końcu udać na grób matki i porządnie wypłakać. Babci i siostrze powiedział, że chce iść tam sam, ale one uparły się być razem z nim. Dobrze zrobiły, bo o mało nie zemdłał, szlochając nad grobem. Miał wrażenie, że na cmentarzu po raz drugi przeżył jej śmierć. To było jak oczyszczenie, a gdy wracali, wiezieni

automobilem przez stryja Janka, znów był sob i układał plan działania na najbliższe miesiące. Wiedział, że ma dla kogo żyć i pracować. Musiał zadbać o Stefę i babcię, a przede wszystkim musiał dojsc do tego, kto zamordował matkę i kto stoi za zniknięciem jego przyjaciela Antka Bożyczka.

Ta sytuacja nie zmieniała go jednak w ludzki automat, nastawiony wyłącznie na pracę i zemstę, miał bowiem Leokadię, dla której chciał się zmieniać i przy której się czuł szczęśliwy. Były chwile, gdy pogrążał się w czarnych myślach i czuł jak topielec, którego losy już się zdecydowały, ale miłość do Leokadii dodawała mu sił. Dzięki niej znów się wynurzał na powierzchnię i coraz mocniej łapał w płuca powietrze.

Karol Denhel poczuł, że się dusi. Cholerny Wcisło wydobraź i zamiast spoczywać w grobie albo gnić w więzieniu odprowadzał ze szkoły Leokadię. Był dyskretny, czekając każdego dnia, jak pies, przy Chałubińskiego, gdzie dziewczyna rozstawała się ze swoimi koleżankami. To powodowało, że aspirant nie potrafił oddychać pełną piersią. Nie tylko zresztą to. By dojść do siebie, musiał odbić z rąk tego wolskiego typka Leokadię i stać się śledczym z prawdziwego zdarzenia. On, prymus szkoły policyjnej, miał uczestniczyć w pierwszorzędnym dochodzeniach, a nie być kancelistą notującym drugorzędne występki. To, co robił, to była buchalteria, a nie praca detektywa. Do tej pory jego śledztwa, to spotkania z drobnymi złodziejaskami, obławę i zabójstwa, w których wszystko było jasne od początku do końca. W ubiegłym tygodniu przełożeni obdarzyli go przypadkiem Szatana, mordercy,

co się groźnie nazywał, ale był głupi jak odpustowy diabełek. Szatan, Kazimierz Szatan, krwawy, tępy dwudziestoletni przygłup.

Pracował ten cymbał w fabryce koronek Szlenkiera i po pracy włóczył się ze swoimi kolegami z zakładu - Obaczewskim i Szymańskim. Zaniosło tę trójkę na plac Broni, gdzie zabijali czas, pijąc wódkę i grając w karty. Szatan najpierw się spił, a potem przegrał do kolegów całe pieniądze. Zaczęła się awantura, w której trakcie młody robotnik dostał ataku pijackiego szału i zaatakował nożem kompanów. Gdy przybył patrol policji, Obaczewski już nie żył, bo miał rozplątane gardło. Szymański miał więcej szczęścia, bo dostał w szyję i w plecy, ale żadna z ran nie była śmiertelna. Szatan próbował się jeszcze rozprawić z policjantami, ale ci wykazali się przytomnością umysłu i odwagą; obezwładnili mordercę i zakuli go w kajdanki. Tak Szatan trafił do Urzędu Śledczego, a następnie przed oblicze aspiranta Denhela. Człowiek, który zasiadł w pokoju przesłuchań, nie był Arsenem Lupinem - dżentelmenem włamywaczem. Był to prosty, śmierzący wódką łobuz, który po pijaku zabił kolegę z pracy.

Jego wina nie ulegała wątpliwości, a do tego Szatan, złorzeczając na zabitego, niedoszłą ofiarę, przechodniów, co wezwali policję, oraz na stróżów prawa, którzy go zatrzymali, ochoczo przyznał się do wszystkiego. Gdy Karol Denhel wyszedł z pokoju przesłuchań, podszedł do niego Konrad Strasburger, który z właściwą sobie impertynencją i błazeńskim sposobem bycia poklepał go po plecach i powiedział:

- Gratuluję, rozwiązał pan kolejną sprawę, panie kolego!

Miał ochotę dać mu w mordę, lecz po prostu puścił te głupoty mimo uszu.

- Coś jeszcze? - Denhel chciał wyraźnie dać do zrozumienia, że nie ma ochoty wdawać się w żadne pogaduszki.

- Tak - Strasburger najwyraźniej się delectował tym, że Denhel był bliski utraty cierpliwości. - Jedziemy na zajęcia praktyczne w terenie. W składzie towarów kolonialnych rozpruto pudło. Drobiazg, ale dobrze by było, gdybyś to pan zobaczył sobie z bliska. Zajęcia w szkole policyjnej i oglądanie zdjęć sprutych kas to nie to samo, co prawdziwy skok. Zbieraj się pan, walimy na piechotę, to tylko kwadrans od nas, no może kwadrans z małym hakiem. Kasiarze załatwili Tenenbaumów z Franciszkańskiej.

Denhel wolałby pojechać samochodem, nie dlatego, że był leniwy, ale w ten sposób szybciej by się znaleźli na miejscu i nie musiałby słuchać wywodów kolegi. Nie zdążyli ująć paru metrów, gdy jeszcze przed Hipoteczną Konrad Strasburger już zdążył zapalić papierosa i opowiedzieć coś, co mu się wydawało zabawne.

Przesłuchiwalismy jakieś dwa, trzy miesiące temu złodzieja sklepowego. Wpadł ten szopenfeldziarzyna na próbie podwędzenia eleganckiego wiecznego pióra. Złapano go i przyprowadzono do nas. Magluję go na okoliczność tego zdarzenia. Pytam o wszystko, o współników rzecz jasna, a on, oczywista, wszystkiemu zaprzecza, a już na pewno nie przyznaje się do tego, że miał pomagierów. Minęły ze trzy kwadranse i effectus nullus, zupełnie jak z tą wiewiórką. Nie zna pan numeru z wiewiórką? Opowiem kiedy indziej. Gość twardy, więc pomaga mi doświadczony, straszy kolega podkomisarz Pijanowski. Z godzinę tak go trzymalismy w krzyżowym ogniu pytań, a on ani razu nie dał się złapać w żadną

z naszych pułapek. Sprawiliśmy więc wrażenie, że to koniec, że pasujemy. Wtedy to Pijanowski wyjechał mu niespodziewanie: „No to koniec żarcików, jesteś gotowy na drugą rundę?”. I wiesz pan, co ten bezczelny typ powiedział?

Denhel pokręcił głową, że nie wie, chociaż najchętniej powiedziałby Strasburgerowi, że go to po prostu wcale, ale to wcale nie interesuje. Konrada Strasburgera trudno jednak było zbić z tropu.

- Otóż on zupełnie spokojnie powiedział: „A pytajcie, panowie śledczy, o co chcecie i ile wlezie, ja już piętnaście lat jestem żonaty, uodporniłem się. Z wami, panowie, to całkiem przyjemna rozmowa, co innego, jak mnie stara weźmie w obroty! Ja się tu czuję prawie jak na wywczasach w jakim kurorcie, jakbyście jeszcze podali dobre ciastko i filiżankę kawy..

Strasburger zaśmiał się na wspomnienie zabawnej historyjki.

- Niezły typ, prawda? Albo ta jego baba ta jakaś straszna hetera.

Po anegdotce Denhel jeszcze się dowiedział, jak brzmią dwa całkowicie najnowsze kawały o policjantach, jeden o prawnikach i rzecz oczywista, szli przecież do dzielnicy żydowskiej, parę szmoncesów. Gdy aspirant Konrad Strasburger zabierał się do opowiedzenia kolejnego żydowskiego kawału, Denhel postanowił pokrzyżować mu plany. Nie był zmęczony, ale zapytał:

- Daleko jeszcze, czy to gdzieś na samym początku, gdzieś przy Zakroczymskiej?

Denhel chciał pytaniem zapobiec kolejnemu szmoncesowi, a poza tym szli przez Freta, co wskazywało na to, że celem będzie początek Franciszkańskiej.

- No prawie, jeszcze tylko kawałeczek, jakby się kto pytał: Franciszkańska trzy!

- Przy samym kościele?

- Tak, ale tu będzie tylko krótki postój. Mamy wyciągnąć z domu przodownika Henryka Dutkiewicza. Mieszka tam od zawsze i zna wszystkich. Ma dziś wolne i nie było go na komisariacie, więc zahaczymy o jego dom po drodze.

Mieli szczęście, Dutkiewicz był u siebie. Bez zbędnych pytań przodownik zamienił cywilne łąchy na granatowy mundur. Niemal w jednej chwili z kogoś, kto wyglądał jak zredukowany urzędniczyna, przeistoczył się w dziarskiego podoficera policji.

- Parę domów od pana przodownika zrobiono kasę - poinformował Dutkiewicza Strasburger.

- Ho, ho! - zdziwił się przodownik. - A konkretnie co?

- Skład kolonialny.

- Zrobili stary czy nowy? - zapytał.

- Nie wiem, czy nowy, czy stary, ten spod dwunastki - odrzekł Strasburger.

- No to stary - ożywił się Dutkiewicz. - Bo widzą panowie, pod dwunastką od dawna ma swój interes rodzina Tenenbaumów, a w tym roku tuż obok pod czternastką roztworzył się ten nowy Żydek, Warszawiak.

- To znaczy, że możemy mieć podejrzanego? - wypalił Denhel.

Przodownik popatrzył na aspiranta, jakby ten oświadczył, że jest świętym Józefem albo przynajmniej kardynałem Kakowskim.

- Żartujesz pan? - Dutkiewicz nie mógł się powstrzymać od kąśliwej i mało regulaminowej uwagi.

Aspiranta nie zbiło to jednak z tropu.

- No, konkurencja!

Henryk Dutkiewicz ze spokojem wyjaśnił:

- Konkurencję to oni robią temu trzeciemu, który gdzieś indziej ma samotnie stojący sklep lub skład z artykułami kolonialnymi. Po co mam iść do, dajmy na to, Żeligowskiego i jego Kolonii przy Filtrowej, skoro tu mam wszystko. Takich składów, sklepów i sklepików jest tu wprost zatrzęsienie. Na samej Franciszkańskiej masz pan parę sklepów, a obok, na Bonifraterskiej i Nowiniarskiej, są kolejne. Panie aspirancie, oni się nienawidzą jak psy, gdy chodzi o handel, i potrafią grosza rozciągać lepiej niż nasi rodacy z Poznania i Krakowa, ale świństw sobie nawzajem nie robią. Nie mówię, że to nie był Żyd, bo ci też tną kasy i to całkiem po chrześcijańsku, ale kupiec kupcowi tego nie wykręcił. Wiem, bo mieszkam tu od urodzenia. Mój dom jest mieszany, można powiedzieć, że żyję na granicy i powinienem sobie wyrobić paszport - uśmiechnął się przodownik.

- Jestem ostatnim gojem, bo później już tylko Żydzi i Żydzi, i tak aż do Okopowej.

Jednego podejrzanego mniej, pomyślał Denhel, kiwając głową i rozglądając się na boki. Franciszkańska była dość przyzwoitą ulicą, niemal w całości opanowaną przez starozakonnych kupców. Nigdzie indziej nie było tylu firm specjalizujących się w handlu skórami, może dlatego było tu także kilkadziesiąt warsztatów szewskich i sklepów obuwniczych. Przeszli przez Nowiniarską, gdzie tramwaje linii 1 i 4 oraz okólnych O i P skręcały z Franciszkańskiej, by szerokim łukiem minąć sąd okręgowy i klucząc, z boku wpasować się w plac Krasieńskich.



Kamieniczka numer 12, do której szli, była jak młodsza siostra tej oznaczonej numerem 14. Stały one niemal naprzeciw hali targowej, ale to było jedyne, co je łączyło. Budowla nie była szczególnie okazała, niezbyt wysoki parter i dwa piętra, mogła mieć może z tuzin mieszkań, a na dole było miejsce tylko dla dwóch lokali; składu kolonialnego Tenenbaumów oraz cukierni Napoleon Chaima Felda. Cesarz Francuzów, z miejsca pomyślał Denhel, nigdy nie przypuszczał, że jego imieniem jakiś warszawski Żyd nazwie swój słodki geszeft. Słodycze ustawione na wystawie nęciły, ale minęli Napoleona i weszli do przybytku Tenenbaumów. W nozdrza uderzał zapach kawy, herbaty i przypraw oraz owoców i słodczy. Półki uginały się pod pudełkami i paczuszkami, worki stały na ziemi; prawdziwy sezam. Asortyment był ogromny, towary drogie, przez co obrót na pewno zacny, i dlatego złodzieje mogli liczyć na solidny łup.

Dutkiewicz poprowadził aspirantów do wnętrza, gdzie pracowała już ekipa śledcza. Fotograf robił zdjęcia, a sam zastępca naczelnika, nadkomisarz Kurnatowski oglądał rozprutą przez złodziei kasę pancerną. Miał szlachetną twarz o klasycznych rysach, ozdobioną pięknymi wąsami, a bujne włosy zaczesywał do tyłu. Ubierał się ze staroświecką elegancją. Z całą pewnością wyglądał bardziej na literata, profesora uniwersytetu lub doktora, a nie na tego, kim był - największym policyjnym autorytetem liczącego niemal milion mieszkańców miasta.

- Witam, panowie. Piękna robota, jeśli można tak powiedzieć. Nasz polski patent - rak do kas pancernych, narzędzie proste, ale skuteczne, które stawia warszawskiego ślusarza wynalazcę w jednej linii z panami Edisonem i Teslą!

O tym akurat aspirant Karol Denhel doskonale wiedział. Na policyjnym kursie dużo mówiono o wynalazku, który zrewolucjonizował złodziejski fach i napsuł krwi policji, producentom kas i przede wszystkim okradanym. Legendarnym wynalazcą narzędzia, dzięki któremu pruć się kasy z taką łatwością, jakby to były puszki konserw, był ślusarz z Woli nazywany w przestępczym świecie Mongołem. Czy Mongoł faktycznie wymyślił narzędzie do cięcia kas, czy także on był potem twórcą rewolucyjnej metody otwierania ogniotrwałych pudeł za pomocą palników, tego jednoznacznie nikt nie potrafił stwierdzić. Pewne było za to, że ze zwykłego ślusarza Mongoł przeistoczył się w ciągu paru lat w szefa jednej z największych w Warszawie firm przewozowych.

Tak jak nie można mu było udowodnić wynalezienia i produkcji najdoskonalszych kasiarskich akcesoriów, tak nikt nie miał wątpliwości, że wozy i platformy Mongoła ciągnęły najlepsze i najbardziej zadbane konie w mieście. Niektórzy żartowali, że tak kochał konie i tak wybornie się na nich znał, że gdyby tylko chciał, to miałby dobrze prosperującą stajnię wyścigową.

Kurnatowski poklepał okaleczoną kasę i zakończył swój wywód.

- Było tego jakieś dwadzieścia tysięcy. Ładny pieniądz, prawda?

- Ładny dla nas, ale nie dla asów tego fachu - uśmiechnął się Strasburger.

- Chyba że zbierają środki na większy skok - odpowiedział mu Kurnatowski. - A co pan sądzi, panie kolego? - zwrócił się do Denhela.

Od momentu wejścia do środka aspirant Denhel starał się wszystko analizować, ale jak dotąd nie zobaczył niczego nadzwyczajnego. Żadnych śladów, kasa rozszarpana rakami. Czuł się nieco bezradny.

- Robota fachowców, żadnych śladów... - powtórzył własne myśli. - Trzeba solidnie wypytać wszystkich sąsiadów.

- Brawo, słusznie, to rzecz obowiązkowa i już zaczęliśmy przepytować mieszkańców. Najsampierw właściciele, zresztą prawie wszyscy w tym domu to właściciele. - Kurnatowski spojrzał w notatki. - Cypa Edelman, Estera Lewinson, Abram Wilner i Chaskiel Wilner. O, mamy jeszcze jednego Wilnera - Hinda, zarządca domu. Jedenaście lokali mieszkalnych i czterech właścicieli oraz jeden zarządca. - Nadkomisarz się zamyślił. - Dawno nie widziałem takich proporcji. Ale do rzeczy, ja bym raczej liczył na inne informacje, tu raczej nie popełnili błędu, ich rysopisy też niewiele nam pomogą. Teraz mogą się tylko wsypać sami, może ich zgubić pewność siebie, pazerność albo...

- Żarówka - podpowiedział Strasburger.

- Żarówka? - zdziwił się Kurnatowski.

- To nie zna pan naczelnik tego kawału o igrzyskach dla kasiarzy?

Widząc zaskoczenie nadkomisarza, aspirant Strasburger wpadł w swój żywioł.

- Otóż tak! By dowieść, kto jest w tym fachu pierwszy na świecie, urządzono igrzyska dla kasiarzy. Przyjechali sami najlepsi, w tym ma się rozumieć także drużyna z Polski. Nadmienię tylko, że nie delegowano od nas żadnych asów, bo ci mieli konkretniejsze roboty. - Strasburger uśmiechnął się

zadowolony, ale Kurnatowski wyglądał na lekko zniecierpliwionego. - Czempionat zorganizowano w nowoczesnym banku, a w środku zabezpieczonego przez różne systemy alarmowe pomieszczenia postawiono kasę, do której nikt się jeszcze nie włamał. Dodatkowo wyłączano na określony czas światło. Dzentelmeńska umowa była taka, że ten, kto pokona system alarmowy i kasę, zanim się zapali światło, zgarnia gotówkę - sto tysięcy dolarów! Francuzi nawet nie weszli do środka, Amerykanie weszli, ale nie dali rady kasie, inni też się guzdrali za długo i za każdym razem zapalenie światła kończyło ich męki. Nasi wpakowali się w okamgnieniu. Są w środku, zabierają się po ciemku za kasę i jadą. Czas jednak mija i kierownik zawodów włącza światło. Włącza i nic, dalej ciemno. Tymczasem z ciemności dochodzą głosy po polsku: Felek, kurtka na wacie! Zakosiliśmy sto tysięcy dolarów, więc po jaką ciężką cholere musiałeś jeszcze skroić żarówkę za parę groszy?

Denhel jak zwykle ledwo wytrzymał paplaninę Strasburgera i spodziewał się tego samego po naczelniku Kurnatowskim, tymczasem as warszawskich śledczych, którego nie bez podstaw nazywano polskim Sherlockiem Holmesem, wykrzyknął:

- Może trochę przydługa, ale za w swojej wymowie genialna analiza, genialna! - Ku zaskoczeniu Denhela Kurnatowski podszedł do Strasburgera i uściskał mu rękę. - Znakomicie, pan stale robi postępy. Za tą błazenadą kryje się pierwszorzędny materiał na wybitnego śledczego. - To mówiąc, spojrzał na Denhela. - Panie Karolu, nie rozumie pan? Strasburger ma rację, może ich zgubić żarówka!

Karol Denhel stał jak osłupiały, a Konrad Strasburger, mimo obecności naczelnika, czuł się jak szef Urzędu Śledczego.

- Trzeba, by Tenenbaumowie dokładnie się przyjrzeni wszystkim rzeczom, może zginął jaki drobiazg za parę złotych? - ciągnął Strasburger. - Na razie są w szoku, bo trafili ich na dwadzieścia tysięcy, ale to kupcy, co umieją rachować, więc z miejsca wyłowią najmniejszą nawet dodatkową stratę!

Aspirant Strasburger wymachiwał w podnieceniu rękoma jak dyrygent, a nadkomisarz Kurnatowski słuchał tego z ukontentowaniem.

W istocie było jak mówił Strasburger, okazało się, że zginęła paczka z chałwą. Smakołyk przyjechał wprost z Bliskiego Wschodu i nie został jeszcze wstawiony do sprzedaży. Syn właściciela szybko przytargał wraz z pomocnikami skrzynię, z której wyciągnięto pudełka z chałwą. Towar był pierwszorzędny, rzadko bowiem wśród chałw sprzedawanych w sklepach i cukierniach była ta najprawdziwsza sezamowa słodkość, wysadzana gęsto pistacjami. Jeśliby kto nie był koneserem, to i tak rozpoznałby jej unikatowość po pudełkach, w które ją zamknięto. Były charakterystyczne z arabskimi literami i napisem *Halvah Deluxe*. Stary Tenenbaum poszeptał przez moment z naczelnikiem i odliczył dokładnie czterdzieści sztuk.

- Panowie, oto słodki wkład państwa Tenenbaumów w śledztwo - wyjaśnił Kurnatowski. - Trzydzieści opakowań; dla każdego komisariatu po jednym, dla dwudziestu sześciu zwykłych i czterech kolejowych, a te dziesięć dla nas do Urzędu Śledczego. Jutro każdy policjant w Warszawie będzie wiedział, czego i kogo szukać!

Ludwik Kurnatowski zakończył mowę i poszedł na zaplecze omawiać jakieś sprawy z właścicielami sklepu. Wtedy to Denhel zauważył, że w środku był już nazywany Doktorem Watsonem aspirant Daniel Bachrach, prawa ręka Kurnatowskiego i szef brygady fałszerskiej. Bachrach był jak duch, który niemal zawsze pojawiał się przy zastępcy naczelnika Urzędu Śledczego. Był Żydem, dzięki temu mógł się poruszać jak ryba w wodzie w środowisku fałszerzy, które zdominowane było przez starozakonnych. Bez znajomości jidysz w tym światku nic by się nie działo, dotyczyło to zresztą całej masy spraw, z którymi się borykał Urząd Śledczy. Drzwi zamknięto, a w środku zaczęła się ożywiona rozmowa. Jej temperatura była wysoka, lecz mimo to rozmawiano szeptem, a wiele zdań padało w niezrozumiałej dla Karola Denhela żydowskiej mowie.

Nazajutrz Heniek siedział w warsztacie na Wolskiej i rozmawiał ze stryjkiem o interesach i nie tylko o interesach.

- Stefa mówiła, że przychodziła do ciebie jakaś koleżanka - z nieukrywanym zainteresowaniem zapytał Jan Wcisło. - Podobnież panienka z dobrego domu.

- No tak, mam taką znajomą - niechętnie odparł Heniek.

- No i co?

- Co no i co?

- No jak tam teges z tą panienką? - Stryjek był nieustępliwy.

- Żaden teges, znamy się z księgarni.

- Ho ho, z księgarni - zahuczał stryjek. - I co, chodzicie razem po księgarniach i bibliotekach, a jak się zmęczycie, to się

położycie?

- Stryjek wybuchnął na koniec głośnym śmiechem.

Heniek spojrzał na niego z politowaniem.

- Stryjek to chyba powinien maglem zawiadywać, a nie warsztatem - powiedział gniewnie.

- No, kochany, nie unoś się, bo nie ma o co. - Jan Wcisło był wyraźnie rozbawiony.

Heniek w końcu pękł i powiedział stryjkowi prawdę.

- Podoba mi się ta dziewczyna, ale rozumie stryj, jak to jest - nabrał w płuca powietrza.

- No, jak jest?

- Jest tak, jak stryjek mówił, ona jest z dobrego domu.

- No to co, tego kwiatu pół świata - uśmiechnął się zapytany.

- Chyba że jesteś taki jak ojciec, jak już poznał matkę...

- Stryjek, to kiepski temat.

- No, faktycznie kiepski - zachmurzył się Jan Wcisło. - Może papieroska?

Zapalili po egipskim i milczeli wspólnie, siedząc w kantorku ich własnego warsztatu samochodowego. Stryjek postanowił jednak wrócić do sercowego tematu.

- Mówiąc o twoich ojcu i matce, miałem na myśli... - zaczął i zaciągnął się dymem. Wypuścił tytoniową chmurę z ust i dokończył: - Ty nie wiesz, ale na początku nie wszystko było cacy. Twój dziadek, Johann Müller, jak się dowiedział o tym, że mój brat, a twój ojciec chce wziąć jego córkę za żonę, powiedział: „Nie wyjdiesz za jakiegoś brudnego Polaka!”

- Niemożliwe, przecież go ceniał. - Heniek nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Docenił Władka później i to nawet bardziej, ale na początku był przeciw.

Zapadła cisza, spalili po całym papierosie, gdy stryjek zauważył „Kurjera”, który wystawał z kieszeni Heńka.

- Dawaj gazetkę, piszą co ciekawego?

Heniek wyciągnął pismo z kieszeni.

- Nic, masz, stryjek, i czytaj.

Po chwili Jan Wcisło wykrzyknął:

- Jak to nic? Piszą, że zrobili skład kolonialny na Franciszkańskiej. Ale forsa, w sejfie było ze dwajścia tysięcy złotych, rakami go rozpruli, no, no. Ciekawe, kto tak pięknie zarobił?

Ciekawe, pomyślał Heniek. Szanse na to, by znał tych gości, były małe, w Warszawie kasiarzy nie brakowało, ale tylko niektórzy pracowali tak jak on. A Heniek już skończył z tym fachem.

Nie ma o czym myśleć, trzeba się zająć samochodowym interesem. Spojrzał na zegarek, za pół godziny był umówiony z Tasiemką w jego ulubionym lokalu Pod Kogutem.

W Urzędzie Śledczym na Daniłowiczowskiej nie musieli czytać gazet, tam mieli wiadomości z pierwszej ręki i ostatnią rzeczą, która mogła ich dopaść w sobotę 12 listopada, była nuda. Podobnie jak warszawiacy, śledczy ekscytowali się tajemnicą skoku na skład Tenenbaumów, ale nie mogli sobie pozwolić na luksus całkowitego oddania się tej sprawie. Prowadzili przecież śledztwa w kilkunastu innych włamaniach, a ostatnia noc



przyniosła kolejną kasiarską robotę. Złodzieje zrobili kasę w fabryce zegarków przy Okopowej.

- GF okradzione, ale tej sprawy chyba nie robimy! - zarechotał Strasburger. - Budzikom śmierć, raz na zawsze!

To rozbawiło nawet Denhela, bo sam miał budzik firmy GF, który dzwonił na pobudkę, najpierw w czasie roku szkolnego, a później na studiach. Babcia kupiła go, gdy szedł do pierwszej klasy. Na początku był z niego dumny, ale szybko znienawidził brzęczącą puszkę z dwoma dzwonkami. Uwielbiał za to zegar stojący w salonie rodziców. Był piękny, zrobiony z malowanej porcelany, a jego pozytywka wygrywała melodie. Miał ponad trzydzieści lat i sygnowano go jeszcze pełną nazwą firmy: G.F. - Gebrüder Fortwängler. Marka była tak popularna, że nowy właściciel, Anglik Hettich zachował inicjały niemieckich założycieli, a warszawiacy wciąż mówili na fabrykę przy Okopowej zakłady braci Fortwängler.

Naczelnik Kurnatowski, dbając o edukację aspiranta Karola Denhela, przydzielił go do grupy, która prowadziła sprawę w fabryce budzików. Tym razem było za daleko, by iść pieszo. Na Okopową 26 pojechali służbowym autem. Jego cicerone był komisarz Teodor Szuk, który w przeciwieństwie do aspiranta Strasburgera okazał się w czasie jazdy przyjemnie małomówny. Dopiero na miejscu z ożywieniem rozpoczął wykład.

- Pan Kurnatowski zawinszował sobie, żeby pana aspiranta znów trochę poduczyć. Wczoraj miałeś pan robotę rakami, a dziś nowsza technologia. Ta kasa była pruta palnikiem, znaczy się ekipa była większa. Gdyby łup był znaczniejszy, a złodzieje weszli

podkopem, to pomyślałbym, że zorganizował to pan Stanisław Cichocki.

Widząc zdumienie na twarzy Denhela, Sznuk zaśmiał się.

- Oczywiście mało kto tak o nim mówi, najczęściej król kasiarzy albo po prostu Szpicbródka. Złodzieje zrobili jakieś trzydzieści tysięcy. Tacy to pożyją... No, chyba że ich złapiemy. Do roboty - zarządził. - To znaczy, pan aspirant Denhel pracuje, patrząc, co robimy. Uważaj pan i niczego nie zdepesz, a jak już uznasz, że się napatrzyłeś, to coś dla pana znajdę.

Znów upokarzająca rola statysty, ale przynajmniej nie musiał znosić terkotu Strasburgera i nie miał do czynienia z typkami z Cyrku<sup>15</sup> czy półgłówkami pokroju Kazika Szatana. Patrzył na ekipę śledczą, na to, jak bez pośpiechu oglądają kąty, łażą jak kury po podwórku i szepczą jeden do drugiego. Zanim Sznuk znalazł mu jakieś zajęcie, do środka wpadł Strasburger.

- Panie komisarzu, potrzebuję ludzi! To znaczy, pan naczelnik Kurnatowski potrzebuje, jedziemy Pod Koguta związać typa z chałwą!

Heniek mógł złapać tramwaj linii 23, który miał pętlę przy cmentarzu Wolskim, ta linia kursowała jednak dość rzadko, więc przeszedł pod wiaduktem aż do skrzyżowania z Bema. Niedaleko pętlę miała „jedenastka”, więc mógł już liczyć na dwa tramwaje, które powinny go zawieźć pod Kercelak. Jak na złość pierwszy przyjechał numer 23. Po kilkunastu minutach mijając Hrabiaka, zakłady Ursus i Młynarską, dojechał w okolice bazaru. Niedaleko w knajpie Pod Kogutem rezydował Łukasz Siemiątkowski,

nieformalny, ale najprawdziwszy król Woli i Powązek, którego dawni bojowcy z PPS nazywali Ignacem, ale dla całej ferajny był po prostu Tata Tasiemką.

Heniek chciał nie tylko podziękować dawnemu koledze ojca z PPS-u<sup>16</sup> za opiekę w czasie choroby, ale także ustalić z nim dalsze zasady współpracy. Kochajmy się jak bracia, ale liczymy się jak Żydzi, mówiło warszawskie przysłowie. A było co liczyć. Tasiemka, jako bardzo ważna osoba na Woli i jeszcze ważniejsza na Powązkach, wpływał na przedsiębiorców i kierowców, by oddawali swe pojazdy do warsztatu Jana i Henryka Wciśłów. Każdy szoferak sympatyzujący z PPS-em był wręcz zobowiązany do uzdrawiania aut przy Wolskiej, za wiaduktem. Tasiemka i partia mieli z tego procent, Heniek ze stryjkiem robili solidną robotę, więc wszystko się kręciło jak ta lala. Kto smaruje, ten jedzie!

Heniek wszedł do knajpy, był dobrych dwadzieścia minut przed czasem, ale Tasiemka już tam siedział i od wejścia słyhać było jego donośne seplenienie.

- Towazyse, cekam tu na psyjaciela, ale nie będę tak siedział o suchym pysku!

Nim zauważył Heńka, palnął nową kolejkę i zakąsił czymś niezwykłym, jakąś papką o beżowym odcieniu, która kruszyła się w jego brudnych palcach.

- Witaj, przyjacielu naszej rodziny! - powitał Tasiemkę Wciślak i serdecznie go objął.

Przywitany w swoim stylu wałnął go po plecach i zapytał:

- Jadłeś już coś?

- Nie, jeszcze nie.

- No to dawaj, zanim te lebiegi z kuchni coś przyniosą, strzelimy sobie malucha pod słodką papkę!

Teraz dopiero Heniek pojął, co takiego stoi przed Tasiemką. Była to chałwa, którą wydłubywał pieczołowicie z pięknego pudełka z czerwonej blachy.

- Co tu jest napisane, coś po zagranicznemu: *halvah deluxe*?

- Chromol to! - machnął ręką Tasiemka, który, jak się wydawało Heńkowi, nie do końca posiadał sztukę czytania, a już na pewno nie bywał widywany z ołówkiem lub piórem w ręku. - Chromol i tyle, bo ja, Tata Tasiemka, fachowo ci to przetłumaczę z ichniejszego na nasze. Przetłumaczę ci te grube litery i to, co stoi napisane drobnym maczkiem.

Tasiemka rozejrzał się po sali i zamruczał:

- Normalnie żadnego pizpana, żadnego gościa z felernym wzrokiem.

Rozejrzał się raz jeszcze i ryknął:

- Panie starszy, okurały raz!

Pod Kogutem eksplodowała bomba śmiechu, a kelner odkrzyknął:

- Już się robi, panie Tasiemka, mamy dziś księgowego na zapleczu, zara przyniesę panu patrzałki.

Gdy kelner organizował okulary, wzniesiono toast, ale Heniek zorientował się, że to nie Tasiemka był fundatorem. W rogu sali w towarzystwie dwóch dziwek siedział wyglądający na suchotnika typ. Od zwykłej łajzy różniło go ubranie. Łachy nie były jakoś szczególnie wytworne, ale na pewno drogie i krzykliwe. Ubiorem mógł go przebić tylko Tasiemka ubrany we fraczek, sztuczkowe spodnie, kamizelkę i lakierki. Wszystko piękne, ale każdy element

z innej parafii. Z kolei suchy gość miał letni kapelusz ze wstążką, koszulę bez kołnierzyka, kolorową kamizelkę i równie bijącą po oczach apaszkę oraz spodnie w prążki.

Tak jak mój przyjaciel bek<sup>17</sup> mistrzem elegancji to on nie jest, uśmiechnął się w myślach Heniek, ale za to na pewno przy forsie. Stan posiadania podkreślał bowiem stolik zastawiony potężną liczbą butelek wódki no i ma się rozumieć dziwki, których zaangażowanie wskazywało na to, że gość musi dysponować odpowiednią flotą. Do tego stolik zdobiło parę puszek chałwy, którymi typek się zajadał na przemian z serdelkami i salcesonem.

Widząc, że Heniek przygląda się temu zjawisku, Tasiemka poczuł się zobowiązany wyjaśnić, co i jak.

- Raczek, znaczy się Wiesio Nowak, koleżka z Powązek, zrobił geszeft i zajechał świętować w światowym towarzystwie. - Zaśmiał się pod zakręconymi wąsami. - Wódeczkę chętnie wznosi, no i częstuje nas tem zagranicznym smakołykiem.

Seplenienie Tasiemki urwało się jak nożem uciął, ale tylko na chwilę, bo stary bojowiec wciągnął przyniesione przez kelnera na tacy okulary na nos i zaczął „czytać”.

- No to jadziem - stęknął. - Tu stoi napisane, że to luksusowa chałwa, którą specjalnie dla nasz wypichcił jeden Turek.

Po sali poszedł wesoły szmerek.

- A jak się ten Turek nazywa? - rzucił ktoś z odległego stolika.

Tasiemkę wybiło to z rytmu, więc spojrzał groźnie znad okularów.

- Nie bądź ciekawy, bo wsadzisz nos do kawy!

Sala znów gruchnęła śmiechem, a Tasiemka poprawił teatralnym gestem okulary i czytał dalej.

- To znaczy się żony Turka, panie Tureckie narobiły tej chałwy i życzą nam wszystkiego najlepszego, a w szczególności zdrowia, no i... - tu zawiesił głos, spojrzął na zebranych i oblizał się - żebyśmy się nie lenili i czyścili kominy swoim paniom tak dzielnie, jak to robi ich małżonek!

Bywalcy Koguta pokładali się, wydając z siebie rubaszny śmiech, a Tasiemka uciszył ich ręką i jechał dalej.

- I pan Turek też nasz pozdrawia i mówi, że chałwę trzeba bezwarunkowo zajadać, bo po niej... - tu Tasiemka wykonał obsceniczny gest - sterczy jak kolumna Zygmunta! Pamiętajcie, chałwa pomaga jak złoto w charakternym i miłym kontakcie z paniami...

Wystrzeliła kolejna salwa śmiechu, a Tasiemka złapał za tyłek przechodzącą przez salę kucharkę, która z wesołym piskiem uciekła na zaplecze.

- Pomaga chałwa, ale musowo z kropelkami! - kontynuował Tasiemka. - Zdrowie mojego przyjaciela Henryka Wcisły!

W tym momencie drzwi knajpy otwarły się z hukiem, a do środka wpadło kilku tajniaków i mundurowych. Niemal wszyscy ruszyli do stolika, gdzie siedział Raczek, ale jeden, młody gość po cywilu, podbiegł do Heńka i Tasiemki, mierząc do nich z pistoletu.

Z Okopowej 26, gdzie była fabryka zegarów braci Fortwanglerów, do knajpy Pod Kogutem nie było daleko. Autem jechało się tam dosłownie dwie minuty, ale aspirant Strasburger

postarał się, żeby dla Karola Denhela podróż trwała całą wieczność. Nim zdążyli wejść do środka służbowego samochodu, Kornel Strasburger rozpoczął swoją głupią gadkę.

- Pan kolega to prymus szkoły policyjnej? Nieprawdaż?

- Tak - odpowiedź zabrzmiała jak stuknięcie telegrafu.

Strasburger się nie zraził i ciągnął dalej.

- No to znaczy, że do tarczy bije pan z rewolweru jak złoto?

- Trafiam - sucho odpowiedział Denhel.

- No to bardzo dobrze, bo cholera wie, co takiemu bandziorowi strzeli go głowy.

- Nie strasz pan, nie strasz - uspokajającym tonem przemówił nadkomisarz Kurnatowski. - Raczek to kasiarz, głupi, ale jednak kasiarz.

- To właśnie on zakosił chałwę u Tenenbaumów, baliśmy się, że zeżre, zanim go dorwiemy, ale ten głupek bawi się już od wczoraj. Najpierw nakupował ciuchów, a później zaczął śmigać po knajpach i częstował dziwki chałwą. Rano donieśli nam o tym nasi informatorzy. Zanim zdecydowaliśmy, jak go znaleźć i których agentów dać na obserwację, sam się znalazł. Jak tylko wstał koło południa, od razu pozełgował Pod Koguta. Tam dalej pije wódkę i zagryza chałwą.

- To dlaczego go aresztujemy? - zdziwił się Denhel. - Nie lepiej założyć mu obserwację i dojść za nim do jego kumpli?

- Słusznie, ale teraz to już strata czasu, bo i tak wiemy, z kim robił skok - wyjaśnił Kurnatowski.

- Jak to? - zdziwił się Karol Denhel.

- Jak pan pewno wiesz, pan naczelnik stworzył najdoskonalszą kartotekę przestępców w Polsce. - Z zapalem lizusa poinformował

go o oczywistej oczywistości Strasburger. - A w tej kartotece stoi, że Raczek ma brata złodzieja mądrzejszego niż on sam, ale nie na tyle mądrego, by nie puścić braciszka kantem.

- Jest sentymentalny - zaśmiał się Kurnatowski. - Wiadomo, że jak Raczek bierze udział w robieniu kasy, to tylko ze swoim młodszym bratem. Raczek nazywa się tak naprawdę Wiesław Nowak i mieszka na Powązkach, a jego o dwa lata młodszy braciszek to Wicek. Wiesiu to może i głupia pała, ale jednak fachura, bo mało kto tnie kasy jak on. Na Powązkach jest kilka kasiarskich klanów, polskich i żydowskich, ale w robocie rakami, w pruciu pudeł, on jest tam jeden z najlepszych, zresztą nie tylko tam. Wszystkim jednak kieruje brat, Wicus jest mózgiem, a Wiesiu Raczek rozbija sejfy i kasy.

- Druga ekipa już pojechała do ich domu i tam będzie czekać na wystawcę<sup>18</sup> - dorzucił podniecony Strasburger.

- W zasadzie żadna filozofia, bo na bank wiemy, kto ich wprowadził do składu - spokojnie ciągnął Kurnatowski. - Sąsiadem Nowaków jest Berek Figlant, który robi za pomagiera u Tenenbaumów. Sprawa jasna, a klucz do jej rozwiązania leżał w złodziejskich błędach - podsumował naczelnik.

- Żarówka, a nie mówiłem. - Strasburger cieszył się jak dziecko. - Ależ ich gubi głupota, zwinąć coś za tysiące, a wpaść na gównie za grosze!

- No i jeszcze ta zabawa - dodał Kurnatowski. - Złodziejska profesja schodzi na psy!

- Na psy, ale nie na *hinty*<sup>19</sup> - zaśmiał się Strasburger. - Bo gdyby oni się nie bawili, to nam nie byłoby wesoło!



- Na psy, ale nie na hinty, bardzo zgrabne, bardzo zgrabne, panie aspirancie - podsumował naczelnik Kurnatowski, gdy zbliżali się już do drzwi lokalu.

Kręcący się koło knajpy wywiadowca po cywilu podszedł do nich i zameldował.

- Panowie, Raczek siedzi z dwiema dziewczynkami przy stoliku w lewym rogu. Obejrzyjcie go sobie.

Zajrzeli ostrożnie przez okno.

- Mizerny ten nasz Szpicbródka z Powązek - rzucił Strasburger.

- Ani klasy, ani bródki, ani postury i prezencji - zaśmiał się Kurnatowski. - Za to dziewczynki, co z nim siedzą...

- Eeeee, panie komisarzu - skrzywił się Strasburger. - Szpic ma takie artystki w swoich teatrzykach, że na te dwie by nawet nie spojrzął.

Ludwik Kurnatowski się nieco stropił, ale nie zdążył przywołać do porządku podwładnego, bo właśnie podjechało drugie auto, z którego wysiadło czterech mundurowych. Denhel w końcu mógł się dopchać do okna, zajrzał i... Tak, w sali był on! Henryk Wcisło. Z zamyślenia wyrwały go słowa komisarza.

- Panowie, przypominam, że interesuje nas tylko Raczek - instruował policjantów Kurnatowski. - Wywiadowca nasiedział się tam dość, by się zorientować, że nie dostaniemy w gratisie żadnego jegomościa poszukiwanego listem gończym. - Naczelnik zrobił pauzę i unióśł w górę dłoń z wyciągniętym palcem. - Dlatego, panowie, wszyscy idą do stolika z Raczkim, wszyscy oprócz aspiranta Denhela oraz posterunkowych Kocha i

Wacławczyka. Ta trójka pilnuje sali, na wypadek gdyby ktoś chciał udzielić zatrzymanemu pomocy. Wchodzimy!

Kurnatowski dał znak ręką i policjanci wbiegli do środka.

W gospodzie Pod Kogutem zakotłowało się. Bywalcy zbaranieli, jeden z kelnerów wypuścił tacę, na której stały ćwiartka, kieliszki oraz syfon z wodą, dziwki przy stoliku Raczka piszczały, a sam Raczek nieudolnie próbował dać nogę. Szarpał się i wyrywał, ale ręce policjantów usadziły go błyskawicznie.

- Dawać bransoletki - zaordynował Kurnatowski.

Nim wybrzmiał głos komisarza, kasiarz był już skuty. Heniek widział to wszystko kątem oka, bo jego uwagę skupiał młody glina, który celował do niego i Tasiemki z rewolweru.

- Nie ruszajcie się, ręce do góry! - krzyknął gniewnie policjant.

Na Tacie Tasiemce, wykonującym wyroki na szpicli, co siedem lat temu czekał w cytadeli na wykonanie wyroku śmierci, nie zrobiło to większego wrażenia. Denhel zatem powtórzył: - Ręce do góry!

- Bo co? - Tasiemka patrzył ciekawie w wylot lufy, jakby to była dziurka od klucza, a po jej drugiej stronie siedziała rozneglizowana dama. - No pytam się, o co się rozchodzi? - ciągnął spokojnym głosem, po czym wziął kęs jedzenia, które spokojnie przeżuł. - Ciekawy jestem, co to za draka, bo widzę, że jakiś młodziak stoi z pukawką i to nawet z odbezpieczoną. Umiesz się tym posługiwać, chłopaku, czy może buchnąłeś staremu z biurka i za chińskiego boga nie wiesz, co z tym zrobić?

Heniek siedział koło Tasiemki i po chwili pierwszego szoku starał się uspokoić. Wszyscy pobiegli do Raczka, tylko tego picusia zwiało do ich stolika. Młody policjant był spięty i wyraźnie wkurzony słowami Tasiemki, a ten ciągnął dalej.

- Możesz mnie pan powiedzieć, czemu mam nagana pod nosem?

- Chałwa, jecie chałwę łobuzy! - wypalił tajniak z naganem.

- Wszyscy jedzą, a co, to teraz zakazane? - zapiał Tasiemka i rozbawiony swoimi słowami zarżał niczym koń, a jego śmiech błyskawicznie rozszedł się po knajpie. - Spróbuj pan, panie policjancie, bo to pierwszorzędny smakołyk, chyba że pierw musisz pan poprosić o pozwolenie szanownej mamusi.

Karol Denhel czuł, jak czerwienieje mu twarz, bo reszta zgromadzonych, w tym, o zgrozo, kilku policjantów, śmiała się do rozpuku. Wesoło nie było tylko Raczkowi, który skuty, w kajdankach opuszczał lokal w asyście dwóch mundurowych. Heniek zauważył, że inny posterunkowy szeptał coś do ucha starszemu tajniakowi, wyglądającemu na kierownika całego zamieszania. Po chwili szef policjantów podszedł do trzymającego ich na muszce młodziaka i powiedział:

- Utrudniali pojmanie Nowaka?

- Nie, panie komisarzu.

- To daj pan spokój, idziemy. Nasz ptaszek schwytyany i zabieramy go do klatki.

Młody gliniarz z ociąganiem schował rewolwer i na odchodnym rzucił spojrzenie, które zdawało się mówić: Zabiłeś mi matkę i ojca, ale ja cię jeszcze dorwę.

O co się mogło rozchodzić, gdzie oni się wcześniej spotkali, jak mu nastąpił na odcisk, zastanawiał się Heniek. Na pewno gość świeży w fachu i po prostu się zagotował. Młodego policjanta przesłonił przodownik w mundurze, który podszedł do stolika i zasalutował.

- Przepraszam szanownych panów za nieporozumienie!

Strzelił obcasami, raz jeszcze przyłożył palce do daszka i na odchodnym rzucił szeptem:

- Naprzyjmowali młodych śledczych, co to na kaka duciu jeszcze gadają, więc skąd taki szczeniak ma wiedzieć, kto to jest Tata Tasiemka. Szanowanie, panie Siemiątkowski.

Tasiemka odmachnął mu ręką i wzniósł toast tak, by słyszał go jeszcze Raczek.

- No to, sianowne towarzystwo, zdrowie koleżki, co dziś tak pięknie stawiał. Pozdrowienia do więzienia!

Mundurowi i pomagający im Strasburger odjechali w dwa samochody na Daniłowiczowską, Kurnatowski szedł z Denhelem do dorożki.

- Panie aspirancie, co pan wyprawia? Sytuacja pana przerosła, napięcie, nerwy? Przecież był pan na wojnie, o co chodzi?

Twarz Kurnatowskiego, zwykle spokojna, tym razem wyrażała irytację, tymczasem mina Denhela nie wyrażała niczego. Czuł się jak wtedy, gdy oficer żandarmerii beształ go za to, że się cacka z zatrzymanymi, że ma jakieś wątpliwości, że jest studencikiem, który chce się zadekować, uniknąć prawdziwej wojny. A to, co robili w żandarmerii, bywało gorsze niż to, co działo się na linii

frontu. Tam trzeba było się nauczyć, by być szybszym od uzbrojonego przeciwnika, a tu jak uderzyć bezbronnego karabinową kolbą.

- Zobaczyłem na stoliku chałwę, w pudełku identycznym jak te od Tenenbaumów - zełgał aspirant.

- Mówiliśmy przecież, jak ma wyglądać akcja, tak czy nie?

- Tak jest, panie komisarzu - przytaknął z wymuszonym entuzjazmem młodego służbisty.

- Tak jest, tak jest - przedrzeźniając Denhela, odpowiedział naczelnik. - Powiem coś panu, gdyby to była inna sytuacja, tobym się postarał o to, żeby pana odstawić na jakiś miesiąc, a może i dwa, na boczny tor. Napadłeś pan na Łukasza Siemiątkowskiego, Tatę Tasiemkę, człowieka, który jest na Woli niezwykle wpływowy. Nie tylko zresztą na Woli, nawet pan nie zdajesz sobie sprawy, kogo on zna! To były bojowiec, szycha w PPS-ie, nadepnął pan na odcisk człowiekowi, którego znają Wieniawa, Sławek, panowie z „dwójki”, ludzie z ratusza i sam jeden Bóg wie, kto jeszcze. Ale nie o to chodzi, tylko o to, żebyś pan pamiętał, że jesteś za młody, by nie słuchać przełożonych, na to mogą sobie pozwolić stare wygi.

Karol Denhel zagryzł wargi i kiwnął głową, że rozumie słowa komisarza. Wsiedli do dorożki i w czasie dwudziestu minut jazdy do Urzędu Śledczego nie odezwali się do siebie ani razu. Nadkomisarz Ludwik Kurnatowski czytał gazetę i palił cygaretkę, a on, upokorzony, w ciszy przegryzał swoją porażkę.

To wszystko przez niego, to przez Henryka Wcisłę, myślał, rzucając na swojego adwersarza najgorsze klątwy. Przez tego niewydarzonego elegancika nie tylko podkopał swoją silną pozycję

prymusa szkoły policyjnej i wschodzącej gwiazdy Urzędu Śledczego, ale się spalił na popiół. Wcisło musiałby być niewidomy albo niedorozwinięty, by nie zapamiętać go po tym, jak był trzymany na muszce rewolweru. Teraz ten przybłęda rozpozna go wszędzie, a nie daj Boże stanie się to w obecności Leokadii. Do tej pory śledził ją, starając się zachować dyskrecję. Teraz musi uważać na dodatkową parę oczu.

## VIII

### ZAGUBIONA BARONÓWNA

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, piątek 1 stycznia roku 1926*

*Skończył się rok 1925. To dobrze, bo to był dla nas bardzo niedobry rok. Zabrał nam mamusię i o mało nie zabrał Henia. Ranek zaczęłam od modlitwy, poszłam z babcią do kościoła na mszę, a po jej zakończeniu prosiłam Pana Boga o więcej szczęścia dla naszej rodziny i jeżeli ktoś ma odchodzić, to tylko tak jak mój braciszek przed Gwiazdką. Henio znalazł sobie mieszkanie i wyprowadził się od nas. Szkoda, ale wcześniej już tak bywało. Nie tak dawno mieszkałam przecież z mamą i babcią na Wolskiej, a Heniek na Młynarskiej. Kiedyś i ja będę mieszkała sama, oczywiście jak pokończę szkoły i dorosnę.*

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, piątek 1 stycznia roku 1926*

*Dziś Nowy Rok, rok zmian. Na pewno dla mnie, na pewno dla ziemian. Rodzice bawili się na sylwestrowej zabawie ze swoimi przyjaciółmi z Kresów. Byli w fatalnych nastrojach, bo 28 grudnia uchwalono reformę rolną. Największe majątki będą parcelowane. Największe, to znaczy te, które na Kresach mają więcej niż trzysta hektarów, a w reszcie kraju sto osiemdziesiąt hektarów.*

*Ziemiom i tak zostanie mnóstwo ziemi, ale przyjaciele rodziców cierpią, jakby zostali sprowadzeni do roli fornali albo małorolnych. Przyszli do nas na obiad jeszcze w starym roku. Nie mogłam znieść ich towarzystwa, pokrzywdzonych biedaków, którzy mieli ponad pięćset hektarów i mieszkali w Bristolu. Trudno, następnym razem zatrzymają się we Francuskim albo w Savoyu. Działa mi takie nadęte towarzystwo na nerwy, może dlatego Henio jest mi tak bliski.*

Od kilkunastu godzin był już nowy, 1926 rok. Karol Denhel, jak wielu młodych policjantów, dostąpił wątpliwego zaszczytu pracy nie tylko w Boże Narodzenie, ale i w Nowy Rok. Święta przeszły spokojnie, złodzieje się nakradli wcześniej, więc podobnie jak uczciwi obywatele oddawali się odpoczywaniu. Co innego w Nowy Rok, zabawy sylwestrowe zawsze przynoszą stróżom prawa sporo pracy. Zaraz po wejściu do Urzędu Śledczego Denhel natknął się na Strasburgera.

Ładnie się ten rok zaczyna, pomyślał.

- Do siego roku - przywitał się grzecznie aspirant Strasburger.

- Dziękuję, do siego - niemniej grzecznie odpowiedział Denhel, czekając na to, co nieuchronne. Nie miał wątpliwości, że Kornel



Strasburger uczci pierwszy dzień nowego roku jednym ze swoich kawałów. Chciał już to mieć za sobą, tymczasem Strasburger odwlekał tę straszną chwilę.

- Gdzie się pan bawił? - zagadnął uprzejmie.

- U przyjaciół - z wymuszonym uśmiechem odpowiedział Denhel.

- Zabawa zapewne była przednia?

- Jakby pan przy tym był. - Tym razem uśmiech nie był już tak szeroki, a Karol Denhel czuł, że chyba będzie sobie musiał poluznić kołnierzyk.

Wspomnienie ostatniej nocy nie było mu specjalnie miłe. Wraz z Elizą Okołowicz, co coraz mocniej się przywiązywała do jego osoby, został zaproszony na zabawę, w której wzięła udział także Leokadia Rostocka. Była sama, bez tego Wcisły, i nawet mu się udało zamienić z nią kilka słów, ale gdy się zbliżyła północ i wznoszono szampanem toast, ona nagle zniknęła. Leokadia wyslizgnęła się z przyjęcia i po półgodzinie wróciła, z zaczerwienionymi od mrozu i emocji policzkami.

Musiała wyjść do niego! Czekał gdzieś na nią, jak spiskowiec. Ba, spiskowiec, to przecież był złodziej, który coraz bezczelniej i coraz skuteczniej dobierał się do jego skarbu. Ktoś zapytał ją, gdzie była, a ta, bez wahania, odpowiedziała, że poczuła się trochę gorzej i postanowiła się przewietrzyć. Karol Denhel był człowiekiem ambitnym, pewnym swej wartości i nieczęsto przyznającym się do błędów. Tym razem jednak uznał, że pierwszą rundę w nowym 1926 roku wygrał Henryk Wcisło, co więcej, nie było to przypadkowe zwycięstwo.

Człowiek, który na początku wydawał mu się tylko sprytnym fircykiem z przedmieścia, z każdym dniem jawił się jako coraz silniejsza postać szemranego świata Warszawy. Z jednej strony cieszyło go to, bo dawało nadzieję, że lista paragrafów, które na niego znajdzie, będzie równoznaczna z posłaniem typa do kryminału i to na długie lata. Ale każdy kij ma dwa końce. Łobuza, który był nie lada jakim przestępcą, trudniej było schwycić w sieć niż zwykłego szmondaka. Wychodziło na to, że Wcisło był nie tylko zasobnym i szykownym cwaniakiem, ale także człowiekiem ze znajomościami.

Pierwszą, o której z miejsca się dowiedział, był kapitan Juliusz Beniowski, dwójkarz, a więc postać nie byle jaka. Później się okazało, że widziano go kilka razy w towarzystwie niejakiego Mieczysława Kosiorka, zamieszkałego na Grochowie szofera i posiadacza firmy transportowej. Dwa auta, które ów Kosiorek posiadał, nie woziły zwykłych klientów, lecz samego Szpicbródkę. „Dwójka”, towarzystwo kasiarzy i na dodatek jeszcze ten cały Tata Tasiemka. Wyglądający jak cyrkowiec typ był największym bezczelem, jakiego spotkał, wszak gdy wyszarpnął w jego kierunku nagana, tamtemu nie drgnęła nawet powieka, a w lufę patrzył jak w lunetę czy kalejdoskop. Zajrzał do środka, jakby chciał policzyć, ile razy zakręca gwint w lufie, a później znów się skupił na jedzeniu, tak jakby codziennie ktoś mierzył do niego z rewolweru! Nawet Wcisło przez moment czuł się zaniepokojony, ale szybko się opanował.

Już jego zachowanie było niezwykle, bo przeważnie na widok broni i okrzyk „Ręce do góry” ludzie wpadają w panikę; niektórzy bledną, jedni krzyczą, a drudzy milkną, tracąc język w gębie. Nie

brakuje też takich, którzy bezwiednie oddają mocz lub mdleją ze strachu. Tymczasem Wcisło bardzo szybko się pozbierał, co świadczyło o tym, że bywał już w takich sytuacjach, a ten cały Tasiemka nawet przez moment nie dał po sobie poznać, że czuje się zagrożony.

Później ta przemowa Kurnatowskiego w dorożce, o tym, kim to ten Tasiemka nie jest i kogo nie zna. To była prawda, Łukasz Siemiątkowski znał wielu i mógł wiele, ten były konspirator, egzekutor i przywódca partyjny znakomicie pasował do tego, aby uzupełnić figury rozstawione na szachownicy życia Henryka Wcisły. Nie ulegało wątpliwości, że był on otoczony kręgiem niezwykłym i budzącym najwyższą czujność, ludźmi, których trudno jest ruszyć. Z pewnością jednak, tak jak w prawdziwych szachach, między figurami są pionki, których zabicie jest kluczem do sukcesu. Dopiero gdy się wyczyści z nich szachownicę, można się dobrać do figur, a na koniec dać mata królowi. Tak właśnie robi, znajdzie pionki z otoczenia Wcisły i niszcząc je, wygra partię.

- A damy? - z zadumy wyrwało go kolejne pytanie Strasburgera.

- Damy?

- No, damy, panie kolego. - Kornel Strasburger uśmiechnął się szeroko. - Damy, kobiety, dziewczęta... - Zawiesił na koniec głos, po czym się zaśmiał niezbyt elegancko. - No wiesz pan, dzierlatki chcące poznać swego pierwszego kawalera, panny na wydaniu szukające szczęścia, mężatki szukające odmiany i odrobiny romantyzmu, niekoniecznie zresztą pozbawionego zmysłowości, i wreszcie wdowy z niewygasłym entuzjazmem!

- A dziękuję, damy były ozdobą naszej zabawy. - Denhel skłonił się lekko i z galanterią, a Strasburger z szelmowską miną mrugnął okiem.

- Oj, duma pana rozpiera, panie kolego - szepnął. - Ale i u mnie damulki były prima sort!

Tak, w rzeczy samej rozpierała go duma, bo walczył o miłość swojego życia i najcudowniejszą kobietę świata, mając u boku niczego nieświadomą Elizę Okołowicz. Gdyby Strasburger ją zobaczył! Naprawdę była piękna, ale cóż... Karol musiał przyznać, że sprawiało mu pewną satysfakcję, gdy panna Okołowicz czyniła mu coraz poważniejsze awanse, a po kilku kieliszkach wina wypitych podczas sylwestrowej zabawy zaczęła go zaskakiwać poufałością i śmiałością. Niestety, jego serce i dusza należały do Leokadii Rostockiej.

- Oj, rozmarzył się pan, panie Karolu - zaśmiał się Strasburger - ale i ja nie krzywdowałem sobie tej nocy. - Mówiąc to, przeciągnął się po prostacku. - Skoro mówimy o paniach, to przypomniał mi się dowcip w sam raz pasujący do okoliczności.

A więc stało się! - pomyślał Denhel. Strasburger zaczyna odgrywać swój kabarecik.

- Do żydowskiego bogacza barona Rozenkrantza zapisał się na posłuchanie jakiś odsztafirowany typek. Od gościa na kilometr wiało kutym na cztery nogi cwaniaczkiem, ale w prośbie o spotkanie napisał, że wie, jak wykorzystać pieniądze Rozenkrantza do zrobienia wspaniałego interesu. Interes to interes, więc bogacz przyjął go zaciekawiony tym, jak można pomnożyć fortunę. Miglanc się melduje w gabinecie i od wejścia roztacza cudowne widoki.

- Panie Rozenkrantz! Jest piękny interes do zrobienia, interes piękny i szybki!

- A ile można zarobić? - zapalił się Rozenkrantz.

- Po pół miliona złotych i to na poczekaniu!

- Opowiadasz pan!

- Tak, panie baronie, po pół miliona, i pan, i ja, dosłownie w jednej chwili!

- To piękny grosz, więc gadaj pan, jak pan chcesz zrobić ten interes!

- Podobno pan baron wydaje za mąż córkę i w posagu daje okrągły milion. - Baron kiwnął głową, że tak. - Przeplącasz pan, jak zostanę pańskim zięciem to wystarczy mi, że córka będzie miała w tym posagu tylko pół miliona!

- Nawet zabawne - z pewną niechęcią przyznał Denhel.

- Zabawne i prawdziwe - zaśmiał się Strasburger.

- Co pan opowiada?

- Ja nie opowiadam, ja pana zapraszam do pierwszego zadania w nowym roku. Jesteś pan pierwszorzędnie obyty w wielkim świecie, więc idealnie pasujesz pan do tej sprawy - powiedział do coraz bardziej zaskoczonego Denhela. - Nie rozsiadaj się pan, bo się zabieramy z wizytą do barona Leopolda Grunshilda.

- Do Grunshilda? - To nazwisko doskonale znano w Warszawie.

Finansista Leopold Grunshild był głośną postacią i mówiło się o nim, że ma ambicje stać się równie wielki jak Kronenbergowie i Wawelbergowie.

- Tak, do Grunshilda! Widzisz pan, jaki przyjemny początek nowego roku, jedziemy na salony, a nie do sprutej kasy!

- Ale czemu? Coś mu ukradziono?
- Coś najcenniejszego, największy skarb!
- Czyli...
- Tak, dokładnie tak, skradziono mu córkę!

Denhel słuchał tego jak jakiejś bajki, ale patrząc na coraz poważniejszą twarz aspiranta, nabierał przekonania, że żarty się skończyły.

- Co się stało, ktoś ją porwał?

- Wygląda na to, że tak właśnie było! Może się okazać, że jeszcze przed wydaniem panny za mąż posag trafi szlag, bo bandyci mogą zażądać za jej uwolnienie prawdziwej fortuny.

W drodze w Aleje Ujazdowskie, gdzie Grunshildowie mieli swoje warszawskie mieszkanie, Strasburger objaśnił Denhelowi, co się stało. Leopold Grunschild, którego pradziad Pinchas zrobił majątek, dziad Samuel pomnożył go i się ochrzcił, a ojciec Zygmunt, robiąc kolejne pieniądze, kupił w Wiedniu tytuł, miał żonę Elżbietę z domu Niekłańską, piękny majątek i nie mniej piękną córkę Krystynę. Panna chodziła do szkół, chowana była pod kloszem i nie brakowało jej niczego, chyba że ptasiego mleka. Była jedną z najlepszych partii w mieście, a kawalerowie ze znakomitych rodzin nie mogli się doczekać, aż siedemnastolatka pokaże się nie tylko na salonach. Krysia uchodziła za niezwykle skromną panienkę i trzymano ją krótko, ale nawet w najszlachetniejszym murze pojawia się dziura. Pannie Krysi zawrócił w głowie jakiś typek poznany w teatrze i wystarczyła ta jedna chwila, by zmienić w jej życiu niemal wszystko.

Ten sprytny i niewątpliwie wytrwały adorator nazywał się Konstanty Rudziński i miał rozległe znajomości. Dzięki nim

błyskawicznie wcisnął się na salon barona Grunshilda, a osobą, która go wprowadziła, był znany i szanowany mecenas Wacław Lorenz. Leopold Grunshild zwrócił uwagę na tego człowieka, dobrze ubranego, akuratnego, grzecznego i robiącego na jego córce kolosalne wrażenie, postanowił więc... nie zapraszać na następny wieczorek mecenasa Lorenza.

Minęły dwa tygodnie i na kolejnym spotkaniu w salonie Grunshildów Rudziński pojawił się jako znajomy Hipolita Duponta, asa wśród przedsiębiorców z branży włókienniczej. Baron postanowił więc nie zapraszać także Duponta, ale ów Rudziński miał niespożyte siły i nieskończone, zdawało się, znajomości. Kolejnym razem przyszedł jako towarzysz słynnego tenora Ludwika Gocłowskiego. W ten sposób na jakiś czas skończyły się lubiane i cenione przez warszawską socjetę spotkania u Grunshildów.

Nie chcąc nakazywać gościom, z kim mają do niego przychodzić, baron Grunshild zawiesił następną herbatkę, wymawiając się niedyspozycją żony, później przyszły wakacje i zdawało się, że problem jest z głowy. Nadzieje barona okazały się płonne. Córka, jak wykazało przesłuchanie służby, wymieniała z owym Rudzińskim liściki i, o zgrozo, miała z nim potajemne schadzki!

Słuchając tego, Karol Denhel czuł, że mimo styczniowego mrozu poci się, jakby był środek lata, znał przecież podobną historię...

Leokadia Rostocka kochała swoich rodziców, ale nienawidziła sytuacji takich, jak pierwszy w nowym roku rodzinny obiad. Było sympatycznie, a na stole smaczne potrawy, ale idylla trwała tylko do czasu. Matka znów zaczęła ją zachęcać do jedzenia, jakby Leokadia była malutką dziewczynką, a później przy deserach pojawiły się pytania o zabawę u Patrycji Ponińskiej. Było to pierwsze takie wyjście Leokadii, więc matka była tym poruszona, zadbała zresztą o każdy szczegół, nawet o wysłanie na godzinę pierwszą zaufanej dorożki.

- Było cudownie, mamusiu, po prostu cudownie - Leokadia z wyczuciem grała swoją rolę. - Wyjątkowe tańce, dobre jedzenie, no i oczywiście szampan. - Widząc, że rodzicielka chce zadać jakieś pytanie, próbowała odsunąć ją od tego zamysłu. - Szampana tylko jedna lampka, bo piliśmy lemoniadę - uśmiechnęła się. - A towarzystwo - z całą pewnością uprzedziła kolejne pytanie - było po prostu doborowe, wiele młodzieży uniwersyteckiej, podchorążowie, był też jeden literat...

- A czy był syn państwa Denhelów? - matka zdołała dojść do głosu.

- Był, oczywiście, że tak. Pan Karol to bardzo miły człowiek.

W istocie okazał się miły i nawet z nim rozmawiała, ale gdyby nie pytanie matki, to już by o tym nie pamiętała. Kiedyś Karol Denhel nawet jej się podobał, bo różnił się od pozostałych młodzieńców, ale nawet nie zdążyła się nim poważnie zainteresować, gdy w jej życie wkroczył Heniek Wcisło. To spotkanie o północy na pustej ulicy wspominała z sylwestrowej nocy najgoręcej, to i tylko to, nic innego.



- A co ci się podobało najbardziej córeczko? - matka bez pardonu wdarła się w jej myśli.

- Patefon, mamusiu - odparła Leokadia. - Piękny, nowy i z wielką tubą. Muzyka brzmiała tak naturalnie i czysto, a do tego były wspaniałe płyty przywiezione z zagranicy, prosto z Paryża!

- Ach tak?

Tak, pomyślała Leokadia. Był jazz, wspaniała, dzika muzyka czarnych, były tańce, których unikała, bo nie chciała tańczyć z nikim oprócz Heńka, a potem była chwila uniesienia i... niespełnienie. Czemu jej nie pocałował, czemu? Była na to gotowa, pragnęła tego pocałunku. Myślała, że jest w nim więcej szaleństwa, tymczasem okazał się odpowiedzialny. Nie porwał jej i nie pocałował, ale prędzej czy później to się stanie!

Mimo świątecznego rozkładu jazdy tramwajów śledczy szybko dojechali na miejsce, czyli na przystanek położony między placem Trzech Krzyży a Wilczą. Wysiedli z jedyńki, uszli kilkanaście kroków w kierunku kamienicy przy Ujazdowskich 35, w której mieszkali Grunshildowie, i usłyszeli wołanie:

- Halo, panowie!

Spojrzeli za siebie i zobaczyli, jak z podjeżdżającej od strony Nowego Światu dorożki wysiada naczelnik Kurnatowski.

Jak to jest, że on zawsze zjawia się tam, gdzie się dzieje coś ważnego, pomyślał aspirant Denhel. Zanim zdołał odpowiedzieć sobie na pytanie, Kurnatowski był już przy nich.

- Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, panie naczelniku - wyrwał się Strasburger. - Samych wspaniałości panu życzę!

- A dziękuję panom, dziękuję - odparł Kurnatowski, gładząc słusznych rozmiarów wąsy.

- Pan naczelnik ubrany w sam raz na wizytę do pana barona - zauważył Strasburger.

W rzeczy samej, Kurnatowski prezentował się wytwornie, lakierki, frak i cylinder czyniły go nawet w ten świąteczny dzień arbitrem elegancji.

- No niekoniecznie, drogi panie, niekoniecznie - z niezadowoleniem zauważył zastępca naczelnika Urzędu Śledczego. - To ubiór, który przygotowałem na wyjście na koncert noworoczny, a nie na wizytę w środku dnia.

- Ale wygląda pan elegancko! - Strasburger nie ustępował i trzymał się swojego zdania.

- Raczej niestosownie - niespodziewanie wtrącił się Karol Denhel. - To strój na wizytę wieczorową porą.

Miał rację, ale sądząc po minie, jego uwaga nie do końca ucieszyła nadkomisarza Ludwika Kurnatowskiego.

- Idziemy, panowie, do domu duchów!

Czemu dom duchów? Denhel miał ochotę zapytać, ale nie chciał drażnić Kurnatowskiego. Strasburger nie miał takich oporów.

- Dom duchów?

- Tak, dom duchów, panowie, kiedyś popełniono tu zbrodnię. Nigdy nieodkryty sprawca zamordował bankiera, który... hm, jak by tu powiedzieć, był ubrany dokładnie jak ja w tej chwili! - Kurnatowski zaczął się głośno śmiać. - Ale ja w duchy nie wierzę, podobnie Grunshild, choć być może po tej historii...

- Czy to porwanie?

- Wszystko na to wskazuje, panowie.

Drzwi eleganckiego apartamentu otworzył policjantom lokaj, po czym wziął ubrania i zaprowadził ich do salonu, gdzie oczekiwał baron. Był zadbanym, dostojnie wyglądającym mężczyzną.

- Witam panów, czy rzeczywiście mam przed sobą słynnego inspektora Kurnatowskiego?

- W rzeczy samej, z jednym tylko drobnym szczegółem - z grymasem wymuszonego śmiechu powiedział naczelnik. - Nie przeczę, moja reputacja wykracza poza nasze miasto, ale jestem tylko nadkomisarzem. - Ludwik Kurnatowski podał rękę baronowi.

Denhel patrzył uważnie na twarz naczelnika, był ciekaw jego reakcji, bo słyszał, że od dawna czekał na nominację na wyższy stopień.

- To niesłuchane, niesłuchane. - Baron kręcił głową. - Taki mózg, taki autorytet, nasz Sherlock Holmes. To w takim razie kto jest w naszej Polsce inspektorem?

- To nieważne, panie baronie, jestem za to zastępcą naczelnika Urzędu Śledczego. Dziękuję za te słowa, panie baronie. - Teraz dopiero Denhel zobaczył, że Kurnatowski zdradza jednak pewne oznaki irytacji. - To dla mnie honor poznać pana, choć szkoda, że w takich okolicznościach. Jak słyszałem, sprawa jest poważna, więc postanowiłem osobiście wesprzeć moich młodych śledczych. Pan baron pozwoli: pan aspirant Kornel Strasburger i pan aspirant Karol Denhel. Niech pan opowiada, co się stało.

Baron Grunshild opowiadał więc o tym, o czym już Strasburger i Denhel doskonale wiedzieli. Ludwik Kurnatowski

wysłuchał barona i błyskawicznie zarządził:

- Trzeba natychmiast odnaleźć panów Lorenza, Duponta i Gocłowskiego!

- Panie komisarzu, już wysłałem do nich gońców - odparł baron.

- Brawo, brawo, brawo. - Kurnatowski zaklaskał w dłonie. - Jest pan baron prawdziwym człowiekiem czynu, wielu by się załamało, a pan działa. Gratuluję przytomności umysłu, już wiem, jak pomnożył pan swój majątek!

- Mój majątek przepadł, drogi panie - patetycznym tonem odparł Leopold Grunshild. - Mój majątek... nasz - poprawił się, widząc wchodzącą żonę - to Krystyna...

- Odnajdziemy ją, gwarantuję to panu! - w niemniej patetycznym tonie i przyjmując pomnikową postawę odpowiedział Ludwik Kurnatowski.

Heniek spał prawie do południa, bo mógł i musiał sobie na to pozwolić. Po pierwsze, nie miał żadnych obowiązków, był noworoczny piątek, więc Leokadia nie poszła do szkoły, a zatem odpadło mu odprowadzenie jej do domu. Poza tym miał kaca, bo zabawę zakończył nad ranem u Genia Aptekarza. Nie chadzał po melinach, ale poszedł do fabryczki bimbrowa za torami z czystej przekory. Gdy ostatnio pił w tym miejscu, był żalonym frajerem, którego wystawiła do wiatru sprytna chamka spod Białegostoku. Teraz także nie były złote czasy, ale za to miał dziewczynę, której ufał i którą kochał.

Nie mogli iść razem na sylwestrową zabawę, ale Leokadia wymyśliła, by przyszedł pod dom, w którym spędzała ostatnią noc starego roku. Wyszła do niego, rozmawiali, a na koniec ucałował jej dłoń. Szkoda, że nie mógł posunąć się dalej, ale nie dlatego, że się wstydził czy nie potrafił, bo miał już z kobietami niejedną okoliczność. Po prostu się bał, że ją spłoszy, zniechęci, odepchnie. Był więc wbrew sobie i swoim potrzebom ostrożny i wstrzemięźliwy. A co czuła ona, czego tak naprawdę od niego chciała?

- Heniu, czy porwałbyś mnie?

- Miałbym cię porwać?

- Porwać, wyjechać gdzieś, uciec tam, gdzie nie ma moich rodziców. - Jej oczy błyszczały i prosiły, by powiedział: „Tak!”.

- Nie, nie mogę Lodziu, muszę się opiekować babcią i Stefą, ja jestem tu nie tylko bratem, ale i głową rodziny.

Posmutniała, a w chwilę później się pożegnali.

Był uczciwy, bo ją kochał, więc powiedział, jak jest, ale może lepiej było ją oszukać, może tak by było lepiej? Gryzło go to, więc postanowił sobie golnąć i zrobił to z kolegami z dzielnicy, a że zgryzota nie przeszła, zdecydował, że zrobi to jeszcze raz, musi jednak wpierw pójść na obiad do babci i Stefy. Od kilku dni mieszkał sam i nawet zatęsknił za domową kuchnią babci Eleonory.

Założył buty, zdjął z wieszaka palto i okręcił się szalikiem, całości dopełniała czapka, rękawiczek nie nosił, bo i tak trzymał ręce w kieszeniach. Wyszedł z mieszkania, zamknął drzwi i zszedł po pięknych, szerokich schodach, może kiedyś zejdzie po nich razem z Leokadią? Wiedział, że tego chciała, ale nie był pewien,

czy była już na to gotowa. On sam czuł, że kolejnym razem nie będzie się powstrzymywał przed pocałowaniem jej.

Służąca ledwo zdążyła podać gościom barona herbatę, gdy rozległ się dzwonek u drzwi, a po chwili lokaj wprowadził do salonu młodego, przystojnego i znakomicie ubranego mężczyznę.

- Dzień dobry, pilnie mnie pan wzywał, panie baronie! Wacław Lorenz - mecenas przedstawił się, widząc, że w salonie znajdują się mężczyźni, których wcześniej nie spotkał.

- Opowiadaj pan, co wiesz o tym bydlaku - wybuchnął spokojny do tej pory baron.

- O kim?

- O porywaczu mojej córki, Konstantym Rudzińskim!

- Pan wybaczy, nie wiem o czym pan mówi. - Lorenz ruszył w kierunku drzwi. - Może powinniśmy zakończyć to mało przyjemne dla mnie spotkanie!

- Nadkomisarz Ludwik Kurnatowski, a to aspiranci Strasburger i Denhel. - Naczelnik zrobił krok w kierunku Lorenza. - Pan wybaczy, mecenasie, ale nie udało się nam dokończyć prezentacji. - Widząc zdziwienie na twarzy Lorenza, tłumaczył. - Spotkaliśmy się dla naprawdę poważnej sprawy, panna Krystyna zaginęła i podejrzewamy, że się to stało za sprawą pana przyjaciela Rudzińskiego!

- Przyjaciela?! - niemal wykrzyknął Lorenz. - Znałem go, owszem, ale nie był żadnym moim przyjacielem!

- Ale to pan wprowadził Rudzińskiego!

- Wprowadziłem, bo... - widać było, że mecenas szuka jakichś argumentów - wprowadziłem, bo to był sympatyczny młody człowiek, umiał się zabawić, miał ogładę, studiował chyba...

- Chyba czy na pewno? - Na znak Kurnatowskiego przesłuchanie ciągnął Strasburger.

Lorenz był wyraźnie zbity z tropu.

- Tak mi się wydawało, mówił coś o uniwersytecie, był inteligentny, bystry, ładnie mówił...

- Gdzie się panowie poznali?

Mecenas znów sprawiał wrażenie, jakby pytanie było dla niego zbyt trudne.

- No, słucham pana mecenas!

- Czy to przesłuchanie?

- Formalnie jeszcze nie, ale może być i niekoniecznie w salonie pana barona. Szybciej, niż to się panu wydaje, możemy zamienić Aleje Ujazdowskie na Daniłowiczowską. - Strasburger nie był już trefnisiem. - Sprawa jest zbyt poważna, prawnikowi nie muszą tego tłumaczyć!

Zapadła krępująca cisza.

- Słucham pana, mecenasie Lorenz! - Głos Kornela Strasburgera zabrzmiał oskarżycielsko, niczym wezwanie do poddania się.

- Powiem panom, ale... - Wacław Lorenz zdawał się kapitulować.

- Ale zupełnie prywatnie - zakończył niepewnym głosem.

Kornel Strasburger nie wiedział, co zrobić, spojrzał więc na naczelnika Kurnatowskiego. Ten skinął głową.

- A więc, zupełnie prywatnie mówiąc, ja go poznałem w tajnym domu gry...

- I rekomendował pan tego człowieka! - wybuchnął baron.

- Wprowadzał go pan na salony? Bywalcy szuflerni u mnie w domu!

- Za pozwoleniem, panie baronie, a gdzie pan spędzał ostatnie wakacje? - zachnął się Lorenz. - Czyż nie w Monte Carlo?

- Byłem tam u książąt Grimaldich! - krzyknął Grunshild i uderzył laską w podłogę.

- A do Zoppot też pan jeździ na zaproszenie książąt Monaco?

- To impertynencja! - Baronowi puściły nerwy. - To skandal, proszę wyjść!

Kurnatowski gestem ręki uspokoił barona.

- Zanim pan wyjdzie - zwrócił się do Lorenza - niech mi pan łaskawie wyjaśni, gdzie mieszka ten cały Rudziński, gdzie go znaleźć?

Lorenz bezradnie rozłożył ręce. Podobnie przebiegały rozmowy z Dupontem i Gocłowskim, z taką tylko różnicą, że fabrykant poznał Rudzińskiego w kabarecie, a tenor w lupanarze. Baron był zdruzgotany, ci goście nie prowadzili trybu życia stosownego do jego tytułu i ambicji, a jeszcze bardziej wyprowadziły go z równowagi komentarze ruganych przez niego bywalców, że w istocie on sam robi to samo, tylko płaci za swe grzeszki i słabości większe pieniądze.

Wydawało się, że są w kropce, ale Kurnatowski po chwili zawahania zarządził:

- Jedziemy do urzędu i ściągamy na Daniłowiczowską wszystkich, którzy pracują wśród farmazonów, oraz handlarzy



kobietami. Szukamy też nazwiska tego gagatka w archiwum, wertując podobne sprawy. Panowie, teraz nic tu po nas, w drogę, każda chwila jest cenna!

Baron chciał zaproponować policjantom swój powóz, który stał w gotowości w Alejach, ale nim zdążył to zrobić, po raz kolejny tego dnia rozległ się dzwonek u drzwi.

- Panna Krysia! - dobiegł ich krzyk lokaja. - Panna Krysia wróciła!

Zebrani rzucili się do drzwi, wpadając nieomal na baronównę, prowadzoną przez elegancko ubranego korpulentnego mężczyznę w średnim wieku.

- Czy to Konstanty Rudziński? - wyrwał się Karol Denhel.

Strzelił jak kulą w płot, osobnik był przecież w dojrzałym wieku,

a Rudziński to raczej młodzieniaszek, poza tym, zdejmując kapelusz, mężczyzna szybko się przedstawił zebrany:

- Rafał Grzymalski herbu Dryja, obywatel ziemski z Borka Mazowieckiego - zagrzmiął tubalnym głosem.

- Gdzie pan znalazł moją córkę, na Boga jedyne opowiadaj pan! - wykrzyknął baron, ściskając za rękę Grzymalskiego i zapraszając do salonu. - Wchodź do środka, nasz wybawco, proszę, proszę!

Grzymalski nie wyglądał jednak na bohatera. Pewność siebie, którą znamionowała sylwetka i mocny głos, gdzieś uleciały, a zamiast usiąść stał skrępowany jak fornal, co musi się z czegoś tłumaczyć, a nie jak ziemianin, który w dodatku dokonał niezwykłego czynu.

- Panie Grzymalski, opowiadaj pan, na litość boską - zachęcał go naczelnik Kurnatowski, a widząc, że przemowa nadał idzie mu opornie, dodał urzędowo: - Mów pan, bo to nie noworoczna herbatka, tylko policyjna akcja. Jestem nadkomisarz Ludwik Kurnatowski, zastępca naczelnika Urzędu Śledczego!

Rafał Grzymalski otarł pot z czoła i zaczął opowiadać.

- Krystyna wpadła mi w oko jakieś dwa miesiące temu. Podczas wizyty w filharmonii ujrzałem niezwykłe zjawisko i zakochałem się, choć nie sądziłem, że kiedykolwiek mi się to jeszcze przydarzy. Jestem wdowcem, który ma już dorosłe dzieci, ale drgnienie serca, jakie poczułem, i żar, co mnie ogarnął, sprawiły, że zacząłem regularnie chadzać na koncerty. Pewnego razu zauważyłem, że dziewczę było bez rodziców, za to w towarzystwie młodego mężczyzny.

- Czy to był dwudziesty pierwszy listopada, sobota? - zapytał baron.

Ziemianin odpowiedział mu, potakując głową.

- A więc to wtedy, gdy spędzałem parę dni nad morzem!

- Czyli w Zoppot? - Strasburger miał niewyparzoną gębę!

- Tak, w Zoppot - ze skruchą przyznał baron.

- A żona? - Strasburger nie miał żadnych oporów.

- Żonę przekonałem, że powinna powdychać morskie powietrze, Krystyna została więc sama, to znaczy ze służbą i pod opieką guwernantki.

Zebrani z politowaniem pokiwali głowami, tu ziała wyrwa w szczelnym murze!

- Co było dalej? - ponaglił Grzymalskiego naczelnik.

- Traf chciał, że spotkałem tego młodego człowieka dzień później...

- W lupanarze czy w domu gry? - wystrzelił Strasburger.

- No wie pan co? - Grzymalski zdenerwował się nie na żarty. - Wypraszam sobie takie impertynencje, byłem u Loursa, a tam, przy sąsiednim stoliku zobaczyłem wczorajszego towarzysza mojego anioła! Siedział z damą, muszę przyznać, że dość skromnie, jak na to miejsce, ubraną.

- Jak wyglądała? - zapytał baron.

- Szczupła. - Ziemianin skrzywił się z niesmakiem. - Powiedziałbym, chuda szatynka po trzydziestce...

- Mówiła z obcym akcentem?

- Tak!

- Mademoiselle Artois - wykrzyknął baron, a widząc zaciekawione miny policjantów i Grzymalskiego, wyjaśnił: - Michelle Artois, nasza guwernantka, od tej chwili była guwernantka!

- Niech pan Grzymalski kontynuuje - zarządził Kurnatowski.

- Gdy ta pani... Artois, czy jak jej tam, pożegnała się i wyszła, przysiadłem się do niego i zapytałem, kim była piękność, z którą był wczoraj w filharmonii. Odparł, że to jego kuzynka...

- Kuzynka! - Baron o mało nie wyszedł z siebie. - Co za drań, kuzynka!!!

- Myślałem, że tak w istocie jest. - Rafał Grzymalski spojrział na barona przepaszającym wzrokiem. - Więc zacząłem o nią wypytywać i wtedy on powiedział, że opiekuje się nią, bo to sierota...

- Sierota!!! - Baron nie potrafił się opanować. - I co jeszcze, drogi panie, co jeszcze?

Widać było, że po tym wybuchu Grzymalski nie bardzo chciał ciągnąć swoją opowieść, ale naczelnik Kurnatowski przypomniał o swojej obecności i gestem dłoni zachęcił ziemianina do mówienia.

- Jako jej opiekun zaproponował mi...

- No śmiało, śmiało - zachęcał Kurnatowski.

- Małżeństwo... - Grzymalski znów otarł pot z czoła - ale pod warunkiem, że zwrócę mu koszty utrzymania i wykształcenia młodej damy.

- I co? - wykrzyknęli niemal wszyscy.

- I zgodziłem się na pięć tysięcy złotych!

Zapadła krępująca cisza.

- Co było dalej?

- W sylwestrowy wieczór pan Rembelski...

- Rembelski?

- Przedstawiał się jako Józef Rembelski. - Grzymalskiemu znów poleciała po czole strużka potu.

- Nieważne, Rembelski czy Rudziński, mów pan, co było dalej

- Kurnatowski naciskał ziemianina.

- W sylwestrowy dzień oczekiwałem na ich przyjazd, zarządziłem wytworną kolację dla dwojga i, rzecz jasna, przygotowałem torbę, w której było pięć tysięcy złotych. Zajechali punktualnie, zapłaciłem pieniądze i zostałem z moją wybranką...

Na te słowa baron podniósł się z fotela i ruszył w kierunku Grzymalskiego. Natychmiast podnieśli się także policjanci, bo cała sytuacja pachniała, jeśli nie zbrodnią, to przynajmniej mordobiciem.

- Zjedliśmy kolację, ale... - Znów chusteczka poszła w ruch. - Ale do niczego nie doszło. Panienska się popłakała i powiedziała, że nie chce Wychodzić za mąż, tylko pójść do klasztoru!

- Do klasztoru?

- Do klasztoru to tylko przez moment, a gdy zacząłem się dziwić i pytać czemu, to odparła, że w takim razie, jak mi to nie pasuje, to na policję, żeby mnie skarżyć, że ją porwałem! Byłem jednak nieugięty, sam mam dwie córki. - Grzymalski podkreślił to z dumą.

- Zamknąłem więc pannę Krystynę w salonie, ale kazałem służącej, by podglądała przez dziurkę od klucza, czy aby nie robi sobie czego złego. Po półgodzinie zaczęła płakać, potem krzyczeć, a w końcu poprosiła, żeby ją odwieźć do papy w Aleje Ujazdowskie trzydzieści pięć. Zaczekaliśmy więc do pierwszego pociągu i oto jesteśmy!

Sprawa rozwiązała się niemal sama, teraz pozostało tylko odnaleźć farmazona, który zgarnął pięć tysięcy złotych. Zapłakana panna Artois miała zaprowadzić śledczych do mieszkania Rudzińskiego vel Rembelskiego, choć wątpliwe, by taki farmazon siedział jeszcze pod starym adresem, zapewne był gdzieś daleko od Warszawy. Ten problem pochłaniał tylko Kurnatowskiego i Strasburgera, bo Karol Denhel nie myślał o pojmaniu Konstantego Rudzińskiego, lecz o tym, że trzeba wykończyć typa, który nazywa się Henryk Wcisło. Z całych sił będzie się starał, by szemrany elegancik nie zbałamucił Leokadii Rostockiej, a jeśli trzeba będzie... Nie cofnie się przed niczym, zrobi wszystko co trzeba.

## IX

### MŚCICIEL Z PEKINU

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 3 stycznia roku 1926*

*Henio już z nami nie mieszka, ale stale go widuję, jak wraca z warsztatu, to zawsze do nas wpada, a w niedzielę chodzimy do kina i do ciastkarni. Dzisiaj byliśmy w kinie Albatros przy Wolskiej i zobaczyliśmy śmieszne filmy z Patem i Patachonem, a później poszliśmy do cukierni Rutkowskiego przy Chłodnej. Ależ było pysznie! Lubię te nasze niedziele.*

W końcu roku, jeszcze przed świętami, Heniek postanowił wynająć własne mieszkanie. Doszedł do siebie po ranie odniesionej w bójce z pułkownikiem Nowickim i co najważniejsze, Stefa była już gotowa na to, by mieszkać sama z babcią. Kochał siostrę i babunię, ale miał swoje życie i posmakował już kiedyś samodzielności. Gdy tylko przestało mu szumieć w głowie i pewnie stanął na nogach, zrobił podsumowanie stanu finansów i wyszło mu, że stać go na własny pokój z łazienką.

Zaczął więc szukać jakiegoś lokum, takiego, które byłoby blisko zarówno Stefy i babci, jak i warsztatu stryjka oraz domu, w którym mieszkała Leokadia. Zależało mu na wielkomiejskim życiu i nie przeszkadzało, tak jak wielu innym, zgrzytanie tramwajów, hałas dorożek i wozów konnych czy muzyka, którą robiły samochody. Dźwięk klaksonów i silników cieszył go tak samo, jak innych poranne trele ptaków. Mieszkanie musiało mieć jednak rozsądną cenę, nie biedował, ale nie miał już takiej forsy, jak przed rokiem.

Dał sobie spokój z kasiarstwem, więc nie mógł już liczyć na dodatkowe wpływy. Musiał poradzić sobie z dwiema stówkami z warsztatu i ze stówką ze swojego złodziejskiego konta. Nie było to mało, ale by wynająć kolejne mieszkanie, trzeba się było nagimnastykować.

Wybór padł na kamienicę Wolfa Krongolda przy Żelaznej. Za luksusową fasadą krył się wcale nie luksusowy świat małych, podłych mieszkańek, bez wygod. Było ich tak wiele, że dom pogardliwie nazywano Pekinem. Klitki zamieszkiwane przez robotniczą biedę zajmowały czwarte i piąte piętro, a wchodziło się do nich z oddzielnych, bocznych klatek schodowych. Były to wąskie szyby z drewnianymi schodami, a w mieszkaniach nie było wygod, ale za to w elegantszej części budynku...

Tam klatka schodowa była szeroka i miała marmurowe schody z żeliwnymi poręczami! To iście królewskie wejście robiło wrażenie nawet na kimś, kto mieszkał wcześniej w Hrabia i u Lisowskiego. Wygodne, eleganckie wejście prowadziło do pięknych, wysokich mieszkań, które zajmowały piętra od pierwszego do trzeciego. Były tam duże okna, w mieszkaniach

zainstalowano łazienki, i co najważniejsze, obowiązywały przystępne czynsze. Ci, którzy się nie liczyli z kosztami, wybierali bardziej prestiżowe miejsca niż Pekin. Heniek wstrześlił się więc idealnie, zwłaszcza że wziął lokal na trzecim piętrze. Najdroższe i najwygodniejsze mieszkania były, rzecz jasna, na pierwszym poziomie, ale na takie luksusy szybko nie będzie mógł sobie pozwolić. To, co miał, i tak było kławe, piękny pokój z wygodami i przedpokoikiem, a do tego za dobrą cenę. Sąsiedztwo z góry, które powodowało exodus eleganckiej publiczności i spadek cen, wcale go nie przerażało, przecież urodził się na Dworskiej, a nie w jakimś pałacu. Dla niego był to idealny świat - bez zadęcia, ale za to całkiem wygodny.

Kończyło się niedzielne popołudnie, był delikatny mróz i świeciło przepiękne słońce. Wyspał się po sobotniej bibce, później poszedł ze Stefą do kina i cukierni. Siostrzyczka była zachwycona ciastkami od Rutkowskiego, ale on dopiero czekał na swój deser. O pól do trzeciej był umówiony z Leokadią! Nie byłoby tego spotkania, gdyby każda z najbliższych koleżanek ukochanej nie miała jakiegoś kawalera. Każda z nich potrzebowała alibi i każda dawała je swoim koleżankom. Oficjalnie wychodziły gdzieś razem, ale tak naprawdę Lodzia poszła z Heńkiem do kina, Aga i Ela pojechały ze swoimi kawalerami do teatru, a Helena... Nawet nie było o co pytać, ten jej podchorąży miał dziś przepustkę, o której nie wiedzieli nawet jego rodzice.

W kinach przebojem była *Iwonka*, film o dramatycznej, pełnej przygód miłości panny Iwonki Poraj do porucznika ułanów...



Pokaz ich nie rozczarował i zadowoleni wracali z kina, rozmawiając o tym, co widzieli na ekranie.

- Czy byłby pan skłonny do poświęceń takich jak porucznik Grot? - zapytała Leokadia.

- To zależy dla kogo.

- Dla mnie!

- Też pytanie, oczywiście, że tak!

- A gdyby trzeba było się mścić?

- To bezwarunkowo bym się mścił i to okrutnie.

Leokadia pomyślała, że dziwny jest ten Heniek, bo nie miała wątpliwości, że by się mścił za jej krzywdy, ale czy potrafiłby ją kochać? Gdy doszli do rogu Złotej i Żelaznej, Heniek wskazał na Pekin i powiedział:

- Tu teraz mieszkam! Wyprowadziłem się od babci i siostry, one zostały przy Młynarskiej, a ja tu pod osiemdziesiątym trzecim, w tej elegantszej części, ma się rozumieć. Nie jest to może pałac, ale...

Powiedział i ugryzł się w język, bo zrozumiał, że zabrzmiało to jak niezgrabna i cokolwiek nachalna próba zaproszenia Leokadii do góry. Dziewczyna szybko wyrzuciła z siebie jakby na potwierdzenie jego wątpliwości:

- Niech mnie pan nie odprowadza pod sam dom, papcio się zrobił ostatnio jakiś podejrzliwy, ale najwięcej kłopotów mogę mieć z naszą służącą. Ona po całych dniach wystaje w oknie i może nas zauważyć.

To wszystko było pretekstem, bo Leokadia po prostu stchórzyła, parę dni temu chciała się z nim całować i być w jego ramionach, a dziś, gdy nieco niezgrabnie, ale za to z zapałem

zapropował jej wizytę w swoim mieszkaniu, wymyśliła historię o służącej sterczącej w oknie. Owszem, Halina wystawała w oknie całymi godzinami, ale wtedy gdy było ciepło i nie po zmroku!

- Wystaje nawet w niedzielę o tej porze? - zdziwił się Heniek. - Przecież jest już ciemno.

- To jej nie przeszkadza - uśmiechnęła się Leokadia. - Pójdę więc sama, do domu jest niedaleko, tylko przez skrzyżowanie z Chmielną, tory i już jestem w Alejach, parę metrów od domu. Dziękuję za piękny film i popołudnie.

A więc doigrał się! Przełknął porażkę i jak dżentelmen grzecznie się uklonił, całując Leokadię w rękę. Potem powłókł się do siebie na piętro i zwałił na łóżko. Leżał tak ledwie parę minut, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na progu stała Lodzia.

- Henryku! - wykrzyknęła zdyszana. - Henryku, niedaleko torów obrabowano mnie, trzech złodziei wyskoczyło z nienacka, wykręcili mi rękę i zabrali zegarek na srebrnej bransoletce, który dostałam od papy!

- Kto to był, jak wyglądali?

- Pobiegłam za nimi, oni mieszkają w twojej kamienicy, jeden taki mały rudy i dwóch większych, no, nawet całkiem dużych.

- Ci duzi to taki łysy typ z wąsem i lekko kędzierzawy blondyn?

- Znasz ich?

- Z widzenia. Chodźmy.

Jak nożem uciął skończyły się konwenanse, mówienie „pan” i „pani” oraz trzymanie się na dystans i unikanie dotknięć. Wziął Lodzię za rękę i wyszedł z mieszkania. Kazał jej jednak chwilę

poczekać, zawrócił i sięgnął pod parapet po browninga. Jak tylko się tu sprowadził, zorganizował sobie skrytkę identyczną jak ta na Młynarskiej.

Wprawnym ruchem wsadził pistolet z tyłu, za pasek spodni, cholera wie, co go czeka, lepiej być gotowym na wszystko. Tych trzech typków faktycznie znał z widzenia, ale nie miał pojęcia, gdzie dokładnie ich szukać, na pewno nie mieszkali na jego klatce schodowej, lecz w którejś z tych podlejszych. Poszli więc do stróża, bo stróż Alojzy Adamiak wiedział wszystko i o wszystkich.

- Szanowny pan sobie życzy? - zapytał z zadowoleniem, bo lubił być pomocny i wszystkowiedzący.

- Szukam lokalu trzech gości - tu Wcisło opisał złodziei.

Heniek nie ukrywał zdenerwowania, a do tego cieć znał trójkę osobników jako szemranych koleś, którzy sporo musieli mieć na sumieniu.

- Może lepiej pójde i zadzwonię po policję? - zapytał usłużnie stróż.

- Nic się nie stało, po prostu panowie coś zgubili i chciałem im to coś podrzucić. To gdzie mieszkają?

- Znaczy się na stałe to mieszka Traszka, Lucjan Traszka. To ten mały, rudawy, a tamci dwaj do niego zachodzą. Czasem sami, czasem z panienkami. Klatka w podwórku w prawym rogu, czwarte piętro, drzwi na wprost schodów.

Heniek podziękował i za parę minut byli pod drzwiami. Nie śpieszył się, żeby niepotrzebnie się nie zmęczyć. Zapukał do drzwi i otworzył mu rudzielec. Był w podkoszulku, bo już się zdążył rozgrzać wódką. Lewą rękę oparł o futrynę, a prawą schował za siebie. Heniek z miejsca zrozumiał, co jest grane, nie wiedział

tylko, co łobuz na niego szykuje. Na wszelki wypadek odsunął za siebie Leokadię. Żałował, że ją ze sobą zabrał, miała rozpoznać zbirów, ale takiej potrzeby nie było.

- Aaa, prosimy, prosimy - uśmiechnął się Lucek Traszka. - Panna życzy sobie wykupić zegarek?

- Nie będzie drogo - zawył głos z głębi pokoju. - Tylko dziesięć procent znaleźnego!

- Sąsiadowi to chyba po znajomości oddacie zgubę za darmo - powiedział Heniek bez nutki żartu w głosie. - I jeszcze przeprosicie panią!

Łobuzerka nie przyjęła jego słów jako poważnego ostrzeżenia.

- Te, Romeo - wycedził przez zęby Traszka. - Julia zgubiła sikora, więc niech buli!

Złodzieje zanosili się śmiechem, ale nagle Traszka spoważniał.

- Panie ładny. - Złodziej patrzył na Heńka spode łba i cedził z wyraźnym lekceważeniem: - Wpieprzasz się pan między wódkie a zakąskę? Nie mamy czasu, bo ćwiczymy tutaj tatę z mamą. Daj pan narzeczonej parę groszy na lizaka, a sam kup wódeczkę, wróć do nasz, przysiądź się i spokojnie omówimy, ile się za sikora należy. Po sąsiedzku radzę, bo nie chcę grandy.

Traszka uśmiechnął się, jakby był belfrem, który wykłada dziecku teorię kija i marchewki. Wyprostowany i wyraźnie zadowolony z tego, co powiedział, czekał na reakcję Heńka. Ta po chwili nastąpiła, ale nie była zgodna z jego oczekiwaniami.

- To raczej ja wam daję ostatnią szansę - powiedział twardo Heniek, który postąpił w kierunku Traszki, jednocześnie odpychając za siebie ręką Leokadię. - Oddawaj pani fant, mówię po dobroci!

Na te słowa Heniek usłyszał rumor odsuwanych krzeseł i zobaczył niewidocznych do tej pory kompanów Traszki.

- Szansę to ja ci daję, wyskrobku, liczę do trzech i masz zawijać de pachę tę swoją sikse i w szybkich abcugach wyjeżdżać z chawiry.

Typy nie podeszły do drzwi, kumple Traszki byli raczej zaciekawieni niż agresywni. Zawsze to miło zobaczyć, jak koleżka z ferajny uczy szacunku frajera. Tymczasem frajer, czyli Heniek Wcisło, nie wymiękał.

- W sumie to mógłbym pójść na policję, ale nie mam czasu.

Heniek wiedział, że jego słowa nie zrobią wrażenia, zagrał na czas, by lepiej się przyjrzeć wnętrzu i ułożyć sobie w głowie to, co miało za chwilę nastąpić. Przede wszystkim rozumiał, że musi trzymać dystans do Traszki i jego prawej, schowanej za plecami ręki. Łobuz też wiedział, co ma robić, i sądził, że zaskoczy sąsiada z lepszej części kamienicy, tak jak to robił już nie tylko z frajerami, ale nawet i z szemranymi, którzy byli mocni nie tylko w gębie, ale i w rękach.

- A na lekarza masz czas i mamonę? - Traszka zrobił przy tym minę, jakby rozmawiał z kawałkiem ścierwa, a nie człowiekiem. - Bo nosów za friko i na oczekaniu nie prostują!

To mówiąc, złodziej zamachnął się ręką trzymaną za plecami. Tak jak Heniek przypuszczał, bandzior skrywał sprzęt, i to wyjątkowo groźny. W stronę głowy Wcisłaka poszedł cios zadany pogrzebaczem, ale zamiast chrzęstu łamanych kości rozległ się tylko świst powietrza, bo pogrzebacz trafił w pustkę. Heniek był gotowy na taką niespodziankę i nie spanikował, uchylił się i wykręcił napastnikowi rękę. Usłyszał trzask zagłuszony przez

dziki ryk złodzieja. Heniek odepchnął go z całej siły nogą, tak że Traszka wpadł na kumpli. Cała trójka wylądowała po przeciwległej stronie nory. Gdy już się pozbierali, zobaczyli wycelowaną w ich kierunku lufę browninga.

- Zrobić wam po dodatkowej dziurze? Życzą sobie szanowni panowie na facjacie czy w dupie?

Urkowie przystanęli na moment, ale znów ruszyli w kierunku Heńka, przeładował więc błyskawicznie pistolet i przymierzył.

- Który pierwszy?

Zawahali się, ale alkohol i poczucie wyższości, które nieraz udowadniali nad pizpanami i frajerami, były silniejsze. Najbardziej jednak byli pewni tego, że młody, dobrze ubrany człowiek nie odważy się pociągnąć za cyngiel. Powoli zaczęli się rozchodzić na boki. Pomieszczenie było ciasne, Heniek musiał więc reagować szybko, wybrał typka z lewej, który złapał w rękę butelkę po wódce. Przymierzył i kropnął, poszedł huk, a szkło z eksplodującej butelki poraniło rękę przeciwnika. Łobuz jęknął i krwawiąc, skulił się na ziemi.

- Dalej kozakujecie?

Jedyny w pełni sprawny złodziej zrobił dwa kroki do tyłu i pokręcił przecząco głową.

- To dobrze, to bardzo dobrze - powiedział Heniek. - Bo musiałyby was spotkać parę przykrych rzeczy, a ja nie jestem z tych, którzy robią grandę sąsiadom. Staralem się, ale jesteście niewychowani i tylko dintojra postawiłaby was do pionu... A teraz oddawajcie sikora i przeproście panią.

Złodziej, który nie był ranny, bez ociągania sięgnął po leżący na stole zegarek.

- Przepraszam panienkę, to było takie towarzyskie nieporozumienie - wymamrotał Traszka. - Nie wiedzieliśmy, że szanowny pan sąsiad to nie tylko narzeczony panienki, ale i poważny człowiek z ferajny.

Na słowo narzeczony Heniek poczuł, że się czerwieni aż po czubki uszu.

- No dobra, wystarczy - powiedział, odbierając zegarek. - A teraz opatrz ich i pamiętajcie, że w Pekinie nikomu nie są potrzebne kłopoty. Macie tu trochę floty, idźcie do jakiegoś felczera, niech wyciągnie szkło i nastawi rękę. Za resztę kupcie wódki i wypijcie za nasze zdrowie. Mamy sztamę?

- Nnno, ma się rozumieć - powiedział zwlekający się z podłogi Lucjan Traszka. - Między sąsiadami z Pekinu musi być sztama.

Krzywiąc się z bólu, złodziej wyciągnął do Heńka zdrową rękę. Ten ją uścisnął, po czym wziął pod ramię Leokadię i wyszedł z mieszkania. Na ciasnej klatce schodowej stali ludzie, niektórzy patrzyli na lokatora z lepszej części domu z nienawiścią, ale większość z respektem i z trudem ukrywanym podziwem. Widać było, że Traszki się bali, a tylko nieliczni byli jego przyjaciółmi. Do tych kilku, którzy byli z jego ferajny, Lucek przemówił:

- No, co się gapicie? Szanowny lokator, którego zamieszkuje na lepszej klatce schodowej, wpadł z wizytą. Z dobrosąsiedzką wizytą. - Widząc brak reakcji, dodał: - Ustaliliśmy wspólnie z koleżkami, że pan sąsiad to klawy gość i że trzeba z nim trzymać sztamę. Zapamiętajcie jego facjatę i szanownej narzeczonej. Pełen szacuneczek dla państwa, bo jak nie, to... - Tu Traszka miał uderzyć pięścią w otwartą dłoń, ale wyrwaną ze stawu rękę

przeszył ból. - To to już wiecie co - dokończył, z trudem kryjąc na twarzy grymas bólu. - Kapewu?

Widząc, że do jego ferajny dotarło, co miał do przekazania, Traszka zamknął drzwi. Nie chciał, by zobaczono, w jakim jest stanie, i że w jeszcze gorszym są jego kumple. Tymczasem Heniek i Leokadia spokojnie zeszli schodami na parter. Gdy już byli sami, Heniek poczuł, jak dziewczyna przytula się do niego, zrobiło mu się ciepło i pewnym głosem powiedział:

- Zapraszam do mieszkania. Dojdiesz do siebie, bo tak nie możesz się pokazać rodzicom.

Czuł, że wypowiedzenie tego zdania było trudniejsze od walki z oprychami, i z niepokojem czekał na odpowiedź. Leokadia milczała, ale za to kiwnęła głową na tak i wtuliła się w niego jeszcze mocniej. Nim się zorientował, całowali się w zatęchłej i ciemnej klatce schodowej, po czym niemal biegiem ruszyli do mieszkania Heńka.

Minęli po drodze stróża, którego zwabiło zamieszanie i huk pistoletowego wystrzału. Heniek zdążył mu tylko powiedzieć:

- Panie Adamiak, wracaj pan na stróżówkę, nic się nie dzieje, sąsiad chciał mi pokazać, jakie kapiszony na odpust w Grójcu szykuje.

Odepchnął zaskoczonego ciecica i pomknął z Łodzią jak na skrzydłach do swojego mieszkania. Tam, po zamknięciu drzwi, rzucili się na siebie i zaczęli kochać tak, jakby nie miało być jutra, jakby to miał być nie tylko ich pierwszy, ale i ostatni raz.

Jej był na pewno pierwszy, ale nawet przez moment nie miała wątpliwości. Robiła wszystko z taką pasją, tak gorliwie i zapamiętała, że scenariusz, który Heniek już od dawna układał



sobie w głowie, runął w jednej chwili. Miało być romantycznie i delikatnie, a tymczasem popadł w szaleństwo takie jak z Ludmiłą. W jeszcze większe, bo Ludmiła bywała jakby zdystansowana, biorąca to co jej i z wyrachowaniem obdzielająca go swoimi wdziękami i pieścizotami. Teraz było inaczej, bo Leokadia była oddana szaleństwu chyba jeszcze mocniej niż on. Fala nieokiełznanej rozkoszy porwała ich i wyniosła na szczyt.

Leżeli w ciszy na zakrwawionym prześcieradle, dysząc jak po ciężkiej walce, w końcu Lodzia powiedziała:

- Teraz tym bardziej nie mogę się pokazać rodzicom...

Zaczęli się śmiać. Śmiali się jak szaleni, bo nie tak to sobie wyobrażali. Heniek od dawna o tym myślał, ale chciał być łagodny i delikatny, tymczasem ona była jak lwica. Teraz też miała inicjatywę.

- Henryku Wcisło, kim ty naprawdę jesteś? - Spoglądała na niego, rozczesując mu palcami włosy. - Kim?

- Na pewno nie kimś, kto może być twoim narzeczonym - uśmiechnął się. - Chyba to pojęłaś?

- Ten typ miał rację, a ty nie! - powiedziała, waląc go pięścią w tors i śmiejąc się. - Henryku Wcisło, kocham cię i chcę być twoją żoną!

- Jesteś kobietą nowoczesną, oświadczyłaś mi się!

- Tak, bo jesteś zbyt nieśmiały, by mi wyznać miłość, ale dość odważny, by stłuc trzech rzezimieszków. Nie pojmuję twojej osoby, Henryku! Może dlatego tak mnie pociągasz... Co ty ze mną robisz, kim ty, u licha, jesteś?

- Złym człowiekiem, już ci to kiedyś mówiłem. Nie wierzyłaś, ale dziś mogłaś się o tym przekonać.

- Stałaś w mojej obronie! - niemal wykrzyknęła. - To było takie podniecające, puściły ostatnie tamy, to było jak potężna siła. - Rozmarzyła się. - Mściłeś się za mnie, tak jak mówiłeś. Nie rzucasz słów na wiatr.

Heniek uśmiechnął się i pogładził ją po policzku.

- Kochana Lodziu, ja się nie mściłem!

- Zbiłeś ich okrutnie!

- Lodziu, bójka to nie szachy czy partyjka w makao. - Palcem odsunął jej kosmyk włosów, który opadł na oczy. - Tu albo tłuczesz mocno, albo w ogóle. To raczej oni chcieli mi zrobić większą krzywdę. Gdybym dostał pogrzebaczem albo butelką po głowie, to wyglądałbym gorzej niż oni. Gdybym się chciał mścić, to pobiłbym całą trójkę, a może nawet bym ich zastrzelił. To nie była zemsta, tylko walka, mam nadzieję, że się nie czujesz rozczarowana?

- Nie, jakbym mogła? Poza tym ja cię kocham, kocham nad życie!

- Ja też cię kocham.

- W końcu to powiedziałaś, w końcu! Chcę spędzić z tobą resztę życia, niezależnie od tego, jaką tajemnicę kryjesz.

Heniek przytulił ją mocno i nic nie powiedział. Czasem lepiej nic nie mówić. To wszystko było szalone i nielogiczne, lecz nieuchronne. Co będzie dalej? Na planowanie dalszego życia nie mieli czasu, a gdy już ochłonęli po kolejnym miłosnym szaleństwie, musieli postanowić coś bardziej przyziemnego. Jak doprowadzić do porządku Lodzie i jaką bajkę ułożyć, by

wytłumaczyć trzygodzinne spóźnienie i odwieść rodziców od wszczynania domowego śledztwa.

Stało się i coś z tym trzeba będzie zrobić. Karol Denhel leżał na kanapie, a w jego nagi tors wtulała się Eliza Okołowicz. Dał się podejść czy może chciał dać się podejść? Eliza zwabiła go na herbatkę, na której mieli się stawić uczestnicy sylwestrowej zabawy. Oczywiście pomyślał zaraz o Leokadii, ale gdy zobaczył Elizę otwierającą mu drzwi w podomce i mówiącą: „Och, przepraszam, pomyliłam godziny i zaprosiłam pana za późno, ale niech pan wchodzi, towarzystwo zawiodło, nikt nie przyszedł, nie zostawi pan mnie chyba takiej samotnej i porzuconej?”, to mógł się wymówić czymkolwiek, obrócić na pięcie i pójść do domu, ale wszedł.

To była nie tylko bardzo silna potrzeba, ale i element gry. Jeśliby nie wszedł, to zraniłby ją na tyle mocno, że ich znajomość dobiegłaby końca i co by wtedy zrobił? Ta chwila musiała kiedyś nastąpić i niepodobna było dłużej ciągnąć taką komedię. Eliza była w nim zakochana, a on coraz bardziej rozpalony. Czy per saldo zrobił dobrze? To się okaże, na krótką metę zaspokoił jej i swoje żądze, choć pewnie bardziej jej, bo dziewczyna sporo mogłaby się nauczyć od panienek z lupanarów. Była bardzo gorąca i chętna, ale też niezgrabna w swoich poczynaniach.

Zadbam o jej edukację, pomyślał z zadowoleniem i jednocześnie strachem, bo co będzie, jeśli panna Okołowicz nie tylko się rozsmakuje w tych igraszkach, ale będzie też żądała czegoś więcej?

„Ożeń się ze mną, daj swój dowód miłości”, tak może powiedzieć. Ta myśl zawisła nad nim jak czarna chmura, ale jego niebo wkrótce się rozjaśniło. Pomyślał, że to był akt zemsty na Leokadii Rostockiej, która wciąż pozostawała nieczuła na jego znaki, która szła na zatracenie z łobuzem z Woli. Oni z pewnością nie przekroczyli pewnej bariery, gdzieś by śmieli, ale on mógł sobie na to pozwolić, wszak panien tak głupich i beznadziejnie zakochanych jak baronówna Grunshild w Warszawie nie brakowało.

Ta myśl napełniła go radością, nie ma co gadać, to on był górą, to on, zażywając rozkoszy u boku Elizy, będzie wygodnie czekał na swoją okazję.

**FAŁSZERZE I BOKSERZY**

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 2 marca roku 1926*

*Dawno nic nie pisałam, bo tyle się działo! Miłość do Heńka pochłania mnie bezgranicznie, a do tego mieliśmy jeszcze karnawał Niezbyt długi w tym roku, bo ledwie do połowy lutego, ale najpiękniejszy w moim życiu. Niemal na koniec Heniek sprawił mi niespodziankę i zabrał do kabaretu! W Czarnym Kocie, który podobno należy do tego słynnego kasiarza Szpicbródki, grali amerykańskie przedstawienie jazzowe. Ależ to było wydarzenie, ponad trzydziestka czarnych artystów grała, śpiewała i tańczyła. Nazywają się Sam Gooding i jego Czekoladowe Dzieciaki. Czegoś takiego nie widziałam i prędko nie zobaczę, bo w Warszawie byli tylko jeden dzień. U nas, tak jak wielu artystów, tylko przesiadali się w drodze z Berlina do Moskwy. Jestem szczęśliwa, że to zobaczyłam, a Heniek po raz kolejny okazał się absolutnie niemożliwy. Nie wiem, skąd wziął bilety, wiem jednak, że w Czarnym Kocie doskonałego znają.*

Leokadia na dobre zadomowiła się u Heńka. Niemal codziennie po szkole gnała dorożką do jego mieszkania na róg Żłotej i Żelaznej, gdzie się oddawali seansom szalonej miłości. Trwało to już drugi miesiąc i zdawało się, że nie będzie temu końca. Nie czuli znużenia, wprost przeciwnie; to były ich najwspanialsze chwile, na które czekali, odliczając godziny i minuty. Pięć lat temu Heniek wiał ze szkoły do Ludmiły, a teraz to on czekał w domu i wsłuchiwał się w kroki Leokadii na schodach. Bogatszy o tamte doświadczenia starał się zorganizować wszystko tak, by dziewczyna nie powtórzyła jego własnych błędów. Klasa maturalna to poważna sprawa, więc całe to szaleństwo trzeba było ułożyć jak w zegarku.

Lodzianka musiała też utrzymywać grę pozorów przed rodzicami, więc ich życie wyglądało jak uzupełnienie szkolnego planu lekcji osiemnastoletniej kochanki. Nie wszystkiemu jednak można było zaradzić. Jej regularne pojawianie się w Pekinie nie uszło uwagi nie tylko stróża Adamiaka, ale i sąsiadki Genowefy Kornackiej. Żona kupca handlującego wyrobami żelaznymi była drobnomieszczańską damą z pretensjami. Nieskończenie ciekawska i znudzona życiem szybko zauważyła regularne wizyty młodej dziewczyny w mieszkaniu sąsiada, który się jej podobał i którego chciała wyswatać ze swoją, nudną jak ona i pulchną, córką Cecylią.

Któregoś dnia baba nie wytrzymała i zaczepiła Heńka na schodach.

- A co to kawaler za damskie wizyty przyjmuje?

- A co to szanowną panią obchodzi? - Na tak impertynencką odpowiedź Genowefa Kornacka o mało nie padła trupem. - Ale jak już pani taka ciekawa, to wspieram młodzież i przy okazji zarabiam na życie. Udzielam korepetycji, droga pani sąsiadko.

- A ciekawe z czego to pan może udzielać korepetycji? - Kornacka, mimo że po bezpardonowym ataku Heńka z trudem łąpała powietrze, nadal wierciła dziurę w całym.

- Z matematyki i fizyki. Życzy sobie pani odświeżyć wiedzę? Jakby co, to wie szanowna pani, gdzie mnie szukać. A teraz, proszę wybaczyć, uciekam, bo mam lekcje na mieście. Do widzenia.

Uchylił kapelusza i minął ją, obserwując ukradkiem, jak Kornacka stoi z ustami rozdziawionymi niczym karp i sztywna, jakby walnął w nią piorun z jasnego nieba. Heniek nie znał za bardzo Biblii, ale pomyślał sobie, że tak musiała wyglądać żona Lota. Ukłonił się raz jeszcze i pomknął na miasto załatwiać swoje sprawy.

Karol Denhel musiał chwilowo zawiesić swoje prywatne śledztwo, bo nie miał do tego głowy. Prowadzenie podwójnego życia, w Urzędzie Śledczym i poza nim, to było aż nadto. Leokadia była jego obsesją i stale o nią zabiegał, ale nie przeszkadzało mu to w związku z Elizą. Panna była pojętną uczennicą i o jej niezgrabności w łóżku myślał tylko z pewnym rozrzewnieniem. To była przeszłość, a teraz mógł śmiało powiedzieć, że nie miał nigdy tak oddanej i doskonałej w swych poczynaniach kochanki. Organizowanie sobie swawolnego i zarazem dyskretnego życia przez pannę i kawalera zamieszkałych wciąż ze swoimi rodzicami wymagało sporo zachodu i czasu, do tego zaś dochodziły stale

narastające i piętrzące się obowiązki służbowe. Złodzieje, a zwłaszcza kasiarze, poczynali sobie coraz śmielej i nie było dnia, by ktoś z pomocą raków bądź palników nie spruł jakiejś kasy. Mimo starań śledczych większość ze złodziei pozostawała nieuchwytna, więc w końcu musieli się tym zainteresować pismacy.

- „Warszawscy kasiarze się rozzuchwalili!”, tak, panowie, napisała „Rzeczpospolita”, a to już, jakbyście nie czytali albo nie słyszeli, „Kurjerek”: „Zamach na trzy kasy ogniotrwałe” - grzmiał Kurnatowski. - Czy mam czytać dalej?

Mówiąc te słowa, zastępca naczelnika Urzędu Śledczego wskazał leżący na biurku stosik gazet. Policjanci z niechęcią pokręcili głowami, bo tytuły znali na pamięć. Nie one były jednak najgorsze, lecz oficjalne zapytania płynące z Komendy Głównej Policji Państwowej oraz z samego ministerstwa. Żarty się skończyły, potrzebne im były jakieś sukcesy, ale samo zakasanie rękawów dawało tylko poczucie spełnionego obowiązku, a już niekoniecznie sukces.

Spraw było dużo, więc ludzi dramatycznie brakowało. Aspirant Denhel dostał więc własne sprawy do poprowadzenia! Nie były to jakieś wyjątkowe rzeczy. Kasa w fabryce rękawiczek Klejmana i Grunbergów przy Miłej oraz druga, w fabryce łóżek braci Brenmillerów przy Bagnie.

W obydwu przypadkach złodzieje źle się wstrzelili, bo robiąc sejfy innego dnia, mogli liczyć na sumy nawet dziesięciokrotnie większe, a tak trafili u rękawiczników dwa i pół oraz w fabryce łóżek półtora tysiąca złotych. Do tego śledczy był raczej kierownikiem i buchalterem niż detektywem, a ważniejsze od jego



intelektu były informacje agentów, posterunkowych oraz donosicieli. Trudno, co zrobić. Musi krok po kroczku udowadniać swą biegłość. Trzeba zacisnąć zęby i przypomnieć sobie, że jedną z najważniejszych cech śledczego jest cierpliwość.

Każdy oficer wywiadu musi mieć wiedzę, a przede wszystkim sprawną głowę i wyobraźnię. To podstawa, ale by być ponadprzeciętnym oficerem tajnej służby, trzeba za pomocą tych wszystkich atutów wyobrazić sobie, jak może wyglądać przyszłość i jak się na nią przygotować. Tego wszystkiego można się wyuczyć ciężką i rzetelną pracą, a dokładając naukowe metody oraz poufne informacje, uda się ogarnąć myśli wroga i przewidzieć niebezpieczeństwa zagrażające krajowi. Najlepsi oficerowie wywiadu mają jeszcze jedną umiejętność nie do wyuczenia - intuicję.

Do tych, którzy dysponowali taką przewagą, należał kapitan Juliusz Beniowski. Czasem w jego głowie pojawiały się ni stąd, ni zowąd sygnały, które za pomocą swej wiedzy oraz doświadczenia rozwijał i przekuwał w czyn. Tak było wiosną 1926 roku. Beniowski zdawał się wtedy żeglować na fali sukcesu, jego akcja sprzed kilkunastu miesięcy przynosiła plon.

Bolszewicka agentura była w matni, jej szpiedzy wpadali, a z doniesień agentów wynikało, że centrala w Moskwie wietrzyła zdradę i rozpoczęła czystki wśród wiernych sobie ludzi. Triumf nie odebrał mu jednak czujności i nie wepchnął w pychę. Zbierając strzępy informacji i zastanawiając się nad tym, co może się

wydarzyć nie tylko jutro, ale i pojutrze, wstał pewnego dnia gwałtownie zza biurka i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

Śmierć matki Henia, zamach na Frania, zwłoki Antka wyłowione pod Górą Kalwarią... Uspokoilo się, ale kto wie, co przyniesie jutro. Trzeba być gotowym, mieć szansę na błyskawiczny ruch, zarówno na atak, jak i na taktyczny odwrót, a jeśli wymagałaby tego sytuacja, nawet na ucieczkę. Atak i odwrót muszą być jednak solidnie przygotowane, a ucieczka nie może przebiegać w panice, lecz w oparciu o kilka możliwych do wyboru dróg. Życie agentów i oficerów wywiadu niesie ze sobą różne niespodzianki, nawet te skrajnie niemiłe, jak posądzenie o zdradę czy przekroczenie kompetencji i nadużycie władzy.

Beniowski należał do tych, którzy chcieli być po prostu skuteczni i zwyciężać, nie oglądając się na krępujące ruchy regulaminy. Brał więc po uwagę każdą możliwość, nawet tę najgorszą. Tego dnia dużo myślał, spacerując nerwowo po swoim biurze, po kilku minutach sięgnął po telefon i wykręcił zapamiętany dawno temu numer.

- Panie doktorze, potrzebuję pańskiej pomocy - zaczął rozmowę. - Musi mnie pan przebadać i wypisać parę recept. Przypuszczam, że nie obejdzie się bez naprawdę mocnych lekarstw.

Ileż rzeczy zależy od przypadku, na przykład wybór dorożki. Czasem człowiek chce jechać tą konkretną i umawia się z sałatą wcześniej, a czasem bierze, co jest pod ręką. Nikt jednak nie przypuszcza, że adres, pod który zajedzie, może nie być wyborem

jego, lecz dryndziarza. Gdy Heniek wskakiwał do dorożki przy rogu Złotej i Żelaznej, nie patrzył, kto siedzi na koźle. Dopiero gdy usłyszał śpiewne: „A dokąd to sobie życzysz, szanowny pan?” - zorientował się, że sałaciński jest Żydem. Gdy ten się odwrócił na koźle i spojrział na Wciślaka, przyszło drugie zdziwienie. Nie widział nigdy woźnicy tak starego i z tak długą brodą.

- Nieczęsto się trafia starozakonny dorożkarz? - zagadnął go sałata.

- No, nieczęsto.

- A w dodatku jestem najstarszy, nie masz pan starszego ode mnie, ani Żyda, ani goja! Jestem Mojsze Dawid i mam osiemdziesiąt trzy lata - powiedział z dumą. - To dokąd chcesz pan jechać?

- Mieliśmy jechać na Krakowskie, ale widzisz pan, skoro już pana spotkałem, to może zawieziesz mnie pan do jednego znajomego!

- A gdzie ten pana znajomy zamieszkuje?

- Nie wiem, ale wiem, jak się nazywa.

- Ale czy ja jestem książka adresowa, żeby wiedzieć, gdzie kto mieszka?

- On jest Żydem...

- Tu żyje czterysta tysięcy Żydów, a pan chcesz, żebym wszystkich znał? Ja mogę znać co najwyżej połowę! - Mojsze Dawid się zaśmiał.

- A Kugel?

- Jaki Kugel?

- Mosze Kugel...

- Drukarz?

- Tak, drukarz!

- Nie żyje. - Sałaciński z białą brodą odwrócił się do niego i spojrzał uważnie. - Nie żyje, zmarł dwa tygodnie temu.

W Heńka jakby strzelił piorun. Siedział bez ruchu na kanapie dorożki i kręcił głową.

- Niemożliwe, niemożliwe... - Przypomniało mu się, co mówił do niego siedem lat temu stary drukarz.

- Pan pytasz o *mamona*<sup>20</sup> ? Pan pytasz, ile to będzie warte? Pan szę dowiesz, jak pan tam pójdziesz, jak tam pójdziesz i wrócisz. Wtedy pan przyjdiesz do mnie i powiesz: „*Harcin dank*<sup>21</sup> , panie Kugel, to było warte wielki pieniądz”, i wtedy wyjmiesz pan ten wielki pieniądz i zapłacisz, a jak nie, to pan tu staniesz przed starym drukarzem i powiesz: to nie był dobry *geszeft*<sup>22</sup> , z tego były tylko same *curesy*<sup>23</sup> , ja teraz *ich hab kaine gelt in der kienszenje*<sup>24</sup> . Tak pewno będzie i wtedy ja usłyszę: „Panie Kugel, miał pan rację”.

Heniek wydusił w końcu z siebie:

- A tak go chciałem spotkać...

- A po co pan chciałeś spotkać stary Mosze?

- Pan Kugel wystawił mi ketubę, pomógł mi i nic za to nie chciał, powiedział tylko, że jeśli kiedyś będzie mnie na to stać i nie będę żałował draki, w którą się wpakowałem dzięki tym papierom, to dopiero wtedy mam do niego przyjść i zapłacić.

Zapadło milczenie.

- Dokąd pan chcesz jechać, dalej na Krakowskie?

- To może do Pasażu Simonsa, tam była drukarnia Mosze Kugla.

Nie mylił się, była. Bo gdy stanął pod drzwiami warsztatu, nie poczuł zapachu drukarskiej farby, gdyż pomieszczenie zostało odmalowane. Tragarze wnosili właśnie meble, biurko, szafę i krzesło, a robotnik wieszał szyld: „Lejzor Cygielman bilety, dokumenty i organizacja podróży; Palestyna, Nowy Jork i każde miejsce, które sobie klient zażyczy”.

Mojżesz Kugel nie był jedynym fałszerzem dokumentów w Warszawie. W samej tylko okolicy Pasażu Simonsa działało kilkunastu specjalistów w tym fachu, a w dzielnicy żydowskiej było ich kilkudziesięciu. Wszystkich znał szef brygady fałszerskiej aspirant Daniel Bachrach, więc to on był doktorem, który potrafił zorganizować receptę na każdą chorobę, nie wykluczając tej, której na imię było niespodziewane kłopoty.

Umówili się w znanym sobie miejscu, obaj mieli blisko na Bielańską, gdzie były delikatesy i restauracja braci Hirszfeldów. Kapitan miał słabość do pieczonych kaczek i pejsachówki, a z kolei starozakonny oficer policji Bachrach czuł się w tym miejscu jak ryba w wodzie, więc lokal pasował im jednakowo dobrze.

- Witam pana doktora - rzucił z szerokim uśmiechem Beniowski.

- Czołem, jak uzdrowić mojego szczególnego, drogiego pacjenta? - odpowiedział pytaniem Bachrach, śmiejąc się serdecznie. - Kapitanie, jaki masz pan interes?

- Chcę zjeść najlepszą kaczkę na świecie i pogadać o papierach.

- Sam sobie nie radzisz? - Bachrach się uśmiechnął. Byli na ty, mimo że policjant był o prawie dziesięć lat starszy od Julka. - „Dwójka” ma przecież swoje dojścia.

- Ale ja mam szczególne potrzeby, które nie znoszą rozgłosu i pytań przełożonych.

- To zupełnie jak ja, zupełnie jak ja, ale my się doskonale rozumiemy - zażyłaczył Bachrach, rozkładając ręce w sposób charakterystyczny dla starozakonnych.

- Pieczona kaczka?

- Oczywiście, mówisz pan: kaczka, będzie kaczka. - Aspirant Bachrach coraz bardziej przypominał żydowskiego sklepikarza.

- Jesteś pan mój klient, a klient nasz pan. Kapitanie, ty kupujesz ode mnie najlepsza usługa w mieście, a ja stawiam obiad!

Beniowski się śmiał, analizując w duchu, czy Daniel Bachrach bardziej udaje wtedy, gdy gra typowego żydowskiego przedsiębiorcę, czy też wtedy, gdy jest aspirantem Policji Państwowej. Kiedyś go o to zapyta, a na razie zapach roznoszący się po sali kazał się zająć czymś zupełnie innym.

- Panie starszy. - Kapitan zwrócił się do kelnera. - Pejsachóweczkę na początek, zamówimy na pewno coś z delikatesów na przekąskę, a na główne poproszę już teraz, pieczoną kaczkę raz!

Kelner kiwnął głową, nie spodziewał się zresztą niczego innego, bo w całej Warszawie to właśnie tu była najlepsza kaczka, a obydwu klientów widywał już w lokalu.

- Jakiś pasztecik, a może foie gras? - zapytał Beniowski Bachracha.

- Mnie tu wszystko smakuje.

- To zamówię wybór zakąsek i... - Kapitan zrobił tajemniczą minę.

- I?

- I całą historię dla paru osób.

Bachrach spojrział na Beniowskiego uważnie i obrócił w palcach kieliszek. Zrozumiał, że zamówienie, z którym przyszedł kapitan, jest poważne, bardzo poważne.

- Dla ilu osób ta historia i jak długa?

- Od kołyski aż...

- Po grób?

- Jakiś akt zgonu też będzie potrzebny, ale muszę mieć na początek z pięć dobrze podpartych życiorysów. Akty urodzenia, świadectwa szkolne, paszporty...

- Nie mów, kapitanie, że będzie chodziło o różne zabory?

- A nawet o zagranicę...

- No to czuję wielki smutek i radość, bo cię lubię, ale pieniądze jeszcze bardziej. Nie będę z ciebie zdzierał, ale to i tak będzie fortuna, w Warszawie jest cała masa blankietów z Królestwa czy Priwislanskiego Kraju. Jak się wycofywali carskie, a później kajzery, to sprytni ludzie powynosili z urzędów masę papierów, do których dopasowuje się teraz pieczętki i nazwiska. Gorzej, jak trzeba sprowadzać podkładki pod ketuby z Galicji i z Poznańskiego. Tam naród nie jest tak obrotny, jak w Warszawie. Będzie się musiał pan kapitan przenieść do marynarki, bo będzie panu potrzebna niemała flota.

- Trafieś, mój drogi, w dziesiątkę! Ja już prawie jestem w marynarce, ale w handlowej, a nie wojennej.

Beniowski wyjął z kieszeni wizytówkę i podał ją Bachrachowi. Ten obejrzał ją starannie i przeczytał:

- Towarzystwo dla Handlu Zagranicznego Bałtyk - Świat, Gdynia, Warszawa, Lwów. Juliusz Beniowski, kierownik biura w Warszawie. Galeria Luxenburga, ulica Senatorska dwadzieścia dziewięć.

- Fiu, fiu, to teraz mundur jedzą mole!

- A widziałeś mnie kiedy w mundurze?

- No pewnie tyle razy, ile ty mnie?

Oficerowie pośmiali się z tego dowcipu i wznieśli toast. Szybko jednak skończyli, bo spotkali się tu w interesach, a omówienie, choćby nawet wstępne, zorganizowania pełnego zestawu dokumentów, by zbudować wiarygodność i bezpieczeństwo kilku nowych tożsamości, wymagało czasu i skupienia.

Skończyli właśnie ustalać pierwsze ruchy, które ich czekają, a Bachrach skreślił wstępny kosztorys, gdy na stół wjechała kaczką. Oczywiście, jak to u Hirszfeldów, dotarła w całości, a kelner podzielił ją na oczach gości. Ten rytuał urozmaicili sobie kolejeczką pejsachówki. Wódka była mocna, najmocniejsza ze wszystkich, ale w restauracjach i porządnych knajpach nie piło się z dużych kieliszków. Cykali więc sobie po dwadzieścia pięć gramów, w bezpiecznym tempie dozując alkohol do organizmu. Na koniec umówili się na kolejne spotkanie i wyszli z lokalu.

- Idziesz do siebie na Daniłowiczowską? - zapytał Beniowski.

- Nie, w kierunku Nalewek - odparł Bachrach. - Na dziś koniec, nie muszę wracać do urzędu, będę miał za to mnóstwo roboty przy tych twoich papierach, więc pójdę już organizować chłopakom



pracę. Niech na początek wynajdą oryginalne blankiety do wypełniania.

Uchylili sobie kapeluszy i poszli, każdy w swoim kierunku.

Heńka i Julka dzieliło dosłownie kilka minut spaceru, mniej niż pięć, jeśli szło się bardzo powoli, tyle czasu zajmowało bowiem przejście od restauracji Hirszfeldów przy Bielańskiej 5 do Pasażu Simonsa. Z pozoru bardzo blisko, ale dzieliła ich nie pusta przestrzeń, lecz najintensywniej żyjąca część miasta. Między nimi było jakieś trzysta metrów i... kilkaset sklepów, firm i firemek, knajp, szynków i warsztatów, do tego Wielka Synagoga na Tłomackiem. Przestrzeń zapełniona tysiącami ludzi, a sam Pasaż Simonsa, w którym Heniek szukał śladów po Mosze Kuglu, był jak małe miasteczko. Tam można było się zgubić lub znaleźć. Heniek odszedł od drzwi dawnej drukarni Kugla i miał ruszyć w kierunku placu Bankowego, gdy zobaczył znajomą postać.

- Adaś! Adaś Goldfarb!!! - krzyknął.

Tak, to na pewno był on, najpierw przystanął, a później spojrzał na Heńka i ruszył w jego kierunku.

- Heniek Wcisło, co się z tobą działo, do cholery? Miałeś się odezwać po pogrzebie.

Heniek nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

- A może wolałeś się ze mną nie spotykać?

- Tak jakby...

- *Zol, zol, azol<sup>25</sup> ! Ojf widerzejn, do widzenia!*

- Poczekaj, Adaś, to nie tak jak myślisz, jesteś świetny kumpel i dlatego...

- Co ciebie dlatego?

- Jakoś kiepsko ostatnio lądują moi bliscy i znajomi. - Heniek spojrzał wymownie i rozłożył ręce. - Taka jest prawda, mama, Antek, postrzelony koleżka z Czerniakowa no i wreszcie ja.

- Co ty jesteś Jonasz, ty ściągasz na siebie burzę, gniew Boga? Czemu Jahwe miałby rzucać gromy na głowę Heniek Wcisło. Jonasz uciekał przed Bogiem i najwyższy chciał go zawrócić. Ty też uciekasz?

Heniek pokiwał głową.

- I przy okazji robi się *miszmasz*<sup>26</sup>, bo się pchasz w niepotrzebne historie.

- Pewnie i to jest prawdą.

- *A szlag zol dich trefn*<sup>27</sup> - Adaś się uśmiechnął. - Ja się nie boję, bo w *curesy* się pakuję z własnej woli i bez niczyjej zachęty. Co cię tu sprowadza, knajpa, handel, kobieta?

- Nie trafiłeś. Pamiętasz tego starego drukarza, który mi robił dokumenty?

- Oczywiście, Mosze Kugel, to ciekawe. - Adaś zawiesił głos. - On niedawno zmarł, ale nie bierz tego do siebie. On był już stary i najwyższy nie potrzebował żadnego Jonasza.

- Wiem, że nie żyje.

- Gdybyś się odezwał wcześniej, gdybyś dał jaki znak, gdybym wiedział, że chcesz się z nim spotkać...

- To co?

- To byłbyś pewno na jego pogrzebie, on na pewno by chciał.

- Skąd wiesz?

- Byłem u niego tuż przed śmiercią, miałem tam różne sprawy do załatwienia, a on rozpoznał mnie i zapytał: „I jak ta *ketuba* dla

pana Heniek? Czy ona mu co pomogła?”. Na to ja, że chyba tak, że przetrwałeś wojnę, żyjesz jak pan, i tak dalej, i tak dalej. A on na to: „Skoro tak, to pan Heniek jest mi winien porządny pieniądz!”

- Adaś, ja mu jestem winien pieniądze!

- To mu je oddaj!

- Ale przecież Kugel zmarł - zdziwił się Heniek, po czym szybko zrozumiał, jaka może być intencja Adasia. - Czy ma spadkobierców, myślałem, że może w jego drukarni znajdę kogoś z rodziny?

- Ma! W pewnym sensie ma i jakby się temu uważnie przyjrzeć, to ja reprezentuję jego spadkobierców. - Goldfarb się zamyślił.

- Jak to? On był twoim krewnym?

- Starszym bratem w wierze i wyborze, pamiętasz, co on wtedy mówił?

- No, mniej więcej, ale o co ci konkretnie chodzi?

- Z początku to strasznie ciebie sztorcował, że się pchasz w kłopoty, mnie też usadził, jak mówiłem, że może kiedyś pomoże mi z papierami na wyjazd do Palestyny..

- Aż w końcu powiedział, że gdyby był młody, toby się wpakował w jakąś drakę i pewnie też pojechałby do Palestyny! Adaś, o co chodzi?

- To się stało jego marzeniem, którego nie mógł już spełnić, stało się też moim, ale ja jestem młody i to zrobię! Jestem jednym z tych, którzy chcą pojechać do Palestyny i zostać osadnikiem, budować żydowskie państwo!

- Do Palestyny? Przecież wy z ojcem należeliście do tych, którzy chcą mieszkać w Polsce i zmieniać swoje życie.

- Mam dość, niczego tu już nie chcę zmieniać. Mam dość.

- Znasz tę powiastkę? Katolik, muzułmanin i żyd byli u lekarza. Wszyscy dowiedzieli się, że mają nieuleczalną chorobę. Co robi katolik? Jedzie do Lourdes, bo w Częstochowie już był. Co robi muzułmanin? Jedzie do Mekki. A co robi żyd? Zmienia lekarza. Znajdź co nowego Adaś, zrób jak porządny, mądry żyd!

- A ja jestem żyd, co znalazł, ale daleko. Ja stąd wyjeżdżam. - Adaś popatrzył poważnym wzrokiem na Heńka. - Ja ciebie mówię, Heniek, wyjeżdżam do Palestyny i swojej decyzji nie zmienię. Jakbym mógł, tobym zrobił to zaraz, ale muszę tu jeszcze uporządkować swoje sprawy. Chcę tam być i walczyć o żydowskie państwo.

- Co ty mówisz? Naprawdę wyjeżdżasz i będziesz robić żydowskie państwo?

- Naprawdę. Od dawna o tym myślałem, wtedy u Kugla nie żartowałem. Ty uciekałeś z nudnej szkoły do wojska, a ja już wtedy chciałem wiać tam, gdzie jest miejsce wszystkich Żydów. Chciałem to.

- Myślałem, że żartowałeś.

- Nie żartowałem, wiesz, że ja nie żartuję.

- Miałeś wtedy dwanaście lat, mogło ci przejść, ja chciałem być maszynistą, Indianinem, kowbojem...

- I chciałeś być Polakiem w polskim domu, bez ruskich i Niemców. To ci nigdy nie przeszło, prawda? Ja mam teraz dziewiętnaście i nie chcę iść do wojska, mimo że do Polski nic nie mam. Chcę być Żydem z żydowskim państwem, a nie sublokatozem, zamiast biletu do jakiejś zafajdanej dziury, gdzie będą mnie czołgać po ziemi, wolę bilet do Hajfy lub Tel Awiwu.

Tam też dostanę karabin, ale będę walczył o konkrety, a nie o to, żeby mnie pan kapral zgnoił jak byle Icka.

- I jak tam trafisz? Ty, który nigdy nie wyjeżdżałeś z Warszawy?

- Masz jakieś wątpliwości? Myślisz, że tylko ty jesteś taki mądrała, to dlaczego żeś nie skończył Wawelberga? - Adaś wyraźnie się zapalił. - Ja tam jadę na studia! W Jerozolimie już od ponad roku jest nasz uniwersytet. Uniwersytet Hebrajski, posłuchaj jak to brzmi; *HaUniwersita Halwrit bejeruszalaim!* Przybywają tam tacy jak ja, którzy chcą się uczyć, a miejsca i profesorów starczy, bo zgłaszają się naukowcy z całego świata. O drogę nie muszę pytać, raczej muszę się pośpieszyć, by starczyło dla mnie miejsca. Dziesiątki tysięcy Żydów zmierzają w zorganizowanych grupach do Palestyny. Słyszałeś kiedy o aliji?

- Pierwsze słyszę.

- To powrót Żydów na swoje, to już nasza czwarta fala. Wcześniej wyjeżdżali do Palestyny Żydzi z Rosji, biedota z zapadłych sztetli, a teraz pora na Żydów z *Polin*<sup>28</sup>, na rzemieślników, robotników, a nawet takich, co prowadzą poważne geszefty. To już nie jest wianie przed carską Czarną Sotnią, tylko świadomy wybór. Kapujesz? Jedziemy na swoje, robić własne państwo. Tak jak Polacy stawiają Gdynię, tak Żydzi w Palestynie mają swój Tel Awiw. Tam będziemy lądować na naszej ziemi.

- Co będziesz studiował?

- To co będzie potrzebne, każdy kierunek, na który się nadam. Chcę żyć i pracować w kibucu.

- Gdzie?

- Nie gdzie, tylko w czym. Kibuc to organizacja, to spółdzielnia, to osada, w której wszyscy są równi i po równi się dzielą owocami pracy.

- Troszkę to jedzie Leninem czy tylko mi się wydaje?

- To nie są sowieckie dyrdymały! Lenin zrobił tak z całym krajem, a kibuc to jak rodzina, to życie we wspólnocie z własnego wyboru. Jak tam trafię, jak znajdę swoje miejsce na ziemi, to będę tam agronorem albo nauczycielem - rozmarzył się Adaś - a może... a może lekarzem?

- A może rabinem?

- A żebyś wiedział, może rabinem! Tam nie mieszkają Żydki - gudłaje w chałatach, tylko osadnicy, pionierzy. Tam i rabini są inni niż tutaj. Tam się jeździ na koniach, nosi broń, uprawia rolę i broni swojej ziemi.

- Jak na westernie - zaśmiał się Heniek.

- Tak, jak na westernie. - Adaś pokiwał głową ze śmiertelnie poważną miną.

- Brakuje tylko Indian. - Heniek dalej próbował kpić z przyjaciela.

- Są Arabowie, którzy napadają na nasze osady - z wściekłością w oczach rzucił Adaś. - Dlatego w kibucu nie ma miejsca dla chałaciarzy, słabych Żydków i chasydów. Kibuc jest dla prawdziwych Machabeuszy - wojowników i zdobywców. Tam każdy pracuje, ma swoją robotę, na której najlepiej się zna, ale oprócz tego każdy jest żołnierzem, inaczej nasze kości białąby już na słońcu.

Heniek popatrzył na Adasia, faktycznie nie był on już małym Żydkiem, który mógł zaimponować tylko wiedzą. Po ojcu tragarzu

odziedziczył posturę, a ogień, który miał w oczach, płonął zbyt mocno, by marzenia o wyjeździe do Palestyny były tylko mrzonką.

- Kiedy jedziesz?

- Jak skończę szkolenie.

- Jakie szkolenie, wojskowe?

- Wojskowe? Dawno się nie widzieliśmy, to ci parę rzeczy przepadło, owszem, wiem, co robić z karabinem. Jak przyjdzie co do czego, to będę kosił Arabów jak trzeba i to nawet z maszynki!

- Co, nauczyłeś się podawać taśmę?

- *Kisz mir im tochens*<sup>29</sup> ! A ty się nauczyłeś Biblii czy dalej uważasz, że wasz Jezus i jego matka to Polacy, którzy razem z Bogiem Ojcem i aniołami szprechają sobie po polsku?

Był to sprytnie zadany prztyczek w nos, bo przecież kiedyś na dzień dobry Heniek i jego kuzyn o mało nie pobili się z Adasiem o pochodzenie Jezusa. Dopiero ksiądz przekonał ich, że król żydowski był Żydem.

- No dobra, masz rację, ale jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić z giwerą, nie mówiąc już o tym, że grzejesz z maszynki. Ale jak tak na ciebie patrzę, to widzę, że jesteś teraz inny facet. Zmężniałeś, zrobił się z ciebie fest zawodnik, chłopie!

- To dał mi kibuc, a to szkolenie mam właśnie tam.

- Czyli gdzie? - Heniek nie zrozumiał słów Adasia.

- No przecież mówię ci, że w kibuc. Codziennie rano wstaję i pracuję jako rolnik, wiem, jak się doi krowy, rozrzuca gnój, uczę się robić pługiem i jak karmić zwierzęta. Dopiero jak się nauczę do końca, to wyjadę do Palestyny.

- A gdzie się tak doksztalczasz, gdzie masz ten cały kibuc?

- Na Grochowie, *szajgec*<sup>30</sup> z Woli.

- Na Grochowie?

- Tak, na Grochowie. No co się tak patrzysz, jakbyś usłyszał o tym waszym Twardowskim na kogucie? Wsiadam w dwadzieścia cztery i jadę Grochowską na Gocławek. Jeden przystanek przed pętlą wysiadam, idę parę minut i jestem w kibuc! To gospodarstwo działa już ładnych parę lat, ale jak nie jesteś Żydem albo gojem z Grochowa czy Gocławka, to nie musisz o tym wiedzieć.

- A o czym jeszcze nie wiem?

- Może o tym, że boksuję.

- Ty?

- Ja, a co w tym dziwnego?

- Byłeś drobny, siedziałeś w książkach...

- Ale mój ojciec to tragarz, a ja chcę mieć krzepę i kowadło w pięści, tak jak on. Już ci mówiłem, nie chcę być chałaciarzem, jakby mnie tylko interesowały książki i chciałbym być słabym Żydkiem, tobym przystał do chasydów, a ja należę do Machabeuszy! Słyszałeś o Maccabi?

- To taki klub sportowy, co nie?

- Tak, klub syjonistów. - Patrząc na Heńka, wyjaśnił, na wszelki wypadek. - To tacy jak ja, którzy chcą państwa żydowskiego. Za parę dni mamy mecz z Czarnymi, a to są Bundowcy. Delikatnie mówiąc, nie lubimy się z nimi, a oni z nami, a w szczególności to ja mam z tą ferajną na pieńku.

- Cóżeś im wykreślił?

- Byłem jednym z nich, ale zrozumiałem, że chcę budować państwo żydowskie, a Bund jest temu przeciwny. Oni, rozumiesz, tylko tu i teraz. Pojąłem, że moje miejsce jest tam, zdecydowałem



się na wyjazd, więc wypisałem się od nich i jestem teraz syjonista! Dostałem się do drużyny Maccabi i się szykuję do meczu, będzie się działo. Przyjdź, zobaczysz, jak się potrafią tłuc Żydzi i to nie tylko w ringu. Wiesz, co się dzieje na widowni? Na futbolowych meczach nie widzieli tego, co wyprawia żydowska publika, jak grają Maccabi i Czarni, to jest gorzej, niżby przyjechały za swoją Pogonią baciary z Lwowa.

- Niezły z ciebie wariat. Gdzie trenujesz?

- Tu, w Pasażu Simonsa mamy salkę bokserską. Chcesz wpaść?

- Najpierw to mi powiedz, jak mam zwrócić pieniądze nieboszczykowi. Znam jeden sposób na kontakt, ale mi się nie uśmiecha, może tak za jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat.

- No masz rację, pożycz sobie na tym świecie, a w imieniu Mojżesza Kugla wpłać parę złotych na kibuc albo opłać składki w Maccabi za jakiegoś biednego chłopaka czy wrzucić do kasy syjonistom.

- Dobra myśl, pewnie drukarz byłby zadowolony z takiego pomysłu. To prowadź, zobaczę trening i dam na tacę - zażartował Heniek.

Huk był ogromny, a jeszcze większy smród potu, szczelnie wypełniająca małą salkę, w której się uwijało z dziesięciu młodych ludzi i dwóch starszych. Centralny punkt stanowił ring, gdzie walczyła jedna para. W rogu sali trener ćwiczył z jednym z bokserów, a reszta tłukła niemiłosiernie w gruszki i worki. Kilku nie miało rękawic, za to opętańczo wprost młóciło na skakankach i machało hantlami.

- Można tu siekierę zawiesić - westchnął Heniek.

- Jak w każdej boksterskiej sali, nasz trener mówi, że wszędzie na świecie tak to wygląda, no chyba że w klubach dla dżentelmenów. Boks nie wymaga luksusów, tylko pracy. Pomożesz mi?

- A co mam robić?

- Jak się przebiorę i rozgrzeję, to potrzymasz mi tarczę.

Heniek najpierw przyzwyczał się do smrodku treningowej sali, a następnie musiał przywyknąć do potężnych ciosów zadawanych przez Adasia.

- Goldfarb, z ciebie to niezły zabijaka, ale i ja bym tak potrafił!

- Czyżby?

- Możemy się zamienić?

- Proszę bardzo.

Heniek, choć nie był jakimś Herkulesem, to jednak miał krzepę, był też szybki i wytrzymały, ale po kilkunastu silnych uderzeniach poczuł, że jednak takie tłuczenie może być męczące. Tymczasem Adaś pokrzykiwał:

- Panie goj z Woli, raźniej! Szybciej i góra dół, góra dół!

Po niespełna minucie miał dość.

- Ożeż ty kurtka na wacie!

- A widzisz!

- Widzę.

- Poza tym trzeba walić z głową, a ty jesteś surowy jak nie wiem co.

- Co surowy, potrafię dać w ryj!

- Każdy potrafi, ale bić byś się nie potrafił.

Heniek przypomniał sobie różne szarpaniny i te najważniejsze walki, w których stawką było zdrowie, a nawet życie. Na froncie

poszedł na bagnety i dokończył sprawę z pistoletu. Szamotanina z Franiem... Wziął go z zaskoczenia i w ciemności. Co by było, gdyby nie miał pistoletu i musiał walczyć z kimś na gołe pięści? Zawsze szedł na spryt - on zaczynał i kończył. Fanga w nos i pozamiatane albo kop w krocze - tak załatwił tych studenciaków, co wyzywali Marszałka i prezydenta. Popatrzył na bokserów ćwiczących w salce Maccabi.

- Z tymi tu i tobą byłoby ciężko, musiałbym mieć gwarancję, że walę pierwszy. - Uśmiechnął się pod nosem. - Z reguły tak robię.

- No to proszę, masz rękawice na rękach, to próbuj. - Adaś zaczął przed nim miękko podskakiwać.

- Daj spokój... nie chcę kumplowi zrobić krzywdy.

- Nie zrobisz!

- Nakładę ci piąch w kiepełę<sup>31</sup>, złamię ci kichawę albo wybiję zęby, po co?

- Nie oddam ci, słowo!

- Nie o to chodzi.

- Wal, nie bądź mięczak!

- Nie jestem mięczak!

- No to jesteś tchórzliwy goj!

- To było niepotrzebne!

- Tchórz!

- Zamknij się!

Nagle Adaś podskoczył i dał Heńkowi prztyczka w nos.

- Przestań!

Znów doskok i tym razem Wciślak zaliczył strzał w ucho.

- Sam tego chciałeś!

Heniek zamachnął się i poleciał w przód. Nie wiedział jakim cudem, ale nie trafił Adasia. Ten wywinął się, stanął niemal za Wciślakiem i strzelił go w ucho. Jeszcze jeden atak i znów pięści młóciły powietrze. Henryk tracił równowagę, ale zamiast kolejnych trafień w ucho poczuł, że Adaś lgnie do niego jak babka w tańcu i krępuje jego ruchy.

- To jest klincz - usłyszał. - Dobra, koniec!

Heniek nie czuł się najlepiej. Był zziębnięty i zły, a do tego słyszał śmiech bokserów z Maccabi, którzy nie mogli dojść do siebie po jego szarży. Adaś klepał go po plecach i śmiał się razem z innymi. Wtedy podszedł do nich trener i się przywitał.

- Izrael Fajn, *szalom*, witam w Maccabi! Klub jest żydowski, ale szukam dla Adasia jakiś dobry sparingpartner. Ważysz tyle samo, podobny wzrost... Dobra szybkość, siła też, tylko jesteś pan surowy, pan jesteś jak niedopieczona maca - zaśmiał się trener Fajn. - Pomożemy sobie? Ja pana nauczę, jak się bić, ja z pana zrobię mistrz boksu, pan będziesz prawdziwy czempion, tylko musisz pan przez parę miesięcy poskakać i się poboksować z Adasiem. Możemy się zgodzić na taki geszeft?

Zgodzili się i Heniek został pierwszym gojem ćwiczącym w żydowskim klubie Maccabi.

## CZĘŚĆ TRZECIA

### WIELKA MAJÓWKA

#### XI

### ONDREJ MUCHA

#### **Kościelisko roku 1844**

Ondrej Mucha miał już swoje lata i dawno skończył ze zbójowaniem. Najpierw wyprowadził się ze Spiszą, gdzie zbyt wielu ludzi mogło w nim rozpoznać dawnego herszta zbójeckiej bandy. Przeniósł się więc z Węgier na austriacką stronę, do położonej w kotlinie wsi Zakopane. Polecili mu to odludzie zbóje, z którymi kilka razy łączył siły w napadach na duże karawany kupców, ciągnących z południa na północ. Lubił to miejsce, choć bieda była tam bezgraniczna.

Może to go właśnie pociągało, bo wśród sąsiadów był chłopem, któremu się wiodło i któremu zazdrozczono. Nie budził jednak

zawiści, gdyż był uczynny i nie szukał zwady, ale jak trzeba było, to potrafił wartko rozwiązać problem, waląc w kufę<sup>32</sup> tak, że szybko zdobył sobie szacunek i uznanie. Nauczył się mówić jak miejscowi, którzy z miejsca przechrzcili go na Jędrusia. Wziął tu sobie piękną dziewczuchę ze zbójckiego rodu Matejów i zaczął gospodarzyć. Dobrze mu się żyło wśród tych biedaków w miejscu, do którego prowadził marny trakt, gdzie jeszcze niedawno żyli tylko górnicy, nieliczni gospodarze i tacy jak on - wyjęci spod prawa<sup>33</sup>. Świat wciąż kończył się na Nowym Targu i Szaflarach i nie było tu żadnej władzy ani kościoła.

Jemu to pasowało. Miał piękną chałupę, jeszcze śwarniejszą babę i tylko dzieciaków od pana Boga nie dostał. Mógł za to chadzać do karczmy bez obawy, że ktoś rozpozna w nim zbójcę. Na Liptowie i Spiszu unikał gospód, jarmarków, a nawet kościołów, by nie skończyć jak inni zbóje, których wypatrzono, często nawet po długich latach od zaprzestania zakazanego rzemiosła. Najczęściej wydawały nieszczęśników głupie frajerki albo ci, którzy zazdrościli im bogactw, czasem koledzy, z którymi się pokłócili o dziewczuchę. Często jak dwóch juhasów walczyło o jedną babę, to gdy jeden zawrócił jej w głowie i wybrał zbójowanie, to drugi z miejsca szedł do hajduków szukać pomsty. Te czasy powoli się kończyły. Zbójom było coraz trudniej, ale wciąż nie brakowało śmiałków żyjących z zabierania tym, co mieli i dawania tym, którym brakowało, czyli sobie. Jędrus-Ondrej sam już nie zbójował, ale jak wielu starych harnasi dorabiał na pomocy dobrym chłopcom. Karmił ich, przekazywał informacje, zaopatrywał, nocował i chował łupy. W tym ostatnim nie było od niego lepszego, a najlepiej zadbał o własne skarby. Miał w górach

sekretne miejsce, gdzie niczym w banku trzymał zrabowane przez lata bogactwa. Co roku, niby to odwiedzając bacę i juhasów, którym powierzył owce, szedł hań w góry, a w drodze powrotnej wyciągał z kryjówki złote dutki. Czasem brał też kosztowności, ale z tym był bardzo ostrożny. Miały swoją cenę, ale nie łatwo było je sprzedać. Za każdym razem oglądał najpiękniejszą część swojego skarbu - złotą maskę, którą zrabował trzem tajemniczym cudzoziemcom. Zdarzyło się to więcej niż pięćdziesiąt wiosen temu, na trakcie między Spiszem a Szaflarami.

Od roku na drogach panował spokój, bo zbóje pochowali się po tym, jak największy z nich, Juraj Proćpak, został stracony z wieloma swoimi kompanami. Wielki był z niego harnaś, większego nie będzie, ale mu się szlachcianki, wielkiej pani, zachciało i to go właśnie zgubiło. Ale to nie jaśnie pani go wydała żandarmom, lecz jego frajerka, Baśka Sołtyska. Gdy rozkochana w Juraju Proćpaku wdowa dowiedziała się, że musi się nim dzielić ze szlachcianką spod Żywca, to namówiła paru chciwych kompanów harnasia do zdrady. W nocy uciekli z kuferkim i wydali resztę kompanii żandarmom.

Sąd nie miał litości i na początku Roku Pańskiego 1796 skazał dwudziestu jeden dobrych chłopców na śmierć, czterdziestu jeden na więzienie w Wiśniczu, a siedemdziesięciu siedmiu kazał wybatożyć. Co się stało z dezertierami, których było czterech, tego Ondrej nie wiedział, odesłali ich do jednostek, a tam, jeśli ich nie rozstrzelali czy powiesili, to na pewno kazali batożyć. Egzekucje ciągnęły się kilka dni i w wielu miejscach, bo każdego stracono w jego rodzinnej wiosce. Strach zapanował wśród zbójników, ale po roku znów wrócili na szlaki.

Spodziewali się jakiegoś kupca, którego by nastraszyli i bez bitki łatwo ograbili. Tymczasem wyjechało tych trzech. Najpierw myśleli, że to Cyganie, bo tak wyglądali - mieli czarne włosy i ciemne twarze, ale mówili zupełnie inaczej i mieli broń jak wojacy. I bili się jak wojacy. Lepszych od nich nie spotkał, ani przedtem, ani potem. Zanim w dwunastu dali im radę, upuszczono wiele krwi. Tamci byli gotowi na ich atak, mimo że banda, do której należał Ondrej, siedziała ukryta za drzewami. Musieli ich jakoś wypatrzyć, tak jak orły są w stanie wypatrzyć z wysokości polną mysz. Gdy Ondrejowi wyskoczyli znienacka, od razu zaczęli strzelać. Zwykle zbójnicy strzelali w powietrze, bo wystarczał huk i dym, by napadnięci mieli pełne portki. Tym razem było inaczej, chcieli trafić, ale nie mogli, za to tamci byli na nich przygotowani i walili celnie.

Mały Jano padł zabity, a Duży Jano i Lubo zostali ranni. Zanim dopadli jeźdźców, było już ich tylko dziewięciu. Pięciu od razu się starło w walce, a czterech, po dwóch z każdej strony traktu, pilnowało, by zaatakowani nie uciekli zbójnikom. Ondrej Mucha wraz z Duszanem mieli nie dopuścić, by któraś z ich ofiar zawróciła w kierunku Niedzicy. Na to się nie zanosilo, bo trzech jeźdźcy z ofiar stali się upiorami niosącymi ból i śmierć. Nie wpadli w panikę i zaczęli siec zbójników tak, że padł kolejny zabity i następny ranny. Ondrej z Duszanem pośpieszyli więc z pomocą, podobnie jak pilnujący przeciwnej strony traktu Jozef i Lubosz.

Jeźdźcy zauważyli tych dwóch, ale nie zwrócili uwagi na zagrożenie, które pojawiło się z tyłu. Duszan dopadł jednego, a Ondrej drugiego, ich ciupagi spadły na plecy przeciwników, ale



tylko Mucha zrobił to jak trzeba. Jego jeździec spadł zalany krwią, a ten, którego zaatakował Duszan, zdołał się jeszcze odwinąć i ciął zbójnika po gardle. Ondrej niemal w tej samej odrąbał mu rękę, a następnie poprawił w bok. Człowiek o ciemnej twarzy bez ducha zwałił się z konia. Tymczasem ostatni z jeźdźców zabił jeszcze jednego zbójnika, a dwóch kolejnych ciężko zranił.

Nie żyło już czterech zbójników, w tym harnaś, Martin Cesnekov. Zdolnych do walki było czterech ludzi, a jeden lekko ranny. I właśnie w Tomasie, z którego ramienia leciała krew, ostatni z jeźdźców wypatrzył słabe ogniwo - ruszył w jego kierunku, waląc szablą, wtedy jednak padł jedyny celny strzał oddany w tej potyczce przez zbójników. Kula trafiła konia, który zakwiczał, stanął dęba i zwałił się na ziemię. Jego pan zdążył uniknąć przygniecenia przez wierzchowca i szybko stanął do walki. Tak jak planował, wcześniej dokończył sprawę z Tomaszem, ale to było ostatnie, co mu się tego dnia i za całego życia udało. Milos z całych sił uderzył długą siekierą i zrobił to nie po to, by zadać przeciwnikowi ranę, lecz by pozbawić go broni. Szabla pękła na dwoje, a jej właściciel stał teraz ze smutnym kikutem w dłoni. Wtedy spadły na niego razy od Ondreja i Michała.

Sprawa była skończona, bo bili z taką zaciekłością, jak nigdy. Normalnie by się pomiarkowali, by ocalić cenny kaftan, portki i kapelusz. Ale nie tym razem. Rozsiekli mężczyznę, aż zostały z niego krwawe strzępy. Tylko piękne buty i rękawice powiększyły ich łupy. Przy trójce tajemniczych jeźdźców znaleziono masę monet i dziwną złotą maskę. Było co dzielić, bo rzadko kiedy jakaś kupiecka karawana wiozła ze sobą tyle pieniędzy, rzadko też było do podziału tak niewielu ludzi. Napadnięci, nim sami zginęli,

zabrali ze sobą pięciu zbójników, a kolejnych czterech ranili. Zaraz po walce zmarł szósty, a siódmy nie dożył do najbliższej niedzieli. Dobro podzielono, uwzględniając zapomogę dla rodzin, które straciły mężów i ojców. Część pieniędzy i złotą maskę schowano tam, gdzie trzymali specjalny fundusz przeznaczony na czarną godzinę. Niemal wszyscy porzucili zbójnicki proceder, doszedłszy do wniosku, że skoro przeżyli taką jatkę, to nie ma co więcej kusić losu.

Zastanawiali się czasem, kim byli tamci ludzie. Wychodziło im, że napadli oni na zamek Sebastiana Borzeviczego. W dzień świętego Antoniego jacyś konni wjechali na dziedziniec, zabijając najpierw kilku hajduków, a później córkę pana Borzeviczego, którą miejscowi nazywali księżniczką. Ranny został jej malutki syn i jeszcze kilkoro ze służby. Na trakcie trafił więc swój na swego, dlatego musiało paść aż tylu ludzi.

Dziś Ondrej, choć wciąż był z niego mocarny chłop, to czuł, że idzie jego koniec. Miał na karku siódmy krzyżyk i nie był już w stanie sam wspiąć się do swojego skarbu. Pora przekazać tajemnicę. Dzieci nie miał, ale kuzyn Wojtek z Matejów skończył dwanaście lat. Był najmłodszy, ale i najbystrzejszy w zbójckim rodzie. Pora powiedzieć chłopakowi co i jak, bo za chwilę może być już za późno.

## XII

### PRZED BURZĄ

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 26 kwietnia roku 1926*

*W szkole mówią, że dzieje się na naszych oczach wielki postęp. Elektryczność, kanalizacja i gaz docierają do coraz większej liczby domów, magistrat się stara brukować i asfaltować co główne ulice, koleje są coraz szybsze, a na niebie coraz więcej samolotów. To prawda, wszystko się zmienia, a nasza Warszawa i cała Polska są coraz piękniejsze. Babcia Eleonora mówi jednak, że postęp niewart jest ceny, jaką przyjdzie za niego zapłacić, że automobile zabijają ludzi, a aeroplany wcześniej czy później pospadają, bo to niepodobna, by coś takiego mogło latać. Babcia ma trochę racji, ja bałabym się wsiąść do samolotu, bo co i rusz są jakieś katastrofy. Jutro w Warszawie pół miasta się wybiera na pogrzeb lotnika, który zginął w wypadku. Mnie się wydaje, że ludzie nie idą tam dla tego oficera, który zginął, tylko dlatego, że jego koledzy mają latać nad konduktem samolotami i na koniec zrzucić na grób wieniec.*

W Urzędzie Śledczym zarządzono stan najwyższej mobilizacji, tak jakby jutro, 27 kwietnia, było jakieś szczególne święto, a naczelnik Maurycy Sonnenberg osobiście przemówił do śledczych i wywiadowców. Podinspektor Sonnenberg był mężczyzną słusznego wzrostu, o ostrych rysach i starannie wygolonej głowie, znanym niemal wszystkim policjantom i urzędnikom w kraju jako autor podręczników o służbie śledczej i procedurze karnej, administracji i urzędach państwowych. Widać, że lubił przemawiać, i właśnie zamierzał się tym delectować.

- Panowie! Koledzy oficerowie z wojska zorganizowali nam szczególną okazję do łowów na złodziei! - zaczął patetycznie.

- Panowie! Koledzy oficerowie z wojska zrobili niezły bałagan - szepnął do ucha Karola Denhela Kornel Strasburger. - Wojskowi się bawią, a policjanci, jak ciecie, muszą pilnować porządku, a na koniec jeszcze wszystko ładnie wysprzątać. Stary tak kocha wojsko, że po wojnie z bolszewikami powinien w nim zostać, bo podobno dobrze się zasłużył jako kapitan w ochotniczym dwieście trzynastym pułku.

- Pogrzeb pułkownika Aleksandra Serebnickiego, który bohatercko zginął w swej maszynie, zgromadzi tłumy, a wraz z nimi pojawią się kieszonkowcy - ciągnął podinspektor Sonnenberg.

- Bohaterska śmierć, po prostu miał chłop pecha. - Strasburger wiedział swoje. - Trafił gdzieś pod Radomiem na gradową chmurę, wylądował więc na nieznanym polu i zamiast odczekać, aż się poprawi pogoda, albo przynajmniej sprawdzić, gdzie jest, wystartował i... wpadł w druty telegraficzne, no i się wykopyrtnął

w rowie. Dobrze, że pan pułkownik zabił tylko siebie, bo mechanik przeżył. Jakbyś pan przypalantował automobilem w latarnię, to byłbyś pan zwykłym bałwanem, ale jak się zabijesz w samolocie, to jest z ciebie bohater.

- Czy pan aspirant Strasburger ma jakieś uwagi? - Sonnenberg dostrzegł w końcu, że nie jest jedynym mówcą w sali.

- Tak, panie naczelniku! - odpowiedział Strasburger, nie wykazując przy tym najmniejszych oznak speszenia. - Myślę sobie, że nie zawsze są parady czy pogrzeby organizowane przez armię, więc może policja zorganizowałaby jakiś festyn albo loterię, wtedy społeczeństwo miałoby rozrywkę, a my mielibyśmy pod ręką wszystkich długopalcych!

- Bezczelność i pewność siebie aspiranta nie miały granic!

- To ciekawy pomysł. - Naczelnik Maurycy Sonnenberg dał się wciągnąć w sidła zastawione przez podwładnego. - Ale żeby mieć jakieś argumenty w rozmowie z Komendą Główną i ministerstwem, musimy jutro złapać paru złodziei! Liczę, że panowie się spiszą na medal!

- Jak policjant dostaje medal, to przeważnie pośmiertny - szepnął Strasburger.

- Dziękuję, mogą się panowie rozejść - zaordynował naczelnik.

Policjanci zaczęli wracać do swoich obowiązków, ale Strasburgerowi nie dane było, o tak, po prostu dojść do drzwi.

- Gratuluję panu aspirantowi pomysłu - wycedził przez zęby Kurnatowski. - Loteria policyjna, festyn i może jeszcze karuzel pchany przez posterunkowych! W nagrodę razem z panem Denhelem obstawią panowie tramwaj jadący na Powązki!

Zaczynacie na dwie godziny przed pogrzebem, później dołączają panowie do konduktu i przez dalsze dwie godziny pojeździe służbowo z pętli na Powązkach. Życzę sobie panowie, żebyście na tej loterii wyciągnęli same szczęśliwe losy.

Jazda tramwajem w nieopisanym tłoku, później taplanie się w rozmięknętej po wiosennych deszczach ziemi i na deser znów kiszenie się w tramwajowym pudle! Denhel miał ochotę udusić Strasburgera, który swą paplaniną ściągnął na niego nie tylko paskudną służbę, ale i konieczność spędzenia w jego towarzystwie całego dnia. Najgorsze, że jutrzejsze figle z Elizą oddaliły się bezpowrotnie.

Trochę ostatnio padało i było niezbyt przyjemnie, bo ten kwiecień, jak rzadko który, pasował do przysłowia: Kwiecień plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata. Bywało piękne słońeczko, ale nie brakowało też spadków temperatury, ulew, a nawet gradobic. Dziś było cudownie i myślał o tym, żeby pójść z Łodzią na spacer, ona też się cieszyła na wyjście do któregoś z parków, ale na przeszkodzie stanął pogrzeb lotnika, który był znajomym ojca dziewczyny Na Powązki miała się udać cała familia Rostockich, więc ten dzień można było wykreślić z kalendarza, oczywiście zaraz po tym, jak Heniek skończył swoją pracę w warsztacie.

Podłubał troszkę, pomagając młodemu mechanikowi w rozwikłaniu jakiejś technicznej zagwozдки, po czym postanowił, że i on się przejedzie na Powązki. Wcisły nie ciągnął jednak pogrzeb

wojskowego, lecz spotkanie z Tasiemką. Stary bek prosił go, żeby przed pierwszym maja wpadł do niego, bo szykuje się jakaś draka.

Czemu nie, zawsze jakaś rozrywka, pomyślał Heniek i udał się do powązkowskiego biura PPS-u, w którym Tata Tasiemka przesiadywał ostatnio całymi dniami. Zameldował stryjkowi, że wróci za jakieś dwie godziny, i wskoczył w tramwaj. Na początku było luźno, ale gdy przy Karmelickiej przesiadł się w ósemkę, ledwie się wbił do środka. Okazało się bowiem, że pogrzeb połączony miał być z lotniczymi atrakcjami.

- Panie kochany, to będzie fest widowisko! Z lotniska na Polu Mokotowskim ma ruszyć ponad dwajścia aeroplanów, a trzy z nich się opuszczą niziutko nad cmentarz i zrzucą wieniec na grób pułkownika - gadał jak najęty gość z wąsikami jak szczoteczka.

- Przekonałeś mnie pan - odparł tykowaty jegomość z kraciastym kaszkiecie. - Plac Muranowski nie zajęc, nie ucieknie. Zrobię sprawunki dla warsztatu po pogrzebie i jakoś to będzie!

Gdy dojechali do Powązek, ujrzeli przez okna tramwaju tłumy spragnionych sensacji widzów.

- Panie Geniu - wystękał typ w kraciastym kaszkiecie. - Dopchamy się tam?

- Mój kochany sąsiedzie Leszku, do nieba się pan wybierasz? - zaśmiał się człowiek o szczoteczkowatych wąsach. - Przecież nie będziemy zaglądać do grobu ani sprawdzać, jaką dębową jesionkie spasowali panu lotnikowi, całe widowisko odbędzie się na niebie, a tego nam nikt nie zasłoni.

Sąsiad Leszek wyglądał na uspokojonego, ale już po chwili znalazł dziurę w całym.

- Eugeniuszu, mój ty mądralo, może i masz pan rację, faktycznie nieba starczy dla każdego, ale coś się mnie wydaje, że może być kicha, bo się mgłą zaciąga jak jasna cholera.

- Wiaterek przewieje i zgoni te tałajstwo. - Pan Genio musiał być urodzonym optymistą. - Nie będzie biedy, tylko pokaz tip-top!

- A nie boisz się pan, że te lotniki się w tej mgle pozderzają?

- Zderzają to się pociągi na jednym torze. - Pan Genio był wyraźnie rozbawiony. - Trzeba patrzeć na wszystko z humorkiem, wtedy chmury z mgłą pójdą w *kibinimetry*<sup>34</sup>, a słońeczko stanie jak w niebie. Jak będzie jakaś krewa, to zapraszam pana szanownego na kolejczkę, stoi?

- Musowo, że stoi.

Heńka, tak czy owak, czekała kolejczka, bo bez kolejczki nie mogło się obyć żadne spotkanie z Tatą Tasiemką. Ojciec opowiadał, że nawet wtedy, gdy ruscy zabronili sprzedawania wódki, to Tasiemka i tak wiedział, gdzie ją dostać. Większość ludzi wysiadła na przedostatnim przystanku, on wyskoczył na pętli, u wylotu ulicy Przasnyskiej.

W Warszawie się nie przelewało, takich jak Heniek Wcisło, mieszkających z wygodami i w pięknej kamienicy, było może dziesięciu na stu, ale dokładnie to samo można było powiedzieć o mieszkańcach Powązek. Elitę stanowili ci, co mieli pracę i jako takie mieszkania, z własną izbą. Z własną izbą dla jednej rodziny ma się rozumieć! Tak mieszkali szczęściarze, a prawdziwi biedacy, którzy nie mieli własnego kąta, wegetowali w dawnych barakach wojskowych.

Tasiemka pokazał mu kiedyś, jak te królestwa biedy, nędzy i rozpaczyny wyglądają; PCK podzielił baraki na klitki, ze ścianami,



które nie sięgały sufitów. Te się szybko przepełniły, a bezdomni zajęli także korytarz oraz wielką ogólną halę. Tam zrobiono prowizoryczne przepierzenia ze sznurków, koców i szmat. Nieliczni spali na łóżkach czy pryczach, większość na siennikach i deskach, podobnie było po drugiej, żoliborskiej stronie torów, gdzie założono niemal identyczne osiedle biedy. Mieszkało tam razem z półtora tysiąca biedaków i nie był to koniec warszawskiej nędzy, bo w Annopolu szykowano kolejne, jeszcze większe osiedle. Z takich miejsc rekrutowali się chłopcy, którzy dla lepszego bytu zgadzali się pójść na każdą robotę. Tam też Tasiemka mógł werbować swe wojsko na pierwszomajowe bitwy, a także komuniści szukali swoich bojówkarzy.

Heniek dotarł do skromnej siedziby dzielnicowego komitetu PPS-u na Powązkach i zastał sytuację, której wcześniej nie widział. Przez półotwarte drzwi najpierw usłyszał, a potem zobaczył, jak Tasiemka kogoś obsobacza.

- Cholera jasna, cisza, jak pragnę zdrowia - ryknął.

- No bo, panie Tata, jako majster nie mogę sobie pozwolić na takie zachowanie, nawet jak kto jest ważny w partii czy w związkach - zaczął pierwszy głos. - To są zakłady Landaua, a nie jakiś szynk, my tu wyrabiamy pierwszorzędne koronki, a jak kto chce, to może pić, a i owszem, ale po pracy!

- On się mię czepia, towarzyszu - ryknął drugi głos. - Czepia się mię, bo to endek!

- Powiedz jeszcze, że i komunista! - odparował majster. - Jak ty żeś koszulę w zębach nosił, to ja chodziłem na pochody!

- To czemu się mię czepiasz?

- Się czepia, bo chlejesz, a inni dymają za ciebie - wtrącił się ktoś z publiki, która szczelnie wypełniała pomieszczenie.

W salce zawrzało.

- Tata, to faktycznie pijak i łobuz! - rozległ się kolejny głos z sali.

- Sam jesteś łobuz!

- Ja łobuz? Twój szwagier to moczymorda i łobuz, nikt z niem nie lubi robić, gdyby ludzie byli tacy jak on, już dawno wyleciałby na zbity pysk!

Heniek stanął na palcach i zobaczył, że przed tłumkiem zgromadzonym w największej sali komitetu dzielnicowego stoi dwóch mężczyzn, jeden w średnim wieku, a drugi młodziak. Wyglądali jak uczniaki w klasie, bo sterczeli przed Tasiemką, który siedział za stołem. Hałas stawał się coraz większy, aż wreszcie Tasiemka zerwał się na równe nogi i waląc w stół, wrzasnął:

- *Małczat', job waszu mat<sup>25</sup> !*

Ton głosu, walenie w stół i ruskie przekleństwo uspokoiły ludzi.

Tasiemka zaczął się przechadzać wokół stołu i w końcu powiedział:

- Skwara, jak będziesz pił, to ci dam w mordę tak, że mnie popamiętasz!

- Nawet w szynku? - zaskomlał Skwara.

- Możesz sobie pić, gdzie chcesz, w kościele, synagodze albo u siebie na chawirze, ale nie w robocie! Fajnie to tak, że funfle na ciebie robią, co?! - Tasiemka zakręcając wąsa, stanął tuż przed Skwarą. - Chcesz należeć do PPS-u, to nie bądź lamus i lewus! A

majster czemu nie uderza do właściwych ludzi, tylko robi rwetes na zakładzie? Jeszcze by to jaki kierownik usłyszał i by była chryja? Podajcie sobie, towarzysze, ręce na zgodę i wpłaćcie do kasy pieniążki, pan majster siedem złotych, a Skwara trzy!

Z ociąganiem, ale jednak, obaj wyciągnęli z kieszeni monety i wrzucili do stojącej na stole puszek, Skwara jeszcze coś wymamrotał na pożegnanie, na co Tasiemka zareagował gwałtownie i nerwowo.

- Stul pysk i nie margaj mnie pod nosem, jakbyś stracił robotę, toby dopiero było! - To mówiąc, dał chłopakowi plaskacza w tył głowy. - Towarzysze, pierwszego maja wszyscy na pochodzie, zbieramy się jak zwykle na placu Teatralnym. Pokażemy temu słabemu rządowi, gdzie jego miejsce, a komunistom złoimy skórę. To nasz pochód, a nie ich. Jak chcą sobie urządzać bolszewickie marsze, to niech jadą do Moskwy!

Ludzie wznieśli parę okrzyków i rozeszli się. Wtedy Heniek przebił się do Tasiemki i zagadnął:

- Czołem, Tata, nie wiedziałem, że za sędziego robisz?

- A kto ma robić? - zachnął się Tata Tasiemka. - Ja już szesnaście lat rządę Powązkami.

- A pieniążki na co idą?

- Na OKR<sup>36</sup>, przekazuję wszystko towarzyszowi Jaworskiemu.

- Poskrobał się po głowie. - A wydatki są duże, zwłaszcza teraz, przed Pierwszym Maja. Dobrze, że jesteś. Każdy, kto ma kławkę i umie strzelać, jest dubeltowo potrzebny, wiesz, co się kroi?

- Domyślam się!

- Eeeee, nie masz pojęcia - uśmiechnął się Tasiemka. - Komuniści, jak zwykle, będą się chcieli do nas przykleić, po

pierwsze, nas policja nie rusza, po drugie, chcę ludziom pokazać, że jesteśmy razem. Niedoczekanie! Oczywiście dojdzie najpierw do przepychanek, a później do legalnego mordobicia i strzelaniny, ale my wiemy, że się podzbroili, i wystrzelamy skurwysynów jak kaczki!

- Mamy ich zabijać?

- Od razu zabijać? Po prostu palnąć im po kulasach i tyle! Wielkie mi co, jak paru komuchów zostanie rannych, jak walą gazrurkami, to się nie przejmują, czy komuś rozbiją łeb w drobny mak, czy też nie.

- Zabijać bym nie chciał, ale po kulasach mogę ich przejechać - uśmiechnął się Heniek.

- No to jesteśmy dogadani i możemy iść na jednego - rzekł Tasiemka.

Wyszli i gdy byli już blisko szynku przy pętli tramwajowej, na ulicy rozległ się odgłos nadlatujących maszyn. Tasiemka i Heniek zadarli głowy. Ich oczom ukazał się imponujący widok, przez zasnutą mgłą niebo przebijało się prawdziwe mrowie samolotów.

- Ożeż ty z kuriera wycięty - jęknął Tasiemka, a Heniek skonstatował, że są jeszcze rzeczy, które mogą zadziwić króla Woli i Powązek. - Naleciało się ich jak mrówek!

- Słyszałem, że ma być ich więcej niż dwadzieścia - powiedział Heniek.

Szum silników narastał, a od chmury maszyn oddzieliły się trzy aeroplany. Wtem usłyszeli, jakby silnik jednego z nich zafalował.

Heniek spojrzał w niebo i jęknął.

- O Jezu!

Łowy w tramwaju nie były udane, ale nikt nikogo nie okradł, przynajmniej aspiranci nie słyszeli charakterystycznego dla takich sytuacji okrzyku: „Gdzie moja portmonetka!” albo: „Łapaj złodzieja, co mi ukradł portfel!”. Ale czy ten argument uspokoi naczelnika Kurnatowskiego? Denhel i Strasburger, po dwóch godzinach kursowania „jedyneką” i „ósemką”, mieli wszystkiego dość.

- Chodź pan na jednego - zachęcającym tonem rzucił Strasburger.

- Ja stawiam.

Jeszcze niedawno Karol Denhel uznałby to za skandal, ale po dwóch godzinach jazdy tramwajem zdecydował, że wypicie kieliszka wódki może być ukojeniem, które należy się im po głupiej robocie. Przytaknął więc głową i poszli w kierunku mieszczącego się przy pętli szynku. Tam strzelili po jednym i ruszyli w kierunku konduktu, który nadciągał od strony Warszawy.

- Z którego kościoła idą? - zapytał Denhel.

- Myślałem, że pan wiesz wszystko - uśmiechnął się Strasburger.

- Idą od Świętego Krzyża, tam była msza żałobna, a jak już dojdą na cmentarz, to skończą w siedemnastej kwaterze.

- Toś się pan przygotował! - Karol Denhel nie ukrywał podziwu.

- Dziękuję za uznanie. - Strasburger lekko skłonił głowę. - Rząd szósty, grób numer czternaście.

- No to dołączmy do konduktu.

- I zobaczymy, kto przyszedł tak jak my, zawodowo, a nie dla draki - powiedział Strasburger i zgasił dopalającego się papierosa.

- Myślisz pan, że teraz nam się uda?

- Taaaa, jak nam się trafi złodziej, który będzie debiutantem, tak jak my. Naczelnik wysłał nas po złości, to robota dla wywiadowców, którzy znają twarze i sylwetki, ale próbować trzeba!

Strasburger mówił świętą prawdę, tak było i dlatego Karol Denhel czuł rozgoryczenie, a było ono tym większe, że się zorientował, jak bardzo się zmienił w ostatnich tygodniach. Eliza Okołowicz wprowadziła go w inny świat, tak jakby pragnęła odciągnąć go od najważniejszych spraw. Chyba podświadomie czuła, że ma jakieś rywalki. Tak w istocie było, pierwszą była Leokadia Rośtocka, drugą zaś Policja Państwowa. Nie ma co kryć, zaniedbał wszystkie sprawy i jednocześnie odkrył, że ten miglanc i błazen Strasburger stale robi postępy, a pod maską trefnisia ukrywa oblicze całkiem pilnego i zdolnego śledczego.

Trzeba się wziąć w garść, muszę działać sprawnie, piąć się w górę, robić karierę i znów znaleźć czas na rozpracowanie tej wolskiej przybłędy, pomyślał Denhel i zabrał się do wykonania niewdzięcznego zadania, które im przydzielono. Obserwowali pilnie ludzi stojących w tłumie, gdy nagle rozległ się odgłos samolotowych silników i trumna z ciałem pułkownika nie była już w centrum zainteresowania. Ludzie zadarli głowy. Ale nie wszyscy, Denhel zauważył, jak jakiś elegancko ubrany jegomość

wsuwa rękę w kieszeń stojącego przed nim mężczyzny Dał znać Strasburgerowi, ruszyli do niego, gdy nagle tłum jęknął.

- O kurka! - ktoś krzyknął. - Ta maszyna wpadła na drugą i straciła śmigło!

- Jezus Maria! - zapiszczał jakiś kobiecy głos.

Tłum zakotłował się, a mężczyzna, do którego kieszeni sięgał doliniarz, wykonał gwałtowny obrót. Złodziej został z ręką uwięzioną w kieszeni, ale wyszarpnął ją wraz z portfelem. Zrobił to na swoje nieszczęście, bo policjanci skoczyli na niego, przewracając doliniarza na ziemię. Padając razem z nim, Karol Denhel kątem oka zobaczył, jak trzy samoloty rozpierzchły się gwałtownie, niczym spłoszone ptaki. Ten, który stracił śmigło, poleciał korkociągiem w dół, drugi zwichrowanym lotem odleciał szerokim łukiem i tylko trzeci wystrzelił wysoko w górę, po czym zaczął się oddalać w kierunku Pola Mokotowskiego.

- Mamy cię! - krzyczał Strasburger!

- Ludzie, ratunku, bandyci!!! - darł się złodziej.

- Jesteśmy z policji - przekrzykiwał go Denhel.

- Matko Boska, ratuj - kieszonkowiec nie rezygnował.

- Mój portfel, on ma mój portfel, to złodziej! - W końcu do gry włączył się także okradziony mężczyzna.

Okazał się krewkim typem, bo zaczął okładać laską doliniarza.

- Jezus Maria, biją! Bandyci mnie biją. - Złodziej już nie grał, tylko naprawdę wzywał pomocy. - Rodacy, Polacy, pomóżcie, jesteście państwo chrześcijanami, pomóżcie!

Jego kupie, koniki, nie byli mu już w stanie pomóc, bo Denhel spłoszył ich wyszarpnęty z pazuchy rewolwerem. Pomagierzy doliniarza czmychnęli więc w tłum i bezradnie się przyglądali z

bezpiecznej odległości, jak ich szef doznaje niespotykanej wcześniej klęski. Mistrz i król warszawskich doliniarzy złapany na gorącym uczynku, tego jeszcze nie było! Wkrótce przybiegło dwóch mundurowych i klęska złodzieja stała się nieodwołalnym faktem.

Heniek szedł z Tasiemką w kierunku pętli, rozprawiając o tym, co się przed chwilą stało.

- Jeden pewno poleciał na łeb, na szyję - kręcił głową Tasiemka  
- ale drugi...

- Drugi lekko świrował, ale chyba dał radę - powiedział Heniek. - Cholerka, ależ się stało, po prostu nie do wiary.

Tymczasem od strony Woli rozległa się syrena fabryczna.

- O w mordę, chyba przypalantował w jakąś budę. - Tasiemka skrzywił się. - A ty kiedyś mówiłeś, że chciałbyś sobie polatać...

- Raz nawet leciałem, ale sterowcem. - Heniek uśmiechnął się krzywo.

- Heniu, takie bajery to sobie możesz wciskać, ale nie mnie - zdenerwował się nie na żarty Tasiemka.

- Nie bajeruję, tylko to było przez sen - wyjaśnił. - Wtedy, jak u Grubego Joska dostałem przez łeb od pułkownika, to mi się wydawało, że lecę sterowcem nad Warszawą.

- No i co? - zainteresował się Tasiemka.

- Tak naprawdę to ja odlatywałem na tamten świat, bo jak kapitan tego statku obrócił się w moją stronę, to zobaczyłem, że ma twarz trupa.

- Tfu, daj spokój! - Tasiemka splunął siarczyście.



- Ale tak było, niewiele brakowało - zauważył Heniek.

Rozmowa trochę siadła, ale nagle Tasiemka się ożywił.

- Zobacz, tam po drugiej stronie Powązkowskiej jest nasz znajomy!

- Kto?

- No ten młody nerwowy pies, co w nas mierzył z rewolweru Pod Kogutem, spójrz, z drugim tajniakiem i mundurowymi ciągną jakiegoś gościa.

Grupa mężczyzn szła w kierunku dorożki, a towarzyszył jej wrzeszczący mężczyzna z laską.

- A mój portfel?

- To dowód rzeczowy, najpierw musimy pojechać na Daniłowiczowską, wskakuj pan z nami do dorożki, tylko obiecaj pan, że nie będziesz go więcej tłukł laską! - mówił drugi z tajniaków.

- A ten chyba zawijał wtedy moją koleżkę z Powązek. - Tasiemka się ucieszył, jakby spotkał starego znajomego. - A ty, Heniu, jeszcze coś ten teges?

- Co ten teges? - Heniek szedł w zaparte.

- Nie zgrywaj frajera - zaśmiał się Tasiemka. - A ten zakichany warsztat Janka Wcisły to kto postawił na nogi? Aniołki się na niego złożyli czy wygraliście los na loterii, skąd wzięłeś pieniądze na wejście do spółki?

Heniek ciężko westchnął i z szerokim uśmiechem odpowiedział:

- Ty też rozkręcałeś warsztat, gdyby szoferaki z połowy Warszawy nie przyjeżdżali do nas z twojej namowy reperować

auta, tobyśmy zdechli z głodu. Można powiedzieć, że jesteś naszym współnikiem, bo i ty z tego pięknie żyjesz!

Tasiemka zarechotał na cały głos i klepnął Heńka w plecy.

- No ma się rozumieć, że pięknie żyję, ale moja kochana partia jeszcze lepiej! PPS z Powązek ma dzięki temu fundusze i żyje jak pan, a nie jak jakiś mortusiewicz<sup>37</sup>.

- Powiedz no, Tata, a co ty w zasadzie robisz, bo ja... - uśmiechnął się - mam warsztat, a ty?

- Jak to, co ja robię? Od lat jestem w partii!

- Ale to nie robota!

- Jak to nie robota?

- Robota to była w fabrykach i piekarni...

- A później, tak jak ty, też robiłem trochę dla Śląska. - Tasiemka z dumą zakręcił węża. - Też w tym brałem udział. A myślisz, że wojsko samo sobie wszystko organizowało?

- A potem?

- Byłem woźnym w OKR.

- Woźnym?

- No nie tylko, ktoś musi wszystkiego pilnować!

- To ty jesteś zawodowy polityk!

- No, tak można powiedzieć.

Skończyli temat, ale każdy wiedział swoje; Tasiemka, że Heniek musiał robić jakieś szemrane interesy, a Heniek, że Tasiemka zupełnie jak Król Słońce mógł powiedzieć: Partia to ja!

Nazajutrz po feralnym pogrzebie lotnika nadkomisarz Ludwik Kurnatowski osobiście przyjął w swym gabinecie aspirantów

Denhela i Strasburgera.

- Nie ukrywam, że robię to ze zdziwieniem, ale i pełną satysfakcją - zaczął uroczyście. - To była robota dla agentów i wywiadowców, coś na wielką policyjną akcję, a panowie zrobili to sami! Nie raz i nie dwa chcieliśmy go pochwycić, ale nie zrobiono tego, ani za cara, ani za kajzera. Panowie to zrobili! Długopalcy Wacek złapany na gorącym uczynku, po raz pierwszy w swej karierze, brawo, brawo, brawo! - wykrzyknął Kurnatowski i uścisnął im dłonie. Zaraz jednak przybrał srogi wyraz twarzy i ryknął: - A więc jeśli tylko panowie chcą, to panowie potrafią być skuteczni, zdyscyplinowani i... - szukał właściwego słowa - i dorośli! Policjant, a zwłaszcza ten pracujący w Urzędzie Śledczym, musi być osobą dojrzałą, odpowiedzialną i akuratnie wypełniającą polecenia przełożonych!

- Dziękujemy, panie naczelniku! - Strasburger wyprężył się jak struna. - Dziękujemy dubeltowo, bo z naszymi charakterami powinniśmy służyć w kawalerii albo lotnictwie.

Ten Strasburger znowu przegiął, pomyślał Karol Denhel. Po co drażni Kurnatowskiego? Okazało się jednak, że nieco straszy kolega lepiej niż on wyczuwał nastroje przełożonego.

- Święta racja, święta racja - zaśmiał się nadkomisarz Kurnatowski.

- Czasem mogłoby się wydawać, że kawaleria i lotnictwo to zabawa tylko dla młodzieży! - Nagle jednak spoważniał i spojrzał na aspirantów. - Wiedzą panowie, jaki jest bilans tego pogrzebu z fantazją?

Nie odzywali się, tylko kiwnęli głowami, bo czuli, że Ludwik Kurnatowski sam wszystko podsumuje.

- Wyobrażacie sobie, panowie, policyjny pogrzeb, na którym jest dwadzieścia jeden samolotów? - Popatrzył na nich badawczo. - Ja też nie, nawet nie jestem w stanie opisać, ile na przepalonym wczoraj paliwie jeździłyby nasze nieliczne służbowe auta. Do tego katastrofa. Przy niepewnych warunkach i słabej widoczności uparli się na niebezpieczną figurę i lecąc skrzydło w skrzydło, powpadali na siebie. Jedna maszyna spadła na fabrykę Petersa, pilot zginął na miejscu, cud, że przeżył mechanik, cud także, że nikogo na ziemi nie zabiło. Druga maszyna szczęśliwie wylądowała, o ile szczęściem można nazwać fakt, że podczas zderzenia wypadł z niej mechanik! Nieszczęśnika znaleziono bez życia, wbitego na pół metra w ziemię, gdzieś koło Ogrodów Ulrychów. Trzeci pan pilot wylądował bezpiecznie i z mechanikiem. - Kurnatowski westchnął ciężko i zapalił cygaretkę. Zaciągnął się dymem i rytmicznie uderzając pięścią w stół, recytował. - Dwóch ludzi zabitych, maszyna warta majątek rozbita, druga uszkodzona, zabawy panów lotników, cholera jasna! Gdyby to się zdarzyło u nas, to byłby raban na całą Polskę, a jak jaką głupotę zrobią panowie z kawalerii czy lotnictwa, to znaczy, że tak miało być!

- To mówiąc, oparł się głęboko na krześle, odrzucając głowę w tył.

Zapadło kłopotliwe milczenie, Karol Denhel z niepokojem zerknął na Kornela Strasburgera, który wyraźnie chciał coś dopowiedzieć, ale na szczęście zastępca naczelnika Urzędu Śledczego jeszcze nie skończył. Jego ciało, niczym wahadło, ruszyło w przód. Nie był już odchyłony do tyłu, tylko wsparty o biurko łokciami. Z szerokim uśmiechem ogłosił:

- Nieważne, niech się bawią, my też świętujemy. - Mówiąc to, wstał. - Panowie! Napisałem wam oficjalną pochwałę, bo na jakiś czas pozbędziemy się Długopalcego Wacka! To naprawdę wielki sukces, na który czekano wiele lat!

Denhel i Strasburger dumnie się wyprężyli.

- Czy wiedzą panowie, jaki majątek zbiło na kradzieżach to indywiduum? To jeden z najbogatszych ludzi w mieście, ma pięciopokojowe mieszkanie, służącą, guwernantkę dla dzieci i letni dom w Konstancinie!

- Ciekawe, gdzie jeździ na wywczasy? - zapytał Strasburger.

- Jak to gdzie? - zachnął się Kurnatowski. - Do zagranicznych kurortów, bo u nas nie ma publiczności, którą opłacałoby mu się okradać w czasie wakacji!

- To niepodobna, że nie wpadł wcześniej - zdziwił się Denhel.

- Łapaliśmy go, ale nie mieliśmy dowodów, to istny magik, Houdini i Cagliostro w jednej osobie!

- Ile dostanie? - głośno się zastanowił Karol.

- Niezbyt dużo. - Kurnatowski nieco zmarkotniał. - Nie ma recydywy, jeszcze nie siedział i będzie próbował wmówić, że w tłoku ręka sam weszła mu do cudzej kieszeni. Stać go na najlepszych adwokatów, poza tym ma nieposzlakowaną opinię. - Nadkomisarz szeroko rozłożył ręce. - Ale pierwszy krok został zrobiony i co najmniej jedne wakacje pan Wacław Korycki spędzi nie u wód czy nad morzem, a w więziennej celi!

Długopalcego Wacka czekała poważna zmiana w życiu. Karol Denhel wierzył w to, że podobne doświadczenie stanie się także udziałem Henryka Wcisły, nie miał jednak czasu, by dłużej się nad tym zastanawiać, za pół godziny powinien się spotkać z Elizą.

Była środa, a wtedy, w środku dnia, mieli dla siebie dwie wolne godziny, taki był rozkład zajęć jej matki. Nie można było dłużej zwlekać, powinien szybko wyskoczyć z Urzędu Śledczego i gnać dorożką na Żoliborz, gdzie mieszkali państwo Okołowiczowie. Wcisło i kariera w policji nie uciekną, w tym pierwszym przypadku byłby zresztą zachwycony takim obrotem sprawy, a co do policji, to poczuł, że właśnie nastąpił długo oczekiwany przełom.

## XIII

### 1 MAJA

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 30 kwietnia roku 1926*

*Nie idę jutro do szkoły, bo na ulicach znów będą niepokoje. Z roku na rok 1 Maja, święto robotników, kończy się coraz większymi awanturami. Pytałam się Henia, który prawie zawsze chodzi na te pochody, kto i z kim się bije, brat mi to wyjaśniał, ale ja dalej nie rozumiem. Socjaliści, do których należy Henio, biją komunistów i narodowców, a narodowcy komunistów i socjalistów, komuniści zaś biją narodowców i socjalistów, a do tego wszystkiego dołącza się policja, która tłucze komunistów. Każdy się bije z każdym i to nie na żarty. Są ranni, a nawet padają zabici. Boję się o Henia, bo wiem, że jutro pójdzie na plac Teatralny. Wiem, że się będzie wiele działo, bo mówił babci, żebyśmy pod żadnym pozorem nie zbliżały się do tych okolic.*

Heniek wyszedł od babci i poszedł w kierunku Kercelaka, tam się zbierała ferajna, żeby porozmawiać o jutrzejszym pochodzie,

troszkę wypić i tak dla sportu oraz rozgrzewki i zwykłej rozrywki spuścić łomot komunistom, jeśli tacy by się nawinęli pod rękę. A musieli się nawinać, trzeba było ich tylko dobrze poszukać. Tuż przed zamknięciem targowiska zdążyli trzepnąć po parę wódeczek, a później chodzili grupą od szynku do szynku, szukając przygody. Heniek nie należał do tych, co wszczynali bitki, ale ciągnęło go do jakiejś draki. Dawno nic mu się nie przytrafiło, bo nie liczył tego, że nauczył kultury te łachmyty od Traszki, które okradły Łodzię. To była szybka akcja, poza tym solo. W grupie były inne emocje, grupa wyzwalała dzikość i czyniła człowieka bardziej bitnym. Zawsze tak miał i dawał się namawiać na różne przygody; porwanie tramwaju z Antkiem i Wałkiem, ucieczka do wojska, powstanie śląskie i w końcu kasiarstwo, które zaczęło się od zrobienia numeru z biskupem w sklepie z dewocjonaliami<sup>38</sup>.

Niby wyżywał się w salce bokserskiej klubu Maccabi, ale draka to draka, jej nic nie zastąpi. Zaczęli od tego, że pogonili kilku komuchów, których przyuważyli pijących w jednej z bud Kercelaka. Później ruszyli w stronę Młynarskiej, gdzie był lokal Pod Wydatnym Biustem, tak pisali o tym miejscu w gazetach, bo i było o czym pisać, co doskonale wiedziała policja, często nawiedzająca ten punkt, aby pozabierać na komisariat jego krewkich bywalców. Każdy na Woli wiedział więc, gdzie jest Pod Cyckami, i jak ktoś lubił swojską atmosferę i nie bał się o urwane klapy od ancuga czy lekko zdefasonowany kapelusz, a czasem też i nos, walił tam jak w dym.

Oprócz towarzyskich atrakcji, stworzonych dla wielbicieli boksu i zapasów, były także znakomita kuchnia i... symbol lokalu. Właścicielką knajpy była pani Florentyna, może nie podłotek, ale



dla koneserów kobiet, które mają na czym siedzieć i czym oddychać, stanowiła zjawisko czysto bajkowe. To od jej wspaniałego „wyprzedzenia” czy, jak mawiali tramwajarze z pobliskiej zajezdni, „buforów” lokal nosił tak elektryzujący wszystkich przydomek. Pani Florentyna cieszyła się wielką estymą i ktoś, kto śmiałyby zrobić zamach na jej godność, skończyłby w najlepszym razie z ciężko obitą mordą, w najgorszym zaś - w sosnowej jesionce. Ferajna nie pozwoliłaby tknąć swojej królowej, wobec której szczytem poufałości mogło być tytułowanie jej przez starych bywalców mianem Cioci Flory.

Kilkunastoosobowa grupa prowadzona przez Tatę Tasiemkę weszła z fasonem do środka, a Tata ukłoniwszy się jak jaki hrabia, cmoknął panią Florentynę w mankiet i zaseplenił jak słowik, jeśli w ogóle były jakieś sepleniące słowiki.

- Królowo złota, polej nam po kieliszeczku nektaru...

Pani Florentyna machnęła na barmana i zaczęli wspólnie napełniać baterię szkła dla gwardii starego beka. Kieliszek dla Tasiemki polała osobiście, nie żałując przy tym ruchów, które delikatnie rozchwiały jej pomnikowy biust.

- Z żadnych rąk wódeczka nie smakuje tak, jak z rąk Cioci Flory

- westchnął Tasiemka i dał znać kompanii, że już czas; zamówiona kolej eczka błyskawicznie zniknęła w gardłach. Tata Tasiemka otarł wierzchem dłoni usta i niby tak pod nosem, ale na tyle głośno, by słyszeli go wszyscy w sali, rzucił:

- Coś mnie się widzi, że tam w rogu siedzi parę szczurków, co marzą o tym, żeby pocałować Lenina w dupę.

Ferajna i kilka osób w sali ryknęli śmiechem.

- Tata, to nieaktualne, bo Lenin już coś tak od roku nieczynny!  
- zaśmiał się jeden z chłopaków.

- Ale go w szklanej trumnie jak Królowne Śnieżkie trzymają, więc wystarczy tylko wieko uchylić i cmok! - dodał jakiś rezolutny pepeesiak.

- Pocałowalibyście sztywnego Lenina w zimną dupę? - zawołał Tasiemka do siedzących w rogu sali komunistów.

To było jak zaproszenie do krwawego tanga. Rozległo się skrzypienie i trzask odstawianych krzeseł, a barman jęknął:

- Panowie, tylko bez draki!

Był chyba nowy, bo nawet Ciotka Flora wiedziała, że w takiej sytuacji żaden autorytet nie pomoże.

- Panowie, spokój, jak rany! - wrzasnął gość zza baru, ale nikt nie miał zamiaru go słuchać. Barman szybko dostał od Florentyny sójkę w bok i przestał prosić i lamentować, tylko wraz z szefową zabrał się w ekspresowym tempie do zamykania szafek i chowania szkła. Tymczasem dwie grupy ruszyły na siebie, Heńkowi przypadła w udziale walka z małym, mizernie wyglądającym chłopakiem, niskim i młodszym nawet od niego. Wyglądał na Żyda, których wśród komunistów było wcale niemało. Zdawał się idealnym kandydatem do poprawienia bokerskiego rekordu, ale pozory mylą, bo gad walił mocno i szybko.

Mimo że był niższy, doskoczył błyskawicznie do Heńka i zadał mu parę trafień, w tym jedno w nos. Żeby przerwać ten łomot, Wcisło zrobił to, czego trener Izrael Fajn raczej by nie pochwalał; z całej siły kopnął chłystka raz prawą, a potem drugi raz lewą nogą. Ten odskoczył, a Heniek zyskał sekundę na oszacowanie sytuacji, chwala Bogu kichawa nie poszła w drzazgi, ale niewiele

brakowało. Z nosa lała się krew, poczuł ją także na wardze, ale zęby też chyba były całe. Ta myśl uratowała go przed napadem furii, która niekoniecznie mogłaby przynieść dobre efekty.

Heniek odskoczył od typka i starał się wykorzystać to, co mu zawsze radził trener Fajn; długi zasięg ramion i wzrost. Zszedł niżej na nogach i czekał. Konus ruszył wtedy lewym prostym, z pozorów lekko, ale boleśnie, bo w punkt, trafił go w czubek nosa. Młody komunista zatrzymał się i w ruch poszła prawa ręka, którą, jak zalecał Izrael Fajn, pomacał przeciwnikowi wątrobę. Nie było to trudne, bo bitemu ręce poszły w ślad za bólem, który musiał być straszliwy.

Gość się wyprostował, odsłonił tułów i wtedy znowu dostał po wątrobie, po tym ciosie poszły kolejne; zamachowy lewy, prawy i znów lewy, a na koniec, jeszcze tak dla pewności, podbródkowy z prawej. Finito, koniec, zwycięstwo przez nokaut! Typ leżał na ziemi, więc Heniek rozejrzał się, komu by pomóc. Nie było takiej potrzeby, paru przeciwników zwijało się na deskach knajpy, a reszta, zepchnięta w róg sali, trzymając w rękach krzesła, szykowała się do odparcia ataku. Zamiast szturmu był jednak okrzyk Tasiemki.

- Chodu, zaraz będzie policja! - Na odchodnym Tata rzucił jeszcze w kierunku komunistów: - Powiedzcie, że bardzo żałuję, że nie było tu waszego szefuńcia z Komitetu Dzielnicowego, chętnie bym obił gówniarzowi ryj. Niech nie będzie taki sprytny i nie zabiera na towarzyskie rozmowy gazrurek, bo go za to spotka kara. I jeszcze jedno - dorzucił, gdy byli już przy drzwiach. - Nie pakujcie się nam jutro w paradę, bo dostaniecie solidniej niż

teraz, na pochodzie policja was nie obroni. Co więcej, coś mi się widzi, że jutro zbierzecie nie tylko od nas, ale i od psów z Ciepłej!

Ferajna Tasiemki zahaczyła jeszcze o jeden szynk. Po opiciu łatwego sukcesu pożegnali się i rozeszli do domów, jutro czekał ich ciężki dzień.

Na Daniłowiczowskiej słyhać było, jak z placu Teatralnego dochodziły śpiewy, później krzyki i odgłosy bijatyki, a na koniec zaś rewolwerowe strzały. Gdyby to nie był 1 Maja, to pewno zarządzono by alarm, ale w tej sytuacji nikogo nie dziwiło, co się działo opodal. W Urzędzie Śledczym panował wręcz błogi spokój.

- Ale biją, nie powinno nas tam być? - denerwował się aspirant Denhel.

- To nie nasza klejentela, panie aspirancie - zaśmiał się wywiadowca Stolarczyk. - To zajęcie dla chłopaków z Rezerwy Okręgowej przy Ciepłej i dla defensywy. Co się pan tak gorączkujesz, mało było panu takich hec w czasie służby kandydackiej?

- Jakoś mnie Pierwszy Maja ominął, nie miałem przyjemności.

- Nie miałem przyjemności, dowcipniś z pana.

- A jak padną trupy? - zapytał po chwili milczenia Denhel.

- Spokojnie, panie aspirancie. To nie my będziemy zbierać, tylko pogotowie i magistrat - zaśmiał się Stolarczyk. - A jak już ich pozbierają do karetek i karawanów, to będzie luźniej na ulicach - ze stoickim spokojem ciągnął swoje wyjaśnienia doświadczony policjant. - Pewnie się pan zastanawiasz, czy tak można? Można, można drogi panie aspirancie, bo tam nie ma przypadkowych ofiar, oni są między sobą ustawieni, tak jak

chłopaki z Targówka albo Czerniakowa, na bitkę. Jakbyśmy chcieli się w takie rzeczy angażować, to musielibyśmy też obstawiać wszystkie wesela i chrzciny. A najlepiej to ich zabronić i jeszcze tak jak w Ameryce zakazać picia alkoholu. Jak to się nazywa?

- Prohibicja - podpowiedział Denhel.

- No właśnie, prohibicja - wycedził z nieukrywanym wstrętem Stolarczyk. - Wiadomo, że jak jest wódka, to są kłopoty, a jak jej nie ma, to jeszcze większe. Się wie, czym to grozi. Tak samo jest z pochodami, jak kogo tam ciągnie, to wie, co jest grane, to nie jest tak, że ktoś na kogoś napada. Oni się spotykają i naporzają, ot tak po prostu.

- A jeżeli jednak się trafi ktoś naprawdę przypadkowy?

- To przypadkowo oberwie - zachnął się Stolarczyk. - A na przypadki to my już nic nie możemy poradzić, bo Policja Państwowa to nie dobra wróżka. Takie rzeczy się zdarzają, a jak kto jest pechowy, to i w kościele w mordę dostanie.

Karol Denhel słuchał tego popisu policyjnej logiki, ale nadal nie wyglądał na przekonanego, tajniakowi przyszedł więc z pomocą kolega w granatowym mundurze.

- Co do tej prohibicji to chyba felerny pomysł - dołączył się mundurowy przodownik. - Nawet sobie nie wyobrażam, co by było, gdyby u nas ktoś wpadł na taki pomysł. Meliny wyrastałyby jak grzyby po deszczu, do tego produkcja nielegalna oraz handel w hurcie i detalu. - Mundurowy pokręcił głową. - Drugą policję trzeba byłoby do tego utworzyć!

- Dlatego ten przepis jest martwym przepisem - westchnął pod nosem Denhel, którego, jako niedoszęłego prawnika, irytowały

inicjatywy sejmu, co istniały tylko na papierze.

- Opowiadasz pan! - niemal równocześnie wystrzelili Stolarczyk i mundurowy.

- Uchwalono takiego legislacyjnego potworka - uśmiechnął się aspirant - to znaczy, nie jest to prohibicja sensu stricto, ale ilość różnych ograniczeń jest tak wielka, że gdyby ich literalnie przestrzegać, to de facto mielibyśmy ścisłą prohibicję. To jednak przepisy, które wszyscy ignorują.

- I całe szczęście. - Stolarczyk aż poprawił kołnierzyk, który na samą myśl, że wódka stałaby się nielegalna, zaczął go uciskać jak żelazna obroża.

- I dlatego też w Warszawie nie mamy Chicago - zawołał mundurowy. - Jest święty spokój, bez gangsterów, tego całego Ala Capone i reszty tałatajstwa. A tak zasadniczo, to co to za imię ten Al?

- Alfons - Denhel rzucił ze spokojem. - Ten amerykański gangster się nazywa Alfonso Capone.

- Alfons - ucieszył się Stolarczyk. - Alfons królem Chicago, no, nic dziwnego, że sobie taką ksywkę zrobił!

- To zdrobnienie - wyjaśnił Denhel.

- Zdrobnienie nie zdrobnienie, ja bym się tam nie chciał nazywać Alfons - z powagą wygłosił mundurowy - A jeszcze bardziej to bym nie chciał, żebyśmy tu mieli mafię i gangsterów. Zamiast tego są pochody i święty spokój. - Widząc nadal nieprzekonaną twarz aspiranta, rozbudował swój wywód. - Panie aspirancie, tam naprawdę nie ma przypadkowych ludzi, więc i przypadków nie masz tam za grosz! A nawet jeśli... to już pięknie kolega Stolarczyk wyjaśnił. Poza tym, skoro przełożeni mówią, że

to nie nasza robota i nie nasz interes, to znaczy, że tak jest! Ciepła stoi w pogotowiu za ratuszem i jak będzie potrzebna, to ruszy. A wiesz pan, że chłopcy z Ciepłej potrafią przykrochmalić jak nikt. - Przodownik zaśmiał się z własnego żartu i dla pewności jeszcze objaśnił Denhelowi. - No przykrochmalał, bo ich koszary, jak pan wiesz, są na rogu Ciepłej i Krochmalnej!

Jak miał nie wiedzieć, skoro każdy policjant musiał przejść przez służbę kandydacką w oddziałach rezerwy okręgowej.

- Aha! Wymówiliśmy we właściwą godzinę - ucieszył się przodownik.

Faktycznie, do odgłosów pieśni, strzałów i krzyków doszedł jeszcze znajomy, przenikliwy świergot policyjnych gwizdków.

- Pewnie czyszczą ulicę z komunistów - ogłosił Stolarczyk. - Socjaliści, Żydzi i narodowcy są tu legalnie, więc tych nie tkną, ale za to hołota z KPP ulgi nie ma, no bo jak ma mieć, skoro oni wszyscy są nieprawnie.

Nagle w urzędzie zrobiło się zamieszanie, to wywiadowca Zawadzki biegał po korytarzu i krzyczał:

- Ale numer, co za nieszczęście! Socjaliści utłukli chłopaka z defensywy!

Jak się okazało, przypadki chodziły nie tylko po zwykłych ludziach, ale i policjantach, a przed pechem nie ratowała nawet służba w defensywie.

Spotkali się na Powązkach, było ich może z dziesięciu, a całą grupą komenderował oczywiście Tata Tasiemka. Najważniejszy pepeesiak w tej części Warszawy zawsze się nosił z krzykliwą

elegancją, ale na okoliczność 1 Maja ubrany był wyjątkowo odświętnie. Miał na sobie długą marynarkę, niemal surdut, koszulę z bakelitowym kołnierzykiem i krawatę, a głowę zdobił mu melonik. Nerwowo podkręcał wąsa i długimi, głębokimi wdechami wciągał w płuca papierosowy dym. Widać było, że jest przejęty, on, stary bek, egzekutor i kozak, który przeżył pobyt w pruskiej celi śmierci. To wszystko kazało się spodziewać wydarzeń wielkich i krwawych, poważnej draki, podczas której nie będzie miejsca na żarty.

Golnęli po jednym, a potem po drugim kieliszeczku wódki. Sprawa była prosta, mieli się zapakować na platformę ciężarówki i z niej osłaniać pochód PPS-u. Razem z nimi powinni iść żydowscy socjaliści z Bundu<sup>39</sup> i Poalej Syjonu<sup>40</sup>, którzy na ten dzień postanowili zawiesić spory, nie można było za to dopuścić komunistów i trzeba było być gotowym na uderzenie narodowców.

- Narodowców to my czapką nakryjemy - rzucił jakiś młody, gdy się pakowali na ciężarówkę.

- Nie bój, nie bój, chłopaku. - Tasiemka poklepał go po plecach.

- Zjadą się te łachudry z całej Polski, a najwięcej z Poznania.

- A niech przyjadą nawet z samego środka dupy, to i tak sobie z nimi poradzimy - z buńczuczną miną powiedział chłopak. - Przejedziemy z fasonem przez miasto na tej pięknej platformie i zatańczymy z nimi. - Dla dodania sobie otuchy wyciągnął z kieszeni rewolwer.

- Te, Maniek, schowaj tę klamkę, bo jeszcze nie czas, nie zrób sobie krzywdy, chłopaku - usadził go Tasiemka.

- Dobra, Tata, przecież wiem, że to nie zabawka!



- Może i wiesz, ale nigdy nie biłeś z niej do ludzi. Taki kozak nie jesteś. Tylko pamiętaj - spojrzaj na Mańka surowym wzrokiem - wszyscy pamiętajcie, do psów nie strzelamy! Psy się w nasze sprawy nie wtrącają, oni tylko będą gonić komunistów, bo te francy są nielegalne. *Poniał<sup>41</sup>* ?

Chłopaki pokiwali głowami, a ciężarówka ruszyła w kierunku placu Teatralnego.

- Skąd macie rewolwery i amunicję? - zapytał Tasiemkę Heniek.

Stary bek zrobił szelmowską minę, po czym pochylił się do ucha

Wcisły i wyszeptał: - Zorganizowaliśmy, zorganizowaliśmy.

- Jak?

- Nie pytaj.

- Mnie nie powiesz?

- Powiem, tylko nie mów nikomu. - Rozejrzał się, bo taki był nawyk konspiratora. - Buchnęliśmy z cytadeli!

- Z cytadeli?

- Tak, rąbnęliśmy to wojskowym, i te rewolwery, i te trochę pestek to tylko część fantów. Mamy tego sporo, tak na wszelki wypadek. Wiesz, jakby co...

- Jakby co?

- Jakby się coś miało przytrafić, to wtedy.. - Zawiesił głos. - Strzelcy pomogą. Bo wiesz, ja na Powązkach kieruję nie tylko Komitetem Dzielnicowym PPS, ale i oddziałem Związku Strzeleckiego. Szkoda, że masz tak mało czasu na nasze sprawy, ale zawsze możesz to zmienić.

Na miejscu zastali wielotysięczny tłum, który się gromadził wokół dwóch mówców.

- O, przemawia towarzysz Jaworowski, Rajmund Jaworowski

- powiedział z zadowoleniem i szacunkiem w głosie Tata Tasiemka.

- Mądry człowiek, poseł i nasza figura w Radzie Warszawy, a od paru miesięcy jest w Centralnym Komitecie Wykonawczym PPS.

- A tam? - zapytał Heniek, wskazując na mównicę ustawioną przed wejściem do Teatru Wielkiego.

- To komuniści, pora, żeby kończyli, za chwilę rusza nasz pochód. Policja się ociąga, dlaczego ich jeszcze nie rozgonili?

- Coś ich mało, jedna dziesiąta, może nawet jedna dwudziesta tego, co naszych - oszacował siły Heniek.

- Ale bojówkę mają co najmniej jak nasza.

Pochód PPS-u ruszył, a komuniści z miejsca próbowali się wmieszać w tłum pepeesiaków. Wtedy partyjna milicja stworzyła kordon mający powstrzymać komunistów. Zaczęła się bójka na całego. Heniek, stojąc na platformie ciężarówki, patrzył z góry, jak w powietrzu śmigają pięści, laski i kastety. Wtem szereg komunistów się załamał, bo od strony pochodu PPS-u wyszła zwarta grupa prowadzona przez łysego jak kolano mężczyznę.

- Łokietek?

- Jasne, że Łokietek - ucieszył się Tasiemka. - W końcu Rebe to szef partyjnej milicji.

Zamęt zrobił się jeszcze większy, bo od strony ratusza nadciągała z impetem granatowa kolumna ludzi.

- W końcu policja ruszyła swoje ciężkie dupy - burknął Tasiemka, po czym wykrzyknął: - O Cholerka, Łokieć oberwał!

Faktycznie, komuniści zostali odparci, ale z łysej głowy Doktora Łokietka lala się krew.

- Panie szofer, jadziem - krzyknął Tasiemka. Gdy podjechali na ziemię niczyją między pochodami PPS i KPP, zauważyli, że po obydwu stronach bojówkarze sięgali za pazuchy. - Uwaga, walimy, zanim nas ustrzelą.

Gruchnęła salwa, Heniek starał się walić po nogach, mierzył dokładnie i trafiał, gdzie chciał, ale inni pakowali bez namysłu. Powietrze rozdarły nie tylko strzały, ale i krzyki, a wśród komunistów padli ranni. Niektórzy leżeli na bruku i się nie ruszali. Pochód KPP zafalował, a wycofując się, zabierał rannych. Na ziemi pozostały dwa nieruchome ciała.

W urzędzie zawrzało, takie rzeczy zdarzały się niedawno w Kaliszu i w Stryju, ale nie w Warszawie.

- Strzelają do naszych? - Skorupski się poderwał.

- Nie, to była omyłka - wyjaśnił wywiadowca Zawadzki, który miał najnowsze wieści z miasta. - To był agent z defensywy, Wacek Grudziński, on się wmieszał w pochód komunistów, udawał jednego z nich. Jak ruszyli na socjalistów, to najpierw była bitka, poszły w ruch pałki i kastety, a później poszła salwa z ciężarówki!

- Z ciężarówki? - zdziwił się Denhel.

- Tak, panie aspirancie, oni urządzili sobie ruchome stanowisko strzeleckie, podjechali pod komuchów i trrrrach! Poszła salwa i padł Grudziński. - Zawadzki otarł pot z czoła. -

Miał chłopak pecha i tyle. Oprócz niego dostał jeszcze jakiś komunista z fabryki Pocisk i z kilkunastu rannych.

- Trzeba ich dorwać!

- Ale jak? To są ich sprawy, partyjne, a ten nasz z defensywy udawał komunistę. Zdarza się. - Zawadzki bezradnie rozłożył ręce.

- I tak się będą strzelać? - Denhel wyraźnie szukał kogoś, kto podzielał jego poglądy, ale po raz kolejny się zawiódł.

- Będą, a co to komu szkodzi. Socjaliści nie chcą, a komuniści się boją nas atakować. Pepeesiki odwalają za nas czarną robotę. My się musimy z nimi cackać, a oni nie. Szkoda Grudzińskiego, ale z drugiej strony, aż miło popatrzeć, jak im dają wciry, walili do nich jeszcze na Krakowskim i na Nowiku przy Bliklem.

- Ilu może być zabitych?

- Może pięciu albo sześciu. - Zawadzki wzruszył ramionami. - Na pewno i tak za mało.

Heńkowi coraz mniej podobało się walenie do komunistów.

Wlekli się za nimi jak wierne psy, więc wystarczyło ich obić. Łokieć uważał jednak, że skoro mieli przy sobie pistolety, to należało ich odstraszyć bronią i strzelać tak, by tylko ranić. Rozkaz był zrozumiały, ale nie dla wszystkich wykonalny. Heniek Wcisło był pewien swoich strzałów, pakował kule w nogi, bo wiedział, jak to się robi. I nie był pijany. Wielu chłopaków dało w gaz tak, że mieliby kłopoty z trafieniem w słońca, a co dopiero w kulasy jakiegoś komunisty. Chwiali się i walili po prostu w tłum,

jak popadnie. Heniek zeskokczył z ciężarówki i podbiegł do Tasiemki.

- Tata, z tego wychodzi jakaś straszna kicha!

- Dlaczego?

- Bo nie wszyscy potrafią strzelać, a poza tym ładowanie w tłum nie może się skończyć dobrze!

- A czy w tłumie są ludzie z rewolwerami?

- Są, ale...

- Jak są, to co mi dupę zawracasz, to ich problem, że kryją łotrów z bronią!

- Będzie z tego niezła chryja, bo po ich stronie muszą być trupy!

- To zdrajcy i agenci, więc nie szkoda mi ich, a zresztą po jaką cholere się za nami wloką? Żeby się przyłączyć? Jak się chcą przyłączyć, to niech się pierw wypiszą z KPP!

Rozmowę przerwał wrzask i palba, to komuniści znów ruszyli w kierunku socjalistycznego pochodu, a z drugiej ciężarówki bojówka PPS-u powitała ich ogniem. Heniek z ulgą zauważył, że komuniści w końcu się od nich odkleili, a reszty dokonała policja. Pałki poszły w ruch, psy przyszły na deser, a czarną robotę zrobiła za nich milicja socjalistów. Jak skończą z komunistami, to policzą trupy i rannych, po czym umorzą śledztwo. Tak ma być, Łokieć i Tasiemka zaklinali się, że wszystko się rozejdzie po kościach, oby tak było, bo inaczej umarł w butach.

Juliusz Beniowski, kierownik warszawskiego oddziału Towarzystwa dla Handlu Zagranicznego Bałtyk - Świat siedział w

swoim biurze w galerii Luxenburga. Teraz już się uspokoiło, ale wczoraj Senatorska była niedaleko prawdziwej linii frontu. Czytając gazety, które rachowały zabitych i rannych, kreślił w głowie scenariusz na najbliższe tygodnie. Bez dwóch zdań coś wisiało w powietrzu, to było czuć. Robotnicze pochody z roku na rok były coraz krwawsze, ale ten ostatni zdawał się przypominać o tym, co się stało w grudniu dwudziestego drugiego roku. Pięciu zabitych komunistów i agent defensywy. Sporo, a jeszcze była kupa rannych.

Trzy i pół roku temu było blisko krwawej łaźni, która rozwiązałaby większość problemów Rzeczypospolitej. Akcja, jakich wiele widział w czasie rewolucji w 1905 i wojny, wypleniłaby szkodniki, ale ludzie z władz PPS-u i Marszałek powstrzymali rozlew krwi. Beniowski uważał, że niepotrzebnie, bo przecież byłaby to uprawniona zemsta za bezczelność narodowców i za zaszczucie, a na koniec zamordowanie prezydenta Narutowicza. Że zginęłoby paru sympatyków endecji więcej, niż to planowano? Trudno, takie rzeczy się zdarzają, miało być czterech, ale jeśli nawinęliby się inni i padłoby czterdziestu czterech albo stu czterdziestu czterech, to i tak nie byłaby to wysoka cena za wyklarowanie się sytuacji w Polsce.

Wtedy miano skrupuły i wstrzymano rozprawę z Hallerem, Strońskim, Sadzewiczem i Dymowskim. To byłby sprawiedliwy odwet, bo mieli na rękach krew nie tylko robotnika, który prowadził pochód mający na celu ratowanie sejmu, ale i się dołożyli do zabójstwa prezydenta. Nikt przecież nie chciał głowy Dmowskiego, tylko jego błędnych rycerzy, odpowiedzialnych za grudniowe nieszczęścia. A może trzeba było, bo tamci nie mieli

skrupułów, obśmiali mord i się wzięli za rządzenie. Partie, partyjki, ugrupowania, srania... Już po powrocie z Magdeburga komendant Piłsudski powiedział socjalistom: „Wam kury szczać prowadzać, a nie politykę robić”. A to był dopiero początek kłopotów.

Szesnaście gabinetów, inflacja, bankructwa i wszechobecna korupcja, majątki zbudowane na oszustwach i znajomościach. Czemu Marszałek tak bardzo zwlekał? Czemu zakazał wojskowym pchania się w politykę? Piętnastego listopada ubiegłego roku wydawało się, że sprawy zaszły za daleko, że nic już nie zawróci nurtu rwącej rzeki.

Tego dnia do Sulejówka zjechało z tysiąc oficerów, w tym aż dwunastu generałów służby czynnej, którzy nie owijali w bawełnę, tylko otwarcie dawali mu pod komendę nie tylko swoje szable, ale także bataliony i pułki. Czekali, aż porwie ich jak dawniej w Legionach, pod Kijowem i w bitwie warszawskiej. Tymczasem Marszałek zdecydowanych na udział w buncie oficerów odesłał do domów i koszar. Wrócili rozczarowani tym, że postawili wszystko na jedną szalę, że oddając się w ręce Marszałka, dostali stygmat buntowników. Sztab Generalny szybko „podziękował” im za oddanie Komendantowi, zsyłając wielu uczestników sulejowskiej demonstracji do odległych garnizonów. Mieli w ręku najsilniejsze karty, w tym zaskoczenie, teraz zostali zdekonspirowani, a nowy szef Sztabu Generalnego, generał Edmund Kessler, informował rząd, że czarna polewka, jaką otrzymali w Sulejówku oficerowie, nie ostudziła ich zapału. Ci ludzie nadal byli gotowi stanąć wraz z Marszałkiem i wisiele nad rządem jak miecz Damoklesa.

Beniowski zajmował się w „dwójce” innymi sprawami, ale doskonale wiedział, że grupa oficerów w największej tajemnicy zajmowała się inwigilacją Marszałka. Bali się, ale i nadał bawili w najlepsze, babrząc się w politycznym gównie, niszczyli Polskę. Najbardziej nie lubił endeków i chamów z Piasta<sup>42</sup>, no i komunistów. Dobrze, że socjaliści się opanowali i wyszli z tego chorego rządu hrabiego Skrzyńskiego. Chjeno-Piast<sup>43</sup> został na lodzie, ale Witosa niczego to nie nauczyło. Znow chce montować jakiś chory gabinecik, a do tego zhardział do granic możliwości, bo kpi sobie z Marszałka, mówiąc, że jak jest taki silny i ma poparcie wojska, to niech sobie weźmie władzę siłą.

Obyś to, chamie, wypowiedział w złą dla siebie godzinę, pomyślał. Tym razem socjalistom nie powinna zadrzeć ręka, podobno jakby co, kolejarze wstrzymają ruch, poza tym w Warszawie mają gotowy Związek Strzelecki. Doktor Łokietek jest szefem placu i trzyma po dzielnicach ludzi takich jak Tasiemka. To prawie tysiąc zakapiorów, co już częściowo mają broń, którą ukradli z magazynów na cytadeli. Ukradli to nie było właściwe słowo, choć przekazanie też nie oddawało w pełni przebiegu tej operacji.

Marszałek nie cofnie rozkazów, tym razem sam pchnie ludzi do działania, dość już marnowania czasu! W marcu podczas odczytu w sali Colloseum był już mocno tym wszystkim zdenerwowany i powiedział mocne słowa: „Tylko dzięki zaiste niepojętej, a tak wielkiej i niezbadanej litości boskiej ludzie w tym kraju nie na czworakach chodzą, a na dwóch nogach, udając człowieka”. Tak jest! Pora przywrócić Polsce godność, pora tak jak wtedy, w wielką



wojnę, pójść naprzód, nie patrząc na ludzkie kreatury, które nie pojmują tego, czego potrzebuje Polska.

Dwunastego maja na ratuszu odbędzie się raut strzelecki, a honorowym patronem ma być pani Aleksandra Piłsudska, kto wie, może przybędzie także sam Marszałek. Na pewno przybędzie, poprawił się w myślach, ale jeszcze nie wiadomo, w jakiej roli. Uśmiechnął się sam do siebie i pomyślał o czasach, gdy miał naście lat i się dał porwać Komendantowi, pojechał do Piotrkowa, zaciągnął się do 4 Pułku Piechoty i walczył za Polskę. Gdzie byli wtedy ci, którzy śmia ich pouczać, gdzie? Większość z nich nawiała do Rosji, gdy oni siedzieli w okopach i ginęli w nich od kul i chorób. Ale warto było... I zrobiłby to raz jeszcze i jak będzie trzeba, to pójdzie razem z tymi, których odsądzano od czci i wiary za brak orzełka z koroną, za libertynizm, socjalizm. Ale to oni, bezbożnicy, zbuntowani chłopcy Komendanta mieli i mają rację! Wtedy byli w mniejszości, ale wygrali wolność dla wszystkich. Teraz też tak będzie. Zrobiło mu się jakoś ckliwie i zanucił:

*Jedzie, jedzie na Kasztance Siwy Strzelca strój,*

*Siwy Strzelca strój,*

*Hej, hej Komendancie Miły wodzu mój!*

*Hej, hej Komendancie Miły wodzu mój!*

Straszna była z Kostka-Biernackiego<sup>44</sup> kanalia i nie na darmo jako szef żandarmerii zapracował sobie na miano Kostii Wieszatiela, ale piosenkę napisał zgrabną. Pies to ganiał, że osobiście angażował się w egzekucje, pies to ganiał, bo był po właściwiej stronie. Przydałby się tutaj, bo był bezwzględny i nie

zadawał niepotrzebnych pytań. Potrafił też podejmować twarde decyzje, przecież to jego chciano obarczyć za to, co się stało w Krakowie. Dwa i pół roku temu nie wahał się stłumić rewolty, choć koszty były wysokie. Trzydziestu jeden zabitych i ponad stu rannych. Źle, bardzo źle, ale czy nie gorsze było pozostawienie wydarzeń samym sobie, czy wystąpienie PPS nie rozbisurmaniłoby komunistów? Ważne, że potrafił wprowadzić w życie każdy rozkaz, szkoda tylko, że major Wacław Kostek-Biernacki był teraz w odległym Przemyślu.

## XIV

### BECZKA PROCHU

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 11 maja roku 1926*

*W Warszawie i całej Polsce jest niespokojnie, a babcia martwi się, że jak się zacznie, to na pewno Heńka znów gdzieś poniesie. Po ostatnim pierwszym maju miał napuchnięty nos i wargę. Babcia się modli, żeby się nie wpakował w jakie kłopoty, i powtarza: „Żeby się to wszystko tylko na strajku skończyło”. Mówi też, że nie lubi Witosy, a przecież to jest nasz nowy premier. Babcia go nie lubi, bo podobno pan Witos nie lubi pana Marszałka.*

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 11 maja roku 1926*

*Czekam każdego dnia na to, co powie Tatko po powrocie z ministerstwa. A mówi rzeczy ciekawe, że żaden rząd się nie utrzyma, a Marszałek w końcu wyjdzie ze swojego Sulejówka. Ci*

*sami ludzie rządzą w kółko, jak na karuzeli, nie dając Polsce żadnej korzyści, a Marszałek Piłsudski stoi z boku i dąsa się na to wszystko.*

To się nie rozejdzie po kościach, to się nie rozmyje ot tak, po prostu, jak zwykle polityczne przesilenie, tu nie będzie już odkładania finału sprawy na świętego nigdy, pomyślał podpułkownik Aleksander Nowicki. Był w masonerii i należał do prometejczyków, a tam dużo mówiono o tym, że wkrótce nadejdzie kres rządów endeckich i ludowych, że pora, by Marszałek zabrał się za to wszystko. Każdy o tym mówił, tylko nie Marszałek. Aleksander był w niskim kręgu wtajemniczenia, ale wiedział, co się święci; zbyt wielu ludzi pragnęło, by Józef Piłsudski wjechał na Kasztance do Warszawy, tymczasem on zdawał się coraz mocniej działać na wyobraźnię wiernych sobie ludzi, bo dawał do zrozumienia, jak mało ta władza i bałagan go obchodzą. Przedwczoraj był pierwszy sygnał, że kolejnym rządóm lekko z nim nie będzie, bo pan Marszałek nie znalazł się w tworzonym gabinecie Grabskiego. Dziękując za tekę ministra spraw wojskowych, jasno dał do zrozumienia: „Mnie się ten rząd nie podoba”.

Ostatecznie rząd nie powstał, a premierem został ten uparty chłop spod Rzeszowa. Witos był cięty na Marszałka, zresztą z wzajemnością. Tym razem nie było więc propozycji dla Józefa Piłsudskiego, a nowym ministrem został generał Malczewski. Nim wszedł do swojego gabinetu i rozpoczął urzędowanie, w

Rembertowie trwały już ćwiczenia zarządzane przez jego poprzednika generała Żeligowskiego.

Nie trzeba było pracować w Sztabie Generalnym, by wiedzieć, że Malczewski nie jest orłem, ale nie był też skończonym gamoniem. Szybciutko przystąpił do działania, przywołując następnego dnia na pomoc generałów Stanisława Hallera i Włodzimierza Zagórskiego. Pierwszego mianował szefem Sztabu Generalnego, drugiego zaś postawił na czele lotnictwa. Jakie to będzie miało dla niego konsekwencje?

Przyszedł do Sztabu Generalnego jeszcze za czasów Marszałka, ale wkrótce wszystko się zmieniło, bo nastał generał Haller. Pracując pod nim, poczuł znużenie i zaczął się ubiegać o jakieś stanowisko w kawalerii. Chciał uciec, bo Stanisław Haller „odkrył w nim znakomitego organizatora” i przeniósł z Oddziału III - Operacyjnego, do Oddziału I, czyli Organizacyjnego. To był awans, bo z majora stał się podpułkownikiem, ale on sam nazywał to kopem w górę. Owszem, był organizatorem na medal, ale co innego było jego żywiołem. Może gdyby poszedł do „dwójki”...

Znał przecież rosyjski jak polski, znał ludzi. Wielu jego kolegów przeszło na stronę czerwonych, znał ich obyczaje, wiedział też, jak byli szkoleni ci, których nie znał osobiście. Wywiad też nie był mu pisany, więc chciał się wyrwać z Pałacu Saskiego i wrócić do garnizonowej roboty, szkolenia, galopu, manewrów i machania szabelką. Nie wyszło, burzliwa przygoda zakończona awanturą u Grubego Joska, postrzałem i urlopem zdrowotnym, a nade wszystko niechęcią Emilii do wyjazdu z Warszawy nie pozwoliły mu na realizację tego planu. Jak wrócił po rekonwalescencji, to rządził już generał Edmund Kessler. Zanim zdążył go wyrzucić,

sam stracił stanowisko i oto znów mamy generała Stanisława Hallera. Pora się chyba pakować, to nie na jego temperament, przejdzie do cywila, zajmie się interesami teścia, i kto wie, może będzie miał więcej czasu na konie.

Wszak z Mokotowskiej na pole wyścigowe były dwa kroki, a jeszcze bliżej było do, niezastąpionej zimą, krytej ujeżdżalni przy Litewskiej. Będzie miał też więcej czasu na swoje hobby, jakim była starożytność. Kiedyś bawiła go mitologia, a teraz coraz bardziej zajmująca była polityka i wojskowość starożytnych Greków i Rzymian. To już postanowione, odchodzi z wojska i zaczyna nowe życie, dobrze się po latach na coś zdecydować. Wciągał go też ruch prometejski i pomysł, by walczyć z bolszewią przez zjednoczenie wszystkich przez nią zniewolonych. Był blisko generała Karaszewicza-Tokarzewskiego i coraz mocniej pociągały go jego idee, ale najpierw Emilia, a dopiero później koniki, szabla, teozofia i prometeizm.

Podpułkownik Aleksander Nowicki wybrał swoją nową drogę, ale na razie w bałaganie, który spowodowało napięcie między Marszałkiem a Witosem, nie byłoby komu przyjąć jego prośby o zwolnienie, zresztą musiał ją wpierw napisać. Zrobi to, ale dopiero po kawie w Bristolu. Energicznie wstał od biurka i wyszedł z gabinetu, a po paru minutach szedł już sprężystym krokiem przez plac Saski<sup>45</sup>. Gdy był już w przyzwoitej odległości od kolumnady pałacu, w której mieścił się Grób Nieznanego Żołnierza, wyciągnął z pudełka cygaretkę i zapalił.

To już chyba nałóg, pomyślał Beniowski, gasząc papierosa i sięgając po następnego. Ale nie mógł się opanować, bo sytuacja była nerwowa. Nowy minister spraw wojskowych zawołał na pomoc Hallera i Zagórskiego, ale nim ci dotarli do swoich gabinetów, w mieście było już gorąco. Tymczasem wczoraj Marszałek udzielił wywiadu dla „Kurjera Porannego” i pism żydowskich. Władze dostały szału, Komisariat Rządu wydał nakaz konfiskaty gazet. Same tego nie wymyśliły, dostały wytyczne od Witosa. Gazety zniknęły z drukarni, ale rzecz jasna nie wszystkie. Beniowski rozpostarł przed sobą szpaltę „Kurjera” i raz jeszcze zaczął czytać to, co rozpolitykowani warszawiacy przekazywali sobie w kawiarnianych rozmowach. „Kilkakrotne próby p. Witosa nie udawały się jedynie z przyczyny nieumiejętności albo niechęci tego pana uwzględnienia interesów moralnych państwa. Państwo bowiem ma dwie funkcje wyraźnie państwowe i wyraźnie z jego bytem związane: wojsko i politykę zagraniczną, to znaczy stosunki z innymi państwami. Te dwie funkcje, jak zawsze twierdziłem, nie mogą podlegać fluktuacji gry zawistnych partyj, gdyż system taki prowadzi nieuchronnie państwo do zguby i demoralizuje oraz degeneruje obie te funkcje. Takie było moje zdanie, gdy jako Naczelnik Państwa z trwogą patrzyłem w przyszłość, widząc rozigranie namiętności partyjnych w stosunku od tych właśnie dwóch państwowych par excellence funkcji”.

Beniowski zaciągnął się głęboko tytoniowym dymem. Dobrze powiedziane, bardzo dobrze, po czym przeskoczył do kolejnego fragmentu tekstu, który zaznaczył sobie ołówkiem. Tu Marszałek bił w Witosa z grubej rury.

„Dobór jego kolegów w obecnym gabinecie przypomina mi rząd, utworzony ongiś z wielkim hukiem i hałasem, a co do którego zdecydowałem, iż nie mogę w żaden sposób łączyć mego nazwiska z takim właśnie rządem. Wiedziałem bowiem z góry, że wraz z powstaniem takiego rządu idą przekupstwa wewnętrzne i nadużycia rządowej władzy bez ceremonii we wszystkich kierunkach dla partyjnych i prywatnych korzyści. Na ministrów wojska od tego zaczęto dobierać generałów, którzy by mieli sumienie giętkie, zdolne do uprawiania - jak ja nazywam - handlu posadami i rangami, dla wygody takiego czy innego stronnictwa, takiego czy innego potrzebnego posła, takiego czy innego wygodnego kupca - jednym słowem, takiego czy innego człowieczka”.

Beniowski zamknął gazetę. Nic dziwnego, że się wystraszyli, nic dziwnego, że Witos sam udzielił wywiadu i to na tyle prowokacyjnego, że zmienił szybko jego treść.

„Mówią, że Piłsudski ma za sobą wojsko, jeśli tak, to niech bierze władzę siłą... Ja bym się nie wahał tego zrobić; jeśli Piłsudski nie zrobi tego, to, zdaje się, nie ma jednak tych sił za sobą” - palnęło to chomąto z Wierzchosławic. Ostatecznie w poprawionej wersji wywiadu kazał wychodzić Marszałkowi z ukrycia, robić rząd i brać odpowiedzialność za Polskę. Wypowiedział to w złą godzinę, pomyślał z satysfakcją Beniowski. Kapitan podniósł się z krzesła i wyrzwał przez okno. Z jego biura widać było plac Zamkowy, dziś jeszcze pusty i spokojny, ale jutro... Ruszył w kierunku drzwi, założył kapelusz i zbiegł po schodach jak jakiś uczeń. Za pół godziny miał być w siedzibie Strzelca, gdzie komendant placu Doktor Łokietek kierował swoim sztabem.



Około tysiąca strzelców i milicjantów PPS to jest siła, a do tego dojdą jeszcze związkowcy oraz sympatycy partii i Marszałka. Nie wiadomo, co zrobią komuniści - czy pójdą z nimi, bo oni zawsze idą przeciw każdemu rządowi, czy też wykorzystają zamieszanie i spróbują zrobić bolszewicki przewrót. Niedoczekanie! Pepeesiaczy i Strzelec zneutralizują ich, takie mają zadanie, bo to będzie narodowa rewolucja, która zdmuchnie rząd Witosy jak mydlaną bańkę. To będzie sprawa dla Polski, a nie jakiejś konkretnej partii, nie mówiąc już o tym, że mieliby coś na tym ugrać komuniści. Swoją drogą ten cham bez krawata to ma tupet, by trzeci raz się pchać na fotel premiera, ale teraz się wyleczy z podobnych pomysłów raz na zawsze, tym razem miarka się przebrała! Jak to mówią chłopaki z Woli? - Śmierć frajerom, śmierć rządowi, który nie potrafił podjąć odpowiednich kroków. Zrobią wszystko, by się utrzymać przy władzy, ale są spóźnieni o parę dni, bo w ich raportach stoi, że Marszałek zechce przejąć władzę siedemnastego maja, ewentualnie w nocy z osiemnastego na dziewiętnastego. A dziś jest jedenasty, macie więc, panowie, prawie cały tydzień w plecy i nawet jak się zaczną bardzo śpieszyć, to tego czasu nie nadgonią, zwłaszcza że generał Stanisław Haller był wciąż w Krakowie, minister spraw wewnętrznych Smólski na urlopie, a prezydent nie wrócił jeszcze z wypoczynku w Spale.

Przechodząc obok siedziby garnizonu warszawskiego i Komendy Miasta, podpułkownik Nowicki zobaczył jakieś zamieszanie. Młodszy oficerowie poruszali się jakby szybciej i było gwarniej niż zwykle. A może mu się wydawało? Nagle z budynku

szybkim krokiem wyszedł dowódca 36 pułku piechoty Kazimierz Sawicki.

- Czołem, pułkowniku, czemu tak gonisz?

Pułkownik Sawicki podbiegł do Nowickiego i zamiast się przywitać, chwycił go pod łokieć i pociągnął w kierunku Krakowskiego Przedmieścia.

- Ocetkiewicz zwariował!

- Co? - zdziwił się Nowicki, nie potrafiąc sobie wyobrazić, co znaczyło słowo zwariować wypowiedziane przez dowódcę 36 pułku. Co Sawicki miał na myśli, mówiąc, że zastępca dowódcy garnizonu warszawskiego pułkownik Marian Ocetkiewicz zwariował? Mimo że Sawicki energicznie pchał go w kierunku Bristolu, Nowicki przystanął i zapytał. - Jak to zwariował?

- Po prostu zwariował! Siedzieliśmy sobie w Bristolu na kawie, no wiesz, Olek, jak zwykle gadaliśmy, no bo jest o czym, taka oficerska giełda; co powiedział Marszałek, a co Witos, co znaczą dla nas zmiany w Ministerstwie Spraw Wojskowych i w Sztabie Generalnym i do czego to wszystko doprowadzi. Przyznam, że było gwarniej niż zwykle i było nas więcej, ale sytuacja jest nadzwyczajna i jest o czym rozmawiać, w każdym razie ktoś zwrócił na to uwagę, a może był to przypadek... Nieważne, po prostu nagle się pojawił w kawiarni Ocetkiewicz, wsadził do środka głowę, zlustrował nas wzrokiem i zamiast się przysiąść czy choćby zamienić dwa słowa, wyskoczył jak oparzony. Później dostrzegliśmy, że się przechadzał pod kawiarnią jak jaki agent, zaglądając przez szybę, a gdy się już napatrzył, poszedł w kierunku budynku garnizonu.

Nie minął kwadrans, gdy stanął przed nami jego adiutant i zawezwał do Komendy Miasta oficerów tam pracujących. Minęło pół godziny, a oni nie wracali, więc poszedłem sprawdzić, co się stało, czy jeszcze wrócą i dokończymy kawę, czy też może mamy się spotkać po służbie. Wchodzę do środka, a tam od razu dopada mnie major Ziemski, mój podkomendny z pułku, który jest oficerem inspekcyjnym garnizonu, i wali do mnie w te słowa: Po co tam idziesz? Wracaj, bo cię Ocetkiewicz zaaresztuje, jak to już uczynił przed chwilą z dwoma pułkownikami! Wybiegłem więc i teraz gonię do Bristolu, by ostrzec kolegów przed tym wariatem.

Pułkownik Nowicki pojął, że nie był to najwłaściwszy czas, by się zwalniać z wojska, nikt nie będzie miał do tego głowy, kto wie, co przyniosą najbliższe godziny.

Tasiemka szedł ze swoją strzelecką ferajną od strony Powązek, na Kercelaku spotkali się z grupą z Woli. Byli już pod dobrą datą, bo odwiedzali szynki, a w każdym z nich wznosili kolejkę i winszowali sobie, by inni goście lokalu śpiewali z nimi *Pierwszą Brygadę*. Było byczo, bo w robociarskich dzielnicach wszyscy się przyłączali. W końcu dotarli Chmielną do Nowego Światu, dochodziła już dziewiąta, ale w kawiarniach nie brakowało ludzi. Rozdzielili się na mniejsze grupy i poczęli wznosić okrzyki sławiące Marszałka. Nowy Świat rozbrzmiał ich krzykiem i nie uchronili się przed nim ci, którzy siedzieli w kawiarniach i restauracjach. Grupy pepeesiaków poczęły, tak jak na Woli, wchodzić do lokali. Tata Tasiemka wraz z kilkoma chłopakami

udał się do pierwszego z brzegu szynku. To, co zobaczyli, zdziwiło ich; kilku oficerów szarpało się z jakimiś pizspanami.

- Nic nie będę śpiewał, nie mam też zamiaru wstawać z miejsca! Żądam szacunku, jestem oficerem rezerwy! - krzyczał elegancko ubrany człowiek, który z całych sił zapierał się w krześle. Oficerowie ciągnęli go w górę, ale kompani cywila trzymali go jak kotwica w dole.

- To hańba dla munduru, to skandal - krzyczeli poplecznicy oficera rezerwy.

Tasiemka dał znać chłopakom, dziesiątka młodych strzelców z Powązek i Woli grzecznie odsunęła wojskowych i w jednej chwili wyrwała do pionu opierających się mężczyzn. Ten, który się stawiał najbardziej, dostał sójkę w bok i z trudem łapiąc powietrze, posapywał.

- Panowie oficerowie, teraz chyba możemy śpiewać - ryknął Tasiemka, po czym wydarł się na resztę sali: - Baaaczność, zaraz zaśpiewamy tu *Pierwszą Brygadę!* - Oficerowie zasalutowali mu, a on szybko się zgłosił. - Panowie, melduję oddział Strzelca z Powązek i Woli!

Po chwili publika sterroryzowanego lokalu stała na baczność, a ściany trzęsły się od gromkiego śpiewu.

*Legiony to żołnierska nuta,  
Legiony to ofiarny stos Legiony to żołnierska buta,  
Legiony to straceńców los.*

*My, Pierwsza Brygada,  
Strzelecka gromada,*

*Na stos rzuciliśmy swój życia los,  
Na stos, na stos.*

Kierownik sali nawet nie pytał, co ma być dalej. Szybko zarządził, by kelnerzy podali każdemu z wojskowych i strzelców po lampce prosecco, nie robiąc zresztą tego pod strachem, lecz z pełnym entuzjazmem. Był weteranem i nie lubił Witosy, więc sam też się przyłączył do śpiewaków i wręcz zaryczał, gdy leciała jego ulubiona zwrotka.

*Nie chcemy już od was uznania Ni waszych mów, ni waszych łez.*

*Skończyły się dni kołatania Do waszych serc, jebał was pies!*

- Jebał ich pies - zakrzyknął na ulicy gazeciarz, dodając od siebie to, co myśli o tych, którzy zaatakowali willę Marszałka w Sulejówku. - Sensacja, sensacja, dodatek nadzwyczajny o zamachu na rodzinę pana Marszałka Piłsudskiego, kupujcie dodatek nadzwyczajny „Kurjera Porannego”! Willa pana Marszałka Piłsudskiego ostrzelana, kupujcie dodatek nadzwyczajny!!! - Darł się, by przekrzyczeć konkurentów, którzy donośnymi głosami zachwalali „Przegląd Wieczorny”. Tam też było o ataku na willę Marszałka.

- Zbrodniczy atak na Marszałka i jego rodzinę - śpiewnie wołał sprzedawca „Przeglądu”.

Ani oni, gazeciarze, ani podeksycytowani lekturą dodatku nadzwyczajnego warszawiacy nie wiedzieli, że w tym czasie 7 pułk ułanów z Mińska Mazowieckiego wyruszał na nocne

ćwiczenia. Mimo później pory w gabinetach Ministerstwa Spraw Wojskowych i Sztabu Generalnego rozdzwoniły się telefony, bo ułani pojechali na ćwiczenia wyposażeni w pełne uzbrojenie i z zapasami ostrej amunicji.

Noc była nerwowa, liczono pułki i zastanawiano się nad dalszym przebiegiem sytuacji. Gdy w Ministerstwie Spraw Wojskowych i wśród sztabowców panowała konsternacja, po drugiej stronie szybko rosnącej barykady zacierano ręce, bo wszystko szło zgodnie z planem. Kapitan Juliusz Beniowski, tak jak inni oficerowie popierający Marszałka, był pewien, że wszystko zmierza w kierunku przegnania rządu i ustanowienia nowego porządku. Prawie wszystko szło akuratnie, prawie, bo nie doszło do spotkania Marszałka z prezydentem.

Z samego rana Józef Piłsudski pojechał z Rembertowa do Belwederu, ale pocałował klamkę, bo prezydent nie zdążył jeszcze wrócić z rezydencji w Spalę. Szkoda, może by się dogadali i rząd Witosa poszedłby w kibinimetry, ale tak trzeba ich będzie jeszcze mocniej nacisnąć.

Na Daniłowiczowskiej czuli napięcie, ale wiedzieli też, że to nie do końca ich sprawa. Na porannej odprawie Kurnatowski skwitował sytuację słowami:

- Dzisiaj, jak rzadko kiedy, Urząd Śledczy jest oazą spokoju, w te majowe dni inni się będą pocić, a my... co najwyżej się zgrzejemy od słońca, które hojnie obdarza nas żarem z nieba.

Słowa zastępcy naczelnika przywitał śmiech śledczych.

- Dzisiaj słowo fuks nabiera nowego znaczenia - wrzucił swój żarcik Strasburger. - Trzeba mieć wyjątkowego pecha, by być Fuchsem!

Towarzystwo aż zatrzęsło się ze śmiechu, bo komendantem Rezerwy Okręgowej policji był nadkomisarz Karol Fuchs, który po zaledwie kilkunastu dniach odpoczynku miał szansę ponownie stać się najbardziej zapracowanym człowiekiem w mieście.

- Znów będą się działy takie cuda, że nawet szopa wyjedzie ze stajni. - Strasburger ku uciesze zebranych zabawił się tym razem nazwiskiem komendanta Oddziału Konnego Marcina Szopy.

- Na Ciepłej mieli ostatnio gorąco, a teraz to już będzie prawdziwy ukrop. - Ktoś zabawił się nazwą ulicy, przy której mieściły się koszary Rezerwy Okręgowej i stajnie Oddziału Konnego. - Młodszy koledzy, kursanci od Manowskiego, też pójdą w galop.

Karol Denhel, którego do tej pory nie bawiły śmichy-chichy z kolegów policjantów, co się zajmowali porządkiem na ulicach i tłumieniem wszelkich ekstraordynaryjnych występów, zaśmiał się pod nosem, bo jak każdy z kilku ostatnich roczników policyjnych wiedział, co znaczy policyjna szkoła u komendanta Hipolita Manowskiego.

- Panowie, a teraz poważnie. - Nadkomisarz Kurnatowski najwyraźniej postanowił zakończyć ten cyrk, który zresztą sam sprowokował. - Dla nas też będzie to gorący czas. Strzelaniny i bijatyki nas nie interesują, ale takie nadzwyczajne sytuacje zawsze pobudzają złodziei i bandytów. Bądźcie czujni i... uważajcie na siebie, ludzie mogą być w najbliższych dniach

nerwowi i nieobliczalni. Takie sytuacje niosą ze sobą efekty uboczne, większość kolegów pamięta wypadki z grudnia dwudziestego drugiego roku.

Pamiętali i wiedzieli, że pierw się będą grzebać w starych sprawach i patrzeć, jak na ulicach mocują się oddziały rezerwy i konnicy, a później, gdy zamęt sięgnie zenitu, do przestępstw związanych ze zwykłymi burdami dojdą także te najcięższe, które się nasilą, jeśli nie w wyjątkowej skali, to na pewno w wyjątkowej jakości. Wojny, rewolucje i zamęty społeczne zawsze były dobrą glebą dla wszelkich wynaturzeń.

Heniek wiedział, że coś się święci. Już wczoraj było wesoło, panowie oficerowie bawili się na Nowym Swiecie i uczyli śpiewać opornych *Pierwszą Brygadę*. Takie rzeczy nie działy się codziennie, atmosfera gęstniała tak jak w grudniu dwudziestego drugiego roku, ale wtedy to ich, pepeesiaków i ludzi Marszałka, chciano wypchnąć z polityki, a teraz to oni odpłacą pięknym za nadobne. Tym razem nie cofną się i zrobią to, co powinni zrobić po zamieszkach pod sejmem oraz po śmierci prezydenta Narutowicza. Skończyło się babci sranie!

Skończy się, skorygował w myślach, skończy się, bo Tasiemka i Łokietek zarządzili mobilizację. Henryk Wcisło nie był formalnie ani w Związku Strzeleckim, ani w partyjnej milicji, ani nawet w samym PPS-ie, ale należał do zaufanych ludzi, którzy zostali zmobilizowani przez starych beków. Jaworowski, Łokietek i Tasiemka trzymali rękę na pulsie i byli gotowi do działania, a on razem z nimi.



Podpułkownik Aleksander Nowicki nie poznawał samego siebie, zwykle był energiczny i pchał się na pierwszą linię, ale ostatnio chciał, by zamiast eleganckiej, obstalowanej na miarę rogatywki jego głowę nakrywała czapka niewidka. Przydałaby się szczególnie teraz, bo w budynku Sztabu Generalnego od samego rana wrzało; najpierw poszła informacja, że batalion z 36 pułku piechoty, który wezwała Komenda Miasta, nie przybył, a przecież praskie koszary są przy 11 Listopada, nie na drugim końcu świata, tylko na Pradze nieopodal Targówka i Bródna! Niecierpliwiono się coraz bardziej, aż wreszcie zadzwoniono do dowódcy pułku Sawickiego, a ten odpowiedział, że batalion nie wzmocni obsady Komendy Miasta, bo pułk jest w dyspozycji pana Marszałka i póki on takiego rozkazu nie wyda, batalion na drugą stronę Wisły nie ruszy!

A więc pułkownik Marian Ocetkiewicz nie był żadnym wariatem, pomyślał Nowicki. Być może należał do nielicznych trzeźwo i, co najważniejsze, szybko myślących i działających w tym towarzystwie! Pułkownik Aleksander Nowicki był za Piłsudskim, ale przede wszystkim słuchał rozkazów. Na razie wydawali mu je przełożeni ze Sztabu Generalnego, a Marszałek, choć miły jego sercu, był daleko. A szkoda, bo to jego, a nie przełożonych ze sztabu, wolałby słuchać. Nowicki chciał w kraju porządku, mierziło go to politykierstwo. Trzeba było wziąć sprawy w jedne ręce, przestać się kłócić i prowadzić partyjne gierki, bo Polska stawała się powoli pośmiewiskiem Europy.

Szesnasty gabinet w ciągu siedmiu lat, bezwład, kolesiostwo i partyjniactwo, które koniecznie trzeba rozgonić. We Włoszech jakiś Mussolini, były socjalista, francuski agent, weteran wojny światowej i belfer szkoły elementarnej, który nie był nawet podoficerem, podporządkował sobie kraj jednym marszem na Rzym! Czemu Marszałek nie miałby zrobić tego samego w Polsce? Skoro na Półwyspie Apenińskim, który wydał Europie i światu Imperium Romanum, udała się taka rzecz jakiemuś wypierdkowi, konusowi w czarnej koszuli, to nie sposób sobie wyobrazić, jakie dobro spłynęłoby na Polskę, gdyby Józef Piłsudski dopiął swego! Taka myśl była nie tylko kusząca, ale wręcz malowała się jako jedyna przyszłość Rzeczypospolitej i jej obywateli, ale co z tego, skoro jest oficerem i przysięgał.

Myśli galopowały mu po głowie jak konie w jakiej szarzy, ale przecież liczy się dobro Polski... Przede wszystkim Polska, a później wszystko inne. Co zrobić, na Boga jedyne, co począć? Poprzeć Cezara czy Pompejusza, dołączyć do legionów mających przekroczyć Rubikon czy bronić konsulatu i senatu? Ale kimże jest konsul, co zrobił dla Res Publici senat? Poprzeć Cezara, a potem... potem być razem z Brutusem. Głowa pękała od nadmiaru myśli, żadnego ukojenia, żadnej ulgi, żadnej podpowiedzi. *Naplewat', job twoju mat*<sup>46</sup> - strzeli sobie w łeb!

- Panie pułkowniku! - Z odrętwienia, jak kubeł zimnej wody, wytrąciło go energiczne wołanie. - Panie pułkowniku Nowicki!

Znał ten głos, odwrócił się i zobaczył pułkownika Władysława Andersa. Znali się od dawna, bo służyli razem na wschodzie. Czego od niego chce, do cholery?

Było piękne wiosenne popołudnie i aż się chciało pójść w Aleje! Stefa Wcisło odbyła krótką rozmowę z panią wychowawczynią i biegiem dołączyła do koleżanek, które opuściły już szkołę i szły Wiejską w kierunku Ujazdowskich. Tam niemal zawsze było tak pięknie i kolorowo, zwłaszcza teraz, wszystko umajone i takie radosne. Babcia nastraszyła ją wczorajszym opowiadaniem, a i w szkole coś się obilo jej o uszy, ale może jak dojdzie z koleżankami do Alej, to zły nastrój minie. Szła Piękną i była już blisko Ujazdowskich gdy dotarło do niej, że jest inaczej niż zwykle. Widziała gwarny tłum elegancko ubranych ludzi, którzy szli to w lewo, to w prawo, słyszała metaliczny odgłos tramwajów, stukot końskich kopyt, szum dorożek, warkot automobili, ale do tej wielkomiejskiej muzyki dołączył jakiś nieznany odgłos, miarowy, mocny, stanowiący gęste tło. Gdy doszła z koleżankami do ulicy, dostrzegła, że środkiem Alej, w kierunku placu Trzech Krzyży maszerują żołnierze. Zielona fala przesuwawała się, błyskając bagnetami.

To zdarzało się bardzo rzadko, można powiedzieć, że wyjątkowo. Leokadia Rostocka na palcach jednej ręki mogła policzyć dni, w których Henryk Wcisło nie towarzyszył jej w drodze ze szkoły do domu. Od blisko pół roku czekał na nią po drodze z Pięknej w Aleje i odprowadzał ją aż do placu Starynkiewicza. Jak go nie było, to zawsze miał jakiś ważny powód, jaki tym razem? Czyżby się znalazł wśród ludzi, których

coraz więcej gromadziło się w środku miasta? Zdała sobie sprawę, że nie rozmawiali nigdy o polityce, że tak naprawdę nie rozmawiali o wielu sprawach. Niby znała go dobrze, ale to było tylko złudzenie, bo gdyby zsumować całą wiedzę na temat Heńka, to zmieściłaby się ona na małej kartce.

Robotnicza fala ruszyła i zalewała miasto. Z Woli oraz Muranowa przyciągnął pod Pałac Namiestnikowski całkiem spory tłum. Krzyczano: „Precz z rządem Witosa, niech żyje Marszałek Piłsudski”, a co bardziej zapalczywi darli się: „Na szubienicę z nimi!”. Było klawo, Heńkowi się to podobało, bo lubił Piłsudskiego, a nie znosił Witosa i tej jego bandy. W pewnym momencie ludzie jakby stracili zainteresowanie rządem i jego obradami. Ważniejszy był Marszałek, który maszerował ze swoimi wojskami od strony Rembertowa. Poszła plotka, że lada moment przybędzie! Ale którądy, tego nie wiedział nikt.

- Przyjdzie najkrótszą drogą, Poniatoszczakiem - krzyczeli jedni.

- Lipa! Wojsko idzie od koszar przy 11 Listopada, Legia Akademicka wali z Pragi, a z nią wejdzie do miasta Piłsudski! - uważali drudzy.

Nikt nie był pewny do końca, więc tłum się podzielił na dwie części. Demonstracje poparcia ustawiły się na skrzyżowaniu Nowika z Alejami Jerozolimskimi oraz na placu Zamkowym. Heniek zastanawiał się, co wybrać, aż w końcu wpadł na jakiegoś chłopaka od Tasiemki, który pociągnął go za rękaw.

- Dawaj do Taty, montuje oddział!

Z okna biura przy Krakowskim Przedmieściu Juliusz Beniowski widział wszystko jak na dłoni. Do pewnego momentu był to ruch uliczny, najintensywniejszy w całym mieście. Nigdzie indziej nie zbiegało się w jednym miejscu aż dziesięć linii tramwajowych, ale nagle tramwaje zniknęły, jak ręką odjął. Tory zatarasował nie tylko narastający tłum, ale i chłopcy z 11 Listopada od podpułkownika Sawickiego, którzy już powinni być na moście. Na razie ulicą rządzą ludzie chcący zmian, ale nie to jest ważne. Ważne, że jakby co, to PPS wstrzyma pociągi, ale to chyba nie będzie potrzebne, bo jak to mówili Ślązacy? Jest już po ptokach, uśmiechnął się i pomyślał, że to równie dobrze skrojona akcja jak trzy lata temu na Śląsku. Ludzie powitają Marszałka jadącego na czele wojska, będą pochody i radosne demonstracje, a władza ustąpi w trzecim dniu swych kulawych rządów. Zerknął jeszcze raz przez okno i zobaczył jak sylwetki w zielonych mundurach, w hełmach na głowach i z plecakami biegają po przyczółku mostu Kierbedzia. Trzydziesty szósty pułk piechoty zajmował swoje pozycje, a więc praktycznie już po wszystkim. To samo jest na pewno także na moście Księcia Józefa, najkrótszej drodze z Rembertowa do sejmu.

Wojsko szło dziarsko w kierunku placu Trzech Krzyży, wyglądali pięknie, aż przechodnie przystanęli i patrzyli na nich. Mały Stasio musiał zobaczyć, jak zielona kolumna mija go, tupiąc po bruku ulicy.

- Czy jest tam tata? - zapytał.

- Nie ma, synku - odpowiedziała jego matka, Emilia Nowicka.

- A co to za wojsko?

- To Oficerska Szkoła Piechoty - odpowiedział starszy mężczyzna, uśmiechając się do Stasia.

- A dokąd idą?

- Wiem skąd - wtrącił się inny z widzów tej niezapowiedzianej defilady. - Podchorążowie mieli dziś ćwiczenia na Polu Mokotowskim i robili ratatatata! - Mężczyzna naśladował ruchy Strzelca ciężkiego karabinu maszynowego.

- A teraz też będzie ratatatata? - ucieszył się Stasio.

- Nie, drogie dziecko, oni już po ćwiczeniach... - odpowiedział mężczyzna, miał już dodać, że skończyli na dziś swoje ratatatata i wracają do koszar, ale przecież oni się od nich oddalali. - Cholerka - nie wytrzymał i natychmiast przeprosił. - O pardon, ale w takim razie dokąd oni idą?

Na Daniłowiczowskiej każdy miał swoją robotę i starał się nie interesować tym, co się działo na mieście, ale jak to mówią, robota nie zajac, nie ucieknie. Karol Denhel założył kapelusz i poszedł na plac Zamkowy. Na placu Teatralnym spotkał Skorupskiego i złapał go za rękaw.

- Co się dzieje?

- Gorąco, panie aspirancie, gorąco jak psia mać. - Spokojny, wręcz cyniczny policjant był wyraźnie rozemocjonowany. - Tłumy protestują i chcą ustąpienia rządu, most Kierbedzia i przyczółek na placu Zamkowym opanowany przez trzydziesty szósty pułk piechoty, a na

Poniatoszczaku stoją naprzeciw siebie oddziały Marszałka i prezydenta. Będzie z tego chryja, bo podobno od Ujazdowa idzie szkoła wojskowa, jak się spotkają... - Skorupski zawiesił głos, bo to, co myślał, nawet jemu, cynikowi i gruboskórnemu glinie, nie przeszłoby przez gardło.

Denhel podziękował koledze i zaczął się zastanawiać, co począć dalej. Jak tu zachować spokój i zajmować się zwykłymi rzezimieszkami, skoro Warszawie i Polsce grozi prawdziwy bandyta. Ten Piłsudski podpalił lont, siedząc na beczce prochu, wybuchnie, będzie wojna, w której policja powinna bronić państwa, rządu i prezydenta. Doskonale wiedział, co wtedy należy robić z buntownikami. Trzeba ich traktować jak dezertarów, szpiegów i szabrowników. Sądy doraźne i szybkie załatwienie sprawy, bez cackania się i niepotrzebnej straty czasu. Trzeba działać i to natychmiast! Tymczasem policja sprawiała wrażenie, jakby tylko chciała sprzątać po tym spektaklu, jakby była ustawiona do wszystkiego bokiem i patrzyła w zupełnie inną stronę. Co począć, do kogo się zgłosić, jak pomóc? W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym policja też była rozdarta, trzeba było pilnować porządku, ale wielu uciekało z szeregów, zaciągając się na ochotnika do armii, by walczyć z bolszewikami, Funkcjonariuszy porzucających służbę było tak wielu, że dla tych z Warszawy, Łodzi i Płocka zorganizowano ochotniczy pułk piechoty, w którym dzielnie walczył szef Urzędu Śledczego Sonnenberg. On go zrozumie, on go wysłucha!

Aleksander Nowicki planował spędzić wieczór na ratuszu, gdzie miał się odbyć charytatywny raut na rzecz Strzelca. Nie poszedłby, ale Emilia bardzo chciała się pokazać, bo jako gościa honorowego zapowiadano panią marszałkową.

Ta impreza chyba nie dojdzie do skutku, pomyślał, a jak dojdzie, to będzie tak, jak szeptano. Główną atrakcją rautu nie będzie wystąpienie pani marszałkowej, lecz samego Komendanta, w którym ogłosi on przejęcie władzy w państwie. To już blisko, bo rząd nie ma rezerw, jego wojska są wątłe, a wysyłanie naprzeciw Marszałka szkoły podchorążych to śmiech, choć w Pałacu Namiestnikowskim, w którym w tej chwili rząd Witosa radził z przybyłym z Belwederu prezydentem Wojciechowskim, nikomu do śmiechu nie było.

- Panie pułkowniku - usłyszał głos pułkownika Władysława Andersa. - Jest mi pan potrzebny, trzeba nam jeszcze jednego oficera, który by pojechał na trzeci most razem z panem prezydentem. Dobrze, by miał obok siebie sprawdzonych, dzielnych oficerów i to wysokich rangą.

Podpułkownik Aleksander Nowicki poderwał się na równe nogi, założył rogatywkę i zasalutował starszemu stopniem koledze. Wojskowy automatyzm wziął górę nad typowym dla cywili filozofowaniem. Tego popołudnia Anders wybrał za niego, stawiając Nowickiego po rządowej stronie, a teraz dawał mu konkretne zadanie. Dla cywila byłby to ból, dla niego konsekwencja wojskowej hierarchii. Nie pytając, ruszył we wskazanym przez przełożonego kierunku. Czekały na nich automobile, a jednym z nich miał pojechać prezydent



Wojciechowski. W końcu nadszedł i ruszyli w kierunku mostu Księcia Józefa.

Powinno być już po wszystkim, a nie jest, pomyślał Juliusz Beniowski. Ileż to roboty przejść przez most Poniatowskiego i zająć Pałac Namiestnikowski i sejm? Dla pułku wojska tyle, co splunąć. Tymczasem Marszałek wciąż był po drugiej stronie Wisły i od Warszawy odgradzała go nie tylko rzeka, ale i posterunki ustawione na moście. Nikt nie przypuszczał, że tak się postawią, że młodzi oficerowie nie uznają autorytetu Marszałka, że ślepe posłuszeństwo i przysięga wezmą górę. Niedobrze... to znaczy nie jest źle, ale nie jest też idealnie, poprawił się w myślach kapitan Beniowski. Jest jak jest i tyle. Czyli jak? Oficera „dwójki” powinno być stać na lepszą analizę sytuacji, tymczasem on się złapał na tym, że nie potrafi jasno sformułować myśli, że to, co się dzieje w Warszawie i na mostach, jest niemożliwe do oceny. Zdecydują detale, chwila, ktoś lub coś sprawi, że wypadki potoczą się tak, a nie inaczej. Teraz trzeba po prostu czekać.

Edward Rostocki wrócił do domu i był - jak się można było tego spodziewać - cały w emocjach. Zwykle spokojny i stonowany, ale wobec tego, co się działo na mieście, nawet on nie mógł zachować dystansu, wszak się czuł tylko człowiekiem, a nie maszyną! Żona, Maria Rostocka, nie mogła się doczekać jego powrotu i najchętniej z miejsca zasypałaby go pytaniami, ale powstrzymała się i słuchała, co mąż o wszystkim opowie. Z pozoru wyglądał

normalnie, tak jak gdyby nic się nie stało, ale w pewnym momencie wybuchnął.

- Czeka nas katastrofa - powiedział przytłumionym głosem. -  
Ka-ta-stro-fa!!!

Wypowiedziawszy te słowa, Edward Rostocki opadł ciężko na fotel, jakby dziś nie odbył zwykłej drogi z ministerstwa do domu, tylko pieszą podróż z odległej miejscowości. Otarł chusteczką spocone czoło i drżącymi rękoma nalał sobie wody z karafki. Wypił duszkiem i raz jeszcze napełnił szklankę.

Maria i Leokadia Rostockie stanęły nad mężem i ojcem, z niepokojem czekając na jego przemowę. Jednak zamiast potoku zdań, zamiast pięknej potocznej mowy usłyszały raz jeszcze to, co mówił do nich przed chwilą.

- Ka-ta-stro-fa... - wycedził Edward Rostocki. - Ka-ta-stro-fa.

Żona bała się zapytać, ale córka była śmielsza.

- Jaka katastrofa, tatko, jaka?

Rostocki wciągnął powietrze w płuca i nagle wystrzelił z siebie lawinę słów.

- Wojna, wojna domowa, czeka nas wojna domowa! Marszałek zebrał wojska i idzie na Warszawę, w zasadzie już w niej jest, bo trzydziesty szósty pułk piechoty Legii Akademickiej obsadził przyczółek na placu Zamkowym. Gdyby tylko chodziło o to, że Marszałek chce władzy i sięga po nią w tak haniebnym sposobie, to można byłoby jakoś przeboleć. Z trudem, bo z trudem, ale tak, bo takie rzeczy się zdarzają i można je przeżyć, ale tym razem nie wszyscy przeżyją, padną zabici, przybędzie wdów i sierot. Piłsudski się przeliczył, bo nie poparło go całe wojsko, Trzydziesty Pułk Strzelców Kaniowskich z cytadeli wyszedł za mury, by

wyprzeć na Pragę pułk trzydziesty szósty, jedni słuchają prezydenta i rządu, a drudzy Marszałka, nikt nie odpuści i w końcu padną strzały. - Rostocki znów otarł pot z czoła. - A jak już padną, to nikt tego nie zatrzyma.

- A ty, ministerstwo, policja? - Maria Rostocka przerwała milczenie.

- Nasz minister, pan Smólski, jest na urlopie - zaśmiał się Rostocki.

- Wielu o tym marzy, a najwięcej takich jest w wojsku. Wyobraźcie sobie, co teraz czują oficerowie i generalicja, ilu z nich strzeli sobie w łeb, by nie podjąć decyzji, która będzie głupia lub haniebna.

- A jaką ty byś podjął decyzję, tato?

- Chwała Bogu, że nie jestem wojskowym, chwała Bogu!

- Ale gdybyś musiał?

- Chyba bym sobie palnął w łeb!

- Edwardzie - krzyknęła Maria Rostocka. - Edwardzie, bój się Boga! Co ty mówisz, nawet o tym nie myśl!

- Dlatego, że się boję Boga, poważylbym się na grzech śmiertelny - odparł dumnym głosem. - Bo każda z decyzji mogłaby być grzechem ciężkim!

- Edwardzie. - Maria Rostocka bała się, że jej mąż oszalał. - Edwardzie, uspokój się, zażyj coś na uspokojenie!

- Ja się nie muszę uspokajać, ja nie zwariowałem, to Polska zwariowała - wybuchnął Rostocki. - Sytuacja jest wariacka i bez wyboru! Rozumiesz?

Po tym wybuchu Maria Rostocka bała się już cokolwiek powiedzieć i tylko pokręciła głową na znak, że nie może pojąć, o

czym mówi jej małżonek.

- Jeśli w tej wojnie poprze się rząd, to poprze się kolejną nieudolną, zapatrzoną w siebie ekipę, to się opowie za prywatą i partyjniactwem, ale jeżeli się powie stanowcze „Nie” i odda do dyspozycji Marszałkowi, to się złamie przysięgę... Co gorsze? Rozumiesz, Mario, nie pytam, co lepsze, tylko co gorsze, bo tu nie ma dobrego wyboru. Jest tylko jedna szansa, że Piłsudski się dogada z prezydentem Wojciechowskim.

- Jak wielka jest szansa na to, by do tego doszło? - zapytała z nadzieją w głosie Maria Rostocka, a widząc, że jej mąż milczy, dodała błagalnym tonem: - Edwardzie, powiedz, na Boga jedyne, czy jest szansa, by ci dwaj się spotkali i rozwiązali ten problem?

- Jedna na milion, Marysiu, jedna na milion...

W mieszkaniu Rostockich zapanowała cisza.

Kawalkada aut zbliżała się do miejsca spotkania. Nawet gdyby ktoś nie znał Warszawy, wiedziałby, że tak jest, bo tłum gęstniał z każdym przejechanym metrem. Policja próbowała, na razie jeszcze skutecznie, torować drogę autom prezydenckiej kolumny i zamknąć gapiom dojsie do mostu Poniatowskiego, gdzie już trwała psychologiczna wojna. Przejście blokowały wystawione przez rząd posterunki, byli to młodzi, przejęci całą sprawą chłopcy ze szkoły oficerskiej. Pierwszy raz w życiu przyszło im nie na żarty czy tylko dla ćwiczeń mierzyć z broni w cel, ba, w ludzi! Ich cekaemy, lekkie maszynki i karabiny miały ostrą amunicję, a jedną z osób, w które mierzyli, był ich zwierzchnik i bohater,

marszałek Józef Piłsudski. Prezydent podszedł do dowodzącego oddziałem oficera i powiedział:

- Ma pan porucznik zamknąć most i nikogo do miasta nie wpuścić! Porucznik odkrzyknął:

- Rozkaz, panie prezydencie - i wydał swojemu młodemu wojsku rozkazy.

Podchorążowie, nad wyraz sprawnie i szybko, odepchnęli tłum gapiów, co się wlewał na wiadukt mostu, po czym się rozsypali w tyralierę, tak by druga strona wiedziała, że to nie przelewki. Prezydencka świta, gdzie niespodziewanie znalazł się Nowicki, stanęła nieco z boku, w pewnym oddaleniu od niewidzialnej linii demarkacyjnej, która w każdej chwili mogła się stać linią frontową.

Prezydent i kilka towarzyszących mu osób ruszyli lewą stroną mostu w kierunku idącego im naprzeciw Marszałka. Był ubrany w błękitny marszałkowski mundur, był bez szabli, mieli je za to niektórzy z towarzyszących mu oficerów. Nowicki wysilił wzrok i zaczął rozpoznawać ludzi idących z Marszałkiem; z lewej, tuż przy balustradzie mostu szedł chyba kawalerzysta, podpułkownik Stamirowski, dalej jakiś młody oficer, nie znał go, kolejnego rozpoznał z miejsca - generał Orlicz-Dreszer! Z prawej strony Marszałka dwóch oficerów, major Jaroszewicz i kolejny młody, nieznanemu mu z nazwiska, porucznik<sup>47</sup>.

Prezydent i Marszałek stanęli przy balustradzie i zaczęli rozmowę, Nowicki nie słyszał jej treści, było na to stanowczo za daleko, widział tylko, że Marszałek jedną rękę trzymał w kieszeni, drugą położył na ramieniu prezydentowi. To poufałość czy przyjacielski gest? - zastanawiał się Nowicki. Wszak znali się

doskonale z tej swojej PPS-owskiej konspiracji. Nagle musiało dojść między nimi do jakiegoś nieporozumienia i gesty stały się jednoznaczne. Prezydent uderzył laską o trotuar, a Marszałek, nieomal odpychając go, ruszył w kierunku Warszawy. Doszedł tak do stanowisk podchorążych, wtedy któryś z oficerów dał głośną komendę:

- Ładuj broń!

Rozległ się szcęk karabinowych zamków. Marszałek podszedł do dowódcy chłopaków ze szkoły oficerskiej i zapytał:

- Cóż to, dziecko, będziesz do mnie strzelał?

Porucznik łamiącym się głosem odpowiedział:

- Tak jest, panie Marszałku! Mam rozkaz pana prezydenta i jeszcze jeden krok, a każę strzelać!

Marszałek Piłsudski na moment jakby zastygł, ale z właściwą mu energią minął porucznika i poszedł w kierunku jego strzelców.

- Dzieci, nie przepuście mnie? - zapytał z taką pewnością w głosie, jakby było oczywiste, że opuszczą broń i rzucą mu się na szyję, jak wnuki dziadkowi.

- Nie! - krzyknęło kilka głosów.

Marszałek, nic nie mówiąc, ruszył w kierunku swoich ludzi. Minęli się z prezydentem, który się poczuł mocny i zawołał do podchorążych:

- Ja swój obowiązek spełniłem, teraz wy spełnijcie swój.

Chłopcy odkrzyknęli mu z entuzjazmem. Nowicki zrozumiał, że dalszych mediacji nie będzie, że obaj: prezydent i Marszałek położyli na szali swój honor i moc urzędów, a po czymś takim odwrotu nie ma. Ten nastąpi dopiero wtedy, gdy ktoś wyleje zbyt wiele krwi, by móc walczyć dalej. Podpułkownik wsiadł do auta i

kolumna ruszyła w kierunku Nowego Świata. Przebijali się przez gęstniejący tłum, z którym policja nie dawała już sobie rady. A więc rewolucja, i starał się nie myśleć, co będzie dalej.

Nie wszystko poszło tak jak trzeba, ale i tak jest dobrze, analizował sytuację kapitan Beniowski. Most Poniatowskiego co prawda obsadzony, ale Kierbedziem maszerował już trzydziesty szósty pułk piechoty. Tłumy się przelewały przez miasto, osaczając rząd Witosa. Zaraz zaczną się pakować, pomyślał z satysfakcją. To już ich koniec, jak nie ulica, to trzydziesty szósty pułk, który idzie mostem, za pięć minut osiągnie Pałac Namiestnikowski. Teraz trzeba tylko pilnować, by tak jak pierwszego maja komuniści nie podłączyli się pod zamieszanie. Oni są do tego zdolni, ale temu właśnie służy mobilizacja milicji PPS i Strzelca. Dla spokoju chciał jeszcze wykonać parę telefonów, gdy usłyszał wystrzał z działa, a za nim terkot cekaemów i elkaemów oraz narastająca karabinową palbę. Zesztywniał w przerażeniu, bo wiedział, co się stało, i jakie to pociągnie za sobą konsekwencje. To była klęska planu szybkiego usunięcia szkodników, poleje się krew i nikt nie wie jak wiele.

**WOJNA W MIEŚCIE**

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 13 maja roku 1926*

*Nie poszłam dzisiaj do szkoły, bo w mieście strzelają. Wojsko polskie bije do siebie z karabinów i kulomiotów. Słyszeć nawet armaty i samoloty. To przez to, że Pan Marszałek się zdenerwował na rząd i poszedł ze swoimi pułkami na Warszawę. Heniek też w tym uczestniczy, bo z Woli, tak jak i z innych dzielnic, poszła się bić milicja PPS i strzelcy. Chcę, żeby się to skończyło, i to nie tylko dlatego, że się boję o Henia. Modlę się o to, by wojsko wróciło do koszar, ja do szkoły, a Henio do pracy, by znów było spokojnie. Nasza Polska i Pan Marszałek oraz my wszyscy potrzebujemy spokoju.*

To mógł być dzień nieomal idealny, świeciło piękne słońce, a Stanisław Radziejowski kończył dziś pięćdziesiąt sześć lat. Nie tak jednak wyobrażał sobie swoje doroczne święto. Nocy nie przespał, tak jak chyba większość warszawiaków, bo walki, które



wybuchły przed szóstą wieczorem, trwały niemal bez przerwy. Rano, gdy wyrzął przez okno, zobaczył przejmujący widok; na otwartym samochodzie osobowym, na noszach, leżało ciało w zakrwawionym wojskowym mundurze. Ranny miał rozszarpany brzuch, a samochód pędził, bez przerwy trąbiąc. Czy zdążyli na czas, czy przeżył? Czy przechodnie, którzy szli chodnikiem, widzieli ze swojej wysokości tę tragedię? Chyba nie, bo ludzie się udawali w kierunku wystrzałów, niepohamowana żądza ciekawości, lub może rozliczenia się z padającym rządem, była silniejsza od zdrowego rozsądku. Nic dziwnego, że w Kamienicy pod Niedźwiedziem nikt nie myślał o jego urodzinach, a przecież nawet w czasie wielkiej wojny przychodzili do niego z życzeniami sąsiedzi i znajomi, i to już od samego rana, by wspólnie z jubilatem wypić kawę. On sam przypominał sobie o nich tylko przez krótką chwilę, gdy mały Stasio, jego kochany wnuk, składał mu życzenia.

Wzruszył się, gdy usłyszał, jak Emilia uczyła synka deklamować wierszyk, ale teraz myślał, tak jak inni domownicy, przede wszystkim o tym, co się dzieje z jego zięciem Aleksandrem Nowickim. Wiedzieli, że walczy, ale nie wiedzieli nawet, po której stronie! Jak wybrał i z kim jest, nie było jednak tak ważne jak to, czy jest cały i zdrowy. Emilia, zwykle żywa i energiczna, przypominała dziewczynę sprzed jedenastu lat po powrocie z manifestacji urządzonej na cześć przyjazdu do Warszawy komendanta Legionów. Popłakała się, gdy uświadomił jej, że żołnierze człowieka, na którego cześć poszła klaskać i wivatować, mogą zabić jej Aleksandra.

- Gdzie on teraz jest, tato, gdzie?

- Nieważne gdzie, tylko w jakim stanie. - Radziejowski ugryzł się w język, ale było za późno, bo to nie były właściwe słowa. - To znaczy, Emilko, Olek na pewno jest bezpieczny i to się liczy.

Zapadło krępujące milczenie przerwane przez Stasia.

- Kiedy wróci tata?

- Jak go pan Marszałek puści do domu - z przekąsem odparł Stanisław Radziejowski.

- Tatko, on musiał tak zrobić... - Głos Emilii nabrał pewności.

- Czyś ty oszalała? - Radziejowski podniósł głos. - Po tośmy czekali na wolną Polskę, żeby dostać się pod rządy mordercy?!

- Nie nazywaj Marszałka mordercą!

- A jak mam o nim mówić? - zachnął się ojciec Emilii.

- To bohater, jak Batory, Sobieski czy Napoleon!

- Skoro z niego taki bohater jak Napoleon, to szkoda, że nie mamy kolonii!

- A po cóż nam kolonie?

- Bo nie umniejszając jego poprzednich dla Polski zasług, to co teraz robi to zbrodnia, zdrada! Za coś takiego pana Marszałka się powinno zesłać nie do Sulejówka, ale gdzieś daleko stąd, na jakąś Elbę czy Świętą Helenę - zagrział Stanisław Radziejowski, po czym szybko się poprawił: - Elba nie, stanowczo nie i na pewno z żadną starą gwardią. Święta Helena dobra, mogą też być Wyspy Kanaryjskie albo Madera! Jak najdalej od Polski, bo się nie godzi tak i tyle, rozumiesz mnie, córko? - Prawie krzyczał i krążył zdenerwowany po pokoju, jak lew w klatce. - Boję się, że rozgorzeje wielka wojna domowa, Piłsudski pozostawi Polskę w zgliszczach, ucieknie do tego swojego Wilna i tam założy litewskie królestwo Marszałka. - Te słowa Radziejowski wypowiedział z

wyraźnym sarkazmem. Po chwili patrząc na córkę, której łzy zaczęły lecieć po policzkach, zakończył łagodnie. - Pomyśl, córeczko, pomyśl, komu zawdzięczasz łzy, no komu! Kto poprowadził wojska na swój rząd? Witos czy może pan prezydent Wojciechowski, no który z nich?

- Zmusili go... - niepewnym głosem powiedziała Emilia.

- Zmusili, zmusili. - Radziejowski otarł czoło i wstał z fotela - Zawsze jest jakieś wyjście z sytuacji, a on wybrał napaść.

- Bo i jego napadli!

- Wierzysz w te bzdury? - zaśmiał się Stanisław Radziejowski.

- W rzekomy zamach, w spisek i całą resztę?

- Tak, wierzę - odrzekła pewnym tonem Emilia. - Uwierzyłyby tata, że można zabić prezydenta?

Ojciec Emilii milczał.

- Uwierzyłyby tata? - ponowiła pytanie, na które nadal nie było odpowiedzi. - Oni są zdolni do wszystkiego, przez swoją prywatę, partyjniactwo i upór!

Kapitan Juliusz Beniowski siedział w swoim biurze i czekał na wieści oraz rozkazy. Na te drugie mógł czekać spokojnie, bo „dwójka” poparła Marszałka, a do spokoju dochodził luksus, jakim była czynna linia telefoniczna. Chłopcy z Oddziału II Sztabu Generalnego przejęli centralę w Cedergrenie<sup>48</sup> i ustawili ją po swojemu. Rozmowy były cenzurowane, a numery Belwederu i pozostałych miejsc, gdzie byli ludzie oddani upadłemu rządowi, zostały odcięte od świata. Nie mają radiostacji i porozumiewają się tylko przez gońców albo... lotników. Najgorsze już chyba za

nimi i nie ma na razie potrzeby mobilizowania robotników. Komendant nie chciał tego robić, ale był w takim stanie, że ktoś mógł to zrobić za niego. Beniowski miał informacje, że po fiasku rozmów z prezydentem Marszałek pojechał do koszar 36 pułku, tam się położył w zamkniętym pomieszczeniu i z nikim się nie kontaktował aż do wieczora. Tymczasem rozgorzały walki, artyleria Witosza ostrzelała most Kierbedzia, a 30 pułk piechoty wyszedł z cytadeli i próbował wypchnąć 36 pułk z mostu.

Walki toczyły się w okolicach placu Trzech Krzyży oraz w Alejach Jerozolimskich i Ujazdowskich, a on leżał w koszarach... Władzę nad wojskiem przejęli generałowie i pułkownicy, starając się opanować stolicę. Na próżno, rząd się wycofał do Belwederu, pakując się tym samym w pułapkę, bo się odciął od ministerstwa i dyrekcji kolei, dworców oraz centrali telegraficzno-telefonicznej. Żeby złapać kontakt z wiernym mu Poznaniem, rząd wysłał tam samolotem ministrów Osieckiego i Piechockiego. Pewno po to, by szykowali warunki dla funkcjonowania rządu i prezydenta. Nie będzie im łatwo się przenieść, bo pierw muszą się wyrwać z belwederskiego potrzasku.

O dwudziestej Marszałek opuścił w końcu koszary na Pradze i zaczął energicznie działać. Zainstalował się w Komendzie Miasta i zawezwał tam marszałka Rataja. W try miga namówił go na mediacje i wysłał do Belwederu. Prezydent i rząd byli jednak hardzi, bo liczyli na posiłki z Poznania. Nie przeliczyli się, nocą gdzieś między Szczęśliwicami a Odolanami wysiadł z wagonów kolejowych 10 pułk piechoty z Łowicza. W pobliżu Alej Ujazdowskich i wzdłuż Pięknej trwały ciężkie walki. Obie strony szturmowały swoje twierdze, wojska rządowe broniły się w

Wyższej Szkole Wojennej przy Koszykowej, a z kolei ludzie Marszałka zamknęli się w Ministerstwie Spraw Wojskowych przy Nowowiejskiej. Na kolejowy przyczółek opanowany przez 10 pułk z Łowicza nadciągały kolejne posiłki z Wielkopolski. Lada moment miał tam dojechać, a może wręcz już dojechał, generał Kędzierski z pułkami 57 i 58, więc minister Malczewski poczuł się tak pewnie, że nawoływał, by bez wyroku zabijać przywódców buntu.

Może tak być, może tak być, pomyślał Beniowski. Narodowcy, którzy się pochowali po kątach, i wrogowie Marszałka z wojska nie cofną się przed niczym i dokonają tego, od czego byli o krok w grudniu dwudziestego drugiego. Kapitan zapalił papierosa i czekał przy telefonie, jeśli sytuacja będzie naprawdę ciężka, uzbroją robotników.

Trzy i pół roku temu narodowcy opanowali okolice sejmu i dopiero odsiecz robociarskiej demonstracji pozwoliła zaprzysiąc przez sejm prezydenta Rzeczypospolitej. Policja była bezradna, a wojsko stało wtedy w pogotowiu. Nowicki sądził, że Piłsudski w końcu przetnie ten wrzód, ale Marszałek uspokoił krewkich oficerów i socjalistów. Nie uspokoiili się za to narodowcy, dalej sączyli jad, aż wreszcie ten nieszczęsny Niewiadomski stał się w ich rękach morderczym narzędziem. Nawet po śmierci prezydenta nie przestawali judzić, nie wyzbyli się buty i pewności siebie, ale kiedy przyszło co do czego, nie obronili swojego rządu i prezydenta.

Gdzie się podziali ci dzielni studenci z laskami, gdzie ta pewność siebie i arogancja? Robotnicy nakryli ich czapką, a od

fizycznego ataku na rząd odciągnęła ich dopiero policja oraz walki między pułkami Marszałka i prezydenta. Nowicki siedział w Belwederze, do którego się wycofali rząd i generalicja. Czuł się coraz gorzej. Może trzeba było strzelić sobie w łeb, a może zbuntować? Wyszło, jak wyszło, bo wciągnął go w to wszystko Anders, wciągnął, bo jest jego przełożonym i taki wydał mu rozkaz. Teraz nikt chwilowo nic od niego nie chciał. Siedział w siedzibie prezydenta i patrzył, jak Piłsudski wygrywa bitwę o Warszawę.

Obrona była prowadzona fatalnie, bo zamiast skoncentrować siły i umocnić teren wokół lotniska i dworca towarowego broniono równocześnie i Pola Mokotowskiego, i Belwederu. Linie obrony były poprowadzone przypadkowo i rozciągnięte jak guma od majtek. Tak to sobie w chwili złości obrazowo przedstawił podpułkownik Nowicki. Brakowało strategii i łączności, bo nocą „dwójka” opanowała centralę w Cedergrenie, a wojsko, którego było przeraźliwie mało, wykorzystano nieudolnie. Strategią słabszych sił rządowych powinno być skrócenie nadmiernie rozciągniętej linii obrony, utrzymanie torów i dworca towarowego oraz lotniska, by przyjmować posiłki, rozsyłać meldunki i grać na czas. Upływające godziny powinny być atutem sił rządowych, ale pan prezydent, choć nad wyraz dzielny, uparł się, że najważniejsze jest trwać w Belwederze, bo Belweder jest symbolem.

- Co sobie pomyślą dyplomaci, jaki sygnał pójdzie w świat? - grzmieli ludzie z otoczenia prezydenta. - Nie można rejterować i uciekać ze swojej siedziby!

Uciekać nie, ale wycofać się jak najbardziej! Ignoranci, uparta jak osły banda cywili i sztab o rozmytych kompetencjach. Tkwią w ciasnym Belwederze, gdzie ministrowie drzemią na kanapach i w fotelach, a niedługo będą tu jak w pułapce albo jak zajęce zaczną wiać przez wilanowskie pola. To dopiero będzie piękny komunikat dla zagranicznych poselstw.

Na razie jednak panowały doskonałe nastroje, bo pułki z Łowicza i Wielkopolski przebijały się z zachodu Warszawy a przez most kolejowy, a potem Nalewkami szedł na południe 71 pułk piechoty. Akcje sił rządowych, ze względu na brak łączności, nie były jednak skoordynowane. Przypomnił się mu Tannenberg i chaos, który on, młody jeszcze wtedy kornet kawalerii, rozwiązał straceńczą szarżą. Ruszył w poszukiwaniu kogoś kompetentnego, a natknął się na gońca z oddziału podchorążych, który tłumaczył coś z zapalem młodemu oficerowi.

- Co się dzieje? - zapytał.

Porucznik i podchorąży wyprężyli się i młody oficer wystrzelił z siebie:

- Panie pułkowniku, straty są duże, nie ma komu poprowadzić oddziału podchorążych!

- A pan?

- Ja... - zawahał się porucznik. - Ja służę w oddziale przybocznym pana prezydenta!

- Pan służy? Pan tłok robi, jesteś pan dupa wołowa i tyle - gruchnął Nowicki i ruszył gwałtownie do drzwi, niemal przewracając oficera. - Minister obrony narodowej dowodzi w polu, w sztabie kilku dowódców, pan prezydent urządza sobie zabójczą strategię, wchodząc Marszałkowi do worka, a oficerowie się bawią

w sekretarzy! Burdel nie wojsko! - krzyknął i poszedł w kierunku młodziutkiego podchorążego. - Gdzie to wasze młode wojsko, synku?

- Po czym krzyknął do osłupiałego porucznika. - Powiedz pan, komu trzeba, że nie zdezerterowałem, tylko że nie jestem ogórek.

- Widząc zdziwioną twarz młodego oficera, dodał: - Nie będę się tu kisił jak w beczce, idę walczyć, bo taką cholerną przysięgę złożyłem, *job waszu mat'*!

Dochodziło południe, ojciec poszedł do pracy, choć rząd ogłosił w Warszawie stan wyjątkowy, a PPS strajk generalny, ale w końcu Edward Rostocki jest wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, a policja i inne służby starają się funkcjonować normalnie. Zza okna szły odgłosy strzałów i pomruk dział, ale Leokadia nie myślała o tym, czy ojciec bezpiecznie dojdzie do swojego urzędu, tylko o tym, czy Heniek jest cały i zdrowy. Wiedziała, że ma swoje tajemnice, wiedziała, że trzyma z ludźmi Marszałka, że był na wojnie i że jest awanturnikiem. Widziała, jak załatwił trzech typków, którzy ją okradli, i była pewna, że nie zna strachu, a jeśli nawet, to i tak są nad nim inne siły, które pchają go do działania.

Matka poszła do sąsiadki, więc Leokadia szybko wymknęła się z domu. Jeszcze niedawno byłoby to niemożliwe, bo wzdłuż Alej Jerozolimskich leciały serie z karabinów maszynowych, potem front się przesunął dalej, ale podobno znów zaczął wracać w ich stronę, bo wojska rządowe dostały posiłki. Kilkaset metrów od ich domu non stop trwały walki, bo żołnierze Marszałka zamknęli w



okrażeniu oddział rządowy, który się bronił w Wyższej Szkole Wojennej przy Koszykowej. Codziennie przechodziła koło tego budynku i nie sądziła, że on się stanie twierdzą. Miejscami miasto było wyludnione, przemykały jednak patrole, dorożki, taksówki oraz karetki wiozące rannych. O ironio losu, między Wyższą Szkołą Wojskową a Szpitalem Dzieciątka Jezus, w którym ratowano życie trafionym przez pociski, było jakieś sto, dwieście metrów ulicy.

Przy Marszałkowskiej zobaczyła tłumy, ludzie się gromadzili, jakby oglądali jakąś paradę. Wtedy przypomniała sobie, że niedaleko mieszka Helena Strońska, której narzeczony jest podchorążym. Zaszła do koleżanki i wyciągnęła ją z domu. Uciekły kuchennymi schodami, by ich wyjścia nie zauważyła matka Heleny

- Masz jakieś wieści od Leszka? - Tak miał na imię podchorąży.

- Żadnych - odpowiedziała Helena, wycierając załzawione oczy chusteczką. - A twój kawaler co robi?

- Myślę, że walczy.

- To buntownik?

Leokadia zdała sobie sprawę, że ich mężczyźni walczyli po dwóch różnych stronach barykady.

- Nie jest buntownikiem, nie składał wojskowej przysięgi!

- To jest bandytą!

- Nie mów tak - krzyknęła. - Nie mów!

- Oni, ci wszyscy strzelcy i cywile, atakują wojsko. Czytałam o tym w gazetach.

Faktycznie gazety podawały, że siły Marszałka wspierają oddziały Strzelca i cywile. Tam może być Heniek. Leokadia przytuliła Helenę, która na początku się opierała, ale później położyła jej głowę na ramieniu i zaczęła płakać.

- Jak się tak o niego boję!

- Ja też, Heleno, ja też - powiedziała jak najbardziej szczerze. - Ja też się boję i martwię o nich obydwu, o wszystkich...

Minęło parę lat i znów brał udział w wojnie. Inaczej nie szło tego nazwać. Były szarże kawalerii, ostrzał z broni maszynowej, a nawet bicie z armat. W Alejach Ujazdowskich rządowe oddziały pozrywały płyty chodnikowe i porobiły w miejscu trotuaru okopy. Próbowali ich obejść przez ogródki przy pałacach. Znów walczyli jak na Śląsku, cywilne łachy i całkiem dobre uzbrojenie, i robota podobna, niemal dywersancka. Przedostali się na tyły i przy Litewskiej znaleźli wysoki dom. Ciec jak się dowiedział, od kogo są, wpuścił ich bez szemrania. Heniek prowadził siedmioosobową drużynę milicjantów z Powązek, w końcu tylko on, młody kapral Wcisło, miał takie doświadczenie.

Wdrapali się klatką schodową na ostatnie piętro. Dozorca otworzył wyjście na strych, a gdy weszli już w ciemną czeluść, zapalił lampę, po czym przystąpił do instruowania:

- Tutaj jest drabina, oprzyjcie ją, tak będzie najlepiej. - I nakreślił stopą linię na podłodze. Młody chłopak z drużyny Heńka wetknął pistolet za pas i wdrapał się na górę. Po chwili rozległo się skrzypienie zawiasów, a później do środka wpadł wąski snop

światła, klapa jęknęła i zaświecił na nich z góry niebieski prostokąt słonecznego nieba.

- Wbijamy się na górę - zarządził Heniek. - Dwóch pilnuje wejścia do bramy, jeden wejścia do klatki schodowej, jeden stoi pod strychem, a trzech za mną.

Był tylko kapralem, ale parę intensywnych miesięcy na wojnie dwudziestego roku oraz dywersancka robota na Śląsku nauczyły go więcej niż wojskowa szkoła. W przeciwieństwie do młodych oficerów wachał już proch, był pod ogniem i walił do wroga, wiedział więc, co jest grane. Trzech jego ludzi z milicji także. Jednego z nich zostawił na dole, by chronił im tyłki, w razie gdyby jakiś patrol poszedł w ich stronę, a dwóch zabrał ze sobą. Chłopaków, którzy nie byli na wojnie, a strzelanie znali tylko z demonstracji rozdzielił w podobny sposób. Miał starych i młodych koło siebie, tak by ci bardziej doświadczeni pilnowali żółtodziobów.

Szli ostrożnie po dachach, przesuając się jak najbliżej narożnej kamienicy. Wydał kolejne dyspozycje.

- Czystaw, cofnij się w połowę drogi do wjazdu, patrz, czy kogo tu nie przyniesie, i uważaj na dachy. Ty, Andrzejczak, obserwuj dachy z mojej lewej strony, a Węglarczyk z prawej. Patrzcie też od czasu do czasu na dół i mówcie, jakby były jakieś cele. Ja walę w kierunku kawiarni, w której się zamelinowali, wszystko jasne?

Kiwnęli głowami. Henryk Wcisło mówił jasno i bez niepotrzebnych dodatków.

Pomoc z Poznania szybko nie nadejdzie, kapitan Beniowski jako oficer „dwójki” wiedział takie rzeczy, ale wiedziała je także warszawska ulica. Wiadomości rozchodziły się błyskawicznie i szybciutko były drukowane przez gazety, które zasypywały czytających dodatkami nadzwyczajnymi. Strajk na kolei wstrzymał eszelony, a do tego generał Sosnkowski, rozdarty pomiędzy sympatią dla Marszałka i obowiązkiem oraz przysięgą wobec rządu i prezydenta, postrzelił się, by tym samym nie wydawać żadnych rozkazów. Po nocnych sukcesach sił rządowych front się stabilizował, a Marszałek szykował się do decydującego uderzenia. Rządowe wojska były zbyt słabe i rozproszone.

Nawet jak przywiezione kolejną posiłki wylądują na posterunku szóstym, to i tak nie dotrą do sił głównych. Być może nie dotrą nawet do lotniska, bo to dostanie się w ręce oddziałów wiernych Marszałkowi. Belweder zostanie kompletnie odcięty i prędzej padnie placówka z Koszykowej niż ministerstwo z Nowowiejskiej. Walka o Wolę praktycznie wygrana i szybko się dobiorą do załogi szkoły. Wbrew temu, co głosiła druga strona, Ministerstwo Spraw Wojskowych nie zostało przez nich zdobyte, co prawda ostrzelano załogę z wozów pancernych i armat, ale chłopcy generała Sławoja-Składkowskiego wycofywali się w czasie ostrzału w głąb korytarzy i oddali parter. Po każdej kanonadzie czekali na atak, który odpierali, bijąc zza barykad ustawionych z biurka, mebli i zrolowanych dywanów.

O tym, co się działo w ministerstwie, wiedzano doskonale, bo działała łączność telefoniczna. obrońcy byli wycieńczeni, większość budynku opanowana przez świetnie się bijących podchorążaków, ale liczni w załodze twierdzy z Nowowiejskiej

oficerowie i sam generał Sławoj-Składkowski ani myśleli wywieszać białą flagę. Doskwierał brak jedzenia, ale mieszkanki okolicznych domów podrzucały im kanapki.

Siły rządowe miały kłopot z podejściem pod ministerstwo, bo wzdłuż ulic piłsudczycy walili z broni maszynowej, a do tego życie utrudniali milicjanci i strzelcy, którzy polowali z dachów na kurierów i patrole rządowców. Wygrana była tylko kwestią czasu i woli Marszałka, który czekał nie tylko na posiłki, ale i na to, by się poddał Belweder. Wieczorem pójdą tam parlamentariusze, aby dać szansę na mniej bolesne zakończenie całej sprawy, na razie trwała krwawa gra w szachy, choć nie tak bezwzględna, na jaką mógłby się zdobyć Piłsudski.

Heniek ułożył się na szczycie dachu i wyjrzał z za komina. Spojrzał w kierunku placu Na Rozdrożu, między pawilonami wystawowymi, tuż przy kawiarni Łobzowianka skoncentrował się oddział. Spokojnie przymierzył najpierw w jeden, a potem w drugi punkt, który sobie wyznaczył. Potem kilka razy powtarzał tę czynność, za każdym razem szybciej i płynniej. Na krótszym dystansie mauzery były lepsze, ale powyżej stu, dwustu metrów górą był angielski enfield. Znał tę broń z wojska i bardzo lubił, bo można było celnie strzelać nawet do pół kilometra. Między ich dachem a Alejami Ujazdowskimi i placem Na Rozdrożu było góra czterysta metrów, oczywiście kule mogły dolatywać dalej, ale to już była loteria.

Musiał ustawić przeziernik na maksymalną odległość. Oddał próbny strzał w zupełnie innym kierunku, później jeszcze jeden.

Ustawienia były w porządku, można było zaczynać. Wyrównał oddech i wypalił w kolumnę kawiarni, metr od głowy opartego o nią oficera. Rozległ się huk, a w okamgnieniu z kolumny odleciał tynk i drzazgi. Wojskowi podskoczyli jak oparzeni, wtedy wystrzelił raz jeszcze, trafiając w skrzynkę z amunicją. Rozległ się metaliczny trzask i poleciały iskry.

Przed Łobzowianką zapanowała panika, oficerowie nie byli jej w stanie powstrzymać, bo Heniek poprawił jeszcze parę razy, strzelając do kolumny kawiarni. Cel został osiągnięty, zamiast pomaszerować w kierunku Nowowiejskiej i Ministerstwa Spraw Wojskowych utknęli między pawilonami. Nie chciał zabijać żadnego z nich, nie chciał nawet ich ranić, ale wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał to zrobić. Tak też się stało, po paru minutach oficerowie ruszyli oddział do przodu, chcieli skokami pójść w kierunku swojego przyczółku, którym była po drugiej stronie placu kawiarnia Rival.

Westchnął ciężko, bo wiedział, że będzie teraz dziurawił ciała nie tylko łajdakom, ale i fajnym chłopakom, których los rzucił w niewłaściwym kierunku. W końcu wyszli, pierwszy szedł oficer z wyciągniętą w górę ręką, która ścisnęła rewolwer. Szedł z przodu i miał broń krótką, co ułatwiało identyfikację, pozwolił ruszyć jemu i kilkunastu chłopakom, którzy się rozwijali po obu stronach w tyralierę. Przeszli może dwadzieścia metrów, a wtedy przymierzył w nogi i wypalił.

Pudło! Żołnierze zmylili krok, ale oficer krzyknął:

- Za mną, chłopcy! - i przyśpieszył kroku.

To nie miało być ostrzeżenie, chciał go trafić, ale spudłował. Musi być celniejszy, bo inaczej nic go nie zatrzyma. Znów

przymierzył, wstrzymał oddech i pociągnął za cyngiel. Lekkie kopnięcie kolby enfielda i huk o ułamek poprzedziły krzyk i upadek oficera. Po chwili Heniek wygarnął do kogoś, kto próbował zastąpić zabitego. Spudłował, ale ostrzeżenie podziałało. Żołnierze zaczęli strzelać i się cofać. Nie wiedzieli, gdzie jest, więc był to chaotyczny ogień, który dodawał otuchy łamiącej się tyralierze i nie mógł wyrządzić krzywdy Heńkowi.

Strzelać czy nie strzelać? - pomyślał. W tej chwili od strony placu Trzech Krzyży, wzdłuż Nowowiejskiej i Koszykowej, poleciał grad kul wystrzelonych z dziesiątek karabinów oraz cekaemów. Skończyła się finezja i odstraszenie, wojna nie jest partią szachów, lecz deszczem ołowiu. Wycofujący się unosili ze sobą nie tylko kulejącego oficera, ale i kilku rannych, a na bruku pozostały dwa nieruchome ciała.

Leokadia i Helena szły w kierunku Dworca Głównego, im bliżej było skrzyżowania Alej Jerozolimskich z Marszałkowską, tym więcej się gromadziło ludzi. Gapie wychylali się zza pleców żołnierzy, którzy od czasu do czasu oddawali salwę w kierunku placu Zbawiciela. Żołnierze się poderwali i ruszyli ku Pięknej, w ich kierunku padły strzały, gdzieś zaświstała kula, inna się odbiła od bruku, ale ciekawscy przesuwali się naprzód. Ktoś zagadnął żołnierzy, którzy dźwigali ciężki karabin maszynowy.

- A skąd Bóg prowadzi?

- My nietutejsze - śpiewnie odpowiedział pierwszy z nich.

- Przyjechali my bić bolszewika - dodał drugi.

- Tak, bolszewicy znów na Warszawę ido. - Widząc zdziwione twarze dodał: - A to wy nic o tym nie wiecie?

- Dość gadek - pogonił ich kapral, a za chwilę pojawili się policjanci, którzy próbowali odsunąć ludzi. Mimo obecności stróżów prawa i wymiany ognia przez skrzyżowanie przejechała taksówka, a jakiś sałata, zachęcany przez spóźnionego na spotkanie pasażera, zaciął konia, żeby szybko przejechać przez Żurawią.

- Tędy, panienki, tędy - zachęcał jakiś podniecony wojenną sytuacją przechodzień i wskazał na Nowogrodzką. - Pójdziemy do Poznańskiej i dojdziemy do Pięknej, właśnie tam się strzelają!

Poszły i przy Wilczej stanęły w małej grupce, która śledziła zza węgła, jak na sąsiednim rogu żołnierze rozstawiają cekaem. Dwie przecznice dalej było podobne stanowisko, które od czasu do czasu pluło ogniem. Po kolejnej serii Helena mocno ścisnęła dłoń Leokadii. Nagle zapadła cisza, bo w kierunku pogotowia ratunkowego przy Hożej jechał samochód oznaczony znakiem czerwonego krzyża. W tym momencie Leokadia poczuła straszliwy ból w pośladku, krzyknęła przeraźliwie coś nieartykułowanego, w ułamek sekundy później usłyszała dziki wrzask Heli.

- Jezus Maria, trafili mnie! Postrzał, ratunku, pomocy!

- Gównno, nie postrzał - usłyszały niski męski głos. Nad nimi stał kapitan z obnażoną szablą i na ich oczach pociągnął jej płazem na odlew po plecach cwaniaka, który wymyślił wycieczkę na Poznańską. - Spieprzać mi do domu, panienki, i wy też! - darł się i nie przerywał płazowania. - Durnie, idiotki, bęcwały! - krzyczał.



Pośladki piekły Lodzie niewymownie, z trudem się powstrzymywała od łez, co się nie udało jej przyjaciółce. Helena beczała jak małe dziecko, wołając:

- Oficer, jak to mógł zrobić oficer! Jak mój narzeczony się o tym dowie! - załkała. - Wyzwie pana na pojedynek, to podchorąży i umie strzelać.

- Jak ma olej w głowie, to przyłoży raz jeszcze. - Kapitan uśmiechnął się. - Sio do domu, nie wiedzą panienki ilu cywili zginęło i zostało rannych przez takie głupoty? - To mówiąc, zasalutował i odszedł do swoich obowiązków.

Obydwie strony zawiozły na pogotowie swoich rannych i rozpoczęła się kanonada.

Znaleźli się w matni. Siedzieli w kawiarni Rival odcięci od świata. Wyjedli resztki ciastek i byli głodni jak wilki, a zaopatrzenie nie mogło dotrzeć do ich przyczółka. Póki nie pójdzie silne uderzenie, gońcy i zaopatrzeniowcy są bez szans, bo na dachach, tam gdzie jest królestwo kotów i gołębi, usadowili się strzelcy. Tych myśliwych polujących na ludzi w mundurach pogardliwie nazwano gołębiarzami, bo tylko pogardą można było bić w niewidocznych dla ofiar strzelców. Nowicki miał już dość siedzenia w potrzasku, chciał szarży, ataku, czegoś konkretnego.

Był człowiekiem czynu, żwawym i zapalczywym, czasem nawet zbyt porywczym. To doprowadziło go do niemal morderczej scysji w szynku u Grubego Joska, to dlatego nakrzyczał w Belwederze na młodego oficerka. Jak wróci do Belwederu, przeprosi go, i za te nerwy, i za tę dupę wołową. Jak wróci, bo za chwilę pójdą z

kolejnym szturmem na Ministerstwo Spraw Wojskowych. Wspierały ich wozy pancerne, które jechały środkiem ulicy. Jeden przodem, całkowicie zakryty, z wieżyczką, drugi półodkryty, z karabinem osłoniętym tarczą pancerną. Dali salwą po oknach, a piechurzy przesuwali się wzdłuż ścian, celując z karabinów w okna i dachy budynków z przeciwległej strony.

Nowicki zauważył, że wojsko jest dobrze wyszkolone, karne, a i oni, oficerowie, szybko się przestawili na walkę w mieście. Przydałoby się więcej granatów i lekkich karabinów maszynowych oraz osłony na cekaemy, takie jakie mają Sowieci. Poruszy tę sprawę w raporcie, w ostatnim raporcie pisanym na odejście z wojska. Weszli do hallu ministerstwa, był przeraźliwie pusty i zniszczony w wyniku strzelaniny. Przez opuszczoną barykadę wspięli się na pierwsze piętro. Tu się zaczął ostrzał. Nowicki wychylił się gwałtownie zza rogu i zobaczył żołnierza z karabinem i nasadzonym nań bagnetem, błyskawicznie uniósł więc pistolet, ale zanim nacisnął spust, usłyszał strzał. Pocisk minął go, trafiając w ścianę tuż koło głowy.

Dobiegł go świst wystrzału kuli lecącej tuż przy uchu, huk wbijania się jej w mur, wreszcie zobaczył kaleczące mu ucho i policzek kawałki tynku. Poczował pieczenie na twarzy, a w uszach dźwięk, jakby natarczywego brzęczka. Zachwiał się i zaczął naciskać bez ustanku spust. Żołnierz też strzelał, repetując karabin nerwowymi ruchami. Gdyby tylko zrobił kilkanaście kroków do przodu i zaatakował go bagnetem, gdyby tylko on trafił go strzałem z rewolweru...

Nacisnął spust po raz kolejny, ale nie było ani odrzutu, ani dymu z lufy. Koniec, pomyślał. Wystrzelał wszystkie pociski, nie

trafił ani razu ani też sam nie został trafiony, a wszystko to na przestrzeni nieco większej niż salon w mieszkaniu przy Mokotowskiej. Żołnierz chyba zrozumiał, co się stało, zarepetował karabin i zaczął go podnosić, już nie nerwowo, lecz starannie, tak by oddać ostateczny i rozstrzygający strzał. W tym momencie usłyszał okrzyk:

- Kryć się!

Zobaczył, jak nad hallem wiruje jakiś przedmiot. To był granat! Runął w kierunku żołnierza, bo za nim była kamienna barierka, która mogła ocalić mu życie. Strzelec przez moment się zawahał, strzelać czy uciekać. W końcu zwyciężył instynkt samozachowawczy; żołnierz schował się za ścianą, a po chwili powietrze rozdarł straszliwy huk. Granat eksplodował z ogromną siłą, pozbawiając Nowickiego resztek słuchu. Odskoczyli, tymczasem leciały za nimi kolejne granaty i hall wejściowy zamienił się w miniaturę bitwy pod Tannenbergiem.

Nie wiedział, jakim cudem powrócił na dawną pozycję. Ktoś dał mu wody, a jakiś oficer krzyczał, że przejmuje dowództwo. Tak mu się przynajmniej wydawało, chyba to można było odczytać z ruchu jego warg. Wnętrze było zapyłone, ze ścian odrywał się tynk, on sam czuł drżenie wywołane przez wybuchy. Nie słyszał tego, ale się domyślał, że trwa nieustająca kanonada, lecą granaty. Wydawało się, że korytarze będą pełne trupów, tymczasem mimo silnego ognia z najbliższej odległości i paru eksplozji nie padli zabici. Kolejny szturm na gmach ministerstwa skończył się połowicznym sukcesem. Udało się opanować budynek, ale tylko w części, buntownicy nie dali się odepchnąć, ale ich kontratak nie zakończył się sukcesem.

Zbliżał się wieczór, pora schodzić z posterunku, bo Aleje były puste. Na dobrą sprawę nie było do kogo strzelać, a za chwilę zapadnie zmrok i stanie się to niemożliwe. Wtem Heniek usłyszał świst, a za chwilę zobaczył iskrę. Ktoś do nich walił! Szybko schowali się za kominami i próbowali ustalić kierunek, z którego padł strzał.

- Po mojemu to z placu Unii - zawołał Romuald Andrzejczak.

- Tak jakby z tej kawiarni - dodał Felicjan Czystaw.

- Z Niespodzianki? - zapytał Heniek i spojrzał w kierunku, z którego mógł paść strzał.

Faktycznie, wcześniej już stamtąd strzelano, podobno o mało nie zabili Witosa, ale nikt nie znał tego Strzelca. Pomylił się czy co? Wtedy poleciała kolejna kula i już był pewien, nie bito z Niespodzianki, lecz od strony Chopina. Odpowiedzieli ogniem, równie niecelnym jak strzelec, który ich zaatakował.

Ludzie Nowickiego szli przez Aleje, niemal przytuleni do ogrodzenia parku Łazienkowskiego, bo środkiem ulicy wciąż latały zabłąkane pociski. On sam słyszał je byle jak, ale słyszał. Po gruchnięciu granatu słuch wrócił mu już prawie do normy, choć wciąż wszystkim odgłosom, które do niego docierały, towarzyszył nieprzyjemny szum. Nagle rozległ się potężny huk. To artyleria! Aleksander Nowicki powstrzymał się od tego, by paść na ziemię, w końcu jest pułkownikiem i weteranem.

Pocisk huknął gdzieś niedaleko. Ruszyli biegiem, wtedy jęknęło po raz drugi, eksplozja nastąpiła gdzieś w drzewach, konar runął na dół, a on poczuł tępy ból w głowie. Padł, ale nie stracił przytomności. Dwóch podchorążych chwyciło go pod ramiona i wlokło, zdzierając do cna, do niedawna eleganckie, szklanki od Hiszpańskiego. Rana nie była poważna, mogło być gorzej, ale miał wstrząśnienie mózgu i z obandażowaną głową leżał w belwederskim fotelu. Wieczorem odwiedził go pułkownik Anders, także pokiereszowany.

- Widzę, Olek, że masz krótką przerwę - uśmiechnął się przełożony.

- Będę miał dłuższą przerwę, Władku - odparł.

- Jak mam to rozumieć?

- Ano tak, że niezależnie od tego, jak to się wszystko skończy, odchodzę z armii...

- Będę cię od tego odwoził.

- Nie dasz rady, pułkowniku, nie dasz rady. - To mówiąc, wyciągnął z kieszeni paczkę egipskich. - Jak sytuacja?

- Zła - krótko opisał to, co się dzieje, Anders. - Ale nie ustępujemy, mamy nadzieję na posiłki. Za chwilę będą tu generałowie Żeligowski, Majewski i Osiński, chcą negocjować naszą kapitulację, ale powiemy im stanowczo: „Nie”. Mogę coś zrobić dla ciebie albo twojej głowy?

- Tak, ściągnij tu z łaski swojej tego młodego porucznika, którego obsobaczyłem. Uniosłem się, wstyd mi teraz, szkoda mi młodszego kolegi oficera. Wiesz, o kogo chodzi, bo ja nawet nie znam jego nazwiska?

- Ja też, ale za późno na naukę, ten chłopak zginął - powiedział Anders i zasalutował.

Znakomity egipski, którego dymem zwykł się upajać, tym razem nie miał smaku.

W nocy obydwie strony zbierały siły. Piłsudski zebrał ich pięć, a może i sześć razy więcej niż rząd, więc to on przystąpił do ataku. Zaczęło się o piątej i Beniowski był niemal pewien, że to koniec albo przynajmniej początek końca. Od strony Wisły ruszył atak na Belweder, wspierany przez artyleryjski ostrzał zza rzeki. Szturm poszedł także na Wyższą Szkołę Wojenną przy Koszykowej, Ministerstwo Spraw Wojskowych oraz na lotnisko, 21 i 37 pułki piechoty szły wzdłuż Towarowej na Pole Mokotowskie, mając przewagę nad obrońcami, dysponując baterią przeciwlotniczą i podchorążakami. Walki były zacięte, ale najważniejsze, że odcięto lotnisko i Belweder od traktu, którym przychodziły posiłki z Poznania. Mieli swój przyczółek na tak zwanym posterunku szóstym na rampie kolejowej przy Szczęśliwicach. O ile uda im się dojechać i rozładować, będą musieli walczyć o dojście do głównych sił. Te zresztą topniały i były spychane coraz bliżej Belwederu. Wciąż się bito przy Marszałkowskiej, Alejach Ujazdowskich, Rozbrat i Czerniakowskiej.

Muszą w końcu odbić budynek ministerstwa przy Nowowiejskiej, by wyzwolić z niego generała Sławoja-Składkowskiego. Marszałek miał dla niego nominację na stanowisko Komisarza Rządu na Warszawę, a tymczasem on był w potrzasku.

Karetki jeździły jak szalone, a pogotowie ledwo mogło sobie poradzić z rannymi, którzy napływali szerokim strumieniem, w dodatku przez dłuższy czas wyłączony był Szpital Ujazdowski, bo była tam linia frontu. Dopiero po wyparciu wojsk rządowych do Belwederu znów zaczęto przyjmować rannych i kontuzjowanych. Heniek zastanawiał się, co czuł Marszałek, widząc, co się dzieje, co czuł prezydent, premier... Czy któryś z nich to przerwie, czy też spragnieni bitki oficerowie będą bez końca wykrwawiać swe odziały. Straty szły w setki, a co będzie, jeśli z Wilna przyjdą pułki wierne Marszałkowi, a z Poznania te prezydenckie? Kto pierwszy, ten lepszy, a kto ma pecha, ten się nie dowie, jak to się skończy.

To była wojna, w której nie bał się o siebie, ale o tamtych, o chłopaków po drugiej stronie. Oni nie wybierali, tylko musieli, a on mógł wszystko, jak jaki Bóg Wszechmogący, ukryty za kominem i decydujący o tym, czy ktoś ma się pożegnać z tym światem, czy też jeszcze trochę pożyć. Co z tego, że tylko ranił jakiegoś chłopaka, skoro z innego dachu ktoś posłał w niego dobijającą kulę? Niech się to wszystko skończy. Walnąłby kielicha, ale nie wypada, a skoro nie wypada, to walnąłby ćwiarteczkę, co pozwala ukoić nerwy.

- Wcisło! Heniek Wcisło! - rozległo się wołanie. - Wcisło!!!

To darł się jakiś chłopak w mundurze Strzelca.

- Czego chcesz?

- Szukają cię!

- Kto?

- Góra.

- Bo co?

- Nie wiem, chcę coś od ciebie.

- Idę, prowadź mnie - powiedział bez entuzjazmu.

Gdy go potrzebowano albo do czegoś namawiano, to zawsze była jakaś draka, fajna draka, ale z chryją, która dawała o sobie znać, jak czkawka po solidnym, smacznym obiedzie. Podobnież dobre żarcie i wódka szkodzą, tak mówiła Leokadia, niewykluczone, że tak samo jest z drakami i innymi fajnymi przeżyciami. Im większe, tym gorsze po nich zgagi.

Emilia mocno wyściskała małego Stasia, po czym ucałowałszy go, oddała w ręce gosposi. To wszystko wyglądało jak pożegnanie.

- Co robisz? - zapytał Stanisław Radziejowski.

- Idę z panią Morawską zanieść jedzenie i coś do picia żołnierzom.

- Co takiego?

- Syn pani Morawskiej, Edek, tata go pamięta, porucznik, on jest w Ministerstwie Spraw Wojskowych...

- I co z tego?

- Mówiłam, chcemy im coś zanieść do jedzenia i picia!

- Oszalałaś!

- Nie oszalałam, może jest tam Aleksander!

- A jak jest po drugiej, właściwej stronie?

- To nie ma znaczenia, oni wszyscy są polskimi żołnierzami!

- Tylko że niektórzy się biją po stronie mordercy i zamachowca!



- Po stronie człowieka, który chce uzdrowić Polskę. - Nigdy chyba nie mówiła w ten sposób do ojca. - Marszałek robi porządek, tak jak chce tego ulica, może sobie tata mówić, że żołnierzom wydał rozkaz, ale cywile poszli za nim. - Gniewnie odrzuciła głowę do tyłu. - Co więcej, to naród pchnął go do takiej desperacji.

- Zamilcz!

- Nie zamilczę, jestem dorosła, jestem obywatelką, już nie córką, a żoną i matką, która zna swoje prawa i będzie ich dochodzić!

- Masz też obowiązki!

- Wiem - zaśmiała się. - Siedzieć w domu i pilnować dziecka! - Niedoczekanie i ojciec dobrze o tym wie, że jak zechcę, to pójdę! Po co dostałam na imię Emilia, czemu na drugie mam Grażyna, dlaczego chodziłam do dobrych szkół? - krzyczała na swojego ojca, który stał jak osłupiały. - Dziękuję ci, ojcze, za to wszystko, bo dzięki temu się stałam kobietą świadomą, świadomą i wolną! Staś zostaje z tobą, a ja idę tam, gdzie wzywa mnie obowiązek. - To mówiąc, zakręciła się na pięcie i minęła zaskoczonego ojca.

Próbował ją chwycić za łokieć, ale ona wykonała gwałtowny zwrot i zawróciła od drzwi.

- Wałówka! - krzyknęła do gosposi. Wzięła paczkę i znów wykonała obrót obok kompletnie zdezorientowanego ojca.

- Emilio! - Stanisław Radziejowski próbował zablokować drzwi, ale córka energicznie przyśpieszyła.

- Uderzy mnie ojciec, skrepuje i zamknie w areszcie?

Tego nie mógł zrobić, nawet w takiej sytuacji nie potrafiłby podnieść na nią ręki. Zawahał się i w tym momencie Emilia wybiegła z mieszkania. Wiedział, że nie może jej gonić, bo taką ją

sobie wychował; silną, mądrą i niezależną, dokładnie taką, jaka była jej matka. Stanął przy barierce na klatce schodowej, wychylił się w dół i zamiast krzyknąć, westchnął. Emilia dobiegła do bramy, raz jeszcze się wychylił, ale zamiast zawołać: „Stój, wracaj!”, krzyknął:

- Wracaj zdrowa, córeczko, wracaj cała i zdrowa!

Emilia przystanęła i spojrzała w górę, pomachała ojcu ręką.

- Wróć cała, wróć! - odpowiedziała, po czym wybiegła z klatki schodowej.

Na Mokotowskiej, przed kamienicą, czekała już na nią pani Morawska, która wraz ze swoją gosposią trzymała ogromny kosz jedzenia.

- Pani pozwoli, pomogę. - Podeszła do kobiety. - Niech tylko pani weźmie moją paczkę.

- Dziękuję, pani Emilio, dziękuję. - Pani Morawska była wyraźnie wzruszona.

- Ruszajmy do naszych chłopców. - Emilia energicznym głosem wyrwała towarzyszkę z zadumy, a później, jeszcze raźniejszym krokiem, ruszyła w kierunku Ministerstwa Spraw Wojskowych. Właśnie przed chwilą wojska Piłsudskiego zdobyły parter, który trzymali wierni rządowi podchorążowie. Wyprowadzono ich z gmachu bez broni i pasów. Jeden z chłopców prowadził ożywioną rozmowę z oficerem w stopniu pułkownika. Na zakończenie oficer wyciął go jak syna, a chłopak dołączył do kolegów. Wojskowy zauważył je i dziarsko zasalutował.

- Pułkownik Ludwik Kmicic-Skrzyński, szef sztabu drugiej dywizji kawalerii, czym mogę służyć szanownym paniom?

- Szukam syna, porucznika Morawskiego.

- Jest cały i zdrowy, generał Sławoj-Składkowski dziękuje właśnie swoim żołnierzom za wierną i mężną postawę, za chwilę będzie mogła pani zobaczyć syna!

- Czy jest tu podpułkownik Aleksander Nowicki? - zapytała pełnym nadziei głosem Emilia. - Aleksander Nowicki, podpułkownik Sztabu Generalnego... to mój mąż!

Oficer strzelił obcasami i skłonił nerwowo głowę.

- Szanowna pani, pani mąż powinien być w Belwederze, jego odr dział został zluzowany!

Wyszły na zewnątrz. Kręciło jej się w głowie, a więc to tak, Aleksander stanął po ich stronie... Czemu tak? Popierał przecież Marszałka, tak zawsze mówił... Czują, że zaraz zemdleje. - Niech się pani nie trwoży, to żadna hańba! Wie pani, czemu wyściskałem tego chłopca, tego podchorążego? Bo był dzielny, bo nie chciał zdradzić żadnej tajemnicy. Jesteśmy polskim wojskiem i nim pozostaniemy!

- Ale czy on żyje?

- Żyje, generałowie, którzy byli wczoraj późnym wieczorem na negocjacjach, widzieli go w Belwederze. A teraz panie wybaczą! - Pułkownik strzelił obcasami, zsalutował i poszedł w kierunku drzwi ministerstwa, z których wychodził generał w otoczeniu oficerów i żołnierzy.

Pani Morawska wypatrzyła między nimi syna, pobiegła do niego i przytuliła, a jedzenie, które obie z Emilią przyniosły w koszach, zaczęło błyskawicznie znikać. Wszyscy, i generał, i oficerowie, i żołnierze, byli wyczerpani i głodni jak wilki.

W kwadrans później były już przy Mokotowskiej. Pani Morawska cały czas mówiła o swoim synu, a Emilia wciąż myślała

o Aleksandrze; był po drugiej stronie, ale żył. Przynajmniej wieczorem widziano go żywym... Jej myśl przerwał świst i głuchy trzask. Głową pani Morawskiej szarpnęła jakaś niewidoczna siła, ze skroni wyleciała chmurka czerwonego pyłu. Emilia poczuła ją na twarzy, jeszcze zanim ciało jej sąsiadki bezwładnie zważyło się na bruk.

Na ulicach ginęli ludzie, ale tak poza tym panował spokój. Taka myśl brzmiała niedorzecznie, ale tak było. Aspirant Karol Denhel zdał sobie sprawę, że w tym nadzwyczajnym czasie nie notowano rabunków, morderstw i gwałtów, poza tym jednym i oczywistym, gwałcie na ojczyźnie i demokracji. Minister spraw wewnętrznych długo był nieosiągalny, przepadłszy gdzieś, bodaj na urlopie! Rząd, którego minister w trzecim dniu urzędowania udał się na odpoczynek, to brzmiało jak żart, ale taka była prawda. Obecny rząd musiał upaść, ale nie w ten sposób. Nie tak haniebnie i nie tak krwawo. Nie tak bezwładnie. Czemu tkwili w Belwederze, czemu dali się złapać w pułapkę, czemu policja ma tylko sprzątać po Piłsudskim, a nie dać mu odpór? W końcu znaleziono im jakieś zajęcie, źle, że ze Strasburgerem, który aż przebierał nogami na przyście mordercy Piłsudskiego, ale dobrze, że w ogóle coś znaleziono. Pojechali Marszałkowską, gdzie wybito szybę u jubilera. Banał, ale jednak robota dla śledczych.

Wskoczyli w służbowe auto, które dostali wraz z kierowcą od kierownika sąsiadującego z nimi Komisariatu numer XII. Jechali z Daniłowiczowskiej szybciej niż zwykle, choć ulice nie były kompletnie puste, gdzieś tam gromadziły się tłumy, tu i tam

były barykady i przecinające jezdnie wojskowe posterunki. Słyszano strzały, ale sporo taksówek i dorożek jeździło jak gdyby nigdy nic, przecinając czasem nieświadomie, a czasem pod wpływem brawury prowadzących i pasażerów linię miejskiego frontu.

Na miejscu sytuacja diametralnie się zmieniła. Okazało się, że czeka na nich sprawa o wiele ważniejsza, niż początkowo sądzili. Przodownik, który pilnował wraz z posterunkowymi z pobliskiego komisariatu rozbitej witryny i sklepu, zameldował:

- Sklep zabezpieczony. Chyba wiemy, kto to zrobił, i już nasi ludzie poszli po niego, ale dobrze, że panowie są, bo tymczasem gołębiarz znów szył do ludzi niedaleko Mokotowskiej!

- Kto? - zdziwił się się Denhel.

- Strzelec, który siedzi na dachu - wyjaśnił. - Panowie, sprawa jest pilna, pomóżcie!

- Przodowniku, idź pan z tym do premiera, prezydenta albo samego Marszałka - nie na żarty się wkurzył Strasburger. - Co to za zawracanie głowy?

- My się nie angażujemy w walki - dodał Denhel. - Klarują nam to wszyscy przełożeni.

- No właśnie, co jest, do cholery. - Do bicia w przodownika dołączył także Stolarczyk.

- Ale to sprawa kryminalna, rozmawialiśmy z obydwoma stronami i żadna się nie przyznaje do Strzelca. To cywil i strzela do cywili! - dobiegł ich nowy głos. - Teraz, po ostatnich zbrodniczych strzałach, nie mamy już wątpliwości. - Z głębi sklepu wyszedł mundurowy policjant, na którego pagonach były po trzy

gwiazdki, a wraz policjantem pojawił się wojskowy w stopniu majora.

- Panowie - kontynuował major. - Na skrzyżowaniu ulic Mokotowskiej i Koszykowej padło kilkanaście osób. Tylko jeden żołnierz jest ranny, a reszta to cywile. Panowie, zróbcie coś, my mamy swój front, zaraz idziemy się bić o Belweder. Panowie, musicie go powstrzymać, przy mnie padło ranne sześciolatek dziecko!

- Zaraz ruszymy - powiedział majorowi komisarz, salutując na pożegnanie. - Komisarz Marian Sobota, kierownik trzynastki z Hożej - przedstawił się policjantom. - Tak faktycznie jest. Ktoś ładuje z dachów do cywili, najpierw myśleliśmy, że to wojsko, ale front się odsunął od tego miejsca, a poza tym to jest ktoś, kto sobie poluje na ludzi, jakby to były wróble. Drań zabił dwie kobiety i dziecko oraz ranił kolejne osoby. Jest kilkunastu poszkodowanych. Musicie pomóc, bo niemal wszyscy ludzie próbują powstrzymać gapiów. To ważna robota, nie mogę nikogo wycofać z frontowych ulic, bo wtedy będzie więcej trupów. - Nie musiał im tego tłumaczyć, wszyscy wiedzieli, że przynajmniej setka ofiar to cywile, którzy zapłacili za swoją nieokiełznaną ciekawość i brawurę. - Mają panowie broń?

Aspiranci Strasburger i Denhel oraz przodownik Stolarczyk kiwnęli głowami na tak. Po chwili milczenia Denhel zapytał.

- Czy to szalenie?

- Ani chybi szalenie - potwierdził Sobota. - Nie ma chwili do stracenia, bierzcie panowie rewolwery i jedziemy! To musi być gdzieś tam, między Mokotowską a Alejami Ujazdowskimi. Najwyższy dom to kamienica Spokornego, warto zacząć od tego

miejsca, bardzo prawdopodobne, że ten zbrodniarz bije właśnie stamtąd.

Denhel, Strasburger i Stolarczyk weszli na dach w towarzystwie dwóch mundurowych z komisariatu z Hożej. Mundurowi mieli wyfasowane karabiny, więc ustalono, że będą ich osłaniać. Wszystko było proste i logiczne, ale tylko do czasu wejścia na mansardowy dach kamienicy stojącej na rogu Chopina i Alej Ujazdowskich. Wysokość robiła wrażenie, a do tego dach przypominał momentami górską grań.

- Kurwa mać, nie jestem ptakiem - zaklął Strasburger, potykając się o piorunochron. - Jebał pies taką robotę. - Bluźnił dalej, niczym nie przypominając dyżurnego wesółka z Daniłowiczowskiej.

- Spokojnie, spokojnie - zasapał Stolarczyk, zegnając się z nabożeństwem. - Tylko spokojnie. - On także nie był sobą. Z warszawskiego cwaniaka na dachu zrobił się z niego zahukany chłopak. - Musimy zachować spokój i ciszę, on tu może być!

Tylko Denhel nic nie mówił, szedł spokojnie, nie dając po sobie poznać, że wszystko mu się wewnątrz gotuje, a za chwilę ogarnia go zimno jak na lutowym mrozie.

Trzeba się wziąć w kupe, pomyślał i nagle zauważył, że za kominem, uzbrojony w karabin, siedzi człowiek, którego rozpoznałby nawet w piekle.

Dochodziła 13.00. Meldunki, które napłynęły, jasno dawały do zrozumienia - odsiecz nie będzie, wojska z Poznania, które wylądowały na szóstym posterunku, nie przebiją się do

Belwederu, a o kolejnych posiłkach było cicho. Zapanowała konsternacja. Wtedy prezydent otworzył szafę, w której trzymał broń, i zaczął rozdawać pistolety. Miał pięćdziesiąt siedem lat i nagle stał się innym człowiekiem, a może po prostu wróciły czasy, gdy był młodym i gniewnym bekiem? Dwadzieścia lat temu czuł się zupełnie kimś innym, co więcej, razem z Piłsudskim stali po tej samej stronie barykady, wspólnie walczyli i drukowali „Robotnika”.

Stanisław Wojciechowski chciał być wodzem, prawdziwym prezydentem, pomyślał Nowicki. Przez lata był jak paprotka na stoliku w salonie. Zdobił demokrację, ale miał do powiedzenia tyle, co konsulowie w pamiętnym pięćdziesiątym roku przed naszą erą. Był jak Gajusz Klaudiusz Marcellus i Lucjusz Emiliusz Lepidus Paullus razem wzięci, ponad którymi toczyła się rywalizacja między Cezarem i Pompejuszem! Miał być jak Lucjusz Emiliusz usadowiony przez Gajusza Juliusza na urzędzie i mu posłuszny Prezydent Wojciechowski nie poparł jednak rubikonu Marszałka i rozgorzała wojna. Teraz, w ostatnich godzinach urzędu, Stanisław Wojciechowski znów się czuł młodym bekiem, chodził podniecony, pełen werwy i wiary w wygraną, rozdając ministrom pistolety. Chciał się bronić w Belwederze do ostatka, bo miał siłę taką, jak wtedy, gdy był bojowcem. Nie doszło do patetycznej śmierci, nie było Termopil, Massady, ale przede wszystkim nie mogło być Chocimia; nikt nie wiedział, czy idzie odsiecz, pozostawał więc wymarsz i odwrót jak pod Cecorą. Był odwrót, ale prezydent zadbał o to, by odbył się on w patetycznym stylu. Nim wymaszerowali z Belwederu, odśpiewali *Rotę*.



Śpiewając, Nowicki był myślami w zupełnie innym miejscu. Zastanawiał się po raz kolejny, jak źle rozegrano obronę. Zamiast się wycofać wcześniej w okolice dworców, opanować kwartały w gęsto zabudowanym mieście i bronić się tam, gdzie nakazywały to taktyka i rozsądek, dali się złapać w pułapkę symboli. Dla honoru urzędu dali się osaczyć w Belwederze i będą jak Wielka Armia w odwrocie. Chwała Bogu, że nie było mrozu i śniegu, tylko mocne słońce oraz piasek i kurz. Napoleon porzucił tabory, a oni szybko zostawili auta, które nie były w stanie przejechać przez wiejskie drogi, i powlekli się smutnym, pieszym konduktem w kierunku Wilanowa. Honorowo byłoby sobie palnąć w łeb, ale on nie myślał o honorze, lecz o Emilii i Stasiu, chciał wyjść z tego cało i zacząć nowe życie. Tak postanowił i tak będzie!

Heniek obejrzał okolicę i zebrał informacje o tym, gdzie padali ludzie trafieni przez szalonego mordercę. Wyszło mu, że musiała to być jedna z kamienic położonych blisko rogu Mokotowskiej i Chopina. Typując punkt, z którego mogły paść strzały, wskazał także miejsce dla siebie. Wydawało się oczywiste, że powinien wdrapać się tam, skąd strzelano.

Była to górująca nad ulicą Chopina kamienica Spokornego. Znał ten budynek doskonale, bo właśnie tam otwierał kasę szpicla Borowki. Zdarzyło się to osiem lat temu, był wtedy czternastoletnim chłopakiem. Lipkarze i bojowcy spuścili go na linie, po czym wszedł przez lufcik i zrobił kasiarską robotę. Teraz jest starszy, ale będzie poważniej, bo ma kropnąć człowieka. Przez ostatnie dni robił wszystko, by nikogo nie zabić, a teraz, gdy

Piłsudski już zwyciężył, miał pociągnąć za cyngiel tak, by wykonać wyrok. Nie miał jednak rozterek, bo to nie był człowiek, tylko bestia, która pozbawiła życia trójkę niewinnych ludzi i raniła wielu kolejnych.

Wszedł na dach z Andrzejczakiem i Czystawem, teraz nie musieli go ubezpieczać, bo walki o tę okolicę już wygasły. Z góry widział, jak na Belwederze wciągają nową flagę, prezydent zwinął swoją i poszedł, jak wygnaniec, gdzieś na Wilanów. Heniek i jego ludzie mieli wypatrywać drania z karabinem, który urządził sobie łowy na niewinne ofiary. Zobaczyli go niemal równocześnie, wszyscy trzej. Na dachu kamienicy stojącej na rogu Chopina z Mokotowską błysnęło coś, jakby lustерko. Ale to nie było puszczanie zajaczków, Heniek domyślił się, że to szkiełko lunety celownika. Słyszał o takich karabinach, używali ich bogaci myśliwi, dzięki tym dodatkom można było bić celnie nawet na kilometr. Z takim przeciwnikiem trzeba uważać, bo w bezpośrednim pojedynku on i jego dwaj strzelcy byliby bezbronni. Na szczęście wypatrzyli go pierwsi.

Wtem usłyszał dźwięk odciąganego kurka i zdrętwiał.

- Mam cię, morderco kobiet i dzieci. Mam cię, Henryku Wcisło!  
Nie odwracaj się, opuść karabin, łotrze.

Kim był człowiek, który tuż przy jego głowie trzymał rewolwer?  
Heniek miał wrażenie, że słyszał już kiedyś ten głos.

Zrobiło się zamieszanie, to jego ludzie z milicji PPS dali o sobie znać.

- Ręce do góry - usłyszał Andrzejczaka.

- To ty łapy w górę - odezwał się nowy głos.

- Uważaj, cwaniaku - rozległ się głos Czystawa. - Jeden ruch i rozwalę ci łeb.

- Aspirant Kornel Strasburger, Urząd Śledczy. - Zarejestrował kolejnego aktora niezwykłego przedstawienia na dachu kamienicy Spokornego. Już raz przeżył tu emocje, wtedy było blisko wpadki, a teraz?

- Przodownik, skujcie go! - odezwał się pierwszy głos.

- Którego? Mamy tu trzech ptaszków.

- Spieprzycie nam robotę, zaraz was zauważy i odstrzeli głowy - ryknął Heniek. - Psy nie psy, ale musicie mnie posłuchać, on jest celny jak cholera i ma celownik optyczny!

- Stuł pysk, bandyto - usłyszał głos i poczuł kopnięcie w bok.

Za jego plecami zawrzało, Czystaw i Andrzejczak się postavili, ktoś się potknął, poszedł znajomy świst i rozległ się przeraźliwy jęk. To Czystaw padł na dach, brocząc krwią z ramienia.

- Kurwa mać, głupi psie, nie mówiłem? - wykrzyknął Heniek, kryjąc się za kominem. Spojrzał w twarz policjanta i rozpoznał go. To był gość, który mierzył nie tak dawno w niego i Tasiemkę. - To ty, narwańcu, kto *ty, job twoju mat* jesteś, że znów chcesz mi rozwalić łeb za friko?

Nie było czasu na więcej, bo trzeba było się ratować. Wciągnęli Czystawa za komin, w samą porę, bo poleciała kolejna kula.

- Kim jesteście? - zapytał Strasburger.

- Milicja PPS - odpowiedział Heniek. - Ja tu dowodzę, posłali nas, by upolować tego szaleńca, który postrzelił kilkanaście osób. A wy tu jesteście chyba też z powodu tego zwyrodnialca?

- Przykro mi, że tak się stało - wyjąkał Strasburger.

- Pańskiemu koledze powinno być przykro. Już drugi raz chce mnie zabić!

- To pan byłeś z Tasiemką, gdy zwijaliśmy Pod Kogutem tego kasiarza z Powązek? - ucieszył się Strasburger.

- Tak, to ja - odparł Heniek. - A pan kto jesteś, że chcesz mnie pan koniecznie zaaresztować i znasz moje nazwisko? - spytał milczącego policjanta, który przed chwilą mierzył w jego głowę.

Karol Denhel nie wiedział, co powiedzieć.

- Aspirant Karol Denhel, Urząd Śledczy - mruknął w końcu.

- Nie powiem, że mi miło, ale zapytam, skąd, do cholery, wiesz pan, panie psie, jak się nazywam?!

- Panowie, dajcie spokój, nie teraz, bo nas powystrzela - włączył się do rozmowy Stolarczyk.

- Co to za broń, mówiłeś pan coś o jakimś celowniku? - zapytał Strasburger.

- Celownik optyczny, bardzo droga zabawka dla dobrych i bogatych myśliwych. To jak luneta, dzięki której ma się ofiarę jak na dłoni.

- Słyszałem o tym - zapalił się Denhel.

- To jak pan słyszałeś, to schowaj pan łeb - powiedział Heniek. - Jest na dachu kamienicy na rogu Chopina i Mokotowskiej, zdradziło go szkiełko z lunety. Strzelał do ludzi jak do kaczek, czyli jest dobrym strzelcem. Musimy go trafić, póki nie zejdzie. Panowie, nie macie karabinów, więc nie jesteście tu potrzebni. Lećcie ściągnąć go z dachu, a my zaszachujemy gościa z naszej pozycji. Jesteśmy wyżej i choć nie mamy tak dobrej broni, to możemy go zasypać gęstym ogniem. Nie damy mu zejść albo przynajmniej go spowolnimy.

Policjanci ruszyli w kierunku klapy i o to chodziło Heńkowi, wykorzystał ich na wabia. Strzelec znów błysnął lunetą i Wcisło przymierzył się w jego kierunku. Już wiedział, gdzie jest, i nacisnął spust przede wszystkim po to, by ten nie zgasił któregoś z policjantów. Nie trafił mordercy, ale go postraszył, wiedział też, gdzie się kryje, a Andrzejczak puścił jeszcze jedną kulę. Poszła daleko od celu, ale ważne, że trafiła w dach i zrobiła wrażenie. Zdążyli huknąć przed nim.

Policjanci zniknęli mordercy z pola widzenia i pewno walał teraz na dół. Muszą przygwoździć go ogniem i szachować aż do momentu, gdy dorwą go gliniarze. Tamten o tym wiedział, więc oddał jeszcze jeden nieprzygotowany strzał i ruszył w kierunku narożnej wieżyczki kamienicy. Heniek przymierzył, wiedział, że ma tylko jedną szansę. Jeśli nie trafi, to łotr zeskoczy na strych, a potem nawieje klatką schodową lub się ukryje w którymś z mieszkań. Skupił się i prowadził go na muszce. Gdy miał pewność, że nie zmyli kroku, nie zmieni rytmu, nacisnął spust. Po chwili skulona sylwetka człowieka, który z karabinem w ręku utrzymywał na dachu równowagę, wyprostowała się i zachwiała, z ręki wypadła mu broń, a po chwili runął po stromym dachu. Myśliwy stał się zwierzyną w potrzasku, z którego nie było ucieczki. Rozpaczliwie próbował się chwycić jakiegoś elementu dachu, zwalniał tempo ślizgu w kierunku krawędzi. Gdy wydawało się, że ocalił swe życie, powoli, jakby leniwie, poleciał z dachu na trotuar. Było za daleko, by usłyszeć łomot ciała uderzającego w kamienne płyty, ale Heniek miał wrażenie, że łoskot dotarł do jego uszu. Życie zwyrodnialca dobiegło kresu.

Kapitan Juliusz Beniowski mógł odetchnąć z ulgą, nie trzeba było zbroić robotników, nie doszło do pełnej rewolucji, choć w pewnym momencie groziło nie tylko rewoltą, ale i wojną domową. Strajk kolejarzy odciął rząd i prezydenta od posiłków z Poznania, a te ze Lwowa nie nadeszły, bo Sikorski bał się akcji ze strony Ukraińców i Sowietów. Prezydent Wojciechowski wyjechał do Spały i wkrótce powinien go zastąpić na urzędzie Marszałek. Witos ustąpił i pewnie już nigdy nie wróci, a minister spraw wojskowych generał Juliusz Tarnawa-Malczewski, który jeszcze niedawno zachęcał do zgładzenia buntowników, siedział w tymczasowym areszcie, którym była drewnia w Wilanowie.

Porządek w kraju zrobiony, teraz będzie się można zająć swoimi sprawami. Po paru szalonych dniach, w których był w nieustającym pogotowiu, chciał wrócić do działalności swojej firmy Towarzystwo dla Handlu Zagranicznego Bałtyk - Świat i pójść do biura w galerii Luxenburga. Tam przyjdzie mu koordynować zupełnie inne sprawy Jak ochłonie, to się skontaktuje z Heńkiem. Ciekawe, jak Wciślak przeżył ostatnie dni, na pewno będzie miał mu co opowiadać.

Heniek siedział w domu, te dwa dni, a zwłaszcza końcówka, dały mu w kość. W końcu się wyśpi porządnie, w swoim własnym łóżku. Wymyje się jutro, jak wstanie, teraz nie miał siły, musiał jeszcze po zdaniu karabinu pójść na Młynarską, by się pokazać babci i Stefie. Szkoda, że nie mógł zajrzeć do Leokadii, jutro

pójdzie pod szkołę i ją spotka. Był zmęczony, ale nie mógł zasnąć, bo nie codziennie zabija się człowieka. Coś takiego wchodzi do głowy i męczy, nawet jeśli była to bestia.

Zabitym okazał się jakiś przemysłowiec czy inny arystokrata. Nazywał się Jerzy Sobala i kochał polować, ale po tym, jak zbankrutował, pomieszały mu się klepki w głowie. Gdy dotarło do niego, że do końca miesiąca ma opuścić mieszkanie na Chopina, to jak wybuchły walki, coś w nim kompletnie pękło; porażka i bankructwo doprowadziły go do szału. Możliwe, że najpierw strzelał do żołnierzy obydwu stron, którzy walczyli w Ujazdowskich, a dopiero na koniec zaczął pruć do cywili z sąsiedztwa. Nie dałby się wziąć żywcem, to pewne. Pewne też było, że ten policjant, Dehnel czy Denhel albo jakoś podobnie, coś do niego miał. Tylko co? Musi to jakoś sprawdzić, tylko jak? Może się spotka z Julkiem, jest w końcu dwójkarzem i powinien wyczarować każdą informację, nawet taką, jaki jest powód, że pies z Urzędu Śledczego zna jego imię i nazwisko.

## **CZĘŚĆ CZWARTA**

### **PIĘKNE WAKACJE**

#### **XVI**

#### **WOJTEK MATEJA**

Wojtek Mateja nie żyje! Wiosną 1875 ostatni prawdziwy zbójnik zakończył swój żywot w ciężkim więzieniu w Nowym Wiśniczu. Wytrzymał tam parę lat, ale w końcu wilgoć, zimno i choroba wyssały z niego duszę. Wielu wypilo za jego pamięć a niejeden odetchnął z ulgą. Najwięcej było takich, co wprost się cieszyli ze śmierci zbója. Jak Wojtek zaczynał, to ograbiał tylko kupców i co bogatszych. Później, gdy zaczął bez umiaru pić i się bawić, to potrzebował wiele pieniędzy. Mówili, że miał skarb, ale chytrył albo mu się nie chciało iść w góry po dutki, więc napadał, kogo popadło, nie oszczędzając też tych najbiedniejszych. Od tego picia to i bardziej nerwowo się zrobił, więc o awanturę z nim było coraz łatwiej, a że zawsze umiał i lubił w kufę przyłożyć, to bijał współbiesiadników i tych, co się przypadkiem napatoczyli.



Nie był zbyt wysoki i nie był za tęgi, ale żylasty i miał wielką siłę.

I nie bał się nikogo, za to on sam budził wielki strach. Jeden tylko ksiądz dobrodziej się mu nie kłaniał, bo wielki był i silny jak niedźwiedź proboszcz Stolarczyk. Ale do czasu. Raz przyszedł go pouczać, że żyje w grzechu i że kradnie, bije i napada.

- A ja ci, Wojtuś, powiadam, że kto chodzi poza bucki, zwykle na bukowej gałęzi kończy, a za twoją duszę ja odpowiadam przed Bogiem, przestań głupiej roboty, bo przyjdę do ciebie z bukową palicą i złożę skórę tak, że ci się musi rozboju odechcieć - powiedział.

Inni by się przejęli, ale zbójnik od razu odpyskował, żeby go klecha w pokoju zostawił, bo pewno połowa małych Klemensów, co biegają po Zakopanem i okolicach, to jego. Siedział wtedy na tronie świętego Pietra papież Klemens i proboszcz Stolarczyk wszystkie panieńskie syny chrzczył na cześć papieża Klemens. Wojtek trafił w czuły punkt, bo ksiądz z celibatem miał problemy, a i wypić lubił. Stolarczyk posłuch miał i się nie bał, a pięścią potrafił pobłogosławić tak, że aż we łbie huczało. Gdy górale palili fajki w kościele, to raz dwa zrobił z tym porządek, nie żałując nie tylko autorytetu, ale i silnych rąk. Zbójnik trafił więc na swego, ale tym razem to ksiądz dobrodziej spotkał silniejszego.

W końcu jednak obaj się dogadali, a Wojtek obiecał, że nie okradnie księdza. Co obiecał, to obiecał, ale co zrobił, to już inna sprawa. Podczas jednej zbójnickiej napaści zabił córkę gospodarza, bo ich rozpoznała. Ludzie się od niego odwrócili na dobre i wkrótce ktoś go wydał żandarmom. Pojmali Wojtka i zaprowadzili do Sącza, a tam skazano go na dziesięć lat celi w Wiśniczu.

Możliwe, że to zrobił to ktoś z zemsty za zabitą dziewczynę, a możliwe, że był to jeden z wielu, którzy głodnym okiem spoglądali za Kacką od Toporów. Wcześniej, jak kto nie wiedział, że ona Matejowa, to mógł zostać obity, a byli i tacy, co zapłacili za swą odwagę lub niewiedzę życiem. Sama Kacka też odetchnęła, bo dopóki Wojtek żył, chłopcy unikały jej jak ognia. Ona sama też się bała igraszek, a jeszcze bardziej bała się sięgnąć po zbójnicze skarby.

Niedługo po zamknięciu Wojtka mówili, że próbował uciekać, ale że go złapali. Skoro próbował, to mogło mu się kiedyś udać. Nie udało się to wcześniej jego ojcu Jędrusiowi i sześciu braciom, ale Wojtuś był przecież najsprytniejszy z nich wszystkich. Bano się jego powrotu aż do dnia, w którym po mszy ksiądz Stolarczyk ogłosił, że zbój zmarł w więzieniu. Kacka zaczęła nowe życie, ale postanowiła, że nie weźmie sobie żadnego chłopca, bo i tak będzie ich miała na zawołanie. Cały Matejowy skarb zachowała dla siebie, a za złote dutki pobuduje jasną chałupę z wielkimi oknami i będzie wynajmować izby panom, których coraz więcej zjeżdżało pod Tatry. Przysięgała na swą duszę, że nie sięgnie po skarby za jego życia. Teraz umarł i można pójść ku Dziurze, do tajemnego miejsca, gdzie były dutki i złoto - hań jest jaskinia, w której Wojtek Mateja się zaszywał przed pogonią i trzymał łupy. Lubił się zabawić, ale nie był taki, jak mówili, bo potrafił odłożyć coś na przyszłość. Nie potrafił tylko przestać zbójować i dlatego teraz wszystko miało należeć do Kacki.

## XVII

### PO BURZY

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 25 czerwca roku 1926*

*To już półtora miesiąca od czasu, jak w Warszawie i całej Polsce było niespokojnie, ale na szczęście wojsko wróciło do koszar. Jestem dumna, że Henio znów się poszedł bić, i szczęśliwa, że nie musiał zrobić nic złego żadnemu polskiemu żołnierzowi. Zginęło ich w maju tak wielu, byli tacy młodzi. Bardzo się wzruszyłam, jak był pogrzeb tego młodego pana porucznika, co poległ jako pierwszy, jeszcze na placu Zamkowym. Z pół Warszawy przyszło pod Święty Krzyż na Krakowskim, a później konduktem udało się na cmentarz. Ludzie płakali, że był młody, że żył tylko trzydzieści jeden lat i kochał ojczyznę nie mniej niż pan Marszałek. Ale taki los żołnierza, a pan Marszałek miał rację, że rozgonił rząd, i prawie cała Warszawa jest za nim.*

*Chcę, by znów było spokojnie, bo dni są takie ciepłe i piękne, a nasza Polska i pan Marszałek oraz my wszyscy potrzebujemy wytchnienia i spokoju. Za kilka dni jedziemy na wywczasy do Zakopanego. Bardzo się na to cieszę.*

Zakopane... czyli górskie wyuczasy po wilanowskim sanatorium, uśmiechnął się w myślach podpułkownik Aleksander Nowicki. Wyuczasy cywila Nowickiego, pierwszego w jego rodzinie od blisko stu lat. Dziad porwany w ruski jasyr zaraz po powstaniu listopadowym całe życie spędził w wojsku, najpierw w oddziałach kantonistów<sup>49</sup>, później w regularnej armii. Ojciec także miał takie życie; szkoła kadetów, później oficerskie szlify i wojaczka aż do emerytury, którą spędził w mundurze, a teraz on, dziewięćdziesiąt pięć lat po porwaniu dziadka, zrzuci wojskowy uniform... Nie wyobrażał sobie przyszłości, ale będzie się jakoś musiał oswoić z tą myślą.

Całe życie był przy wojsku, wychowany przez ojca, który nie zdejmował carskiego munduru, od urodzenia w jakimś garnizonie, wojskowej szkole, wojskowej służbie. Czy i tym razem ktoś wybierze za niego? Przecież został wojskowym, bo tak zdecydował ojciec, bo nie miał innego wyboru i innego zdania na ten temat. Później poszedł do polskiego legionu w Rosji, bo tak wybrała Emilia, następnie walczył za rząd i prezydenta Wojciechowskiego, bo spotkał Andersa... Gdy już po wszystkim, po tej całej majowej nawałnicy, internowali ich w Wilanowie, jako jeden z pierwszych powziął decyzję, że odchodzi z wojska. Jedni uważali, że jest człowiekiem honoru, a inni, że nie jest twardy, że się złamał i porzuca coś, co jest w życiu najpiękniejsze. Prawda leżała pośrodku; czuł się rozdarty po tym, co się stało, ale przede wszystkim doszedł do wniosku, że pokochał kiedyś kobietę, dla której porzucił dotychczasowe życie, nie dając jej jednak samego

siebie. To był paradoks, bo zdobył Emilię, oddając się Polsce, a teraz musi powiedzieć Polsce i jej armii: *Au revoir*, by być w końcu ze swoją żoną. Spakują się i pojedą z małym Stasiem do Zakopanego. To przednia myśl, należy im się taki wypoczynek!

Heniek Wcisło był człowiekiem, który się nie nudził. Nie tylko dlatego, że w wolnym czasie czytał książki, chadzał do kinematografu, a niedziele spędzał na wyścigach, po prostu miał takie życie, życie młodego faceta, który nie dość, że robił szemrane interesy, był współnikiem w rodzinnym warsztacie, interesował się polityką i pchał się w różne draki, to na dodatek robił równocześnie za kochanka i ojca. Nadchodziło sobotnie popołudnie i jego wyjście z Leokadią, a on musiał jeszcze pozamykać sprawy związane z wyjazdem do Zakopanego. Normalnie cieszyłby się na ten wyjazd, ale w jego życiu przecież nic nie było oczywiste. Eskapadę w góry wymusiła nie pogoń za modą i luksusami, lecz konieczność. Jego młodsza siostrzyczka Stefa nagłe zapadła na zdrowiu. Stało się to po wypadkach majowych, a werdykt lekarza był jednoznaczny: świeże powietrze, góry, najlepiej Zakopane... Czegoś takiego nie trzeba było Heńkowi dwa razy powtarzać, w jednej chwili podjął decyzję, że pakuje babcię z siostrą i jadą pod Tatry na całe wakacje. Decyzję podjął tym chętniej, że w tym samym kierunku mieli się wybrać także państwo Rostoccy i ich córka Leokadia. Powie jej o wczasach dziś wieczorem, ale najpierw musi załatwić milion spraw związanych z wyjazdem.

Wszyscy gdzieś się wybierali, to tu, to tam; ci mniej zasobni jechali na letniaki, ci ze znajomościami objeżdżali dworki

znajomych, a bogatsi udawali się za granicę lub do swoich podmiejskich willi. W modzie były także wyjazdy do Zoppot oraz Zakopanego. Aspirant Karol Denhel mógł tylko o tym pomarzyć, pracował w policji zbyt krótko, by dostać porządny urlop, a do tego zwalono na niego masę małych nieistotnych spraw.

- Będziesz pan rozpracowywać gang - zarządził Strasburger, gdy się dowiedział, jaką sprawą ma się zajmować kolega.

Faktycznie był to gang, ale gang żebraków, polsko-żydowska spółka jakich wiele, kolejny interes żerujący na ludzkiej naiwności. Dwóch z nich siedziało na chodniku pod Świętym Krzyżem, jeden miał na szyi sporych rozmiarów krucyfiks, a o kapelusz oparł święte obrazki, za to jego sąsiad był ubrany w chałat, a pieniądze zbierał do rondelka zdobionego symbolem siedmioramiennego świecznika. Wychodzący z kościoła ludzie rzucali mnóstwo pieniędzy, wszystkie rzecz jasna do kapelusza chrześcijańskiego żebraka, który wyglądał trochę jak pielgrzym mieszkający w jednej izbie z Żydem. Proszących goniono niezbyt gorliwie, ale ktoś doniósł, że obydwaj są Żydami, którzy przepijają zbierane pieniądze w szynku na Powiślu. Gówniana sprawa, choć trik na pewno sprytny.

Przebierz się za chrześcijanina i posadź koło siebie kolegę Żyda, pod kościołem sukces gwarantowany!

Ten sukces miał jednak krótkie nogi, ale Denhel nie potrzebował choćby takiego! W maju przeżył kolejne upokorzenia, nie wiadomo, które większe! Piłsudski sięgnął po władzę jak dyktator, a Wcisło po raz kolejny zrobił z niego pośmiewisko. Strasburger jakby czytał mu w myślach, bo podszedł i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie módl się pan, żeby się skończyły twoje kłopoty, bo wraz z nimi kończy się życie - zażartował, ale jakoś nie po swojemu.

- Wiesz pan, ile ja przeszedłem, zanim zacząłem robić przy porządnym sprawach? To znaczy przy porządnym z pana punktu widzenia, bo ja już się tym nudzę i wziąłbym się za rzeczy naprawdę wielkie.

- No to Marszałek wyciął panu numer - odgryzł się Denhel. - Bo zaprowadza porządek, a gdy jest porządek...

- To ludzie wcale nie robią się od tego porządniejsi - uśmiechnął się śledczy. - Zło siedzi w człowieku, a im wspanialsza cywilizacja, tym wymyślniejsze zbrodnie i kradzieże. Pomnisz pan moje słowa!

Wydawało się, że Strasburger już skończył i uda się do swoich obowiązków, ale zamiast wyjść z pokoju obrócił się w stronę Denhela i zapytał:

- A kim jest ten Wcisło, czy może Wlazło, że tak panu załazł za skórę?

- O kim pan mówi? - Denhel zgrywał idiotę,

- Pan nie żartuje - zaśmiał się Strasburger. - Oj, podpadł panu ten typ. Wiesz pan, po tym wypadku na dachu aż zajrzałem do kartoteki, ale on tam nie figuruje jako przestępca, lecz jako ofiara...

- Być może, być może - odpowiedział powoli Denhel - ale w kartotekach nie znajdziesz pan wszystkiego.

Strasburger popatrzył na niego badawczo i opuścił pokój. Chyba zajrzy jeszcze raz w te papiery.

Rodzice Leokadii wyjechali pod Warszawę do swoich przyjaciół, więc dostała od nich wolne dwa dni! Chciała je spędzić tak, jak spędza wolny czas zwykły warszawiak z ulic, gdzie nie zawsze jest bruk, i z kamienic, gdzie niekoniecznie są wszystkie wygody. Heniek zorganizował cały program; w sobotę kolacja w dobrej restauracji, przedstawienie w teatrze oraz spacer, a w niedzielę wycieczka statkiem do Młocin.

Leokadia chciała iść do teatru, no to w końcu się doczekała! Heniek wolał kino, ale wpadał też czasem do Teatru Popularnego na rogu Młynarskiej i Wolskiej. Jeszcze niedawno było tu kino Europa, w którym obejrzał mnóstwo filmów. Lubił tę budę, pojemną i cenioną wśród wolskiej publiczności, ale nie wytrzymała ona konkurencji ze strony kinematografu Kometa. Europa się zwinęła i w jej miejsce zainstalował się Teatr Popularny.

Grali tam często wesołe sztuki, a jedną z nich był wzięty, bo idący dłużej niż tydzień wodewil, który napisali dwaj młodzi goście. Jeden nazywał się Włodek Słobodnik, a drugi Kostek Gałczyński. Heniek kojarzył z widzenia Gałczyńskiego, bo to był o rok od niego młodszy chłopak z Woli. Uśmieł się na tym wodewilu serdecznie, ale nie zdążył zabrać na przedstawienie Leokadii, gdyż repertuar zmieniał się w Popularnym w ekspresowym tempie.

Wieczór zaczęli zgodnie z planem, od kolacji. Heniek zaprosił Lodzie do modnego Cristalu, restauracji na rogu Brackiej i Jerozolimskich. Było pewne ryzyko, że spotkają kogoś ze znajomych rodziców, ale na szczęście im się upiekło. Zasiedzieli się, więc wskoczyli do pierwszej lepszej taksówki. Warszawiak



klekotał i strzelał z tłumika, ale jechał. Heniek fachowym okiem obejrzał pojazd i pomyślał, że remontowanie tej kupy złomu jest całkowicie nieopłacalne. Taksjarsz chciał zajeździć auto do końca, bo remont byłby wściekle drogi, a kupca na ten szmelc by nie znalazł, chyba że po raz pierwszy w historii kupcem samochodu okazałby się niewidomy. Ale stary ford T się nie rozleciał i szczęśliwie dociągnął pod Popularny.

Juliusz Beniowski siedział w rogu sali, praktycznie niewidoczny dla innych gości. Miejsce wybrał starannie, bo za plecami jego towarzyszkii, nowo poznanej córki właściciela ziemskiego z Wołynia, wisiało piękne, kryształowe lustro. W nim się odbijała cała sala, nad którą miał dzięki temu pełną kontrolę. Widział więc, jak przy jednym ze stolików zasiedli Heniek Wcisło i Leokadia Rostocka.

Ryzykanci, pomyślał. To już ten etap znajomości i zażyłości, nie potrafią się powstrzymać od wspólnego paradowania po miejscach, w których aż się roi od ludzi mogących donieść państwu Rostockim o tym, że ich córka spędza czas z jakimś szykownym młodym człowiekiem, którego twarz nie jest znana w towarzystwie.

- Czemu pan się ze mnie śmieje? - zapytała swoim uroczym głosem Magdalena Machnicka. - Czy ja pana śmieszę?

- Nie, droga pani - odpowiedział śmiertelnie poważnym głosem Beniowski. - Pani mnie bez reszty zniewala.

Heniek mówił, że ma gadane, to była prawda, pomyślał z zadowoleniem. Panna Machnicka wyglądała na zauroczoną.

Przed teatrem kłębił się tłumek ludzi. Gdy już Heniek z Leokadią byli niemal przy bileterze, który pełnił także funkcję kasjera, wtoczyła się ferajna Tasiemki. Było ich z dziesięciu, podpitych i bardzo podochoconych.

- Witaj, Heniu. - Tasiemka jak zwykle na powitanie przywalił mu po plecach. - Na rozpęd teatr, a potem Pod Cycki. - Król Woli i Powązek wskazał na sąsiadującą z teatrem knajpę. - Mam flotę i stawiam, bo zrobiłem kilka pięknych interesów na Kercelaku.

- Interesów?

- No, ja pomagam skłóconym ludziom, tak jak w dzielnicowym komitecie na Powązkach, ale tam robię to dla partii, a tu też i troszkie dla siebie. - Okrągła jak księżyc twarz Tasiemki wykrzywiła się w uśmiechu, aż zakręcone wąsy uniosły się w górę. Wtem zdjął melonik ze swojej łysej czaszki i szarmancko zauważył. - O pardąsik, widzę, że mój koleżka Henio jest z damą...

- Pozwolą państwo, panna Leokadia Rostocka, pan Łukasz Siemiątkowski. - Heniek dokonał szybkiej prezentacji.

- Królowo moja, mów mi Tata, Tata Tasiemka - rozpromienił się stary bek. - I pamiętaj, Heniek to kławy gość i nie musisz się martwić o nic, ale... - tu zawiesił dramatycznie głos - ale jakby ktoś coś od ciebie chciał, kochana, a Henia nie byłoby pod ręką, to mów, że Tata Tasiemka robi z nim porządek!

- Oczywiście, panie Tata - uśmiechnęła się Leokadia, która chyba do końca nie zdawała sobie sprawy, jakim zakapiorem jest znajomy Henia.

Tasiemka najpierw uchylił jej na pożegnanie melonika, po czym jak gdyby nigdy nic ruszył przed siebie. Zdezorientowany kasjer spróbował sprzedać mu wejściówkę.

- Teee! - zagadnął Tata Tasiemka. - Cwana gapa! Chyba nie zapomniałeś, kto ja jestem! Ja jestem, no sam pan wiesz, kto ja jestem! - zaśmiał się i minął biletera, dodając głośno: - Ja jestem Tata Tasiemka i za bilety nie płacę, wiesz pan o tym doskonale i nie zgrywaj pan frajera, bo dostaniesz pan prztyczka w nos.

Za Tasiemką poczęli się wbijać do wnętrza teatru pozostali chłopcy z ferajny.

- Ja mam miesięczny. - Kolejny typek odchylił marynarkę i pokazał tkwiący za parkanem pistolet.

- A ja mam roczny niewidoczny - wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu wielki jak szafa łobuz.

- Pan pozwoli, jestem z Woli - wypalił następny.

Zdesperowany bileter próbował zakręcić kurek z darmowymi wejściówkami, ale spotkał się z absolutnym brakiem zrozumienia.

- Fikasz? - zapytał mały, ale żyłasty osobnik z twarzą mówiącą wszystko o niezliczonych drakach, w których brał udział. - Bo jak fikasz, to pierdyknę i znikasz!

- Nie bądź pan frajer i zapnij gajer. - Tu trafił na jakiegoś eleganta i siłacza w jednej osobie, który chwycił go za poły marynarki i uniósł do góry.

Zanim opadł na ziemię, do sali wkroczyło jeszcze trzech ludzi z wolskiej zastawy.

Zrezygnowany bileter nerwowo zareagował na Heńka, który sięgnął do wewnętrznej kieszeni.

- A pan szanowny... - zapytał nieco wystraszony pracownik teatru.

- Nie bój pan, nie szukam klamki, tylko floty, chciałem kupić bileciki dla siebie i narzeczonej - wyjaśnił.

- A pan czemu płaci? - Zdziwienie biletera nie miało granic.

- No, bo... - Heniek nie bardzo wiedział, co powiedzieć. - Bo ja zawsze płacę!

- Ale pan znasz Tasiemkę!

- Pan też znasz Tasiemkę! - zaśmiał się serdecznie Heniek.

- Ale on mnie nie i w tym cały szkopuł, a pan jak widzę jesteś jego znajomy i ktoś z ferajny.

- Panie...

- Adolf Drygas - przedstawił się z dumą bileter.

- Panie Drygas, nie dygaj pan i zbieraj pan flotę za bilety, bo się kolejka robi i ludzie zaczną się denerwować, a pierwszy pewno zdenerwuję się ja!

- Tak jest, proszę szanownego pana. - Bileter znów wrócił do dawnej pewności siebie. - Dwa bileciki dla szanownych państwa?

- Sześć! - rozległ się mocny, wyraźnie dochodzący z góry głos.

- Dla mię i dla żonki dwa oraz dla szwagroszczaka z małżonką dwa kolejne!

Przy kasjerze kłębił się tłumek postaci płci obojga słusznego wzrostu i okazałej tuszy. Ich sylwetki i krzykliwe, bogate ubrania wskazywały na to, że są to krezusi z przedmieścia. Tego, który kierował grupą i kupował bilety, Heniek znał doskonale.

- Mięciu - rozpromienił się. - Jak pragnę zdrowia, Mięciu Kosiorek, mistrz fajery z Grochowa!

- Z Grochowa i z Kamionka, tak detalycznie to mieszkam okrakiem na granicy tych pięknych rewirów, do tego sam urodziłem się na Grochowie, a żonkę mam z Kamionka! Co się tak patrzysz, że co ja tutaj? Szefer zrobił mi wychodne, bo pojechał z rodziną do Otwocka. - Widząc, że Heniek dalej wygląda na zdziwionego, Kosiorek trochę się zdenerwował i puknął go palcem w piersi.

- Aaa, jasnie pan zdziwiony, że szoferak poszedł do teatru, że ja to już tylko kabarety i kinematograf. O nie, nie, nie, kochany, pomyłka - mówił z pasją, wymachując palcem. - Ja jestem człowiek rezonansu. - Widząc wielkie oczy Heńka i jeszcze większe Leokadii, tłumaczył dalej. - Tak, właśnie tak! Szefer, a on jest światowy człowiek, powiedział o mnie właśnie w ten sposób; koniki, cyrk, kino, kabaret, teatr, prasa, a nawet czasem książki. Ty jesteś, Mięciu, prawdziwy człowiek rezonansu! No jak bonie dydy, pan Szpic o mnie tak powiedział.

- Chyba renesansu - nieśmiało zauważyła Leokadia.

- No żeż! - ucieszył się Mietek Kosiorek. - No właśnie, tak. No przecież mówię: człowiek rezonansu!

Dalszą rozmowę przerwał dzwonek, który obwieszczał zbliżający się początek spektaklu. Dźwięk przypominający publicę o zajmowaniu miejsc nigdy nie odzywał się punktualnie i tak naprawdę oznaczał, że wykupiono już wszystkie bilety albo że na sprzedaż kolejnych nie ma już żadnych nadziei. *Zemsta* Aleksandra hrabiego Fredry ruszyła z kopyta i pewnie widzowie nie potrzebowaliby przerwy, ale przecież w przerwie teatr zarabiał kolejne grosze i złotówki na lemoniadzie. Specjalnie,

goście mogli liczyć na coś więcej, dla nich obsługa teatru donosiła z knajpy Pod Cyckami bigosik, golonczkę i coś mocniejszego.

- Jaracz! To naprawdę jest Jaracz!

- Kto? - zapytał Miecio Kosiorek.

- Stefan Jaracz, wielki aktor - wyjaśniła Leokadia z nutką zdziwienia w głosie, no bo jak to możliwe, że ktoś, kto jest dorosły i idzie do teatru, nie słyszał nigdy o Jaraczu?

- Który to?

- Ten pan, który je golonkę i właśnie zapija ją kieliszkiem wódki.

- Leokadia uznała, że tak najskuteczniej wyjaśni postawne-mu mężczyźnie, który z widzów Popularnego to słynny aktor.

- Aaa, to już wiem, to ten! Trochę taki niewygodny. - Skrzywił się.

- Ale wypić to on potrafi - dodał po chwili z uznaniem w głosie. Zaraz jednak dorzucił krytycznym tonem: - Ale w kinematografie to on chyba za dużo nie gra?

- Grał niedawno w *Symfonii życia* - zawołała Leokadia.

- Straszny gniot - skrzywił się Kosiorek. - Aż mi się chciało z kina wyjść, nuda patentowana. Mogłem pójść wtedy na film kowbojski.

- Ale dzisiaj pan chyba nie żałuje?

- No skąd - zaśmiał się szofer Szpicbródki. - Ubaw po pachy, a i... - tu się zawahał, sprawdzając, czy żona go nie dosłyszy. - Ta cała Podstolina niczego sobie kobitka. - Widząc, że małżonka i szwagrostwo są w bezpiecznej odległości, cmoknął ze smakiem na zakończenie.

- Przepraszam szanownych państwa. - Do towarzystwa zbliżył się niepozornie wyglądający trzydziestolatek z wąsikami.

- Wiechecki, Stefan Wiechecki, jestem dyrektorem tego przedsięwzięcia. - Skłonił się grzecznie. - Jak się podoba szanownej publice przedstawienie?

- Sztuka prima sort, bez dwóch zdań. I rodziny, i przyjacielom się podoba - odparł Kosiorek. - A gdybym jeszcze mógł obkoczyć tak jak pan artysta Palacz goloneczkę...

- Jaracz... - sprostował Wiechecki.

- No, Jaracz. - Kosiorek dał dyrektorowi porozumiewawczą sójkę w bok. Wiecheckiego od tego napadu czułości aż zatkało. - Może być Jaracz i wódeczka też może być!

- Przepraszam, ale to wyjątkowa sprawa, bardzo wyjątkowa.

- Dyrektor Wiechecki wyglądał na strapionego. - Pan Jaracz to instytucja, to symbol...

- No, to akuratnie jak ja na Grochowie - ucieszył się Kosiorek. - I na Kamionku też!

- I jak Tasiemka na Woli - zauważył Heniek.

- Pan Tasiemka - zamyślił się Wiechecki - to wielki miłośnik sztuki i postać wpływowa, dzięki temu jesteśmy jedynym teatrem, na którego widowni panuje święty spokój!

- I wszyscy płacą za bilety - zadrwiła Leokadia.

- Wszyscy inni płacą - pewnym głosem i bez zawahania odpowiedział Wiechecki. - Co też się nie zdarza na pozostałych scenach Warszawy, do tego to o czym mówiłem: święty spokój!

- No, mnie się akurat Tasiemka niespecjalnie kojarzy ze spokojem! - rubasznie zaśmiał się Kosiorek, a zebrani pokiwali głowami.

- Dlatego inni się zachowują spokojnie - wyjaśnił Wiechecki.

- Nawet w najprzedniejszych teatrach Warszawy publika potrafi się rozprawiać bez pardonu z aktorami, często rzucając nie tylko wyzwiskami, ale i przedmiotami. A u nas... u nas kultura, drodzy państwo, kultura i spokój, że mucha nie siada! Ale ja nie o tym chciałem rozmawiać. - Dyrektor przyśpieszył, bo dzwonek dał sygnał na koniec przerwy. - Otóż, czy szanowna pani - mówiąc to, zwracał się do Leokadii - czy szanowna pani nie chciałaby kiedy zostać artystką sceniczną?

- Chciałam, i nawet byłam na przeglądzie w studio filmowym, ale... - Leokadia westchnęła ciężko. - Jak się tata dowiedział...

Wiechecki z żalem i jednocześnie zrozumieniem pokiwał głową, postanowił jednak chwycić się jeszcze jednej, ostatniej już deski ratunku.

- Ale pani jest już chyba dorosła? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Tak, ale będę studiować chemię na uniwersytecie i nie będę miała czasu. - Leokadia ze smutkiem zakończyła rozważania na temat swojej aktorskiej kariery.

- To szkoda, to wielka szkoda... - Dyrektor pokiwał głową. - Ale za to polska nauka będzie miała z pani wielki pożytek! Życzę państwu miłej reszty wieczoru, proszę do nas przychodzić jak najczęściej.

- Wiechecki się uklonił i ruszył za kulisy, gdzie był już Stefan Schiller, który wpadał tu niby towarzysko, a tak naprawdę na przespiegi, bo chciał, by jego Teatr Polski także odpowiadał na gusta mniej wymagającej publiczności.

Gdybym ja miał takie możliwości i markę jak Polski... - pomyślał Wiechecki. Gdybym nie miał za sąsiada kina Kometa,



które jest morderczą konkurencją, gdyby ojciec chętniej dopłacał ze swego interesu do teatru, gdyby...

- Gdyby ciocia miała wąsy, toby była wujkiem - rzucił pod nosem i pobiegł pod scenę, gdzie były ukryte niskie jak norki garderoby.

Tam się szybko przebrał, bo miał jeszcze tego wieczoru do odegrania mały epizodzik. Stefan Wiechecki kochał swój teatr i robił wszystko, by go nie stracić.

Po przedstawieniu towarzystwo się rozeszło, każdy w swoją stronę; Tasiemka i jego ferajna zostali na Woli i jak zapowiadali, pożegnawali do sąsiadującego z teatrem szynku Pod Cyckami, z kolei Kosiorek zapakował swoją rodzinę do buicka i czym prędzej pojechali na drugą stronę Wisły, by, jak powiedział, teściowa nie wyszła z nerw.

Mieczysław Kosiorek nie bał się nikogo, ale jego teściowa Ludwika Gargas budziła w nim grozę.

- Teściówka została się z dzieciakamy, one potrafią narozrabiać, a wtedy ona się denerwuje, a jak się denerwuje, to mnie jest z tem fantem całkiem nieklawo - wyjaśnił na pożegnanie i z piskiem opon ruszył w kierunku Kamionka i Grochowa.

Tymczasem Heniek z Leokadią wsiedli w dorożkę, by jeszcze wpaść do którejś ze śródmiejskich kawiarni. Posiedzieli w miłym towarzystwie w Rivalu na placu Na Rozdrożu, tam gdzie jeszcze niedawno żołnierze wierni rządowi siedzieli w potrzasku. Właściciel szybko doprowadził lokal do porządku i po tym, co się działo półtora miesiąca temu, nie było już najmniejszego śladu.

Później ruszyli na spacer, szli nocą Alejami Ujazdowskimi w kierunku placu Trzech Krzyży i Nowego Świata. Po zmroku było zdecydowanie ładniej niż za dnia, bo ciemności skrywały zniszczenia, których doświadczyła w trakcie walki najpiękniejsza ulica stolicy. Starto krew z chodników, a reszta śladów wsiąkła w trawniki i piasek, uprzątnięto konary i gałęzie, które spadły na ulicę podczas ostrzału, naprawiono także większość latarni, ale wciąż nie załatano wszystkich chodników i całej jezdni. Żołnierze próbowali wpierw kopać transzeje w poprzek jezdni, ale po zerwaniu kostki brukowej trafiali na twardą nawierzchnię, łatwiej więc było wkopywać się w trawniki i w ziemię pod trotuarem.

Półtora miesiąca temu latały tędy pociski, słychać było krzyki rannych i jęki umierających, dziś znów przechadzały się tędy zakochane pary. Było magicznie, gwiazdziste niebo i cisza, przerywana tylko od czasu do czasu szmerem nocnego tramwaju albo odgłosami nielicznych dorożek i samochodów. Pocałowali się. Uszli parę kroków i zrobili to jeszcze raz, znacznie namiętniej. Gdy doszli na wysokość parku Ujazdowskiego, Leokadia przystanęła. Heniek chciał ją pocałować, ale dziewczyna lekko go odepchnęła i przyłożyła palec do ust.

- Posłuchaj.

Heniek wyteżył słuch, przez delikatny dźwięk szumiących liści przebijał się przeciągły melancholijny odgłos...

- Ożeż ty z kuriera wycięty!

Zdziwienie było tak wielkie, że o mało nie zburzył romantycznej atmosfery. Nie zburzył, bo Lodzia wtuliła się w niego, szepcząc:

- Tak, to skrzypce. Ktoś w Ujazdowskim gra na skrzypcach.

Zapomnieli o pocałunkach i namiętności, ciekawość była silniejsza. Ruszyli w kierunku bramy parku, ale ta, jak każdej nocy, była zamknięta. Podsadził więc Lodzię na ogrodzenie, podtrzymując ją za kolana. Ręka zjechała na udo, poczuł, że chce więcej, ale to nie była chwila na amorv. W chwilę później sam przeskoczył na drugą stronę. Szli alejką w kierunku, z którego dobiegał dźwięk skrzypiec.

W ten sposób doszli do mostka przerzuconego nad zwężeniem parkowego stawu. Już same okoliczności tworzyły niezwykłą aurę, ale gdy zobaczyli muzyka, zupełnie odjęło im mowę.

Na widok mężczyzny ubranego w kimono nie byli w stanie powiedzieć ani słowa. Patrzyli jak urzeczeni na skrzypka, który z przymkniętymi oczyma grał cudowną melodię. W nocnej poświacie zobaczyli jego twarz, był to Japończyk, prawdziwy Japończyk. Schowani za krzakiem patrzyli na niego i chłonęli niezwykły koncert. Wtem z cienia wyłoniła się druga postać. Do mężczyzny w kimonie podszedł drugi, ubrany niemal identycznie, także Japończyk, ale nie ze skrzypcami, lecz z trąbką. Przyłożył ją do ust i delikatnie dołączył się do swojego kolegi. Koncert trwał jeszcze kilka minut, po czym mężczyźni w kimonach podziękowali sobie głębokimi ukłonami i schowali instrumenty do futerałów.

Heniek i Lodzia zaczekali, aż tamci pójdą, ale oni się skryli w cieniu, z którego wyszli po kilku minutach, ubrani po europejsku, rozmawiając po cichu w swoim niezrozumiałym dla Henia i Lodzi języku. Zmierzali w kierunku ulicy Pięknej. Heniek nie czekał dłużej, zaczął całować Leokadię, nie był zresztą pewien, czy to nie ona pierwsza przyłożyła swoje wargi do jego ust. Po chwili leżeli już w trawie. Park Ujazdowski widział w swej

ponadtrzydziestoletniej historii wiele niezwykłych rzeczy, ale po raz pierwszy był świadkiem tego, by jednej nocy odbył się tam koncert japońskich muzyków grających w kimonach na skrzypcach i trąbce oraz szalona miłość dwojga młodych ludzi.

Co jakiś czas Karol Denhel myślał o tym, by się wyprowadzić z pięknej kamienicy, w której żył od kilkunastu lat, ale skandalicznie wysokie czynsze zmusiłyby go do zajęcia jakiejś nory mieszczącej się w śmierdzącej czynszówce. Na więcej nie starczałoby z policyjnej pensji, a przecież musiał kupować porządne ubrania, a nie jakieś łachy niskiej jakości. Zazdrościł wojskowym, mieli mundury, które wzbudzały szacunek, lepsze pensje no i te swoje osiedla. Trudno, wybrał, jak wybrał i musiał się uzbroić w cierpliwość. Mimo wszystko lepiej było siedzieć w domu z matką, która traktowała go z taką troską, jakby był co najwyżej gimnazjalistą, oraz dociekliwym ojcem, niż niepotrzebnie prowokować swą obecnością w Urzędzie Śledczym naczelnika Kurnatowskiego.

Ale dziś była sobota i po południu przy Daniłowiczowskiej nie było już śladu po zastępcy przełożonego. Pogmerał więc w sprawach przez innych porzuconych lub wciąż nierozwiązanych. Nie znalazł nic ciekawego. Ech, teraz przydałoby się mieć własny kącik. Rodzice zostali w domu, choć mieli wyjechać do przyjaciół w Konstancinie, a z kolei u Elizy jej matka przyjmowała gości, a w podmiejskim domu bawił brat, za którym nie przepadał. Był bezradny, a że bardzo tego nie lubił, poczuł w sobie narastającą

falę wściekłości. Myślał w takich sytuacjach jak jakaś maszyna, wtedy też przychodziły mu do głowy najwartościowsze pomysły.

Nazajutrz Heniek zabrał Leokadię na wyprawę na Bielany.

- Heniu, czemu tam, a nie do Młocin?

- Bo nie lubię jeździć z kojbrami - wyjaśnił Heniek. - Nie chcę wozić żarcia i napitków, a potem jeść na kocu.

- Szkoda, to takie romantyczne...

- Nie lubię jeść w łóżku, na ziemi ani na jednej nodze. - Heniek był stanowczy jak rzadko kiedy. - Mam dość, wystarczająco dużo zaznałem tego w wojsku.

- Ale co z tym wspólnego mają Młociny?

- Ano tyle, że nie ma tam restauracji Bochenka - wyjaśnił Heniek.

- A na Bielanach jest! I proste, ale dobre jedzenie i napitki, można usiąść w cieniu, nie trzeba targać koszy z jedzeniem i ścigać się o dobre miejsce na koc.

Było tak, jak zapowiedział, poleżeli na trawie, pospacerowali i się pohuścili wraz z innymi wypoczywającymi warszawiakami, rozbawionymi jak dzieci, po czym poszli na smaczny obiad, ale wszystko co dobre kiedyś się kończy.

- Heniu - szepnęła Leokadia. - Muszę już wracać.

- No to mamy problem - syknął Heniek. - Teraz wszyscy się pchają na przystań, są kolejki jak jasna cholera, ale przecież możemy wrócić taksówką!

- Szkoda, że nie statkiem.

- Szkoda, ale... - Heniek spojrzał na Leokadię wymownym wzrokiem. - Czy pani wie, że jak nasz stangret dociśnie gaz w naszym samochodowym powozie to zdążymy jeszcze po drodze zahaczyć o chińską stolicę?

- Tobie tylko takie rzeczy w głowie! - powiedziała gniewnie, ciągnąc go w kierunku szosy na Warszawę. Tam zawsze czekały taksówki i dorożki dla tych, którzy nie chcieli wracać statkiem.

- Jak chcesz, to mogę cię tam zanieść! - krzyknął i nie czekając na odpowiedź, chwycił ją pod ramiona i kolana. - Trzymaj się mnie, lecimy!

I polecieli, pełni zapału, bo to, co czekało w Pekinie, miało im wystarczyć przynajmniej na pierwsze dwa tygodnie wakacji. Leokadia, podobnie jak Heniek, też jechała do Zakopanego, ale najpierw czekały ją egzaminy na studia, a później wyjazd z mamą do przyjaciół na Kresach. Gdy się ubierali, Heniek zagadnął:

- Żeby cię tam na Kresach jakiś jaśnie pan hrabia nie poderwał.

- Zrobił z kciuka i palca wskazującego monokl. - Jestem hrabia Pierdziszewski i muszę powiedzieć, że panienka mi się bardzo podoba!

- Nie bądź wulgarny! Nasi gospodarze to bardzo mili ludzie!

- No to markiz Mordądrę O'Trotuar! - Heniek zrobił głęboki dworski ukłon i zamachał czapką. - I także mnie panienka Leokadia się bardzo podoba, par excellence!

- Proszę, proszę i jak pięknie pan potrafi po francusku, panie markizie!

- W całej rozciągłości i madame o tym wie!

- Nie madame, tylko mademoiselle - a poza tym...

- Co poza tym?
- Przestań z tymi aluzjami, to nieprzyzwoite.
- Nie wiem co bardziej, czyny czy słowa?
- Henryku!

Leokadia tupała nogą i groziła mu palcem, ale były to tylko żarty, więc objął ją i pocałował.

Niedziela była bardziej udana od soboty, podsumował kończący się dzień Karol Denhel. Eliza Okołowicz leżała wtulona w niego, a on głaskał ją po głowie. Piękna, nowa willa, bo innych na Żoliborzu się nie spotykało, oddana była do ich dyspozycji. Rodzice Elizy pojechali do Milanówka na proszony obiad, to była ze wszech miar właściwa inicjatywa, a on się wymówił pracą. Co wymyśliła Eliza? Tego nie wiedział i nawet nie był tym zainteresowany, bo pochłaniała go inna myśl.

W Urzędzie Śledczym doznał olśnienia, tak, olśnienia! Pojął to, co się wydarzyło w czasie ostatnich świąt, ogarnął sens tych zdarzeń i to, jaki mogą mieć na niego wpływ. Pojął, co może odmienić jego życie. To nie idee są ważne, ale intelekt! Żeby zrobić karierę w Urzędzie Śledczym, trzeba mieć nie lada umysł, a on go ma; świetny uczeń i student, prymus szkoły policyjnej, z pewnością najbardziej obiecujący młody śledczy. On jest tym, przed którym świat stoi otworem, i pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy zdominuje to policyjne towarzystwo i wespnie się w górę. Już wkrótce Kurnatowski i reszta starych śledczych, pamiętających cara, odejdą na emeryturę, wtedy przyjdzie czas na to, by najważniejsze stanowiska objęli ludzie, którzy rozpoczęli

służbę w wolnej, niepodległej Rzeczypospolitej, bohaterowie wojny i konspiracji, młodzi i dobrze wykształceni, czyli tacy jak on!

Wczoraj gdy zalewała go żółć, zrozumiał, że może nie ma tego złego, że może Piłsudski jest tym, który posprząta ten obrzydliwy bałagan, a on, Karol Denhel, pomoże mu w tym z całych sił. Na razie nie mógł rozwinąć skrzydeł, ale się spełniał w inny sposób. Dotknął delikatnie brzoskwiniowego pośladka Elizy, a ona leciutko drgnęła. Poczł narastającą przyjemność.



## XVIII

### ZAKOPIANINA

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Zakopane, 20 lipca roku 1926*

*Pięknie jest w tym Zakopanem, będę miała co opowiadać koleżankom w szkole! Góry są po prostu cudowne. Jest tu bardzo interesujące towarzystwo, no i to powietrze, od którego wdychania czuję się znacznie lepiej. Heniek mówi, że skoro tak mi tu dobrze, to będziemy do Zakopanego jeździć co roku. Bardzo bym chciała i nawet babci się podoba, choć nigdy nie wyjeżdżała poza Warszawę, a nawet nie widziała takiej potrzeby. Ja też dużo nie jeździłam, co innego nasz Henio. On to był już i w Kijowie, i na Śląsku, i w Krakowie, a i Zakopane oraz góry też już wcześniej widział. Tak jak wiele pań i panów, którzy tu przyjeżdżają, chodzi po górach. I ja zaczęłam chodzić. Pierzu tylko byłam na Gubałówce, ale później były także wycieczki do Wodogrzmotów Mickiewicza i nad Morskie Oko. Szkoda, że minęła już połowa naszego pobytu.*

To były szalone dni, najpierw Heniek chodził po Tatrach, mając za towarzysza wypraw przewodnika Jędrusia Ołczańskiego, później zaś się doczekał przyjazdu Leokadii. Pan Rostocki przybył na krótko, bo, jak powiedziała Lodzia, ojciec przeszedł z ministerstwa do Komisariatu Rządu Miasta Stołecznego Warszawy. Nie to było jednak tak ważne jak fakt, że Rostoccy przyjechali tu z zaprzyjaźnionymi rodzinami. Ich znajomi też mieli córki, równe dziewczyny, które miały w Zakopanem swoich kawalerów, więc szybciotko całe towarzystwo opracowało strategię urywania się rodzicom. Czasem się bawili razem, ale najczęściej uciekali dwójkami w góry lub na zaprzyjaźnione kwatery. Heniek znał dobrze górskie ścieżki, więc wybierał szlaki, które prowadziły na ciekawe wycieczki, dawały piękne widoki i przede wszystkim zapewniały dyskrecję. Dzięki pomocy Jędrusia poznali stare szałas i ustronne miejsca, z których oni widzieli wszystkich, sami pozostając niewidzialni.

- Dobrze, że aeroplany nie są popularne tak jak automobile - zaśmiał się po górskich igraszkach Heniek.

- A jeszcze lepiej, że rodzice przyjechali tu ze znajomymi - dodała Leokadia. - Gdyby nie koleżanki, to ciężko byłoby się wyrwać.

Heniek przytulił ją, po czym zaczął zbierać porozrzucane rzeczy. Czas najwyższy się zwijać. Do Zakopanego mają ponad dwie godziny drogi szybkim marszem, a przecież porządne dziewczęta nie mogą wracać zbyt późno, nawet z górskich wycieczek. W powrotnej drodze Heńka czekał kolejny wykład z chemii, a raczej opowiadanie o tym, co w przyszłości będzie robić Lodzia. Studia, odkrycia, praca, Instytut Radowy, Skłodowska-

Curie... W tym wszystkim robiło się coraz mniej miejsca dla chłopaka z Woli.

Urząd Śledczy okazał się dla nich stanowczo zbyt mały, przy Daniłowiczowskiej było ciasno jak w kiszce i duszno jak w kanale. Karol Denhel utwierdził się w tym przekonaniu podczas wakacji. Wielu starych policjantów, a przede wszystkim nadkomisarz Ludwik Kurnatowski, wyjechało z miasta. Został za to Daniel Bachrach, który, choć podobnie jak Denhel był tylko aspirantem, to jednak uchodził za szarą eminencję Urzędu Śledczego. Kurnatowski i Bachrach, Sherlock Holmes i doktor Watson warszawskiej policji... Tak o nich mówiono i faktycznie się trzymali razem, zazdrośnie strzegąc jakichś tajemnic. Jakich? Tego nie wiedział, ale zauważył, że byli dla siebie nie tylko przełożonym i szefem, nie tylko autorem policyjnych podręczników i uznanym śledczym, ale także jednym organizmem.

Gdy się działo coś ważnego, zjawiali się obaj lub przynajmniej po fakcie zamykali się w gabinecie, często szeptali, przekazywali sobie jakieś notatki, byli jak konspiratorzy. Co ich łączyło, jaka tajemna nić, czego dotyczyła i jaki mieli wspólny interes? O czym Kurnatowski rozmawiał wraz z Bachrachem z właścicielami składu kolonialnego i czemu się zamknęli wtedy w pokoju? Dlaczego Kurnatowski zjechał w okamgnieniu do Grunshilda, czy tylko jemu się wydawało, że nadkomisarz był rozczarowany szybkim zakończeniem sprawy? Spróbuje się przyjrzeć Bachrachowi, postaci tajemniczej pod każdym względem, bo iluż zna tak dobrze środowisko starozakonnych przestępców i fałszerzy dokumentów, iluż pracowało w czasie wojny w Anglii jako oficer kontraktowy policji? Tęga głowa, doświadczenie, kontakty i... tak

niski stopień? Tyle lat i ledwie aspirant, czy to kwestia marnego wykształcenia, czy też jakiś wybór, a jeśli tak, to czyj?

Denhel zwrócił też uwagę na inną rzecz; nadkomisarz się nosił bardzo bogato. Z jednej strony wysługa lat, szarża i funkcja, to oczywiście były godne pieniądze. Do tego podręczniki i książki, ale z drugiej strony. .. Mimo wszystko, to nie były aż takie pieniądze! Z kolei Bachrach nie publikował, a stanowisko szefa brygady fałszerskiej nie tłumaczyło jego stanu posiadania; z pozoru ubierał się skromnie, ale zegarek, sygnet, papierośnica... to nie były byle jakie drobiazgi. Omotany przez Elizę Karol Denhel zapomniał o Leokadii i Heńku, ale nie potrafił zapomnieć o codziennych niewygodach, jakie niosły ze sobą sztywna hierarchia oraz brak postępów w jego karierze. Teraz mógłby rozwinąć skrzydła, ale jak na złość złodzieje też chyba byli na urlopie. Mimo wszystko te kilka tygodni bez starej gwardii podziałało na niego ożywczo i utwierdziło w przekonaniu, że sam musi przyspieszyć bieg wydarzeń i pchnąć do przodu wskazówki zegara. Teraz był dobry czas, bo Piłsudski i jego ludzie powywracali wiele urzędów do góry nogami, siłą pozbywając się ludzi przywiązanych do stanowisk.

Schodzili z gór i cieszyli się wszystkim; sobą, przyrodą, wycieczką oraz czekającym ich wieczorem. Byli jak oszołomieni, aż Leokadia zapytała:

- Co takiego jest w tych górach, co ma w sobie to powietrze, że już po paru dniach pobytu tutaj się czułam jak odurzona?

- To taki tutejszy narkotyk zakopianina. Mówią, że aby się nią porządnie nasycić, wystarczą trzy, może nawet cztery dni - odpowiedział Heniek.

- Cztery, może nawet trzy dni - poprawiła go Leokadia.

- A tak, faktycznie - zamyślił się Heniek. - Ale gdzieś to usłyszałem, te trzy, może nawet cztery dni, i tak mi zostało w głowie. - Uśmiechnął się, próbując sobie przypomnieć, czy była to jakaś reklama, wiersz czy piosenka, na pewno jednak chodziło o Zakopane. - A wracając do tej zakopianiny, to narkotyk szczególny, bo występujący tylko tu, między Gubałówką a Giewontem. To dlatego tu wszystko jest inne niż gdzie indziej.

- Ależ to pięknie powiedziałeś. - Leokadia przytuliła się do Henia.

- Mój ty poeto!

- Chciałbym - Heniek się uśmiechnął - ale to nie moje słowa, tylko Witkacego!

- Zazdroszczę ci, znasz go!

- Też go poznasz, dziś pójdziemy do jego Teatru Formistycznego, wyglupia się w Morskim Oku<sup>50</sup> wraz z przyjaciółmi i raczej zawsze jest więcej miejsc wolnych niż zajętych.

Witkacego spotkali wcześniej, niż mogli się tego spodziewać. Dochodzili do Kalatówek, gdy z lasu wypadł krzyczący mężczyzna.

- Marceli, ratuj - jęczał, trzymając się za przyrodzenie. - Ratuj, bąk mnie uciał!

Wtedy zza kamienia podniósł się drugi mężczyzna i ruszył w kierunku zawodzącego kolegi.

- Co ci jest, Stanisławie? - krzyczał, biegnąc. - Co się stało?

- Bąk mnie uciał, jak robiłem pipi w lesie - biadolił ten drugi. - Zagapiłem się, patrzyłem sobie na góry, a ten drań nadleciał i cap!  
- Widząc, że kolega stoi zdezorientowany niezwykle komunikatem, powtórzył, krzycząc jeszcze głośniej: - Bąk koński ukąsił mnie w kutasa, rozumiesz? Marceli, zrób coś, puchnie jak ciężka cholera!

- Zaradzę jodyną!

Heniek i Leokadia stali jak oniemiaли.

- To jest właśnie Witkacy. - Heniek bez pudła rozpoznał nieszczęśnika, którego ukąsił owad. - Chyba nici z dzisiejszego spektaklu.

Tak w istocie było, a nim Witkacy doszedł do siebie po fatalnym wypadku, Leokadia wyjechała do Warszawy.

Po wyjeździe Rostockich program pobytu w Zakopanem był prosty, raz na kilka dni jakaś wycieczka z babcią i Stefą, obiadek i cukiernia, w pozostałym czasie górskie wycieczki i zabawy w zakopiańskich lokalach. Heniek bardzo polubił swojego przewodnika Jędrusia Olczańskiego; poczciwy był to chłop, niezbyt wysoki, ale żyłasty, sprytny jak kozica i z jakimś nadludzkim zmysłem równowagi. Już po trzeciej wycieczce poszli na gorzałkę, bo jak powiedział góral: pan Heniek zachwyił go odwagą. Jędrus mówił, że nie spotkał cepra, co by się tak szybko nauczył wspinac. Heniek się śmiał, popijając z nim w karczmie U Wnuka<sup>51</sup>, że to wszystko przez miłość do Polski. Góral nie rozumiał i trochę się złościł, a Heniek dalej przepijał do niego z uśmiechem i wołał, że kiedyś mu o wszystkim opowie. No, może

nie o wszystkim, bo przecież sprawa Borowki wciąż miała swój ciąg dalszy<sup>52</sup>. Kopiami dokumentów wykradzonych z mieszkania niemieckiego agenta dysponowała „dwójka” i dzięki temu, jak mówił Julek, można było Szwabowi i jego szefom cały czas wkładać sporo kitu.

Jędrus już bez takiej rezerwy opowiadał mu za to o sobie i swoich klientach, że nie wszyscy tacy mocarni i śwarni jak Heniek, że on sam jest sierotą, którego przygarnęli kuzyni. Jego matka zginęła, a ojciec był nieznany, a jakby go kiedy odnalazł, toby draniowi porachował kości. Jędrus dużo mówił, ale i zadawał mnóstwo pytań. Interesowały go wielkie miasta, kamienice jak góry, ulice jak wąwozy i tramwaje. Słyszał o tym, że w Warszawie w cyrku występują atleci i zapaśnicy, Heniek opowiedział mu więc o swych wizytach w cyrku na Okólniku, ale zaraz też dodał, że bardziej lubi wyścigi konne i boks.

Boks bardzo zainteresował Jędrusia, który z miejsca powiedział, że jak się napije, to na weselu lubi dać w kufę, i że jakby mieszkał w Warszawie, toby na pewno chciał się w boksie spróbować. Nie mógł się nadziwić, gdy usłyszał, że Heniek uczył się boksu w żydowskim klubie Maccabi, i chłonął jak gąbka opowiadanie o bokserskim meczu między żydowskimi klubami, którego kolega był świadkiem. Trzeba przyznać, że było to niezłe widowisko, a w sali, w której odbywały się walki, wrzało jak w ulu.

Publika była w takich emocjach, że o mało nie doszło do bijatyki. Adaś się spisał na medal, bo w pojedynku wagi półciężkiej w pięknym stylu wypunktował Ignacego Fiszgrunda, a Maccabi wygrało z Czarnymi. To było jego pożegnanie z Polską i

Warszawą, tak też się zakończyła przygoda goja Heńka z żydowskim klubem Maccabi. Teraz ich kontakt opierał się już tylko na listach, które krążyły między Warszawą i Palestyną. O tym już nie opowiadał, to były jego prywatne sprawy, zresztą Jędrusia interesowało tylko to, jak się biją pany z miasta. Młody przewodnik słuchał jak urzeczony, oczy miał jak spodki, ale na koniec powiedział:

- He<sup>53</sup>? Dyć pierdolicie, panocku!

- Czemu?

- No bo powiadacie, że skacą w tym ringu, jakoby się zwyrtali<sup>54</sup> na góralskim weselu!

Wychodzili już z knajpy lekko zawiani, a Jędrus cały czas manty- kował, stając się mocno upierdliwy.

- No jakże to tak? Pokażcie!

No to Heniek pokazał. Chciał to zrobić na spokojnie, ale Jędrus ruszył na niego tak, jakby miał rozgarniać fale. Był do bólu przewidywalny, ale groźny, bo młócił pięściami powietrze z taką siłą, że aż świszcząło. Heniek się uchylił raz i drugi, odskoczył, poruszając się płynnie jak w tańcu. Jędrus zasapał, splunął i wycedził przez zęby:

- No sakramencko!

- To jest to zwyrtanie - uśmiechnął się Heniek.

Ale Jędrusiowi nie było do śmiechu, ruszył z całą mocą, a Heniek zrobił to, co robił z nim parę miesięcy temu Adaś. Odskoczył, zaszedł rywala z boku i dał lekką podcinke w okolice ucha. To tylko rozjątrzyło Jędrusia. Powtórzył *próbę* pobicia Heńka *jeszcze parę* razy, aż w końcu łyknął.

- Idziecie do bitki, cy ino tak zwyrtacie?



- Ale ja cię nie chce bić, ja tylko pokazuję, na czym mniej więcej polega sztuka boksowania.

To tylko rozwścieczyło Jędrusia.

- Oj, bo dom wam w kufę!

Próba zastała ponowiona, przy okazji okazało się, że mają widzów.

Dwóch młodych górali stało opodal i wkrótce zaczęli zagrzewać swojego ziomka.

- Bij panocka, bij!

- No dowojze w kufę, Jędrus! - krzyczeli widzowie. - Wartko, wartko!

Jędrus nagle zmienił front, dopóki zdawało mu się, że jest sam na sam z panem, z którym chodzi po górach, i że to tylko ich sprawa, był w stosunku do Henia agresywny, ale teraz nagle przystanął i spojrzał na swoich zakopiańskich koleżków.

- A gównu was to syćko obchodzi!

Nie był to dobry początek rozmowy.

- Eee, Jędrus jak nie umiesz, to ci pomożemy!

- No Józus, cobym ja casem twojej babie nie pomógł - odpyskował Jędrus. - Jak jej pomogę, to będzie wiedziała, jak to z chłopem jest.

- Uśmiechnął się szeroko. - Bo zaś tera to ma ino barana w domu.

Józek ruszył w kierunku Jędrusia, ale kolega go zatrzymał.

- Daj pokój, on niegramotny, co by poządnie pana w kufę dzielić. Ja pokaże, jak to się robi. - I ruszył w kierunku Heńka.

- Jontek, on z ciebie wiatraka robi - ucieszył się Jędrus.

I zrobił. Heniek, ku zaskoczeniu Jantka, ruszył do przodu, zamarkował uderzenie, po czym wykonał zwód i dał mu ostrzegawczego plaskacza. Góral już wiedział, że Heniek jest za szybki i za sprytny, by dać się trafić, ale tym jednym leciutkim strzałem warszawski cwaniak kazał Jantkowi o tym zapomnieć. Góral już nie był ostrożny, złość wzięła górę nad taktyką i rozsądkiem. Ruszył na Henia, który zszedł z linii ciosu i trafił go w szczękę. Wtedy uderzył na niego także Józek, ale Jędrus szybko zastąpił mu drogę i się zaczęła klasyczna wsiowa bójka.

Nie wiadomo, jaki byłby finał walki, bo nagle się rozległ gwizdek. To przodownik Król z posterunkowym Babiarem zrobili sobie nocny patrol.

- Chcecie spać na komisariacie? A może od razu do aresztu w Nowym Targu, miejsce po Leninie jeszcze ciepłe.

- Panie władzo, a od kiedy to boks i sport są nielegalne? - z głupia frant zapytał Heniek.

Widząc zdziwienie zakopiańskich stróżów prawa, wyjaśnił:

- Pan Olczański jest przewodnikiem i w dzień prowadzi mnie po górach, a ja w ramach wymiany usług uczę go wieczorami boksu. Tak mu się spodobało, że dziś pan Jędrus przyprowadził kolegów.

Widząc, że turysta jest święcie przekonany o tym, co mówi, i nie zgłasza żadnych pretensji do zaistniałej sytuacji, Król machnął ręką i poszedł z Babiarem sprawdzić, czy na pograniczu Zakopanego i Kościeliska panuje porządek. Górale i Heniek poszli zaś do knajpy, bo chcieli więcej posłuchać o tym całym boksie, a poza tym nieczęsto się zdarza taki pan, który jest równy i jeszcze

chce gorzałkę pić. Heniek stawiał i dobrze się bawił aż do czasu, gdy Jędrus ogłosił:

- Panie Henryku, kończymy! Jutro mamy wycieczkę na Mnicha, a idziemy razem ze śwarym, zagranicznym gościem.

Faktycznie! Heniek przypomniał sobie, że z rana mieli pojechać furką na Łysą Polanę, a stamtąd do Morskiego Oka, a towarzyszyć im miał Yoshiho Murakami, Japończyk, który od pewnego czasu mieszkał w Warszawie i który, jak większość warszawskiej socjety, spędzał wakacje pod Tatrami.

Trochę się skotłowali, więc drogę na Łysą Polanę Heniek i Jędrus przespali. Gdy się obudzili i musieli wsiąść, Heniek przypomniał sobie, że ma szczególnego towarzysza podróży. W Polsce nie było wielu Japończyków, jeszcze chyba mniej niż Murzynów, którzy grali w jazz-bandach i występowali w cyrkach. Heniek patrzył więc uważnie na towarzysza wycieczki, przyglądał się jego śniadożółtawej skórze, krępemu mocnemu ciału i energicznym ruchom. Pan Murakami zastanawiająco dobrze mówił po polsku i, gdy Heniek mu o tym powiedział, skłonił się.

- Dziękuję, Henryk-san!

- Co to znaczy san?

- To znaczy pan, chcę się do pana zwracać stosownie, grzecznie i z uprzejmością - wyjaśnił pan Murakami.

- Proszę mi mówić po prostu Heniu - zaśmiał się Wciślak.

- Oczywiście, Henio-san!

Heniek chciał sprostować, ale zauważył, że Japończyk nie był wcale taki sztywny. Okazał się także niezłym zgrywusem, który

potrafi zrobić coś do śmiechu. Zaśmiali się więc, ale gdy doszli do Wodogrzmotów Mickiewicza, pan Murakami spoważniał. Japończyk się zatrzymał i pełnym skupieniem podziwiał potęgę przyrody. Po minucie albo dwóch przemówił po japońsku.

- Łon zawse tu coś sepce - wyjaśnił Jędrus.

Heniek się zastanawiał, czy towarzysz podróży się modli, ale okazało się, że był to wiersz.

*Rozkołysany*

*opada - kwiat forsycji*

*huk wodospadu<sup>55</sup>*

Pan Murakami przetłumaczył szybko na polski. Ruszyli dalej i po godzinie jedli już kolację w Morskim Oku, potem położyli się wcześniej spać, bo czekała ich długa wędrówka.

Z samego rana ruszyli na Mięgusze, gdy już tam dotarli i spojrzeli w kilkusetmetrowe przepaście, Heniek poczuł mocniej niż kiedykolwiek potęgę gór. Mocniej niż na Rysach, grani Giewontu czy czubku Mnicha. Widok zapierał dech w piersiach. Wtedy pan Murakami zaczął grzebać w plecaku i... wyciągnął z niego trąbkę! Japończyk stanął na grani, przyłożył instrument do ust i zagrał. Dźwięk był momentami tęskny i melancholijny, a momentami mocny, patetyczny i przenikliwy, jak sygnał do ataku. Melodia niosła się po górach, odbijając się od szczytów, echo powtarzało frazy, a pan Murakami dogrywał do nich kolejne dźwięki. Zdawało się, że gra kilku muzyków. Mimo tego szczególnego efektu Heniek poznał dźwięk trąbki, skojarzył

melodię i wiedział, że momentami brakowało tu skrzypiec. Gdy pan Murakami skończył swój koncert, Heniek zapytał:

- To pan grywał w parku Ujazdowskim?

Pan Murakami spakował trąbkę, po czym się skłonił i odpowiedział:

- Tak, zdarzało mi się, a skąd pan wie?

- Raz słyszałem jeden pana koncert, w zasadzie panów - poprawił się. - Bo pan dołączył do muzyka grającego na skrzypcach.

- To pan Ryochu Umeda - rozpromienił się pan Murakami. - To on namówił mnie na to nocne muzykowanie. Nie chciałem ich obrazić moim niestosownym wykonaniem, wołałem im się pokłonić z takiego miejsca, by słyszało mnie jak najwięcej szczytów. - Pan Murakami się skłonił, po czym siadł, podkuliwszy pod siebie nogi. Recytował w nabożnym skupieniu, mając pod sobą Morskie Oko, nad które zaczynała nadciągać chmura.

*Cisza głęboka  
na dnie jeziora Biwa  
zwaliste chmury<sup>56</sup>*

- Ale to zaś Morskie Oko - zaproponował Jędrus - nie jakaś Biwa.

- To taki stary japoński wiersz haiku, przypomniał mi się, gdy popatrzyłem na tę mgiełkę, zupełnie jak nad jeziorem Biwa. To piękne, nadzwyczajnie piękne miejsce niedaleko Kioto, powstało więc o nim wiele wierszy i pieśni.

- No może ono piknę, ale nie tak piknę jak nase Morskie Oko - filozoficznie zauważył Jędrus. - A som tam góry. Ni? No to na pewno nase Morskie Oko śwarniejse. A wicie, ze ono jest tak głębokie, ze zmierzyć nie można, ze z morzem na węgierskiej stronie się łoncy, ze skarby wielkie i zbójnickie i z okrętów rozbitych na morzu w niem spocywają? Wicie?

Widząc, że pan Murakami i Heniek dla świętego spokoju kiwają głowami na tak, Jędrus nagle się zaśmiał i krzyknął:

- No chyba nie powicie, ze w bajki wierzycie, co dzieciom powiadaj o, przeca wy chopy dorosłe, co gorzałkę pij o, hej!

Pośmiali się i ruszyli z powrotem. Jędrus zawsze powtarzał, że najwięcej wypadków jest w górach podczas schodzenia, kiedy człowiek jest już zmęczony i się śpieszy.

## XIX

### ZAKOPIAŃSKIE DRAKI

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Zakopane, 16 sierpnia roku 1926*

*To już nasze ostatnie dni w Zakopanem, ale musimy wracać, bo w niedzielę 21 sierpnia, jest rocznica śmierci naszej Mamusi. Gdyby nie to, siedzielibyśmy tu jeszcze długo, bo my z babcią bardzo polubiłyśmy góry, a Henio to nawet został taternikiem. Ma buty, strój, plecak, czekan i liny. Ja też kiedyś tego spróbuję! Bardzo polubiłam nowego znajomego mojego braciszka, pana Murakami. Pan Murakami jest Japończykiem, to bardzo miły człowiek, babcia mówi, że przy nim nasz Henio się ustatkował.*

Wszystko szło wesołym rytmem, zakopiańską rutyną, która nie nudziła, tylko kazała z radością czekać na kolejny dzień. Oczywiście żaden świt nie był podobny do innych, bo tatrzańska pogoda bywa nieobliczalna, ale po każdym zachodzie słońca można się było cieszyć czymś nowym. Żaden dzień, choć z założenia wypełniony podobnym do pozostałych dni programem, nie był identyczny z pozostałymi, bo wybierali coraz trudniejsze

trasy, a Heniek w górach, w schroniskach czy też na wieczornych biesiadach wciąż poznawał nowych ludzi.

Z panem Murakamim było wesoło, bo to taka trochę cicha woda, myślał Henio o nowym znajomym. Japończyk był znakomitym kompanem, z którym lubił się wspinać, do tego można było z nim wypić. Było wesoło, ale Murakami unikał drak i potrafił być zawsze bardzo grzeczny i spokojny. Na parę dni przed wyjazdem poszli sobie do Wnuka. Było oczywiście pysznie i skoro ustalili, że jutro nie idą w góry, bo pogoda ma być wredna, to ruszyli na dalszą zabawę.

Wybór był prosty. Przy Krupówkach zawsze coś się działo, a nawet jeśli nie, to i tak było ciekawie. Tam najnudniejsza z pozoru sprawa przekształcała się we wspaniały spektakl, a dyskusja o sztuce zamieniała w walkę na pięści i laski. Mogli pojechać bryczką, ale postanowili pójść pieszo, trzeba było ułożyć sobie jadło w żołądkach, zgubić nieco alkoholowej mgły oraz dać ostremu, nocnemu powietrzu przewietrzyć organizm. Gdy skręcali w kierunku willi Atmy, spotkali idącą z przeciwka grupkę góralskiej młodzieży. Też byli podchmieleni, ale wcale nie na wesoło. Prym wiódł potężny chłop, który rozebrany do koszuli ciągnął za sobą po ziemi cuche<sup>57</sup>. Gdy się mijali, uwagę olbrzyma zwrócił pan Murakami.

- Łooooo, a coś ty za cudak?

- Stasek, Stasek to Mongoł! To zaś musi być Mongoł! - zakrzyknął jeden z jego kompanów, zadowolony, jakby dokonał odkrycia naukowego.

- A zaś skond wies, ze to Mongoł? E? A co ty Waluś ucony, cy jak? - odparował potężny Staszek.



- No ba, a jak ni Mongoł, to kto? Zaś go sobie obejzmy z bliska, ni?

Ruszyli i stanęli z metr przed Japończykiem.

- A może Kitajec?

- No hej! Łobacymy.

Dwaj pozostali też wyglądali na zainteresowanych terenowymi badaniami z zakresu etnografii.

- Obacmy, jak tańcuje! - włączył się trzeci z młodych górali, który do tej pory łapał równowagę oparty na potężnym kijku. - Taki mały to go może wyzwirtamy jak babę!

- A skond ty wies, Wojtuś, jak tańczą Mongoły? - zapytał Staszek.

- A może one nie tańcą, a jak tańcą to nie zwyrtają?

Wojtuś nie wyglądał na przekonanego i szybko się zdeklarował jako zwolennik badań empirycznych.

- No nie wim, ale obace! - odparł gniewnie. - Jak nie umie zwyrtać, to go raz-dwa naucymy!

- No i ja bym pospozirał! - odezwał się w końcu czwarty z górali.

- Sebuś ma rację - ożywił się Waluś.

Wtedy na czoło wyszedł Jędrus Olczański i próbował góralską gwarą uspokoić czwórkę podpitych juhasów.

- E, chopy, dajcie pokój, to Japończyk!

Dla nocnych przechodniów nie był to jednak żaden argument.

Słowo „Japończyk” było im obce i zaburzało scenariusz, który się rodził w ich głowach.

- Łe? - skrzywił się Staszek. - Pirse słyse!

- Jo tyz zem nie slysoł o żadnym takim tam pońcyku - dodał Wojtuś.

- No jaki to pońcyk, Mongoł cy Kitajec? - dociekał Waluś.

Dyskusja z młodymi góralami płynącymi na fali alkoholu, niewiedzy i ciekawości nie była możliwa. Heniek spojrział na Olczańskiego i pana Murakamiego. Trzeba było się szykować na najgorsze. Przeciwnicy byli pijani, ale tylko nieco bardziej niż oni sami. Wtedy Japończyk się uklonił i przemówił:

- Nazywam się Yoshiho Murakamiego i faktycznie jestem Japończykiem, miło mi panów poznać.

Przemowa pana Murakamiego nie spotkała się z żadną reakcją, żółty człowiek mówiący po polsku to dla góralskiej młodzieży było stanowczo za wiele.

- Czym mogę panom służyć? - Pan Murakami skłonił się ponownie.

- No nicym - rzekł Staszek i jego kompania wybuchnęła śmiechem.

- No może tym, że wam damy w kufę! - szczerze wyjaśnił cel rozmowy Waluś.

- No hej! - zakrzyknęli wesoło.

Wiać czy się bić? Heniek i Jędrusł myśleli dokładnie to samo i żalowali, że nie mogą ustalić wspólnej strategii. Gdy przestępowali z nogi na nogę, pan Murakami przemówił po raz kolejny.

- Sądzę, że panowie chcą poznać legendarną siłę karate! - powiedział.

- Co wy tam pierdolicie? Kara, co? - zapytał Staszek, krzywiąc się okrutnie, jakby nowe słowo działało na niego jak dźwięk kredy

piszczącej na szkolnej tablicy.

Nie tylko młodzi górale, ale także Heniek i Jędrus, analizowali nową dla siebie pozycję w słowniku. Tymczasem pan Murakami uklonił się głęboko, po czym zrzucił sweter oraz wiatrówkę i stanął w pozycji nieco przypominającej szermierczą. Schodząc na nogach nisko w dół, stał się jeszcze mniejszy i tym samym zabawniejszy w oczach czwórki górali.

- No tera nie wim, cy go maznać ręką, cy może kopnąć go w kufę - warknął Staszek, po czym ruszył na Japończyka.

Potężny cios zadany tak, jakby góral chciał wbić przeciwnika w ziemię, minął głowę Japończyka, który lekko bujnął korpusem. Staszek zaklął i rzucił się do przodu, próbując trafić w głowę przeciwnika lewym sierpowym. Pan Murakami znów się gibnął jakby od niechcienia, po czym, jak na sprężynie, obrócił się, wyprostował i kopnął Staszka piętą prosto w nos. Olbrzymi góral padł na ziemię, a pan Murakami wykonał nogami ni to krakowiaka, ni to młynka, a za chwilę był jak cyrkiel, którego używają geometrzy, i po dwóch szybkich obrotach kopnął drugiego z górali tuż za ucho. Waluś zwałił się na plecy, a wtedy ten, który się podpierał kosturem, wziął zamach i machnął jak cepem.

Pudło! Pan Murakami wykonał bowiem odskok w bok. Dwaj trafieni zbierali się z ziemi, a dwaj pozostali, nie czekając na nich, ruszyli na pana Murakamiego. Ten zaczął uciekać i gdy dobiegł do potężnego jesionu wspiął się na niego niczym wiewiórka. Po dwóch krokach się odbił, zrobił salto i wylądował za plecami swoich prześladowców. Ci się odwrócili, nie wierząc w to, co się stało przed chwilą. Heniek też się złapał na tym, że zamiast

pomóc panu Murakamiemu stał z otwartą gębą i patrzył na to, czego nie widział nawet w cyrku.

Japończyk podskoczył wysoko do góry i zamachał nogami jak Kozak w tańcu. Kopniak lewą stopą trafił w czubek brody Wojtusia, a drugi, prawą nogą, dokładnie w to samo miejsce Sebka. Obaj padli jak ścięci. Ci, którzy się podnosili z ziemi, błyskawicznie zmienili swe plany. Mieli ruszyć na małego, żółtego człowieka, ale zamiast tego poczęli się wycofywać w panice. Biegli jak opętani, drąc się przy tym tak, że było ich chyba słychać i w Atmie, i U Wnuka.

- Diabeł, diabeł! - wołał Staszek, zegnając się w biegu.

- Panowie zaczekają, trzeba pomóc kolegom, którzy z mojej winy zaniemogli, panowie nie uciekają! - krzyczał pan Murakami, ale nic z tego. Niedawni napastnicy wiali, aż się kurzyło.

- Co z nimi zrobimy? Do Krupówek za daleko, bierzmy ich do Wnuka, tam dojdą do siebie - powiedział spokojnym głosem pan Murakami. - Zaczyna padać, szkoda ich, bo przecież noc ma być bardzo chłodna.

- Co to było? - spytał Jędrus Olczański.

- Karate, to nasza japońska sztuka walki. Głównie karate, bo swą edukację uzupełniłem także o elementy chińskiego kung-fu, naszego judo, no i waszego europejskiego boksu. Chętnie bym dołożył sumo, ale... sami panowie widzą, nie mam na to warunków.

- Sumo? - zdziwił się Heniek. - A co to?

- To nasz narodowy sport, to zapasy dla naprawdę wielkich ludzi.

- Dla jak wielkich? - zapytał Jędrus.

- Gdybym ważył sto czterdzieści - sto pięćdziesiąt kilo, to może miałbym jakieś szanse.

- No co pan opowiada? - Heniek i Jędrus nie mogli wprost uwierzyć.

Szli do Wnuka, ciągnąc dwóch półprzytomnych górali, którzy jeszcze parę minut temu chcieli ich obić przy skrzyżowaniu Kościeliskiej z Kasprusiami. W kwadrans później pokrzepiali się wraz z nimi gorzałką.

Tuż przed samym wyjazdem z Zakopanego Nowiccy umówili się na seans spirytystyczny, Emilia bardzo się cieszyła na to wyjście, bo ezoteryzm niezmiernie ją pociągał. Podobnie było z Aleksandrem, ale w jego przypadku było to coś więcej. Jej męża pochłaniał kiedyś świat starożytności oraz mitycznych greckich i rzymskich bogów, teraz zaś się interesował historią, polityką i wojskowością starożytnych, a miejsce mitów zajęły Kościół liberalno-katolicki oraz prometeizm i masoneria. Ona sama także była tym zainteresowana, ale wyczuwała, że pozycja kobiet w tych tajemniczych kręgach nie jest zbyt silna. Ograniczała się więc do spirytyzmu i gdy się dowiedziała, że w Zakopanem przebywa słynne medium, doktor Szczerski, postanowiła pójść na jego seans.

Nie bardzo wiedziała, czego oczekiwać po takim spotkaniu, poza tajemniczością, atmosferą sprzysiężenia oraz tym, co nieznanne. Wiedziała za to, co pociągało Aleksandra, on pragnął spotkać swojego dziadka, którego losy były mu słabo znane. Dzieje rodziny Nowickich tonęły w mrokach zbrodni, jaką carat popełnił

na polskich dzieciach. Zaraz po upadku powstania listopadowego Rosjanie podstępem i siłą uprowadzili kilka tysięcy chłopców. Najmłodsi mieli po siedem, a najstarsi po szesnaście lat. Specjalny ukaz, najpierw cara, a później rządu, nakazywał stworzyć bataliony dziecięce dla dzieci emigrantów oraz dla sierot, biedaków i uliczników.

Polskie dzieci car i jego urzędnicy potraktowali jak swoich Żydów, z których tysiące powoływali za młodu do specjalnych szkół i z całej siły starali się rusyfikować. Z małych starozakonnych formowano szkolne oddziały kantonistów, janczarów cara, Żydów wiernych i sprawdzonych, którzy - jeśli przeżyli - mieli przywilej osiedlania się tam, gdzie ich bracia mieli zakaz. W Polsce użyto podstępu; policja i urzędnicy upraszali o zgłaszanie nazwisk potrzebujących, a ludzie podawali je, nie wiedząc, że wydają w ten sposób tysiące młodych istnień na śmierć lub, w najlepszym razie, na poniewierkę.

Dziadek Aleksandra Nowickiego był sierotą, bo ojciec poległ już na początku powstania, a matka zmarła tuż po jego zakończeniu. Jak to się stało, że Józef Nowicki podzielił wraz z innymi młodymi Polakami ich los, jak przeżył morderczy marsz z Polski przez Mińsk i Bobrujsk aż na Syberię, podczas którego zmarło dwie trzecie pędzonych? Jak wyglądały jego późniejsze losy, czemu nie pozostawił po sobie żadnego przesłania? Być może uda się sprowadzić Nowickiego i zadać mu choć jedno pytanie.

Jako że seans zaczynał się późno, w stosownej dla tego rodzaju spotkań porze, postanowili spędzić czas w Morskim Oku. Tak jak większości obecnych, także ich uwaga skupiła się na panu Murakamim. Znali go, jak niemal wszyscy, ze słyszenia jeszcze z

Warszawy oraz z kilku przelotnych spotkań na paru zakopiańskich wieczorkach. Japończyk się im ukłonił, a oni jemu, grzeczności wymienili także z towarzyszącymi mu ludźmi, przewodnikiem oraz młodym mężczyzną. Emilia zauważyła, że jej mąż i ten dwudziestoparoletni turysta musieli się znać. Świadczyły o tym ich spojrzenia, sprawiające wrażenie, że już się kiedyś spotkali i mieli ze sobą do czynienia. Co to mogło być, czemu potem uścisnęli sobie przy barze ręce i stuknęli się kieliszkami, a potem bez słów wrócili do swoich znajomych? Zapytała Aleksandra, kim był ten młody człowiek, a ten odpowiedział krótko:

- Służył pode mną, bardzo zdolny i dzielny żołnierz.

- Może chcesz z nim porozmawiać?

- Już wszystko sobie powiedzieliśmy.

- Tak bez słów?

- Wojsko i męska przyjaźń nie wymagają gadulstwa, łączą nas rzeczy dramatyczne, o których w tak piękny wieczór nie chcę wspominać.

- Opowiesz mi kiedyś o tym? - Emilię bardzo zainteresował ten młody mężczyzna, było w nim coś, co przykuwało jej uwagę.

- Opowiem, moja kochana, opowiem...

Nie zdążyła zadać kolejnego pytania, bo w okolicach stolika, przy którym siedzieli były żołnierz jej męża oraz pan Murakami, zrobiło się małe zamieszanie. To nielubiani przez większość towarzystwa bracia Izdebscy chcieli czegoś od Japończyka

Od draki na Kościeliskiej Heniek wraz z panem Murakamim i Jędrusiem Olczańskim dalej chodzili w góry i bawili się wspólnie, więc czas mijał szybko. Pan Murakami był w warszawskiej socjocie postacią niezwykle popularną, zatem każde pojawienie się trójki taterników w którymś z lokali od razu było towarzyską sensacją. Zawsze w sali był ktoś, kto dopiero co przybył pod Tatry, ktoś, kto oczywiście znał pana Murakamiego. Popularność ma jednak swoje dobre i złe strony. Nie każdy jest klawy i nie każdego chce się spotkać i poznać, a do tego po górskim kurorcie powoli rozchodziła się fama o nadzwyczajnych umiejętnościach Japończyka. Wieść o jego potyczce z góralską młodzieżą ciurkała na początku kropelka po kropelce, by w końcu wpaść na zakopiańskie salony jak fala tsunami.

Tak jak kij ma dwa końce, tak taka sława ma również dwa skrajne oblicza. Pan Murakami zbywał swoich rozmówców w grzeczny sposób, mówiąc o przesadzonych wieściach, niewinnym pokazie gimnastycznym, oraz podkreślał, że najbardziej to lubi chodzić po górach, biegać oraz grać na trąbce, słuchać Chopina i czytać. Czasem zdarzali się upierdliwcy, od których nie mógł się uwolnić, ale były to sporadyczne wypadki, nie częstsze niż ataki ze strony podpitych bankietowiczów, którzy koniecznie chcieli się napić z rezydującym pod Tatrami Japończykiem.

Tak było do czasu, gdy w Morskim Oku spotkali się z braćmi Izdebskimi. Zanim trafili na tych trzech durni, przywitali się z Nowickimi. Heniek nigdy nie widział żony pułkownika i niedoszłej kochanki kapitana Beniowskiego, faktycznie była to piękna kobieta! Sam Nowicki, chyba podobnie jak on, szybko przeszedł nad ich spotkaniem do porządku dziennego. Było - minęło, różne



rzeczy się działy w jego życiu, a zapewne jeszcze więcej w życiu wysokiego rangą oficera kawalerii. Znaleźli się później przy barze i strzelili po jednym oraz uścisnęli sobie dłonie.

Niczego nie trzeba było tłumaczyć. Nie czuli do siebie urazy, ale przyjaciółmi też nie byli, po wypitej kolejce każdy wrócił do swoich. Heniek zrobił to w samą porę, bo bracia Izdebscy stawali się wobec pana Murakamiego coraz bardziej natarczywi. Było to trzech mocnych w gębie, dość ordynarnych, ale i przy okazji zasobnych w pieniądze turystów, którzy przyjechali tu ze wschodu robić towarzyską karierę. Najstarszy z nich, wraz z ojcem, był zarządcą w jakimś poważnym majątku, młodszy pomagali, zajmując się tartakiem i ubojnią. Cała trójka miała o sobie wysokie mniemanie, spoufalając się ze wszystkimi, źle traktując personel i lustrując damskie towarzystwo w poszukiwaniu przyszłych żon. Do tej pory szczęśliwie się z nimi mijali, ale w końcu trafili na siebie. Zakopane to nie Sankt Moritz ani nawet nie Zoppot, więc w końcu ich szlaki się skrzyżowały w Morskim Oku.

Bracia na widok pana Murakamiego przyssali się do niego jak pijawki i z każdym wypitym kieliszkiem alkoholu byli coraz mniej przyjemni. Heniek usłyszał, jak jeden drugiemu mówi szeptem:

- Ciekaw jestem, czy ta żółta małpa jest faktycznie taka mocna.

- Eee - odpowiedział drugi. - To konus, więc obję go jak fornala.

Wciślak zrozumiał, że wieczór może mieć trudne zakończenie. Przestał więc pić i dał znak panu Murakamiemu i Jędrusiowi do odwrotu, zresztą to już był ich czas, jutro mieli iść w góry, więc

trzeba się było zbierać. Wtedy jednak najstarszy z braci, Bogdan, bez ceregieli zastąpił im drogę i z całą bezczelnością zapytał, a w zasadzie rozkazał:

- Panie Murakami, niech no pan łaskawie pokaże którąś z tych swoich słynnych sztuczek.

Pan Murakami się uśmiechnął i ukłonił grzecznie, mówiąc:

- Ja nie pokazuję sztuczek, chyba szanowny pan mnie z kimś myli. Spotkajmy się jutro na szlaku, bo tu prawdziwą sztuką jest zdobywanie gór.

- Hola, hola, nie bądź pan taki mikado<sup>58</sup> - burknął Bogdan Izdebski. - Jesteś pan w Polsce w gościach, a my jesteśmy gościnni, więc się odwzajemnij pan czymś miłym! - Zdecydowanie nie była to grzeczna prośba.

- Jakby co, to ja mogę panu pokazać sztuczkę - wtrącił się Heniek.

- Pan mnie nie obchodzisz - Izdebski powiedział to takim głosem, że Heńkowi żal się zrobiło wszystkich fernali i pracowników majątku, którzy musieli na co dzień znosić obecność tego typu.

- Troszkę uprzejmiej - odpowiedział najelegantszym tonem, na jaki mógł się zdobyć. - Bo tę sztuczkę, co dla pana szykuję, zamienię na mniej grzeczną.

- A co takiego możesz nam pan pokazać? - zaciekawiał się młodszy brat Bogdana Florian. - Zrób pan tę sztuczkę, tylko szybko, a dostaniesz pan dwa złote i pójdziesz z panem góralem do baru, żebyście nam nie przeszkadzali w rozmowie z panem Japończykiem.

- Dobra - powiedział Heniek - ale to pokażę na zewnątrz, a jak mi się nie uda, to ja jestem panom winny pięć złotych.

Izdebscy spojrzeli po sobie i rażno ruszyli do drzwi.

- Czy pan wie, co pan robi, panie Henryku? - zapytał z troską pan Murakami.

- Ależ oczywiście - uśmiechnął się Heniek.

Starał się być pewny siebie, bo tę „sztuczkę” znał tylko z widzenia i to z jednego jedyne go pokazu.

Wyszli na Krupówki i stanęli na środku ulicy. Za nimi się ustawiło trochę zaciekawionego towarzystwa, bo hałaśliwe zachowanie Izdebskich i kozacka pewność siebie chłopaka z Warszawy kazały się spodziewać niezwykłego zakończenia. Heniek zgromadził wszystkich wokół siebie i powiedział, jak artysta zapowiadający numer na estradzie:

- Panie Izdebski, pokażę panu i braciom pewną sztuczkę i jeszcze postawię po kielichu, ale dacie spokój naszemu gościowi. Ja wiem, o co wam chodzi, panowie, wszyscy wiedzą. - To mówiąc, przeciągnął wymownym wzrokiem po zabranych. - Ale pan Murakami nie przyjechał tu szparować<sup>59</sup>, tylko chodzić po górach, a przynajmniej w moich stronach, jak kto nie ma na to ochoty, to się go zostawia w spokoju. Rozumiemy się?

Izdebscy nerwowo poruszyli się i otoczyli Heńka.

- Panie, nie zawracaj pan nam głowy, bo pożałujesz - syknął najstarszy z Izdebskich.

- No już, idź, chłystku, do środka, bo cię pogonię jak fornala

- wtórował mu Florian.

- A pan też chce koniecznie pokazu pana Murakamiemu? - Heniek zwrócił się do trzeciego z braci.

- Nie pieprz głupot, tylko zejdz nam z drogi - odparł zapytany, który do tej pory milczał i dawał nadzieję na to, że jest ździebko normalniejszy od pozostałych.

- Za pozwoleniem, a jak się pan nazywa?

- Leszek!

- No dobrze, panie Leszku, przekonał mnie pan - westchnął Heniek.

- Pójdę sobie, ale zanim się udam z panem Jędrusiem Olczańskim do baru, pozwolę sobie zaprezentować swoją sztuczkę, bo do tego się zobowiązałem. Po niej pan Murakami będzie do panów dyspozycji, chyba że... - zawiesił głos - panowie nie będą już mieli na to ochoty.

- Przestań chrzanić, szkoda naszego czasu - warknął Leszek Izdebski, który wcale a wcale nie był lepszy od swoich braci.

Na te słowa Heniek uklonił się głęboko, jak czynili to magicy przed występem na scenie, po czym zdjął marynarkę i podał ją facetowi, który wyglądał mu na oficera po cywilu.

- Pan pozwoli, że uczynię pana moim asystentem - powiedział i znów się pięknie uklonił.

Zaskoczony mężczyzna wziął jego górne okrycie i strzelił obcasami, potwierdzając przypuszczenia o swoim wojskowym fachu. Zarówno Izdebscy, jak i Murakami oraz Jędrus patrzyli na Heńka zdziwieni. On odwzajemnił się spojrzeniem magika stojącego na estradzie i wyciągnął z kieszeni monetę.

- Voilà! - wykrzyknął jak iluzjonista i podniósł w górę rękę z monetą. - Oto żniwiareczka, jeden złoty polski, panowie się przyjrzą!

Izdebscy zaciekawili się pokazem i na moment zapomnieli o panu Murakamim. Heniek podstawił im pod nos monetę i przekręcił ją kilka razy w palcach.

- Uwaga, za chwilę polska złotówka nabierze magicznej siły, zostanie najmocniejszą walutą świata, voilà!

Nagle Wciślak wyrzucił monetę wysoko w górę. Złotówka pomknęła w kierunku rozgwieżdżonego nieba. Gdy magik robił podobny numer, to przedmiot stawał się piłeczką, czasem złotą pięciorublówką lub nawet gołębiem... Złotówka osiągnęła swój najwyższy pułap i powoli się okręciła wokół siebie. To zwykle był moment, w którym rewolwerowcy zaczęli strzelać do srebrnego dolara, ale tym razem publiczność zobaczyła coś nowego. Bogdan Izdebski poczuł tępy ból w dołku i moneta zniknęła mu w mroku. Za chwilę mrok ogarnął także Floriana, a Leszek... Leszek poczuł cios w wielki palec u prawej stopy, zwinął się w cierpieniu i podskoczył na lewej nodze. Wtedy Heniek, który dał mu obcasem po czubku buta, poprawił rękoma, pchając z całych sił najmłodszego z Izdebskich. Leszek wywracając się, padł na monetę, która zdążyła już opaść na ziemię.

Heniek ocenił sytuację, Bogdan stękając ruszył w jego kierunku, nie był specjalnie groźny, bo cios w splot słoneczny wyłączył go na dłużej, więc tylko tak, na wszelki wypadek, kopnął go z boku w łydkę. Grubas opadł na ziemię, wijąc się z bólu. Usłyszał wrzask, to Florian z krwawiącym nosem sunął na niego, wymachując rękoma jak cepami. Lekcje boksu u trenera Izraela Fajna i Adasia Goldfarba nagle się przydały. Unik, sparowanie drugiego ciosu prawą ręką i lewy prosty. Lekki, punktujący wy mach, bo nos przeciwnika i tak już krwawił. Rozległo się

przeraźliwe wycie. Heniek szybko spojrział na walczących, Izdebscy byli słabsi, niż przypuszczał, to typy przyzwyczajone do bicia, ale nie do walki. Znał takich gnojków, którzy wykorzystywali swą pozycję i bezkarnie bili innych, nie potrafiąc zmierzyć się w uczciwej wymianie ciosów.

- A teraz pan, panie Leszku, pozbiera braci i zabierze ich na kwaterę albo do hotelu. Idźcie tam, gdzie mieszkacie, i żeby mi to było ostatni raz! - zaordynował, stojąc nad nimi jak wódz nad pobitym wojskiem przeciwnika.

Heniek podniósł z ziemi złotówkę, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął z niej jeszcze cztery „zniwiarki”.

- Gapa ze mnie, sztuczka nie wyszła, więc przegrałem do panów pięć złotych. - Te słowa widownia skwitowała życzliwym śmiechem.

Włożył monety do kieszeni Bogdana Izdebskiego, złapał go za klapy i postawił do pionu, po czym lekko odepchnął pobitego w kierunku dolnych Krupówek.

- Paręnaście metrów dalej czeka fiakier, macie panowie piąta, więc stać was na powrót, a co do rachunku za dzisiejszy wieczór, pozwolę go sobie uregulować. - Ukłonił się i równie grzecznym tonem powiedział na odchodne: - Żegnam. Zważywszy na panów podłą kondycję, zalecam dłuższy odpoczynek.

Odwrócił się do Izdebskich plecami i ruszył w kierunku Morskiego Oka. Po paru chwilach zobaczył błysk w oku Jędrusia. Zanim ten zdążył krzyknąć, wiedział już, o co chodzi. Zrobił odskok w bok, odwrócił się i szybkimi ciosami zwałił Izdebskich, którzy próbowali go zdradziecko zaatakować od tyłu. Teraz tłukł

tak, by wybić im podobne pomysły raz na zawsze, krew popłynęła z nosów, ust i rozciętych łuków brwiowych.

- Ubolewam - powiedział otrzepując dłonie. - Ale panów ojciec zaniedbał edukację pod każdym względem. Nie dość, że jesteście kanalie i chamy, to na dodatek nie potraficie się bić.

Wtedy od strony grupki gapiów, która wyszła z nimi na ulicę, i od drzwi Morskiego Oka, gdzie stał tłumek ciekawskich bywalców, rozległy się oklaski. Jakby na finał wyszedł w jego stronę pan Murakami, który patrząc mu głęboko w oczy, z lekkim uśmiechem wykonał piękny japoński ukłon.

- Panowie - Heniek zwrócił się do pana Murakamiego i Jędrusia.

- Zapraszam na rozchodniaczka!

- Co to było? - zapytał pan Murakami.

- Pokazałem im sztuczkę, która nazywa się: Dać prztyczka w nos.

- Mnie chodzi o styl walki, co to było?

- Tyle czasu mieszkałeś pan w stolicy i nie wiesz pan, że to styl warszawskich ulic?

Roześmiali się i weszli do środka witani przez biesiadników brawami.

- Pięknie pan to zrobiłeś - powiedział do niego mężczyzna, któremu powierzył marynarkę. - To zaszczyt być pana asystentem! Gratuluję odwagi, sprawności i klasy - dokończył swą kwestię i odruchowo zasalutował do kaszkietu. - Kapitan szwoleżerów Ignacy Bieliński, do pana usług!

- Panie kapitanie, to dla mnie, jako kaprała, zaszczyt - zaśmiał się Heniek.

Bieliński zaśmiał się jeszcze głośniej, bo pierwszy raz zdarzyło mu się salutować bez szwoleżerskiego munduru i czapki, do tego kapralowi.

- Ale mam nadzieję, że jest pan kawalerzystą?

- Maszerująca szarżyzna, panie kapitanie, Pierwszy Pułk Piechoty Legionów i grupa Wawelberga - powiedział z dumą. - Kapral Henryk Wcisło melduje się na rozkaz!

- W takim razie, na mój rozkaz do baru marsz - wykrzyknął kapitan. - Panowie, stawiam!

Pijaństwo przeciągnęło się do białego rana, a Heniek zdobył wielu nowych przyjaciół, bo „prztyczek w nos” dany braciom Izdebskim bardzo ucieszył zebrane w Morskim Oku towarzystwo. Izdebscy następnego dnia, chyłkiem i we wstydzie, opuścili Zakopane, co przysporzyło Heńkowi dodatkowej sympatii. Jeszcze tylko dwa dni i Heniek także wyjedzie, czas wracać do Warszawy. Z jednej strony czuł żal, że to już koniec, z drugiej strony będzie co wspominać, bo to było najbardziej udane lato w jego życiu.



## WESTERN NA TEATRALNYM

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 30 sierpnia roku 1926*

*Kresy Wschodnie, Zakopane, zagraniczna podróż z rodzicami. Zdecydowanie najciekawiej było w górach, a to dzięki Heńkowi. Kocham go z całych sił i pragnę go. Ale On wzbudza we mnie tylko namiętność. Nie jest wykształcony, nie należy do warszawskiego towarzystwa, ale to człowiek prawdziwie światowy. W Warszawie zawsze zna kogoś, kto potrafi zdobyć bilet, wie, co się dzieje w polityce, czyta książki, ale w Zakopanem... Tam go znali niemal wszyscy, nawet ten szalony Witkacy. Zakopane to zresztą temat na dłuższe opowiadanie, ten krajobraz, klimat i ludzie. W większości wspaniali, ciekawi, inni niż w Warszawie. Miałam wrażenie, że była tam kumulacja najwartościowszych postaci z naszego miasta, że jestem w świecie lepszym, ciekawszym. Bywalcy i rezydenci Zakopanego uważają, że „kiedyś to było Zakopane..że to obecne zeszło na psy. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie pani Helena Rój-Kozłowska. To wspaniała kobieta, nie jest wykształcona, ale to wielka erudytką i wspaniała artystka.*

*Chciałabym mieć siłę taką jak Ona, a jeszcze bardziej siłę taką, jaką ma Maria Skłodoioiska-Curie. Na dniach poznam ją w Paryżu w Instytucie Radowym.*

Praca w Urzędzie Śledczym miała swoje wady, ale także i zalety. Więcej oczywiście płacono oficerom wojska, którzy mieli też lepsze dodatki za sorty mundurowe oraz większe powodzenie u kobiet. Ich praca była przy tym przyjemniejsza, bo oni tylko szykowali się na wojnę, a śledczy cały czas na niej byli. Walka była prawdziwa, ale prestiż znikomy, może właśnie dlatego tak łatwo było działać reporterom z kronik kryminalnych, którzy wypełniali kolumny pisaniem o ich wyczynach. Jednak nawet najpiękniejsze artykuły, produkowane przez najwybitniejszych fantastów kryminalnego pióra, nie mogły się równać z wojskowymi pensjami i popularnością.

Była jednak rzecz, w której śledczy z Daniłowiczowskiej w niczym nie ustępowali swoim odpowiednikom z armii; lokalizacja ich kwater głównych. Warszawski Urząd Śledczy znajdował się niedaleko Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Wojskowi niedawno się przenieśli do Pałacu Saskiego, a oni od zawsze urzędowali na tyłach ratusza. Co prawda Komenda Główna Policji Państwowej miała siedzibę na Nowym Świecie, a Komenda Stołeczna przy Senatorskiej, to jednak takiego nagromadzenia policyjnych instytucji jak przy Daniłowiczowskiej nie było nigdzie indziej. Tuż obok siebie pod numerami 3 i 7 mieściły się Urząd i Areszt Śledczy, do tego pod dziesiątką, w budynku, który był w przeszłości synagogą, znajdował się XII Komisariat. Policyjną

ulicę dzielił od wojskowego Parnasu tylko plac Teatralny, budynek Opery i Ogród Saski. Nie było już prawie śladu po wielkim soborze, którego nędzne szczątki uprzątano z miejsca mającego się stać centralnym punktem miasta oraz polem wojskowych parad i defilad.

Był za to pomnik księcia Pepi, który trzy lata temu wrócił z ruskiej niewoli w Homlu, gdzie zdołał pałac Paskiewicza. Monument księcia Józefa, siedzącego na koniu niczym kapitolini Murek Aureliusz, ustawiono przed Pałacem Saskim, przez co nieznanemu żołnierzowi w swoim grobie oraz część panów oficerów mogli podziwiać koński ogon oraz to, co się pod nim znajduje. Pomijając wątpliwy widok z niektórych okien Pałacu Saskiego, ci, którzy tu pracowali, nie mogli narzekać. W pobliżu krzyżowały się ważne linie tramwajowe, były knajpy, kina i inne rozrywki ze słynną Oazą na czele. Zdawałoby się, że to jedno z najgłośniejszych, ale zarazem i najspokojniejszych miejsc w Warszawie, bo najlepiej strzeżone i pełne funkcjonariuszy różnych służb.

Niedaleko był przecież Zamek, gdzie rezydował pan prezydent pilnowany nie tylko przez wartę honorową, ale i agentów policyjnej Brygady Ochronnej. W pobliżu był też stołeczny ratusz, a także Komenda Okręgu Policji Państwowej oraz siedziba garnizonu warszawskiego. Umundurowanej policji oraz wojska i tajniaków było tu więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu miasta. Najciemniej jest jednak pod latarnią. Gdy większość kolegów się rozbiegła, by zmarnować czas na przerwę obiadową, Karol Denhel siedział przy swoim biurku i analizował zebrane materiały. Aspirant nabierał przekonania, graniczącego z

pewnością, że Kurnatowski i Bachrach prowadzą lewe interesy. Zestawienie ich majątków i wydatków nijak się miało do siebie.

To oczywiście była tylko połowa sukcesu, ale gdyby miał tylko więcej czasu... Pracowałby nad tym dłużej i pilniej, ale gdy jak zwykle spóźnieni śledczy zaczną powracać z obiadu, on szybko będzie musiał przeskoczyć do spraw bieżących, a więc do dochodzenia w sprawie kolejnego sprucia kasy oraz niekończącej się historii z szalejącym po Warszawie i okolicach bandytą Wiktorem Zielińskim.

Ten dzień przyniósł jednak nową sensację. Gdy aspirant Denhel tworzył na kartce wymyślny schemat zależności towarzyskich i służbowych zastępcy naczelnika Urzędu Śledczego oraz szefa brygady fałszerskiej, przez otwarte okno przedarł się odgłos przypominający wystrzał. Może to gaźnik w jakim starym aucie albo jakiś szczeniak się bawi strzelaniem z korkowca? - pomyślał w pierwszej chwili. Ale przecież gaźniki nie strzelają na zawołanie pif-paf, raz za razem, a odpowiedzią na kanonadę z korkowca nie są policyjne gwizdki.

Przeciągły gwizd wydawany przez „ołówki” posterunkowych dotarł aż na tyły ratusza. Aspirant wrzucił więc swe notatki do szuflady, włożył do kieszeni służbowy rewolwer belgijskiej firmy Nagant, o ironio, taki sam, jakim się posługiwali najpierw rosyjscy oficerowie, a później bolszewiccy komisarze. Biali i czerwoni Rosjanie dokonali słusznego wyboru, siedmiostrzałowy rewolwer był niezawodny i bił celnie, a to było najważniejsze. Biegając po schodach i korytarzach, Denhel nieustannie ocierał się o innych posiadaczy rewolwerów belgijskiej marki. Choć dla wielu wyglądał na mdłego paniczka, to tak naprawdę był silny i

wysportowany. Wygrał więc nieformalny policyjny wyścig i pierwszy dotarł do miejsca, z którego dobiegały odgłosy.

Już na placu Teatralnym usłyszał huk kolejnego wystrzału i zobaczył, jak niemal przy rogu z Daniłowiczowską leży człowiek z wielką dziurą w głowie. Wylewała się z niej galaretowata masa i krew. Widok był straszny, ale ludzie biegnący w tym kierunku wyglądali raczej na zadowolonych. Krzyczeli:

- Dobrze tak, bandycie! Brawo ten pan!

- Jestem z policji - krzyknął aspirant, a w chwilę później dołączyli do niego mundurowi, którzy wbiegli na plac Teatralny.

Wtedy dotarło do Karola, że na przeciwległym rogu, gdzie się krzyżowały Wierzbowa i Senatorska, stoją szczerzone ze sobą tramwaj i taksówka, a nieopodal leży kolejna ofiara. Był to umundurowany policjant. Otaczała go grupka ludzi, w tym chyba także i lekarz. Poważnie wyglądający mężczyzna rozpinął nieszczęśnikowi mundur i jednocześnie wydawał gapiom polecenia.

Denhel ruszył w tamtą stronę, mijając po drodze kolejne ślady bandyckiej działalności. Niemal w drzwiach ratusza spoczywał na trotuarze młody człowiek. Niedaleko leżała kolejna ofiara, był to mężczyzna w średnim wieku, a jakaś spanikowana kobieta darła się wniebogłosy. Aspirant nie wiedział, gdzie ruszyć, kogo ratować, kogo gonić. Przed kompletną utratą głowy ocalił śledczego hałas dochodzący od Wierzbowej.

Na wysokości kina i restauracji Oaza szedł pochód. Otwierało go trzech mężczyzn. Dwóch z nich - w tym jeden w policyjnym mundurze - ciągnęło pod ramiona trzeciego, próbując jednocześnie rozgonić gapiów, którzy się zachowywali coraz agresywniej. Nie

było im łatwo, bo mundurowy prowadził służbowy rower, a cywil niósł wypchaną teczkę. Ramię dźwigające teczkę było dodatkowo obciążone starozakonnym, który przeraźliwie krzyczał:

- To moje pieniądze, oddajcie mi moje pieniądze!

Denhel ruszył biegiem, tak szybko, jak tylko mógł. Gdy był już kilkanaście metrów od celu, usłyszał:

- Panie aspirancie, niech nam pan pomoże! - To krzyczał cywil trzymający wraz z mundurowym rannego bandytę.

Dopiero wtedy poznał, że to policyjny wywiadowca Baran, który z coraz większym trudem dawał sobie radę z wypchaną walizką i starozakonnym, co nie dość, że wisiał mu na rękawie, to na dodatek, od czasu do czasu, próbował się kłaść pod nogi. Denhel dobiegł w samą porę, bo tłum żądał głowy zatrzymanego.

- Zapieprzaj, bandziorko, i przestań się zapierać, bo cię tu zostawimy - wycedził mu do ucha Baran.

Młody człowiek, który z bliska nie wyglądał na bandytę, spojrział z przerażeniem na rosnący tłum i przyśpieszył kroku. Nadbiegli kolejni funkcjonariusze z XII Komisariatu i z Komendy Okręgu przy Senatorskiej. Tłum się rozstał, z wyjątkiem starozakonnego, który powtarzał jak mantrę:

- Panie policjancie, to moje pieniądze, to moje pieniądze.

Niepotrzebna się okazała także wezwana na pomoc policyjna karetka, bo nim zdążyła ruszyć, bandyta był już w Areszcie Śledczym przy Daniłowiczowskiej. Tymczasem pogotowie zbierało z placu rannych i zabitych, a tłum gapiów gęstniał. Niemal tak szybko, jak pogotowie, na miejscu pojawili się reporterzy.

Spotkali się tak jak ponad rok temu u Herszfinkla. Heniek, jak większość tych, co lubili dobrze zjeść i wypić, cenił sobie to miejsce, choć nie podzielał zachwyty nad jednym ze specjałów, który czynił to miejsce sławnym w całej Warszawie. Nie lubił gęsich wątróbek, za które wielu dałoby się posiekać, ale za to zachwalał inne przysmaki, na przykład skwarki z gęsi, pod które znakomicie wchodziła mocna pejsachówka. Nie jedzenie, lecz rozmowa była jednak celem ich wizyty w restauracji z Pasażu Simonsa.

- Jechałem z Woli, więc nie wiem, co się działo przy ratuszu. Szleś z Pałacu Saskiego?

- Tak, szedłem - odpowiedział kapitan, mocno akcentując ostatnie słowo.

- Oj wiem, że szedłeś, a nie szleś, ale jak tak lubię, a nie ma tu Leokadii, więc mogę sobie swobodnie pogadać ludzkim językiem. To nie lekcja w budzie, opowiadaj!

- Jak chcesz ludzkim językiem, to masz - uśmiechnął się Julek.

- Była klawa strzelanina. Ktoś krzyczał, że napadli na kantor przy Niecałej. Uciekali taksówką, ale tramwaj się wpakował w samochód i dalej lecieli pieszo. Pestki latały w powietrzu aż miło, bo bandyci się fest ostrzeliwali. A teraz na poważnie; ciężko ranili trzech ludzi, ale za to jeden z bandytów dostał kulkę w łeb.

- No to nieźle. I co dalej?

- Nie wiem, nie pracuję w policji. Opanowali sytuację, bo wylecieli z Daniłowiczowskiej jak pszczoły z ula. Jutro przeczytamy w gazetach i pewno się dowiemy więcej niż śledczy,

bo reporterzy podmalują jak trzeba. Zdrowie - powiedział Beniowski, unosząc w górę kieliszek z wódką.

Wypili, a kapitan ciągnął dalej.

- A co ze Stefą?

- W porządku, wyjazd w góry jej pomógł, mnie zresztą też.

- Drogo żyjesz...

- Jeśli o czymś myślisz, to skończyłem z tym - zaakcentował mocno. - Mamy ze stryjkiem legalny geszeft i pieniędzy starcza na wszystko. Oczywiście jest trochę oszczędności. - Heniek zrobił znaczącą minę. - Ale tak w ogóle, to muszę, chcę - poprawił się - ustatkować się na dobre.

- Pamiętaj o mojej propozycji, wciąż jest aktualna. - To było jak rytuał, niemal za każdym razem Julek proponował mu wstąpienie do wojska. Mina Heńka mówiła jednak wszystko, co sądził na ten temat. - Trudno, nie będę cię namawiał.

- A może lepiej by było, jakbym wstąpił do policji i został ulubionym wywiadowcą pana naczelnika Edwarda Rostockiego.

Zaśmiali się, bo był to doskonały żart. Ojciec Leokadii został mianowany zastępcą naczelnika w Wydziale Bezpieczeństwa w Komisariacie Rządu Miasta Stołecznego Warszawy. Chwilę potem podszedł kelner, który wniósł wspaniałą pieczoną kaczkę.

- Pyszne jak zwykle - rozsmakował się Heniek.

- Jak zwykle - przytaknął Julek.

- Ostatnio byliśmy tu z Antkiem i tym oficerem. Co u niego, już w Gdańsku?

- Coraz bliżej. - Beniowski uśmiechnął się. - Masz dobrą pamięć. Wiem, na co czekasz, że powiem ci teraz o drugim nieobecny i że przede wszystkim będę miał jakiś trop w sprawie



zabójstwa twojej matki, niestety, przez wakacje nic się nie zmieniło. Gdyby tak było, już byś coś wiedział.

Heniek nie ciągnął tematu, tylko smętnie zerknął na kapitana i chwycił nóżkę kieliszka. Spojrzeli sobie w oczy i wypili.

- A jak tam twoja miłość?

- Nic nowego - powiedział bez przekonania Heniek. - Spędziliśmy trochę czasu w Zakopanem, wiesz, jak zwykle na wariata; ja byłem ze Stefą i babcią, ona z rodzicami. Na szczęście były tam jeszcze dwie koleżanki Łodzi, więc panny organizowały sobie czas, rodzice każdej z nich myśleli, że są razem, a one... no wiesz, jak to jest - zaśmiał się. Nagle jednak spoważniał. - Ale jest chyba trochę inaczej. Leokadia będzie studiowała, chce być panią doktor chemii, a może nawet i profesor jak ta Skłodowska-Curie... Mam konkurencję - uśmiechnął się gorzko. - A wiesz, widziałem tę twoją panią Nowicką.

- Emilię? - ożywił się Julek. - Gdzie?

- W Zakopanem, była tam z mężem - rozbawionym tonem ciągnął Heniek. - Nie rozmawialiśmy, tylko strzeliliśmy bez słów po kielichu. - Uznał, że to dobra okazja, by wychylić po maluchu i gestem wezwał kelnera, by ten napełnił kieliszki. - Strzeliliśmy raz dwa, ale żona musiała coś zwęszyć, bo patrzyła cały czas na mnie i o coś go wypytywała.

- Przystojniaczek z ciebie - zaśmiał się Julek. - Ale to niezły zbieg okoliczności, że wpadliście na siebie!

- Zbieg okoliczności? - zdziwił się Heniek. - Zbieg okoliczności to byłby wtedy, jakbyśmy tam na siebie nie wpadli. W Zakopanem wszyscy się znają, tam nawet poznałem, i to dobrze, Japończyka,

którego widywałem w Warszawie! Świat jest mały, a nasza kochana Warszawka i ten górski grajdołek to już w szczególności!

- I co? - Beniowskiego wyraźnie zainteresowało spotkanie z panem Murakamim. - Równy chłop?

- Inny niż my, ale równiacha! Znasz go?

- Tak, byliśmy na paru wieczorkach w Warszawie - przytaknął Julek. - Ale nie poznałem go bliżej.

- W Zakopanem zostalibyście kumplami. A tak, to tylko on coś wie o tobie, szkoda, może byś ubił z nim jakiś niezły interes. - Heniek spojrzał uważnie na przyjaciela.

- Czyżby? - Beniowski był czujny.

- Działa przecież w handlu międzynarodowym, więc zna twoją firmę, dziwne, że ty nie słyszałeś o jego geszefcie.

- Oczywiście słyszałem, tak. - Beniowski był nieco zmieszany.

- Ale nie prowadzimy razem interesów. - Podniósł do góry kieliszek napełniony przez kelnera. Wyraźnie chciał zmienić temat. - No, to zdrowie. - Lekko chuchnął i zaczął z innej beczki. - To wszystko takie ciekawe, musisz mi jeszcze coś opowiedzieć o tych górach!

- Taka Warszawa w miniaturze, zjeżdżają się ci i owi, siedzą we wsi pod górami i próbują udawać kogoś innego. Czasem to jest komiczne, ale polubiłem to miejsce. Dużo tam różnych wariatów, którzy drą łacha z jaśniepaństwa, no i te góry. Jak ci się robi ciasno, to idziesz ku niebu, wspinasz się, zażywasz wolności i niespotykanej swobody A jak już ci się ta swoboda znudzi, to z górki na pazurki i wieczorem walisz pod jeden z kilku adresów, gdzie spotkasz wszystkich i każdego z osobna! U Wnuka czy

Karpowicza lub Trzaski, w Morskim Oku... - rozmarzył się Heniek.

- Taaa - zamyślił się Julek. - Coś w tym jest, bo w Warszawie ja i towarzystwo kursujemy jak tramwaj linii okólnej. Pałac Saski, parę knajp, tenis na Legii, futbolowe mecze, no i przede wszystkim Pole Mokotowskie. A wiesz? - przeskoczył nagle na inny temat. - Przestałem chodzić na elegancką trybunę, zaglądam tam tylko wtedy, jak mam coś do załatwienia. Teraz powoli dochodzi do mnie, że się trochę wkopałem, wstępując do spółdzielni oficerskiej. Za jakieś półtora roku będę mieszkać na Sadybie w oficerskiej kamienicy, będzie tam zupełnie jak w sztabie lub garnizonie, a do tego... Udaję, że nie jestem wojskowym, lecz cywilem, który prowadzi handlowy biznes. Będę chyba musiał odsprzedać swoje udziały.

- Ta jest - ożywił się Heniek. - Opędzłuj tę chawirę jakiemuś majorowi i za tę kaskę zbuduj dom, wtedy będę do ciebie przyjeżdżał na letniaki.

- W Warszawie nie mam jeszcze swojego lokum, nie byłem nigdy w Zakopanem, a ty już mi tam stawiasz dom. Cieszę się, że mimo tych wszystkich kłopotów humor ci dopisuje, chciałbym tak umieć. No, to strzemiennego. - Przechylił kieliszek i zakończył ich spotkanie propozycją: - Niedługo Wielka Warszawska, proponuję panu, panie Henryku, wspólną wyprawę na Pole Mokotowskie, emocje i grę o wielkie pieniądze.

Heniek się uśmiechnął aprobująco.

- Ale jeśli by się co wydarzyło, to dzwoń. Dzwoń koniecznie!

Tymczasem kilkaset metrów dalej skończył się chaos wywołany bandyckim napadem i policyjną akcją, a zaczęło się dochodzenie. W podnieceniu, jakie zapanowało w Urzędzie Śledczym, funkcjonariusze spontanicznie rzucili się do pracy. Karol Denhel też był w swoim żywiole, gdy tylko odprowadzono pojmanego do aresztu, aspirant pobiegł na miejsce zbrodni. Rannych zabrano już do szpitali, ale na trotuarze wciąż leżało ciało bandyty. Zwłoki przykryte jakąś płachtą czekały na transport i stanowiły nie tyle jaką atrakcję dla rosnącego tłumu gapiów. Ludzie rozprawiali o tym, co się stało, a ci, którzy byli naocznymi świadkami wydarzenia, mieli swoje pięć minut popularności.

Gdy łobuz, któremu zapewne ziemia lekką nie będzie, ranił trzy osoby i się szykował do kolejnych strzałów, jakiś mężczyzna zaszedł go od tyłu i jak gdyby nigdy nic wyciągnął pistolet i wypalił mu w głowę.

- Mówił jak aktor ze sceny - perorował starszy dżentelmen, jeden ze świadków wydarzenia.

Wtedy dotarło do Denhela, że wbiegając na plac Teatralny, musiał się otrzeć o człowieka, który tego dokonał. To o nim przechodnie krzyczeli: „Brawo ten pan!”. Denhel zaczął natychmiast przesłuchiwać świadków i szybko wyłonił mu się obraz około trzydziestoletniego mężczyzny, „nie za wysokiego i nie za niskiego, takiego w sam raz”, jak określiła go jedna z pań, „przystojnego raczej”, jak dodała druga.

- Noooo! Jesteś pan - usłyszał. - Stary się wścieka, potrzebuje wszystkich ludzi - darł mu się do ucha Strasburger.

- Jestem zajęty! - odwarknął Denhel. - To raczej pan powinien tu zostać i mi pomóc!

- Cooo? - zdziwił się Strasburger. - To nadkomisarz decyduje, czy ktoś jest zajęty, czy nie. To może przejąć jakiś mundurowy, wal pan na Daniłowiczowską, w te pędy!

- Mogę walić albo i nie, tu jest trup, tu popełniono zbrodnię! Stanowczo odmawiam pójścia z panem, co więcej, żądam, by pan mi pomógł!

Strasburger popatrzył na Karola Denhela ni to politowaniem, ni to z pogardą.

- Nie pieprz pan, to nie było zabójstwo, tylko wyrwanie chwasta, sprzątnięcie rejonu, wywóz gówna!!! Całą parę ładujesz pan w gwizdek, a nie w koła.

- Ale zabójstwo to zabójstwo, może ten ktoś...

- Co ten ktoś, do kurwy nędzy?!!!

- Może miał nielegalną broń?

- Mam gdzieś, czy miał broń legalną, czy nielegalną. Mógłby go nawet zabić wystrzałem z dupy, a ja i tak bym mu pogratulował...

- Ależ zabójstwo, nawet w słusznej sprawie, trzeba wyjaśnić, od tego jest policja!

- Nie idziesz pan?

- Nie idę.

- Mam ochotę dać panu, panie kolego, w ucho. - Strasburger wyglądał na wkurzonego.

- Żebym ja panu nie dał - z drwiącym uśmiechem wycedził Denhel. - Bo nie mogę się z panem strzelać! Kodeks Boziewicza<sup>60</sup> takich jak pan nie ujmuje, nie masz pan zdolności honorowej!

Strasburger wyglądał jakby walnął w niego piorun. Widać było, że kotłowało się w nim, ale poniechał awantury.

- Nawarzyłeś sobie piwa, durniu, i wypijesz je sam! - powiedział, po czym się okręcił na pięcie i odszedł.

Karol Denhel także był wzburzony, ale po chwili się uspokoił. A więc zerwał stosunki z tym bęcwałem. Trudno, da sobie radę i bez poparcia tego błazna. Najgorsze, że przez tę awanturę umknęło mu paru świadków, szybko jednak nadrobił stracony czas. Po kwadransie miał już zapełniony notesik, więc mógł spokojnie ruszyć na Daniłowiczowską. A wtedy ktoś go zaczepił. Usłyszał nieprzyjemny syk:

- Proszę bardzo, trzeba aż zastępcy naczelnika Urzędu Śledczego, by znaleźć pana hrabiego!

Denhel zastygł. Za jego plecami stał nadkomisarz Ludwik Kurnatowski.

- Przyszedłem zobaczyć miejsce zbrodni i kogo widzę? Pana aspiranta Denhela, który wraz z zakończeniem strzelaniny wyparował jak kamfora. Co pan robi, panie kolego?

- Przesłuchuję.

- To widzę, ale w jakiej sprawie?

- No, dzisiejszego napadu na kantor Targownika i strzelaniny, która potem nastąpiła.

- Nie jestem idiotą, domyślam się, ale o co pan konkretnie pytasz?

- Spisuję zeznania tych, którzy widzieli moment zastrzelenia Stanisława Jarosińskiego. - Zamyślił się i spojrzał do notatnika. - Nie, Jareckiego, Stanisława Jareckiego. Można będzie za chwilę sporządzić rysopis zabójcy - powiedział z dumą.

- W dupie mam rysopis! - Wściekła reakcja Kurnatowskiego zaskoczyła Denhela. - Z kim żeś się pan na głowy zamienił? Szukaj pan tego, co uciekł, tego, który był trzeci, w policyjnym mundurze!

- W policyjnym mundurze?

- Tak, w policyjnym mundurze! Zabrałeś się pan do sprawy od dupy strony, tak to sobie możesz pan żonę obracać, jeśli jakaś się w końcu panu trafi.

- Ale nikt nie zajmował się sprawcą tego zabójstwa...

- Ja jestem policją, a pan jesteś dopiero materiałem na policję. Jestem starszy stopniem i mówię wyraźnie: odpieprz się pan od tych pierdoł i pomóż pan w szukaniu tego typa.

- A ta sprawa?

- To sprawa na medal, a nie do szukania zabójcy - zaśmiał się Kurnatowski. - Ktoś kropnął bandytę, ale nie miał czasu na odbieranie gratulacji! - Zastępca naczelnika Urzędu Śledczego wyciągnął Karolowi raport z rąk. - Oto co ja sędzę o pańskim pomysle - powiedział, rwąc kartki. - A teraz słuchaj pan, bo nie będę dwa razy powtarzać, tylko pogonię pana w kibinimetry. Ostrzegalem wyraźnie po tym niepotrzebnym zamieszaniu, które zrobiłeś pan na Woli, tak czy nie? Milczysz pan, to ja panu powiem: tak! Narobiłeś pan wtedy bajzlu, bo byłeś mądrała, ale dzisiaj przebijasz pan samego siebie!

Kurnatowski nie krzyczał, ale inni policjanci z pewnością widzieli, jak słynny śledczy mówi coś z gniewną miną swojemu podwładnemu, a fragmenty słów nie pozostawiały wątpliwości; zastępca naczelnika Urzędu Śledczego był więcej niż poirytowany.

- Wie pan co? Najchętniej bym pana pogonił ze służby, ale nie zrobię tego, bo bronią pana laurka z wojska i szkoły policyjnej oraz fatalna sytuacja kadrowa.

Karol poczuł się upokorzony jak nigdy przedtem. Dotychczas wiele znosił, zniesie więc i tę szykanę. Najchętniej rzuciłby to w cholerę i poszedł na aplikację pod skrzydła któregoś ze znajomych prawników. Przyjaciele rodziców cały czas mu to proponowali. Ale postanowił, że zostanie w policji, bo nie cofnie danego słowa, bo udowodni, co jest wart, czy się to komuś podoba, czy nie! Z całą pewnością przestawało się to podobać naczelnikowi Kurnatowskiemu, tym bardziej więc będzie musiał opuścić miejsce, do którego się przykleił jeszcze za cara Mikołaja.



## CZEŚĆ PIĄTA

### ALE SIĘ POROBIŁO...

#### XXI

#### SKARB

**Nad Dunajcem, grudzień roku 1913**

Bili ją okrutnie, chociaż błagała o litość, ale ich wyrzuty sumienia tłumiała wizja zbójckiego skarbu. Zaklinała się na wszystko, że nic nie wie, ale nadaremnie. Kobieta próbowała sprzedać coś tak dziwnego, że synowie rządcy Kadara z miejsca zwrócili na nią uwagę. Erne i Matyas byli w Nowym Targu, gdy rozeszła się wiadomość, że jakaś baba z Zakopanego chce spieniężyć maskę ze złota. Ktoś im powiedział, że to sąsiadka Kacki Toporowej - frajerki, a niektórzy nawet mówili, że i wdowy po ostatnim tatrzańskim zbójniku. Kacka żyła lepiej niż inni i mówiono: „To obrotna, szkrzetno baba, co wynajmuje panom izby”. Wielu jednak dodawało: „Nie miałyby takich izb i takiej chałupy, gdyby nie zbójckie dutki”. Ta sąsiadka Kacki miała chłopca, co ją

bił i przepuszczał pieniądze, a te były jej bardziej niż innym potrzebne, bo pijak się gdzieś zawieruszał, zostawiając ją z małym dzieckiem. Gdy Erne zobaczył maskę, z miejsca postanowił, że zwabia ją obietnicą zakupu, dadzą w łeb i wyduszą z niej informacje o skarbie. Bo był pewien, że ta maska to tylko cząstka większej fortuny.

Na początek to zdenerwowała ich niemiłosiernie, mówiąc, że Mateja, ten zbój od jej sąsiadki Kacki, chował skarby w jaskini Dziura. Dostała za to tak, aż ją musieli cucić, bo przecież o Dziurze wiedzieli wszyscy i od lat chodzili tam turyści. Nie było chyba drugiego tak dokładnie obszukanego miejsca w Tatrach. Gdy się ocknęła, to bezczelnie powiedziała, że widocznie ci, co szukali, nie potrafili znaleźć.

Znów dostała za swoje, a później Kadarowie ostrzej zabrali się do roboty. Młodszy z braci Matyas ją trzymał, a starszy, Erne, tłukł, ale dopiero jak Matyas zaczął jej miażdżyć palce młotkiem, nie wytrzymała i wskazała miejsce. Właściwa jaskinia była dziesięć metrów nad Dziurą, do której wszyscy łazili.

Zamknęli ją w piwnicy i pojechali sprawdzić. W ciasnej jaskini, do której trzeba było dojść z narażeniem życia, był kuferek, ale walało się w nim tylko kilka smętnych miedziaków. Gdy wrócili okazało się, że baba nie żyje, że nie wytrzymała badania, której jej zadali. Problem z głowy, no bo co by z nią zrobili? Utopili więc ciało zmarłej w Dunajcu. Ze skarbu została tylko złota maska, więc wzięła ich złość i nie mogli się dogadać, jak ją podzielić. Erne uważał, że jest starszy i że on wszystkim kierował, więc nie podzielił się po prostu pół na pół. Matyas zgodził się na to, ale gdy brat patrzył, jak obciążone kamieniami ciało kobiety zagłębia się

w zimnej wodzie, uderzył go młotkiem w tył głowy. W parę minut później ciało Erne Kadara spoczęło na dnie rzeki.

**KOMPROMITACJA NA KOLEI**

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 25 września roku 1926*

*Nie mogę się nachwalić tej mojej szkoły! To już trzeci tydzień nauki w nowym roku szkolnym, a ja wciąż cieszę się nią, koleżankami, nauczycielami i przede wszystkim naszą panią Jadzią. Może to tak nie wypada, ale tak mówię o mojej kochanej pani nauczycielce, po prostu kocham panią Jadwigę Muszyńską. Jest dla nas wszystkich taka dobra, że aż chce się chodzić do szkoły. Wszystko się okazało znów takie nowe i inne, więc nawet nie przeszkadza mi, że Henio poświęca nam coraz mniej czasu. Ale i ja sama mam go teraz niewiele. Zaczęłam brać lekcje gry na pianinie, a i zajęcia w szkołę trwają coraz dłużej. Dawno temu, jak byłam bardzo mała, to były to tylko trzy, góra cztery lekcje dziennie, a teraz wychodzę ze szkoły dopiero popołudniami. Nie mogę się więc gniewać na Henia, zwłaszcza że on pracuje nie tylko po to, żeby opłacić moją szkołę. On ma bardzo dobre serce i pomaga naszej kuzynce Zofii Klajster. Im zawsze brakuje pieniędzy i żyją bardzo nędznie, więc Henio jest ich ratunkiem.*

Zośka Klajster zawsze była dobrą wymówką. Heniek interesował się swoją kuzynką i zaraz po rocznicowej mszy i spotkaniu nad grobem mamy dał jej trochę pieniędzy. Nie skarżyła się, ale klawo chyba nie było. Musi tam wpaść, ale na razie się cieszył Leokadią. Był jej spragniony, bo jeszcze przed rokiem akademickim w Warszawie wyjechała na trzy tygodnie do Paryża, na tę całą Sorbonę i do Instytutu Radowego, by się spotkać z samą Skłodowską-Curie. Żyli więc na pełnym gazie, by się sobą nacieszyć. W sobotę Leokadia wyskoczyła od niego szybciotko, ale wyjątkowo nie żałował pośpiechu, bo miał do załatwienia bardzo ważną sprawę, więc sam musiałby przeproszać Leokadię, a tak po prostu łaskawie przyjął do wiadomości, że musi gdzieś wyjść z rodzicami.

Szpicbródka wyszedł ze swojego domu na Chmielnej. Gdy opuścił bramę, nie musiał się rozglądać na lewo i prawo, wystarczyło fachowe zerknięcie, gdy uchylał sąsiadowi kapelusza. To była chwila, dosłownie moment i był już zorientowany w sytuacji. Dłuższej obserwacji dokonał wcześniej zza firanki, siedząc blisko okna i czytając gazetę, co jakiś czas dyskretnie spoglądał na dół. Po jakichś trzech kwadransach wiedział już, ilu ma pod oknem policyjnych wywiadowców. Była trójka i wszyscy nowi, bo starych znał już tak dobrze, że kłaniał im się na ulicy. Zobaczymy, ile są warte psy, z którymi jeszcze nie miałem okoliczności, pomyślał. Wychodząc z bramy, skręcił w kierunku

Nowego Świata, ale nagle jakby przypomniał sobie, że nie idzie do Bliklego czy na Foksal, tylko na Marszałkowską. Na to wywiadowcy nie byli przygotowani. Wyrwali szybkim krokiem w kierunku Nowika, gdy nagle Szpic zaskoczył ich szybkim zwrotem. Jeden, ten, który był najbliżej niego, od razu zakończył swą misję, bo Szpic nieomal się z nim zderzył i kłaniając się, zapytał:

- Szanowny panie, przepraszam najmocniej, która godzina, bo rozregulował mi się zegarek?

- Dwie na pół do trzeciej - wystękał tajniak.

- Najserdeczniej panu dziękuję - powiedział dostojnie Szpic, ale wywiadowca czuł, że przekaz był inny. „Wypadasz z gry, kolego, twoja twarz jest już w mojej prywatnej kartotece”.

- Ojoj! Zegarek późni mi się o pięć minut! Mogę nie zdążyć - rzucił kasiarz i przyspieszył kroku.

Dwóch pozostałych policjantów po cywilu ruszyło za nim. Szpicbródka doszedł do Marszałkowskiej i się rozejrzał, ale nie po to, by zobaczyć, gdzie są wywiadowcy, ale by nie wpaść pod dorożkę lub tramwaj. Gdy nadeszła odpowiednia chwila, różnym krokiem ruszył na drugą stronę. Dopiero gdy był już na chodniku, obejrzał się za siebie, widok był wart wielkich pieniędzy! Pędzący za nim tajniacy w bezwarunkowym odruchu stanęli na środku jezdni słupka, niczym spłoszony zając na polu. To się spotkało z dezaprobatą sąłaty, którego rozpędzona dorożka nadjeżdżała od strony Alej Jerozolimskich.

- Bujać, się chomąta, bo was rozjadę! Jezdnia to nie miejsce do spacerów, tu nie Saski Ogród - wrzasnął i zaciął batem nad uszami tajniaków.

Tymczasem Szpicbródka był już w wejściu do tymczasowego Dworca Głównego. W czasie budowy linii średnicowej rozebrano stary Dworzec Wiedeński i wystawiono nowy pawilon z eleganckim szyldem Dworzec Główny. Większość warszawiaków nadal jednak mówiła Wiedeński, bo właśnie stąd można było ruszyć w podróż do naddunajskiej stolicy. Przed kasami Szpic się zatrzymał i rozejrzał, po czym nagle ruszył w kierunku kwiaciarni. To nie był koniec jego manewrów, z wielkim bukietem podskoczył do okienka informacji, zamienił z siedzącą tam ładną, młodą kobietą parę słówek i kłaniając się, poszedł w kierunku wyjścia. Przed wejściem stała drynda, do której wsiadł, jakby była jego własnością. Pewność, z jaką to zrobił, wskazywała na to, że sałata i jego pojazd byli już wcześniej umówieni. Sałaciński zaciął batem, koń ruszył z kopyta, a szpicle pobiegli w kierunku postoju dorożek. Sytuacja robiła się dramatyczna, Szpic miał nad nimi przeczną przewagę. Zanim wytłumaczyli dorożkarzowi, kim są, i że powinien ruszyć jak na wyścigi, było już po wszystkim. Drynda ze Szpicbródką zniknęła w gąszczu innych pojazdów.

Nowi tajniacy muszą się jeszcze sporo uczyć, pomyślał z satysfakcją i rozbawieniem król kasiarzy. Pół godziny później był już po praskiej stronie Wisły i zbliżał się do stacji Warszawa Wileńska. Bukiet zostawił dorożkarzowi, a sam się jeszcze uważnie rozejrzał i szybkim krokiem ruszył w kierunku dworca. Z kieszeni wyciągnął bilet i wsiadł do stojącego przy peronie pociągu. Zamiast zająć miejsce w przedziale stanął w oknie i wypatrywał, czy na peron nie wejdą jacyś podejrzani osobnicy. Nie weszli, a pociąg szarpnął i ruszył przed siebie. Z jednej strony był zadowolony, bo wodził tajniaków za nos, ale z drugiej

zaniepokojony, że jego kolejna spektakularna akcja poprzedzona jest niepotrzebnym rozgłosem. Tak to jest, jak się angażuje kilkadziesiąt osób, to się odbija na całym przestępczym rynku pracy. Szpicbródka lubił takie fachowe określenia. Wielu ludzi odmawiało innym roboty, bo pracowali tylko dla niego, więc po pewnym czasie w miasto poszła fama, że „coś się kroi”. Taka reputacja mu wyraźnie szkodziła.

Cichocki odnalazł swój przedział, przywitał się ze współpasażerami, powiesił kapelusz, płaszcz i laseczkę, po czym poszedł do restauracyjnego. Krótkie spojrzenie i już wiedział, przy którym stoliku spocząć.

Heniek siedział sobie wygodnie, popijając piwko i czytając gazetę. Usłyszał, że ktoś do niego podchodzi, ale nie interesował się tym, bo wiedział, kto to jest i czyj głos za chwilę usłyszy.

- Dzień dobry. Przepraszam szanownego pana, czy to miejsce jest wolne? - dobiegł go znajomy, dystyngowany głos.

Pytanie było nieco absurdalne, bo reszta stolików była pusta.

- *Ależ oczywiście, panie Stanisławie, proszę siadać.* - Heniek Wcisło podniósł się z miejsca, by uścisnąć dłoń swojemu mentorowi.

Ten jak zawsze prezentował się niezwykle elegancko, w trzyczęściowym jasnym garniturze według najnowszej paryskiej mody, ale szytym na miarę u najlepszych warszawskich krawców. Na głowie miał melonik, zapewne od Cieszkowskiego, na stopach brązowe trzewiki, ani chybi od Kielmana, a z kieszeni marynarki wystawała fantazyjnie złożona chusteczka. Całości dopełniała



laseczka, bo choć Szpicbródka nie kulał, to jednak wolał mieć oparcie w lasce. Heniek wiedział, że gdyby ktoś nieopatrznie próbował go zaczepić, to zrobiłby z niej należyty i zaskakujący napastnika użytek.

Całość ubrania, jak to mówił Kosiorek, „zajeżdżała poważną mamona” i chyba tylko o kapeluszu od Cieszkowskiego dałoby się powiedzieć, że mógł leżeć na półce obok innego, który kupił sobie majster czy urzędnik. Akurat ta firma potrafiła zaspokoić gusta i możliwości finansowe każdej klienteli, pozostałe akcesoria stroju Szpica pochodziły jednak z magazynów i sklepów, do których wstępu strzegła sława cen, jeśli nie szalonych, to z pewnością nie umiarkowanych.

- Czy jest pan sam, czy w towarzystwie?

- Niestety, towarzystwo się wykruszyło po drodze. - Szpic zrobił minę wyrażającą niepowetowaną stratę. - Nasi przyjaciele się zgubili już na Dworcu Wiedeńskim. Wypijmy zatem ich zdrowie. Kelner, dwie wódki proszę!

Jechali sobie pociągiem relacji Warszawa - Wilno, byli w wagonie sami i jedli smaczny, tani obiad.

- Pamiętaj, Heniu, jeśli chcesz kiedy zjeść smacznie i dyskretnie, to kup sobie bilet i umów się w pociągu.

- Smacznie, dyskretnie i tanio - dodał Heniek. - Chociaż bilet sam w sobie jest drogi.

- A wiesz, co znaczy skrót PKP?

- Ten oficjalny czy Kosiorkowy? - Heniek uśmiechnął się.

Szpicbródka pokiwał ze zrozumieniem głową, jego kierowca Mietek Kosiorek nazwał bowiem jego zasadę dzielenia pieniędzy PKP

- Podziel Kolego Pieniądze. Chcesz mieć szacunek, daj zarobić innym. Płać solidnie, wymagaj dużo, ale nigdy nie dawaj niczego za darmo. Taka była dewiza króla kasiarzy, którą szofer Kosiorek zamknął w zgrabny skrót. Teraz PKP znaczyło jednak już coś więcej, rząd założył bowiem spółkę o nazwie Polskie Koleje Państwowe.

- Ani ten, ani ten, Heniu. PKP to Płać Kolosalne Pieniądze!

Uśmieci się obaj, bo faktycznie przejazdy koleją były drogie jak cholera, zwłaszcza te w pierwszej klasie. Do tego pociągi nie mknęły z oszałamiającą prędkością, ale za to zawsze przychodziły na stację punktualnie, zgodnie z rozkładem jazdy.

- Drogo, ale wygodnie i punktualnie, kto nie smaruje, ten nie jedzie - spuwentował kolejowe rozważania ulubieniec króla kasiarzy.

- Dajmy im szansę, przecież to nowa firma, właśnie czytałem o tym w gazecie, ale chyba nie o kolejach będziemy rozmawiać?

- Oczywiście, że nie. Chcę cię na coś namówić...

- Będzie ciężko, mistrzu, nawet nie ciężko, lecz...

- Bez szans?

- Dokładnie... Ja z tym skończyłem. Wciągało mnie to jak bagno czy ruchome piaski, ale ja mam zbyt wiele na głowie i sumieniu. Obarczam się winą za śmierć matki, mam na utrzymaniu siostrzyczkę i babcię, a do tego... - uśmiechnął się nieśmiało - do tego się zakochałem.

Szpicbródka o wszystkim wiedział, ale spotkał się z Heńkiem nie po to, by się dowiadywać o jego planach na życie, lecz aby negocjować warunki. Był pewien, że go przekona.

- Posłuchaj mnie - Szpic zaczął spokojnie i rzeczowo. - Dajmy na to, że będzie to skok, przy którym zgarniesz sto tysięcy doli. Czy to ci pasuje?

- Pieniądze pasują, ale ryzyko nie.

- Ze mną nie ma ryzyka!

- Policja jest coraz lepsza.

- Może i tak, ale ja stale jestem w awangardzie, to ja wyznaczam kierunki, to mnie gonią i starają się nadrobić dystans.

- Być może, być może - zamyślił się Heniek. - Ale ja już nie mam do tego serca.

- Zdziadziałeś? W wieku dwudziestu dwóch lat?

- Skoro tak mistrz mówi, to tak jest.

- Szkoda.

- A mnie nie.

- Trochę ci zazdroścę.

- Zdziadzenia?

Szpicbródka się uśmiechnął i pokręcił głową.

- Decyzji. Tego ci zazdroścę. Jestem przed czterdziestką, mam trzydzieści sześć lat, ale już sześć lat temu obiecywałem sobie odejście z fachu. Miał być jeszcze jeden skok, ten ostatni. Mój mistrz Wincenty Brocki namówił mnie na rozprucie Banku Przemysłowców, ale się nie udało. Musiałem trochę odcierpieć, ale nie zbiedniałem od tego. Później była Gwiazda Polski.

Szpicbródka zawiesił głos i uśmiechnął się znacząco, bo to właśnie Heniek postawił kropkę nad i w skoku na jeden z największych salonów jubilerskich stolicy. Przeszedł wtedy podkopem z sąsiadującego baru i złamał szyfr w kasie pancерnej.

Ten skok przyniósł mu wielkie pieniądze i na myśl o tak poważnej flocie poczuł dreszcz na plecach. Szpicbródka przeciągnął pauzę, tak jakby chciał, by Heniek jeszcze raz przeżył tamte chwile, po czym od niechcienia dodał:

- Taaak, to był dobry skok - zamyślił się - ale to raczej zabawa, a nie zwieńczenie mojej, jeśli tak się mogę wyrazić, pracy twórczej. Ja chcę odejść po czynie spektakularnym, takim jak Bank Azjatycki w Rostowie. Oczywiście nie ma już takich łupów, nie ma takich banków, nie ma tego świata, ale są emocje. Gwiazda Polski mi tego nie dała, a poza tym... - Szpicbródka uśmiechnął się tak, jakby miał powiedzieć o czymś zupełnie beztróskim i na wskroś zabawnym. - Okradziono mnie!

Heniek jadł właśnie przepyszny sznycel po wiedeńsku i mało się nim nie udławił.

- Okradziono pana? Jak?!

- Nie mnie bezpośrednio, ale straciłem całą biżuterię z Gwiazdy Polski. Ktoś rozpruł skrytki w wiedeńskim banku, w którym trzymałem precjoza mające być moją żelazną, o pardon - uśmiechnął się przepaszająco - brylantową lokatą. - Znów zrobił pauzę i spojrzał na podwarszawski krajobraz. - Nawet chyba wiem, kto to zrobił... To znaczy dokładnie czyja to była robota, nie wiem, ale na pewno ktoś z Polski. Pogratulować, cholera jasna! To była genialna lokata, genialna. Bilans skoku ledwie się spinał, ale po pół roku byłem do przodu. Perspektywy jasne, przy wzroście cen diamentów i brylantów byłbym wkrótce milionerem... Niestety, moja kasa oszczędności, moja żelazna rezerwa na stare lata, rozprysła się jak mydlana bańka, bo rzecz jasna nie zadeklarowałem tam sum, które wzbudziłyby sensację. Gdybym

się zgodził, aby bank ściągnął rzeczoznawcę, ale oczywiście nie mogłem tego zrobić. Dostałem jakieś odszkodowanie, ale to tylko jak jałmużna. Oczywiście nadal mogę żyć na wysokiej stopie, ale ja po prostu czuję chęć odegrania się na losie, który spłatał mi takiego figla.

Szpicbródka melancholijnie spoglądał przez okno, pokręcił głową i podniósł kieliszek do góry.

- No, to za zdrowie, Heniu, zdrowie jest najważniejsze.

Wypili, a Szpic dalej ciągnął swe przemyślenia.

- Dlatego chcę tego skoku, czuję, że taka wygrana zapewni mi spokój, że dopiero wtedy osiadę na laurach.

- Z całym szacunkiem, ale ja myślę, że nie.

- Myślisz, że wpadnę, dlatego nie chcesz ze mną iść?

- Myślę, że mistrz po zrobieniu wielkiego skoku nie zazna spokoju, jeśli nie zrobi kolejnego, jeszcze większego. Nawet jeśli nie znajdzie się nikt, kto przebije osiągnięcie Szpicbródki, to on sam będzie musiał wygrać z własną maestrią.

- Czyżbyś wiedział o mnie więcej niż ja sam?

- Tego nie powiedziałem, ale wiem, że często informacje o nas samych najskrzętniej ukrywamy przed sobą.

- Filozof z ciebie.

- Umiarkowany romantyk z niepełną szkołą średnią. Nic więcej.

- Romantyk - zamyślił się Szpic. - Ale faktycznie umiarkowany i to bardzo, romantyka bym na szaleństwo naciągnął!

- Bo więcej we mnie pragmatyka niż romantyka. Pragmatyzm to takie słówko, którego ostatnio się nauczyłem.

- W końcu aspirujesz do wejścia w wielki świat.

- O tym nic nie mówiłem.

- Ale ja słyszałem. Uważaj, tam nigdy nie będziesz jednym z nich.

- Kto mówi, że mam być?

- Kto mówi, że nie chcesz, by tak było?

- Ja. Nie pasuję tam i tyle.

Zapanowało krępujące milczenie. Szpicbródka upił łyk z kieliszka i zapalił papierosa. Król kasiarzy zaciągnął się i wypuścił pod sufit kłęb dymu.

- Wyjedź, podbij świat i wróć za parę lat, jako zwycięzca.

- Byłoby pięknie, ale nie mogę.

Szpic pokiwał ze zrozumieniem głową.

Szkoda, taki talent nie powinien się marnować, pomyślał, czując, że mimo wszystko kiedyś się jeszcze spotkają na jakiejś wielkiej robocie.

Dojechali tak do Tłuszcza, a tam na Szpica czekał automobil z Mietkiem Kosiorkiem za kierownicą. Heniek serdecznie się z nim uściskał, po czym się pożegnał ze Szpicem. Auto odjechało w kierunku Warszawy, a on poszedł do dworcowej kasy kupić bilet powrotny. Wciąż był dla policji zupełnie anonimowy i ani on, ani Szpicbródka nie chcieli tego zmieniać.

Aspirantowi Denhelowi nie mieściło się to wszystko w głowie. Jak trzech doświadczonych tajniaków ściągniętych na gościnne występy z Łodzi nie mogło sobie dać rady z jednym kasiarzem, który ani nie biegł, ani też nie dostał nagle skrzydeł? Ambitny policjant zgłosił się więc na ochotnika. Poprosił o przydzielenie

dwóch ludzi i miał zamiar pokazać tym niemotom, jak pracuje nowoczesna policja. Po tygodniu wiedział już wiele i był z siebie dumny.

- Panie naczelniku, mam już kompletny rozkład dnia tego całego Szpicbródki!

- Brawo! - Zastępca Naczelnika Urzędu Śledczego Ludwik Kurnatowski opuścił w dół okulary i uważnie spojrział sponad nich na młodszego kolegę. - No, referuj pan!

- Szpicbródka zaczyna dzień od wizyty u fryzjera Ewarysta Zdzenieckiego przy Marszałkowskiej sto czternaście, a później idzie do baru Satyr. Można podług niego regulować zegarki! U fryzjera jest punkt dziewiąta, a w Satyrze o dziesiątej! Obiady jada zawsze z rodziną, a wieczory spędza w Czarnym Kocie, którego jest właścicielem, albo w Eldorado przy Hożej. Eldorado to teatrzyk Adama Stempla, w którym także ma udziały. - Podniecony Karol chciał referować dalej, ale Kurnatowski brutalnie mu przerwał.

- Taaa, Adama Stempla, powiadasz pan, tego samego Stempla z którym robi skoki i tego samego Stempla, który ma także udziały w Czarnym Kocie? - Patrząc na pierw zdumioną, a później na blednącą ze zdenerwowania twarz młodego śledczego, Kurnatowski ciągnął znudzonym głosem: - Jeśliby pana interesowało, to ten Ewaryst Zdzeniecki na pewno jest właścicielem lokalu na papierze, ale czy na pewno jest nim faktycznie? A może to Szpic jest prawdziwym właścicielem? Co pan tak patrzy, nie wiesz pan, że przestępcy mają różne interesy, które są poukrywane przed naszymi oczami, i że funkcjonują one tak doskonale, póki nie popełnią błędu i nie przyłapiemy ich na

oszustwie? Najtęższe głowy z Ministerstwa Finansów połamały sobie na tym zęby. Liczba przedsięwzięć Szpica, które firmują za niego podstawione osoby, jest tak wielka, jak majątek niejednej gminy czy powiatu. Ale to ma pan już pewnie zanotowane? Podobnie jak to, że nasz Szpic ma także parę domów dochodowych i willę w Świdrze? Rzecz jasna, on tam tylko jeździ na letniaki, ale przecież każdy się orientuje, że pan Cichocki jest tam u siebie. Zygmunt Kotlicki, który figuruje w papierach jako właściciel, jest de facto administratorem i cieciami u Szpica, no ale przecież pan go dogłębnie prześwietlił, więc ja nie mam o czym panu opowiadać, panie kolego.

Twarz Denhela z bladej stała się purpurowa. Kurnatowski wyraźnie sobie z niego drwił, a był to dopiero początek.

- Zgłosiłeś się pan, żeby pokazać, jak skutecznie można go wyśledzić i opisać jego kontakty. - Nadkomisarz wyciągnął się w fotelu i pogładził po brodzie. - Użyłeś pan wszelkich znajomości; tata, stryjek, pan Rostocki... - Kurnatowski cedził słowa, aż zrobił pauzę i ze znużoną miną zapalił cygaretkę. Zaciągnął się nieśpiesznie. - Masz pan mnóstwo przyjaciół, pół Warszawy chce pana sukcesu, kariery, awansu... Pan jesteś prymus i pan na to zasłużyłeś. - Zaśmiał się niemiło. - Pan na to zasłużyłeś jak mało kto, a pokazanie starszym kolegom, jak się sprowadza Szpic na ziemię, na pewno panu pomoże, na pewno. - Uśmiech Kurnatowskiego był wprost diaboliczny. - Życzę panu powodzenia, bo Szpicbródka na razie się z panem bawi albo nie ma żadnego interesu, który chciałby przed panem zataić. - Mówiąc to, Kurnatowski przekładał szpalty gazety, dając do zrozumienia, że jego stosunek do podwładnego jest mieszanką lekceważenia i



pogardy. - Coś jeszcze? Dzisiaj w gazetach dużo o futbolu, a mnie, rozumiesz pan, to chyba najbardziej futbol interesuje. Ale nie Warszawianka, tylko Legia i Polonia. A propos, a jak pana postępy na boisku, czy nie powinien pan więcej trenować?

Denhel burknął coś pod nosem i niemal wybiegł z gabinetu. Ledwie się powstrzymał od trzaśnięcia drzwiami, ale nie dał tej carskiej skamielinie takiej satysfakcji. Naczelnik Kurnatowski, który był mu kiedyś nie tylko wzorem, ale i oparciem w świecie policyjnych troglodytów, najpierw go upokorzył, a później dobił. Do tego aspirant Karol Denhel był przekonany o lewych interesach swojego przełożonego, o godnych ubolewania, potępienia i surowej kary czynach, które wyświetli, jak tylko pokaże tym nieudacznikom, jak się postępuje ze Szpicbródką.

Zamykał się drugi tydzień polowania na Szpica. Denhel czuł, że na korytarzach urzędu przy Daniłowiczowskiej mówi się o nim. Ba! Żeby tylko mówiono, to były z pewnością szyderstwa i kpiny, ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Miał jeszcze dwa dni na to, by się wykazać. Gorzej, że był już spalony w Warszawiance. Od dziesięciu dni opuszczał treningi, poświęcał swą pasję, swe ukochane kopanie futbolówki, byle tylko pokazać tym gamoniom z Daniłowiczowskiej, na co go stać.

Dzień zaczął się jak zwykle. Kasiarz dostojnym krokiem opuścił kamienicę przy Chmielnej i ruszył stałą trasą - Ewaryst, Satyr. Po wyjściu z baru przy Marszałkowskiej 81a ruszył w kierunku Alej Jerozolimskich. Gdy się zdawało, że wejdzie do budynku Dworca Głównego, jakby sobie coś przypomniał i odbił w

prawo. Na wysokości Chmielnej przeszedł na drugą stronę Marszałkowskiej. Czyżby wracał do domu? Pudło, Szpic nie wszedł w Chmielną, minął także Złotą. Gdy się zdawało, że po prostu dojdzie do końca Marszałkowskiej, przekroczy Królewską i wejdzie do Ogrodu Saskiego kasiarz nagle coś zmienił. Tymczasem wywiadowcy wypatrzyli przed domem mody Hersego doskonale im znaną sylwetkę automobilu. Czerwony buick, tylko Szpic takim jeździł! Nerwowo zaczęto się rozglądać za taksówką, na szczęście obok Hersego stały nie tylko dorożki, którymi elegantki wywoziły do domów potężne torby z zakupami, ale i samochody. Dla sałacińskich i taryfiarzy było to dobre miejsce, bo oprócz niewolnic mody można tu było trafić na wytworne towarzystwo, które spacerowało po ogrodzie. Wraz z dwójką wywiadowców Denhel szybko wskoczył do taksówki i zarządził jak tysiące policjantów i detektywów z całego świata:

- Za tym samochodem proszę!

Aspirant wylegitymował się kierowcy, a ten szybko pozbawił go złudzeń.

- Ale pan władza wie, że jak on fest nadusi gaz na prostej, to nas zgubi. Będę robił co tylko w mojej mocy, ale jak wyjedzie na szosę, to szukaj wiatru w polu...

Obawy okazały się płonne, auto ze Szpicem w środku jechało dostojnie, jak marszałkowski wóz na defiladzie. Pojechali do Krakowskiego, a później przez zatłoczony, jak zwykle, plac Zamkowy na wiadukt Pancera<sup>61</sup>. Było jasne, że jadą na Pragę, ale dokąd dokładnie, to miało się dopiero okazać.

Po kilku minutach jazdy zagadka się rozwiązała. Buick stanął przed Dworcem Wileńskim, a Cichocki spokojnie opuścił pojazd i

wolnym krokiem poszedł w kierunku dworca. Tam zakupił przepiękny bukiet kwiatów i ruszył w kierunku peronu. Policjantów to nie zdziwiło, bo wcześniej Szpic też zachodził do kwiaciarni, by zmylić śledzących go ludzi. Karol Denhel i wywiadowcy wyrwali za nim, utrzymując bezpieczny dystans. Było to o tyle łatwe, że kolorowy bukiet pomagał im się orientować w położeniu Szpica. Do odjazdu pociągu zostały jeszcze dwie minuty, a kasiarz chodził po peronie, jakby na kogoś czekał. Tymczasem zawiadowca z lizakiem i gwizdkiem przyglądał się, jak ostatni podróżni wsiadają do wagonów.

Konduktorzy stali już w drzwiach, szykując się do ich zamknięcia. Wtedy Szpicbródka ruszył do wagonu, cała policyjna trójka drgnęła, ustawiając się tak, by w razie czego wskoczyć za nim. Śledzony mężczyzna zaczął machać ręką do jakiejś kobiety, która stała w oknie, podszedł do niej szybkim krokiem, zaczął serdeczną rozmowę, dał kwiaty i ucałował dłoń. W tej chwili pociąg szarpnął. A więc to tak, to tylko fałszywy alarm, jedynie sytuacja, która mogłaby interesować panią Cichocką, ale nie policję... Kochanka, znajoma, ktoś z rodziny? Nieważne... Policjanci odstąpili od pociągu, który z wolna ruszał z dworca. Szpicbródka szedł różnym krokiem wzdłuż peronu, odwrócił się jeszcze i pomachał. Kobieta także go pozdrowiła, a po chwili zniknęła w oknie. Ostatni wagon minął go i wtedy... Szpicbródka obrócił się na pięcie i biegiem ruszył za pociągiem, wydawało się to niemożliwe, ale dogonił tył wagonu kończącego skład i z gracją wskoczył na stopnie, po czym pomachał chusteczką, a następnie nie śpiesząc się, otworzył drzwi i zniknął w środku. Zrobił to tak sprawnie, jakby elegancko ubrani dżentelmeni w kapeluszu, z

laseczką i kwiatem w butonierce tylko w ten sposób rozpoczynali podróż pociągiem. Jeśli Szpic chciał się z kimś spotkać bez świadków lub spędzić czas bez asysty policyjnych wywiadowców, nie było silnych, by mu w tym przeszkodzić!

- Kurwaaa! - Krzyk aspiranta wstrząsnął peronem. - To skurwy- syyyn!

Po chwili doskoczyli do niego zawiadowca stacji i posterunkowi z kolejowego komisariatu. Aspirant Denhel wyszedł z siebie. Mimo że uspokajali go wywiadowcy, on zamiast wytłumaczyć mundurowym, o co chodzi, i przeprosić za niestosowne zachowanie, miotał się i począł łąać kolegów po fachu. Wyjaśnienie sprawy zajęło parę minut, kolejnych parę zawezwanie taksówki, którą mieli gonić pociąg. Denhelowi wytłumaczono jednak, że już po wszystkim, że teraz mogą tylko kazać któremuś z posterunków kolejowych zlecić zatrzymanie kasiarza. Problem polegał jednak na tym, że policja nie miała do tego żadnych podstaw.

W dwa tygodnie aspirant nie tylko złamał swoją i tak ledwo tłącą się piłkarską karierę, ale i stał się pośmiewiskiem całej Daniłowiczowskiej. Następnego dnia w siedzibie urzędu czuł na sobie spojrzenia starszych kolegów i porozumiewawcze szepty. Wiedział, że każdy chichot dotyczy wspomnień o jego wpadce. Wchodząc do gabinetu Kurnatowskiego, spodziewał się najgorszego. Tymczasem przełożony zachował się po ojcowsku.

- Niech pan siada. Szanowny panie - zaczął naczelnik. - Powinienem zrugać pana jak burą sukę, bo był pan pyszałkiem. Młodym, zdolnym, wykształconym i rokującym, ale pyszałkiem. Zadzierał pan nosa i lekcewazył sobie starszych kolegów i ich

doświadczenie. Pora zmienić kurs i przestać brać innych za idiotów. Rozumiesz pan? Nawet jak się panu niektóre sprawy wydadzą przestarzałe, idiotyczne lub dziwne, to zrozum pan, do jasnej cholery, że nie masz pan doświadczenia. Nawet prymus kursu policyjnego, odznaczony żandarm i dobrze rokujący student prawa nie dorównają staremu przodownikowi bez matury. Rozumiesz pan?

Wstał z za biurka, podszedł i spojrzał mu w oczy, nisko się nad nim pochylając.

- Zbieranie doświadczenia jest równie ważne, jeśli nie ważniejsze, od wykształcenia, inteligencji i odczytania. Czasem to boli. Myślę, że pana zabolowało i że z tej lekcji wyniósł pan szacunek dla złodziei, a nade wszystko dla kolegów i przełożonych - zakończył oschle i odwracając się do niego plecami, zapalił cygaretkę.

Stanął w oknie, spoglądając na Daniłowiczowską. Przełożony dał tym samym jasny sygnał, że dyskusji nie będzie. Denhel strzelił obcasami i zbierał się do wyjścia z gabinetu i wtedy...

- Panu się gdzieś śpieszy, panie kolego? - zapytał tym swoim z pozoru leniwym i niezaangażowanym głosem Kurnatowski. - Bo ja jeszcze nie skończyłem. Zostań pan - uśmiechnął się dobrotliwie.

- Bo mam jeszcze dla pana coś miłego...

To nie zwiastowało nic dobrego. Nic a nic.

- Panie aspirancie, mógłbym doprowadzić do tego, by pana wydalono z policji, ale ja panu, po starej znajomości, pomogę. - Nadkomisarz się delectował swą przemową. - Ma pan tylu przyjaciół, że nie może ich pan zawieść. Nieprawdaż? Co więcej, ja pomogę panu awansować i zdobyć nowe kwalifikacje! Co pan

powie na kurs automobilowy oraz nowy samodzielny przydział? - Twarz Kurnatowskiego zrobiła się diaboliczna, Denhel wiedział, że nadkomisarz za chwilę uderzy w niego jak gromem, że przymilność ma tylko wzmocnić spodziewany atak. - Co by pan powiedział, mój dociekliwy prymusie, gdyby został pan oficerem w nowo tworzonej jednostce, ha? No, co by pan powiedział? - To była oczywista prowokacja. - Milczy pan, panie kolego? Przecież pan ma zawsze tyle do powiedzenia

- zaśmiał się Kurnatowski. - A wie pan, jak to będzie pięknie, gdy będziesz pan miał podwładnych? Nowa jednostka, nowe możliwości. ..

*Czyżby... -pomyślał Denhel. Nie, to niemożliwe, odegnął od siebie nadzieję i niepokój.*

- Tak! - ucieszył się Ludwik Kurnatowski. - Właśnie tak, jest pan taki przenikliwy i mądry, że trafił pan w swych myślach w sedno.

- Wyraźnie z niego kpił. - Zamierzam pana urządzić w policji ruchu! Podrzucę panu inspektorowi Fuchsowi pańską kandydaturę i zrobię to skutecznie - zaśmiał się szyderczo. - No, co pan tak na mnie patrzysz, to ma przyszłość, pluton z dziewięćdziesięciu zuchów, piękne odznaki na mundurach i trzy motocykle z koszami. - Kurnatowski był coraz bardziej rozbawiony. - To naprawdę przyszłość policji, bo będzie coraz więcej automobili, hahahaha!

Na końcu korytarza stała grupka funkcjonariuszy którym przewodził aspirant Strasburger, było więc, jak zwykle, bardzo wesoło.

- Panowie, panowie! - Strasburger zwoływał teatralnym szeptem policjantów. - Panowie, słyszeliście, jak aspirant Denhel gonił złodziei? Nie? To posłuchajcie! Dzielny aspirant pędzi za dwoma złoczyńcami, jest już blisko. Wymachuje rewolwerem i krzyczy: „Stać, policja!” - Strasburger całkiem udanie starał się naśladować tembr głosu młodszego kolegi, więc towarzystwo rechotało. - „Policja, stać policja!” Złodzieje uciekają dalej, ale wbiegają do ślepego, zdawałoby się, zaułka. Okazuje się jednak, że na jego końcu są dwie bramy, bandziory rozbiegają się i każdy hyc, wbiegł inną! Jeden w lewo, a drugi w prawo. Co zrobił nasz dzielny aspirant? Pobiegł za nimi!

- Wybuchnął śmiechem.

- Wbiegł w obydwie! - Hilary Pijanowski aż się trzymał za brzuch.

- Jeden hyc w lewo, drugi hyc w prawo, a ten za nimi! - ryczał przodownik Rutkowski.

- Ja nie mogę, panie Kornelu, ależ pan dał do pieca - niemal się turlał ze śmiechu jeden ze śledczych.

Nagle rechot ustał, bo zobaczono, że z gabinetu Kurnatowskiego wyszedł Karol Denhel, Strasburger nie stracił jednak rezonu i patrząc beczelnie wprost w oczy aspiranta, powiedział:

- To był amerykański dowcip, a teraz polski. Nie chce pan posłuchać? A to szkoda!

Po policjantach, mimo że się powstrzymywali z całych sił, przeszedł z trudem tłumiony dreszcz.

- Pan Denhel jak zwykle solo, więc trudno, straci. A więc to było tak: trzech złodziei jadących pociągiem urządziło zawody.

Mają gasić światło na dziesięć sekund, po czym zapalać, by sprawdzić, czy co nie zginęło. Pierw Niemiec. Gaszą, czekają i zapalają. Francuz mówi: „Zginął mi portfel, to po prostu mistrz ten Niemiec!” Druga próba, kradnie Francuz. Okazało się, że skradł Niemcowi sznurówki! „Francuz to mistrz nad mistrze”, krzyczy Niemiec. Nasz gagatek wydaje się być bez szans. Gaszą, czekają, zapalają i... nic! Niemiec i Francuz śmieją się do rozpuku, ale nagle się okazuje, że pociąg stanął w polu. Stoi minutę, stoi pięć, stoi cały kwadrans. Gdy po kolejnym kwadransie wagony nawet nie drgnęły, Niemiec i Francuz zaczęli się wiercić i denerwować, a nasz ptaszek ze spokojem i z kpiącym uśmiechem czytał sobie gazetę. Tymczasem jego towarzyszom nie było do śmiechu, zaczęli się denerwować nie na żarty, bo pociąg stoi, a oni mają przecież różne złodziejskie interesy do załatwienia! Wtedy wchodzi do przedziału konduktor. „Koniec jazdy! Ktoś skradł lokomotywę!”. - Salwa śmiechu dotarła nawet do Denhela, który schodził po schodach, niemal biegnąc. Płaszcz przewiesił sobie przez ramię, a kapelusz z dużym rondem w pośpiechu wbił na głowę. Nie lubił meloników, bo miał wrażenie, że czynią jego okulary jeszcze bardziej widocznymi, a pod okazałym rondem szkła stawały się niemal niezauważalne. Aspirant z trudem powstrzymywał się od tego, by nie wrócić na górę po to, by z nagana jeden po drugim strzałem w głowę z najbliższej odległości zakończyć ten odrażający cyrk. Zdziwiliby się, że to potrafi. A potrafił, choć nie wspominał tego inaczej niż w najgorszych snach.



## XXIII

### WIELKIE PORZĄDKI

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 11 października roku 1926*

*Co też się wyprawia w tej naszej Warszawie! Na ivszystkich padł strach, bo grasuje u nas okrutny bandyta, którego nazyioają Krwawym Wiktorem. Już od końca czerwca ten łotr zabija, rabuje i ucieka, a połicja nie może go złapać. Gazety pełne są artykułów o nim, a na ulicach śpiewają o nim piosenki.*

Nie zawsze sprawy załatwia się w eleganckich lokalach, nie zawsze można się spotykać z eleganckimi ludźmi. Kapitan Juliusz Beniowski siedział w mało wyszukany miejscu, gdzie obok taniego piwa atrakcją był zawodzący akordeonista. Człowiek, który raczej nie trafi ani do opery, ani do filharmonii, nie miał szczególnego talentu, ale za to znał piosenki, których chcieli bywalcy knajpy.

*Wiktor, Wiktor - król bandytów,*

*Nieuchwytny dziki zbój,  
Nie znał szczęścia ni zaszczytów,  
Lecz bandycki krwawy bój.*

Towarzystwo słuchało jak urzeczone, nic dziwnego, bo od paru miesięcy nie mówiono o niczym więcej. Może to i dobrze, bo gdyby nie ten cały Krwawy Wiktor, to byłby niepotrzebny nikomu smród, wywołany pobiciem posła Zdziechowskiego. Posłowie się burzą i pewnie się będą domagali jakiejś komisji nadzwyczajnej, ale najważniejsze jest, że ulica się tym specjalnie nie pasjonuje. Mają swojego Wiktora Zielińskiego, krwawego zbira, a to, że w nocy z 30 września na 1 października ktoś obił gębę upierdliwemu posłowi, mało kogo interesuje.

O tym nikt nie śpiewa piosenek. I chwała Bogu, bo ci nadgorliwcy, którzy czytają w myślach Marszałka, poszli tłuc Zdziechowskiego do jego mieszkania na Smolnej w oficerskich płaszczach. Amatorzy, pomyślał. Gdyby „dwójka” się zajmowała takimi rzeczami, to inaczej by to wyglądało. Ciekawe, czy daliby radę złapać tego Zielińskiego? Pewnie tak, nie takie rzeczy się robiło, w końcu to prosty łotr, a nie dobrze wyszkolony sowiecki lub niemiecki agent.

Prywatne śledztwo aspiranta Karola Denhela utknęło w miejscu. Nie stracił do niego zapалу, wprost przeciwnie! Po prostu, tak najzwyczajniej, nie miał na nie czasu. Używał wszelkich wpływów, by nie dać się zepchnąć do policji drogowej, to było teraz najważniejsze. Do tego dochodziło zamieszanie związane z

polowaniem na bandytę Wiktora Zielińskiego. Krwawy Wiktor nic sobie nie robił z tego, że jest najbardziej poszukiwanym przestępcą, nie tylko w Warszawie, ale i całej Polsce. Bezczelny typ napadał i zabijał jak bohater jakiegoś filmu czy taniej powiastki. Karol Denhel miał na ten temat swoje zdanie, którego nie mógł głośno wygłaszać, aspirant przypuszczał, że Zieliński jest dla całej policji jedną wielką wymówką. Każda zbrodnia i kradzież szła na jego konto. Policja wybielała w ten sposób swe ciemne oblicze i tworzyła fasadę, za którą się kryły niemoc, lenistwo i przede wszystkim niekompetencja. Łatwiej było mówić: „Jesteśmy sprawni, mamy sukcesy i spacyfikowaliśmy cały przestępczy świat. Cały, z wyjątkiem jednego łotra, który się nazywa Wiktor Zieliński”.

Nie tylko reporterzy i warszawska ulica mówili dużo i chętnie o przewagach Zielińskiego. Także policjanci rozprawiali o jego wyjątkowości, no bo przecież gdyby nie był wyjątkowy, to już dawno siedziałby za kratkami, albo udał się na spotkanie z katem. W ten sposób Krwawy Wiktor nabierał cech nadprzyrodzonych, czego niestety nie mogła zrozumieć Komenda Główna. Także na górze Zieliński był wygodnym alibi i wytłumaczeniem, ale pismaki, zamiast pisać wyłącznie o wyjątkowości bandyty, zaczęły się zastanawiać, czy aby nie wynika ona ze słabości policji. Żarty się skończyły, gdy z końcem września gruchnęła wieść, że nowym ministrem spraw wewnętrznych zostanie Felicjan Sławoj-Składkowski. Komendant policji Borzęcki był na wylocie, ale ambicja nie pozwalała mu odchodzić, nie rozwiązawszy najgłośniejszej sprawy.

Z ministerstwa i Komendy Głównej poszły na Daniłowiczowską telefony, których treści i sposób ich artykulacji przyprawiłyby nawet co stateczniejsze osoby o palpitację serca. Stało się jasne, że ze sprawą Zielińskiego należy zrobić porządek. Wywiadowcy, zamiast się kręcić po szynkach, ruszyli do rzetelnej pracy, a posterunkowi wzmogli uwagę i węszyli w swoich rewirach. Nie żałowano forsy na szpicli i płacono im tylko za konkrety, bo, o zgrozo!, w policyjnym światku krążyły plotki o tym, że niektórzy funkcjonariusze byli w zмовie z informatorami.

Mówiło się, że byli policjanci, którzy uznawali nieistotne wiadomości za bardzo ważne, za co wypłacali informatorom połowę stawki, a sami chowali resztę do własnej kieszeni. Raporty, które spływały do śledczych, nadal jednak przypominały fantazje czytelników prasy brukowej. Bandyta Zieliński malował się w relacjach informatorów jako mocny, wysoki i całkiem przystojny typ, który miał umiejętności cyrkowego linoskoczka. Według informatorów najbardziej poszukiwany przestępca nosił się z wyjątkową ekstrawagancją. Opisy były wprost fantastyczne, ale niektóre szczegóły się powtarzały w każdym raporcie - Zieliński miał lakierki, jesionkę w kolorze marengo i... melonik. Było też pewne, że Wiktor Zieliński wciąż używał browninga, którego wiosną skradł angielskiemu dyplomacie.

Heniek wyjął ze skrytki swojego browninga i starannie go wyczyścił. Później przyszła pora na einhanda. Niczego nie planował, ale wiedział doskonale, że najczęściej to życie decyduje za nas. Nie chciał dać się zaskoczyć, poza tym był fachurą, który

wiedział, że precyzyjne urządzenia trzeba konserwować, bo w przeciwnym wypadku mogą zawieść w najmniej odpowiedniej chwili. Nie był w dobrym nastroju, bo miał wrażenie, że zszedł u Leokadii na drugi plan, że studia, nowe otoczenie - zapewne też kawalerowie studiujący na jej wydziale - wszystkie te nowości zepchnęły go w cień. Może to tylko złudzenie, może jest niepotrzebnie zazdrosny? Tak naprawdę to i on solidnie zaniedbywał Leokadię. Czyżby się nasycił, czyżby oboje poczuli, że to wszystko do niczego ich nie zaprowadzi?

Tłumaczył sobie wszystko brakiem czasu, ale to nie była prawda. Czasu akurat miał sporo, ostatnio więcej niż pieniędzy. Bił się z myślami, toczył morderczą walkę z samym sobą, by nie ulec pokusie Szpicbródki. Skok, robota, przygoda i pieniądze... Oj, kusilo go i to mocno. Raz jeszcze rozłożył i złożył einhanda, po czym zapakował oba pistolety do schowka. Lepiej nie prowokować losu. Pieniądze są ważne, ale nie najważniejsze. Musi jakoś inaczej zakombinować, tłusto nie jest, ale nie ma też pośpiechu. O skoku Szpica dowie się z gazet.

Ostentacyjna elegancja bandyty, jego nadmierna pewność siebie, a nade wszystko pieniądze pomogły wreszcie policjantom. Trzynastego października gruchnęła wieść, że doszło do napadu na sklep monopolowy przy Targowej. Szef szajki, która skroiła kasę, miał zasłoniętą twarz, ale używał broni, która z opisu przypominała browninga. Najważniejsze było jednak jego ubranie - jesionka marengo, melonik i lakierki. To musiał być Krwawy Wiktor! A więc był w mieście i należało szybko ustalić gdzie.

Pieniądze szczęścia nie dają, ale w życiu pomagają - tę starą zasadę znali także policjanci, bo nic tak bardzo nie przyspiesza śledztwa jak nagroda. Nawet najlepiej zorganizowana obława nie jest tak skuteczna jak dobre smarowanie; cynk puszczonego w szemrane towarzystwo, że za wydanie bandyty lub dobrą informację czekają poważne pieniądze, potrafił zdziałać cuda. Urzędu Śledczego nie było na to stać, ale policjantów tak! Kurnatowski wraz ze swoimi ulubionymi śledczymi Dobieckim i Bachrachem przeprowadzili zbiórkę. Każdy wrzucił coś do kapelusza i dzięki temu uzbierała się sumka, przy której łatwiej było o pozyskanie konfidenta.

Rybka chwyciła haczyk - jednemu z wywiadowców dopisało szczęście, złożył bowiem propozycję właściwej osobie. Człowiek z półświatka, który zazdrościł Zielińskiemu sławy, pieniędzy, a nade wszystko lakierów, melonika i łatwych dziewczyn, sypnął go bez mrugnięcia okiem. Zdrada i chciwość wciąż mogły zdziałać więcej niż policyjne śledztwo.

- Panowie! - zaczął odprawę naczelnik Sonnenberg. - Wybije wkrótce ostatnia godzina Wiktora Zielińskiego. Mamy informację, sprawdzoną informację - powiedział, mocno akcentując słowo „sprawdzoną” - że najbardziej poszukiwany bandyta w Polsce jest w kwartale ulic: Towarowa, Przyokopowa i Grzybowska. Nasi wywiadowcy pod kierownictwem pana aspiranta Kornela Strasburgera ustalili, że morderca funkcjonariuszy Policji Państwowej i niewinnych obywateli urzęduje na Przyokopowej pod numerem pierwszym, w pokoju należącym do niejakiego Racińskiego. Nasz sukces jest blisko, ale uważajcie, panowie - ów Raciński jest z zawodu rzeź- nikiem, który tasakiem i nożem

posługuje się biegle nie tylko w sklepie, ale i poza nim. Ten osobnik był już skazywany za krwawe czyny, podobnie jak reszta kompanii, która bawi się w zorganizowanej przez niego melinie. Przewagi Zielińskiego nad innymi bandytami nie muszą chyba panom opisywać. To wyjątkowo groźny typ.

Po tej przemowie, która nawet największemu tępakowi uzmysłowiłaby zagrożenie związane z obławą na Krwawego Wiktora, Maurycy Sonnenberg spojrzął po zebranych i zapytał:

- Panowie, czy ktoś się zgłasza na ochotnika? Potrzebuję dwóch oficerów w cywilu, którzy poprowadzą oddział.

- Ja, panie inspektorze! - wystrzelił Karol Denhel.

- I ja. - Kornel Strasburger zaskoczył Denhela. - Robiłem obserwację, znam teren i chcę osobiście dokończyć tę sprawę.

- Brawo, panowie, brawo. - Naczelnik podszedł do oficerów i kładąc rękę na ramieniu Denhela, powiedział: - Jesteście równi stopniem, ale dowodzić będzie pan Strasburger, a za całość odpowiada nowy naczelnik Urzędu Śledczego pan nadkomisarz Chełmiński. Ja się żegnam z panami tą akcją.

To było dla wszystkich zaskoczenie, a dla aspiranta Denhela dodatkowo przemieszane z nadzieją, bo wierzył w to, że się zmieni także zastępca szefa urzędu. Tymczasem nowy naczelnik podszedł do nich i dyskretnie powiedział:

- Nie interesuje mnie, czy pojmany Zieliński będzie żywy, czy martwy. Uważajcie na siebie i bądźcie bezwzględni, bo on nie będzie chciał się oddać w nasze ręce. Czuję, że tak będzie... - Spojrzenie nadkomisarza mówiło: „Macie go zabić, interesuje mnie tylko martwy Zieliński”.

W noc poprzedzającą akcję Karol Denhel nie mógł zasnąć. Nie chodziło wyłącznie o strach i napięcie, ale i o niepewność. Co będzie, jeśli zginie, a ona nie będzie wiedziała, że zrobił to wszystko dla niej? Postanowił zatem napisać pożegnalny list. Ale do kogo? Do Leokadii Rostockiej czy do Elizy Okołowicz? Zawahał się, nie był pewien, o Leokadii jeszcze nie zapomniał, a Eliza dawała mu miłe chwile. W końcu napisał dwa listy i zaadresował dwie koperty; obydwie nosiły zapis: W przypadku mojej śmierci proszę o przekazanie listu do rąk własnych. Zakleił koperty i ukrył je w szufladzie biurka. Wizja śmierci złożonej na ołtarzu miłości wcale go nie uspokoiła.

- Cholera jasna, to bez sensu - zaklął. - Nie mam zamiaru umierać ani dla jednej, ani dla drugiej, zabiję tę szumowinę i tyle! Gwałtownym ruchem sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej koperty, poszedł do kuchni i wrzucił je do ognia. - Nie chcę za was umierać - wykrzyknął i zbudowany tą ideą położył się spać.

Nazajutrz policyjna pętla powoli, ale skutecznie zaciskała się wokół kamieniczki na Przyokopowej 1. Wywiadowcy byli pewni; Zieliński i jego kompani, w towarzystwie pańienek, cały czas kotłowali się na melinie Racińskiego. Strasburger, Denhel i jeszcze dwóch ludzi weszli ostrożnie na klatkę schodową. Gdy byli już pod drzwiami, kilkunastu policjantów ustawiło się za nimi, a kolejni czekali na dole kamienicy. Aspiranci spojrzeli na siebie i na znak dany przez Strasburgera Denhel z całych sił swoją mocniejszą, prawą nogą kopnął w drzwi. Takiego kopnięcia nie oddał przez całą piłkarską karierę. Tandetne wierzeje i równie słaby zamek wleciały do środka.



- Policja - krzyknął Strasburger. - Ręce do góry! Jesteśmy hinty, nie rozumiecie, gnoje?

Nie rozumieli, bo leżeli nieprzytomni na barłogach i na ziemi. Który z nich to Zieliński? Karol Denhel omiatał pistoletem podły pokój rzeźnika Racińskiego i w końcu zrozumiał - Zieliński był z dziwką pod kocem, poznał go po meloniku, w którym najwidoczniej nawet spał i obracał szmaty. W przeciwieństwie do kolegów był niemal trzeźwy. Błyskawicznie sięgnął po browninga ukrytego pod poduszką. Denhel wypalił, a Krwawy Wiktor udowodnił, że tak jak głosiła złodziejska legenda, jego ciało było wygimnastykowane jak u cyrkowego artysty. Ranny w pierś wykonał jakiś dziki skok, ale aspiranci nie dali się zaskoczyć. Ich służbowe rewolwery wypluły kolejne kule, a jedna z nich trafiła bandytę w oko. Kula wyszła drugą stroną, tworząc na brudnej tapecie krwawy wzór.

Kurwa leżąca obok krzyczała wniebogłosy, a reszta towarzystwa próbowała się gramolić z ziemi. Ktoś się porzygał, inny był tak zamroczony, że nakrył sobie głowę i zabelkotał, by mu nie przeszkadzać. Właściciel mieszkania próbował gwałtownie się podnieść, ale był tak pijany, że tylko się uniósł na łokciach, próbując sięgnąć do leżącego na podłodze tasaka. Za tę heroiczną próbę walki z policją i własnymi słabościami aspirant Denhel nagroził go kopniakiem z prostego podbicia. Głowa rzeźnika odskoczyła jak piłka, tracąc przy okazji parę zębów i buchając krwią ze złamanego nosa.

To najlepsze kopnięcie lewą nogą, czemu nigdy nie potrafiłem tak na boisku? - absurdalną myśl Karola Denhela przerwała nawała mundurowych i agentów, którzy się wdarli do mieszkania.

Ktoś sprzedał jeszcze komuś solidnego kopa, ktoś wystrzelił do jednego z głupców, którzy próbowali niezdarnie sięgnąć po broń. Akcja zakończona bez strat własnych, a państwo nie będzie musiało tracić pieniędzy na proces, areszt, a następnie premię dla kata, który niechybnie powiesiłby Zielińskiego.

Aspirantowi przyszła do głowy jeszcze jedna myśl. Nie zarobi też na tym żaden z przemądrzałych adwokatów. Żaden z tych ubierających się u Hersego gogusiów nie zbije kapitału na obronie największego bandyty, jaki grasował ostatnio w Polsce. Karol Denhel uzmysłowił sobie, że bardziej od papug nienawdził tylko nadkomisarza Kurnatowskiego i Henryka Wcisły. Poczul, że zaczął mówić tak jak ci, pozał się Boże, policjanci. Papuga, a nie adwokat.

- Panie kolego, a może papieroska? - Aspirant Strasburger przerwał jego rozmyślenia.

- Tak, ależ oczywiście - palnął, bo przecież nie palił papierosów.

- Nigdy wcześniej nie zabiłem człowieka - powiedział Strasburger, lekko drżącymi rękoma przypalając mu papierosa. - No, może na wojnie, ale nie mam co do tego żadnej pewności.

- A ja nigdy nie paliłem papierosa - odpowiedział Denhel, krztusząc się dymem.

Strasburger się zaśmiał, spojrział na niego i z powagą powiedział: - Czy wie pan, że nie bałem się dostać w głowę?

- Poważnie?

- Poważnie, bo raz gdy strzelono w głowę policjantowi, ów żył jeszcze trzy dni.

- Jak to możliwe?

- Możliwe, panie kolego, bo kula szukała mózgu.

Karol Denhel po raz pierwszy zaśmiał się z dowcipu Strasburgera, a ten po chwili zapytał:

- A wiesz, ile jest kawałów o policjantach?

- Chyba mnóstwo?

- Nie. Tylko ten, który słyszałeś przed chwilą, a reszta to sama prawda!

Obaj rechotali jak najęci, budząc powszechne zainteresowanie mundurowych, którzy wyprowadzali zatrzymanych przestępców.

Kapitan Juliusz Beniowski znów musiał zajść do nory, w której urzędował akordeonista. Grajek szybko łapał to, co było w modzie, minęły ledwie dwa dni od zastrzelenia przez policję Wiktora Zielińskiego, a ten śpiewał już piosenkę z nowym zakończeniem:

*Wiktor, Wiktor - król bandytów,  
Nieuchwytny dziki zbój,  
Nie znał szczęścia ni zaszczytów,  
Lecz bandycki krwawy bój.*

*Był postrachem wśród Warszawy,  
Bo mordował, strzelał, bił,  
Słynął wkoło „Wiktor krwawy”,  
Który z mordów dzikich żył.*

*W swych melinach się ukrywał,*

*Był ścigany jak zły pies,  
Wiele strachu on przeżywał,  
Aż po życia nędzny kres.*

*(...) Uwolniona już Warszawa;  
Zginął postrach miast i pól,  
Pogrzebana jego sława,  
Zginął krwawy bandy król!*

Ciekawe, co jemu, kapitanowi Oddziału Drugiego Sztabu Generalnego, przyniesie los? Czy zginie w jakiejś strzelaninie, czy też z nudów za biurkiem albo ze starości we własnym łóżku? Rozmyślanie przerwało pojawienie się człowieka, na którego czekał.

- Witaj, kapitanie, nowe historie spoczywają w moich rękach
- przywitał się z nim aspirant Bachrach.

Policjant miał przy sobie wypchaną dokumentami teczkę, najlepsi fałszerze w Warszawie i Polsce, a z pewnością jedni z najbieglejszych w całej Europie przygotowali kapitanowi i jego współpracownikom bilety na nowe życie. Były perfekcyjne i zapewniały bezpieczeństwo, ale lepiej, by nigdy nie trzeba było się o tym przekonywać.

Minęło parę dni i Warszawa miała nową sensację. Pierw się ekscytowano wyczynami Krwawego Wiktora, później akcją policji, w czasie której zginął, a w końcu jego pogrzebem. Pogrzeb bandyty to dobra okazja, by poznać innych bandytów i ich

wspólników. Mordercy, złodzieje, paserzy, sutenerzy i dziwki. No i pismacy. Oni zawsze krążą jak muchy nad tym ludzkim gównem. Piszą bez pojęcia, a jeszcze głupsi od nich czytelnicy ich gazet chłoną te wypociny. Ale to nie tylko przez pismaków na pogrzeb przyszły tysiące ludzi, po prostu żegnano króla przestępców, a jego dwór się składał w większości nie ze spragnionego sensacji tłumu, lecz z kolegów i koleżanek po fachu.

W Komendzie Miasta bano się nawet jakichś rozruchów, ale wszystko poszło akuratnie. Widok kryminalistów przebranych w żałobne stroje, którzy osobiście eskortowali karawan, nieśli wieńce i składali trumnę do grobu, robił wrażenie. Łotr poszedł do piachu, a paru niedowiarków z ministerstwa mogło zobaczyć na własne oczy, jaka jest prawdziwa skala problemu. Tylu ludzi nie żegnało artystów i osób zasłużonych dla kraju, a wszystkiego nie można było wytłumaczyć sensacją. Urzędnicy kręcili na takie słowa głowami, ale Karol Denhel wiedział - nie wszyscy przyszli, grube ryby i prawdziwi arystokraci tego fachu dołożyli się co najwyżej do pogrzebu, ale zostali w domach.

To miał być specjalny dzień. Heniek z samego rana poszedł do warsztatu zobaczyć jak interesy i przy okazji podpowiedział mechanikom rozwiązanie kilku poważniejszych problemów technicznych. Niedawno zainstalował telefon i w ciągu dnia wykorzystywał kantorek stryja jako swoje biuro. Zwykle siedział przez parę godzin, ale tego dnia wypadł dość szybko. Odsztafirował się jak książkę, kupił szampana, kwiaty, czekoladki i ze swojego schowka w mieszkaniu przy Młynarskiej wyciągnął

piękny wisiołek, który miał jeszcze z czasów, gdy jako początkujący złodziej robił skoki dla szajki Kopeckich. Trzymał to cudo, bo pouczono go, że rzuca się w oczy i nie powinien go zbyt szybko spieniężać. Później przyzwyczał się do naszyjnika i traktował go jak swój skarb. Miał trochę fantów, które skitrał<sup>62</sup> tak *na wsiakij sluczaj*<sup>63</sup>. Złote świnki<sup>64</sup>, biżuterię, parę drogich kamyków i wisiołek. To była jego żelazna rezerwa, której nie miał zamiaru ruszać, ale w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że Leokadia pięknie wyglądałaby z takim wisiorkiem na szyi. Teraz właśnie był odpowiedni dzień, żeby marzenie wprowadzić w czyn!

Dziewczyna przybiegła jak zawsze, tuż po zajęciach, i nie mogła się nadziwić temu, co zastała w mieszkaniu Heńka. Na stole stały piękne kwiaty, dwa kieliszki i butelka szampana, a jej mężczyzna był odświętnie ubrany.

- Co to za okazja?

- Jak to jaka? - Heniek uśmiechnął się znacząco. - Za kilka dni masz urodziny, ale wiadomo, rodzice gdzieś cię porwą, do tego nie pogratulowałem ci matury i studiowania. Uzbierało się! A teraz zamknij, proszę, oczy.

Wyjął z pudełeczka wisiołek i zawiesił go Leokadii na szyi.

- Otwórz oczy, już można.

Leokadia spojrzała na łańcuszek ze złota, do którego był przyczepiony mały brylancik, i aż pisnęła z zachwytem.

- Jaki piękny! Jesteś kochany, Heniu, naprawdę jesteś kochany.

Nim zdążył zareagować, zdjęła bluzkę oraz bieliznę i wyeksponowała podarunek naga, jak tancerka z kabaretu. Poluźnił krawat i wolno podszedł do niej, czując, że choć każde

popołudnie spędzone z Łodzią w jego mieszkaniu było wyjątkowe, to akurat to będzie jeszcze wspanialsze od innych. Nie było tak, jak przypuszczał, było znacznie lepiej i wspanialej... Po wszystkim padli obok siebie bez tchu, a Łodzia, całując go, powiedziała:

- Jest piękny, taki wyjątkowy...

- Cieszę się, sądzę, że jest godny ciebie i twojej urody.

- Ale nie mogę go nosić, wiesz dlaczego?

- Domyślam się - przyznał z żalem.

- Rodzice od razu zapytaliby mnie, skąd go mam, byłaby straszna afera.

- No jasne, ale zawsze możesz powiedzieć, że wygrałaś to na loterii!

Roześmieli się obydwój, a Leokadia powiedziała:

- W takim razie musiałbym też powiedzieć o mojej głównej wygranej!

- Czyli?

- O tobie, mój głuptasie, o tobie! - Podniosła głowę, oparła się na jego klatce piersiowej i patrząc mu w oczy, mówiła dalej: - Ty jesteś jak mój szczęśliwy los, nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, rozumiesz?

- To mówiąc, położyła głowę na jego piersiach i przytuliła się tak, jakby ktoś chciał go od niej zabrać. - Nie rozumiesz, nie rozumiesz, nie rozumiesz. - Zaczęła walić go pięściami i bić czołem w piersi.

- Rozumiem kochana, rozumiem. - Heniek przytulił Leokadię, która zaczęła płakać.

- Nie rozumiesz, bo ja cię mam i nie mam, bo jesteś, a cię nie ma!

- Wiem o tym, kochana, wiem.

Jak długo będą tak żyć, jak długo wytrzyma ten szalony związek oparty na niezwykłym porozumieniu dusz i nieskończonym pożądanii, jak długo uda im się wytrwać w tej miłosnej konspiracji i do czego to wszystko doprowadzi? Z rozmyślenia wyrwało go pukanie do drzwi. Najpierw myślał, że się przesłyszał, ale stukanie stawało się coraz wyraźniejsze i bardziej natarczywe. Heniek zastygł, ściskając Leokadię...

- Ki diabeł? Kto się dobija do drzwi o tej porze?

Leokadia się wsunęła pod kołdrę, a Heniek wciągnął majtki i ostrożnie podszedł do drzwi. Wyjrzał przez judasza. Na korytarzu stała Zośka. Była zapłakana, domyślił się wszystkiego.

- Zaraz, już otwieram - rzucił.

Wciągnął szybko spodnie i podkoszulek i przytknął drzwi do pokoju.

- Co się stało? - bez zbędnych ceregieli przywitał swoją starszą kuzynkę. - Rysiek?

Dopiero teraz zauważył, że Zośka była razem z małym Wicusiem, a po chwili dostrzegł coś, co powstrzymało go od dalszych pytań. Zośka miała na twarzy wielki siniak.

- To skurwysyn!

Uścisnął swoją kuzynkę i posadził ją na krześle.

- Poczekajcie, pięć minut i będę gotowy.

Zniknął w pokoju, tam z grubsza wytłumaczył Leokadii, o co chodzi, i zaczął organizować swoją wizytę w norze przy Freta, dokąd Zośka się przeniosła z Powiśla. Browninga nie brał, bo nie



miał o Ryśku zbyt wysokiego mniemania, wziął za to szpadrynę. Gdy jego młoda kochanka była już ubrana, chcąc nie chcąc, musiał ją przedstawić Zośce.

- Poznajcie się, moja starsza kuzynka Zośka i Leokadia... - Co powiedzieć więcej? Nie bardzo wiedział. Narzeczona, kochanka? - Eee - zająknął się - moja Leokadia! - wybrnął na koniec. - A ten brzdąc to Wicus, w sumie to jestem dla niego wujkiem - powiedział z dumą.

Nieco krępująca i nieplanowana prezentacja została zakończona, wyszli więc z domu, a na ruchliwym rogu Złotej z Żelazną Heniek szybko złapał dorożkę dla Leokadii i taksówkę dla siebie oraz Zośki i Wicusia. Po jakichś dwudziestu minutach przedarli się przez żydowską dzielnicę i dojechali do Starego Miasta. To nie była najlepsza część Warszawy.

Razem z Powązkami, biedniejszymi częściami żydowskiej dzielnicy oraz Nowym Miastem i Powiślem Stare Miasto tworzyło pas nędzy, w którym brakowało dosłownie wszystkiego. Ciasne uliczki, toalety w podwórkach, bez bieżącej wody i prądu, czyli jak w większej części miasta, ale gorsze dzielnice także miały swoje zasobniejsze i biedniejsze rewiry. Pieniądze Heńka pomogły Zośce i Wicusowi wydostać się z najgorszej części Powiśla, ale awans rodziny Klajstrów nie był szczególnie okazały. Było biednie, ale do tej pory Zośka się nie skarżyła na Ryśka. W jej rozmowach mąż był wciąż jej Rysieńkiem, który na pewno się poprawi i, jeśli nie za miesiąc, to może za pół roku, góra rok, znów będzie tak jak dawniej. Teraz już nawet ona nie wierzyła, że jej los się odmieni. Po drodze opowiedziała Heńkowi, jakim draniem jest Ryszard

Klajster, ile się przez niego wycierpiała, i jak bardzo go nienawidzi.

Weszli do kamieniczki przy Freta i poszli skrzypiącymi schodami na poddasze.

Dokumenty nie zawsze muszą być dobrze sfalszowane, czasem wystarcza po prostu tupet. Farmazoni, które założyły swoją filię Związku Inwalidów Wojennych, miały mocne papiery i wystarczającą bezczelność, by nabrać prawie sto osób. Nabijali w butelkę ludzi w całej Polsce, aż w końcu zagrali o jedno zero za dużo. Znużeni datkami po kilka i kilkadziesiąt złotych postanowili hurtem pomnożyć swój łup. Mieli już „zaksięgowane” prawie trzy tysiące złotych, ale wierzyli, że ich kolejna ofiara - książę pszczyński - da drugie tyle. I tu trafiła kosa na kamień. Jan Henryk XV Hochberg okazał się dobrym celem, książę pan był dopiero od trzech lat obywatelem Rzeczypospolitej i bardzo zabiegał o to, by zapomniano mu jego poprzednie imię Hans Heinrich oraz wspieranie sił niemieckich w czasie trzeciego powstania śląskiego. Mówił, że jest Piastem, udzielał się towarzysko i wspierał potrzebujących. Okrągła sumka niechybnie trafiłaby do kieszeni oszustów, ale sekretarz księcia oraz rachmistrz nie brali pieniędzy za nic.

Delegaci Związku Inwalidów Wojennych zostali przez nich dokładnie sprawdzeni. Ich nazwisk nie znano oczywiście w warszawskiej centrali związku i zamiast wizyty u księcia Jana Henryka była przymusowa audyencja u szefa pszczyńskiej policji. Łobuzy nazywali się Józef Hanszke i Mieczysław Różycki. Ten

pierwszy był z Katowic i miał gadane, ten drugi z Warszawy i zajmował się organizacją i kwitami. Śląska policja wysłała do warszawskiego Urzędu Śledczego prośbę o pomoc, a ludzie z Daniłowiczowskiej wywiązali się ze swojego zadania dobrze, a może nawet lepiej niż dobrze, bo pod nieobecność szefa brygady fałszerskiej swoje pięć minut miał Karol Denhel.

- Aspirancie Denhel, weźmie pan dwóch ludzi i zatrzyma pan niejakiego Leona Różyckiego. To mały farmazon, który może być zaplątany w grubszą sprawę - wyjaśniał podkomisarz Pijanowski.  
- Jego brat miał na Śląsku gościnne występy, jest więc szansa, że jak do niego wpadniemy, to znajdziemy jeszcze obciążające go dokumenty. Wyobraź pan sobie, że razem z drugim typkiem z Katowic założyli swój własny, prywatny Związek Inwalidów Wojennych i zbierają dranie datki. Szło im dobrze, ale chcieli upolować grubego zwierza, księcia z Pszczyny. Czy to nie przypadkiem jakiś pana krewny? - zaśmiał się podkomisarz.

Denhel zagryzł wargi i nic nie odpowiedział. Kpienie z jego szlacheckiego pochodzenia, manier, wykształcenia, a także pozycji ojca nadal grało mu na nerwach, ale potrafił się już opanować. Wziął dwóch ludzi i pojechał na Tamkę związać Różyckiego. Nie było go w domu, ale otworzyła im żona. Nie marnowali czasu, robiąc kipisz w rzeczach właściciela mieszkania, a gdy po dwóch godzinach wszedł Różycki, zestaw obciążających go dokumentów i przedmiotów leżał na stole. Oszust wyglądał jak rażony piorunem, ale szybko się pozbierał. Był nawet bezczelny.

- Jaka wy tam policja, nie ma tu nikogo z brygady fałszerskiej. Jesteście przebierańcy, czego chcecie, po co tu przyszliście?

- Jak będziesz pyskował, to spadniesz ze schodów, bo ze skutymi rękoma łatwo o wypadek - pouczył go spokojnie tajniak. - Jak masz robaki, to trudno, możesz się wiercić, ale zamknij paszczę, bo jeszcze nie skończyliśmy przeszukiwania twojej nory.

Wszystko już było niemal na ukończeniu, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Stojący przy wejściu wywiadowca wykazał się lepszym refleksem od oszusta i zanim ten krzyknął, pociągnął gwałtownie za drzwi i wymierzył rewolwer w czekającego na klatce schodowej mężczyznę.

Wszyscy zebrani byli w szoku. W drzwiach stał szef brygady fałszerskiej aspirant Daniel Bachrach.

Heniek pchnął drzwi, a jego oczom ukazał się obraz najgorszej złodziejskiej meliny. Zapadnięte łóżka, a w zasadzie barłogi, dziurawa podłoga, wypaczone okna i chybotający się stół, przy którym siedział Rysiek z dwoma typami. Nastrój mieli dobry i wejście Heńka wcale to a wcale go nie popsuło. Jedna flaszka wódki była już opróżniona do dna, a drugą mąż Zośki rozlewał do trzech szklanek.

- Siadaj, Heniu, starczy i dla ciebie!

Heniek podszedł bliżej, wolnym krokiem, który wyrażał rezerwę i brak zainteresowania propozycją. Stanął nad nimi, ale nie zrobiło to na Ryśku i jego kumplach żadnego wrażenia. Wyraźnie lekceważyli jego obecność i wyczekującą pozę. Gospodarz meliny bagatelizował sytuację i patrzył na Heńka z kpiącym uśmiechem.

- No siadaj - zagadnął Rysiek. - Nie gniewaj się, bo nie masz o co. Pewno Zośka naopowiadała ci jakichś pierdoł. - Zarechotał, a wraz z nim jego kompani. - Niezdara jest i się o framugę przypalantowała.

- Śmiech łobuzów był jeszcze donośniejszy. - No siadaj, kochany, i się napij ze starszymi - zamknął wypowiedź słowami, które brzmiały jak propozycja bogów dla śmiertelnika, by wypił z nimi czarę ambrozji.

Heńka trochę ta pewność siebie zaskoczyła, więc Rysiek Klajster się poczuł jeszcze pewniej. Był podпиты i błędnie ocenił, że skutecznie zblatował młodszego kuzyna swojej żony, dlatego poszedł o krok dalej.

- A gdyby nawet tak się zdarzyło, że Zośka dostałaby fangę w nos, to co?

- Kompani byli w siódmym niebie i przywitali te słowa radosnym skowytem. Przypominali dwa kojoty pochylone nad przetłuszczonymi kartami i szklankami z wódką.

- No właśnie, to co? - zapytał jeden.

- No przecież, że nic - dodał drugi. - Bo jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije!

Heniek zacisnął pięści i starał się nie stracić cierpliwości. Wiedział, że to i tak się stanie, ale musiał wszystko rozegrać po swojemu, na zimno i krok po kroku.

- Ja rozleję - powiedział.

Rysiek cały się cieszył. Wszystko układało się po jego myśli. Młody kogucik przybiegł w tę pędy na ratunek, ale rura mu zmięknęła! Niezły ubaw, bo raz, że rozegrał to po swojemu, dwa, że za chwileczkę Heniek miał rozlać kolejeczkę i pewnie zaraz skoczy

w try miga po następną, no i trzy, że ośmieszył swoją żonę. Ta głupia Zośka myślała, że pójdzie do kuzyniaka i mu się poskarży, a on zrobi porządek! Chłopak zdrowy jest i szemrany, więc jak poleje, to się do nich dosiądzie, mając w nosie babskie zawodzenie. Wiedział, że jest szemrany, ale widział w nim pizpana i lamusa, który mu nie podskoczy. Głowa Rysia Klajstra lekko szumiała, zupełnie jak projektor w kinie, i podobnie jak on wyświetlała przed nim piękny film. Chłopaczyna nie tylko kupi flaszkę i oleje Zośkę, ale i wciągnie go w jakiś interes. Klajster już się widział na jakiejś klawej robótce albo organizującego na frajerach poważny geszeft. Heniek to miękka rura, więc to on wkrótce przejmie jego interesy. Rysio śmiał się już nie tylko w myślach.

Tymczasem Heniek chwycił butelkę i nagle rozbił ją na szwagrowym łbie. Szkło się rozprysło, a mąż Zośki zwał się z jękiem pod stół. Zanim pod nim wylądował, Heniek trzasnął o blat łbem jednego z jego kumpli, a temu, który próbował się poderwać, wyjechał z buta w krocze. Rysiek był w szoku, bo kuzyn Zośki rozwalił go w drobiazgi; najpierw zupełnie bez emocji strzelił z obcasa w brzuch, a później poprawił po facjacie. Zrozumiał, że ma do czynienia z kimś, kto zapomina o wersalu i jak trzeba, potrafi skopać leżącego. Tracąc świadomość, widział, jak Heniek dokonuje jatki na jego kompanach.

Temu, któremu rozwalił twarz o blat, dał jeszcze kopa w korpus, a drugiemu, co trzymał się za klejnoty, przywalił delikatnego stempla na czoło. Cała trójka leżała na ziemi, pojękując żałośnie, a spod jednego z kumpli Ryśka wypłynęła strużka moczu. Heniek wziął go za kołnierz i wycedził:

- Słuchaj, łajzo, zapaskudziłeś mojej kuzynce podłogę, więc teraz musisz ją wytrzeć.

To mówiąc, chwycił go za włosy i gwałtownym ruchem uderzył głową o kałużę. Rozległo się kwiczenie, a szczyny bandyty zmieszały się z jego krwią.

- Wypieprzaj, gnoju, na korytarz. - Heniek przeciągnął skowyczącego z bólu delikwenta przez próg, po czym nogą zepchnął go ze schodów.

Teraz Wcisło podszedł do szwagra. Wylał mu na głowę resztki wódki z flaszki, a następnie ocucił go wodą z wiadra. Gdy Rysiek otworzył zamglone oczy, podsunął czubek buta pod jego policzek i uniósł do góry.

- Podnoś się sam albo zrobisz to na kopach. Nie mazgaj się, przypalantowałeś łbem o flaszkę, niezdaro. Czyż nie tak?

Rysiek pokornie kiwnął głową i zaczął się gramolić do góry. Trzeci typ jak na komendę też zaczął się zbierać, ale tempo w jakim dochodził do pionu, nie spodobało się Heńkowi.

- Wypieprzaj! Zanim policzę do trzech, masz być na ulicy, bo jak nie, to może ci się stać jakaś krzywda. Ślisko jest, a ty jesteś pijany, więc zupełnie niepotrzebnie się wywrócisz i wybijesz wszystkie zęby.

Na te słowa typek jęcząc i postępując, zebrał się z podłogi. Z trudem utrzymywał równowagę, jakby w pokoiku na Freta wiał jakiś wicher.

- Weź tę drugą przybłędę, co tarasuje schody, i grzecznie się wynoście jak najdalej stąd!

Zaciekawieni sąsiedzi z zainteresowaniem patrzyli przez pouchylane drzwi, jak łobuzy, trzymając się poręczy, schodziły na

parter.

- Co tu się dzieje? - zapiszczał sąsiad z naprzeciwka, tłuśtawy brunet z wąsikami jak Chaplin.

- No właśnie, co tu się dzieje? - dołączyła się baba w papilotach, która wystawiła swą koafiurę z drzwi piętro niżej. - Ja zaraz policję zawezwę.

- Paniusiu, wzywaj i to szybko, bo tu mieszka skurwysyn, co własną żonę bije - wycedził Heniek. - Nie mogłaś, szantrapo, wzywać policji, jak ją bił wcześniej? Schowaj tę tępą mazurek, bo ci jeszcze ktoś ją drzwiami przytrzyma!

Baba szybko zniknęła, podobnie jak tłuśty Chaplin, na całej klatce słycać było szczęk zasuw i zamków.

- No, to skoro jesteście już sami, to załatwimy parę spraw. Nie jestem takim skurwysynem jak ty, więc nie będę cię więcej bił. Połamałbym ci nogi, ale jakoś musisz dojść na pogotowie, smutna łajzo. Zanim to nastąpi, podjedziemy do pana papugi i podpiszesz wnioski rozwodowe. Sprawa ma być załatwiona szybciotko i bezszmerowo, a jeśli zbliżysz się, śmieciu, do Zośki, to przypilnuję, żeby twój nos był nie do złożenia. Może się tak stać, że będziesz miał pecha i ci jeszcze szuflada palce przytrzyma. Kapujesz, o co chodzi?

Szwagier popatrzył na niego przekrwionymi oczyma i pokornie pokiwał głową.

- Masz tu stówkę i się urządź gdzieś, jak najdalej stąd. Jeśli tu przyzełguesz, szmaciarzu, to wiesz, że cię znajdę. Rozumiemy się?

Parę godzin później było już po sprawie, Ryszard Kłajster jechał pociągiem do Gdyni, tam podobno była robota i nikt nikogo



o nic nie pytał.

Tymczasem przy Tamce sytuacja wyglądała co najmniej dziwnie. Pierwszy milczenie przerwał Różycki.

- Panie aspirancie, niech pan ratuje - krzyknął. - To jakieś grube nieporozumienie!

To nie była odzywka, na jaką czekał Bachrach, szybko jednak opanował zmieszanie.

- To mój informator! - Okazał zdecydowanie i tupet. - Zostaje w domu!

- Najpierw Daniłowiczowska. - Denhel też był twardy. - A pan także złoży stosowne wyjaśnienia. - Mówił to, nie chowając rewolweru.

- Ja? - Bachrach autentycznie się zdziwił. - Żartujesz, chłopaku!

Szef brygady fałszerskiej szybko pożałował swoich słów, bo Denhel wyciągnął lewą ręką kajdanki i rozkazał:

- Zakładaj bransoletki!

Bachrach roześmiał mu się w twarz, a Denhel uniósł w górę rękę z naganem. Nie przystawił jednak lufy do jego czoła, lecz zdzielił go rewolwerem po głowie. Bachrach się zalał krwią i padł na ziemię.

- Wariat - zajęczał. - Wariat, sami widzicie, to wariat, pomocy!

- Pomoc zaraz nadejdzie - powiedział przez zaciśnięte wargi Denhel. - Skujcie Leosia, a ja pana aspiranta.

Tajniacy szybko wykonali polecenie. Gdy aspirant Denhel skuł Bachracha i zabrał mu służbową broń, zaczął przeglądać

zawartość kieszeni płaszcza oraz teczki, którą miał przy sobie policjant. Była niemal pusta, zawierała trochę dokumentów i dziesięć tysięcy złotych.

- Fiu, fiu - tajniak nie mógł się pohamować,-żeby nie okazać zdziwienia.

- Fiu, fiu - powtórzył Karol Denhel. - Fiu, fiu, panie aspirancie, jesteś pan ugotowany!

Zanim dotarli na Daniłowiczowską, dorożka przystanęła przy aptece, tam aspirant Karol Denhel skorzystał z telefonu. Wybrał numer do Wydziału III Personalno-Dyscyplinarnego Komendy Głównej Policji Państwowej i poprosił z dyżurnym. Ten wysłuchał go, powiedział tylko: „Ale się porobiło” i przełączył na numer kierownika działu dyscyplinarnego. Nigdy przedtem nikt wyższy stopniem nie słuchał go z taką uwagą i skupieniem.

## DZIEŃ NA WYŚCIGACH

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 24 października roku 1926*

*W szkole mówili nam, że niedawno, bo jakiś tydzień temu, Pan Prezydent zarządził, że będziemy mieli kolejkę elektryczną. Pociąg na prąd, zupełnie jak tramwaj! Ma kursować z Warszawy do Grodziska Mazowieckiego i Żyrardowa. Powiedziałam to Heńkowi, bo on przecież prawie kolejarz, ale tylko wzruszył ramionami i odparł, że na świecie już od dawna tak jest i że widział taki pociąg po drugiej stronie Tatr w Czechosłowacji.*

Aspirant Karol Denhel miał za sobą niezwykle udane dni. Po akcji, podczas której on i Strasburger zastrzelili Krwawego Wiktora, przyszła oficjalna pochwała. Wiadomo było, że w takiej sytuacji Kurnatowski się go tak łatwo nie pozbędzie i nie ześle, ot tak sobie, do policji drogowej. Przy tej okazji odbudował także relacje ze Strasburgerem, które nadwątlili awantura na placu Teatralnym. Najważniejsze było jednak odkrycie niebezpiecznych

powiązań, jakie miał ze światem przestępczym szef brygady fałszerskiej i jednocześnie prawa ręka Kurnatowskiego. Okazało się, że trop, na który trochę przez swój upór i dociekliwość, a trochę dzięki szczęściu, wpadł Denhel, nie był jedynym sygnałem, który otrzymał dział dyscypliny, a gwoździem do trumny okazała się wysłana telegrafem informacja od wiedeńskiej policji. Austriacy bili na alarm, że warszawska policja zatrudnia herszta potężnej szajki, która swoimi nićmi oplótła Wiedeń i Warszawę. Okazało się, że Bachrach był szefem wielkiego przedsięwzięcia, które produkowało fałszywe banknoty.

Ruszyła fala aresztowań, byłego już kierownika brygady fałszerskiej osadzono w cytadeli, a po warszawskich aresztach rozlokowano kilkudziesięciu przestępców, którzy wpadli wraz ze swoim szefem - policjantem. Kurnatowski był kompletnie rozbity, ale na widok Karola Denhela się ożywił, rzucając mu nienawistne spojrzenia. Więcej nie mógł, a aspirant Denhel napawał się tym, jak bezradny był teraz zastępca naczelnika, a jeszcze mocniej cieszyło go, że jak głośiły plotki, jego dni na wysokim stanowisku były już policzone.

Dobrego humoru nie była w stanie zepsuć nawet niedziela na wyścigach. Nie lubił ani koni, ani wyścigów, a do stanu irytacji doprowadzali go zawsze gracze i kawalerzyści. Eliza uparła się jednak, by pójść na Pole Mokotowskie, więc poszedł. Kiedy indziej byłoby to niemożliwe, ale teraz czuł się panem świata, którego spokoju nie były w stanie zmącić nawet te idiotyczne końskie igrzyska.

Heniek i kapitan mieli się już dawno temu wybrać na wyścigi. Nie składało się jednak i zamiast na Wielką Warszawską trafili na jedną z ostatnich gonitw sezonu.

- Na co stawiać? - zapytał Beniowski.

- Na konia, który wygra! - zaśmiał się Wcisło.

Była z tego kupa śmiechu, ale kiedy się opanowali, Beniowski uściślił pytanie.

- Więc kto wygra?

- Dawaj nuty<sup>65</sup> - powiedział Heniek, biorąc do ręki program. - Ho, ho, już na najbliższej gonitwie jest konik, który mi podchodzi - ucieszył się. - Według wszelkich znaków na niebie i na ziemi pierwszy przyjdzie Forward od Grzybowskiego. To genialny koń, derbista! Wygrał przed rokiem w pięknym stylu, a w tym roku dołożył triumf w Wielkiej Warszawskiej. To faworyt, mało płacą, ale - Heniek uśmiechnął się i uniósł palec. - Ja bardzo dużo stawiam.

- Ile?

- Tysiąc złotych!

- Ryzykant z ciebie.

- Nie, to racjonalny wybór, ja rzadko kiedy daję na siano. Gracze, chcąc zarobić wielkie pieniądze, stawiają na dziki, fuksy i faworytów z drugiego szeregu. Ja gram wysoko na pewniaków i to mi się opłaca. Zarabiam stawką, a nie ryzykiem. Forward to bank, stojak, słup! Nazywaj, jak chcesz, on wisi jak ta lala! Poza tym zawsze gram tylko z góry, nie napalam się na dwójki, trójki i czwórki. Co to, to nie. Rzadko kiedy porządki, choć zdarzało mi się, jeśli byli naprawdę mocni faworyci, zagrać kwintę<sup>66</sup>.

- Przez lata grałeś tak po to, by ukryć inne źródła dochodów, byłeś kolekcjonerem wygranych kuponów.

- To prawda, ale od paru rozsądnych ludzi się nauczyłem tej strategii. Nie jestem pazerny. Masz tysiąka, żeby postawić na Forwarda?

- Nie mam, nie noszę takiej forsy przy sobie.

- Ale ja mam i mogę pożyczyć. - Julek się wahał, więc Heniek szybko pomógł mu w podjęciu decyzji. - Pożyczam na niski procent... - kusił.

- Na jaki?

- Jak wygrasz, to stawiasz kolację! Stoi?

- Stoi.

Emocji nie było, Forward wygrał w pięknym stylu, potwierdzając, że jest najlepszym koniem na Polu Mokotowskim. W tłumie Heniek zobaczył znajomą twarz, to był ten młody pies z Urzędu Śledczego, uklonił mu się więc i zamachał forszą i wygranym kuponem.

- No i co? No i co? - triumfował Wciślak.

- No i mamy po parę stówek do przodu! - krzyczał Julek.

- Oficerska pensyjka z premią w parę minut, ha, ha! - cieszył się Wcisło.

Nagle Julka przeszedł po plecach dreszcz. Co by było, gdyby przegrał, jakby spłacił ten tysiąc? Przez głowę przeleciały mu tragiczne wizje.

- Ale co by było, gdyby jeździec dał ciała?

- Co ty, nawet byle sztynkier<sup>67</sup> dałby radę! On jest nie do zatrzymania, widziałeś, jak poszedł z miejsca do miejsca?

- A gdyby Forward okulał? Wypadki się zdarzają na torze.

- Panie kapitanie, a co by było, gdyby pana przejechał automobil? - To mówiąc, Heniek pociągnął Julka za łokieć, co i tak nie uchroniło go przed przeciągłym atakiem dźwięku samochodowego klaksonu oraz wiązką puszczonej przez kierowcę nadjeżdżającej taksówki. - Wypadki chodzą po ludziach, wiedz pan o tym i nie wychodź z domu. Zmień pan pracę na spokojniejszą. Wiesz pan, rezygnuję ze swojego procentu, zwracaj pan goły tysiąc, bo jak pójdziemy do restauracji, to możemy się zatruć, zdarza się to nawet w najlepszych lokalach!

Wybuchnęli śmiechem i poszli w kierunku Mokotowskiej.

Karol Denhel nie był już w dobrym nastroju, był zły jak osa. Musiał więc wytłumaczyć Elizie, że to nie dlatego, że namówiła go, żeby postawił dziesięć złotych na fuksa, który miał ograć Forwarda. Powiedział, że go boli głowa, no bo co miał jej powiedzieć? Ze to przez tego wolskiego przybłędę, który się zameldował na torze razem z tym dwójkarzem Beniowskim i na jego oczach wygrali dobre pieniądze?

Pociągnął za nimi nienawistnym wzrokiem, czego się ten pętaś dotknął, zamieniało się w złoto. On przegrał dziś blisko trzydzieści złotych, a tamci zgarnęli po parę stówek, w dodatku Wcisło wyłowił go jakimś cudem z tłumu i jeszcze się bezczelnie ukłonił, wymachując wygraną.

Cierpliwość i systematyczność, oto co najbardziej w robocie popłaca. Żmudna robota przypominająca trochę rozplątywanie

potarganej przez kota włóczki, a trochę przejście przez labirynt. Karol Denhel nie lubił wyścigów, ale musiał polubić, bo stałym gościem był tam Wcisło. Dyskretnie go śledził, szukając jakiejś wskazówki, jakiegoś nowego tropu. Na razie cotygodniowa katorga, jaką odbywał na Polu Mokotowskim, nie przyniosła żadnych efektów poza stratą kilkudziesięciu złotych. Ale za to Eliza wygrywała i była cała w skowronkach, że nagle w końcówce sezonu jej ukochany (nienawidził tego słowa), jej pyszczek (tego jeszcze bardziej) polubił wyścigi konne.

Towarzysząc Elizie i jej znajomym, przyglądał się sukcesom Wcisły; musiał mieć jakieś cynki, bo rozmawiał z innymi graczami, ale z drugiej strony to, co robił, było do bólu przewidywalne. Wcisło grał tylko na pewniaki! Zarabiał czasem pięćdziesiąt - sześćdziesiąt groszy z postawionej złotówki, ale za to zawsze stawiał pokaźne sumy. Po co mu byli ci konsultanci i te rozmowy? Nie stawiał we wszystkich gonitwach, tylko tam, gdzie był pewny, że nie dojdzie do jakichś cudów, a cuda tak na wyścigach, jak i w życiu się zdarzają. Czy można byłoby go za to posadzić? Postanowił porozmawiać o tym ze Strasburgerem, z którym nieco się zakolegowali. Nie przyznał mu się, że prowadzi prywatne śledztwo, sprzedał to wszystko jako cynk, który dostał od informatora.

- Słuchaj, kolego, informator powiedział mi, że jeden z jego sąsiadów gra na wyścigach. Gra i wygrywa, bo ma tam liczne kontakty.

- A jakie? Dżokeje, właściciele stajni, weterynarze?

- Nie - zmieszał się Denhel. - Inni gracze. Ten gość bierze udział w takiej giełdzie, oni, to znaczy gracze, wymieniają się



informacjami, to jak szajka, prawda?

- A jak on wygrywa? Czy często stawia na sensacyjne rozwiązania?

- Nie, leci po pewniakach.

- Kolego, to lipa! Mówisz, że masz cynk od informatora, że na Polu Mokotowskim jest gość, który regularnie wygrywa i to wygrywa wyłącznie wtedy, gdy stawia na pewniaki. Gdyby jechał na fuksach, to byłaby granda, to wtedy mógłbyś mówić, żeś namierzył szajkę, która ustawia gonitwy. Tymczasem masz do czynienia z ostrożnym graczem, który ma swoje kontakty i poprzez nie zmniejsza ryzyko omyłki. Tu pogada, tam podsłucha, tu mu ktoś podpowie; czy na ten przykład ktoś nie słyszał, że faworyt był ostatnio często nawiedzany przez weterynarza albo że się dżokej spił wczoraj w szynku i pewno dziś nie poprowadzi konia jak trzeba, albo że ci, co mają zarobić, stawiają na fuksa. Może i wie o różnych lewych sprawach, ale trzyma się od nich z daleka, nie korzysta z szemranych cynków. Niestety ten ktoś jest czysty jak łza i gładki jak pupa niemowlęcia, no chyba że...

- Chyba że co?

- Wiesz, że każdy ma swoje słabości, każdy popełnia błędy, może i ten twój gagatek zrobi ci miłą niespodziankę i się podłoży koncertowo. Musisz być jednak cierpliwy, a ty chyba jesteś?

Był cierpliwy i uparty jak nikt w Urzędzie Śledczym, więc się w końcu doczekał.

Wiesiek Karolak był wściekły, wściekły i upokorzony. Poszedł na wyścigi postawić nędzną złotówkę. Chciał ją cudownie

rozmnożyć, z jednej zrobić dwie, z dwóch cztery, z czterech osiem, a z ośmiu... Z ośmiu zrobiło się zero, nul... Jakiś głos podpowiadał mu: „Wiesiu, pohamuj się, siedem złotych, które wygrałeś, to mająteczek, jakiego dawno nie miałeś”. Nie potrafił się jednak opanować i postawił na chabetę, na którą było wielkie przebicie. Nie udało się, nie było szesnastu złotych, była prawie pusta kieszeń. Wlokąc się z Pola Mokotowskiego, wyłowił w tłumie znaną mu postać.

Cholera, to on! Ten gnojek! Poznałby go wszędzie, to ten w te i nazad Heniek Wcisło, starszy o parę latek, ubrany jak jakiś lord, szedł z drugim elegancikiem. Wyglądał jak pan pełną gębą, a mówili przecież, że spadły na niego wszystkie możliwe nieszczęścia. Widać się podniósł, żyje i to jak, kiedy on, słynny kiedyś Pan Szafa, pomyka teraz w wytartym płaszczyku, zdartych butach, pomiętym kapeluszu. Gdzie ten gnojek mieszka, bo na pewno nie jest też bez dachu nad głową? A parę lat temu, tak niedawno, wszystko było jak należy. Była forsa, wódzia i panienki, a od czasu do czasu... Był teraz obszar- pańcem, pił po najpodlejszych szynkach, a panienki tylko te tańsze, nie do końca domyte i tylko od święta, czyli raz na miesiąc, jak dobrze poszło. Kiedyś święto było co parę dni i wyglądało jak prawdziwa bajka. Był pomagierem Walerego i Jadwigi Kopeckich, wykonywał ich polecenia, oni mu odpalali dołę i życie wyglądało jak z obrazka. Kradli, pili, mieszkali w dobrych hotelach i pensjonatach. Nie ma co, zabawa była fest, a panienek nie brakowało.

Czasem było coś więcej, od święta, jak szef Walery Kopeccki zalał pałę, co zdarzało mu się dość często, a Jadwiga miała melodię, co też działo się nierzadko, to miał specjalną premię.

Chciało mu się wyc na wspomnienie dobrego alkoholu, czystego, wygodnego łóżka i pachnącej, brawurowej jak wyścigowa klacz Jadwigi. Jego szefowa zatracala się w tym, co robiła, bez pamięci, była zarazem jak diabeł i anioł w jednej osobie. Nie ma jej, nie ma tamtego życia. Wszystko się zaczęło od skoku na Nowym Swiecie i pijatyki na Siekierkach. Heniek otworzył kasę i z miejsca stał się bohaterem wieczoru, bardzo długiego wieczoru. Jadwiga zabrała go ze sobą pod pretekstem rozmowy, tymczasem jak zwykle Waleremu film się zerwał jak taśma w tanim kinematografie, a wtedy ten szczył wskoczył jej do łóżka. Zazdrościł mu, nienawidził, ale nic nie mógł zrobić, bo Heniek pierdzieniek stał się pupilem szefostwa.

Kurwa ich mać, myśleli, że mają w ręku nowego Szpicbródkę. Na początku nawet tak było, robił bezszmerowo kasy i dawał zarabiać całej reszcie, aż pewnego dnia opuścił interes. Powiedział, mały chujek, że za dużo tych skoków i że trzeba sobie ten następny na fabrykę lutniczą Panufnika odpuścić. Chcieli mu więcej odpalić, błagali go, a Jadwiga szeptała mu coś do ucha. Nic z tego. Rozstali się, gnojek poszedł w swoją stronę i tyle go widzieli. Miał rację, kasa u Panufnika była pusta, okazało się, że na skrzypcach można było tylko zbankrutować, a najgorsze, że po tym gówniarzu Jadwiga nie była już taka chętna. Tęskniła za nim jak suka za psem i zamknęła kramik na cztery spusty. Zrobiło się nerwowo, a wzorem mężusia zaczęła nadużywać alkoholu. Próbował w tym pijaństwie się dopchać i doprosić tego, co było kiedyś jego. Parę razy się udało, ale nie było już tak dobrze jak dawniej.

Czar przysł, kurewska jego mać, do tego przy bankietowym życiu, w które wpadli, flota szybko wypłynęła. Próbowali zrobić skok na sklep. Wyszła z tego wielka chryja, pryncypałowicie wpadli, a on został się sam jak palec. To ich wina, że wpuścili gówniarza do bandy, a mogło być po staremu. Nie było takiej kasy, ale było pewnie i przyjemnie. Doegrali się, a on teraz kombinował z dnia na dzień i czuł się jak fiut na zimnym wietrze. Gdy zobaczył go po wyścigach, to najchętniej przepchnąłby się przez tłum i uczynił mu z bużki kotlet siekany. Nie, tego zrobić nie mógł. Schował dumę do kieszeni i podbiegł do dawnego kompana.

- Heniek!

- To ty?

- Tak, to ja, Wiesiek Karolak, Pan Szafa do usług - uśmiechnął się przymilnie. Kolega Heńka stał obok i się nie palił do prezentacji. Wiesiek wyczuł to i powstrzymał się od wyciągnięcia dłoni. - Heniu, za pozwoleniem, możesz na słówko?

Heniek skinął głową i pokazał temu drugiemu gestem ręki, że zaraz do niego dołączy, widocznie szli gdzieś razem. Mogli iść wszędzie, bo wyglądali na dzianych gości.

- Masz jakąś sprawę? - zaczął prosto z mostu Heniek, lustrując go równocześnie wzrokiem. - Nie powodzi ci się za specjalnie?

- A, takie tam przejściowe kłopoty. - Karolak próbował trzymać fason. - Ale jakbyś dał mi przystąpić do jakiej roboty...

- Nie ma żadnej roboty.

- Jak to, nie ma żadnej roboty?

- Skończyłem z tym fachem. - Heniek popatrzył mu w twarz, po czym sięgnął po portfel. - Wiem, że Kopecy wpadli, masz tu pięć dyszek, może jakoś złapiesz oddech. Na mnie już czas, rozumiesz,

interesy. - Wepchnął mu banknoty w kieszeń marynarki, uściskał rękę i uchylając grzecznie kapelusza rzucił na do widzenia: - Powodzenia!

Z kuriera wycięty! Dał pięć dych i kazał się odwalić, zbył go jak szmatę, jak jakiegoś ciecica, oszukał, kutasina! „Skończyłem z tym fachem”. Ale jak, skoro jest przy forsie, to się przecież czuje!

To było tydzień temu, po kilku dniach szaleństw i kolejnej niedzieli na wyścigach był znów na dnie.

Ta rozmowa nie uszła uwagi aspiranta Denhela, więc zamiast odprowadzić Elizę do domu szepnął jej do ucha, że właśnie wypatrzył w tłumie poszukiwanego przestępcę i musi pójść jego śladem. Eliza mocno ścisnęła go za rękę na pożegnanie, a on podążył za potężnym mężczyzną, który rozmawiał z Wcisłą. Nie mógł się do nich zbliżyć, ale wydawało mu się, że ten obdartus dostał od Henryka jakieś pieniądze. Ciekawe, kto to jest i co ich łączy?

Typowi, którego śledził, wyraźnie się nie przelewało, nie wydał grosza na tramwaj, tylko się włókł na piechotę aż do śródmieścia.

Tam na skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Alejami Jerozolimskimi nagroził się w barze Pod Setką dwiema pięćdziesiąteczkami. Po krótkim odpoczynku tajemniczy znajomek Wcisły ruszył w dalszy marsz. W listopadzie zmrok zapadał szybko, więc było już całkiem ciemno, gdy doszli w okolice Grzybowskiej. Tam śledzony bez pudła trafił do bramy, w której stały ulicznice. Było coraz zimniej, a tamtemu się zebrało na amory.

Aspirant marzył na ulicy, gdy ten obwieś zabawiał się z dziwką w niezbyt eleganckiej, ale za to na pewno cieplejszej niż listopadowy wieczór, kamienicy. Na szczęście obiekt jego zainteresowania szybko zaspokoił swoje potrzeby, bo po mniej niż kwadransie z bramy wytoczyła się jego potężna sylwetka. Był w samej marynarce i chłód nawet jemu dał się we znaki, bo szedł różnym krokiem w kierunku Ministerstwa Finansów.

Karolak liczył w głowie wydane pieniądze, dwie kolejki, dziwka... a więc jeśli jeszcze strzeli sobie przed snem piwko, to będzie akurat. Ani nie przekroczy piąteczki, którą miał wydać, ani też się nie wstawi tak, by mieliby go pogonić z noclegowni. W drodze do Cyrku zaszedł jeszcze na Dziką. Pod siedemdziesiątym znajdował się tam całkiem przyzwoity lokal Bar Polski. Prowadził go Aleksander Łupiński, o którym żydowscy sąsiedzi mówili: „To jedyny goj, który ma geszeft przy Dzikiej”. Nie mijali się z prawdą, bo chrześcijańskich firm było tu niewiele, w oczy się rzucała jeszcze apteka Grochowskiego pod sześćdziesiątym piątym. W tym rejonie obowiązywał na ulicy jidysz, po polsku mówiło się dopiero na drugim końcu ulicy, tuż przy Stawkach, gdzie pod czwórką był osławiony Cyrk, czyli prowadzony przez albertynów dom noclegowy. Tam też ostatnio wiódł swą, coraz nędzniejszą, egzystencję Wiesiek Karolak.

W takiej okolicy nazwa Bar Polski nie musiała niczego oznaczać. Pan Szafa po wejściu do środka zobaczył jednak paru Polaków. Nie przyglądał im się, tylko wcisnął swe potężne jestestwo w kąt przy bufecie, spotkanie znajomego popsułoby mu i

tak podły nastrój. Zamówił jedno piwo, pierwsze i ostatnie tego wieczoru, bo i tak na więcej nie było go stać. Pił powoli, bo smak złocistego trunku musiał mu starczyć na długo. Chcąc nie chcąc, słuchał wesołków, którzy pochłaniali kufel za kuflem, przepijając od czasu do czasu wódką. Brzęk złotych padających na bufet zdawał się przebijać na wylot jego uszy, do tego dochodziły kwieciste toasty.

- Tadzieńku, ty nasz złotousty naczelniku - zaskrzypiał jeden z gości - zapodaj złociutki jakiś toaścik!

- Panowie, dla przyjemności się tu nie spotkaliśmy - rzucił rosły, niemal tak samo mocno zbudowany jak Karolak, typek. - Uwaga, żeby nam się dobrze działo, w nocy stało, w dzień wisiało, a że działo to armata, oby nam się armaciło! Ognia!!!

- Ognia! - wrzasnęli jego kompani i wypili po kolejce. Wtedy koleżkowie tego gaduły Tadka zaczęli go wypuszczać na kolejne popisy:

- Tadziu, ty to masz tę przemowę!

- Tak jest, klawo gadasz, a może byś jakiś kawał opowiedział.

Tadziowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

- A słyszeliście o żabie, co szła przez ulicę?

- No, nie... Mów, Tadzieńku! - towarzystwo zachęcało swojego wodzireja.

- No więc, panowie... - Tadzieniek upił łyk z kufla i zaczął opowiadać. - Żaba skacze z jednej na drugą stronę ulicy, a tu dorożka i nagle... trrrraach! - Tadzieniek rozdarł się jak stare prześcieradło.

- Pędzące kola obcięły żabie nogi.

- I co dalej, Tadzieńku, co dalej?

- Żaba w lament; ale miałam zgrabne nóżki, przecież ich tak nie zostawię, powiedziała i cofnęła się, żeby te nogi zabrać ze sobą, a wtedy... trrraaach! Druga dorożka obcięła jej głowę.

Kumple zaczęli rechotać, jakby sami byli żabami.

- Trrraaach, odjęło jej najpierw nogi, a potem łepetynę! - Śmiali się, ale chyba nie bardzo wiedzieli z czego.

- No, ale panowie, jest jeszcze morał.

Koledzy spojrzeli na Tadzieńka zdeorientowani.

- Jaki?

- A taki, żebyśmy przypadkiem i my dla jakichś pięknych nówek głów nie potracili!

Frajerstwo się śmiało, pokładając się przy tym na bufecie, a Wieśka Karolaka zalewała krew. Żadna kobieta, nawet artystki z kabaretów, nie miały nóg tak pięknych jak Jadwiga Kopecka. W głowie mu się zakręciło od samego wspomnienia, a obrazy tego, co by z nią zrobił, leciały w takim tempie, jakby ktoś pozenił fotoplastykon z karabinem maszynowym. Wyciągnął niedopaloną połówkę papierosa i zapalił. Zaciągnął się dymem, kiedyś to robił, jak już było po wszystkim i gdy leżeli wygodnie w łóżku. Wyciągał wtedy z nowiutkiej paczki egipskiego albo cygaretkę, oczywiście częstując pierw Jadwigę.

- Tadeusz! - Ryk pajaców lejących w siebie piwo i wódkę tak jakby ją rozdawano za darmo wyrwał go z błogich rozmyślań.

- Tadeusz!!!

- Co?!

- Wajchę przełoż! - gruchnął wesoły śmiech.

- Niech Ambroży przełoży! - Tadka trudno było przegadać, a jego riposta spotkała się z uznaniem.



- Ale wśród nas nie ma Ambrożego.

Jeden z biesiadników podważył krasomówcze kompetencje Tadzia. Ten ze spokojem uśmiechnął się i patrząc na kolegę jak na małe dziecko, powiedział:

- Adam, Adasiu kochany... - Ponownie upił piwa i protekcyjnie klepiąc kolegę po plecach, rzekł: - Skąd wiedziałem, że z ciebie taki gapa? Powinieneś powiedzieć: „Jestem Adam i już przekładam”!

Gamonie znów ryknęły śmiechem.

- Tadzienku, papugą mógłbyś zostać, jak nic!

- Papugie to ja mogę wziąć na korepetycję, księdza też, a i profesor z uniwerku by się u mnie czegoś nauczył. Nie ma na mnie mocnych w gębie!

- No chyba że mój kapral z wojska.

- Jak trzeba, to mordę potrafię fest wydrzeć, a pan kapral szybko by się dowiedział, z kim i jak miały okoliczność nie tylko jego mamusia, żona i siostra, ale także córka i babcia w te i nazad szarpane!

Towarzystwo się śmiało coraz głośniejsze, co denerwowało Karolaka jak jasna cholera. Bolała go głowa i miał dość tego pohukiwania. Dawno już nie miał powodów do śmiechu, nie miał też forsy na piwo i nie czekało na niego wygodne, czyste łóżko z pachnącą i chętną jak dzika kotka Jadwigą. Szybki numerek z tanią dziwką wcale nie poprawił mu nastroju. Pora było zakończyć kolejny żaloszny wieczór i powlec się na noc do Cyrku. Wtedy wesołkowie eksplodowali po raz kolejny.

- Klarowne piwo i kolor słomkowy to raj w gębie i humorek dla głowy! - To Tadzieniek wykrzyczał kolejny toast.

Karolak nie wytrzymał i spluwając przez zęby, wycedził:

- Szczyny też są słomkowe, lamusie. - Mówiąc to spojrzął wyzywająco na pyskatego Tadka.

- A co, soku z kroku? - odszczeknął się natychmiast Tadzieniek.

Strzał był celny, ale zanim koledzy zdążyli dobrze wybuchnąć śmiechem, dobił Wieśka kolejnym uderzeniem:

- Bo jak ci się chce pić, to mnie się chce lać; możemy się zgrać!

Teraz śmiali się już nie tylko koledzy Tadzieńka, ale i cały lokal, a śmiech był tak głośny, że niósł się chyba od Baru Polskiego przy Dzikiej 70 aż pod numer 4, gdzie była noclegownia. Karolak też się śmiał i bił mu brawo, po czym zaczął kiwać głową w uznaniu jego słownego wyczynu. Podszedł do Tadzia tak, jakby miał zamiar klepnąć go przyjacielsko w ramiona. Faktycznie położył na nim dłonie i odchylił głowę, tak jak to się robi, gdy się człowiek śmieje, ale mimo wszystko chce coś drugiej osobie powiedzieć, nagle jednak głowa przyspieszyła, jakby to była żelazna kula, która burzy ściany rozbieranych budynków, i z taką też siłą runęła w kierunku twarzy złotoustego. Rozległ się niemiły trzask, w powietrze poleciał czerwony obłoczek krwi ze złamanego nosa, a Tadzieniek padł jak ścięty. W Barze Polskim zrobiła się cisza jak makiem zasiał.

- Masz gadane, ale pamiętaj, że ostatnie słowo należy zawsze do Wieśka, a Wiesiek, tak się składa, to akuratnie jestem ja, frajerze.

Pan Szafa powiedział to z miną zadowolonego goryla, po czym z gracją wielkiej człekokształtnej małpy otarł sobie czoło i spojrzął groźnie na kolegów pobitego, nałożył pogięty kapelusz na głowę,

opuścił bar i poszedł spokojnym krokiem w kierunku Stawek. Nikt nie śmiał ruszyć za nim, dopiero po dłuższej chwili od ściany oderwał się facet w szarym płaszczu. Był to aspirant Denhel, Karolak nie miał pojęcia, że cały dzień na wyścigach oraz wieczór w barze spędził w towarzystwie anioła stróża, tym bardziej nie wiedział też o tym, że wkrótce go pozna.

Karol Denhel poszedł za mężczyzną. Zanim nadjechała policja, którą wezwali koledzy gadatliwego Tadzieńka, typ był już niemal przy końcu Dzikiej, przy Stawkach. Tam się znajdował jego punkt docelowy, słynny Cyrk, noclegownia doskonale znana wszystkim przestępcom i co za tym idzie - także policjantom. Aspirant postanowił wrócić tu nazajutrz i, korzystając z pomocy wywiadowców i szpicli, ustalić, kim był potężny bandzior. Okazało się, że kumpel Wcisły nazywa się Wiesław Karolak i ma ksywkę Pan Szafa. Był kiedyś siłaczem w cyrku, a także, takie krążyły plotki, pomagierem szajki Kopeckich, która trudniła się oszustwami i organizacją włamań. Pan Szafa nie został złapany na gorącym uczynku, a jego szefowie nie puścili pary z gęby. Taktyka okazała się słuszna, bo złodzieje dostali tylko po paręnaście miesięcy za nieudany włam do fabryki skrzypiec Panufnika na Pradze. Gdyby sypnęli innych, poszłaby fala zeznań i okazałoby się, że mają na koncie więcej skoków.

Podejrzewano ich o co najmniej kilkanaście przestępstw, które małżonkowie zorganizowali i w których osobiście wzięli udział. Trop był ciekawy, ale na razie Denhel postanowił odłożyć go ad acta. Karolak nie ucieknie, był charakterystyczny, łatwy do odnalezienia, poza tym mieszkał już w Cyrku prawie rok i nie zanosilo się na to, by zmienil lokum. Nadchodzace dni miały

przynieść dalece większe emocje; ruszył proces Bachracha i jego szajki, a wśród świadków, mających stawać w sądzie, będzie nie tylko on, ale i Ludwik Kurnatowski! Były już zastępca naczelnika Urzędu Śledczego miał zeznawać przed sądem w sprawie swojej prawej ręki i jednocześnie szefa największej fałszerskiej bandy, jaką znała Warszawa. Karol już cieszył się na te chwile i układał obowiązki tak, by niczego nie przegapić.

## KONIEC ŚWIATA

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 12 listopada roku 1926*

*Byłam w Ziemiańskiej, poszliśmy tam po zajęciach na uniwersytecie. To prawda, co mówili o tym lokalu, tam przesiadują artyści; malarze, poeci, pisarze i aktorzy. Bardzo mnie to onieśmieliło, zamówiliśmy tylko po herbacie i jak już wychodziliśmy, wszedł Bolesław Mierzejewski. To wspaniały śpiewak i aktor, niezwykle elegancki i przystojny mężczyzna. Za miesiąc w kinach „Trędowata”, w której zagra ordynata Michorowskiego. Naprawdę jest przystojny i nie nosi wąsika. Muszę namówić Henia, żeby się pozbył tego czegoś, co sobie wyhodował pod nosem. Mierzejewski podoba mi się znacznie bardziej niż Fairbanks. Tylko jak mu to powiedzieć?*

Dobrze mieć znajomych tu i ówdzie. Znajomych, czyli agentów, informatorów albo zwykłych zdrajców, a czasem prawdziwych przyjaciół. W przypadku pracownika ambasady włoskiej kapitan

Juliusz Beniowski mógł użyć określenia kolega. Kolega po fachu. Bo czasem wywiady współpracują ze sobą, może nawet częściej, niż to się wydaje nie tylko zwykłym obywatelom, ale także politykom, a nawet szefom szpiegów. Dzięki temu kapitan wiedział, jaka bomba wybuchnie w najbliższych dniach. Bomba to nie do końca dobre określenie, tu raczej chodziło o niewypał.

Piętnastego listopada przy Miodowej 15, ciekawy zbieg okoliczności, pomyślał sobie Karol Denhel, który się szykował na rozprawę byłego kierownika brygady fałszerskiej Daniela Bachracha. Najbardziej interesującym momentem miały być zeznania, które powinien złożyć jego były przełożony. Nadkomisarz Kurnatowski był urlopowany, więc szczęśliwie dla siebie usunął się w cień, ale w poniedziałkowe popołudnie będzie się musiał pokazać, myślał z satysfakcją. Szkoda, że Sąd Okręgowy każe mu tak długo czekać na ten spektakl. Będzie dziś siedział w Urzędzie Śledczym jak na szpilkach, ale jakoś da radę, pomyślał, wbiegając po stopniach do środka budynku przy Daniłowiczowskiej.

- Ale numer, panie aspirancie, ale numer! - To Stolarczyk krzyczał do niego z drugiego końca korytarza. - Ale numer!

- Jaki numer? - zdziwił się Denhel. - O czym pan mówi?

Przodownik Stolarczyk wyglądał jak ktoś, kto pojawił się w Rzymie i usłyszał, że papież już tu nie urzęduje.

- Naprawdę pan nie wie? - Oczy miał jak spodki.

- No gadaj pan, o co się rozchodzi!

- Kurnatowski się pogrążył do końca!

- Jak?

- Nawiał, normalnie nawiał!

Karol Denhel poczuł się jak rażony prądem. Wiadomość nim wstrząsnęła, ale nie wiedział, co o tym myśleć. Nawiał, więc nie będzie musiał zeznawać, nie pogrąży się w sądzie albo... nie wykręci się przed nim, nie umyje rąk. Ucieczka faktycznie jest gorsza, ucieczka to jak przyznanie się do wstydliwych związków z Bachrachem.

- Jak to, nawiał?

- Po mistrzowsku! - Strasburger był pełen autentycznego podziwu.

- Wczoraj wieczorem jego syn przyniósł do Urzędu Śledczego raport, w którym wyjaśnia, że musi w pilnej sprawie się udać do Francji!

- Do Francji?! A po cóż?

- Tego nie wyjaśnił, tłumacząc się dobrem śledztwa - mówił podekscytowany Stolarczyk. - Napisał tylko, że to niezwykle ważne i pilne.

- Nie ma nic pilniejszego od uciezki - zaśmiał się Strasburger. - I nie ma nic ważniejszego, jeśli trzeba zeznawać w sprawie swojego najbliższego współpracownika i protegowanego. Pan naczelnik zrobił to po mistrzowsku!

- A jakież to mistrzostwo, skoro jest w tej chwili całkowicie spalony? - zdziwił się Stolarczyk.

- A takie, że przetrwa gdzieś w ukryciu najgorsze chwile i być może wróci, gdy będzie spokojnie.

- Trzeba byłoby mieć tupet! - wykrzyknął Denhel.

- Po tym, co zrobił kolega aspirant Bachrach, słowo tupet nabrało nowego znaczenia - uśmiechnął się Strasburger. - Nieprawdaz?

Tak w istocie było, bo tylko niezwykły tupet i wyjątkowa bezczelność pozwoliłyby na to, aby ze stanowiska szefa policyjnej brygady fałszerskiej kierować fałszerską szajką.

- Każdy tupet ma jednak swój kres... - Denhel zamyślił się.

- Czyżby? - Strasburger miał minę głupka, który się dowiaduje, że ziemia jest okrągła. - Żebyś się nie zdziwił, mój drogi, oj, żebyś się nie zdziwił. Znasz tę historyjkę o pogrzebie wyjątkowego drania? - Karol Denhel pokręcił głową, że nie. - Otóż reporter idzie na pogrzeb tego indywiduum i ze zdziwieniem stwierdza, że jest mnóstwo osób. Pyta się więc, czyj to pogrzeb. Takiego to a takiego, ludzie odpowiadają. Pyta więc dalej, czy wiedzą, że był skończonym draniem, okazuje się, że tak, wiedzą. Zdziwiony drąży dalej. Czy wszyscy są jego rodziną, okazuje się, że nie, mówią, że byli jego klientami, podwładnymi i ofiarami. Zadaje więc ostatnie pytanie. Czemu więc przyszli na jego pogrzeb? Jak to, czemu? - dziwią się, chcieliśmy zobaczyć, czy naprawdę umarł! - Strasburger zrobił teatralny gest i zapytał z emfazą: - A zatem, drogi Karolu, czy jesteś pewien, że pan Ludwik Kurnatowski jest skończony? Czy byłeś na jego pogrzebie, czy widziałeś, jak trumnę z jego zwłokami spuszczają do grobu?

- Bardzo sprawnie to wyprowadziłeś, jak dobry adwokat, ale ja nie potrzebuję więcej dowodów na upadłość naszego byłego szefa.

Nadkomisarz Ludwik Kurnatowski jest skończony i basta! - z całkowitą pewnością w głosie odpowiedział aspirant Denhel.



- *Poziwiom, uwidim*<sup>68</sup> - Kornel Strasburger z nietypową dla siebie powagą rzucił rosyjską sentencją. - Obyś się nie zdziwił, jak pan Ludwik wejdzie tu jeszcze kiedyś i powie to samo, co Mark Twain: „Wiadomości o mojej śmierci, były mocno przesadzone”.

To było jak grom z jasnego nieba. Po tym jak się okazało, że bandą fałszerzy dowodzi szef policyjnej brygady fałszerskiej, Heniek myślał, że nic nie jest już go w stanie zaskoczyć. A jednak! Gazeciarze krzyczeli o gigantycznym podkopie i udaremnieniu wielkiego napadu na bank. Ta wiadomość zaskoczyła go pośrodku Nowego Świata, więc siłą rzeczy skonsumował ją w kawiarni Bliklego. Dwa, a nawet trzy razy przeczytał to, co stało napisane. Nieznani, a co zatem idzie, wciąż pozostający na wolności sprawcy próbowali obrabować Bank Dyskontowy przy ulicy Fredry 18. Żeby tego dokonać, wybili tunel prowadzący ze składu zabawek przy Niecałej 7. Przestępcy wynajęli ten lokal jako przykrywkę, a następnie urządzili w jego suterenie nie magazyn, lecz prawdziwą kopalnię! Sztolnia prowadziła do korytarza mierzącego osiemdziesiąt metrów długości. Wynajęty lokal, górnicza robota, wielki pieniądz... To mógł być tylko Szpicbródka!

Nowy kierownik brygady kradzieżowej aspirant Henryk Lange był pewien, kto się porwał na tak niezwykły czyn. Każdy to wiedział, nawet mający swe własne zdanie aspirant Karol Denhel nie miał wątpliwości. To musiał być Stanisław Cichocki, który bardziej był znany jako król kasiarzy lub Szpicbródka. Denhel

jeszcze nie pracował w Urzędzie Śledczym, gdy złodzieje obrobili salon jubilerski Gwiazda Polski, ale znał tę sprawę doskonale. Technika i precyzja, z jakimi wykopano tunel, wskazywały na najwyższy kunszt nie tylko złodziejski, ale i inżynierski. Osiemdziesięciometrowy podkop był poprowadzony zgodnie z zasadami sztuki inżynierskiej i górniczej. Jego wykonawca pomyślał o wszystkim; były sztolnie wentylacyjne, były wózki, którymi wywożono urobek. Ba! Były nawet specjalne skrzynie, w których umieszczano ziemię z tunelu. Niemal absolutna perfekcja... niemal, bo złodzieje nie osiągnęli swojego celu. Nie udało się przebić do skarbcza, w którym było milion dolarów amerykańskich. Ich palniki acetylenowe przegrały ze stalową płytą, jaką wzmocniono podłogę skarbcza. Przedostali się zatem tylko do sąsiedniego pomieszczenia z depozytami, gdzie łup nie był już tak bogaty. Zapewne to, co zrabowali, z trudem starczyło na pokrycie kosztów akcji. Oczywiście Cichocki był nieuchwytny. Nie było go ani w mieszkaniu przy Chmielnej, ani w willi nad Świdrem, nie odwiedził salonu fryzjerskiego Ewaryst, nie pojawił się w barze Satyr. Wielką naiwnością byłoby sądzić, że się znajdzie w którymś ze swoich kabaretów, ale obowiązek to obowiązek.

Policja umieściła swoich ludzi zarówno w Czarnym Kocie, jak i w Eldorado, ale współwłaściciel tych przybytków nie zaszczycił ich swoją obecnością. Także kierowca Szpicbródki, niejaki Mieczysław Kosiorek, nie potrafił powiedzieć, gdzie jest jego szef.

- Może pojechał do Włoch, bo niedawno wyrabiał sobie italską wizę - tłumaczył.

Sprawdzono ten wątek, faktycznie, Stanisław Antoni Cichocki, obywatel RP, złożył stosowny wniosek i otrzymał wizę Zjednoczonego Królestwa Włoch. Przy okazji wizyty we włoskim konsulacie wyszła na jaw bardziej bulwersująca sprawa. Otóż 12 listopada roku 1926 wizę włoską otrzymał Marian Ludwik Kurnatowski! Nadkomisarz Urzędu Śledczego złożył podanie o wizę służbową, tłumacząc się nadzwyczajnymi sprawami policyjnymi. Aspirant Karol Denhel pomyślał wtedy, że skoro były szef Urzędu Śledczego napisał służbowy raport o wyjeździe do Francji, a we włoskim konsulacie wyrobił sobie wizę, to może oznaczać to tylko jedno; nie ma go ani na terenie Republiki Francuskiej, ani na terenie Zjednoczonego Królestwa Włoch!

Emilia Nowicka z domu Radziejowska przeżywała trudne chwile, bo nie tak wyobrażała sobie życie po odejściu jej męża z wojska. Aleksander zrzucił mundur, bo jak mówił, brakowało mu dawnych emocji.

Najbardziej się skarżył na rutynę, ale oszczędził także dlatego, że go nie doceniano. Był nie tylko doświadczonym oficerem frontowym, praktykiem, który dowodził w boju, ale - co zauważył szef Sztabu Generalnego Heller - sprawnym organizatorem i świetnym teoretykiem i historykiem wojskowości. Aleksander Nowicki, choć zakochany w kawalerii, wiedział, że jej kres nadszedł wraz z wielką wojną. Przyszłością były nowe typy broni: lotnictwo i wojska pancerne. Konie należało zamienić na samoloty, czołgi i wozy pancerne. Kawaleria odchodziła do

lamusa, ale w Sztabie Generalnym nie chcieli tego zauważyć, więc przenikliwość i nowoczesne myślenie okrzyknięto głupotą.

Może teraz się to odmieni, myślała Emilia. Aleksander rozpocznie nowe życie, bo tak jak nieszczęścia chodzą parami, tak i wydarzenia szczęśliwe lgną do siebie. Latem spełniła swoje marzenia i podjęła pracę w nowej, bo powołanej ledwie w marcu, instytucji naukowej. Instytut Wschodni ma służyć nauce oraz polskiej polityce i idei prometeizmu. Myśl o wyzwoleniu narodów zniewolonych przez Sowieców była jej teraz tak samo bliska, jak idea odrodzonej Polski. Instytut ma być tygłem, w którym będzie się mieszać wiedza na temat Wschodu od poznania bolszewii i prześwietlenia jej knowań i planów aż po odległe kraje Orientu, których kulturę i język powinni poznać nowocześni Polacy.

Cieszyła się, że w osobie szefa instytutu Stanisława Grzymały-Siedleckiego znalazła nie tylko patrona, ale i powiernika swoich marzeń, nawet tych najbardziej skrytych. Rozmawiali w gabinecie prezesa nie tylko o jej pracy, ale także o życiu osobistym. Emilia opowiedziała panu Siedleckiemu o historii swej rodziny oraz o przeszłości i talentach swojego męża. Prezes Instytutu Wschodniego nie zastanawiał się długo i podjął szybką decyzję, wciągając do prac badawczych byłego podpułkownika kawalerii. To był strzał w dziesiątkę, bo Aleksander mógł podzielić się swą bezcenną wiedzą wyniesioną z carskiej armii, z frontu oraz studiowania fachowej literatury. Niewielu tak jak on czuło i rozumiało Rosjan, wszak przez wiele lat był jednym z nich.

Cieszyła się, że Aleksander zaczął nowy etap w swoim życiu. Zarabiał, pomagając jej ojcu, i spełniał się, doradzając Instytutowi

Wschodniemu, Emilia znów miała za partnera dziarskiego, pełnego siły i ambicji mężczyznę.

Po zatrzymaniu Bachracha i ucieczce Kurnatowskiego aspirant Karol Denhel był w doskonałym nastroju. Eliza z miejsca poczuła to w przenośni i dosłownie, na własnej skórze. Ich związek burzliwie rozkwitł, ale po burzy przyszło uspokojenie, Karol jakby oklapł, wyhamował, niczym sanki, które jechały z wysokiej góry, ale w końcu wjechały na płaski teren. Zmiany w Urzędzie Śledczym dały mu satysfakcję, ale nie wpłynęły zbyt ożywczo na rozwój kariery. Nadał to, co robił, nie było atrakcyjne i gdy to zrozumiał, skończył się stan euforii. Kręcił się po Urzędzie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, aż w końcu sięgnął do szuflady, w której były teczki poświęcone Henrykowi Wcisłe.

To dodało mu energii. Uzupełniał więc dane dotyczące kontaktów Wcisły z Beniowskim i założył teczkę Wiesławowi Karolakowi. Materiał urósł, ale wciąż było go za mało na jakiegokolwiek działania przeciwko podejrzanemu. Na szczęście Karol był już zupełnie innym gliną niż rok temu. Zdobył pewne doświadczenie i nauczył się od starszych kolegów paru prostych trików. Jednym z nich było korzystanie z wiedzy, jaką mieli dozorczy. Bo nie ma to jak stróże! Już nie tylko ochrana<sup>69</sup>, sysknoje otdielenije<sup>70</sup>, ale nawet najprostsi stójkowi wiedzieli o tym doskonale. Niemcy nie mieli do nich podejścia, ale po trzech latach szwabskich zaniedbań stróże znów się stali forpocztą policyjnej informacji.

Kto jak nie oni mógł wiedzieć wszystko albo nawet więcej niż wszystko o swoich lokatorach? Prawdziwi, charakterni mistrzowie miotły nie paplali i nie donosili, ale konia z rzędem temu, kto

udowodniłby, że było ich więcej niż gawędziarzy. Wielu z nich okazało się gorliwymi informatorami, którzy jak na spowiedzi wyznawali rewirowym i śledczym grzechy i grzeszki lokatorów. Różne były tego powody, niektórzy, co się zdarza we wszystkich profesjach, mieli dusze szpicli i donosicieli, inni chcieli być ważni i mieć wpływ na to i owo, a jeszcze inni po prostu się bali.

Cieć z Pekinu, Alojzy Adamiak, należał do tych, którzy się dzielili swoją tajemną wiedzą ze śledczymi ze wszystkich trzech powodów.

Adamiak był tchórzem, papłą i do tego chciał być ważny jak sam święty Piotr. Gdy pojawił się młody policjant po cywilu, który się przedstawił jako aspirant Karol Denhel z Urzędu Śledczego, doszła jeszcze chęć zarobku. Denhel poczęstował go na dzień dobry papierosem, a na odchodnym dał dwa złote i obiecał, że może nawet płacić po pięć albo i po dziesięć złotych za ważne informacje.

Policjant nie był zainteresowany nikim konkretnym, chciał, by stróż sam wszedł na ważny dla niego temat. Pierwsze dwa spotkania i donosy na małych menelików, cwaniaczków, alfonsów i ich kurwy, farmazonów, jednego potencjalnego włamywacza i kilku pospolitych łobuzów nie budziły w nim entuzjazmu, który kazałby mu zostawić choćby pięć złotych. Jednak podczas trzeciej wizyty stróż trafił na swoją złotą żyłę.

- A wiesz pan, mieszka tu taki młody gość. Z dwajścia parę lat, dobry lokal, no bo on w tej lepszej części mieszka, tam gdzie jest klatka z aleganckimi schodami i wygody, no to on, ten młody, Wcisło się nazywa, to przygruchał sobie panienkę. - Adamiak puścił do policjanta oko. - Normalnie to mnie się śmiać chce, bo ta

głupia Kornacka, sąsiadka tego Wcisły, to uważa, że on faktycznie korepetycji udziela. No jakich on jej korepetycji udziela, to ja zasadniczo nie wiem, ale mundurek szkolny to panna sobie zawsze fest poprawiała przy wychodzeniu. - Stróż się uśmiechnął lubieżnie. - Tera to już chyba studentka, bo w mundurku nie chodzi. Klasa babka, chociaż w tym mundurku... - Stróż prawie się oblizał, a Denhela o mało nie zalała krew. - Coś się stało szanownemu panu? - Adamiak zauważył na twarzy policjanta coś dziwnego.

- Ależ skąd, to po prostu nikotynowy nałóg, muszę zapalić - powiedział Denhel odpalając drżącymi dłońmi papierosa.

Była to częściowo prawda, bo od czasu kropnięcia Krwawego Wiktora i wspólnego papierosa ze Strasburgerem zaczął palić. Aspirant się zaciągnął i widząc zainteresowanie na twarzy Adamiaka, poczęstował go papierosem. Stróż schował zdobycz za ucho i ciągnął dalej.

- A pierwszy raz to tę pannę widziałem prawie rok temu... - zaczął dozorca Adamiak i nagle się ożywił. - Panie władzo, to była historia! Zupełnie zapomniałem, bo ten łachudra się uspokoił, a później się wyprowadził gdzieś w nowe miejsce. Traszka się nazywał, Lucjan Traszka! Siedział kiedyś, tak ludzie mówili, i miał tam u siebie niezłych gości, same typki, co raczej pracą się męczą, ale zawsze jakieś pieniądze na wódkę i panienki mają. Ludzie się go bali, aż... przestali, bo mu kiedyś ten Wcisło łomot sprawił. Jemu i tym jego dwóm koleżkom.

- Na twarzy stróża poczęło się malować cierpienie typowe dla człowieka, który z trudem usiłuje otworzyć jedną z zaginionych szufladek swej pamięci. - Jak im było tym łobuzom, no już mam!

Prawie mam. On był Traszka, a oni... Niedbalak i Skrzypek! Ta jest, panie władzo, Feliks Niedbalski i Adolf Skrzypczak! - wykrzyknął triumfalnie Adamiak. - Oni chyba coś tej jego paniencie zakosili, aż on się wnerwił i poszedł do niego do chawiry. Nie wiem, co się tam działo, ale huk był wielki, a sąsiedzi z klatki schodowej to mówili, że nawet jakaś bijatyka się tam odbyła. Ten cały Wcisło to taki bardziej alegancik i pizpan, ale przemowę odpowiednią w rękach zaposiadywuje. - Adamiak powiedział to z nieukrywaniem uznaniem. - I to konkretną! Trzech ich tam usadził, no i... i chyba rewolwer albo pistolet ma! W każdym bądź razie Traszka i te jego łobuzy zrobili się od tego czasu grzeczne, a później podkulili ogon i zmienili lokal na spokojniejszy. - Adamiak aż uśmiechnął się, rad ze swojego dowcipu, ale Denhel się nie śmiał, więc powtórzył: - Łobuzy poszli tam, gdzie spokojniej, bo tak się wystraszyły, rozumiesz pan?

Karol Denhel rozumiał doskonale, ale od paru lat rzadko kiedy się uśmiechał, a już na pewno nie w podsumowaniu opowieści, w której punktem wyjścia było nieustanne brukanie czystości kobiety, której jeśli nie kochał, to na pewno wciąż pożądał i o którą był zazdrosny.

Jak on ją opętał? - zastanawiał się. Nieważne, istotne jest, jak i kiedy za to zapłaci. - Denhel wcisnął stróżowi w rękę dziesiątkę i już wiedział, co będzie robić w najbliższym czasie. Musi odnaleźć tych trzech typków i przycisnąć ich do muru. Lucjan Traszka, Feliks Niedbalski i Adolf Skrzypczak. Jeszcze dziś sprawdzi w archiwum, co to za jedni, a jutro zacznie ich szukać.



Zoppot to miejsce dobre, choć nie idealne. Psy z Polski tu nie tylko szczekają, ale i gryzą. Wolne Miasto Gdańsk było miejscem, z którego Policja Państwowa bez trudu wyciągała zbiegów z Rzeczypospolitej.

Szpicbródka przeniósł się więc do Królewca, by przeczekać niepotrzebne zainteresowanie jego osobą. Jak już przesieją piasek i ziemię, który zostawili po podkopie, i odnajdą, gdzie zamówione zostały skrzynie do wywozu urobku, a także odkryją, że najemca składu z zabawkami był Czechem, którego już dawno w Polsce nie ma, to spokojnie wróci do Warszawy. Nie chodziło o to, że hinty podeszły- by go na przesłuchaniu, tylko o komfort. Po co mu areszt? Po co mu to, skoro może spędzić czas w dobrym hotelu. W dobrym i drogim. Drogim. Bardzo drogim. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zwrócił na to uwagę. Nie był rozrzutny, ale wydatkami się nie przejmował. Aż do teraz. Gdyby przekonał Wcisłę, gdyby poszedł z nimi, to może znalazłby dojście do głównego sejfu... Był świetny w otwieraniu zamków szyfrowych, był geniuszem, jeśli chodzi o operowanie wytrychem.

Nie ma co gdybać, trzeba mu po prostu przedstawić bardzo konkretną ofertę. Najpierw jednak musi coś spieniężyć. Albo pozbędzie się kabaretu, albo sprzeda kamienicę lub plac. Możliwości ma wiele, w zapasie mnóstwo nieruchomości i poukrywanych biznesów, ale poczuł się niekomfortowo, bo przez ostatnie lata dodawał na swoim koncie, a teraz musi zacząć odejmować. Nalał sobie lampkę pierwszorzędnego koniaku. Dobry, drogi trunek. Stać go było na taką ekstrawagancję. Wciąż było go stać na luksusy

Spadł pierwszy śnieg, a po trójce cwaniaków z Pekinu ani śladu, na pewno kiedyś się znajdą, ale Denhelowi szkoda było czasu na czekanie. Postanowił więc odwiedzić cecia Adamiaka. Stróż go nie zawiódł, nie zawiódł też samego siebie, bo po tym, jak się zorientował, co interesuje tajniaka, wygrzebał z pamięci kolejną opowiastkę o Henryku Wcisłe.

- Wiesz pan, że ten Wcisło to może mieć jakiegoś bękarta...

Widząc, że policjant niemal zastrzygł uszami na tę wiadomość, Adamiak rozkręcił się jak radiowy spiker.

- Razu jednego jak... no wiesz pan, Heniek udzielał korepetycji, to naszła go kobitka z dzieciakiem. Kino było że hej, bo potem ten kogucik musiał te towarzystwo porozwozić, to znaczy tę młodą, co ją uczy, to wysłał dorożką, a sam pojechał taksówką z tą nieco starszą kobitką i tym szczeniakiem. Ta z tem dzieckiem, blondyna, nie za wysoka, z tych troszkie lepiej odżywionych, ale ja lubię takie. - Ciec się uśmiechnął znacząco. - Tylko ta była nieco felerna, bo jak raz miała limo podzielowane aż miło. Oj, dzieje się w życiu tego chłopaka, dzieje!

Pudło, pomyślał Karol Denhel, dając Adamiakowi dwa złote. Z opisu była to nie kochanka Wcisły, lecz Zofia Klajster, z domu Wyględa, starsza kuzynka tego typka. Im dalej odchodził od domu przy rogu Złotej i Żelaznej, tym bardziej się przekonywał, że jest to jednak informacja, za którą warto podążyć. Mąż tej całej Zofii, Ryszard Klajster, był drobnym cwaniakiem i pijakiem, a tacy lubią przyłożyć kobiecie. Czyżby Henryk Wcisło zdobył sobie nowego „przyjaciela”? Warto to sprawdzić, pomyślał aspirant i zapalił papierosa. Mieszkali gdzieś na Nowym Mieście, sprawdzi

adres i poprosi nadkomisarza Ruzke z komisariatu przy Kapucyńskiej o pomoc.

Kapitan Juliusz Beniowski zamknął gazetę. I w tej, tak jak i w innych, nie było już nic na temat wpadki fałszerzy, którymi dowodził aspirant Bachrach. Proces się rozmywał, policjant nie pękał, podobnie zresztą jak świadkowie. Cisza sprzyja nie tylko wielkim pieniądzom, ale i wywiadowi. Szkoda, że Daniel Bachrach wpadł, ale na całe szczęście, tuż przed zatrzymaniem, przekazał mu komplet dokumentów, które dla niego oraz współpracowników mogą być kiedyś polisą ubezpieczeniową i biletem do pozostania przy życiu. Nic jednak nie jest stałe i pewne. Ucieczka byłego zastępcy naczelnika Urzędu Śledczego pomogła sprawie, ale może też się odbić czkawką. Kto wie, jakie sprawy wyjdą na jaw, gdy człowiek, który był mistrzem korupcji, opuścił swój posterunek? Iluż ludzi nabierze odwagi i zacznie mówić? Może to zaszkodzić Bachrachowi, a pośrednio także i jego interesom. Będzie jak będzie, pomyślał. Na razie czas grał na jego korzyść.

## CZĘŚĆ SZÓSTA

### KŁOPOTY TO MOJA SPECJALNOŚĆ

XXVI

#### MATYAS KADAR

Matyas Kadar miał czterdzieści lat i był prawdziwym panem na Spiszu. Mimo że baron Teodor Jungenfeld przywiózł po wojnie do Falsztyna swojego kolegę z Siedmiogrodu, który się stał oficjalnie rządcą majątku, to i tak Matyas dzierżył wszystko w rękach. Dzielił i rządził, bo się trzymał pewnych zasad; nie wchodził w paradę rządcy, schlebiał panu baronowi, organizował pijatyki i rozpustne zabawy oraz pilnował jak oka w głowie nowej zabawki barona Teodora, samochodu Lancia Lambda. Włoski pojazd owładnął Teodorem Jungenfeldem równie mocno, jak kobiety i alkohol, łączył zresztą jedno z drugim i trzecim. Jeździł na swe rozpustne wyprawy autem, nie przerywając picia wina, szalał po okolicy lanią jak kiedyś jego ojciec Karol bryczką. Barona interesowały rozrywki i środki, za które mógł się bawić.

Reszta go nie obchodziła i jeśli Matyas zapewniał pieniądze, alkohol i dziewczyny, to niczego się nie czepiał.

Ze starym baronem Karolem Jungenfeldem by to nie przeszło, a i jego wierny sługa Stefan Kadar nie pozwoliłby na takie swawole Matyasowi. Stary Kadar widział swego następcę w Ernem i jego tajemnicze zniknięcie wstrząsnęło nim dogłębnie. Był to zawód tym silniejszy, że Erne zniknął wraz z okazałą sumą pieniędzy z ojcowskiej kasy. Stefana Kadara to załamało i zapadł na zdrowiu, pewnie zszedłby z tego świata szybciej, gdyby wiedział, że Erne nie uciekł, tylko został zgładzony przez brata, który na dodatek dokonał na jego konto kradzieży. Matyas patrzył na ojca ze spokojem, uważał bowiem, że nie tylko zajął w końcu należną mu pozycję, ale i dokonał zemsty za lata upokorzeń. To Erne, a nie on, był ulubieńcem ojca, choć był leniem i ladaco oraz nie odwzajemniał ojcowskiej miłości. Ale ten stary głupiec był ślepy. Dopiero gdy Erne zniknął, a wraz z nim pieniądze, rządcą Kadar przypomniał sobie, że ma drugiego, młodszego syna.

Za późno, bo zdrowie nie to, a dla Matyasa minął już czas, gdy mógł wybaczyć ojcu pomyłkę i kochać go jak dawniej. Wkrótce przejął po nim schedę i niepodzielnie zapanował nad chłopami, stając się w okolicy prawdziwym panem życia i śmierci. Ludzie się go bali, choć ojciec wolał to odczytywać jako szacunek i respekt przed władzą płynącą z dworu. Był brutalny i lubował się w wyszukanych karach. Gdy ktoś zalegał z pańszczyzną, potrafił w zemście wyrwać w środku zimy okna z chałupy. To się podobało brutalnemu staremu baronowi, który lubił batożyć chłopów, gdy w porę nie uciekli do rowu w czasie jego przejażdżki bryczką.

Z kolei młody pan, Teodor Jungenfild cenił go za rozwiązłość i skłonność do alkoholu. Stefan Kadar zmarł tuż przed końcem wojny, nie doczekawszy się synowej i wnuków, nie wiedząc, że Matyas nie potrzebował żony.

Jego potrzeby zaspokajało wiele kobiet, a po wsiach biegały jego bękarty. Ze swym procederem nie wchodził jednak do wsi wolnych górali, bał się także swawolić na sąsiednich dobrach, bo wdowa po ostatnim z Salamonów, Ilona hrabina Bethlen surowo zabraniała takich rzeczy na swojej ziemi. By zażyć czegoś nowego, musiał jeździć na dziwki, a to kosztowało. Radził sobie, drenując pańską kasę. Kiedyś jednak musiało się to skończyć, a zeszłej jesieni poczuł, że ta chwila jest bardzo bliska.

Baron zaczął coraz głośniej mówić o remoncie dworu i zakupie jeszcze szybszego auta. Jak załatać dziurę w kasie barona? Słabość jego rządów i przywłaszczenie pieniędzy mogą wyjść na jaw, a wtedy... Wtedy nie tylko będzie musiał opuścić miejsce, w którym coś znaczył, ale niewykluczone też, że wyląduje w kryminale.

Jedynym pomysłem, jaki mu przyszedł do głowy, było sprzedanie złotej maski. Widział podobne w muzeum w Wiedniu, a tamtejsi antykwariusze zapewnili go, że ma w ręku fortunę. Jeśli się uda, to nie tylko zatuszuje malwersacje, ale i będzie miał niezłą rentę.

## XXVII

### WIATR OD MORZA

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 1 stycznia roku 1927*

*Dziś pierwszy dzień nowego 1927 roku. Ciekawe, jaki będzie? Ten poprzedni był udany, choć pierwszy bez naszej kochanej mamy. Babcia powiedziała, że się jakoś pozbieraliśmy i że Warszawa też się pozbierała po tym, co było w maju. Chciałabym znów pojechać w góry. Marzę o nich od momentu powrotu. Heniek mówi jednak, że pojedziemy tym razem nad morze, bo tam nigdy nie był.*

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 1 stycznia roku 1927*

*Nastał Noivy Rok, a ja pewnie jak miliony innych zastanawiam się, jaki będzie. Boję się, że ostatni wspólny z Heniem. Chyba go tracę, bo tracę wiarę, że ta sprawa może mieć*

*dobry koniec. Studia zabierają mi czas, a on z kolei się wymawia różlicznymi interesami. Wstydzę się tego, ale jestem o niego zazdrosna, wołałabym... nie chcę nawet o tym myśleć, ale nie wyobrażam sobie, że mogłabym Go zobaczyć z inną.*

Tym razem w Nowy Rok Karol Denhel nie miał służby i, mając nazajutrz oraz w poniedziałek wolne, postanowił się udać na samotną wycieczkę. Ku rozczarowaniu Elizy Okołowicz, zamiast spędzić z nią pierwszy dzień nowego roku, pojechał służbowo do Gdyni. Skłamał, by mieć święty spokój, i wymyślił wyjazd służbowy, choć naprawdę wybrał się w prywatnych sprawach. Także przełożonych poinformował, dokąd wyjeżdża, ale im z kolei powiedział, że jedzie dla rozrywki. Prawda leżała pośrodku. Udał się do Gdyni, bo chciał chwilę posiedzieć sam i zobaczyć morze (zawsze chciał to zrobić) oraz, a raczej przede wszystkim, po to, by dorwać tam Ryszarda Klajstra. W grudniu dostał od nadkomisarza Ruszke z Kapucyńskiej cynk, że właśnie tam pojechał szukać szczęścia były szwagier Henryka Wcisły. Znajomości ze szkoły policyjnej pomogły mu skontaktować się z właściwymi osobami z gdyńskiego komisariatu i uzyskać od nich obietnicę dyskretnej niezaprotokołowanej pomocy.

Wsiadł w przedpołudniowy pociąg i pojechał do Gdyni, nadmorskiej wsi, która od roku była miastem, a już niedługo miała się stać polskim oknem na świat.



Od czasu wygranej na wyścigach nie byli na dobrej wódeczce, więc obaj, Heniek i Julek, uznali, że czas najwyższy na popijawę. Pierwsza niedziela nowego roku to był dobry moment na takie spotkanie. Umówili się tym razem u Lijewskiego przy Krakowskim Przedmieściu.

- To już nie jesteś Douglas Fairbanks - powitał Heńka Beniowski.

- Zgoliłeś wąsik!

- Trzeba czasem coś zmienić - odparł Heniek.

- Na przykład knajpę - zaśmiał się Juliusz. - Nigdy nie byłeś u Lija, więc czas najwyższy.

- Jak patrzę na ciebie, kapitanie, to raczej powinniśmy zajść do Mleczarni Nadwiślańskiej - zaśmiał się Heniek.

- Co to, to nie - zaprotestował Beniowski - nie dowlokę się tam. Spod Kopernika na skrzyżowanie Nowika z Jerozolimskimi to dla mnie stanowczo zbyt długi dystans, a poza tym... Oficerowie nie leczą kaca po szampanie zsiadłym mlekiem! Tutaj mają wszystkie lekarstwa na moją chwilową dolegliwość, wchodzimy!

Weszli do środka, a Heńka wprost замуrowało.

- Ożeż ty kurtka na wacie! - zawołał, widząc potężne akwarium w sali. Nie mógł uwierzyć, patrząc na wielką szklaną skrzynię wielkości kilku wanien. - Co to jest?

- Akwarium, w którym trzymają ryby i raki - odpowiedział Julek.

- Mają tu pierwszorzędne raki, musisz spróbować, to jedna ze specjalności Lija!

- Dobrze - zgodził się Heniek. - Ale wezmę zupę.

- Czemu?

- Bo nie chce mi się paprać z wydobywaniem kawałeczków mięsa z pancerza.

- Jak chcesz, ja tam lubię się pomęczyć.

- Przyszłem tu zjeść a nie urobić sie po pachi - zaśmiał się z andrusowskim akcentem Heniek.

Zamówili wódkę, choć lokal słynął przede wszystkim z win.

- Nawet Sienkiewicz pijał tu wino - zachęcał Julek.

- Sienkiewicz to był mistrz w pisaniu, a w picciu to jestem ja

- uśmiechnął się Heniek.

Chciał chwycić dzwonek, którym się przywoływało kelnerów, ale pan starszy jak duch wyrósł przy stoliku, zanim Heniek zdążył zadzwonić. Zamówili jedzenie i napitki, a po noworocznej kolejce Julek zapytał:

- Humorek panu dopisuje, panie Wcisło?

- Umiarkowanie - skrzywił się Heniek. - Niby wszystko idzie akuratnie, ale...

- Ale co?

- No właśnie nie wiem co - zasepił się Heniek. - Z Leokadią nam się chyba powoli kończy. Ja coraz więcej czasu poświęcam na warsztat, na doglądanie zamówień, na ściąganie klienteli i czasem sam wskoczę w kombinezon. Wiesz, jak to jest, albo nie masz roboty i nie ma w kieszeni złamanej złotówki, albo jest robota, ale non stop, bez opamiętania. U Łodzi to samo, zasuwa na tym uniwersytecie jak mały parowóz i mamy dla siebie mało czasu.

- Ale jak się spotkacie, to hop-siup i do łóżka?

- Panie kapitanie...

- No co, no co? Kochany, ja też bym tak chciał, wiesz, ile się muszę nachodzić?

- Nachodzić? Inni mówią, że się muszą nabiegać - zaśmiał się Heniek.

- A jednak humor ci dopisuje!

- Tym tam też - Heniek wskazał ręką na artystowskie towarzystwo siedzące po drugiej stronie sali. - Bawią się, jakby wciąż byli na imieninach u Sylwestra!

Faktycznie, po głośnej dyskusji przeplatanej toastami jeden z mężczyzn opuścił rozbawione towarzystwo i zdążył w kierunku akwarium.

- Co on zrobi? - zastanowił się głośno Beniowski. - Będzie łowił ryby?

- Wszystko się może zdarzyć - ucieszył się Heniek. - To malarz, nie pamiętam jak się nazywa, ale tak jak Witkacy jest tym no, o, już wiem! Formistą!

- Obracasz się po salonach!

- Tak, zakopiańskich, ale uważaj go!

Mężczyzna w średnim wieku zamasztył ruchem zdjął marynarkę, ale butów już nie zzuł, więc w nich, w spodniach i koszuli, opuszczając jedynie szelki, wpakował się do akwarium. W restauracji zapanowało szaleństwo. Stolik malarza krzyczał z radości, podobnie jak kilka innych. Byli jednak i tacy, którym się to wyraźnie nie podobało, i ci użyli atrakcji lokalu, jaką były aparaty telefoniczne stojące w sali. Rozległy się odgłosy rozmów i wołanie o pomoc stróżów prawa. Kelnerzy nie dali rady wyciągnąć pływaka z akwarium, podobnie posterunkowi, którzy nadspodziewanie szybko pojawili się w lokalu.

- Nie wyjdę - krzyczał do nich pływak z akwarium. - Jestem artystą, jestem Romuald Kamil Witkowski i prezentuję sztukę pływania! Nie robię nic, czego zakazuje prawo, nikogo nie gorszę!

- Proszę wyjść, nakazuję to panu. - Mimo komizmu sytuacji policjant starał się być jak najbardziej stanowczy

- A w czyim imieniu? - Witkowski nie tracił rezonu.

- W imieniu Policji Państwowej!

- A z którego komisariatu? - Artysta mówiąc to, opędział się od raków, które próbowały wejść do nogawek spodni.

- Z jedyńki przy Bednarskiej!

- A nie, nic z tego! Ja posłucham się tylko policji rzecznej! Proszę wezwać stosowny patrol, będę rozmawiać tylko z kapitanem łodzi lub pierwszym oficerem!

Słowne przepychanki trwały jeszcze kilka minut, aż Witkowskiemu najwyraźniej się znudziło siedzenie w akwarium i opuścił je, rozlewając wodę. Z restauracji wyszedł w ubraniu pożyczonym od jednego z kelnerów, uściwszy rzecz jasna uprzednio rachunek za obiad, raki i ryby, które nie przeżyły jego kąpieli, oraz za inne straty.

- No to ładnie nam się ten nowy rok zaczął - mruknął Beniowski.

- Fakt, bardzo ładnie - odpowiedział mu Heniek i wzniósł w górę kieliszek. - No, to za ten nowy rok!

Dwanaście godzin pociągiem z Warszawy do Gdyni, dobrze, że w drugiej klasie. Trzecia z drewnianymi ławkami wymagała od pasażerów wytrzymałości hinduskiego fakira. Siedzenie i plecy

bolały jak nigdy, więc aspirant Denhel z rozrzewnieniem wspominał podróż z czasów wojny, gdy przerzucali ich z miejsca na miejsce w wagonach bydłych i towarowych. Było w nich zdecydowanie wygodniej. Ale wygody jeszcze będą, bo przed wyjazdem wypytał znajomych, którzy byli w Gdyni na wywczasach lub służbowo, i ustalił, że godny polecenia jest tylko jeden adres; hotel Riviera, nietani, ale niech tam, w końcu coś mu się od życia należy!

Po siódmej wieczorem pociąg dojechał do Gdańska. Pałace się światła wskazywały, że to duże, piękne miasto. Gdy wjechali do Zoppot, wielkomiejskie widoki zostały zastąpione przez sielskie obrazki. Dworzec był mniejszy i taki, jak zawsze wyobrażał sobie dworzec kolejowy w miłym kurorcie. Prowadząca do niego ulica była dobrze oświetlona i zabudowana wcale ładnymi kamienicami. Sądząc po ilości świateł zimą, to latem, w sezonie życie musiało być tu bardzo intensywne.

Dalej, za Zoppot, była pustka. W ciemności migotały nieliczne światełka, tymczasem sprawdzono dokumenty. Po krótkim pobycie za granicami Wolnego Miasta Gdańska znów był w Polsce, w końcu pociąg stanął na schludnej, przypominającej trochę kaplicę, a trochę dworek, stacji kolejowej. Na miejscu czekał na niego ubrany po cywilu przodownik z gdyńskiego komisariatu i zamówiona przezeń bryczka.

- Taksówek i dorożek u nas jeszcze nie ma, ale lada dzień ma w Gdyni ruszyć komunikacja miejska. Rozbudowujemy się - dodał z dumą.

- Ze wszystkimi tego skutkami?

- Niestety tak, niech pan zobaczy, panie aspirancie - przodownik wskazał ręką coś w ciemnościach.

Denhel wyteżzał wzrok, ale nie mógł dostrzec niczego interesującego.

- Po ciemku nie widać, ale tu są nie tylko nowe domy i kaszubskie chałupy. Masz pan tu całe osiedla baraków i bud, a wszystkie one mają światowe nazwy: Budapeszt, Warszawa i Meksyk - zaśmiał się policjant. - Mamy też i Pekin albo jak kto woli, chińską dzielnicę.

- U nas też mamy Pekin - odparł Denhel.

- Też drewniany?

- Nie, jak najbardziej murowany. Interesuje mnie jeden człowiek, który tam mieszka, i dlatego przyjechałem aż tutaj.

- Wyniósł się do Gdyni?

- Nie, ale jest tu ktoś, kto go doskonale zna.

- Posłał tu kogoś?

- Można tak powiedzieć - uciął Denhel. - Chcę go odnaleźć i zadać parę pytań, nieformalnie, ale...

- Rozumiem - przodownik nie drażył tematu. - Był w tej sprawie telefon od pana przyjaciół, a pan komisarz - uśmiechnął się - także nieformalnie zaangażował mnie w te działania. Zrobiliśmy, co mogliśmy Ten cały Kłajster to nikt groźny, ot, mały przestępca, dlatego dziwi mnie nieco zainteresowanie jego osobą.

- Tak, wiem. To płotka, ale za to z dobrymi znajomościami - sucho, jak tylko się dało, odpowiedział Denhel.

Sprawa była nieformalna, ale zasadniczo to on był wyższy stopniem i to on dyktował zasady gry.

Przodownik zauważył, że gość z Warszawy nie jest zbyt rozmowny, więc nie ciągnął go za język. Po niespełna kwadransie dojechali do miejsca jego noclegu.

- Hotel Riviera - cmoknął przodownik. - Gratuluję wyboru! Gościnne pokoje policji lub coś od kolegów z wojska, czy marynarki to nie ta klasa.

- Dziękuję za uznanie - odparł Denhel. - I doceniam pomoc w sprawie Kłajstra.

Pożegnali się i umówili na jutrzejsze spotkanie. Po paru minutach aspirant znalazł się już w swoim pokoju. Hotel był otwarty także po sezonie, jako jedyny w polskim Klondike, jak określił Gdynię mieszkający w nim inżynier. Inżynierowie, przemysłowcy, kupcy, politycy przyjeżdżali tu w interesach i potrzebowali wygodnego miejsca, a Riviera była jedynym miejscem zapewniającym jakikolwiek komfort.

Nazajutrz zjadł śniadanie w sali restauracyjnej i patrzył przez duże okno. Był tu wyjątkowy krajobraz; niemal biały piasek i padający śnieg oraz wypełniające tło sine fale z białymi grzywami. Było pięknie, groźnie, dziko, nie tak jak na prawdziwej Riwierze. Znał ją tylko z fotografii, ale różnice były oczywiste. Nawet latem morze nie będzie tu lazuru, z pewnością także wiatr wieje silniejszy nad Bałtykiem niż nad Morzem Śródziemnym. Zjadł, zamówił kawę i wyszedł, aby się przejść. Porywisty wiatr o mało nie zdarł z niego palta. Nie było to przykre doświadczenie, wprost przeciwnie. Poczul się wolny, doskonały i pełen siły. Nie myślał o zadaniach, obowiązkach, miłości i zemście. O futbolu zapomniał już jakiś czas temu. Po raz pierwszy dał się porwać dzikiej

naturze, a tymczasem z zadumy wyrwał go ktoś, kto próbował przekrzyczeć wzburzone morze.

- To ja, Cieślak! - wykrzyczał człowiek w policyjnym mundurze z dystynkcjami przodownika. - Przodownik Sławomir Cieślak!

A więc nazywał się Cieślak. Wcześniej nie zapamiętał jego nazwiska, choć na pewno policjant przedstawił mu się na dworcu. Wiało okrutnie, więc weszli do środka. Zrobił to, by lepiej słyszeć policjanta. Od razu prysł czar, przy kawie zrobiło się tak jak wszędzie indziej, no, może widok za szybą był inny. Typowe za to były omawiane przez nich tematy.

- Panie aspirancie - zaczął rażno Cieślak. - Wczoraj nie było czasu, aby nakreślić sylwetkę pańskiego... nazwijmy to podopiecznego. Dla nas, w Gdyni ten Ryszard Klajster to tylko znany obibok. Tu ma pan spisane wszystkie drobne awanturki, w których uczestniczył, i daty zatrzymań. Nic nie wykręcił, nie zaliczył tu kryminału i nie dostał wilczego biletu, ale to taki, który wcześniej czy później z listy policyjnej trafi na więzienną. To brudny anioł, ale nie z tych najbrudniejszych i bez krwi na rękach, w tej kategorii to leń i nieudacznik. Aniołek z ciężką dupą, jeśli mogę się tak wyrazić. Oto jego adres; uśmieje się pan, gdzie mieszka!

- W Warszawie czy w Pekinie?

- Pudło - zaśmiał się Cieślak, pocierając nos, który nosił ślady złamania. - On mieszka w Budapeszcie, bo i Budapeszt tu mamy, ale musiał też pomieszkiwać w Abisynii i w chińskiej dzielnicy, bo ma ksywkę Menelik z Pekinu. Wołają też na niego Warszawiak, ale akurat w Drewnianej Warszawie chyba nigdy nie mieszkał, choć to typ, który nie potrafi nigdzie długo zagrzać miejsca.



- Tam są jakieś ulice?

- Tam nie ma ulic ani adresów, ale są miejsca, w których się zbierają. Tacy jak oni najczęściej są bunkrarzami.

- Kim? - Takiej przestępczej specjalności aspirant Denhel najwyraźniej nie znał.

- Trudnią się zbieraniem albo częściej kradzieżą węgla z wagonów kolejowych - wyjaśnił Cieślak. - Dziś idziemy na patrol i może się zdarzyć, że na niego trafimy. Chcesz go pan obejrzeć w naturze czy u nas na komisariacie?

- Myślałem, że w naturze to dla takiego typu oznacza komisariat?

- Nie bywa aż tak często, ale kiedyś się doigra. - Cieślak zrobił poważną minę. - To jak, co pan woli?

- Pójdę z wami, zwiedzę nasze okno na świat.

- Dowcipniś z pana.

Fakt, zakrawało to na dowcip, a z czasem Denhel się przekonał, że nawet na dość gruby. Szli wertepami, w mocnym wietrze, mijając zabudowania, które nie przypominały niczego, co aspirant widział wcześniej w swoim życiu. Jako chłopak czytał u Jacka Londona, jak wyglądały tereny ogarnięte gorączką złota, widział też fotografie z arabskich miast i hinduskich osiedli, widział też Budy Pstrąga<sup>71</sup> w Warszawie, ale Gdynia i tak go zaskoczyła. Osiedla pośpiesznie skleconych bud, biedne, bez kanalizacji i prądu, ulice bez jakiegokolwiek porządku oblepiały budujące się centrum miasta-wsi. Z prowizorycznych kominów leciał brudny dym, znak tego, że mieszkańcy tych nędznych szop palili, czym się dało. Nim doszli na miejsce, usłyszeli gwizdy i wrzaski.

- Jest jak co dzień - westchnął przodownik. - Czujki ostrzegają przed nami i strażnikami kolejowymi, rzadko kiedy ich łapiemy na gorącym uczynku, ale jednak utrudniamy im życie.

Z przeciwka zbliżały się dwie postacie w granatowych płaszczach i z karabinami na ramionach, a w środku między nimi szedł jakiś smętny łachmaniarz.

- Masz pan swojego ptaszka.

Tego aspirant nie był pewien, nigdy nie widział szwagra Henryka Wcisły, ale nawet gdyby go znał z Warszawy, to nie rozpoznałby w nim rumianego, nażartego i zawsze dopitego typu. Czasy luksusu się dla niego skończyły, miał zapadnięte, zarośnięte policzki, wielkie oczy głodomora, a na twarzy widoczne ślady pożegnalnego spotkania ze swoim szwagrem. Mógł być jednym z armii żebraków, którzy tkwili na dnie każdego miasta, ale skoro miejscowi policjanci wiedzieli, z kim mają do czynienia i że z całą pewnością jest to Ryszard Klajster, mąż Zofii Wyględy i szwagier Henryka Wcisły, to znaczy, że tak miało być.

- Wyciągaj nogi, łachudro. - Jeden z posterunkowych szturchnął typka w ramię.

- Te, Menelik Pekiński, przebieraj kulasami, bo dziś święto, gość ze stolicy na ciebie czeka - zaśmiał się niemiło drugi.

Konwojowany człowiek przez chwilę zmylił krok.

- Ale ja... - zaczął się jąkać. - To nie ja opędzłowałem cegły z tej budowy.

- Będziesz się tłumaczył przed sędzią. - Policjant jeszcze raz pchnął go do przodu. - Albo od razu ekspresowo przed panem aspirantem.

- Aspirant Karol Denhel z warszawskiego Urzędu Śledczego, chciałem zadać kilka pytań...

- Ale ja... - Klajster nie dokończył, bo dostał szturchańca kolbą.

- Ty się nie tłumacz, tylko gadaj!

- Zostawcie nas na chwilę samych, pójdziemy z panem Klajstrem na krótką przechadzkę - uspokoił krewkich policjantów z Gdyni Denhel. To dobrze, że tacy byli, Klajster wyglądał bowiem na wystraszonego, łatwiej się go ulepi.

Ruszyli przed siebie, a Denhel lustrował uważnie nędzny strój, krzywy nos i zapadniętą twarz Klajstra.

- Co wygoniło z Warszawki takiego cwaniaka jak ty?

- Problemy, panie władzo... Problemy.

- A jakie?

- Rodzinne. - Klajster się uśmiechnął, prezentując przetrzebione uzębienie.

- Każdy je ma... - zachnął się Denhel. - Stryjenka tak w zęby i nos dała?

- Nie, szwagier mnie się nie udał.

- To przez niego musiałeś wyjeżdżać do Gdyni?

- Głównie przez niego - westchnął. - Miałem w porządku dom i mieszkanie, izbę w normalnym budyńeczku, królestwo formalnie, a nie takie barachło<sup>72</sup> jak tutaj. Roboty nie znalazłem, no ale kto ją ma? Żonka się starała, ja trochę kombinowałem i jakoś szło, aż ten szwabski pajac zaczął robić porządki...

- Jak to?

- A coś pan taki ciekawy? Daj Boże rąbnęli go i ja jestem podejrzany? - Klajster odzyskał na chwilę rezon. - Panie, ja nie robię na mokro, ja w ogóle nie robię w tem fachu, ja uczciwy

człowiek przeważnie jestem, choć nie ukrywam, jakby go diabli wzięli, tobym się cieszył, raczej... Panie władzo?

- Szwagier żyje i ma się dobrze.

- Szkoda - odpowiedział markotnie, ale nagle się ożywił. - A pan władza go zna?

- O tyle o ile. A co ci takiego zrobił ten Henio Wcisło i czemu on szwabski pajac?

- To jakiś cudak. Nie dość, że się nosi jak jaśnie pan, to... - Kłajster zawiesił głos, jakby miał powiedzieć jakąś gorszącą prawdę.

- To czyta książki! Taki z niego niby uczony, literat prawie, psia mać. No a szwab, bo ta jego nieboszczka matka z Niemców była. Ojciec Polak, majster z gazowni, też nieboszczyk, zginął w walkach pod Wyszkowem. Heniek też był na wojnie i to na niejednej. Wiem, że chyba na Śląsk jeździł się bić z Niemcami, ale to tylko podsłuchałem. Kaprała się dorobił, gnój jeden, a mnie wygnał na poniewierkę...

- Co to znaczy dokładnie?! - Denhel bardziej huknął na Kłajstra, niż zapytał. Było zimno i drażniła go ta niemrawa spowiedź małego złodziejaska. - Otworzył drzwi i kazał ci zmiatać do Gdyni?

Mimo silnego wiatru Denhel wprawnym ruchem zapalił papierosa. Menelik Rysio myślał, że policjant go poczęstuje dobrym szlugiem, więc się przymilnie uśmiechnął. Czuł, jak cudowny dym z pierwszorzędnego tytoniu powoduje, że ślina napływa mu do ust, splunął więc i zaczął mówić.

- To ja opowiem wszystko od początku. Wiesz pan, jak to mówią.

- Znow pokazał szczerbaty uśmiech. - Jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije... Ta moja Zośka taka więcej pyskata była, więc jej od czasu do czasu musiałem przypalantować, a ta głupia donosiła swojemu kuzyniakowi. Razu pewnego jak wyszłem z nerw, to troszkie przesadziłem, nie powiem. - Skrzywił się. - Limo jej zrobiłem fest, ale to jak potem mnie i koleżków ten piszpanek Wcisło urządził, to Sodoma i Gomora.

- Sodoma? - zdziwił się Denhel, zastanawiając się, co miałyby zrobić Rysiowi i jego kompanom Heniek, ale najwyraźniej nie o biblijne hasło chodziło Klajstrowi.

- Ja się z niem chciałem kulturalnie wódki napić, a ten zleciał jak grom z jasnego nieba i urządził nam jakąś jatkę.

- Miał rewolwer?

- Nie miał żadnej klamki, w życiu u niego niczego takiego nie widziałem, gołemi rękoma nas załatwił, aż skończyliśmy na pogotowiu. Na mnie wymusił rozwód i wyniesienie się z Warszawy, więc przyjechałem tutaj, bo wszyscy mówili, że tu dużo roboty.

- No i co?

- No dużo, ale dla frajerów, ja zdrowia na loterii nie wygrałem, żeby za pińć groszy dymać od rana do wieczora, cały czas szukam czegoś porządnego, no wiesz pan, takiego dla ludzi, żeby pieniądz był i niekoniecznie garb wyrósł na plecach. - Byle jak ubrany Klajster przestępował z nogi na nogę i chłonał zapach papierosowego dymu. - Za pozwoleniem, panie władzo, poczęstowałby mnie pan papieroskiem?

Denhel spojrział na Rysia tak, aby ten zrozumiał, że pytanie było co najmniej niestosowne.

- Mnie nie obchodzi twoja robota, tylko ten Wcisło. Nie chciałeś rewanzu?

- No z początku tak, ale później to już tak niekoniecznie - markotnie wyznał Klajster i nie wiadomo, czego w tej chwili bardziej żałował, niedokonanej zemsty czy niezapalonego papierosa.

- A to czemu?

- Bo on mocno szemrany jest.

- Jak mocno?

- Tego dokładnie nie wiem, ale ja to przy nim mały pikuś. Wiesz pan, zanim wyjechałem do Gdyni, to próbowałem zebrać nabojkę, ale ktoś powiedział; to kumpel Tasiemki, a inny dodał, że zna też i Łokietka, no wiesz pan, rozchodzi się o tych kozaków z PPS-u, co trzęsą milicją robotniczą. Faktycznie, to zły adres, żeby wjeżdżać z gazrurką bez zaproszenia.

- Tylko tyle?

- Tylko? - Rysiek Klajster spojrzał zdziwiony. - Faceci rządzą Kercełakiem, Powązkami i połową Warszawy, a ja mam do nich startować?

- Chodzi mi o to, czy Wcisło nie zna jakichś przestępców...

- Pewnie zna, musi znać, ale ja na to za krótki jestem. Nie wiem, jakie interesy robi, bo jakbym wiedział, to bym się przed panem w try miga wypućował.

- Na pewno?

- Na pewno, jak Boga kocham, panie władzo!

Rysiek Klajster był tchórzem, śmierdzącym tchórzem i na pewno mówił prawdę. A może tylko pół prawdy? Skoro nie wiedział, to może jednak coś podejrzewał?

- A nie domyślasz się, w czym on robi?

- Oficjalnie to należy do warsztatu stryjka, do tego ojciec zostawił place, no i na konikach jakoś mu idzie. Życie lordowskie prowadzi i całkiem legalne, ale na pewno musi wchodzić w jakieś szemrane geszefty, ale ja nie wiem w jakie. Miałem go za gamonia i nawet...

- Uśmiechnął się wstydliwie.

- No co?

- Chciałem przejąć ten jego interes. Tak sobie kombinowałem, że się wpasuję tak rodzinie do interesu, wezmę koleżków i podoimy go, ale to się kompletnie nie udało. Życzę mu jak najgorzej, więc wierz mi pan, że jakbym coś wiedział, to bym pięknie wyśpiewał. On jest silny. - Popatrzył ze smutkiem na Denhela. - Tak silny, że nawet mocno szemrani nie wiedzą, co robi.

Więcej z Rysia nie wydusi to pewne. Szkoda, ale na pewno znajdzie kogoś, komu załazł za skórę i kto ma na niego parę historyjek, a kto wie, może i papiery? Aspirant Karol Denhel umocnił się w przekonaniu, że Henryk Wcisło jest ważną postacią w szemranym światku i że warto go dopaść nie tylko dlatego, że śmiał kiedyś położyć rękę na jego miłości. Gdyby ktoś go zapytał, czy kocha Leokadię Rostocką, pewno by nie potwierdził, ale gdyby druga część pytania tyczyła się tego, czy chce ją osiąść, to odrzekłby, że tak. Ona nie była już jego miłością, lecz celem, musiał tylko sam sobie, jej i Wcisłu udowodnić, kto tak naprawdę jest ważny. Zaspokojenie jego ambicji nie było też wyłącznie haraczem dla własnego ego, ale także miało szansę stać się przełomową chwilą w jego karierze.

- Panie władzo - w jego myśli wdarł się płaczliwy ton głosu Rysia Klajstra. - Władzuchno kochany, poczęstuje mnie pan papieroskiem?

Aspirant Denhel obrzucił Rysia pogardliwym spojrzeniem, po czym odwrócił się do niego tyłem i poszedł w stronę Cieślaka i jego ludzi.

- Jest wolny, dziękuję za udzieloną pomoc, panowie.

Dumając nad swoją przyszłością, Karol Denhel dotarł do portu.

Spojrzał na skromne budynki i nadbrzeże. Z daleka widać było jego hotel, pociągnął przez piasek na wzgórze, na którym stała Riviera. Za dnia Gdynia prezentowała się pięknie, nic dziwnego, że zaczynało to być modne miejsce, które miało konkurować z Zoppot o turystów z Polski, podobnie jak gdyński port miał zamknąć monopol Gdańska. Budynek pachniał jeszcze nowością i jedyne, co mu można było zarzucić, to wielkość. Dla dobrej atmosfery był w sam raz, ale dwupiętrowy dom z mansardowym dachem miał tylko siedemdziesiąt pokoi i publika, dla której nie wystarczyło miejsca, z żalem musiała kierować swe kroki w kierunku niemieckiego Zoppot, gdzie budowano podobno gigantyczny hotel.

Z okien Rivieri widać było „okno na świat”, rosnące porty: handlowy i wojenny Zerknął też na drugą stronę, na razie hotel stał na pustkowiu, górując nad okolicą, ale miasto się zbliżało do niego i pewno za parę lat otoczy go domami i konkurencyjnymi pensjonatami. Główna ulica Gdyni, Świętojańska, była tak naprawdę szosą między polami, wzdłuż której rosły pojedyncze domy. Stał już kościół, a powstaną pewno i urzędy, banki i z prawdziwego zdarzenia budynki kapitanatu, portu i dworca



kolejowego. Ludzie z baraków też będą musieli gdzieś zamieszkać. Na razie była to wieś, w której między chałupami budowano miasto. Ale czyż nie było tak z Żoliborzem, Mokotowem, Wolą oraz Saską Kępą i Sadybą? Jeszcze niedawno koniec świata, a teraz miejsca coraz bardziej eleganckie i budzące zazdrość. Z Gdynią też tak będzie, ale na pewno Ryszard Klajster nie znajdzie tu dobrego miejsca. Ani tu, ani w żadnym innym zakątku świata.

W warszawskim Urzędzie Śledczym panowało podniecenie takie jak wtedy, gdy okazało się, że nadkomisarz Ludwik Kurnatowski, zamiast zeznawać w sprawie kierownika brygady fałszerskiej i jednocześnie szefa szajki Daniela Bachracha, oddelegował się do pilnego wyjazdu do Francji, uzyskując uprzednio... włoską wizę. Za byłym szefem wysłano listy gończe po całej Europie, ale nie przychodził na nie żaden odzew. Sprawdziła się za to metoda stara jak świat, śledzenie bliskich poszukiwanego.

W poniedziałek trzeciego stycznia w tajemniczy sposób zniknął wywiadowca pilnujący pani Kurnatowskiej. Najpierw przyszedł telefon z jakiejś dziury, naczelnik stacji dzwonił, że mężczyzna dał mu papierek z notatką i numerem, więc dzwoni. Okazało się, że pani Kurnatowska pojechała nagle z Nowosenatorskiej, gdzie było jej mieszkanie, na Dworzec Główny i tam wsiadła do pociągu jadącego go Gdańską. Nie zauważyła, że za nią wsiadł wywiadowca, ten dojechał aż do Gdańską, a tam... na Dworcu Głównym witał swą małżonkę były as policji. Wkrótce do komendy przyszła depesza, że Kurnatowscy mieszkają, jak gdyby nigdy nic,

naprzeciwko dworca w hotelu Continental. Szybko zaczęto załatwiać formalności z prezydentem policji Wolnego Miasta Helmutem Frobossem. Teraz trzeba było jeszcze wysłać policjanta na misję sprowadzenia byłego zastępcy naczelnika. Wtedy ktoś wypalił: - Przecież aspirant Denhel bawi w Gdyni, jak będzie wracał, to może zabrać ze sobą naczelnika!

Z miejsca wykręcono numer gdyńskiego hotelu Riviera, w którym był zameldowany Karol Denhel.

Aspirant Denhel leżał w pokoju, bo odpoczywał po dwóch wyczerpujących dniach. W poniedziałek załatwił sprawę z Klajstrem, a we wtorek urządził sobie wycieczkę na Hel. Miejsce go urzekło. Poruszyła go też informacja, że grupa ludzi, którzy zostali przez ten krajobraz porwani tak jak on, ale byli znacznie od niego bogatsi, umyśliła, by za rok, dwa powołać tam do życia miejscowość uzdrowiskową. Pierwsze prace już się zaczęły, ale nim się pobojuje polskie kurorty, na Polakach będą zarabiali Niemcy i Zoppot. Tam był z kolei w środę, z zawodowej ciekawości zobaczył słynne kasyno, które urzędowało w domu zdrojowym. To była przewaga Zoppot nad innymi miejscami; kasyno, gra w ruletkę i bakarata była pretekstem do tego, by bogaci Polacy wyjeżdżali tu na wywczasy. Niemieccy właściciele kasyna usłużnie umieścili napisy po polsku i nauczyli podstawowych zwrotów obsługi, bo to polskie pieniądze były kołem zamachowym tej instytucji.

Podobnie było na wyścigach, bo w Zoppot funkcjonował także wcale niezły tor. Latem przez zakłady i ręce krupierów

przechodziły strumienie polskich pieniędzy. Ich pochodzenie było różne, jak różne było pochodzenie ich właścicieli. Byli to zarówno arystokraci, jak i przemysłowcy oraz paskarze i spekulanci, którzy się dorobili na wojnie i biedzie czasów powojennej odbudowy kraju. Policja z Warszawy także miała z tym miejscem do czynienia, bo do stolicy wracały trumny ofiar nocnych przechadzek po molo. Śledczy z Wolnego Miasta mieli nawet na taki zgon odpowiednią kategorię. Nazywało się to obluzowana deska. Tacy nieboszczycy pozostawiali rodzinie tylko długi. Familie tych, którzy strzelali sobie w łeb lub kończyli życie na drzewie w alei wisielców, dostawały w spadku także kompromitację nazwiska. Samobójstwo, zwłaszcza po przegranej w kasynie, nie było dobrze postrzegane w towarzystwie. Wiele powiedział mi o hazardowych ofiarach Cieślak, który miał nawet schowany na pamiętkę wycinek gdańskiej gazety. „Projektowany hotel winien być wystawiony w takiej formie, by przedstawiał coś w rodzaju tryptyku. Lewe jego skrzydło mieściłoby cele ze ścianami wybitymi filcem dla goszczenia wariatów, prawe skrzydło kryminał. Zamiast gazonu przed frontem hotelu należy od razu założyć cmentarz dla samobójców. Na froncie hotelu powinno się umieścić motto Dantego *Lasciate ogni speranza*”.

- Ciekawie to odmalowali - zachwycał się Cieślak.

- Tak, do tego autor błysnął dobrym, klasycznym wykształceniem

- docenił wysiłek redaktora aspirant Denhel. - „Porzućcie wszelką nadzieję” to z Boskiej Komedii!

- Nie znam tego filmu - Cieślak przerwał Denhelowi delektowanie się misternym zagraniam żurnalisty.

Przodownik to tylko przodownik, zresztą pewnie nie każdy oficer wie, o co chodzi. Popatrzył na wielką budowę, która mimo zimy trwała obok kasyna.

Robotnicy walczyli z czasem, by na sezon letni wykończyć potężny Kasino-Hotel, w którym zamieszkałyby w luksusach, często ostatnich w ich doczesnym życiu, przyszłe ofiary stojącego obok domu gry. Żałował później, że może powinien pojechać do Gdańska, ale okazało się, że los i tak tam go skierował. Gdy chciał już wychodzić na dworzec, poproszono go na portiernię; oczekiwał tam przodownik Sławomir Cieślak.

- Dzwonili z Urzędu Śledczego - wyszeptał Cieślak. - Sprawa nadzwyczajnej wagi i niecierpiąca zwłoki. Zostaje pan w Gdyni, tak kazali przekazać. Jedziemy na komisariat, tam zadzwoni pan do swoich przełożonych po dalsze dyspozycje.

Gdy usłyszał w słuchawce, że ma nie wracać, tylko przedłużyć pobyt o dzień, po to by zatrzymać, po czym przewieźć na Daniłowiczowską Ludwika Kurnatowskiego, nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Aspirant Karol Denhel miał za sobą ciężki dzień, ale zamiast spać myślał tylko o tym, jak będzie triumfował nad Ludwikiem Kurnatowskim, człowiekiem, który nie tylko skompromitował Policję Państwową, ale także nie docenił jego osoby. Przeczłgał go jak rekruta, groził wyrzuceniem z policji lub przeniesieniem do policji ruchu... Ale teraz to on będzie górą.

Z samego rana Denhel wyruszył pociągiem do Gdańska. Zaraz po wyjściu z dworca miał ochotę ruszyć do stojącego tuż obok hotelu Continental, ale zamiast tego musiał się udać na Karrenwall 6<sup>73</sup> do budynku prezydium policji. Tam spędził pół

dnia przy papierkowej robocie, później zaś musiał zakupić bilety na sliping. To zrobił niemal w ostatniej chwili, bo gdańskie biuro Orbisu mieściło się przy Stadtgraben 7<sup>74</sup>, czyli na parterze hotelu, w którym mieszkali Kurnatowscy. Wszystko było dokładnie obmyślane przez szefów z Daniłowiczowskiej; miał zatrzymać Kurnatowskiego w hotelu podczas kolacji, a następnie zaprowadzić go do nocnego pociągu. Chwila satysfakcji się zbliżała. Wszedł do hotelu i na portierni pokazał swoje dokumenty uwierzytelnione przez gdańską policję, wezwał też detektywa hotelowego, by ten nie był zaskoczony całą sprawą oraz, w razie czego, udzielił mu pomocy.

Załatwił formalności i wkroczył na salę. Kurnatowscy jedli kolację, niczego się nie spodziewając. Gdy były nadkomisarz dostrzegł Karola idącego przez salę, udawał, że go nie widzi. Być może sądził, że Denhel jest tu przypadkiem. Nic z tych rzeczy!

Aspirant Karol Denhel podszedł do stolika i bez słowa pokazał swe dokumenty Kurnatowskiemu. Ten również bez słowa czytał ich zawartość, ale w piśmie sporządzonym po niemiecku nie było żadnej, najmniejszej choćby furtki. Wiedział, że jest teraz w rękach Denhela, ale nie dawał po sobie poznać, że poniósł porażkę.

- Dobrze, rób pan ze mną, co chcesz - powiedział i wymownie spojrzał na żonę. Jego oczy zdawały się mówić: „Koniec gry, moja droga”. Chcąc trzymać fason, dodał: - I oto znów wrócimy do swego mieszkania przy Nowosenatorskiej.

- Nie sądzę - wycedził z uśmiechem Denhel. - Blisko, niedaleko, i pod znany adres na Daniłowiczowską, ale nie do

Urzędu Śledczego, lecz obok... Małżonka wróci do domu, ale pan trafi do Aresztu Śledczego, dał się pan komisarz złapać i tyle!

Ludwik Kurnatowski zaśmiał się szyderczo.

- Nie dałem się złapać, bo się nie ukrywałem.

- Czyżby?

- Nie zmieniłem nazwiska, po prostu pojechałem w służbową podróż!

- Rzekomo do Francji, ale z włoską wizą i hotelem w Gdańsku?

- Nie pana interes, sprawa była wyższej wagi, nie przed panem się będę tłumaczył. Załatwiłem swoje interesa i mogę wracać.

- Skoro tak, to może pan się zgrał w Zoppot i nie ma pan za co wracać? - Denhel też chciał być szydercą. - Policja Państwowa pomyślała o tym, mam dla państwa dwa bilety powrotne!

- Panie aspirancie, czy ja wyglądam na kogoś takiego? - zapytał z uśmiechem Kurnatowski. - Poza tym dobre kasyno, a mają tu dobre kasyno, funduje wielkim przegranym bilet powrotny. - Uśmiezek nie zniknął z oblicza Kurnatowskiego. - A ja, ile bym przegrał, jestem wielki, do czego pan nigdy nie dorośniesz!

Denhel zachował spokój i odpowiedział w tym samym stylu:

- Nikt nie wygląda na hazardzistę, pan też nie. Co więcej, nie wygląda pan też na takiego, który wyciąga pieniądze od ofiar przestępstw, dlatego pana wielkość jest pozorna, rozmienił się pan na drobne, rozczarowałem się panem.

Kurnatowski nie wyglądał na zmieszanego.

- A masz pan, panie Lolku, jakieś dowody?

Ten bydlak wyraźnie go lekceważył.

- Uciekłeś pan, niewinni nie uciekają!

Ludwik Kurnatowski serdecznie się roześmiał i protekcyjnie poklepał Denhela po plecach.

- Powtarzam: wyjechałem służbowo!

- To było oszustwo!

Kurnatowski zachowywał spokój.

- I jeszcze raz powtórzę, jeśli pan nie dosłyszał: nie muszę się panu tłumaczyć. - Zaśmiał się. - Wcale a wcale, ale przed sądem udowodnię, że kierowały mną sprawy wyższej wagi! Panu nic do tego - zmienił nagle front. - Nic, kompletnie nic. Pan jesteś tylko moim konwojentem i to wszystko!

Karol Denhel myślał, że go zaleje krew.

- Dziś konwojentem, a jutro świadkiem!

Kurnatowski dalej był w masce obojętności.

- A to dopiero!

- Żebyś pan wiedział, żebyś pan wiedział.

- Znudziłem się tą niepotrzebną dyskusją. Spotkamy się w sądzie, a teraz proszę mi dać spokój, i tak poświęciłem panu dość czasu, zarówno w Urzędzie Śledczym, jak i w tej chwili. I tak na koniec, zapamiętaj pan sobie, że gdybym nie chciał wracać, tobym nie wracał. Do zobaczenia rano, po śniadaniu. Zjemy śniadanie z żoną, bez pana towarzystwa, zresztą - podkreślił to z wyższością - nie mieszka pan w naszym hotelu.

- Pan także. Pozwoliłem sobie zgłosić obsłudze, że państwo się wyprowadzają, właśnie pokojówki pakują państwa walizki. Proszę dokończyć kolację i uregulować rachunki, za niespełną godzinę jedziemy nocnym pociągiem do Warszawy.

Może nie do końca wyglądało to tak, jak sobie wymarzył, bo Kurnatowski nie stawiał oporu, ale mimo wszystko delektował się

tą chwilą, a to przecież jeszcze nie koniec całej sprawy.



## XXVIII

### SZAFA Z CYRKU

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 5 stycznia roku 1927*

*Ledwie się zaczął Nowy Rok, a wydarzeń tyle, co w niejeden miesiąc. Mówi się, że pan Marszałek odda urząd premiera na powrót panu Bartłowi, a sam pozostawi dla siebie tylko tekę ministra spraw wojskowych. Tym żyją w salonach, a ulica ma proces w sprawie zabójstwa gruzińskiego księcia. W przyszłym tygodniu stanie przed sądem Stefan Lebrun-Likiernik, który oskarżony jest o zabójstwo Serga Kuruliszwilego. Ten (podobno niezwykle przystojny) gruziński arystokrata, polityk i poeta uwiódł owemu Lebrunowi-Likiernikowi żonę. Wydawało się, że mąż się pogodził ze stratą, ale peionego dnia zastrzelił Gruzina w kawiarni Komorowskiego. Nic dziwnego, że gazeciarze mają o czym krzyczeć. Ciekawe, czy mój Heniek byłby do tego zdolny. Potrafi być gwałtowny i już raz bronił mnie jak lew... Nie wiem, kiedy usiądę po raz kolejny do mojego kajetu, ale pewno w lutym, bo w styczniu będzie się wiele działo. Muszę się przygotować do sesji, a przecież nie daruję sobie, by nie pójść do filharmonii na festiwal szopenowski. Organizują go pierwszy raz i od razu mają*

*zjechać do Warszawy. Ale to dopiero za dwa tygodnie, a już dziś po południu się spotykam z Heniem. Chwała Bogu, że zgolił te wąsiki, teraz wygląda jeszcze lepiej!*

Juliusz Beniowski zamknął gazetę. Nie znalazł tam nic godnego uwagi, niczego, o czym by wcześniej nie słyszał. To, co naprawdę zajmujące, nie było jeszcze ani na szpaltach, ani złożone przez zecerów, ani nawet zanotowane przez reporterów. Kapitan, choć nie urzędował w Sztabie Generalnym, i tak należał do najlepiej poinformowanych ludzi w mieście. Gazety napiszą o tym jutro, no może jeszcze dziś, w dodatku nadzwyczajnym, a on już wiedział, że były naczelnik Kurnatowski jest w siedzibie Sądu Okręgowego przy Miodowej i wcale nie zeznaje w sprawie kierownika piątego komisariatu komisarza Stanisława Pindelskiego, lecz w swojej własnej.

Były zastępca naczelnika Urzędu Śledczego nie wrócił, jak się łudzili przez niego zmyleni, z francuskiej misji, lecz został zatrzymany w Gdańsku. Prawdopodobnie niedługo wszystko będzie jasne, bo w Sądzie Okręgowym maglowano Kurnatowskiego od południa. To może oznaczać koniec nie tylko jego, ale i aspiranta Bachracha. Koniec ostateczny, bo wcześniej mógł go uratować jeszcze jakiś cud, a pojmanie Kurnatowskiego jakikolwiek cud wykluczało. Szkoda, Daniel Bachrach oddawał mu nieocenione usługi, choć kosztowało go to kolosalne pieniądze z jego tajnego budżetu. Trudno, co robić, iluż dobrych oficerów zginęło na wojnie, a to też swojego rodzaju wojna. Poza tym nie ma ludzi niezastąpionych, a Bachrach trafi tylko do więzienia.

Kiedyś wyjdzie i się przyda, oczywiście o ile nie sypnie, ale tego kapitan Beniowski był pewien.

Gdy w pałacu Paca przy Miodowej, gdzie miał swą siedzibę Sąd Okręgowy, sędzia Jaworowski i prokurator Wójcicki dostali do dyspozycji poszukiwanego, Karol Denhel ruszył do swoich świadków, którzy, jak mniemał, dobiją zeznaniami Kurnatowskiego. Pracował nad nimi od ponad miesiąca, bo jak tylko nadkomisarz zwiął za granicę, aspirant odwiedził miejsca, w których śledztwa osobiście nadzorował Kurnatowski. W pamięci miał przede wszystkim dwa; skład kolonialny przy Świętojerskiej i mieszkanie barona Grunshilda.

Najpierw się zapowiedział u barona. Ze zdziwieniem stwierdził, że umówienie na wizytę nie było takie trudne i wręcz od ręki dostał termin spotkania. Pognał z miejsca, by się nie spóźnić, i szybko się przekonał, czemu baron tak chętnie się zgodził na spotkanie. Zgodnie z jego przewidywaniami córeczka finansisty nie była święta, lecz współdziałała z oszustem, który wykorzystywał jej miłość i naiwność rodziny oraz osób trzecich.

- Musiałem nawet, panie szanowny, na pewien czas wywieźć córkę do Francji, do mej rodziny - wyjaśnił strapiony baron. - To się okazało dobrym pomysłem, podobnie jak groźba, że jeśli to nie pomoże, to umieszczę ją u sióstr, w zamkniętej szkole. Nie jest jeszcze pełnoletnia, mam do tego prawo - zakończył stanowczo.

Denhel już miał powiedzieć, że ta mała, niewinnie wyglądająca bestyjka rozłoży zakon i szkołę od środka, ale w porę się ugryzł w język. Co innego było powodem jego wizyty.

- Czy Policja Państwowa ma wobec pana jakieś zobowiązania?

Baron uniósł do góry brew i widać było, że zamierza starannie ważyć słowa.

- Jest tu pan prywatnie czy służbowo?

- Jestem prywatnie dla spraw służbowych!

- To zupełnie jak kiedyś pan nadkomisarz... - Baron zamyślił się.

- Wiesz pan, on mówił dokładnie tak samo, ale...

- Ale okazało się, że był służbowo dla spraw prywatnych - oskarżycielskim tonem dokończył Karol Denhel i stanął przed baronem na baczność. - Panie baronie, ja tu działam dla dobra publicznego i dla dobrego imienia Policji Państwowej! Czy pan Kurnatowski wyłudził od pana pieniądze?

- Jak tylko Kryisia zaginęła, zgłosiłem to na policję i z miejsca oddzwonił do mnie pan Kurnatowski. Gwarantował, że córka się odnajdzie, więc obiecałem mu dwa tysiące złotych. Pięćset dałem tytułem. .. zaliczki.

- Zaliczkował pan córkę?

- Wiem, jak to brzmi, ale wobec tej sytuacji byłem bezsilny, pan się postawi na moim miejscu.

- Całkowicie pana rozumiem - zgodził się Denhel, ale tylko na pokaz, bo w środku kipiał ze szczęścia.

- Jeśli postawią pana Kurnatowskiego przed sądem, będę rzecz jasna zeznawać. - Na pożegnanie baron jeszcze mocniej poprawił mu humor.

Wprost od barona Denhel pognął na Świętojerską do składu kolonialnego, tam rozmowa wyglądała podobnie, kupiec długo się krygował, po czym wyznał:

- Pan nadkomisarz powiedział, że moja sprawa nie jest jakaś szczególnie ważna, i że bym ja i mój geszeft byli w kolejce wyżej, muszę zapłacić specjalna premia. Skoro to nie jest prawda i pan nadkomisarz mnie oszukał, to ja chcę z powrotem moje trzysta złotych!

To było wiele tygodni temu, teraz, gdy Kurnatowski był zapewne masakrowany przez sędziego i prokuratora, jego ofiary mogły mu wbić gwóźdź do trumny! Szykował się do tych wizyt przy swoim biurku na Daniłowiczowskiej, gdy gruchnęła wieść - Kurnatowski wyszedł, wpłaciwszy dwa tysiące złotych kaucji!

To niemożliwe, gdyby ktoś powiedział coś takiego godzinę temu, to uznano by go za niespełna rozumu, a słowa potraktowano jak wprost obraźliwe dla wymiaru sprawiedliwości! Jak to się stało? Czemu sędzia i prokurator uwierzyli Kurnatowskiemu? Sięgnął po telefon i zadzwonił do Grunshilda, ale baron nie chciał z nim rozmawiać. Pobiegnął na Świętojerską, a tam żądali od niego stosownych papierów, bo przecież prywatnie to mogą co najwyżej dać panu aspirantowi zniżkę. Zmowa milczenia zapanowała nad sprawą Kurnatowskiego. Aspirant Karol Denhel był bliski załamania. Jak tak dalej pójdzie, to Kurnatowskiego przywrócą do służby! Pobiegnął do Strasburgera, mimo wszelkich różnic wydawał mu się jedyną osobą godną zaufania.

- Kornelu, to skandal! Skandal! - wykrzyczał. - To zamach na praworządność i sprawiedliwość, kpina z uczciwych policjantów. Ja rozpocznę krucjatę, ja się położę jak Reytan, ja...

- Lolek! - energicznie przerwał mu Strasburger. - Pamiętaj, on ma wielu przyjaciół, wielu ludzi, którzy zawdzięczają mu karierę

lub pieniądze, albo jedno i drugie. Nie dadzą mu zginąć, za to będą ci utrudniać życie z całych sił.

Karol Denhel nie lubił, gdy się go pouczało, nie lubił, gdy mówiono mu, co by zrobili inni. Nienawidził, gdy mierzyło się go cudzą miarą, a już zupełnie nie tolerował mówienia do niego per Lolek. Zagryzł jednak wargi, bo wiedział, że Strasburger ma rację i że sprawa Kurnatowskiego może sprowadzić na niego nieszczęście. Dlatego potrzebował sojuszników, a Strasburger należał do tych, którym mógł ufać.

- Dziękuję ci za radę, Kornelu, ale tak zdecydowałem. Byłem przeciwko Piłsudskiemu, nazywałem go bandytą, ale podoba mi się, że chce oczyścić Polskę. Chcę tego samego i nie ustane w tym! Nie wymagam od ciebie, byś poszedł moją drogą, byś wszczął wojnę ze starymi psami, wystarczy, byś był mi kolegą.

Uścisnęli sobie dłonie, a Strasburger powiedział:

- Powodzenia i pamiętaj, musisz mieć wszystko na dwieście procent!

Podziękował za radę, choć dobrze o tym wiedział. W akcie desperacji ruszył w Aleje Ujazdowskie, będzie tam warował pod domem barona, który musi go wysłuchać! Gdy zobaczył, jak Grunshild wysiada z dorożki, ruszył w jego kierunku.

- Szanowny panie, mówiłem przez swojego lokaja, że nie jestem zainteresowany rozmową z panem - powiedział oschle baron.

- Ależ panie baronie, padł pan ofiarą łobuza!

Baron się zmieszał i nic nie odpowiedział, sprawiał wrażenie, że chce mówić, ale coś go zatrzymuje.

- Panie baronie?

- Sprawa jest delikatna, panie aspirancie, bardzo delikatna. Musi mnie pan zrozumieć, jestem finansistą, a finansieści to ostatnie osoby, które powinny sobie pozwolić na wyłudzenie pieniędzy. Coś takiego może zachwiać moją reputacją.

Zapadło krępujące milczenie.

- Panie baronie - zaczął ostrożnie Denhel. - Ale w tym wypadku nie jest pan finansistą, lecz ojcem!

Znów chwila ciszy. Leopold Grunshild potrzebował czasu do namysłu.

- Ma pan rację... ale sam pan widzi, że Kurnatowski dobrze się trzyma i moja interwencja owszem, zaszkodzi, ale tylko mojej osobie. A teraz pan pozwoli. - Baron uchylił kapelusza i wszedł do kamienicy, w której się znajdował jego apartament.

Karol Denhel był zdruzgotany, jego plan legł w gruzach. Szybko jednak wziął się w garść i znalazł remedium na wyleczenie się z frustracji i wściekłości. Ktoś za to musi zapłacić i tą osobą będzie Henryk Wcisło!

Kończył się dzień wypełniony licznymi zajęciami, jakby to powiedział Mietek Kosiorek, „nabity jak kabanos”. Warsztat, spotkanie z Tasiemką, któremu trzeba było odpalić dolę za klientów, późny obiad u babci, a potem nieplanowana wizyta w cukierni na rogu Wolskiej i Skierniewickiej. Przechodził obok i nie mógł się opanować, zapach zwabił go do środka. Został na moment sam ze słodkościami i własnymi myślami. Rzadko miał na to czas, bo był jak w galopie. Leokadia też. Wydawało się, że gdy zacznie studiować, to się usamodzielni i będzie panią samej siebie. Nic z

tego, nauka pochłaniała ją bardziej niż wcześniej rodzicielskie zakazy. A może wcale tak nie jest? - pomyślał. Posmakował napoleonki od mistrza Władysława Zagoździńskiego i przynajmniej na chwilę odeszły od niego czarne myśli.

- Może szanowny pan życzy sobie jeszcze jedną? - Zza lady wychyliła się pani Zagoździńska.

Była tak naprawdę dziewczyną w jego wieku, bo i sam mistrz Władysław był od Heńka niewiele starszy. Zagoździński był młody, ale ciastka i pączki robił doskonale i miał już swoją renomę. Mówiło się, że oficer, który często wpada tu po pączki, jest adiutantem samego Marszałka! Fajno, że im się wiedzie, fajno być takim Zagoździńskim, który pewnie żyje sobie całkiem klawo ze swoją ładną żoną. Czemu on nie może się tak ustatkować?

Zamiast odpowiadać na trudne pytania zamówił bajaderkę i sięgnął po leżącą przy ladzie gazetę. Tytuł krzyczał: „Międzynarodowy kasiarz Stanisław Szewczyk aresztowany w Piotrowicach!” Szewczyk chciał wiać do Czechosłowacji, a podejrzany jest o współudział we włamaniu do Banku Dyskontowego w Warszawie. A więc także chłopaki od Szpicbródki wpadają, pomyślał. A może jednak się ustatkowałem i zmądrzałem? Tak chyba było, bo oparł się pokusie, jaką była przynależność do nowej szajki króla kasiarzy. Czytał dalej, z Szewczykiem aresztowano Mariana Danielewskiego. Ten drugi to płotka, za to Szewczyk... specjalista od roboty podkopowej, autor skoków w połowie Europy, pensjonariusz zakładów w Niemczech, Austrii i Francji.

Bezpośrednio po wykryciu podkopu kierownicy policji śledczej orzekli, iż jest to robota Szewczyka. Podobno od początku policja



miała go na oku, typując na wykonawcę podkopu. Czy Szewczyk to ten sam „szytgar”, który prowadził robotę podczas skoku na Gwiazdę Polski? O Szpicu nie piszą nic, ale za to pojawiło się nazwisko niejakiego Markowicza. Podobno to cudzoziemiec, który należał do gangu.

Zamknął gazetę i odetchnął z ulgą. Nie było go tam i nigdy już się nie znajdzie w takich sytuacjach. Jeśli złamie prawo, to tylko wtedy, jeśli dorwie zabójcę matki. Dokończył ciastko i pomyślał: Kłopoty to nie moja specjalność, było, minęło, finito, koniec! Trzeba tak jak Zagoździńscy uwić sobie gniazdko i spokojnie wykonywać swoją robotę, ale czy z Leokadią będzie to kiedykolwiek możliwe? Na razie musi się cieszyć tym, co ma. Spojrzał zegarek. Gazu! Dość objadania się ciastkami, smakołyki czekają na niego gdzie indziej i to te pierwszorzędne. I wcale nie chodziło o to, że był za pół godziny umówiony w Café Varsovie przy Nowym Świecie, tylko o to, co będą robić z Leokadią później w jego mieszkaniu!

Klucz do sukcesu był przy Dzikiej 4. Niemal wszyscy w Warszawie znali ten adres, ale nie sposób byłoby określić go modnym czy gorącym. Najstosowniejsze byłoby sformułowanie: śmierdzący. Śmierdzący, odpychający i ohydny. Z pewnego oddalenia zdawało się, że ten niski, schludny, drewniany dom mieści jakiś warsztat, może biuro, ale na pewno nie cyrk. Oficjalnie był to przytułek prowadzony przez albertynów, ale nikt na to miejsce nie mówił inaczej jak Cyrk. Jego lokatorami byli w większości przestępcy lub przyszli przestępcy, bo kto został

dotknięty bezrobociem lub pijaństwem i lądował przy Dzikiej, prędzej czy później trafiał też i do policyjnych rejestrów, a na koniec do kryminału.

Za drzwiami przytułku znajdował się zbiór indywiduów tak niezwykłych, że jeszcze za cara podczas wizytacji przez funkcjonariuszy policji wysokiej rangi oficer wykrzyknął na widok lokatorów: „Czto eto, cirk?”<sup>75</sup> . Tak zostało, a każdy z jego mieszkańców nazywany był od tej pory cyrkowcem. Niewielu było takich, co mieszkali tu tylko przez pewien czas, po czym się odbijali od dna i wracali do społeczeństwa, niewielu było takich, którzy żyli tu, by zmniejszyć koszty utrzymania, by wysłać jak najwięcej zarobionych uczciwie pieniędzy na prowincję. Tacy stanowili chlubne wyjątki, większość bowiem się stawała szeregowymi w armii warszawskich złodziei, a niektórzy nawet szli w górę, wybijając się w bandyckiej hierarchii.

Wiedział, że typ, którego śledził, ten cały Wiesio Pan Szafa Karolak, był jednym z bardziej poważanych cyrkowców. Musiał być zdegradowanym przestępcą, oprychem, który nie mógł trafić do odpowiedniej ferajny. Bez dwóch zdań, potencjał miał wielki, bo sposób, w jaki załatwił Tadzieńka, był mistrzowski. Jednak mieszkanie przy Dzikiej ukazywało jego upadek, wpadnięcie w bagno, które wciąga i z którego niepodobna się szybko wygrzebać. Do tego była zima, a wtedy Cyrk i podobne mu miejsca zapełniały się po brzegi. Czytał w jednym z raportów, że przytułek albertynów był pomyślany na sto pięćdziesiąt, no może dwieście miejsc, tymczasem nawet gdy było ciepło, nie mieszkało tu mniej jak czterysta osób, a zimą było ich tu ponad dwa razy tyle! Denhel

ze spokojem czekał na moment, w którym Karolak mu się przyda. Tymczasem załatwiał pilniejsze sprawy.

Wiesiek Karolak tęsknił za dawnymi luksusami, ale wiedział, że ciężko mu będzie do nich wrócić. Był jak bezpański kundel. Silny, bitny, budzący strach, ale bezpański. Kopeccy go przygarnęli, uczynili potrzebnym i odmienili życie. Szybko podobnych nie znajdzie, bo swój rozum ma. Miał także w swojej pięści przemówienie. Szanowano więc go w Cyrku i dobrze się czuł przy Dzikiej. To było miejsce, gdzie rządził i miał posłuch. W końcu był szefem, zbyt długo na to czekał, by teraz z tej funkcji zrezygnować.

Zimą panował tu niemiłosierny ścisk, ale on należał do tych, którzy mieli niepisane prawo do większego terytorium. Nie był szczególnie wybredny, więc nie narzekał na jakość posiłków. Ważne, że były tanie i podawane regularnie. Kuchta Marian wydawał je rano od szóstej do dziewiątej, a wieczorem od szóstej do dziesiątej. Ceny były najlepsze w mieście, za 15-20 groszy można było mieć gorącą zupkę, a za 45 groszy jarzynkę z mięsem. Kto nie poskąpił ośmiu groszy mógł się jeszcze napić herbatki. A Pan Szafa nie skąpił, bo na jego posiłki zrzucali się inni cyrkowcy. Czasem jego haracz pozwalał na to, by wyjść na obiad do jakiegoś szynku i do tego porządnie wypić.

Oczywiście życie w Cyrku miało też i swoje słabe strony; kraty w oknach i naloty policyjne. Tak było w pierwszy tydzień nowego roku, w nocy z piątku na sobotę. Do przybytku przy Dzikiej wpadło kilkunastu mundurowych oraz ubranych po cywilnemu

śledczych z Daniłowiczowskiej. Kipisz, który zrobili w nędznym, zaśmierdłym wnętrzu, nie przyniósł im jakichś rarytasów. Jednak gdy wszyscy myśleli, że po prostu odfajkowano kolejny nalot, rozległ się triumfalny głos jednego z mundurowych:

- A co to jest?

Wszyscy zwrócili uwagę na wąsatego przodownika, który podnosił do góry trzymany dwoma palcami zegarek.

- Ktoś to zgubił - zaśmiał się. - Zgubił w środku materaca! A który to z szanownych panów raczył zapodziać tak pięknego sikora?

- No kto? - wydarł się dowodzący nalotem aspirant Denhel.

Zapadła cisza.

- Czyje to posłanie?

- Moje - odezwał się niepewnie, nie swoim głosem Pan Szafa.

- To znaczy czyje?

- Wiesław Karolak jestem.

- No to, panie Wiesławie, zapraszamy na Daniłowiczowską!

Karolak się zaklinał, że to nie jego zegarek, ale nic mu nie pomogło.

Denhel wiedział lepiej, że to trefny, bo Denhela sikor, a całą sprawę ułożył z przodownikiem. Potężny złodziej był w potrzasku, który śmierdział mu kryminałem. Noc spędził w celi, a rano trafił przed oblicze młodego oficera policji, który go zatrzymał.

- Wiesław Karolak...

- Tak, Wiesław Karolak.

- Były artysta cyrkowy, były i obecny...

- Ta, tylko kiedyś to był cyrk przy Okólniku, a teraz cyrk przy Dzikiej - uśmiechnął się krzywo.

- Bystrzacha z ciebie, a tak wpadłeś.

- To nie mój sikor!

- Ale może być twój.

- Że co?

- Załóż go na rękę.

Karolak patrzył jak oniemiały na Denhela, ale na wszelki wypadek uznał, że się nie przesłyszał, i szybko wciągnął zegarek na przegub. Nigdy nie miał na ręku zegarka, nawet gdy się pojawiła ta nowa moda, by zamiast cebul w kieszonce nosić zegarki na pasku.

- No pokaż... no właśnie, pasuje jak ulał! - Śledczy stał się zaskakująco miły. - A jaką masz ksywkę?

- Pan Szafa.

- No brawo - ucieszył się Denhel. - Pan Szafa! Muszę ci powiedzieć, że rzadko kiedy można tak trafnie oddać czyjąś postać. Pasuje ten Szafa do Karolaka jak mało co, zegarek zresztą też.

Potężny złodziej nie rozumiał, o co chodzi, i na wszelki wypadek uśmiechał się głupkowato, bo sądził, że w ten sposób podtrzyma doskonały nastrój niespodziewanie wprowadzony przez śledczego.

- Chciałbyś już pewno iść, prawda?

- Bezapelacyjnie tak!

- A z apelacją?

- Jak miałbym apelować, to prosiłbym, żeby wrócić do Cyrku z tym zegarkiem - wypalił Karolak i z miejsca zastanowił się, czy nie przegiął. Może wkurzy tym policjanta? Był młody i słabszy od niego, ale to nie Cyrek, tylko Urząd Śledczy.

- A wiesz, że to możliwe? - Denhel wstał i zaczął go obchodzić, po czym spojrzał z bliska w twarz. - Możliwe mimo tego, że jesteś niegrzecznym gościem. Bardzo niegrzecznym. Wiesz, co mam na myśli?

Karolak pokręcił głową, utrzymując głupkowaty uśmiech.

- Nie wiem, jak Boga kocham, nie wiem.

- A jak bym ci coś podpowiedział? - Denhel zrobił minę, jakby czegoś szukał w pamięci. - O, mam! Może tak na przykład piwko w Barze Polskim przy Dzikiej wieczorkiem po wyścigach... Pamiętasz? Bo ja doskonale!

Drab nadal szczyrzył zęby, ale jego uśmiech stawał się coraz bardziej żalony.

- Piwko...

- Tak, piwko. Piwko z Tadzieńkiem...

Pan Szafa już się nie uśmiechał, tylko siedział z rozdziawioną japą jak jakiś zwierz, który w ten sposób poluje na owady

- To było nieporozumienie towarzyskie.

- Taaak?

- Jak Boga kocham!

- Ojoj, nieładnie, nieładnie. - Aspirant Denhel pokręcił głową.

- Wiesz, że drugie przykazanie mówi: „Nie będziesz wzywał imienia pana Boga twego nadaremno”? A nie pamiętasz, że piąte to: „Nie zabijaj”, a ty o mało go nie wysłałeś na tamten świat.

Usta Karolaka się nie zamykały, a oczy stawały się coraz większe. Tymczasem śledczy ciągnął swoją katechezę:

- Ósme przykazanie głosi, by nie mówić fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu, a to mniej więcej oznacza, że się nie powinno kłamać. Nie naciągam przypadkiem dekalogu?

- Nnnie - wydusił niepewnym głosem osiłek.

- Skoro tak, to dokładamy nie kradnij, to numer siódmy chyba?

- Karolak potaknął. - To skoro tak, to i o tym sikorze jeszcze raz możemy pogadać, czyż nie?

- Panie władzo, ale o co się rozchodzi, o który paragraf?

- O punkt pierwszy się rozchodzi...

- O który pierwszy?

- O ten pierwszy z dekalogu. - Karol Denhel zdjął z nosa okulary i zaczął je spokojnie, powoli i dokładnie czyścić. Założył je z powrotem i spojrzał Karolakowi prosto w oczy. - Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną.

Zapadła cisza.

- Rozumiesz, co mam na myśli? - zapytał podkomisarz, przeszywając go wzrokiem.

- Chyba tak.

- Od teraz to ja jestem twoim bogiem i nie staraj się mnie oszukać. Na początek zabawię się jednak w prostego spowiednika, wyznaj mi grzechy synu. - Denhel podparł głowę jak ksiądz w konfesjonale.

- No wyznawaj, a jak szczerze o wszystkim opowiesz, to dostaniesz rozgrzeszenie, będziesz wolny i z sikorem. Mów śmiało.

Trzydziestoletni, potężny złodziej skurczył się w sobie, jakby znów był ośmiolatkiem szykującym się do Pierwszej Komunii.

- No więc, ja - zaciął się. - Eee. - Kompletnie nie wiedział, jak zacząć. - No, ja kradłem, czyli grzeszyłem przeciwko siódmemu przykazaniu, ale chyba tak najbardziej to te szóste i dziewiąte przykazania łamałem najczęściej.

Karolak jak zbity szczeniak patrzył na aspiranta, który tłumił w sobie wybuch śmiechu. Denhel nie przypuszczał, że przesłuchiwany aż tak mocno się wczuje w rolę.

- Szóste i dziewiąte?

- No, ja cały czas cudzołożę, a już najgorzej to kiedyś z żoną szefa, Jadwigą Kopecką.

- Ale to mnie mniej interesuje.

Pan Szafa odetchnął na te słowa z ulgą.

- Mnie bardziej interesuje twój znajomy Henio Wcisło - rzucił Denhel.

- I on też pożądał żony szefa swego - wypalił Karolak.

W ten niespodziewany dla siebie sposób śledczy trafił w czuły punkt, w tej chwili zaczęła się prawdziwa spowiedź, podczas której grzesznik Wiesław Karolak gorliwie wyznawał winy, a najbardziej te, które tyczyły się Henryka Wcisły. Poczuł, że wygrał los na loterii, Denhel czuł to samo i tak oto, ad hoc, powstała spółka mająca na celu zniszczenie Heńka. Wiesiek Karolak obwinił Heńka Wcisłę o wszystkie swoje niepowodzenia, nie mógł mu wybaczyć opuszczenia szajki i tego, że wyciągnął z jego ramion szefową. Karol pomyślał, że gdyby nie to chwilowe niepowodzenie w wojnie z Kurnatowskim, to odtrąbiłby koniec bitwy i zwycięstwo. Teraz wiedział jednak, że tak jak na wojnie, w życiu są tacy, których trzeba zabić więcej niż raz. Ba, niektórych trzeba dobijać po wielokroć. Wiedział to doskonale, wiedział to lepiej niż ktokolwiek inny.



## XXIX

### BLISKO, CORAZ BLIŻEJ

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 12 marca roku 1927*

*Skończyła się już zima. Babcia miała rację, że na świętego Grzegorza idzie zima do morza. Na Wiśle puściły lody, a już niedługo pięknie się wszystko zazieleni. Bardzo się stęskniłam za wiosną, do tej kalendarzowej zostało jeszcze dziewięć dni.*

Czasem kobiety robią z mężczyzn wrogów, a czasem zbliżają ich do siebie, na przykład ludzi tak różnych jak aspirant Karol Denhel i artysta malarz Aureliusz Trębicki. Połączyła ich osoba Elizy Okołowicz, o którą - jak sądził Trębicki - zawzięcie rywalizowali, a która nie zauważywszy nawet awansów Aureliusza, oddała swe serce i ciało Karolowi. Nie była to pierwsza porażka artysty, ale na początku nie dawał za wygraną i krążył wokół Elizy i Karola, sądząc, że ów związek nie przetrwa próby czasu. Mylił się, bo żadnego związku nie było - tak przynajmniej uważał Karol Denhel, który nie był zazdrosny o

Trębickiego. Skończyło się na tym, że artysta zrobił w końcu tak, jak po każdym miłosnym zawodzie. Sprowadził do pracowni malarskiej rozkochane w nim modelki, bo cokolwiek by o nim mówić, był on przystojny i miał powodzenie u kobiet.

Równocześnie Trębicki zaprzyjaźnił się z Karolem Denhelem. Młody policjant zaimponował mu olimpijskim spokojem. Zwykle udawało mu się doprowadzać partnerów kobiet, które mu się podobały, do białej gorączki. Często mężczyźni nie wytrzymywali presji i związku się rozpadały, ale nie tym razem. Denhel był dla niego bardzo uprzejmy, co Trębicki odbierał jako demonstrację niebywałej pewności siebie i charakteru. Nieświadom tego, co jest przyczyną spokoju Karola, otaczał go podziwem i w końcu się zaprzyjaźnił z młodym śledczym. Karol Denhel miał niewielu przyjaciół; i na studiach, i w policji, i w Warszawiance, z której w końcu odszedł. Powodów było kilka, ale najważniejszy był taki, że Denhel źle znosił konkurencję, tymczasem Aureliusz Trębicki żadną konkurencją dla niego nie był. Nie pretendował do miana prymusa roku, nie był jego rywalem o miejsce w składzie, nie zagrażał pozycji w Urzędzie Śledczym, wreszcie nie był też zagrażającym pretendentem do serca Elizy, bo dla Denhela takiego tematu nie było.

Może dlatego polubił Aureliusza Trębickiego, który był do tego barwną postacią i nie skąpił pieniędzy na rozrywki, dobre jedzenie i napitki. Choć malarz nie był człowiekiem sukcesu, to zarabiał na swych obrazach ogromne pieniądze. O ile aspirant Denhel był w awangardzie swojego fachu, o tyle malarz nie był nawet w ariergardzie, a tkwił okopany na głębokich tyłach. Jego twórczość naznaczyło nieco komiczne, starożytne imię oraz

wykształcenie, które dała mu Monachijska Akademia Sztuk Pięknych.

Szkoła ta była wyraźnie démodé, co w zetknięciu z bardzo klasycznymi upodobaniami zepchnęło go na margines życia malarskiego. Zarabiał dobrze, bo wśród księży i ziemian zamawiających biblijne sceny, żywoty świętych i portrety przodków jego zachowawczy styl był mile widziany. Pieniądze nie zaspokajały jednak urażonych ambicji malarza, a rany wciąż rozdrapywali krytycy komentujący jego wystawy.

To doprowadziło go do szukania sukcesów w innych dziedzinach; górował nad artystami lepszymi, ale biedniejszymi i bez znajomości, a brak sukcesów artystycznych rekompensował sobie burzliwym życiem towarzyskim, alkoholem i kobietami. Zwykle samotny, niezbyt atrakcyjny dla towarzystwa Denhel niespodziewanie przypadł mu do gustu także dlatego, że malarz interesował się sprawami kryminalnymi, a aspirant z Urzędu Śledczego mógł o tym opowiadać godzinami. Małomówny, na hasła: policja, przestępstwa i śledztwo, z towarzyskiego outsidera się stawał lwem salonowym. Dlatego Trębicki często zapraszał policjanta do swojej pracowni na wino.

Zbliżyli się do siebie niedawno, więc malarz wciąż był spragniony opowieści z policyjnego światka.

- Drogi Karolu, zapytam cię teraz o coś banalnego. Sprawa jest oczywista i rozwiązana, ale nie do końca.

- Jaka sprawa?

- Sprawa z placu Teatralnego, ten napad na kantor; strzelanina, trupy! Opowiedz, jak to było, bo ja bawiłem wtedy za granicą.

- Tak faktycznie jest - ożywił się Denhel. - W istocie sprawa jest nie do końca rozwiązana, tak przynajmniej wbrew innym uważam.

- Opowiesz mi o tym scena po scenie, minuta po minucie, sekunda po sekundzie?

Karol Denhel nie dał się długo prosić.

- Zaczęło się parę minut po drugiej po południu. Dwóch bandytów weszło do kantoru jubilerskiego Targownika przy Niecałej. Wyciągnęli broń, położyli właściciela, obsługę i klientów na podłogę i zaczęli wyciągać pieniądze. Z samej kasy było prawie dziewięćdziesiąt tysięcy, a do tego opróżnili jeszcze portfele. Poszkodowani w takich sytuacjach trochę naciągają, ale było tego z dziesięć tysięcy. Złodzieje weszli dopiero wtedy, gdy w środku było dużo klientów, a później czekali jeszcze na kolejnych. To był dobry pomysł, bo do dobrego jubilera nie przychodzą ludzie, co chcą wydać pięć złotych, tylko tacy z wypchanymi portfelami.

- Razem setka-jęknął Trębicki.

- Najciekawszy był moment, gdy do kantoru wszedł klient, który się zorientował, że się odbywa rabunek. Miał refleks i zdążył się wycofać, ale nie miał szczęścia, a może inaczej, to bandyci byli przebiegli. Jak tylko się znalazł z powrotem na ulicy, to jak anioł stróż wyrósł przed nim policjant w mundurze. Posterunkowy z zainteresowaniem wysłuchał jego opowieści i... wepchnął go do środka! To był trzeci członek szajki, zresztą były policjant Feliks Jarecki. Jak już bandyci zrobili swoje i wybiegli ze sklepu, to ten przebieraniec udawał, że ich goni. Był z niego niezły spryciarz, bo ścigał ich tak, by zdążyli wskoczyć do taksówki.

Szofer, który ich tam przywiózł i czekał na nich, pojął, że coś się nie zgadza, więc ci przystawili mu rewolwer do głowy i kazali uciekać. Może by im się udało, ale motorniczy tramwaju nie chciał ich przepuścić, a i sam taryfiarz uznał, że to jedyny ratunek, i dał się trafić na torach. Zderzenie było delikatne, ale taksówka stanęła i dranie musieli wiać na piechotę. Żaden z nich nie uciekł - pierwszemu, temu, który miał walizkę z pieniędzmi, zaciął się rewolwer i policjant z oddziału rowerowego i wywiadowca po cywilu dorwali go przy kinie Corso. Pewno by ich powystrzelał, ale broń zawiodła i nasi ludzie lekko go obili i obezwładnili. Ten drugi typ miał niestety sprawną broń i uciekając, śmiertelnie ranił posterunkowego, a potem trafił jeszcze goniących go rzemieślnika i studenta. Ofiar byłoby więcej, ale jakiś przechodzień wyciągnął broń i wpakował mu kulę w łeb!

- To niezwykle, ot, tak po prostu kulę w łeb!

- Byłem tam w chwilę potem, dziura była wielka. Potem okazało się, że strzelał z dużego kalibru, to był browning dziewięć milimetrów.

- I co dalej? - Malarz słuchał z wypiekami na twarzy.

- Złapaliśmy go później. Jarecki jest, a raczej był, bratem tego, co skończył z kulą w głowie. Trzeci, ten schwytany, pewnie skończy na stryczku. Ale pomogłem tajniakowi i eskortowałem go aresztu przy Daniłowiczowskiej. Mieliśmy też torbę z łupem! - powiedział z dumą. - To była groźna banda, bo tego gagatka rozpoznali u jubilera z Chłodnej. To nie był tak głośny napad, gdyż nikogo nie zabili i nie było pościgu, ale tam się obłowili jeszcze bardziej!

- Ile zgarnęli?

- Piętnaście tysięcy złotych!

- W takim razie bycie złoczyńcą to intratny interes...

- Pod warunkiem że nie ma policji, ale my jesteśmy i łapiemy bandytów, a sądy...

- A co sądy?

- A sądy najczęściej robią z nich wariatów.

- W takim razie to dobrze, że tamten dostał kulkę w łeb. Kto to mógł zrobić?

- Nie wiemy, dochodzenie zostało umorzone.

- A szkoda, ja bym takiemu bohaterowi namalował portret w gratisie! Moim zdaniem zasługuje na to i dlatego dla mnie ta sprawa jest niedokończona!

- To namaluj pan, namaluj - z entuzjazmem wykrzyknął Denhel.

- Mam rysopis tego człowieka podany przez świadków.

- Przednia myśl, przednia myśl. - Aureliusz Trębicki przed przyjściem Denhela wypił samotnie całą butelkę wina, więc nie trzeba było w nim wzbudzać entuzjazmu. - Idę po szkicownik.

Aspirant zaczął wydobywać z pamięci rysopis tajemniczego Strzelca podany mu przez świadków. Twarz pociągła, broda mocna, nos raczej wydatny, szatyn... Po kwadransie wyszedł z tego wcale niezły rysunek. Twarz kogoś nawet mu przypominała, ale nikogo konkretnego. Denhel wziął od Trębickiego szkic, podziękował wylewnie i niemal wybiegł z jego pracowni. Udał się do swojego pokoju w domu rodziców, tam w biurku trzymał podarty przez Kurnatowskiego notatnik. Dobrze, że wtedy na placu Teatralnym nie pozostawił go na bruku, lecz, mimo uśmiezków ze strony nadkomisarza i patrzących na to

policjantów, zabrał jego żalodne szczątki do kieszeni. Najbliższe dni poświęcił na sklejenie go do kupy i odzyskanie tym samym adresów świadków, których przesłuchiwał na miejscu zbrodni.

Były momenty, gdy robota nadchodziła falami i zalewała warsztat przy Wolskiej niezwykłą liczbą zamówień. Heniek sam wtedy wskakiwał do kanału i pomagał mechanikom. Było klawo, bo kasa leciała szerokim strumieniem, ale tylko do pewnego momentu. W takim czasie wypadków, awarii i przeglądów, które następowały jednocześnie, jakby nasłane przez jednego boga samochodów, który sobie przypominał o mechanikach z Wolskiej, można było dużo zarobić, ale i tyle samo stracić.

Klient, który dowiadywał się o kolejce, mógł pójść do konkurencji, więc trzeba było obsłużyć wszystkich. Pracowali więc niemal dzień i noc, grzebiąc przy autach i jeżdżąc po magazynach części zamiennych. Na szczęście było to dubeltowe trafienie, bo Leokadia żyła zbliżającą się sesją egzaminacyjną. Będzie git, bo ona pchnie do przodu swoje studia, on pogoni robotę i będą mieli sporo wolnego czasu. Może znów będzie jak dawniej.

Eliza Okołowicz była podenerwowana, bo Karol Denhel ostatnimi czasy ją zaniedbywał. Najpierw myślała, że to sprawka Aureliusza Trębickiego, znanego w towarzystwie hulaki, ale później się okazało, że jej mężczyzna zdradza ją z panią Policją Państwową. Nie robiła jednak na razie skandalu, bo zależało jej na nim. Czekwała cierpliwie, jak czegoś chciała, to potrafiła być cierpliwa.

Cierpliwość i staranność to jedne z najważniejszych cech, jakie musi posiadać śledczy. Karol Denhel był pewien, że jest nimi obdarzony i że te przymioty prędzej czy później zostaną przez opatrność docenione. Nawet gdy jakaś sprawa stała w miejscu, on pamiętał, co jest w teczkach i jakie nowe wiadomości należy skojarzyć z wcześniej poznanymi faktami. Na przykład te trzy bandziory, które były sąsiadami Wcisły, co ich bez pardonu i bezwzględnie pogonił. O ile jego szwagier, ten nieudacznik Klajster, okazał się w złodziejskim świecie nikim i panicznie się bał Wcisły, o tyle tamci mieli bogate kartoteki i z pewnością lepiej niż słowo: strach znali pojęcie: zemsta.

Na razie byli nieosiągalni; Niedbalski siedzi w Rawiczu, Skrzypczak przepadł jak kamień w wodę, zostaje więc Traszka, który się zamelinował gdzieś na Starym Mieście. Mówią, że często bywał u starej Matlakowej, a więc należy do znanej złodziejskiej gwardii. W komisariatach, w których miał znajomych oficerów, wypytywał o niego do czasu do czasu, aż wreszcie z Niskiej nadszedł długo oczekiwany telefon. Kierownik czwórki podkomisarz Józef Michalski zaczął rozmowę bardzo konkretnie:

- Pan aspirant Denhel? Tu Michalski z czwórki. Podpytywał pan kiedyś o takiego typka nazwiskiem Traszka, więc dzwonię, żeby pana zaprosić na tête-à-tête z tym dżentelmenem. Mamy go po włamaniu do składu z futrami przy Kupieckiej. Absolutna amatorszczyzna, aż boki zrywać, ale cóż, do odważnych świat należy! Jemu się akurat nie udało, reszta związała, a jego zgubiła pazerność. Miał za duży wór i nie dał rady uciec. Jak się pan



pośpieszy, to pan zdąży, zanim go odprawimy na Daniłowiczowską, chyba że chce pan do niego wpaść po sąsiedzku.

Jasne, że nie chciał. Na dołku będzie już wszystko oficjalnie, a w komisariacie pogada z nim prywatnie, bez zobowiązań. Nie mógł mu zaoferować nic oprócz zemsty, bo tylko zemstą mógł odpowiedzieć Traszka na upokorzenie, którego doznał kiedyś od Wcisły. Przekaz ciecia był jasny; Lucek Traszka i kumple zostali pobici i postraszeni pistoletem, czegoś takiego nikt nie lubi pamiętać, a bolesne wspomnienia najskuteczniej koi odwet.

- Jadziem na Daniłowiczowską? - przywitał go Traszka. - Teraz takich elegancików z Centralniaka posyłają?

- Wszystko w swoim czasie, jestem z Urzędu Śledczego. Interesuje mnie Wcisło, Henryk Wcisło.

- A mnie nie - uciął Traszka.

- A czemu?

- Nie przeczę, gościa znam, bo zamieszkiwał w Pekinie i pewno dalej tam mieszka. To tyle, co ja wiem na jego temat. Nie będę się wysilać, żeby coś wymyślać o facecie, którego znałem z widzenia.

- Może jednak...

- Co jednak?

- Coś sobie przypomnisz.

- Ja tu za futra siedzę, a nie za konkurencję dla „Ikaca”<sup>76</sup> - odwarknął. - Nie będę wymyślał niestworzonych historii, żeby jakiś hint mógł sobie swoje bajki pisać. To nie jest dobre dla porządnego złodzieja.

- A w mordę dobrze dostać?

- Źle, ale jak się należy, to mus. Takie życie.

- Nawet jak młody elegancik tłucze trzech oprychów?

- Nieporozumienie towarzyskie, panie władzo. Ot co.

- A pistolet też?

Denhel zauważył, że Traszce drgnął mięsień twarzy.

- Jaki pistolet?

- A może rewolwer?

- Może...

- No to jak, rewolwer czy pistolet?

- Ja się na broni nie wyznaję, ja jestem prosty chłopak; szpadryńka, kosa i piącha - uśmiechnął się krzywo Traszka.

- To znaczy, że jakaś broń była?

- A czy ja mówiłem, że była? Myślałem, że masz pan tylko kłopoty z oczami, bo okuraly pan władza nosi, a tu trzeba jeszcze iść do lekarza od uszu - Traszka zaśmiał się bezczelnie. - A tak poza tem to notujesz to pan jakoś oficjalnie? - Typ spojrział na Denhela pogardliwym wzrokiem. - Czy może do pamiętniczka? Nieważne, zapisz pan sobie, że kupiłem kuzyniakowi korkowca i mnie wypalił na chawirze. No, notujesz pan, czy tak żeś towarzysko do mnie zaszedł? Jak towarzysko, to trzeba było flakona zabrać.

- Wszystko kwestia organizacji i potrzeb... - Denhel przełknął zniewagi i czepił się ostatniej deski nadziei: przekupstwa. - Nie wyciągnę cię, ale flaszkę mogę postawić, kto wie, może także mógłbym wspomóc finansowo przyszłego więźnia?

- Moja potrzeba jest taka, że mnie pan męczysz jak Żyd klienta na Nalewkach, ale ja żadnym geszeftem nie jestem zainteresowany. Mogę opowiedzieć o składzie z futrami przy Kupieckiej. Byłem tam sam i zrobiłem błąd, bo się przedźwigałem i nie uniosłem wszystkich futer. Wiałem powoli i mię złapali.

Życie... Masz pan jakiś urzędowy papier na tę rozmowę, czy tak pan zabijasz czas między szlifowaniem krawężników?

- Pożałujesz... - Denhel stracił cierpliwość.

- Że żyję? Ja tego żałuję od urodzenia! A teraz żegnam, panie władzo, chyba że będziesz pan naszą rozmowę protokołować.

Denhel po pierwszych dwóch zdaniach wiedział, że nic z tego nie będzie, ale drażył Trąszkę do końca. Przegranego końca, bo nie mógł mu nic zrobić. Gdyby prowadził sprawę skoku na sklep, to może by mu co obiecał, ale nawet... Trąszka był typem, który nie sypał. Łobuz, bandzior i łotr, ale policji nigdy nic nie powie. Opuścił komisariat zawiedziony, ale i umocniony w przekonaniu, że Henryk Wcisło jest naprawdę ważną postacią, skoro wzbudził paniczny strach Rysia Klajstra, i uruchomił pokłady najwyższego złodziejskiego honoru u Lucka Trąszki. Frajera i słabiaka poświęciłiby w okamgnieniu, ale Wcisło był kimś przed kim czuli mores.

Dokładając to do zwierzeń Wieśka Karolaka, z trudem powstrzymywał wyobraźnię, w której Wcisło awansował do miana jednego z szefów warszawskiego półświatka. Wszak już parę lat temu uczestniczył w głośnych skokach i pełnił kluczową rolę w poważnym gangu, a jednak wyszedł z niego, bo nie spełniał on jego ambicji. Kimże, u licha, był teraz? Cierpliwości, drogi Karolu, cierpliwości, pomyślał i zapalił papierosa, wychodząc z komisariatu. Żeby poznać cały obraz, musi się przyjrzeć jeszcze raz okolicznościom śmierci jego matki, zabójstwu Bożyczki i przypadkowi ciężkiego pobicia, z którego Wcisło ledwo co wyszedł. Brakuje tylko paru elementów, szkoda więc, że jego przyjaciel, a

kto wie, może nawet i protektor z „dwójki”, nie daje żadnego punktu zaczepienia.

Cierpliwości, dodał sobie otuchy, być może spadnie jeszcze coś niespodziewanego, coś, co rozjaśni zaciemnioną scenę, na której aktorem jest Henryk Wcisło, pomyślał i mocno się zaciągnął papierosowym dymem.

Wokół Heńka zaciskała się niewidzialna pętla, tymczasem on, nieświadomy, bawił się w najlepsze. Leokadia nie miała czasu? W porządeczku, nie uschnie z tęsknoty, są przecież jeszcze koledzy, a troszkę wódeczki nikomu nie zaszkodziło. W pracy mniej roboty - żadna strata, bo narobili się ostatnio jak dzikie woły i zarobili taką kasę, że mogliby sobie zrobić dwa tygodnie przerwy. Zasłużył więc na to, by chodzić do kina. W sumie chwalił sobie ten stan, regularne łóżeczko, regularna wódeczka, a w niedzielę koniki; wszystkiego po trochu i w sam raz!

Nadeszła niedziela, trzeciego kwietnia, tydzień do Palmowej i dwa tygodnie do Wielkanocy, zatem można było się szarpnąć na Pole Mokotowskie. Zapowiadało się bardzo miłe popołudnie i nawet był na lekkim plusie, choć troszkę sobie pofolgował ze stawianiem na fuksy. Już miał iść do kasy, gdy poczuł szarpnięcie za rękaw, to Julek ciągnął go gdzieś za sobą.

- Co tu robisz, miało cię dziś nie być na wyścigach? - zapytał kapitana.

- Wpadłem specjalnie po ciebie!

- Po mnie?

- Tak, po ciebie. Chcę cię zabrać na mecz futbolowy!

Heniek przypomniał sobie, że już od dawna przyjaciel próbował zaciągnąć go na piłkę. Wymigiwał się skutecznie, bo futbol go jakoś do tej pory nie przekonał, ale Julek stale zapewniał, że nie widział jeszcze dobrego meczu.

- Kiedyś podobnie jak ty myślałem, że najlepsze są zapasy w cyrku. Później, że kolarze na Dynasach, ale teraz wiem, że najznakomitsze byłyby konie, gdyby nie to, że jest futbol i to on bierze u mnie pierwszą nagrodę!

Heniek pomyślał sobie, że jak dziś pójdzie, to będzie miał problem z głowy raz na zawsze.

- No dobrze, idziemy. Kto, gdzie i po co gra?

- Jak to kto? Legia!

- A jakby inaczej, pan oficer...

- To nie do końca jest tak, Lechia też jest wojskowa. Koledzy, którzy chcieli mieć więcej do powiedzenia, oskarżyli nas, że doprowadziliśmy Legię do suchotniczego żywota, i mieli nam pokazać, jak się robi klub.

- I pokazali?

- Tak, pokazali, jak się walczy o grunt klubowy. Na to mają siłę, ale na grę to nie bardzo, dlatego oni są w C klasie, a my w pierwszej lidze!

- No to niezła awanturka...

- Niejedna, Heniu, niejedna, bo futbol to życie w pigułce!

Szli w kierunku placu Na Rozdrożu i mijając doskonale znany im Zamek Ujazdowski i szpital wojskowy, zaczęli schodzić w dół Agrykołą. Ulica powoli zamieniała się w ludzki potok, a więc mecz nie odbędzie się bez widzów. Heniek był tym zaskoczony. Gdy dotarli na miejsce, wokół boiska zgromadził się spory tłum, może

nie taki jak na Połach Mokotowskich w dniu wyścigów, ale dwa tysiące ludzi robiło wrażenie.

- Nie jest to polityka ani dobry pogrzeb, ale miło popatrzeć. Prawda? - zapytał Beniowski.

- Ludzi mniej niż na wyścigach, ale więcej niż na Dynasach - potwierdził Heniek. - Za granicą też tak walą na futbol?

- Z lepszym skutkiem niż u nas na cokolwiek innego. W takiej Anglii już dwadzieścia parę lat temu się odbył pierwszy mecz przy stu tysiącach widzów!

- Nie zalewaj. - Heniek czuł się autentycznie nabijany w butelkę.

- Słowo oficera! - Julek miał śmiertelnie poważną minę. - I było to nie sto, a sto dziesięć tysięcy ludzi. Oczywiście, nie zawsze tak jest, ale raz do roku na finał Pucharu Anglii walą u nich nieprzebrane tłumy. Tam w niedzielę otwierają specjalne linie kolejowe, żeby można było dojechać na mecz.

- Niezły cyrk...

- To nie cyrk, to jak religia. Emocje, jakie panują podczas spotkań Anglia - Szkocja albo Argentyna - Urugwaj, są już w świecie sportu legendarne. To samo jest podczas derby...

- Derby to chyba tylko na Polu Mokotowskim czy innym torze.

- Derby to esencja futbolu, derby to mecz dwóch ekip z jednego miasta. U nas entuzjaści futbolu nie są jeszcze tak zapalczywi jak w Anglii, no może w Krakowie tak jest, tam to się wprost nienawidzą. Od jakiegoś roku czy dwóch Cracovia i Wisła nie grają już meczów towarzyskich, bo publika i piłkarze mogliby się pozabijać. - Heniek spojrzał na Julka z powątpiewaniem, więc ten szybko dodał: - No, może pozabijać to jeszcze nie, ale pobić na

pewno. To już się zdarzało i to nie raz. Bardzo bym chciał, żeby i u nas tak było, to znaczy, żeby były takie emocje i zainteresowanie, oczywiście bez wyzwisk i bijatyki.

- Oczy kapitana lśniły. - Rozumiesz, Heniu, całe miasto żyje meczem, z dziesięć tysięcy ludzi na trybunach pięknego stadionu... Zanim to się stanie, chcę pojechać do Anglii albo choćby do Wiednia i zobaczyć taki mecz na własne oczy. - Julek wyraźnie się rozmarzył. - Ale cieszymy się tym, co mamy, to historyczna chwila, pierwszy ligowy mecz w Warszawie, pierwsza ligowa kolejka w Polsce, naprawdę wielki dzień.

Heniek poszedł dla zwykłej draki, poświęcając końcówkę dnia na wyścigach.

- Dziś gramy z Warszawianką, która także się narodziła z rywalizacji i to nie w mieście, lecz w klubie. Młodzi, a wcale dobrzy chłopcy, którzy byli w Polonii, nie mogli się dopchać do pierwszego zespołu, uważali, że są lepsi i że to im się należy plac, ale zespołem rządzą starzy. Skoro ich nie dopuszczono, to się wynieśli i założyli własny klub, a teraz posłuchaj! Największy numer, że jednym z buntowników został syn prezesa Polonii, pastora Lotha! Wiktor Loth chciał grać, ale było od niego wielu lepszych, w tym jego bracia Janek, Stefan i Wacek. Wyobraź sobie, jak teraz u nich wyglądają domowe niedzielne obiady!

Heniek nie poznawał Julka, który pod wpływem mówienia o futbolu zaczynał przypominać derwiszów z Pola Mokotowskiego, czyli skaczących, tańczących i drących się w czasie gonitw najzagorzalszych graczy. Nie mógł się powstrzymać i powiedział:

- Ty to niezły wariat jesteś, ciekawe, jak się będziesz zachowywał na meczu?

- Ja? Wariat? Za chwilę spotkasz wielu takich, co są o wiele mocniej szurnięci ode mnie. Jakbyś poznał kapitana Okulickiego z Dowództwa Okręgu w Grodnie... Ten to dopiero miłośnik piłki, szkoda, że nie ma go w Warszawie, ale nic straconego. Kiedyś pewno tu trafi, bo to zdolny oficer. Chodź, przywitam się ze znajomymi, ja też kiedyś grałem w piłkę, reprezentowałem Czwarty Pułk Piechoty - wyprężył się z dumą.

Tego dnia Denhela korciło przez moment, by pójść na Pole Mokotowskie. Eliza wybierała się tam z przyjaciółmi, a wyścigi pobudzały ją w przyjemny sposób. Rozmarzył się, wyobrażając sobie, co by się działo w ich gonitwie, ale to można było odłożyć, bo Elizę przed łóżkiem powstrzymywały jedynie sprawy kobiece. Kipiała temperamentem i zawsze była gotowa, natomiast inauguracja rozgrywek ligowych zdarza się raz w historii, a tak właśnie miało być tej niedzieli!

Dziś jego Warszawianka grała pierwszy mecz w lidze. Bez niego. Wiedział, że ani dziś, ani nigdy indziej nie zagra w takim meczu, ale nikt nie mógł mu odebrać roli widza. Pojechał na Agrykołę, gdzie na mocno już podniszczonym boisku grały wszystkie warszawskie drużyny. Na miejscu przesunął się w kierunku oficjeli Warszawianki. Przywitali się serdecznie, a Karol zapomniał na moment o żalu, jaki czuł o to, że nie dopuszczono go do gry w pierwszym zespole. Przecież dlatego porzucił Polonię, ale trudno, stało się, zresztą Wiktor Loth stracił więcej niż on. Narobił sobie bigosu w domu, tworząc klub konkurencyjny dla tego, w którym jego ojciec był prezesem i współzałożycielem.



Wicek też się nie mieścił w składzie, ale miał satysfakcję, że był wiceprezesem klubu i projektantem godła. Zresztą, nie był jedynym, który zajął miejsce na trybunach, a nie wśród czarno-białych graczy, którzy się już rozgrzewali na boisku.

Paręnaście metrów dalej to samo robili legionieści. To oni byli faworytami, tak mówiono, ale boisko nie słucha wypowiedzi z gazet. Ludzie związani z obydwoma klubami rozmawiali między sobą, bardzo często rozpoczynając powitanie od salutowania. To Legia była wojskowym klubem, ale także w Warszawiance nie brakowało oficerów. Miał już podejść do prezesa Warszawianki pułkownika de Lavaux, gdy zobaczył, że prezes Legii i zarazem szef ligi generał Górecki prezentuje koledze z Warszawianki... Juliusza Beniowskiego. Cofnął się, skrył za czyimś plecami i rozpoczął dyskretne obserwacje kapitana. Ten po krótkiej rozmowie z prezesami przywitał się jeszcze z kimś, po czym stanął koło Henryka Wcisły.

Ciekawe, pomyślał. Co też jeszcze przyniesie ten piłkarski pojedynek?

Punktualnie o 15.30 sędzia Niedźwirski ze Lwowa zagwizdał i się zaczęło! Pogoda była dobra, widownia odpowiednia, ale czy gra będzie równie ciekawa? Okazało się, że tak. Denhel z trudem dzielił uwagę między Wcisłę z Beniowskim a to, co się działo na boisku. Wcisło ewidentnie się nie znał na futbolu, bo Beniowski stałe mu coś tłumaczył. Jak padł gol dla Legii z pięciometrowego spalonego, to ten przygłup skakał z radości jak oszalały, a gdy gola nie uznano, chciał biec z awanturą do sędziego, a później przez parę minut słuchał wyjaśnień Beniowskiego. Aspirant śmiał

się w duchu, bo parę razy tłumaczył już ten przepis, kompletnie niepojęty dla tych, którzy nie są wyznawcami futbolu.

Mecz zaczął się wyśmienicie, atakowały obie strony, a obaj bramkarze: Legii - Bednarowicz i Domański z Warszawianki, uwijali się jak w ukropie. Wydawało się jednak, że to wojskowi są groźniejsi, nic dziwnego, środkowa trójka napadu Legii należała do najlepszych w Polsce. Nawrot - Łańko - Ciszewski. Wszyscy pochodzili z Krakowa i wszyscy grali kiedyś razem w Cracovii. Mieli być przyszłością Pasów<sup>77</sup>, ale wojsko zwabiło ich do Warszawy.

W jedenastej minucie gry plany Legii wzięły w łeb. Ciszewski i Lisowski poszli razem na piłkę w polu karnym Warszawianki. Żaden z nich nie odpuścił, każdy był pewny swego i każdy miał swój cel, dlatego wpadli na siebie z pełnym impetem. Efekt był przerażający, żaden z nich nie mógł się podnieść z boiska i dopiero po kilku minutach z pomocą kolegów obaj zeszli z placu. Warszawianka straciła jednego z trzech obrońców, ale Legia ważne ogniwo ataku. Gdyby to był trening, to można byłoby doprosić po jednym zawodniku, ale mecz to mecz i grę kończono w dziesiątkę. Do przerwy bez bramek, teraz czas na wszystkich mądralińskich, a przede wszystkim dla trenerów.

Legia tej pozycji nie miała obsadzonej, więc zawodnicy po prostu się naradzali, popijając wodę. Warszawianką rządził Austriak Richard Kohn i to on mówił, a piłkarze w pasiastych czarno-białych koszulkach słuchali go z uwagą. Dombi<sup>78</sup> był fachowcem, jakich w Polsce mało, więc przy wyrównanej grze to on mógł dać w przerwie przewagę i zwycięstwo swej drużynie. Piłkarze Warszawianki słuchali swojego trenera, a Wcisło z

rozdziawioną gębą chłonał mądrości Beniowskiego i jego kolegów, oficerów z Legii. Po kwadransie piłkarze wrócili do gry, która była równie atrakcyjna jak w pierwszej połowie. Wcisło wyraźnie wciągał się w meczowy rytm, ale w dwunastej minucie drugiej połowy obaj zmarkotnieli. Warszawianka biła rzut różny, a bramkarz Legii Bednarowicz się zawahał. Do bezpieczeństwa piłki doskoczył Janek Luxenburg i było 1:0 dla Warszawianki!

Pierwszy podbiegł do niego z gratulacjami brat Staszek, a za nim reszta drużyny. Legia szybko wyrównała, w trzy minuty później piłkę do bramki wpakował Przeździecki i było 1-1. Wcisło i Beniowski ściskając się, skakali jak pajacyki na sznurkach. Był od nich w pewnej odległości, ale słyszał krzyk Beniowskiego:

- No co, Heniek, i kto tu jest wariat, no kto!

Przez moment aspirant pomyślał, że kapitan ma szczęście, że przyszedł na mecz po cywilu, bo mógł się swobodniej zachowywać, ale szybko się zorientował, że oficerowie w mundurach na okoliczność gola dla swojego klubu także pozwolili sobie na trochę więcej. W parę minut później bliski zdjęcia z głowy rogatywki był pułkownik de Lavaux, bo Warszawiance przyznano rzut karny. Kiedyś pewniakiem był Staszek Jung, ale przed rokiem na Dynasach w półfinale pucharowego meczu z Legią zmarnował karnego w ostatniej minucie gry! Dlatego teraz podszedł do piłki Rysiek Redlich. Strzelił pewnie jak do tarczy i było 2:1! Jungowi musiało być smutno, ale tylko przez parę minut, bo w końcu i on wbił swojego gola. Legia próbowała wyrównać, ale w środku jej poczynania niweczył Symplicjusz Zwierzewski, zwany Zwierzem II, bo w Warszawiance był też jego starszy brat Stefan. Zwierz rządził w środku pola, w końcu to reprezentant Polski, pomyślał

Denhel. Zamiast gola dla Legii była więc bramka dla Warszawianki, którą zdobył Hasselbusch, i na dziesięć minut przed ostatnim gwizdkiem mecz z Legią był wygrany. Wynik się nie zmienił, Warszawianka wygrała na boisku Legii 4:1.

Aspirant Karol Denhel czuł się zadowolony, ale zaraz po końcowym gwizdku Emila Niedźwirskiego zamiast podejść do chłopaków z Warszawianki zatopił się w swoich myślach samotnego śledczego, który był coraz bliżej rozwiązania zagadki, co mogła wstrząsnąć nie tylko Warszawą, ale i Sztabem Generalnym. Oficjalnie Beniowski nie miał już wojskowego etatu, ale on nie za bardzo w to wierzył. Kto wie, może to będzie afery większa niż z osławionym Francopolem<sup>79</sup>, kto wie, może i Beniowski był w nią zaplątany, w końcu generał Zagórski<sup>80</sup>, którego podejrzewa się o malwersacje, też służył kiedyś w wywiadzie. Materiał na Beniowskiego był zbyt wątki, w zasadzie żaden, to były tylko graniczące z pewnością przypuszczenia, to były podejrzane kontakty kapitana z Wcisłą i jakaś tajemnica, która ich łączyła. Dwójkarz nie miał czystych rąk, tak podpowiadał jego policyjny nos, więc jak nie dziś, to jutro, a jak nie jutro, to za miesiąc albo i rok znajdzie się coś, co potwierdzi jego podejrzenia. Czas sanacji, czas uzdrowienia nadchodzi, litości nie będzie!

Zadowolony z myśli podsumowującej piłkarskie popołudnie wyciągnął z pudełka papierosa i poszedł w kierunku czekających przy Agrykoli i Myśliwieckiej dorożek. Teraz czas na trochę wytchnienia i rozkoszy, których zazna w ramionach panny Okołowicz!



XXX

## ZNAK NA TRWOGE

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 2 kwietnia roku 1927*

*To niebywałe, ale niedługo będziemy mieli w Warszawie kawałek Krakowa. Nie tylko my w Warszawie, cała Polska, każdy, kto ma radio! Za tydzień, w sobotę wielkanocną Polskie Radio przeprowadzi pierwszą transmisję hejnału z Wieży Mariackiej. Jakież to piękne połączenie: tradycja, nowoczesność i magia, bo dla mnie radio i jego możliwości są absolutnie magiczne!*

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Warszawa, 7 kwietnia roku 1927*

*Ksiądz Oczkowski, który uczy nas w szkole religii, mówił, że źle się dzieje. Ze nie tylko złodziejstwo i bandytyzm grożą Rzeczypospolitej. Są gorsze rzeczy; powszechna jest śmierć duszy i jej cierpienia, które zadają rozwiązłość, loże masońskie, spirytyzm*

*i okultyzm. Ksiądz mówi, że nie tylko mordercy, ale i szatan grasuje w naszym mieście. Nowoczesne wynalazki i nieposkromiona ciekawość mieszają ludziom w głowach, więc garną się do czarnej magii. Czy ksiądz Oczkowski nie przesadza? Babcia mówi, że nie, ale Heniek śmieje się z tego.*

Emilia Nowicka nie ustawała w poszukiwaniu jakiegoś specjalnego doznania. W zeszłe wakacje, gdy w Zakopanem zebrała się grupa bardzo interesujących ludzi, miała nadzieję na coś wyjątkowego. Oni, czyli zakopiańskie towarzystwo, również, a w takim tyglu ludzi różnych zawodów i pasji szybko się pojawiła myśl o uczestniczeniu w seansie spirytystycznym. Jakby na ich zamówienie pod Tatry zjechał Roderyk Szczerski, którego bywalcy salonów okrzyknęli medium doskonałym. Niestety, choć był on mocno reklamowany i polecany, to jednak kompletnie ją zawiódł. Spodziewała się jakiegoś szczególnego uczucia, czegoś absolutnie nowego i niepowtarzalnego, a przede wszystkim spotkania z dziadkiem Aleksandra. Na próżno.

Ten, co się chwalił, że był wśród ludzi, którzy pokonali niemieckie medium chcące zabić atakiem grypy Paderewskiego, okazał się jednym z wielu, jacy objeżdżali ze swoimi pokazami miasta i miasteczka. Atmosfera tajemniczości, jakieś ruchy talerzyka, kadzidełka, to nie było nic ponad to, co już widziała.

A swoją drogą to cóż to za niedorzeczność o tym ataku na Paderewskiego? Po zakopiańskim seansie uznała, że ten cały niemiecki mag doktor Abuse i polska koalicja prowadzona przez Anne Besaint i żydowskiego telepatę Rudolfa Funka to blaga. Co

prawda Szczerski się zaklinał, że zrobili porządek z Niemcami i że być może Polacy docenią to, gdy za jakieś pięćdziesiąt, a może i sto lat będzie można upublicznić szczegóły tej akcji. Mimo wszystko Emilii się zdawało, że to wszystko brzmi jak przygoda niemieckich ekspresjonistów, którzy się bawią w kinematograf. Więcej prawdy było zapewne w filmie Fritza Langa o doktorze Mabuse niż w tych opowieściach o pojedynku o zdrowie i życie Paderewskiego.

Emilia czuła się rozczarowana i postanowiła, że nie zostanie po raz kolejny klientką wędrownych prestidigitatorów, ona jako kobieta światła i wykształcona potrzebowała czegoś więcej! Nowicka była w tej kwestii w mniejszości, bo wieczór podzielił towarzystwo na dwie frakcje. Ona oraz bywała w świecie młodziutka baronówna Grunshild należały do grupki rozczarowanych i obiecały sobie, że jeszcze się spotkają. I oto nadszedł stosowny czas. W Warszawie pojawiło się nowe medium, doktor nauk paranormalnych Hubert Deberski, który nie reklamował się nachalnie i raczej unikał rozgłosu. Informacja o nim dotarła pocztą pantoflową i to z prośbą o szczególną dyskrecję. Żadnych zaliczek, żadnych biletów i apeli o przyprowadzenie znajomych, tylko konspiracja i tajemniczość. To się jej spodobało, więc postanowiła nawet Aleksandrowi nie mówić o swoich planach.

Człowiek, który miał ją wprowadzić w tajemny świat, odłączył się od głośnego Zakonu Martynistów<sup>81</sup> i podążył za słynnym Punar Bhavą, zakładając z nim Zakon Białego Wschodu. Z niego też odszedł, bo nie mógł znieść podległości mistrzowi, który choć rozpowiadał o sobie jako o uczniu wschodnich mędrców, to jednak



sam nigdy w Indiach nie był! Tymczasem doktor był nie tylko w Bombaju, ale i w hinduskim interiorze, pobierając tam nauki tajemnych obrządków od dwustuletnich fakirów! Co więcej, stał się na tyle biegły, że sam zaczął udzielać nauk i to nie byle komu, bo samemu George'owi Sydneyowi Arundale<sup>82</sup>, którego działalność stanęła u podstaw założenia i krzewienia w Polsce Kościoła liberalno-katolickiego. Doktor nie tytułował się mistrzem, lecz skromnie używał tytułu Padavan Shankara, podkreślając, że wciąż się uczy i doskonali. Ta skromność i przywiązanie do imienia mistrza wzruszyły Emilię i upewniły w tym, że to człowiek godny zaufania.

Co prawda nie wiedziała, kim był Shankara, ale mogła się tylko domyślać, że to hinduski mędrzec. Już za tydzień w piątek, Wielki Piątek, Padavan Shankara miał pokazać, na co go stać. Nie widziała go jeszcze, ale była coraz bliżej jego osoby i czuła już radosne podniecenie, które wzrastało z każdym dniem i z każdą z cudownych pastylek, które zażywała, przygotowując się do seansu. Otrzymywała je od młodej baronówny Grunshild, która była jego asystentką i uczennicą.

Skończyli. Szczęśliwi, ale bez tchu i, jak zwykle ostatnio, w pośpiechu.

- Przydałaby się po wszystkim jakaś pauza - powiedziała nieco nadąsanym tonem Leokadia.

- Przydałaby się - dorzucił Heniek, nie wstając z łóżka. - Mnie się tam nigdzie nie śpieszy.

- Ale mnie się śpieszy!

Te słowa także były wypowiedziane z lekką pretensją, tak jakby to była jego wina, że Lodzia ma ostatnio tyle na głowie. On

też ma, ale gdyby tak po wszystkim to on zerwał się z łóżka, włożył w ekspresowym tempie portki i w try miga śmignął za drzwi... Oj, nasłuchałby się albo i, co gorsza, nie. Leokadia umiała być jak cisza na morzu opisywana w żeglarskich książkach. Czasem burza jest lepsza, i to nawet taka z piorunami... Bo najgorsza cisza; żadnego zefirka, żadnego choćby najłżejszego powiewu. Więc teraz zagryzł wargi, żeby nie spaprać wszystkiego, co było dziś takie piękne, no i przede wszystkim by nie oddać następnego razu. Jeszcze by się obraziła i po ciszy byłoby wejście na mieliznę. Zaśmiał się w duchu ze swych żeglarskich porównań, była to zasługa Stevensona, którego czytał jako szczeniak, no i ostatnio tego Conrada-Korzeniowskiego. Powieści Anglika-Polaka miały coś w sobie, ale w sumie były chropawe, więc nie łykało się ich tak jak pirackich historii. Heniek miał jednak zasadę, że jak się zacznie, to trzeba skończyć, bo przecież lepiej przeczytać niż nie. Tego się trzymał i dobrze na tym wychodził.

- Z czego się śmiejesz? - zagadnęła go Leokadia pośpiesznie wciągająca pończochy. - Czy zrobiłam co do śmiechu?

- Nie, zupełnie nic. - Heniek przeskoczył z tematu na temat. - Nie dalej jak wczoraj wieczorem Stefa przedstawiła mi wykład swojego katechety, że w Polsce, a już w szczególności w Warszawie, są rozpasanie, sodomia i gomora, a do tego magia, spirytyści i chiromanci, czyli koniec świata blisko!

- Koniec świata to będzie wtedy, jak nie zdążę na spotkanie na uniwersytecie. Jest wykład z zagranicznym profesorem i nie chcę go stracić!

Ubierała się w pośpiechu, a on przykryty kołdrą leżał jak basza i przyglądał się temu spektaklowi.

- Heniek! - Tupnęła nieobutą jeszcze stopą. - Będziesz tak leżał i się gapił?

- Mhmmm - wymruczał.

Zrobiła groźną minę, po czym z uśmiechem na ustach zaczęła go okładać poduszką po głowie. Odwzajemnił się, dając jej na pożegnanie klapsa w tyłek.

- Przecież wiesz, że tego nie lubię! - wykrzyknęła. - To takie prostackie!

- Przecież wiem, że gdybym tego nie zrobił, to czułabyś się rozczarowana - roześmiał się Heniek na do widzenia.

Tuż po wyjściu Leokadii usłyszał pukanie do drzwi. Myślał, że czegoś zapomniała, ale na szczęście był już ubrany, bo za drzwiami nie stała jego ukochana, lecz wścibska sąsiadka Genowefa Kornacka.

- Dalej udziela pan korepetycji? - zapytała, zapuszczając żurawia w głąb mieszkania.

- Jak pani szanowna widzi... - uśmiechnął się Heniek, bo przez otwarte drzwi nie było widać rozbebeszonego łóżka, za to w oczy rzucał się stół, na którym były kubki po herbacie i książki oraz jego brulion, gdzie zapisywał wydatki.

- No widzę, widzę, chociaż myślałam, że już pan nie uczysz tej młodej damy.

- Bo już wiele jej nie mogę nauczyć, panienka chadza na uniwersytet. ..

- Opowiadasz pan! - zachnęła się sąsiadka. - Studiuje i dalej chadza do pana, panie Heniu? - zapytała przekrzywiając głowę jak papużka.

- Bo ja jestem dobrym korepetytorem. - Strzelił w sąsiadkę czarującym uśmiechem.

- To czemu nie widuję tu innych uczniów? - Kornacka była prawdopodobnie bardziej dociekliwa niż Urząd Śledczy, a nawet na pewno, bo z Daniłowiczowską, nie licząc tego upierdliwca, co chciał mu dwa razy odstrzelić łeb, nie miał okoliczności, a z Kornacką na okrągło.

- Chwała Bogu, nie śledzi pani moich postępów z pracy na mieście....

Uwaga na temat wścibstwa i policyjnego wręcz charakteru sąsiadki nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia.

- No właśnie, bo ja w sprawie nauki, bo wie pan, moja córka Cecylia. .. - zaczęła jak na nią nad wyraz ostrożnie.

- Ale ja już nie mam wolnych miejsc w kajecie. - Chyba nawet herold ogłaszający śmierć monarchy nie miał tak smutnej miny jak Henryk Wcisło. - Przykro mi, ale... - tu dał Kornackiej nadzieję - mogę doradzić. Moi znajomi też się parają tym zajęciem.

Twarz Genowefy Kornackiej wyrażała rozczarowanie i gniew. Zamrugła powiekami, które kryły małe oczka osadzone w owalnej twarzy, i zagryzła wargi. Wiedział, o co chodzi, bo niedawno i cieć, i jeden z sąsiadów donieśli mu, że Kornacka zamarzyła sobie, że wyda swoją córeczkę za niego, za Heńka Wcisłę! Panna Cecylia Kornacka kulawa nie była, ale... Po pierwsze primo: o czym by z nią rozmawiał, po drugie primo: wiedział, jaka może być za parę lat, bo znał wścibską mamusię, a po trzecie i najważniejsze primo: jakkolwiek by mu się nie układało z Łodzią, to szczerze ją kochał i nie myślał o innych

kobietach, choć okoliczności miał co niemiara. Gdyby miał zrobić skok w bok, to na pewno nie z młodą Kornacką, a już w żadnym razie nie wpakowałby się z małżeńskie sidła. Nie nadawał się więc do tego, by zostać zięciem Kornackiej, o nie!

- Mam poza tym pewne zasady... - dorzucił, grając na zwłokę.

- Zasady? - Kornacka znów zatrzepotała powiekami.

- Nie uczę nikogo z rodziny ani bliskich mi ludzi.

Heniek mówiąc to, skłonił się lekko i aż się poczuł jak jakiś lokaj czy trefniś na dworze.

- Państwo, szanowna pani Genowefo, zarówno pani, jak i jej małżonek Adolf oraz córka Cecylia, jesteście mi jak rodzina, więc...

Myślał że się skreśli ze śmiechu, bo pociągnął z Kornackiej łącha, aż miło. Tylko patrzeć aż uroni łzę. Nie doceniał jednak sąsiadki, jej twarz tylko przez moment wyrażała bezradność, po chwili rzęsy zatrzepotały, a Genowefa Kornacka zaczęła wypluwać słowa jak karabin maszynowy łuski.

- Och, jaki pan miły - zaterkotała. - To może pan wpadnie do nas w niedzielę na herbatkę!

A więc pułapka została zastawiona ze skutecznością, jakiej nie powstydziliby się wielki łowczy księcia albo samego pana prezydenta. Wchrzanił się jak dzik zapędzony w kozi róg przez nagonkę w spalskich lasach. Cholera! Teraz nie było odwrotu, musiał się zgodzić, bo inaczej Kornacka zatruje mu życie.

- Oczywiście, jak najbardziej - łągał w żywe oczy - A czy mogę przyjść ze swoją siostrzyczką i babcią? - Ten pomysł wpadł mu do głowy w ostatniej chwili. Ze Stefą i babcią wymknie się szybciej, nie będzie tak indagowany jak wtedy, gdyby był sam.

- Ależ oczywiście, drogi panie Henryku, ależ oczywiście. W niedzielę o piątej, jak Anglicy. - Na księżycowej twarzy Kornackiej pojawił się odpowiednio szeroki, czarujący uśmiech i Heniek już czuł te dwie godziny lepkiej słodyczy, w których będzie się męczył jak skazaniec w niedzielne popołudnie. - Będzie mi miło poznać pańską rodzinę! - zakończyła z uśmiechem pełnym triumfu.

Ożeż ty kurtka na wacie, pomyślał. Dubeltowa wpadka! Kornacka niczym tłusta pajęczycza złapała go w lepką nić jak bezbronnego robaczka. Umarł w butach, kurka, w te i nazad! Ależ się wpakował, ależ dał do pieca! Ona nawet nie liczyła na to, że urządzi zapoznawczą herbatkę dla rodziny Wcisłów, teraz to już brakowało tylko tego, żeby się jej pochwalił stryjkiem, stryjenką oraz ich dziećmi, a najlepiej niech wynajmie salę w jakiejś knajpie albo resursę obywatelską i doprosi jeszcze Zośkę Wyględę z synkiem i roześle zaproszenie do kuzynów matki i ojca, co mieszkają w Skoroszach, we Włochach oraz w Piasecznie i okolicach.

Myślał, że go nagła krew zaleje. Na pewno Kornacka myśli teraz o tym, jak bardzo oficjalna i zobowiązująca będzie to wizyta i jak zaprezentować swoją córkę jako niemal pewną, jedyną i najlepszą kandydatkę do zamążpójścia...

- Ale oczywiście nie w tę i nie w następną! - Heniek odraczał wyrok.

- Nie może pan jutro? - Kornacka spojrzała na niego z wyrzutem.

- Jutro jest Niedziela Palmowa, szanowna pani, jestem umówiony z rodziną! - Łgał jak najęty, bojąc się, czy znów nie przekombinuje i nie pograży się jeszcze bardziej. Rodzina zawsze

była dobrą wymówką, i dla pewności dodał: - W Niedzielę Wielkanocną także!

- A zatem po świętach, to będzie... - Kornacka z wyraźnie rozczarowaną miną liczyła dni. - To będzie dwudziesty czwarty kwietnia!

- Oczywiście, szanowna pani, dwudziestego czwartego kwietnia ja, moja siostra Stefania i babcia Eleonora jesteśmy u państwa na herbatce!

Genowefa Kornacka była wielka jak trzydrzwiowa szafa gdańska z lustrem, ale odpłynęła od jego drzwi, jakby była jakimś puchem czy piórkiem.

Nic tylko się upić, pomyślał Heniek i zaczął kombinować, z kim by tu uskutecznić jajeczko.

Emilia Nowicka, z domu Radziejowska, była kobietą światłą i wykształconą, z pozycją, wiedzą i odpowiedzialną pracą. Wzór matki, żony i nowoczesnej polskiej patriotki. Ale była w niej też nuta szaleństwa, która pchała ją do znajomości z postaciami takimi jak Padavan Shankara. Nie mówiła o tym nikomu, ale nie dlatego, że się wstydziła, po prostu chciała mieć jakąś swoją tajemnicę. Nie było to nic niezwykłego, nie był to żaden wstyd, wszak w Instytucie Wschodnim idea prometeizmu, czyli walki o wyzwolenie narodów spod ucisku Sowietów, była jak tajny zakon, była niczym towiańszczyzna<sup>83</sup> i Mickiewiczowski mesjanizm. Wszak wielu prometeistów, w tym generał Michał Tokarzewski-Karaszewicz, przynależało do Kościoła liberalno-katolickiego,

którego mniej postępowi nie wahali się nazywać sektą. Co więcej, generał Tokarzewski sprawował tam godność biskupa!

O masonach nawet nie warto było wspominać, przecież nawet jej Olek do nich przynależał. Co do spirytyzmu, chiromancji, a nawet okultyzmu, to rzeczy te ocierały się już o powszechność i były niezwykle modne w towarzystwie, tym bardziej że i sam Marszałek chętnie korzystał z pomocy kart oraz uczestniczył w seansach spirytystycznych. Ponoć na froncie wywoływał wraz z kolegami oficerami ducha carskiego generała i namówił go do wyjawienia szczegółów rosyjskiej ofensywy. Kościół i narodowcy atakowali te praktyki, ale na próżno, bo niepodległa Rzeczpospolita była otwarta na wszelkie nowe prądy, czego dowodem była jawna i nieskrępowana działalność Towarzystwa Metapsychoicznego.

Ostatnich dwóch pigulek, którymi obdarowała ją baronówna, nie wzięła, bo chodziła do pracy w instytucie, a czując, że jest po nich nieco senna, postanowiła odłożyć je na bok. Jej zdaniem miała już w sobie wystarczające chęci, a bała się, że straci koncentrację, która była jej potrzebna w pracy i z pewnością będzie nieodzowna podczas seansu.

Mimo wszystko czuła się nieco oszołomiona, zajęcia na Miodowej dokończyła z trudem i musiała wyglądać nie najlepiej, bo wykładowca japońskiego pan Ryochu Umeda zapytał, czy wszystko z nią w porządku i czy nie pomóc jej w dotarciu do domu. Nie była słabą kobietką, zebrała się w sobie i przewyciężając swą niemoc, ruszyła dziarskim krokiem w kierunku przystanku tramwajowego. Dojechała tramwajem tylko do placu Trzech Krzyży i wysiadła, bo czuła się jakoś nieswojo.



Czuła gorąco, było jej duszno, ruszyła więc dalej na piechotę. Miała nawet przez moment wątpliwości, czy zamiast na plac Unii Lubelskiej na spotkanie z doktorem Deberskim nie pójść po prostu do domu. Słyszała delikatny szum, mroczyło jej się przed oczami, a przechodząc przez plac Zbawiciela, miała wrażenie, że widzi tęczę. Wtedy podjęła ostateczną decyzję. Idzie na seans. Ciekawość wygrała z wątpliwościami. Zamiast iść dalej Mokotowską wybrała Marszałkowską, bo na jej końcu był plac Unii Lubelskiej, a tam właśnie mieszkał doktor Hubert Deberski, który tytułował się skromnym mianem ucznia wielkiego Padavana Shankary.

Na placu Unii między aleją Szucha i Bagatelą stała monumentalna kamienica Adama Bromke. Mierzyła sześć pięter, a oprócz trzech wieżyczek, które dodawały kolejną kondygnację, zdobiły ją także tympanony. Było to miejsce jak najbardziej godne tajemniczego seansu. Weszła przez wielką, ozdobną bramę. Powiedziała, że idzie do doktora Deberskiego, cieć się uklonił nisko i wskazał odpowiednią klatkę. Wjechała windą na drugie piętro. Była nieco rozczarowana, bo wyobrażała sobie, że Padavan Shankara mieszka na szóstym piętrze i ma do dyspozycji pokój w wieżyczce. Był z niego przepiękny widok, na pewno, bo bywała w restauracji Niespodzianka. Mieściła się w innym niebotyku położonym przy placu Unii, w kamienicy Jana Łaskiego. Niespodzianka była chyba najwyżej położonym (bo na ósmym piętrze!) lokalem Warszawy. Od Aleksandra słyszała, że w czasie wydarzeń majowych mieścił się tam tajny punkt obserwacyjny wojsk rządowych. Było stamtąd widać jak na dłoni sytuację panującą na Polu Mokotowskim. Po krótkiej jeździe wyszła z

eleganckiej windy i zapukała, bo proszono ją, by nie używać dzwonka, do drzwi.

Otworzyła jej zakapturzona kobieta w masce. Po głosie rozpoznała baronównę Grunshild, która kontaktowała się z nią, przekazując tabletki przygotowujące do seansu. Weszła do pięknego przedpokoju, z którego Grunshildówna zaprowadziła ją do małego salonu. Tam baronówna pomogła jej się przebrać, zadrżała, gdy się okazało, że pod czarną szatą, podobną do tej, którą nosiła panna Krysia, miała być zupełnie naga. Strój uzupełniała maska. Nim zdążyła zapytać, czemu ma zasłonić twarz, wyprowadzono ją za drzwi, które zakryte były grubą zasłoną. Dopiero po przebiciu się przez fałdy trafiła do okazałych rozmiarów salonu. Tam czekało już kilka identycznie jak ona ubranych osób.

Podłogę zaścielał puszysty czerwony kobierzec, a na ścianach wisiały czarne tkaniny z tajemniczymi symbolami. Znalazła tam niemal wszystko, o czym do tej pory czytała; rysunki dłoni i oczu, znaki zodiaku, pentagramy oraz wizerunki tajemniczych bożków. Część z nich kojarzyła z hinduskich religii, ale wypatrzyła też ohydny Bafomet, który siedział na globie. Swoisty ołtarz otaczały kadzidła, z których się sączył lekko duszący, słodkawo-korzenny dym, a w jego centrum stały dwa potężne świeczniki. Palące się w nich czerwone gromnice stanowiły jedyne źródło światła. Zauważyła, że ludzie, którzy czekali już w pomieszczeniu, chłonęli unoszący się dym, jakby palili tytoń albo byli w tężniach.

Nagle się pojawił on! Padavan Shankara ubrany był w złocisto-czarny ornat z kapturem, ściśnięty pasem tego samego koloru. Wyglądał trochę jak mnich, trochę jak katolicki ksiądz lub pop i

trochę jak maharadża. Za pasem miał złoty sierp, a na szyi potężny, także złoty, łańcuch. Pomyślała, że gdyby nie jego straszne oczy i dziwna atmosfera, to wyglądałby śmiesznie, tymczasem poczuła grozę. Wyglądał nie jak mędrzec, lecz jak groteskowy kapłan zła. Towarzyszyły mu dwie asystentki - jedną była baronówna, która trzymała w rękach srebrną tacę, a druga nieznaną jej kobieta grała na flecie przejmującą melodię.

- Uczniowie, padawanowie - rzekł. - Zaczynamy naszą mszę, nasz specjalny obrządek, który dzięki tajemnym pigułkom i inhalacji ziołami od hinduskich mędrców utrzyma nas w stanie ciągłego pobudzenia aż do jutra w południe. - Padavan Shankara uniósł ręce w teatralnym geście. - Wtedy za pomocą dźwięku hejnału mariackiego i fal radiowych zbliżymy się do Krakowa, a tym samym do Wawelu, gdzie jest uśpiony potężny czakram. Stworzymy tu wielką moc i zostaniemy jego drugą połówką, wytwarzając niespotykaną energię!

Emilia nie słyszała nigdy o czakramie na wawelskim wzgórzu, ale zebrany ta nazwa nie była widać obca, bo wydali z siebie jęk podziwu i kręcili z niedowierzaniem głowami.

- Siła serca Ośrodka Mocy poruszy się jutro w samo południe i gdyby nie postęp naukowy, gdyby nie radio i jego fale, moc czakramu nie dotarłaby do nas, a my nie zespolilibyśmy się z nim astralno-magiczną siłą. Ale nasz zakon wykorzystuje wszelkie moce, także te dane przez naukę - z ogniem w oczach głosił Padavan Shankara.

- Teraz dopiero, po kilkuset latach, odnajdzie swe zastosowanie mariacka wieża, która jest jak antena nadawcza, co przyciąga moc

czakramu. Jego moc wnuknie w wibracje melodii hejnału, a reszty dokona radio!

Mistrz ceremonii ponownie uniósł ręce w górę, a peleryna uczyniła z niego wielkiego człowieka nietoperza.

- Przyjmijcie moją komunie! - wykrzyknął Padavan Shankara.

Trzy damy i trzech dżentelmenów przyklękło, a kapłan wraz ze swoimi ministrantkami zaczął rozdawać jakieś barwne płatki.

- Dzięki nim zobaczycie sen niedostępny zwykłym ludziom - mówił w uniesieniu. - Dzięki nim otworzycie swe dusze i zobaczycie absolut! Moc będzie z wami!

Emilia źle się czuła. Zwyczajnie się bała i chciała opuścić zgromadzenie. Strach nakazał jej wypluć opłatek i zręcznie schować go w rękaw. Najchętniej po prostu wyszłaby, ale jak zareagują zebrani, być może gniewem? Zauważyła, że byli coraz mocniej odurzeni. Ona sama czuła, że nawet nieregularne branie podawanych przez Krystynę Grunshild pigułek miało na nią dziwny wpływ, do tego, nim dyskretnie wypluła kawałek podejrzanego komunikantu, ten się nieco rozpuścił w jej w ustach i zakręciło się jej w głowie. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co teraz czują ci, którzy nie przerywali dawkowania pigułek i w całości przyjęli barwny opłatek.

Dała się porwać w transowy taniec, który rozpoczął się w salonie kamienicy przy alei Szucha. Starła się wtopić w towarzystwo, nie wyróżniać się i w odpowiedniej chwili uciec. Na razie jednak tańczyła z innymi, a do melodii granej na fleciku dołączył miarowy dźwięk tamburynu. Choć tego nie chciała, to czuła, jak w jej głowie mocno zawirowało, a nogi poczęły same nieść ją w tym opętańczym tańcu. Nie wiedziała, jak długo to

trwało, ale czuła, że traci świadomość, jak derwisze czy chasydzi. Oni jednak się nie obnażali, a baronówna i druga z asystentek coraz śmieiej rozchyłały peleryny, błyskając nagością piersi.

Także i reszta towarzystwa była coraz śmielsza, niektórzy nie tylko poczęli epatować coraz mniej skrupowaną nagością, ale, co przyprawiło Emilię o grozę, bezwstydnie dotykali swych miejsc intymnych. Przyglądała się jak zahipnotyzowana kobiecie, co namiętnie ścisnęła swe niemal całkowicie obnażone piersi. W towarzystwie zapanowało poruszenie. W coraz gęstszym dymie ujrzała, jak na zaimprovizowanym ołtarzu, trzymając się potężnych świeczników, Padavan stanął w rozkroku i rozchyliwszy ornat, zaprezentował swą potężną, naprężoną męskość.

Przez zgromadzonych przeszło coś na podobieństwo skowytu, a jedna z kobiet uknęła przed nim, mówiąc w spazmach:

- Daj mi siebie, mistrzu. - I pochyliła głowę, pochłaniając lubieżnie przyrodzenie Padavana Shankary.

Także pozostali śmiało podążali w ich ślady. Emilia szybko zniknęła za kotarą, po czym wymacała klamkę. Była w pokoiku-szatni i wiedziała, że nie ma chwili do stracenia. Nie szukała swego ubrania, lecz tak jak stała, bosą, w samej tylko pelerynie i kapturze, wybiegła na klatkę schodową.

Aspirant Kornel Strasburger siedział na Daniłowiczowskiej, zbijając bąki. Pasjansik, papieroski, gazetka. Zabijanie czasu było łatwiejsze niż zabijanie much i miał pewność, że robi to perfekcyjnie. Służba w Wielki Piątek to był sam cymes, wszak nie tracił wieczoru, bo takowego w ten żałobnie odświętny dzień nie było. Ani dansingów, ani kabaretów, ani kin czy teatrów. Jednym

słowem nuda, a skoro miał się nudzić, to przecież lepiej, by nie było to za darmo, lecz za państwowe pieniądze.

Był już późny wieczór, gdy zadzwonił dyżurny ze śródmiejskiego komisariatu z sensacyjną wiadomością, że w eleganckim apartamencie odbywa się jakaś bandycka impreza. Donosił o tym przerażony sąsiad, który wśród biesiadników rozpoznał znanego kasiarza podejrzanego o zabójstwo. Nie wiedział, jak się nazywał, ale pamiętał jego zdjęcie z prasy. Chcąc nie chcąc, Strasburger wziął ze sobą dwóch wywiadowców, zapakowali w kieszenie rewolwery i ruszyli natychmiast sprawdzić tę sensacyjną wiadomość.

Aleksander Nowicki wrócił do domu. Teść był, Staś także, ale gdzie się podziała Emilia? Miała wrócić późnym wieczorem, a tu się już robiła noc. Nagle rozległo się pukanie, nie pukanie, łomot. Otworzył drzwi. Do mieszkania wpadła zapłakana Emilia, roztrzęsiona i ubrana, jakby wracała z balu maskowego.

- Co się stało, jak ty wyglądasz?

- Olku, poszłam na seans do Padavana Shankary, a tam nie było żadnego spirytyzmu, tylko orgia! - Emilia płacząc, opowiedziała swemu mężowi, co widziała w mieszkaniu przy alei Szucha.

Gdy skończyła, Aleksander chwycił ją za ramiona i zapytał:

- Czy oni coś ci zrobili?

- Nic, naprawdę nic. - I zalała się łzami.

- Czemu więc płaczesz? Emilio!

- Bo było tak blisko, tak blisko czegoś strasznego, nieopisanego! Tylko dlatego, że stchórzyłam, że schowałam pastylkę pod językiem, a potem ukryłam ją w ubraniu, jestem dalej tą samą osobą!

- Zrobię z tym porządek!

- Jak?

- Jak to, jak? Idę do nich, poukręcą im łby!

- Olku, nie! Idź po prostu na policję, zaaresztuj ich!

- Zaaresztują, a później wypuszczą albo w sądzie wybroni ich jakiś prawnik. Załatwię to po swojemu! - ryknął. - Nie wywiną się, nie tym razem!

Aleksander Nowicki wyciągnął z szuflady rewolwer i ruszył do drzwi. Emilia była przerażona.

- Olku, daj spokój, oni są źli, to potwory i szaleńcy, niebezpieczni szaleńcy.

Pułkownik Nowicki nie słuchał, tylko wsadził do kieszeni płaszcza rewolwer i wyszedł z mieszkania. Emilia była pełna złych przeczuć, tak jak wtedy, gdy poszedł na wojnę, jak wtedy, gdy powiedziała, że go rzuca, i odeszła ze Stasiem. Czas mijał, a ona poczuła, że za chwilę może go stracić. Bezpowrotnie.

Tymczasem Nowicki, nie próbując nawet złapać dorożki, pognął biegiem w kierunku alei Szucha. Ciec w bramie jakby na niego czekał, bo jak tylko wyciągnął rewolwer, ten wpuścił go, mając minę, która mówiła bardziej: „Dopiero teraz?” niż: „Co pan robi z tym rewolwerem?” Aleksander Nowicki wbiegał na drugie piętro po schodach, przeskakując po dwa, a nawet trzy stopnie. Miał trzydzieści cztery lata, był podpułkownikiem rezerwy, odznaczał się świetną kondycją. Kto go znał, ten wiedział, że był

człowiekiem, który wiele razy stawał oko w oko ze śmiercią. Pierwszy raz przed niemal dwunastu laty, gdy pod Neidenburgiem ruszył z szaleńczą szarżą na pruską piechotę, po raz ostatni niecały rok temu, gdy w Ministerstwie Spraw Wojskowych prowadził szaleńcze ataki.

W swym życiu zabijał, ranił i sam był raniony po wielokroć, więc fakt, że szedł z rewolwerem, by dokonać krwawej, śmiertelnej zemsty, był dla niego sprawą oczywistą, czymś zwykłym, a nie romantyczną kreacją. Gdy wpadł do mieszkania, zobaczył widok, który nieśmiało w swym opowiadaniu przewidywała Emilia. To, co się działo w salonie przerobionym na okultystyczną świątynię, zaskoczyło go tak mocno, że aż przystanął jak wryty. Na podłodze, na otomanach i fotelach, leżąc, siedząc lub tylko opierając się, kopulowało ze sobą kilkanaście osób. Byli jak w transie, parząc się w przeróżnych konfiguracjach. Dwóch mężczyzn dogadzało jakiejś damie, z kolei obok dwie kobiety w spazmach dosiadały jęczącego z rozkoszy mężczyznę. Wszyscy nadzy bądź tylko symbolicznie okryci pelerynami, wszyscy także w maskach, które dodawały szaleństwu orgii dodatkowej perwersji.

Wtem ktoś z uczestników zachrypiał:

- Profan, profan!

Większość nie zwróciła na niego uwagi, ale kilka osób, mężczyzn i kobiet, ruszyło w jego kierunku. Nowicki wyciągnął rewolwer i wykrzyknął:

- Cofnąć się, bo was wystrzelam!

To podziałało, ale na krótko. Jeden z mężczyzn, który wyróżniał się peleryną i maską zdobionymi złotymi ornamentami,



zamachnął się jakimś przedmiotem. Nowicki strzelił i poczuł przeszywający ból, to złoty sierp ciął go w prawą rękę. Dał się zaskoczyć. Ręka krwawiła, a rewolwer gdzieś odleciał. Przeciwnik zamachnął się po raz kolejny. Aleksander Nowicki zrobił unik i ruszył przed siebie, przewracając grupkę golasów płci obojga, którzy z dzikim krzykiem próbowali go zatrzymać. Zakotłowało się, jeden z wielkich świeczników runął i od płomienia gromnicy kotara zajęła się ogniem.

Zapanowała panika, nieopisany zgiełk i pisk. Kopulujący, znarkotyzowani ludzie wyrwani zostali z transu.

Nowicki doskoczył do drugiego świecznika, chwycił go w ręce i uderzył nim jak szablą człowieka z sierpem. Ten nie zdążył zadać kolejnego ciosu, bo jego głowa niemal rozleciała się na części, a krew trysnęła na podłogę i gołe ciała uczestników orgii. Zabił ich przywódcę, na co jedni zareagowali ucieczką, a drudzy agresją. Ktoś ruszył na niego, wywijając płonąca kotarą, inny nagus chwycił drugi ze świeczników. Naprawdę gorąco się zrobiło, gdy Nowicki dostrzegł w rękach trzeciego z przeciwników swój rewolwer, który wcześniej, cięciem sierpa, wytrącił mu z dłoni przywódca sekty. Padł strzał i w ciemnym, zadymionym kadzidłami i kłębami dymy z płonącej kotary salonie rozległ się odgłos ciała padającego na ziemię. Ale to nie Aleksander Nowicki, lecz trzymający jego nagana goły adwersarz osunął się bez tchu.

- Stać, nie ruszać się! - rozległ się okrzyk. - W imieniu Urzędu Śledczego powtarzam, nie ruszać się, bo strzelam! - Salon wypełnił głos aspiranta Kornela Strasburgera.

Jako były pracownik Sztabu Generalnego i pułkownik w stanie spoczynku Aleksander Nowicki wylądował w Szpitalu Ujazdowskim, tam też w sobotę po południu odwiedził go i przesłuchał aspirant Strasburger. Nowicki był w doskonałym humorze, bo o jego zdrowie i nastrój dbał znany z dowcipu i tworzenia dobrej atmosfery doktor kapitan Machowski. Aspirant i pułkownik kończyli przesłuchanie, a w zasadzie miłą towarzyską rozmowę, gdy do sali wszedł opiekun rannego.

- Dzień dobry, panie pułkowniku, zajrzałem w starą kartę i policzyłem z dokładnością, co do dnia! Nie było pana u nas rok i osiem miesięcy bez sześciu dni - zaśmiał się jowialnie Machowski.  
- I wtedy, i teraz przywieziono pana w nocy. Jest pan naszym stałym klientem, można podług pana wizyt regulować zegarki i ustawiać kalendarz!

- No nie tak częstym jak na wojnie, panie doktorze! - zaśmiał się Nowicki. - W lazaretach czuli się nieswojo, jak raz w kwartale nie wylądowałem im w sali!

- Ale wtedy jeszcze nie mieliśmy okoliczności się poznać. - Kapitan Machowski poklepał pułkownika. - Z tego, co pamiętam, to ten pierwszy raz był niezwykle skomplikowany. Tannenberg?

- Blisko - uśmiechnął się Nowicki. - Ma pan dobrą pamięć, to była ta bitwa, ale dokładnie pod Neidenburgiem.

- Potem, na wielkiej wojnie trafili pana jeszcze dwa razy, były dwa urazy w wojnie bolszewickiej, no i te dwa pokojowe. Za każdym razem coraz złejsze, ten przedostatni to prosty postrzał, a teraz ledwie draśnięcie.

Pośmiali się serdecznie i urwali rozmowę, bo nadeszła Emilia. Aleksander Nowicki poczuł się tak jak trzynaście lat temu, gdy

leżał w tym samym szpitalu jako kornet carskiej armii.

Heniek szedł z Łodzią Nowym Światem. Była Wielka Sobota, wracali ze święconkami ze Świętego Krzyża dokładnie w samo południe. Nie wiedzieli o tym, ale za chwilę mieli już tego pełną świadomość.

- Ożeż ty kurtka na wacie - wymknęło się Heńkowi. - Słyszysz?

Zareagował w ten sposób na dźwięk, który dotarł do niego przez otwarte drzwi kawiarni. Było już ciepło i wejście do lokalu uchylono, by goście mogli się cieszyć świeżym, wiosennym powietrzem, więc na warszawskiej ulicy słychać było dobiegający z ustawionego na ladzie radia dźwięk hejnału z krakowskiej wieży mariackiej.

- Znam to - zawołał podniecony. - Pamiętam z Krakowa!

- Tak, mój kochany - powiedziała z uśmiechem Leokadia. - Mówiłam ci przecież, że radio ma nadawać hejnał. Ogłaszali to od dawna.

- Ho ho, bo państwo mają radio - Heniek wyraził podziw.

- Już od dwóch lat! Tata kupił odbiornik i muszę przyznać, że to korzystnie zmieniło nasze życie, siedzimy razem przy ciekawych audycjach i muzyce. Dobrze by było, gdybyś kupił to urządzenie swojej babci i siostrze.

- Kupię, kupię na pewno - powiedział Heniek i zaczął kalkulować, czy stać go będzie teraz na jeden, czy na dwa odbiorniki.

Zdecydowanie na jeden, bo cena prostego, bez lamp i anteny odbiornika to było ponad dwieście złotych, a górna skala nie znała

chyba granicy. Luksusowa ekradyna kosztowała prawie półtora tysiąca złotych! Postanowił Więc, że najpierw kupi radio babci i Stefie, a nad odbiornikiem dla siebie jeszcze się zastanowi. Prędzej kupi radio do warsztatu, będzie się milej pracowało, a do tego zakład podniesie swój prestiż.

Tymczasem, tak jak za każdym razem, urwała się ostatnia nuta hejnału mariackiego, przypominając Heńkowi, że według legendy to nie jest zwykła melodia, lecz sygnał grany na trwogę.

Mimo Wielkiej Soboty w Urzędzie Śledczym panował zgiełk. Takie sprawy, jak ta z wyznawcami i kapłanem czarnej magii, zdarzają się rzadko. Nie chodziło tylko o trupa, jednego ciężko i kilku lżej poranionych. Większym problemem było to, że policja musiała wyłapać wszystkich wyznawców sekty i zabezpieczyć środki, którymi Padavan Shankara odurzał swe ofiary. Na głowie mieli także tłum prawników przysłanych przez ojca aresztowanej Krystyny Grunshild. W ogólnym, twórczym zamieszaniu pojawienie się Kornela Strasburgera, który przyjechał ze Szpitala Ujazdowskiego, zostało potraktowane jak przybycie prawdziwej gwiazdy. Koledzy nie mogli uwierzyć w to, co widział.

- Gołe babki i kapłan ze złotym sierpem!

- A nie można się było jakoś dołączyć? - zachichotał któryś ze śledczych. - Była okazja, żeby zostać zięciem barona Grunshilda!

- Albo szwagrem Lucyfera - zaśmiał się inny.

- Prędzej można było mieć okoliczność z Bafometem - odparował Strasburger. - Panowie, wierzcie mi, że choć widok był przedni, to nie o tym jednak myślałem - mówił z całą powagą

aspirant, szybko jednak przechodząc w swój ulubiony styl wesołka. - A wiecie, panowie, że dzięki tej sytuacji lepiej zrozumiałem dowcip o króliczkach?

- A który to? - zapytał ktoś z zainteresowanych.

- No ten, że się spotykają dwa króliki i jeden przed drugim się chwali: A wiesz, zostałem zaproszony na kolację. Na to ten drugi: Jako gość czy jako pasztet? - Śledczy się śmiali do rozpuku, a Kornel Strasburger kontynuował: - Jakbym się zagapił, to najpierw zastrzeliliby tego Nowickiego, a później mnie! A najlepsze, że ten pułkownik równo po roku i prawie ośmiu miesiącach, prawie, bo bez sześciu dni, znów trafił do szpitala. Wtedy też był ranny. - Strasburger podzielił się z kolegami ciekawostką, która nie wydała im się zbyt zajmująca. Kapłan, nagie kobiety, wyuzdanie, narkotyki i dwa trupy to było to, co ich naprawdę interesowało!

- Ale kino, normalnie western! - Śledczy opisywali sprawę jeden przez drugiego i ciągnęli Strasburgera za język. - To kawalerzysta, a im się zdarza, lepiej opowiedz o tym demonie i jego ofiarach!

Tymczasem jeden ze śledczych myślał o czymś zupełnie innym.

- Rok i osiem miesięcy bez sześciu dni? - zastanowił się głośno aspirant Denhel i zaczął liczyć w myślach. - Panowie, którego mamy dzisiaj?

- Wczoraj był Wielki Piątek... - odparł komisarz Teodor Szuk.

- Ale data, który kwietnia? - zapytał Denhel.

- Myślałem, że prymusi szkoły policyjnej noszą kalendarz jak nie w głowie, to w kieszeni - zażartował komisarz Szuk. - Dzisiaj jest szesnasty kwietnia.

- Czyli w piątek był piętnasty... - Karol Denhel bezwiednie myślał na głos.

- No nie, Karolu - wystrzelił Strasburger. - A ja myślałem, podobnie jak kolega Sznuke, że prymusi szkoły policyjnej mają piątki ze wszystkich przedmiotów. No nie wiedziałem, że pan tak słabo rachuje! Ale nie dziwię się, bo w protokole mamy datę łamaną; z piętnastego na szesnasty kwietnia.

Aspirant Karol Denhel poczuł się jak wędkarz, który widzi, jak sępławik zaczyna się zanurzać w wodzie. Czyżby kolejny trop, kolejny element, czy też niesłychany przypadek, że pułkownik został kiedyś postrzelony tej samej nocy, której w szpitalu wylądowali Wcisło i Beniowski? Takie przypadki nie istnieją!

Niedziela Wielkanocna jak zwykle była z pompą, Heniek miał bliżej do innych kościołów, ale oczywiście pognął na rezurekcję na Wolską, bo nie o mszę szło i procesję, lecz o ferajnę. Pogadali, popatrzyli, jak ładują z petard i korków, po czym wrócił do Pekinu. Pod bramą stała marnie wyglądająca Żydówka z dzieckiem. Trudno było określić, ile ma lat, za to dziecko - mała dziewczynka - liczyło nie więcej niż trzy lub cztery. Ubrane były skromnie i miały niewymownie smutne, wielkie oczy. Kobieta ruszyła w jego kierunku. Sądząc, że będzie to prośba o jałmużnę, zaczął szukać w kieszeni monet.

- Czy pan Henryk Wcisło? - zapytała szeptem.

- Tak, a o co się rozchodzi?

- Moje nazwisko nic panu nie powie, ja jestem Sara Goldstein, a to moja córka Golda. - Mówiła niepewnym głosem ze śpiewnym

akcentem. - Mój mąż Salomon... on, rozumie pan, on jest w Centralniaku, w ten areszt przy Daniłowiczowska.

Heniek pokiwał głową, nie rozumiejąc, do czego to wszystko zmierza. Wiedział jednak, że nie będzie to nic dobrego i że lepiej odejść od bramy, w której czatował czujny stróż. Ruszyli Złotą w kierunku Sosnowej.

- Otóż mój Saldo, panie Heniek, siedzi w jednej celi z Lucek Traszka.

- Z Traszką, z Lucjanem Traszką!?

- Tak, Traszka. - Kobieta poczuła się pewniej. - Lucjan Traszka, on zna pana, panie Heniek!

- I ja go znam, to mój... można tak powiedzieć, sąsiad. Niech pani mówi dalej.

Zagadka zaczynała się rozwiązywać, choć Heniek dalej nie wiedział, o co może chodzić.

- Pan Traszka przekazał mojemu Salomonowi wiadomość, a Salomon kazał ją przekazać ciębie, panie Henryk.

Heniek kiwnął głową, by Gołdsteinowa mówiła dalej.

- Otóż pan Traszka powiedział, że bardzo pana, panie Heniek, szanuje, i że go pozdrawia i ostrzega. On miał dużą nieprzyjemność, bo jego złapali w sklepie z futrami. Jak czekał na to, żeby być zabranym do areszt centralny, to przyszedł do niego jakiś młody policjant z Urzędu Śledczego i wypytywał go o ta draka, jaka była kiedyś w mieszkaniu.

- Draka w mieszkaniu?

- W mieszkaniu pana Traszka. On mówi, że pan wie, o która draka chodzi, bo było to w chawirze pana Traszka i że pan tam był

i jedna pani z panem też. Mówi, że pan sobie przypomni, panie Heniek, bo narobił pan wtedy dużo huk.

A więc o to chodzi, ale po co to komu? - pomyślał Wcisło.

- Pan Traszka mówi, że ten policjant myślał, że po tej hecy nie jest między wami fertig, że on nie wiedział, że wy macie sztama. On myślał, że pan Traszka będzie chciał jakaś zemsta i coś na pana powie. Nic nie powiedział, bo jesteście fertig i macie sztama. On pana szanuje, panie Heniek, i powiedział do mój Salcio, żeby pan uważał na ten policjant, bo on na pana poluje. On chce jakiejś nekome<sup>84</sup>, zemsty. Pan uważa, bo pan jesteś porządny człowiek.

Heniek ciężko przełknął ślinę. Poczul, że w gardle zrobiło mu się sucho, że ogarnia go nagle gorąco. Szybko się opanował i spojrzał na Goldsteinową.

- Jak mogę wam pomóc?

- W każdy sposób. - Mówiąc to, Sara Goldstein spuściła wstydliwie wzrok.

Heniek sięgnął po portfel i wyciągnął z niego garść banknotów.

- Pani Gołdsteinowa, tu jest sto złotych. Wygląda pani na kobietę, która tego nie rozprowadzi. Tu jest adres, to jest biuro PPS-u na Powązkach, niech pani pyta o Tasiemkę. On tam rządzi i mnie zna, pani się powoła i powie, że prosiłem przekazać, że sprawa honorowa. Uprzedzę go zresztą, powinien pomóc. Proszę zrobić solidną wałówkę dla męża i przekazać przez niego pozdrowienia dla Traszki. Niech przekaże, czy można mu jakoś pomóc, niech mąż mu po prostu powie, że ja wiem, że mamy z Luckiem sztamę. Dobrze?

- Dobrze, panie Heniek, ja panu bardzo dziękuję, pan jesteś złoty człowiek. - Gołdsteinowa poszła w swoją stronę, dziękując



jeszcze parę razy.

Słowa złoty człowiek w ustach Goldsteinowej zabrzmiały dość zabawnie, ale jemu nie było do śmiechu. Z jednej strony żona złodzieja z małą córeczką i jej pełne łez podziękowania wzruszyły go, ale nie to miał zapamiętać z tego popołudnia, bo w głowie dudniło mu: „On na pana poluje. On chce jakiejś nekome, zemsty”.

Kto to jest, czego od niego chce, czemu urządził na niego polowanie? W grę wchodziła tylko jedna osoba, ten śledczy, którego spotkał już na swojej drodze. Ten Denhel czy Dehnel, czy jak on się tam nazywał, mierzył już do niego dwa razy z rewolweru; pierwszy raz Pod Kogutem, a później na dachu w Ujazdowskich. Spotkali się jeszcze raz na Polu Mokotowskim. Czy to był on? Pewnie tak, bo już wtedy widział w jego oczach, że zagiął na niego parol. Nie chciał tego robić, ale musiał. Uderzy o pomoc do Julka. Tylko „dwójka” może go uchronić przed Urzędem Śledczym. „Dwójka” albo ucieczka. Uciekać nie chciał i nie mógł, miał tu wszystkich, których kochał; Leokadię, babcię i Stefę. Coś jednak musiał zrobić, pognał więc czym prędzej do najbliższego telefonu i wykręcił prywatny numer Julka Beniowskiego. Ten nie odbierał, więc Heniek wskoczył do dorożki i pognał na Powiśle, gdzie mieszkał jego przyjaciel.

Zmierzchało już, gdy w mieszkaniu państwa Denhelów zadzwonił telefon. Karol ruszył w jego kierunku przeświadczony, że w Niedzielę Wielkanocną może to być tylko pilny telefon z Urzędu Śledczego. Czy coś się znów kroi? Sądził, że po Wielkim Piątku u szalonego okultysty warszawskiego policjanta nie

powinna zaskoczyć już żadna sprawa, a już na pewno nie telefon dzwoniący wieczorem w czasie Wielkanocy.

- Hallo! Tu mieszkanie radcy Denhela. Karol Denhel, słucham!

- Słuchaj pan uważnie - usłyszał rozweselony głos Aureliusza Trębickiego.

A więc to tylko Trębicki na świątecznym kacu, pomyślał.

- Pewnie myślisz, że jestem pod dobrą datą? - zaśmiał się malarz.

Zgadza się, w istocie tak było!

- I zgadłeś, jestem!!! - chichotał artysta. - Tak, wypilem sobie, bo tak robię, gdy pracuję. Nawet gdy maluję święte obrazy i portrety przodków, to też lubię podlać swoją wenę odrobiną wina. I wiesz, co ci powiem? Skończyłem właśnie nowe dzieło, to portret, który wykonałem według wskazówek świadków, co mi je dostarczyłeś na piśmie.

Zapadła cisza, w powodzi wydarzeń Karol zupełnie o tym zapomniał. Szczerze mówiąc, to nie sądził, by w nawale pracy Trębicki się zajął tą sprawą, zresztą sam o tym nie pamiętał. W końcu ostatnio tyle się zdarzyło...

- No co tam, jest tam ktoś? - odezwał się w słuchawce ponagląjący głos dzwoniącego. - Zapraszam na wieczorne, wielkanocne jajeczko, hallo! Nie chcesz pan, panie aspirancie, stanąć twarzą w twarz z bohaterem z placu Teatralnego?

Jajeczko... Lepsze jajeczko z Trębickim niż kolejny domowy spektakl z ojcem i matką w głównych rolach.

- Tak jest, panie inspektorze. - Karol Denhel wyprężył się przed aparatem. - Tak jest, panie inspektorze - dodał głośniejszym głosem, by

rodzice zwrócili na niego uwagę. - Jadę natychmiast!

- Tak to lubię, mój drogi - zaśmiał się Aureliusz Trębicki, lecz tych słów Karol Denhel już nie słyszał, bo odłożył słuchawkę.

- A więc musisz iść - powiedziała z wyrzutem matka. - Nie zostaniesz na kolacji? Przecież mamy święta!

- Taką sobie karierę wymyślił nasz syn... - odezwał się beznamiętnym tonem ojciec.

- Pewnie znów wrócisz w środku nocy... - Twarz matki wyrażała bezgraniczne wzruszenie i cierpienie. - Mój synku...

Bo jak wiadomo, największe zagrożenia w pracy śledczego to nieregularne posiłki i nocne powroty, zgryźliwie pomyślał Karol Denhel.

- Kochani rodzice! Służba wzywa. - Aspirant Denhel stuknął obcasami i opuścił mieszkanie.

Artysta tradycyjnie poczęstował go butelką wina, która - co nie zdziwiło policjanta - opróżniona już była do połowy. Szkic portretu oraz uwagi świadków sprecyzowały kierunek działań twórczych Trębickiego. Rysunek przyprawił aspiranta o ciarki na plechach.

W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć w to, co widział, i aż usiadł, żeby przyjąć to do wiadomości. Podziękował serdecznie malarzowi za spełnienie obywatelskiego obowiązku i, mimo świąt, pognął pod trzy adresy, gdzie, jak mu się wydawało, mieszkali najbardziej wiarygodni świadkowie. Nie było żadnych wątpliwości, to była właśnie TA OSOBA.

Około północy powrócił do pracowni malarza z naręczem butelek najprzedniejszych win, na które się wykosztował w barze hotelu Bristol. Tym razem nie wymawiał się brakiem czasu, lecz uczestniczył w całonocnej libacji, którą musiał potem odchorować.

Aureliusz Trębicki był kurą znoszącą złote jajka, należało więc o niego dbać, nawet jeśli miało go to kosztować nieznośny poranny ból głowy. Pomyśl na to, by przenosić zeznania świadków na szkielet, może się dla niego okazać prawdziwą żyłą złota, a odkrycie, że tajemniczym strzelcem z placu Teatralnego jest kapitan Juliusz Beniowski, było wprost bezcenne!

Beniowskiego nie było w domu, więc Heniek warował pod jego bramą jak pies. Wreszcie, gdy słońce już dawno zaszło, zajechała dorożka, z której wysiadł Julek z jakąś klawą babką. Nie miał wyjścia, musiał mu zepsuć wieczór.

- Przepraszam państwa - powiedział, wychylając się z mroku.

Młoda kobieta drgnęła ze strachu, chowając się za Beniowskiego.

Heniek zrozumiał, że wzięła go za jakiegoś opryszka. Uchylił grzecznie czapki i zapytał:

- Czy pozwoli pani, że zamienię z moim przyjacielem parę słów?

Dama wyglądała na kompletnie zaskoczoną i pytającym wzrokiem spojrzała na swojego partnera. Nie usłyszała jednak satysfakcjonującej ją odpowiedzi.

- Heleno, pani pozwoli... - Julek z namaszczeniem dał swojej partnerce do zrozumienia, że musi przez chwilę porozmawiać z nieznanym jej osobnikiem.

Helena się zgodziła bez słowa, zaniepokojona tak niespodziewanym przerywnikiem romantycznego i niezwykle

obietującego wieczoru. Zakładała, że ta niekomfortowa sytuacja potrwa dosłownie moment, ale się myliła.

- Heniek, czyś ty zgłupiał? Jaki masz do mnie interes, że psujesz mi, być może najważniejszy, wieczór mojego życia? Wiesz, kto to jest?

- To klawa babka, ale kłopoty to moja specjalność. - Od tych słów Heniek zaczął swoje opowiadanie.

Już po pierwszych słowach Julek zrozumiał, że plany na wieczór, a przede wszystkim noc, wzięły w łeb. Kazał Heńkowi poczekać, a pannę Helenę odprowadził do dorożki. Jej oczy wyrażały nie tylko zdziwienie, ale i rozczarowanie. Zrozumiał, że nie będzie miał drugiej szansy. Kobieta takiego afrontu nie wybacza, na pewno nie na tym etapie znajomości i bez wiedzy, że mężczyzna, któremu się chciała oddać bez reszty, jest oficerem „dwójki”, który musi ratować skórę nie tylko swojemu przyjacielowi, ale i być może samemu sobie. Beniowski nie wiedział jeszcze wtedy, że także on ma u aspiranta Denhela niezwykle bogate dossier.

## CZEŚĆ SIÓDMA

### NIE ZAZNASZ SPOKOJU

XXXI

### ZŁOTA MASKA

Coraz częściej mówią o zupełnym zniesieniu pańszczyzny. Głupstwa pieprzą, bo przecież nie ma żadnej pańszczyzny. Matyasa Kadara irytowały pierdoły wygadywane przez paniczyków z miasta i panie, które prawie sikały z wrażenia, jak im kto pokazał Falsztyn jako miejsce, gdzie wciąż była pańszczyzna. Nie pańszczyzna, tylko żelarka! Ile razy trzeba tym durniom powtarzać. Oczywiście są i tacy, co się tym zachwycają, co mówią - dobrze, że jeszcze ktoś tych chamów krótko za mordy trzyma! To też durnie, bo nie jest już tak, jak kiedyś. Od dawna nie jest, a zaczęło się od tego, jak ten góral obił drągiem barona Karola Jungenfelda, ojca obecnego barona Teodora. Obił, bo baron, pewnego razu pędząc powozem, chciał go wychłostać za to, że nie uciekł z drogi, bo wszystkich żelarzy traktował w ten sposób. Nie lubił, jak powóz musiał zwalniać.

Jeśli ktoś był mu zawalidrogą i nie zdążył hycnąć do rowu, to obrywał po grzbiecie batem. Gdy baron był w złym nastroju, to potrafił tłuc do nieprzytomności. Okazało się jednak, że tym razem Karol Jungenfeld przekroczył granicę dóbr i przylał nie swojemu żelarzowi, lecz jakiemuś wolnemu z Czorsztyna, a ten mu odplacił pięknym za nadobne i solidnie go wyłomotał. To było jeszcze przed wielką wojną, kiedy żelarz musiał robić u pana nawet sto czterdzieści dni w roku. Teraz to jakieś marne dniówki, a do tego skończyło się bicie. Nawet ludzi z własnych dóbr nie można prac, dlatego tym, co się ociągali z posługą, wyrywał zimą okna. Nie bił, tylko mroził, a to przecież różnica! Kiedyś to by ich pognął na ten mróz, ale teraz nie można. Nie podobało mu się to, bo przecież mieszkały te obiboki w chatkach należących do majątku barona, a nie we własnych domach na własnej ziemi. Taka to była ta pańszczyzna, którą ekscytowali się goście z Polski i z zagranicy.

Prawdziwa pańszczyzna to była wtedy, gdy chłopci nie mogli opuścić dóbr, a teraz to im można co najwyżej nakazać to czy owo. Na przykład termin ożenku albo pracę u innych właścicieli. W sumie to wszystko dla ich dobra, bo jakby mogli, to by dzieci wydawali za mąż, a tak baron pilnuje porządku. Baron, czyli tak naprawdę Matyas Kadar, bo przecież baron nie będzie tracił czasu na tę hołotę. A jemu też już się to nudziło i czekał tylko na właściwy moment. Postanowił, że jak w czerwcu baron będzie jechał do Wiednia, to zabierze się z nim i wtedy zacznie nowe życie. Weźmie złotą maskę i spienięży ją. Wzbogaci się i nie będzie miał nad sobą ani barona, ani tej przybłądy z Siedmiogrodu, za którą musiał od prawie dziesięciu lat pracować. Na do widzenia baron odwiezie go jeszcze do Wiednia lancią i zapłaci za wszystkie

uciechy, jakie wydarzą się po drodze. Gdyby nawiał, ot tak po prostu, to jeszcze by się ktoś zorientował, ile bałaganu narobił w księgach. A tak, czmychnie w Wiedniu i do tego z pełnymi kieszeniami; świat i nowe życie staną przed nim otworem!



WIDMO BROCKENU

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Zakopane, 29 kwietnia roku 1927*

*Męczyłam się ostatnio znów za szybko i poszliśmy do lekarza. Pan doktor zbadał mnie i powiedział, że nie jest już tak źle, jak przed rokiem, ale że kurację i tak trzeba kontynuować. Niech mi *Pari Bóg* wybaczy, ale się ucieszyłam z tego powodu, bo lubię Zakopane, a właśnie w to miejsce pan doktor zaordynował wyjazd. Henio bardzo się tym luszystkim przejął i pojechał wraz ze mną i babcią, żeby nam się pomóc urządzić.*

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 30 kwietnia roku 1927*

*Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Heniek nigdy nie był taki stanowczy.*

*O tym, że jedzie z siostrą do Zakopanego, poinformował mnie, jakby to było jakieś rządowe rozporządzenie, a nie sprawa między kochankami. Minął tydzień z okładem, a ja ledwie się po tym wszystkim zbieram. Najpierw ogarnęła mnie złość, niemal furia, ale gdy wróciłam do domu, zaczęłam płakać. Nie wiem, czy mogę mu ufać, coraz bardziej się boję, że mam rywalkę, że pokpiłam coś wcześniej, przegapiłam i mój los jest przez to przegrany. Z drugiej zaś strony się pocieszam, że On wyjechał przecież z siostrą i babcią. Sprawdziłam to, zaszłam do kamienicy, w której mieszkają, i wypytałam dyskretnie ludzi. Mam więc nadzieję, że to wszystko naprawdę dla rodziny, a nie dla jakiejś kobiety. Ale skoro tak jest, to czemu pozostawił mnie w taki zimny i okrutny sposób, jakby nie żywił wobec mnie żadnych uczuć?*

Od tygodnia przebywał w Tatrach. Poczul tam względny spokój i wolność, ale nadal był napięty jak sprinter, który stoi na linii startowej i się szykuje do biegu. Wyjazd do Zakopanego był tylko połowicznym załatwieniem sprawy, być może tylko odroczeniem wyroku. Wiadomość przekazana z kryminału przez Lucka Traszkę oraz wcześniejsze spotkania z aspirantem Denhelem kazały mu bezwarunkowo usunąć się w cień i być gotowym na dalsze ruchy, także ucieczkę za granicę.

Sytuacja była poważna. To Julek kazał mu się wynieść do Zakopanego, wykorzystując jako pretekst gorszy stan zdrowia Stefy. Już przed rokiem doktor zalecił jej dłuższe pobyty w górach, więc Heniek skorzystał z tego skwapliwie, wyjeżdżając z babcią i siostrą. Stefa miała bardzo dobre oceny i szkoła się zgodziła na

wcześniejsze wakacje, pod warunkiem że zaliczy wszystko w ostatnich dniach sierpnia. Zarówno wychowawczynie, pani Jadwiga Muszyńska, jak i dyrekcja uważali, że będzie to formalność.

Załatwienie zgody ze szkoły, zabezpieczenie środków, dogadanie się ze stryjkiem i pozamykanie wszystkich innych spraw zajęło mu prawie tydzień. Najtrudniej było z Leokadią, która zamiast się popłakać była po prostu wściekła jak osa. Nie wiedział, co sobie myślała, i co będzie z nimi dalej, ale nie miał innego wyjścia. Jeśli to wszystko się posypało, to pal sześc, uwolnił ją od swojej osoby i tyle. Ich związek i tak nie miał przyszłości, a jeśli będzie musiał dać dyla za granicę, to przecież nie zabierze jej ze sobą. Tak sobie myślał, tak na chłodno kalkulował, bo tak trzeba było, ale w rzeczywistości wszystko się w nim kotłowało.

Tymczasem wpadł do hotelu Bristol gdzie było biuro wagonów sypialnych, i kupił bilet do Zakopanego. Wyjechali slipingiem w niedzielę w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziestego piątego kwietnia, zaliczywszy uprzednio herbatkę u Kornackiej. Heniek bardzo tego nie chciał, ale Julek zaklinał go na wszystkie świętości, by opuścił Warszawę w sposób jak najbardziej naturalny i niebudzący sensacji. Ma zniknąć Denhelowi z oczu, ma się oddalić od niego na bezpieczny dystans, ale nie może wzbudzać w psie gończym żadnych podejrzeń. Chcąc nie chcąc, Heniek poszedł więc na umówione spotkanie, na którym się wił przez dwie godziny jak na rozżarzonych węglach, w salonie Kornackich, między mebelkami, porcelanowymi duperelkami, etażerkami, palmami i fikusami. Genowefa Kornacka była w siódmym niebie, jej córeczka Cecylia także i nie inaczej mąż Adolf.

Co gorsza, babcia Heńka też się okazała poruszona tym spotkaniem.

- Czy nie uważasz, że byłaby to dla ciebie świetna partia, wnusiu? - zapytała, gdy jechali dorożką na dworzec.

Kiwnął dla świętego spokoju głową, nie chciał sporu z babcią, a panna Cecylia i jej wścibska mamusia były mu potrzebne do tego, by cała kamienica wiedziała, że nigdzie nie zwiął, tylko wyjechał z siostrą w góry. Hint nie może się dowiedzieć, że Heniek coś przeczuwa, a tym bardziej nie może pomyśleć, że to ucieczka. Mógłby wtedy zrobić coś zupełnie niepotrzebnego. Julek potrzebował czasu, by poprzez swoje znajomości i informatorów, których „dwójka” miała także w policji, pojąć, o co dokładnie chodzi śledczemu i jak poważne jest niebezpieczeństwo.

Wspinając się po górach, Heniek zastanawiał się, co jest groźniejsze; pies z Urzędu Śledczego czy jego nowa rozrywka, w której się jeszcze zatracił, tak jak kiedyś w otwieraniu kas i politycznych mordobiciach. Heniek, tak jak poprzedniego roku, wspinał się w towarzystwie pana Murakamiego oraz Jędrusia Olczańskiego. Lubił tych ludzi, a do tego wiosenne góry były naprawdę piękne.

Słońce biło w oczy, powietrze orzeźwiało i niosło w sobie chłód śniegu, który zalegał na szczytach i w żlebach. W samym Zakopanem było już zielono, ale poza linią lasu zaczynała się letnia zima - tak właśnie nazwał tę nieznaną sobie wcześniej, szczególną porę roku. Dzisiaj zaplanowano specjalną wyprawę. Noc spędzili w Murowańcu i ruszyli o świcie na Orlą Perć. Chcieli się porwać na coś, czego się nie robi, przejść niezwykle trudną trasę, która była jeszcze w śniegu i pod lodem.

Gdy wpisywali się do księgi wyjść, to inni pukali się w głowę, ale taką mieli melodię i nikt im nie mógł tego zabronić. Na początku szli jak zwykli turyści, łatwą drogą, niedaleko schroniska minęli jednak swoiste memento mori, jakim był wystający ze śniegu kamień Karłowicza z wyrytą na nim swastyką i sentencją: „Mieczysław Karłowicz tu zginął porwany śnieżną lawiną d. 8 lutego 1909. Non omnis moriar”. Po tym szczególnym ostrzeżeniu i chwili zadumy doszli do grafitowo-białej, bo zamarznętej i przysypanej nawianym śniegiem tafli Czarnego Stawu Gąsienicowego. Tam się skończył spacer, a zaczął prawdziwy wysiłek. Na Zawrat wspinali się długo i mozolnie, bo śnieg był głęboki, w zacienionym żlebie jego pokłady zdawały się nieskończone.

Jędrus długo oglądał drogę, którą mieli przejść, zastanawiał się i skrobał po głowie, aż w końcu uznał, że nie będzie lawiny. Weszli na przełęcz, przebijając się przez niską pokrywę chmur, i w oczy uderzyło ich poranne, nisko jeszcze zawieszone, słońce. Podeszli kawałek w górę, przyglądając się ekscytującemu widokowi. Ponad chmurami sterczały białe szczyty, a na mleczną powierzchnię padały wielkie cienie gór ze wschodniej strony. Wspinaczka stawała się coraz cięższa, Orla Perc nie nadawała się tego dnia do przejścia, zatrzymali się, by o tym porozmawiać, gdy ujrzeli coś niezwykłego, własne cienie na mlecznej pokrywie, gigantyczne, jakby pochodzące od olbrzymów, a nie ludzi, a do tego z tęczowymi aureolami.

- Na Boga, cóż to?! - wykrzyknął Heniek.

Pan Murakami nic nie mówił, tylko się uklonił z powagą temu zjawisku, po czym przysiadł na piętach na japoński sposób i

kontemplował niezwykle widok.

- Co to jest? - zapytał po raz kolejny Heniek.

- To widmo Brockenu - odpowiedział łamiącym się głosem Jędrus.

- Jaszcz tak to nazwał i mówi, że kto to widział, to umrze w górach.

- A zatem jesteście straceni, panie mikado? - Heniek nerwowo zwrócił się do Japończyka, który jego zdaniem powinien skomentować zjawisko w sposób bardziej racjonalny niż Jędrus.

- Jeszcze nie, mój szogunie - odpowiedział pan Murakami.

- Jaszcz mówił też, że kto zobaczy to zjawisko po raz wtóry, a potem trzeci, to odczyni urok i w górach nigdy nie zginie. Musimy zatem szukać kolejnej okazji, ale z głową, by się nie pozabijać - uśmiechnął się Japończyk i dalej z pełnym nabożeństwem obserwował niezemskie zjawisko.

- A kim są szogun i Jaszcz? - wybuchnął Heniek.

- Szogun to japoński dowódca wojskowy, skoro obdarzył mnie pan tytułem cesarskim, to ja uczyniłem pana swoim marszałkiem - uśmiechnął się Japończyk - a co do Jaszcz, to tak mówią o Janie Szczepańskim. To młody, ale już doskonały taternik - uspokajającym tonem wyjaśnił pan Murakami. - Pan chyba się nie boi tej przepowiedni?

Heniek nic nie odpowiedział, bo zmartwień miał już po dziurki w nosie. Nie podobało mu się, że w górach, gdzie znalazł ukojenie i względny spokój, pojawił się jakiś tajemniczy znak, jakieś trefne proroctwo. Miał już coś powiedzieć, ale zamiast niego wyrwał się Jędrus.

- Ja tam się nie boję, ale...

- Ale co? - zapytał pan Murakami.

- Ale wiem, jak to było z tym całym Karłowiczem. Łon to obfotografował i się tym zachwycił, a dwa lata później... - Jędrus zawiesił głos - zabrała go lawina, co zeszła z Małego Kościelca. Przeca dziś mijaliśmy ten kamień z krzyżykiem niespodzianym, co go wystawili na pamiątkę jego życia i ku przestrodze, że nawet najswarniejszych góry zabierają bez powrotu!

Jakie jeszcze nieszczęście na mnie spadnie? - pomyślał Heniek. Czy trafi mnie szlag w górach, czy też ten pies Denhel się do mnie dokopie, a może jeszcze coś innego, może tak jak tego Karłowicza zabierze mnie lawina?

Gdy Heniek stał zamyślony, Jędrus z panem Murakamim podjęli decyzję, nie idą dalej, bo jest ślisko i niebezpiecznie, i nawet w rakach i z Czekanami któryś z nich albo i wszyscy trzej naraz mogą polecieć w dół i powiększyć grono ofiar Orlej Perci i widma Brockenu.

Karol Denhel czuł się tak jak przed laty, gdy przeżył swoją pierwszą przygodę z futbolem. Jako mały chłopak został zabrany na mecz Korona - Polonia. Piłkarze w zielonych trykotach pokonali tych w biało -czarnych 4:3. Bardzo mu się to widowisko spodobało, więc postanowił w domu spróbować tego, co robili na błotnistym boisku futbołści. Wyciągnął gazety i papiery, zaczął je zbijać w kulę, którą wzmocnił szpagatem, i gdy uzyskał coś, co z grubsza przypominało piłkę, zaczął kopać. Gra pochłaniała go coraz bardziej, zatracił się w tym bez reszty, aż w końcu się stało! Wyrzuconą do góry kulę kopnął z całej siły stopą. Papierowa piłka

poszybowała z ogromną prędkością i trafiła w wazonik, ten się zachwiał i runął ze stolika na podłogę. Rozległ się trzask i gliniany przedmiot zamienił się w kupkę skorup. Zmartwiał, bo choć wazonik nie był cenny, to matka go bardzo lubiła. Nerwowo zaczął zbierać skorupki i dopasowywać je do siebie. Nie było to łatwe, zwłaszcza że niektóre kawałki wleciały pod meble.

Opanował się i opracował plan działania. Pierw trzeba było zebrać wszystkie kawałki, później pójść do szewca po klej, a następnie zacząć dopasowywać do siebie i sklejać. Zaczął od tych największych, a potem stopniowo uzupełniał układankę. Mama się zorientowała dopiero po pewnym czasie, ale wzruszyła się dokładnością, z jaką synek scalił jej ukochany wazonik.

Tak było i tym razem, układał mniejsze i większe kawałki, a sprawa, którą potajemnie prowadził, nabierała realnych kształtów; wiedział ponad wszelką wątpliwość, że Henryk Wcisło, człowiek, który sprzątnął mu sprzed nosa Leokadię Rostocką, jest kandydatem na więźnia z długoletnim wyrokiem! Miał już w garści Wieśka Karolaka, który czekał w Cyrku na wezwanie i gotów był zeznawać przeciwko dawnemu koledze z gangu Kopeckich. Miał już dość, by posadzić Wcisłę, ale za mało, by była to akcja spektakularna, dająca śledczemu stosowny splendor, a zatrzymanemu odpowiednio wysoki wyrok.

Traszka i Klajster go zawiedli, więc musiał szukać dalej. Sprawa nabrała rumieńców, gdy się okazało, że tej samej nocy, której ucierpieli Beniowski i Wcisło, ranny został także były podpułkownik kawalerii Nowicki. To już było coś, podobnie jak fakt, że kapitan Beniowski był strzelcem z placu Teatralnego. Człowiek, który z zimną krwią wypalił w łeb opryszkowi, to



nadzwyczaj ciekawy przedmiot obserwacji. Do tego komitywa, w której Wcisło był z tym pepeesiakiem Tasiemką, oraz znajomość z szoferem Szpicbródki... To wszystko rozpalało wyobraźnię i w zestawieniu ze śmiercią matki, a także kolegi z dzieciństwa Antoniego Bożyczki oraz gwałtownym zejściem z tego świata sąsiadów Heńka, morderstwem Reniaka i samobójstwem radcy Stróżyńskiego, wyglądało bardzo obiecująco. Do kompletu była jeszcze poszukiwana listem gończym żona Reniaka. Cierpliwości, powtarzał sobie. Cierpliwości!

Zacznie od Nowickiego, bo jego nie chroniło już wojsko. Musi sprawdzić, czemu obiecujący, młody podpułkownik opuścił armię, może brał udział w jakichś malwersacjach?

W dzień po emocjach związanych z ryzykowną próbą przejścia Orlej Perci i widmem Brockenu Heniek poszedł do Trzaski. To już była rutyna, obrządek, ale tym razem o mało nie złapał zająca i nie padł jak długi. Przekraczając próg lokalu, zobaczył rozpartego w krześle Mietka Kosiorka, który sączył z kieliszka jakiś trunek. Myślał, że to jakieś przywidzenie, gdy szofer Szpica rozwiął jego wątpliwości i całkiem po ludzku zapytał:

- No czego wytrzeszczasz gały jak jaki niemota? Nie popierasz, Heniu, picia ankochołu od rana czy też może twoim zdaniem szoferaki nie mogą wyjeżdżać na wywczasy?

- Mięciu, przyjacielu! - krzyknął i ruszył w kierunku Kosiorka.

Za chwilę siedzieli, pili i rozmawiali.

- Kiedy przyjechałeś?

- Pociągiem, niecałe pół godzinki temu. Fiakier przywiózł mnie tutaj, bo kazałem się wieźć tam, gdzie można spożyć jakieś kropelki. Przecież wiesz, że ze mną jak z dzieckiem, za rączkę i do baru. - Kosiorek uśmiechnął się szeroko, tak jak tylko on to potrafił. - No to hop, po maluchu, bo jak jest śnieg, to trzeba rozgrzewać organizm.

- Na dole, w kotlinie, w której leżało Zakopane, już od dawna nie było śniegu, ale Mietek wskazywał palcem swej potężnej dłoni na ośnieżone szczyty. - Jest śnieg, to znaczy, że jest zima, a skoro jest zima, to nie ma boli, trzeba pić! To dla zdrowotności, kochany, dla zdrowotności, żeby nam kości nie zaszły romantyzmem!

Wypili po maluchu, a za chwilę jeszcze po jednym.

- Na drugie nóżkie, żeby się nie przewrócić - zaordynował Kosiorek.

- Mięciu, wolniej, bo się popijemy z samego rana!

- Heniu, jest już po południu! Spójrz na sikora, strażak w mieście lajkonika już kwadransik temu swoją melodyjkę odegrał. A poza tym ja tu tylko na kwileczkie, bo wracam na chawirę wieczornem pociągiem. Bo widzisz, ja tu się przywlokłem w misji dyplomatycznej. Mam dla ciebie list od Szpica. Musisz go przeczytać i dać mi odpowiedź. Pewnie się dziwisz, czemu tak, a nie inaczej. Po pierwsze, szybciej niż pocztą, a po drugie psy nas obsiedli, Szpica i mię. To znaczy mię troszkie mniej, ale formalnie cała psiarnia gania za Szpicem i jego ludźmi. Ale ty też masz swojego psiego anioła stróża.

Heniek poruszył się nerwowo w krześle, nie umknęło to uwagi Kosiorka.

- Chyba go znasz. Kochany. To taki młody, gangrena, nazywa się Denhel.

- Tak się składa, że miałem z nim okoliczność. - Heniek zamyślił się. - I co najgorsze, wiem, że rozpytuje o mnie w różnych miejscach.

- To się wie - uśmiechnął się Mietek. - Jakby nie rozpytywał, to byśmy o tem nie wiedzieli. Pinczer z niego, a nie dorosły pies, ale zawzięty drań jak psia mać. Nogi jeszcze nie odgryzie, ale hałasu robi co niemiara. Jak ma na ciebie oko, to bądź ostrożny, nasze ucho w psiarni przy Daniłowiczowskiej mówi, że ma w swoim biurku pod kluczem jakieś teczki opisane nazwiskami i że ciągle je uzupełnia. Czuje do ciebie, kochany, jakąś specjalną miętę, miałeś może, kochany, okoliczność z jego mamusią? - niewybrednie zażartował szofer Szpicbródki, wspomagając się charakterystycznym gestem, w którym palec wskazujący prawej ręki przechodził przez dziurkę zrobioną z palca wskazującego i kciuka lewej dłoni. - Czy może jesteście szwagry? Jak on twój szwagier, to bądź pewien, że będzie rył jak dzik, póki czegoś nie wykopie.

Sugestia Mięcia, że ten cały Denhel mógł mieć coś wspólnego z Leokadią i w ten sposób zapalał do niego chęcią rewanzu, zmroziła go.

O tym nigdy nie pomyślał, ale może faktycznie ten lamus był kiedyś dobiegaczem Łodzi? Tymczasem Kosiorek ciągnął dalej i nie były to dobre wiadomości.

- Ten hint, cośmy go zblatowali, wie na pewno, że Denhel pozakładał teczki, w których zbiera materiały na ciebie i twoich znajomych. Mnóstwo pisze i notuje, cholera wie, ile ma tego

pochowanego po kątach. Zresztą, co ja będę makaron na uszy nawijał, przeczytaj list od Szpica. - Mówiąc to, Mietek Kosiorek wyciągnął z kieszeni elegancką kopertę. - Czytaj!

Heniek, powstrzymując drżenie rąk, otworzył przesyłkę i rozpoczął lekturę.

*Mój Drogi!*

*Piszę do Ciebie z nadzieją, że jesteś teraz w lepszym nastroju niż ja i bliskie mi osoby. Jak wiesz, po oskarżeniu mnie o próbę napadu na Bank Dyskontowy jestem stale nękanym przez policję i ciągnę za sobą szpicli. Kiedyś próbowali dyskretnie, ale teraz nie zachowują już żadnych pozorów. Czuję się jak paw, który idąc, ciągnie za sobą ogon. Na szczęście przez to, że stale są przy mnie jacyś agenci, inni mają łatwiej. Micio nie był zaplątany w mój ostatni, nieudany interes, więc to jemu powierzyłem misję. Nieskromtńe uważam, że sprawiłem Ci tym wyborem trochę radości.*

*A teraz do rzeczy. Jeśli uważasz, że jest nieciekawie, to się mylisz. Stawiam sprawę uczciwie, jest bardzo źle. Oprócz nieudanego interesu, który mi przyniósł poważne straty finansowe, i nieustannego śledzenia mojej osoby, pojawiły się kolejne problemy. Zabrzmiało to jak jaka ironia, ale zostałem okradziony. Mój kapitał w postaci biżuterii zdeponowanej w wiedeńskim banku został zrabowany. To raczej przypadek, bo złodziej się wdarł do skarbcza i wyczyścił niemal wszystkie skrytki. Było tego tak dużo, że nawet na ziemi się walało sporo kosztowności. Wyglądało to zapewne tak jak wtedy, gdy to ja, jako*

młody kasiarz, włamałem się do Banku Azjatyckiego w Rostowie. Jestem więc, mój młody przyjacielu, goły i podglądany. Krępująca sytuacja, zwłaszcza że przytrafiło się kolejne nieszczęście. Zapewne wiesz, bo gazety dużo o tym pisały, że siódmego marca w Poznaniu mojemu przyjacielowi i wspólnikowi Adamowi Stempelowi powinęła się noga. W przenośni i dosłownie. Nie mamy ostatnio szczęścia, bo Stempel, uciekając ze składnicy jubilerskiej Kręglewskiego w Poznaniu, spadł z dachu i złamał nogę. Pogoń go dopadła, poszedł pierw do aresztu, a stamtąd do sądu, który skazał go na osiem lat ciężkiego więzienia. Na razie siedzi w poznańskim kryminale przy Młyńskiej, ale lada dzień mają go wywieźć do Wronek. Z Młyńskiej go wyciągniemy, ale z Wronek już nie. Liczy się każdy dzień, każda godzina, czy pomożesz? Jeśli tak, to bądź w Poznaniu we wtorek, trzeciego maja. Dziesiątego ma wyjechać konwój i do tego czasu musimy Adama wyciągnąć. W zwykłych okolicznościach osobiście pojechałbym go odbić, ale teraz jest to niemożliwe. Wiem, że jesteś w równie podłej sytuacji, ale w przeciwieństwie do mnie masz na plecach tylko jednego policjanta, który zresztą działa w Warszawie, a nie w Zakopanem czy Poznaniu. Nie wiem, skąd u niego ten zapal, ale jak mi się zdaje, aspirant Karol Denhel szczerze Cię nienawidzi albo się uparł, że jesteś osobą ważniejszą, niż to jest w rzeczywistości. To wielki szkodnik, bo jak donosi nam nasz człowiek, ogarnięty jest prawdziwą manią ścigania Twojej osoby. Organizuje sobie własne archiwum i na każdą osobę z Tobą związaną założył specjalną teczkę. Jest niezwykle skrupulatny i notuje wszystkie przemyślenia. Myśli, że o tym nikt nie wie, ale się myli. Nie jest jednak taki głupi, bo luszystko trzyma pod kluczem, a część

*rzeczy wynosi do domu, nie może więc mu się przytrafić żaden wypadek, bo wtedy Urząd Śledczy zalany zostałby jego paskudnymi notatkami i papierami.*

*Radzę Ci z całego serca, nie wracaj za szybko do Warszawy, zaszyj się gdzieś, przeczekaj. Radzę proforma, bo sądzę, że Tiooja zakopiańska ekskursja nie jest przypadkowa. Domyślam się, że potrzebujesz ekstrapieniędzy, te wypłacę Ci za pomoc w wydostaniu Adama Stempla. Dziesięć tysięcy będzie chyba uczciwą sumą? Wszelkie szczegóły na temat wyjazdu do Poznania dotrą do Ciebie we właściwym czasie, powiedz tylko Mietkowi, czy zechcesz mi pomóc.*

*Serdecznie pozdrawiam, Twój Szpicbródka*

*PS Przypomnij Mieciewi, by napalił zu piecu. SC*

Po lekturze listu Heniek musiał odetchnąć. Spirala kłopotów przyśpieszyła. Co ma zrobić z tym fantem? Musi pomóc Szpicowi, choćby ze względu na Mięcia oraz na dyszkę, którą mu obiecano.

- No i co? - zapytał zaciekawiony Mietek.

- Kłopoty to moja specjalność - smętnie powiedział Heniek. - Powtarzam to ostatnio coraz częściej. Pomogę wam, bo widzę, że jest krucho.

Mietek się rozpromienił, ale szybko spowaźniał.

- Jest naprawdę krucho, szef stracił w opór floty, a do tego współnika. Tę zabawę w kabarety ciągnęli razem ze Stemplem, a on już do tego interesu nie wróci. Szpic musi się pozbyć i

Eldorado, i Czarnego Kota. Szkoda będzie rzucić artystyczne życie - zakończył ze smutkiem Mietek.

- Szkoda - dodał Heniek. - Ale wcześniej masz napalić w piecu - zakończył z bladym uśmiechem.

- No jasne! - Kosiorek energicznie wyciągnął mu list z ręki i podszedł do kominka.

Po chwili list spłonął i zwęglił się na drobny popiół, który jeszcze dla pewności przegrzebał Kosiorek.

- No i co mi powiesz, no, że masz kłopoty, to było widać po facjacie. Czytałeś to, brachu, jak nekrolog.

- Mówię ci, że wchodzę. Powiesz to jutro Szpicowi, a dzisiaj pijmy! Chodź, załatwię ci ubranie, kupię wódki i zawezwę fiakra. Zabieram cię na zimową wyprawę, wysoko w górskich dolinach jest jeszcze dość śniegu!

W ekspresowym tempie objechali Zakopane i Kościelisko, pijąc wódkę, jedząc kiełbasę z ogniska i słuchając na postoju w karczmie góralskiej muzyki. Kosiorek był bardzo zadowolony i na koniec, gdy Heniek zarządził pstrąga i smażone rydze w Poraju, powiedział:

- Przyjadę tu na wywczasy z Geniuchną i dzieciakamy!

Podobało mu się tu prawie wszystko, oprócz tego, że musiał wracać.

- Wiesz, Heniu, że ja to cholerycznie nie lubię wyjeżdżać z Warszawy, ale tu bym się jeszcze chętnie przejechał. Jest klimacik w tej dziurze, nie powiem. Bo wiesz, że sobie żyję na mojem Grochowie jak u Pana Boga za piecem i jedyne, co mnie przeszkadza, to brak Poniatoszczaka, ale właśnie dopinają go na ostatni guzik, więc od jesieni będę mógł z mojej kochanej

Grochoskiej śmigać w try miga autem. Na razie, jak wiesz, same tramwaje mostem Księcia Józefa pomykają, ale i auta mają wkrótce puścić. Marszałek z bywszym prezydentem zrobili pierwszy krok naprzód, żeby most roztworzyć. Bo widzisz, ja tam dużych wymagań nie mam, pół tysiącka na miesiąc, no i to, co wskoczy z ekstrageszeftów Szpica.

Pięćset złotych miesięcznie, pomyślał Heniek. Marzenie większości ludzi w Polsce, a już z premiami... Więc Kosiorek siedzi w Warszawie jak przyspawany. Ciekawe, co na to jego żona, też nie lubi się ruszać z miasta? Kosiorek jakby czytał w jego myślach.

- Bo widzisz kochany, Geniuchną ma potrzebę wyjazdów na letniaki no i rzecz jasna jeździ na wioskie z dzieciakami, ale ja jej już dawno wytłumaczyłem, że ja ich tam tylko przywożę i odwożę. Małżonka wie, że nic nie nawywijam, jak jestem sam na chawirze, żadnych tam balecików, bo ja ją kocham i żadnej miłosnej grandy na boku nie organizuję.

No... - zamyślił się. - Chyba że w Paryżewie, no ale wiadomo, raz, że Paryż, a dwa - Kosiorek szukał właściwego słowa - medycyna...

- Mięciu, to ty byłeś kiedyś w Paryżu?

- No ma się rozumieć, że tak - Kosiorek odparł takim tonem, jakby chodziło o przejażdżkę tramwajem z Grochowa na Okęcie.

Heńkowi o mało oczy nie wyszły z orbit, gdy to usłyszał, więc nie mogąc nic powiedzieć, wgapił się w Kosiorka.

- No co się tak na mnie gapisz, jakbym był porcją meduzy za szkłem w bufecie? Byłem i już! Przestań tak wytrzeszczać gały, bo faktycznie zacznę się trząść jak nóżki w galarecie.



- Nigdy nie mówiłeś, a przecież jak kto był w Paryżu, to zawsze o tym mówi!

- Szpic był w paru miejscach i nic o tym nie mówi, więc i ja nie będę rozpowiadał.

- Nie rozchodzi mi się o to, jakie i z kim tam sprawy załatwiałeś, ale o miasto. Leokadia mówi, że piękne, wielkie, ludzie elegancko ubrani, no i to jedzenie...

- To zależy co i gdzie - westchnął Kosiorek. - Jak staniesz w dobrym hotelu, to masz luksusy, ale nie masz żarcia. Jak staniesz w gorszym miejscu, to i bidę zobaczysz, ale za to zjesz porządną bułkę z wędliną, a nie jakieś wygibasy. Kochany, ty wiesz, że ja umiem wypić?

Heniek kiwnął głową, bo w istocie Kosiorek mógł w siebie wpompować cysterne alkoholu, a efekty były prawie żadne.

- Więc, kochany, wyobraź sobie, że w tym całym Paryżewie to ja o mało freska nie puściłem i pierwszy i jedyny raz miałem takiego kaca, że chciałem sobie łeb obciąć!

Mówiąc to, popatrzył wymownie na Heńka, który zrozumiał, o co szoferowi chodzi. Wziął butelkę czystej i rozlał nową kolejkę.

- Jadłem jakieś mdłe wynalazki, raki, paprochy z morza, kremy i majonezy, aż w końcu ktoś mię zagadnął: „A wiesz, co teraz masz na talerzu?”. Nie wiedziałem i nie powinienem wiedzieć, otóż, kochany, ja tam jadłem żabę.

Kosiorek westchnął ciężko i nalał sobie kieliszek wódki, tak jakby chciał przepłukać gardło po tamtym niesmaku.

- Zemgliło mię, poczułem, że cała ta francowata kolacja idzie mnie do gardła i myślałem tylko o jednym; żeby nie pojechać do Rygi przez Ząbki! - Twarz Kosiorka wspominającego dramatyczny

paryski wieczór wyrażała mękę, jak u świętych na kościelnych obrazach. - Rozumiesz, ja Mietek Kosiorek rzucający freska na ścianę podczas gościnnych występów w Paryżu! Jakoś dałem radę, ale z trudem. Cofnęło mnie się nieznacznie, więc postanowiłem to jakoś przepić. Do końca biesiady kazałem sobie pikolakowi przynosić zwykłą bułkę i topiłem tę ropuchę, co ją przełknąłem, i resztę tałałajstwa w winie.

- A nie w wódce?

Kosiorek popatrzył wymownie, jakby chciał powiedzieć Heńkowi coś przykrego. Nie zrobił tego jednak i dalej ciągnął opowieść o swej heroicznej walce z chorobą morską, która go dopadła na lądzie.

- Heniu, tam wódki nie znajdziesz, tam wino i wino, a już w szczególności tego dnia. Mieli tam chyba imieniny czy urodziny jakiegoś Bożole i wciąż pod niego zapijali. Epidemia jakaś była czy co, bo wszystkie pili jedno i te samo wino. Żadna rewelacja, ciotka z Karczewia lepsze z porzeczek pędziła. Waliliśmy więc, a ja w szczególności, żeby to robactwo, żaby i cholera ich tam wie co jeszcze zapić. Piliśmy w restauracji, a potem w kabarecie. No, kabaret to ci muszę powiedzieć, prima sort! Artystki... - tu Kosiorek się rozmarzył - wyśmienite! Pięknie nóżkami fikały i nie tylko, ech, było na co popatrzeć, było. Najważniejsza z niech wszystkich to taka czarniawa była, z Ameryki...

- Josephine Baker!

- Nie pamiętam, jak się tam ona nazywała, ale po nogach i tyłeczku bym ją poznał.

Pod to ostatnie wspomnienie Kosiorek osobiście nalał do kieliszków, po czym ciągnął swoje paryskie opowiadanie.

- Artystki artystkami, ale mię dalej mgliło, więc piłem te nienadzwyczajne wino. Cieniutkie było, więc sam chyba ze trzy butelki zrobiłem, no oczywiście nie licząc szampana. Trochę tych bąbli wyszło, jakaś butelka na twarz. No i koniak oczywiście, ale tego to nie za wiele, z parę kieliszków tylko, bo to perfumami jakoś jedzie.

Heniek, który zliczył trunki, pochłonięte tamtego wieczoru przez Kosiorka, pomyślał, że padłby trupem, zanim kolacja by się na dobre rozpoczęła. Trzy butelki wina w kabarecie i Bóg jeden wie ile w restauracji, butelka szampana i parę kieliszków koniaków, a „parę” często u Mięcia znaczyło paręnaście.

- Wypiłem więc tyle, co nic - ciągnął Miocio z niewinną miną.

- A następnego dnia...

Kosiorek jakby się zatrzymał w pół zdania z braku słów, które mogłyby wyrazić jego wspomnienia.

- Sodoma i gomora? - usłużnie odpowiedział Heniek.

- Sodoma i gomora to tam, kochany, wszędzie. Faceci z facetami, więc i kobitki niedopieczzone, też ten teges między sobą, jak mąż z żoną - powiedział Miocio z odrazą. - Straszne rzeczy się w tym Paryżu wyprawiają, a to wszystko przez te ich rewolucje, które tam częściej niż w Rosji organizowali. I ja też tam przeżyłem rewolucję, ale żołądkową. Mgliło mię, do łazienki biegałem, a do tego ten ból głowy... Nie wiedziałem, jak po ichniemu się nazywają proszki z kogutkiem<sup>85</sup>, ale jak zesłem do recepcji, to się szybko dogadałem. Ten, co siedział, to swój chłop był, chociaż taki bardziej opalony. Powiem ci, że taki beżowy więcej, ale gramotny, więc mię poczęstował kropelkami z piersióweczki, którą miał pod ladą.

- Pomogło?

- Troszkie. Ale i wywołało pragnienie i apetyt. Ten beżowy to był spryciarz, więc mi zaraz zorganizował siostrzyczkę z pogotowia, kropelki i środki apteczne.

- Siostrzyczkę z pogotowia?

- No, moja Genia wie, że przyjechała siostrzyczka z pogotowia, i mnie wierzy, a ty nie? - Kosiorek się uśmiechnął. - Uleczyła mnie fest. Napoiła kropelkami aż pod pokrywkę i piękny masaż uskuteczniła.

- Masaż?

- No masaż, ale jak kiedy spotkasz moją żonę, to pamiętaj, nie wypucuj mię z tym masażem!

- Mięciu, farmazony wstawiasz, a ja mam to łykać...

- Ubrana była jak siostrzyczka i tego się będę trzymał! No co tak gały wybałuszasz, nie widziałeś nigdy fajowej siostrzyczki? - zakończył temat Miecio.

- Czyli nie było z tobą aż tak źle, boby ten beżowy przysłał księdza, a nie siostrzyczkę...

- Ależ to nie byłoby wcale ciekawe - oburzył się Miecio. - I pamiętaj, jak spotkasz moją żonę, to gęba na kłódkę, kapujesz?

- Kapuję, najważniejsze, że ozdrowiałeś.

- Ale wcale nie natychmiastowo. Po zabiegu sam dokończyłem picia kroperek i się walnąłem spać.

- Sen jest najlepszy...

- Jak ci się dadzą wyspać. Kimałem jak dziecko, a tu ferajna mnie wzywa, że jadziem na wieżę tego Ajfla. Trudno, co zrobić, zwlekłem się z wyrka i dalej na tę blaszaną maszkare. I tu się zaczęli schody...

- Poszliście na piechotę?

- Nie, pojechaliśmy windą. Gdybym wiedział, jak to będzie, to poszedłbym na piechotę. To nie była klatka, co pomyka w kamienicy, bo taka zwykła winda jest przy tej paryskiej jak drewna przy lokomotywie. Poszła w górę jak pocisk, a mój żołądek wywrócił się na lewą stronę... Było strasznie, ale dałem radę. Na samą górę już nie pojechałem, więc mię podobnie lotnicze widoki ominęli. Towarzystwo jadło też obiad w knajpie, co jest tam położona, ale ja tylko kawałek bułeczki i wodę sobie zawinszowałem. W dół zszedłem na nogach, a wieczór spędziłem w pokoju. Heniu, ja ci mówię, ten cały Paryż to żadne halo, nie daj się nabrać i pamiętaj, żeby tam żaby nie łyknąć.

Kosiorek nie był chętny do dalszych zwierzeń, ale Heniek chciał się dowiedzieć o Paryżu tego, czego nie usłyszałyby od Łodzi.

- A miasto, samo miasto, jakby odjąć od niego straszne żarcie i wino? Faktycznie takie wielkie?

- Faktycznie, kochany. Aut na samych Polach Elizejskich więcej niż u nas, a do tego metro. U nas będzie tunel średnicowy, żeby pociągi przez środek miasta nie zaiwanieli, a u nich wsadzili pod ziemię tramwaje. Sprawnie to idzie, nie powiem, ale ten huk i przeciągi to mnie się nie podobają. Oni w tym Paryżu to w ogóle mają pod ziemią drugie miasto, ale... to już inna historia - uśmiechnął się Kosiorek.

Heniek nie cisnął już więcej, bo się domyślał, że chodziło o jakiś skok, zadał tylko jedno pytanie:

- To nie zamieniłbyś Warszawy na Paryż?

Kosiorek popatrzył na Heńka, jakby ten go oskarżył o świętokradztwo.

- W żadnym wypadku, kochany. Warszawy nie zamieniłbym ani na Paryż, ani na Wiedeń, ani na Berlin. W Londynie nie byłem, ale też pewno niewiele wart, a wiesz dlaczego? Bo stamtąd wszędzie na Grochów daleko! Napijmy się, kochany, napijmy!

W ten sposób, na okoliczność krótkiego wyjazdu Kosiorka do Zakopanego, Heniek się dowiedział, że Mietek Kosiorek zjeździł pół Europy, choć zawsze mu się wydawało, że nie wyściubiał nosa za Warszawę. Ciekawe, co tam jeszcze kryje w sobie Miecio, może jest arystokratą z pochodzenia, piratem albo spadkobiercą wielkiego majątku, który zamiast życia w pałacu woli mieszkanie w kamienicy Korszanowskiego stojącej na pograniczu Kamionka i Grochowa?

Kosiorek był podlany<sup>86</sup> i szczęśliwy, a żegnając się na peronie, wyrzucił z siebie:

- Heniu, ty jesteś fajowy chłopak, uważaj na siebie, bo jak ci się coś stanie, to cię załaduję w makówkie! Rozumiesz?!

Zawiadowca zadął w gwizdek, trzasnęły drzwi zamykane przez konduktorów, pociąg szarpnął i ruszył w kierunku Warszawy. Dojedzie tam za trzynaście godzin i trzydzieści pięć minut. Mietek Kosiorek będzie jeszcze miał czas, by pospać, znów się napić i wytrzeźwieć. Jechał jak pan, w największych luksusach, bo Szpic zafundował mu przedział pierwszej klasy w wagonie sypialnym. Jedyne, czym się miał przejmować kurier z Warszawy, to list, który otrzymał od Heńka. Miał go przez jakiegoś łebskiego chłopaka dostarczyć do galerii Luxenburga, gdzie miała swoją siedzibę firma Towarzystwo dla Handlu Zagranicznego Bałtyk - Świat, i oddać kopertę jej kierownikowi Juliuszowi Beniowskiemu.



## NIEOCZEKIWANA ZMIANA MIEJSC

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Zakopane, 4 maja roku 1927*

*Heniek to już zupełnie powariował - jak mówi babcia. Chodzi i chodzi po górach, potrafi w nich przepaść na parę dni. Teraz wybrał się na tydzień z przewodnikiem Jędrusiem Olczańskim. Wychodzą się chyba za wszystkie czasy!*

Juliusz Beniowski, oficjalnie dyrektor w Towarzystwie dla Handlu Zagranicznego Bałtyk - Świat, a dla wtajemniczonych oficer Oddziału II Sztabu Generalnego, wyszedł jak zwykle ze swojego mieszkania, a dokładnie z pokoju, który wynajmował w pensjonacie hrabiego Ledóchowskiego przy Przemysłowej, i ruszył w kierunku Czerniakowskiej. Tam czekał na tramwaj linii 2 lub 2A. Był dwójkarzem, który jeździł „dwójką”, skonstatował kiedyś i bawiła go ta refleksja.

Wóz nadszedł szybko, tak jak przewidywał rozkład z tramwajowego informatora. Numer 2A kursował rzadziej, ale



Julek starał się jeździć właśnie tą linią. Zwykła „dwójka” kończyła się na Wójtówce, czyli blisko skrzyżowania z Chełmską, ale za to 2A miała swój ostatni przystanek przy Powsińskiej. Z lubością wpatrywał się w nazwę miejsca wypisaną na tabliczce: Czerniaków, Miasto-Ogród. Już za rok to będzie jego dom!

Jechał tramwajem w górę Książęcą, później przez plac Trzech Krzyży i Nowy Świat do Krakowskiego, a wysiadał przy Królewskiej. Stamtąd pieszo ruszał przez Ogród Saski, patrząc na jego formalne miejsce pracy, czyli Pałac Saski, w którym się mieścił Sztab Generalny i „dwójka”. Parkiem dochodził aż do Fredry, gdzie stał osławiony próbą nieudanego skoku Bank Dyskontowy. Ulica Hrabiego Fredry dochodziła do Niecałej, a tam interesował go dom pod numerem szóstym. Brama kamienicy była jednym z wejść do galerii Luxenburga, w której się mieściło jego zakonspirowane biuro. Towarzystwo Handlowe było doskonałą przykrywką; kontakty, spotkania, wyjazdy, pieniądze, czyli wszystko, czego potrzebuje wywiad. Ta samodzielna placówka musiała się jeszcze sama utrzymać, ale Julek nie był frajerem i na szczęście nie po matce Narcyzie, lecz po ojcu Ludwiku odziedziczył umiejętność rachowania i przewidywania tego, co może się dzieć na rynku.

Ludwik Beniowski był nie tylko znakomitym inżynierem, ale miał także głowę do interesów. Kapitana Beniowskiego działalność w handlowym geszefcie zaczynała wciągać nie mniej od pracy wywiadowczej. W tej szpiegowsko-handlowej beczce miodu była jednak spora łyżka dziegciu; sprawa Heńka męczyła go coraz mocniej. Nie podobało mu się, że jakiś policjant zagiął na niego parol i, śledząc jego przyjaciela, mógł zaszkodzić nie tylko

jemu, ale i wywiadowi. Zbyt wiele miał do ukrycia nie tylko jako dwójkarz, ale i jako prywatna osoba.

Kulisy akcji na kasę sowieckiej agentury nie miały prawa wyjść na światło dzienne, to byłaby katastrofa; pieniądze oficjalne i te na tajny fundusz, do tego sprawa morderstwa matki Henia, zmasakrowanych zwłok Antka Bożyczki i wreszcie próby zgładzenia Frania. Nie miał już w Urzędzie Śledczym Daniela Bachracha, ale jego przyjaciele pracowali nad tym, by wyciągnąć z Daniłowiczowskiej jak najwięcej o aspirancie Denhelu i o jego dochodzeniu. Pierwsze drobinki informacji na ten temat były krzepiące; śledczy nie działał oficjalnie, były więc szanse na to, by ukręcić sprawie łeb. A jeśli Denhel był czerwonym agentem? Wszystko było możliwe i każdy wariant trzeba było wziąć pod uwagę.

Gdy wchodził do bramy podszedł do niego jakiś łepek.

- Pan Beniowski? - zapytał.

- A jeśli tak, to co?

- A to dopiero połowa sukcesu - uśmiechnął się bezczelnie chłopak, zdradzając swą pewnością siebie i swobodą, że nie takie numery w życiu robił.

Musiał być młodym żołnierzkiem z jakiejś niewąskiej ferajny; Wola, Czerniaków, Marymont czy może Grochów. Na pewno tamtejsza arystokracja, bo był dobrze ubrany i odkarmiony.

- Co to znaczy?

- To znaczy tyle, że muszę się dowiedzieć, czy pan to pan! - z niesłabnącą pewnością siebie odparł chłopak.

- Wylegitymujesz mnie? - zaśmiał się Beniowski, choć nie było mu do śmiechu i najchętniej dałby gnojkwowi w ucho.

Powstrzymał się jednak, bo czuł, że sprawa jest ważna, a chłopak jest bezczelny, bo musi.

- Jeśli pan to pan, to musisz pan wiedzieć, dlaczego niektórzy się uczą włoskiego, a inni niemieckiego! - wyrecytował z uśmiechem.

- Włoskiego dla opery, a niemieckiego dla przygód Winnetou - odparł, wiedząc już, kogo reprezentuje pyskaty posłaniec.

- No się zgadza - zaśmiał się chłopaczek. - Pan wybaczy, ale gdybym skrewił, to by mnie nogi z dupy wyrwali! - To mówiąc, rozejrzał się i, mając pewność, że nikt ich nie obserwuje, podał Beniowskiemu kopertę.

Po chwili z fasonem strzelił palcami w daszek czapki i obrócił się na pięcie.

- Hej, stój! - zawołał Julek.

- O co się rozchodzi?

- O ten tramwaj, co nie chodzi - uśmiechnął się Beniowski. - Zasłużyłeś na piątkę!

- Szanowanie, mistrzu - podziękował chłopak i poszedł w swoją stronę.

Beniowski ruszył do biura, wiedział, że to przesyłka z Zakopanego, bo tam właśnie był Heniek. Ten list musiał być od niego, bo to Heniek opowiedział mu kiedyś w pociągu do Sosnowca o tym, w jaki sposób nauczył się języka Goethego. To nie dlatego, że jego matka i babka były Niemkami, ale ponieważ chciał przeczytać kolejne przygody Winnetou. A on mu wtedy odpowiedział, że jego ciotka się nauczyła włoskiego, bo kochała operę. Wszedł do biura, zamknął drzwi na zasuwkę, rozciął kopertę i zaczął czytać.

*Przyjacielu!*

*Dotarły do mnie złe wieści, o których musisz wiedzieć! Ten pies Denhel się interesuje nie tylko mną, ale także wszystkimi bliskimi oraz Tobą! Nie pytaj skąd wiem, po prostu wiem i tyle. Sprawa nie jest prosta, bo ten hint ma nas nie tylko w głowie, ale i w teczkach, które sporządził. Naprodukował w cholere papierów i trzyma je w różnych miejscach, to pewne niestety i chcę, żebyś o tym wiedział. Pozdrawiam H.*

Teczki! Kurwa go mać, o co chodzi? Zbiera na nich papiery, zabezpiecza się, a nie prowadzi oficjalnego śledztwa? Na pewno nie jest agentem, bo wtedy nie przygotowywałby takiej masy dokumentów, więc kim jest, do cholery? Żarty się skończyły, a zaczynają się poważne problemy. Ten łachudra nie może zginąć w wypadku ani nie może nieszczęśliwie spaść ze schodów, bo wtedy się otworzy puszka Pandory.

Kim oni są, do cholery? - po raz setny zastanawiał się aspirant Karol Denhel. Wygląda na to, że przeceniał Wcisłę, myśląc, że to młody ksiązę szemranego świata. On jest ważny, ale wychodzi na to, że Beniowski jest ciekawszy, a do tego doszedł jeszcze ten cały Nowicki. Obaj oficerowie i obaj poza służbą. Ciekawe. Nienawidził Wcisły, ale postanowił nie traktować jego sprawy osobiście, powinien być zawodowcem, ci łowią nie płotki, tylko grube ryby, a takimi się wydawali kapitan i podpułkownik. Próbując zbadać powiązania trójki Wcisło

- Beniowski - Nowicki, spodziewał się znaleźć sensacyjne rzeczy i znalazł, choć absolutnie nie takie, których szukał.

Ciec z Kamienicy Pod Niedźwiedziem nie chciał gadać i zgrywał głupa, ale znalazł w tym domu słaby punkt, gosposię sąsiadów, która nie tylko paplała bez umiaru, ale i była łasa na każdą złotówkę. Od niej się dowiedział, że parę lat temu pan pułkownik troszkę popajacował ze służącą i tę odprawiono. Podobno była w ciąży i cała sprawa mogła się zakończyć nie lada jakim skandalem, bo żona pułkownika, pani Emilia, była twardą kobietą. Pięknie, ale co to ma wspólnego z Wcisłą i Beniowskim? Czuł, że ma przed sobą jeszcze wiele pracy, działał jak Syzyf, pchając bez końca ciężki głaz, i wiedział, że będzie go pchał dalej, bo mogło się okazać, że to nie tylko najbardziej niespodziewana, ale i najlepiej przygotowana sprawa w historii warszawskiego Urzędu Śledczego.

Heniek poustawiał wszystko w Zakopanem, dogadał się z Jędrusiem Olczańskim, by zaliczył za niego kilka wędrówek. Nie chodziło rzecz jasna o to, by przewodnik chodził sam po górach, tylko by dokonał odpowiednich wpisów w schroniskach i zaznaczył, gdzie trzeba, że Wcisło nocował u zaprzyjaźnionych górali. Zabezpieczywszy sobie alibi, drugiego maja po południu wyruszył do Poznania. Podróż była długa i męcząca, przez Kraków, a następnie Katowice dotarł w końcu na miejsce. Wsiadł na okazałym poznańskim dworcu i wmieszał się w tłum gości, którzy przyjechali na Targi Poznańskie. Impreza trwała od pierwszego maja i miała się skończyć ósmego. Najazd na miasto

tysięcy zwiedzających z całej Polski, a także z zagranicy sprzyjał sprawie uwolnienia Adama Stempla, ale utrudniał zdobycie miejsca w hotelu. Na szczęście o nocleg zadbał Miecio Kosiorek. Kwatera była dyskretna, nie w hotelu, tylko w prywatnym mieszkaniu, ale nie na żadnej melinie. Wszystko zostało przemyślane i zapięte na ostatni guzik, widać było robotę Szpica. Heniek w Poznaniu czuł się trochę jak za granicą albo przynajmniej na Śląsku. Dobrze, że był Mietek, który oprowadzał go po mieście.

- Widzę, że jakbyś był sam, to byś się pętał po tym KozłóWKu jak jaka sierota! - ucieszył się Mietek, patrząc na minę Heńka.

- KozłóWKu? - zdziwił się Wcisło. - Mięciu, co żeś nowego wykombinował?

- Wiesz, Heniu, co u nich figuruje na rynku? Widzę, że nie masz zielonego pojęcia. Ratusz, na którego wieży mają zagródkę z dwoma kozłami, a oni, te kozły łeguralnie się trzepią z bańki! Z dokładnością zegarka można powiedzieć, bo tę sztukę uskuteczniają pod zegarem.

- Co godzina?

- Gdzież tam, one w tern Poznaniu przeważnie oszczędniejsze niż te lajkoniki z Krakowa i raz na dzień, w samo południe się to odbywa. W Krakowie przynajmniej co godzinę mają hejnał, więc znakiem tego są bardziej rozrzutne. Naród przystaje i się gapi na te kozły, więc skoro nasza kochana Warszawka to Syreni Gród, to ten cały Poznań to KozłóWek.

- W herbie też mają kozły?

- Nie, w herbie ich nie zaposiaduwują, za to mają świętych Piotra i Pawła, no i klucze do miasta. Śmiechu warte, co nie? Bo

klucze to się przydają frajerstwu, a nie takiemu spryciarzowi jak ty!

- Mięciu, ja już nie gram w te klocki - powiedział bez żalu i wrócił do tematu miejskich dziwadeł. - U nas jest w herbie syrenka i na rynku też stoi. To jest dopiero wybryk natury...

- No faktycznie, że mamy u nas krzyżówki kobiety ze śledziem, ale nikt z tego teatrzyku nie robi. Pamiętaj, że u nas większy asortyment jest, bo jeszcze bazyliuszka można czasem zobaczyć. W Warszawie cała ta ezgoticzna menażeria żyje sobie spokojnie i nie musi się produkować jak na jarmarku, bo u nas naród kurtularny i nie skąpi floty na kino i teatr! Te nasze dziwolągi żyją sobie spokojnie, bo my ludzie światowe i torelancyjne, choć żaden Mongoł pożeniony z kobyłą czy smok kariery nie zrobi, kozły też. Wiadomo, że w naszej Warszawie kochanej król Zygmunt III Waza rządzi i tyle!

- A ja myślałem, że sfinks od Haberbuscha?

- No masz rację Heniu, sfinks też ważny! Apropoz, tu piwko mają całkiem niekiepskie, chodź, napijemy się troszkie. Należy ci się coś po podróży.

- Ktoś nam tu będzie pomagał?

- Ma się rozumieć, Heniu, czterech tutejszych kiziorów pójdzie na tę robotę. Wszystkie one się nazywają tak, co by było wiadomo, że z Kozłówka chłopaki. Dwóch to bracia, błyźniaki Piotr i Paweł jak te święte z herbu. Tu chyba wszystkie dubeltowe mioty tak nazywają, a jak są pojedyncze, to Przemo albo Mieszko, no i jak raz te dwa kolejne tak się właśnie nazywają. Tu wszystko jest w tak akuratnem porządku, że nawet jak pada, to polewaczka jeździ, bo tak wcześniej było ustalone, oni tutaj, kochany, są jak

wnuczki zegara z kukułką i kodeksu cesarza Wilusia, nie to co w Warszawie, Łodzi czy Białemstoku albo Gdyni.

- Strasznie z nich łacha drzesz...

- A co mam nie drzeć. - Kosiorek uśmiechnął się szeroko po czyir szybko spoważniał. - Rozchodzi się o to, że tu przeważnie człowiek obrotny, nawet cwaniak, nie ma czego szukać. Tu jest tak jak w Krakowie, one wszystko robią za spuszczoną kurtyną, nawet największe świństwa, ale obcego do interesu nie dopuszczają, taki mają zapluty charakter, bo prowincja to prowincja! - Mietek się zasepił, westchnął i dodał:

- Pardon, musze jednak zaznaczyć, że mają tu targi międzynarodowe i jedne klawe firmę... - Cwaniak z Grochowa zawiesił głos. - Kruk, kochanieńki. Byżuterie wyrabiają i warto byłoby ich kiedyś odwiedzić.

- Stempel już odwiedził ich konkurencję.

- No fakt - zmitygował się Kosiorek. - I do tego z marnym skutkiem, dlatego będziemy go razem wyciągać z tarapatów. To znaczy prawie razem, bo moja facjata jest za dobrze znana hintom. Ja tu ci wszystko przygotowałem, objaśnię każdy szczegół i się zmywam w try miga.

- Rozumiem. Poza tym jak Stempel nawieje, to wszyscy z nim powiązani muszą być w domach...

- Dokładnie, kochany, dokładnie tak. Teraz jak coś się dzieje, to Szpic od razu ma wizytację z Urzędu Śledczego. Może będzie grubo, pewnie się zrobi taki rejwach, że i po szoferakach mogą chodzić - uśmiechnął się kierowca króla kasiarzy.

- Panie starszy! Kawkie poproszę! - Mietek wydał dyspozycję kelnerowi.



Heniek był trochę rozczarowany, bo miał spróbować miejscowego piwa albo wódeczki, a tu krewa, podadzą kawę.

- Służę szanownemu panu, a jaką pan szanowny sobie życzy?

- Taką konkretną. - Mówiąc to, Kosiorek puścił do kelnera oko.

- Taką... no sam pan wiesz najlepiej jaką!

- Już się robi! Biała mokka raz?

- Dwa razy, koleżka też spróbuje najlepszej kawy na świecie!

Kelner poszedł do bufetu, a Heniek nie mógł wyjść ze zdumienia.

- Mięciu, ty i kawa? Zawsze mówiłeś, że ty prosty chłopak z Grochowa...

- ...i że mój organizm przyjmuje tylko zbożówkę. - Kosiorek się uśmiechnął szelmowsko. - To prawda, kochany, to prawda, ale tu jest kawa prima sort, kawa, że się tak wyrażę, świąteczna!

Heniek zachodził w głowę, co też można podać do picia trzeciego maja, w dzień narodowego święta i uwierającej wszystkich jednodniowej prohibicji. Coś mu w głowie świtało...

- Proszę, oto kawa dla szanownych panów, biała mokka razy dwa i oczywiście, jak do dobrej, mocnej kawy, po szklaneczce wody!

Heniek był zaskoczony, że kawa pojawiła się tak szybko i bez żadnych dodatków.

- W try miga wjechała ta kawa, aż pan cukru, panie starszy, zapomniał. ..

Kelnera wprost zatkało. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Mięciu Kosiorek odprawił go szybkim gestem dłoni.

- No przecież ja zawsze słodzę! - Heniek popatrzył na Kosiorka z wyrzutem.

- Nie kapujesz, co to jest?

Heniek zajrzał do filiżanki, w której była... woda.

- Woda? - zdziwił się.

- Taaa, woda - zaśmiał się cichutko Kosiorek. - To taka woda, co rozwiązuje języki i daje dobry humor.

Heniek zbliżył nos do filiżanki i już wiedział, to była wódka, podana, dla niepoznaki, jak kawa.

- Ałem się wygłupił.

- No troszkie.

- Dobrze, że się ciasteczka na przegryzkę nie domagałem.

- O właśnie, zapomniałem, że pod te kawki najlepiej śledzik pasuje, panie starszy!

Okazało się, że poznaniacy, choć do bólu akuradni i uporządkowani, wykazywali się handlowym zmysłem, polewając w czasie świątecznej prohibicji „kryminalną wódkę”, która wędrowała na stoły jako kawa. Wkrótce wyszło na jaw, że nie była to jedyna wstydliva i nielegalna rzecz, którą stateczni Wielkopolanie robili po cichutku i bez niepotrzebnego rozgłosu.

- Wyciągnięcie Stempla nie będzie łatwe i wydawałoby się, że w tym pruskim grodzie to wprost niemożliwe, bo oni tu są...

- ..no wiem, wnuczki zegara z kukułką i kodeksu cesarza Wilusia.

- Masz kiepełę, więc dalej sobie dośpiewasz, co nie?

Heniek wyteżył umysł i już za chwilę wypalił:

- Są akuradne i porządnicke, ale za spuszczoną kurtyną, u siebie na chawirze, we własnym sosie robią największe świństwa.

Znakiem tego, trzeba trafić do tych, co wiedzą co i owszem, do tych, którzy pomogą.

- Dokładnie. Podobnież jest tu jakaś wysoko postawiona ferajna, która robi tak szemrane interesiki, że nasz Szpic jest przy nich jak niewinne dziecko. Nie wiem co i jak, ale to jakiś kryminal nad kryminaly, gdzie nie sięga dintojra, i że nawet w dintojrze nie ma na to paragrafów. Jest tu grupka miejscowych apaszy, co się po ichniemu luntrusy nazywają, którzy wiedzą co i owszem i z tego żyją, trzymając tych lamusów z urzędów za portfele. Te chłopaki, co się z nimi spotkamy, podobno potrafią wszystko załatwić.

- Nawet wyciągnięcie kasiarza z kryminału?

- Nawet, bo wiedzą tyle, że tamci mogą naszych albo zabić, albo od czasu do czasu spełniać ich prośby.

- Co takiego ukrywa to wysoko postawione towarzystwo?

- Nie wiem, ale podobno sprawa śmierdzi tak mocno, że pogotowie ma przy tym lawendowy zapach. To jedzie poważnym cmentarzem. Szpica korci ta sprawa, ale na razie ma większe problemy, a poza tem...

- Poza tem co?

- Boi się. - Mietek powiedział te słowa powoli i z bardzo poważną miną. - Są, Heniu, sprawy, które nawet Szpic chce obchodzić szerokim łukiem. Wiesz, że ja nie pękam. - Heniek potaknął głową, Mietek potrafił zrobić porządek z każdym, nawet z zapaśnikiem z cyrku.

- Ale wiesz, że sam do baraków na Żoliborzu bym się nie wybrał, a nocą to nawet bym się tam nie zbliżył. - Heniek ponownie przytaknął głową, bo wielotysięczne osiedle dla

bezdolnych, z których wielu było recydywistami, miało tak złą sławę, że policja się tam wybierała tylko pod bronią i całymi kompaniami. - Tu jest coś znacznie gorszego, chociaż interesem nie kieruje ludożerka z baraków, tylko dziane towarzystwo. Szpic mówi, że chyba wie, o co chodzi, i się brzydzi tym tałajstwem, ale nie ma wyjścia, bo Stempel to jego największy funfel.

- A myślałem, że łączą ich tylko interesy...

- Tylko? Kochany, dla Szpica to aż! - Kosiorek wydawał się nieco zmieszany tym wyznaniem. - No wiesz jak jest, dla szefa ważne są skoki, pieniądze i ma się rozumieć zobowiązania, a jak raz to wszystko łączy go ze Stemplem. Nie ma o czym gadać, ruszamy cztery litery i walę na spotkanie z szemranymi poznaniakami.

- A ja?

- A ty, kochany, wszystko ode mnie usłyszysz. Masz takie marzenie, żeby być popularny jak gwiazda z kinematografu?

- No niespecjalnie...

- To pozwól, że ja wszystko załatwię bez pokazywania światu twojej facjaty. Pasuje?

- Pasuje!

Spotkanie nie było długie, bo Mietek już wcześniej się widział z miejscowymi szemranymi. Plan został dopięty i wyglądał zaskakująco prosto.

- Heniu, zostawiam ci zapasowe kluczyki do auta jednego ważnego rysia z ratusza. W poniedziałek rano za dziesięć ósma podejdziesz na plac Gwary. Pod hotelem Monopol będzie stało auto, opelek laubfrosch, zielony, całkiem miły. Wejdiesz jak do swojego samochodu i podjedziesz kilkaset metrów do aresztu... -

Wszystko było proste i łatwe, aż się uśmieł. Mietek Kosiorek także był w dobrym nastroju.

- Tera jadę na chwilę do Łodzi, tam jeszcze mam mały interesik do załatwienia, ale o tym za chwilę, bo jak się rozgam, to umrę z pragnienia. Panie starszy, dwa piwa! - Był już piąty maja i można było spokojnie popijać napoje alkoholowe.

Pili ze smakiem, a jak tylko Kosiorek ugasił pragnienie, pożegnał się z Heńkiem.

- A teraz, drogi przyjacielu, wracam do Warszawy, ale z przystankiem w Łodzi. Jadę tam do miejscowego kiziora, Ślepego Maksa. Ten to się lepiej ustawił niż Tasiemka i jak chce się w tym mieście z gondolą w herbie coś załatwić, to trzeba uderzać albo do ratusza, albo do niego. Szeł teraz niekoniecznie może coś zdziałać w magistracie, więc ja walę do Ślepego Maksa. Baw się tu dobrze - zakończył, mrugając po szelmowsku okiem.

Była ósma rano w piątek szóstego maja. To miał być dzień jak co dzień, ale takim się nie okazał. Aspirant Denhel, gdy tylko przekroczył próg Urzędu Śledczego, domyślił się, że coś się stało. Właśnie podano do wiadomości sprawozdanie kierownika lotnej brygady, który nie miał wąpliwości, że niemal wszyscy z dwudziestu dziewięciu oskarżonych w sprawie fałszerskiej szajki aspiranta Bachracha dali dyla! Gdy pierwsi z wyznaczonych do składania wezwań nie stawili się w sądzie, ogłoszono alarm, jak się okazało mocno spóźniony. Złoczyńcy, których sąd wypuścił parę miesięcy temu po wpłaceniu wielotysięcznych kaucji, zwiali gdzie pieprz rośnie!

- No nie wiem, czy pieprz rośnie w Berlinie i Buenos Aires - zaśmiał się gorzko Strasburger. - Im się, kurwa ich mać, wydaje, że my będziemy ich łapać, a oni tak po prostu będą ich wypuszczać! Te ciołki w togach nie rozumieją, że taki cwaniak pluje na tę ich kaucję! Taka sumka to nic dla dobrego fałszerza, a tu akuratnie się rozchodzi o tych najlepszych, bo panowie Elias Goren, Dawid Cukier, Moszek Pfefferbaum, Aron Kołodny, Józef Grinblatt, Józef Robiński, Maks Green, Lewi Urysaew, Judka Szmuczkiwicz i bracia Eołftowie to same asy, pieprzona fałszerska arystokracja. Tacy jak oni mogą sobie i swoim ludziom nadrukować tę zasraną kaucję w złotówkach, markach, dolarach, frankach albo obligacjach, po czym powiedziec słodkie: „Pocałujcie mnie w dupę” i wyjechać na koniec świata - podsumował po swojemu wpadkę sądu Strasburger.

Kornel Strasburger śmiał się gorzko, za to Karolowi Denhelowi łzy napływały do oczu. Z trudem tłumił złość, niemoc i narastającą furję; zwiąło dwudziestu ośmiu murowanych skazańców, a w celi został tylko ich szef - były kierownik brygady antyfałszerskiej. Czuł, jakby ktoś mu napluł w twarz. Po pierwsze, Bachrach był prawą ręką jego osobistego wroga i przekręciarza nadkomisarza Kurnatowskiego, a po drugie, do upadku obu on sam, Karol Denhel, przyłożył mocno rękę. Chyba do niedoszedłego upadku, bo ci, którzy mieli swoimi zeznaniami obciążyć Daniela Bachracha, nie czekali na sąd w swojej melinie, czyli w cukierni u Eksztajnowej, tylko ślali do swoich rodzin listy z Niemiec, Austrii, Francji, a nawet Argentyny.

Bachrachowi teraz nic nie udowodnią, a zatem także Kurnatowski może odetchnąć.

Co to będzie? - pomyślał zaniepokojony Denhel. Przecież gdy tylko Kurnatowski wyszedł za kaucją, to świadkowie, którzy mogli zeznawać w jego sprawie, od kupca ze Świętojerskiej po barona z Ujazdowskich, nabrali wody w usta, a jego poplecznicy w Urzędzie Śledczym, których miał niemało, podnieśli wyżej głowy Aspirant Karol Denhel wiedział, że ma niewiele czasu, że jeśli nie przyspieszy dochodzenia przeciwko Wciśle, Beniowskiemu i Nowickiemu, to wkrótce może stracić szansę na ich osaczenie.

Heniek siedział jak na szpilkach. Miał już dość tego czekania, ale nie było na to rady. W zamyśle Szpica i jego wspólników wszystko miało zostać załatwione do piątego, góra ósmego maja, bo chcieli wykorzystać zamieszanie, jakie robili goście Międzynarodowych Targów. Stąd Heniek przybył do Poznania już trzeciego maja. Jak się okazało, o parę dni za wcześnie, bo coś się pokomplikowało i plan został zmieniony. O tym, że Stempel nawieje dopiero w poniedziałek dziewiątego maja, dowiedział się już po przyjeździe, ale nie było sensu wracać w Tatry. Zamelinował się więc najpierw w jednym, dość eleganckim mieszkaniu na Łazarzu, by po dwóch dniach zamieszkać u bliźniaków Piotra i Pawła na Chwaliszewie.

Dwa dni i kolejna przeprowadzka, tym razem do Przemysława Szwarca na Dębiec. Wylądował w osiedlu, które jeszcze dwa lata temu było podmiejską wioską. Poczuł się jak u dziadków w Skoroszach, bo także tu wielu mieszkańców było spolszczonymi Niemcami. Świadczyły o tym nie tylko nazwiska, ale ksywka, jaką miał Przemo Szwarc. Bliźniacy z nieukrywaną radością nazywali

go Bambrem, co chyba nie było zbyt obraźliwie, ale na pewno też nie cieszyło adresata. Dowiedział się, że przodkowie jego oraz sąsiadów Paetzów, Trittów, Krychów czy Walterów przywędrowali tu ponad sto lat temu z okolic niemieckiego Bambergu. Ktoś ich nazwał bambrami i tak już zostało.

Heniek wszędzie mieszkał po dwa dni, dobrą stroną przeprowadzek było to, że nigdzie nie zagrzał miejsca i jego facjata nie opatrzyła się żadnemu z sąsiadów. Słabą, że wszędzie uznawano, że przed przybyciem z daleka trzeba się popisać najpierw ajntopfem, a kolejnego dnia pyrami z gzikem. Ajntopf jak ajntopf, choć węgierski gulasz w zakopiańskich knajpach był lepszy, ale ten cały gzik, czyli serek ze szczypiorkiem dołożony do kartofli, kompletnie nie był jego bajką. Piwo mieli dobre, to fakt, ale gdyby tak jeszcze dołożyli flaczki. .. Ałe nie narzekał, bo nie przyjechał tu na wywczas y ani na zwiedzanie, choć miasto poznał bardzo dobrze.

Miejscowi wspólnicy urządzali mu przejażdżki dorożką albo taksówką, bo bliźniacy byli taryfiarzami. Oczywiście nie chodziło o takie sobie jeżdżenie, tylko o oswojenie Heńka z Poznaniem. Miał wiać autem, więc musiał się nauczyć miasta.

- Tam, gdzie jest ta wielka wieża, są Targi, a tu jest bana - Przemek wskazał na budynek dworca kolejowego.

- Bana?

- No bana! - Przemek powiedział to takim tonem, jakby wszyscy mieli wiedzieć, o co chodzi.

Dopiero po chwili z niemieckich zakamarków jego umysłu bądz z szufladki, która w jego głowie chowała wspomnienia z dywersji na Śląsku, wyskoczyła pomocna myśl. Die Bahn - kolej!



- Wyje bana na peronie! - zakrzyknął radośnie, a poznaniacy popatrzyli na niego, jak na dziwadło.

Językowych qui pro quo było więcej; warszawski wichajster był u nich dynksem, szlug - ćmikiem, a pytając o flotę, trzeba było mówić bejmy albo dutki. Ubawił się, bo górale też mówili na pieniądze dutki. Na szczęście glanc był głancem, podobnie jak winkiel rogiem, wajcha też była bez zmian. Miasto było o wiele mniejsze od Warszawy. Linii tramwajowych poznaniacy mieli tylko dziewięć, ale za to ulice były równiejsze i bardziej zadbane. Nie było tu szalonego ruchu i zgiełku.

Heniek zorientował się, że kin, kabaretów i nocnych lokali Poznań nie miał za wiele, choć nadrabiał własnymi torem wyścigów konnych, operą i uniwersytetem. Koziółków, z których tak się cieszył Miecio, nie widział, ale to podczas kolejnego kursu odkrył, że mają tu ogród zoologiczny i lunapark, a te dopiero w Warszawie budowano. Były też w Poznaniu konsulaty; czechosłowacki, francuski, holenderski, łotewski, rumuński, szwedzki no i ma się rozumieć niemiecki. Co prawda nazwa, której się tu trzymali - Stołeczne Miasto Poznań, była mocno na wyrost i pokazywała nadęte ambicje, ale w żadnym wypadku, jak mówił Miecio Kosiorek, nie należało mówić, że to prowincja. Zresztą Mietek w swojej miłości do Warszawy nawet Paryż sprowadziłby do roli prowincji.

Siedząc w Poznaniu, Heniek miał czas na przeczytanie powieści Witkacego *Pożegnanie jesieni*. Wiedział, że to lekki wariat, który zresztą zdawał sobie sprawę z tego, że jego lektury nie są zrozumiałe dla każdego. Witkacy łaskawie się mu podpisał na swoim najnowszym dziele, dając do zrozumienia, że choć

przesadnie na to nie liczy, to jednak ma cień nadziei, że Henryk Wcisło zrozumie, o co mu chodziło w - jak to sam określił - przedstawieniu przeżyć bandy zdegenerowanych byłych ludzi.

- To będą dla pana sprawy niepojęte, bo pan się nie nudzisz, pan nie z tych, więc nie wiem, czy pojdziesz pan świat opisywanej przeze mnie wyrafinowanej nudy i perwersji, nie znając i nie ogarniając tego świata i tego, że zostanie on zdmuchnięty jak domek z kart. Z drugiej zaś strony pan chyba taki nie jesteś, ale... możliwe, że tak jak dla większości ludzi, życie takie jest pana ambicją i aspirujesz pan do tego, by zostać częścią tego zdegenerowanego, gnijącego świata! - rzekł Witkacy i się nie mylił; Heniek marzył czasem o świecie bogatych próżniaków, ale równocześnie się nimi brzydził. Chciał być obłudnie bogaty i ustawiony tak, by nikogo nie dziwiło, że może sięgnąć po rękę Leokadii.

Mietek Kosiorek powiedział kiedyś:

- Gdybyś został pod skrzydłami Szpica i zrobił kasę, otworzyłbyś później jakiś geszefcik; kabarecik, teatr czy tak jak Rawicz-Weiss Oazę. Karmiłbyś i bawił Warszawkę, jeździł dobrym automobilem i miał willę za miastem, to nikt by cię o nic nie pytał, oprócz oczywiście tego, czy nie masz dla nich chwili albo czy nie poprosiłbyś o rękę ich córki.

To było kuszące, ale pamiętając wszystkie fochy matki Julka oraz przelotne zakopiańskie kontakty z przedstawicielami tego świata, wiedział, że rozsadziliby to towarzystwo od środka. Na samym początku, gdy Lodzia zaciągnęła go na parę spotkań towarzyskich do swych koleżanek, to czuł się jak obwoźny okaz zoologiczny. Ona była z niego dumna, a on wkurzony, gdy

oglądano go i słuchano jak jakiegoś Papuasa. W tym światku narobiłby bałaganu większego niż ten Atanazy

- Witkacy z powieści. Nie byłoby pojedynków, ale na pewno niejedno mordobicie!

Raz jeszcze przeczytał fragment o sporcie.

„Dawni ludzie nie potrzebowali sportu: byli zdrowi i silni z natury. Dziś sport zabija wszystko, zastępuje nawet sztukę, która upada coraz bardziej. Ja sam bardzo lubię narty, ale nie znoszę, jak z was, sportsmanów, robi się największe chwały narodów”<sup>87</sup>.

Sportsmani faktycznie potrafili być wkurzający, a już najbardziej nie ci od rekordów, tylko od ustawicznego pozowania na wyższość i doskonałość. Narty też go zaciekały i chętnie ich spróbuje, ale widok pajaców, którzy się przechadzali ze swoimi deskami po Krupówkach, którzy włązili z nimi do knajp i cukierni jak damy z pieskami, wywoływał u niego mieszankę śmiechu i oburzenia. Tenis, narty i jeździectwo, które znał, i golf oraz jachting, o których słyszał, to był świat sportsmanów, ale już wyścigi konne, boks i futbol nie. Dlatego gdy w niedzielę poczytał trochę Witkacego, to wstał od stołu i powiedział do Przemka:

- No to jak, idziemy na ten mecz?

- Łe, no pewnie - ucieszył się zapytany. - Zaraz wychodzimy, szybko, to złapiemy bimbaja<sup>88</sup> !

Pętla „trójki” była niedaleko, musieli tylko przejść przez wiadukt. Wszędzie widniały tory kolejowe, zupełnie jak u Heńka na Czystem, gdzie się urodził. Czyste nie było jednak kolejarsko-rolniczym przedmieściem, a na Dębcu mieszkali głównie kolejarze i bambrzy. Wraz ze zbliżaniem się tramwaju do boiska klubu Warta przybywało ludzi, a na samym stadionie było ich mniej

więcej tyle, ile na meczach, które oglądał w parku Sobieskiego oraz na boisku Legii przy Myśliwieckiej. Po meczu z Warszawianką oglądał futbol jeszcze raz, na pojedynku Legii z Polonią, który po wielkich emocjach zakończył się remisem 2:2. Z tego spotkania zapamiętał tylko jedno nazwisko: Mielech<sup>89</sup>. Wszyscy o nim mówili, choć facet nie rozgrywał wielkiej partii, ale wystąpił, by zaliczyć występ w lidze.

Mówili, że to on zakładał Legię, że był później z Cracovią mistrzem Polski i grał w pierwszym meczu reprezentacji. Z meczu Warty z krakowską Jutrzenką także zapamiętał jednego gracza, był nim Wawrzyniec Staliński, który wbił Jutrzence aż trzy gole. Staliński był mocno zbudowany, ale ruchliwy i potrafił bez wahania władować piłkę do bramki. Po wygranym 4:0 meczu ludzie krzyczeli: Wawrzynek! Nynek! Wawer! Jak bohatera znosili go z boiska. Widać było, że to nie zabawa dla wychuchanych sportsmanów, bohater meczu był brudny i obszarpany po półtoragodzinnej walce na boisku. Futbol to nie był świat pięknych strojów i białych narciarskich swetrów, nie było tenisowych ubranek i wysokich, wyglansowanych jeździeckich butów. Ta gra wciągała Heńka jak wyścigi konne, choć, rzecz jasna, nie miał jeszcze doświadczenia i wiedzy, by komentować to, co widział, ale za to Przemek Szwarz...

- Staliński to mistrz nad mistrze, ale wózkował, ale strzelał! Zobaczysz - mówił rozpromieniony - Warta będzie mistrzem Polski, zobaczysz! Jest Posnania, na Dębcu też mamy swój klubik, ale w grodzie Przemysława tylko Warta. Niedługo na Wildzie będzie najwspanialszy stadion w Polsce, zbudują go na Wystawę

Krajową, będzie piękna kryta trybuna i wejdzie tam z dziesięć tysięcy wiary i Warta będzie tu...

- Golić do kółka frajerów z całej Polski? - zapytał z uśmiechem Heniek, który słuchał dokładnie tego samego, gdy Julek Beniowski się zapalał, mówiąc o stadionie Legii, który budowano przy Łazienkowskiej.

- No dokładnie! - Na facjacie Przema pojawił się szeroki uśmiech a po chwili zapytał: - Te, wuja, a skąd ty w ogóle jesteś i jak się nazywasz, bo w porządku z ciebie gość?

- Ten duży, co załatwiał z wami wszystkie sprawy, mówił przecież, jestem Tramwajarz. - Mietek Kosiorek dał mu taką ksywkę na pamiątkę jego tramwajowych wyczynów z Nalewek i Kijowa, ale skąd jest i jak się nazywa, zatrzymał tylko dla siebie.

- Ja go tylko raz widziałem, kto inny kieruje tym wszystkim, ja mam tylko się tobą opiekować i pokazać miasto - powiedział ze smutkiem.

- Czasem lepiej za dużo nie wiedzieć. - Heniek uśmiechnął się i klepnął go w plecy. - Chodź, postawię ci piwo i idziemy kimać.

- Co?

- Spać - wyjaśnił Heniek. Ugryzł się w język, bo używanie warszawskich słówek było zupełnie niepotrzebne. Sposób mówienia mógł zdradzić, z jakiego miasta pochodzi. - Jutro mam ciężki dzień! - zakończył rozmowę.

Rano się pożegnali. Heniek wsiadł w „trójkę” i pojechał z Przemkiem do miasta. Przed hotelem Monopol się pożegnali, lepiej, by już się nie widzieli, bo taką możliwość zakładał tylko plan awaryjny. Gdyby doszło do jakiejś chryi, Przemo miał go przejąć w mieszkaniu na Wildzie.

Podszedł do opła stojącego pod hotelem, otworzył drzwiczki i zapalił silnik. Wszystko grało. Podjechał powoli na Młyńską pod ceglany budynek aresztu śledczego. Stał naprzeciw bramy i spojrzał na zegarek. Do rozpoczęcia akcji pozostało jeszcze parę minut. Kompletnie nie mógł sobie tego wyobrazić: jak z tego zamczyska wyjdzie Adam Stempel? Heniek czuł narastające podniecenie, czuł się niemal tak jak przed atakiem na most w Wyszogrodzie w czasie wojny z bolszewikami. Tymczasem kasiarz Stempel wyszedł przez otwartą bramę, normalnie, jak gdyby nigdy nic, i punktualnie, jakby dla potwierdzenia słów Kosiorka, że poznaniacy to wnuczki zegara z kukułką i kodeksu cesarza Wilusia.

Rozpoznał Stempla, bo widywał go w Eldorado i Czarnym Kocie, był krępy, mocno zbudowany i lekko kulał - to efekt złamanej niedawno nogi. Heniek odpalił silnik i uchylił drzwiczki, Stempel wsiadł i mocno, niczym imadłem, ścisnął mu dłoń.

- Cześć, Wciślak, jedziemy, ten hotel mi nie służy. - Uśmiechnął się. - Żarcie słabe, powietrze zatechłe, a z atrakcji mają tylko spaceriak i wycieczkę do Wronek na ośmioletnie wywczasy. Straszna granda i popelina, więcej tu się nie zatrzymam!

- Dzień dobry - uśmiechnął się Heniek. - Po to tu jestem, panie Stempel!

Ruszyli, opel skręcił w prawo w Babińskiego<sup>90</sup> i za chwilę ponownie w prawo w Marcinkowskiego. Po dosłownie dwóch minutach jazdy zatrzymali się przed biblioteką Raczyńskich. Stempel był zdziwiony, że to już, ale Heniek go uspokoił. Po krótkim spacerze wzdłuż budynku biblioteki skręcili na plac

Wolności, a tam Heniek wyjął z kieszeni drugi komplet kluczyków i podszedł do pięknego, prawie nowego mercedesa. Otworzył drzwi limuzyny i zaprosił Stempla na tylne siedzenie. Silnik pięknie zapalił, a auto ruszyło z gracją. Kierowali się na południowe rogatki miasta.

- Dużo jeszcze będzie tych przesiadek? - zapytał Stempel.

- Przez najbliższych sto dwadzieścia kilometrów nie, ubieraj pan nowe ciuchy i zamień kaszkiet na kapelusz. Jak będzie postój na siku, to schowamy trefne łachy w lesie.

Stempel słuchał z zainteresowaniem, inny może by się gorączkował, był podniecony ucieczką z aresztu, ale nie stary kasiarz. Dla niego było to jak bułka z masłem. Z masłem i szynką, bo taką wałówkę przygotował mu na drogę Heniek. Adam Stempel zajadał i jakby od niechcienia słuchał tego, co miał do powiedzenia jego kierowca.

- Pan Cichocki wszystko pięknie zaplanował - wyjaśnił Heniek.

- Spod więzienia ruszyliśmy kradzionym na chwilowe potrzeby oplem. Ładna maszynka, co? Rzuca się w oczy! Właściciel pewnie zgłasza teraz zaginięcie auta spod domu, więc psy szukają auta. To, którym jedziemy, to samochód jakiejś miejscowej szyszki, co przebywa w Ostrowie Wielkopolskim. Pojechał tam koleją, a wróci autem. Dobrze? - Stempel się uśmiechał, że tak, podoba mu się. - W Ostrowie czeka na nas kolejne auto, tym razem z kierowcą. Podwiezie nas do Częstochowy, tam przenocujemy, a na noclegu troszkę pana podpiciują, z szatyna pan zostaniesz brunetem, weźmiesz pan nowe papiery i rano ruszymy przez Kraków do

Zakopanego. Tam dwa dni miłego odpoczynku i wydam pana w ręce przemytników!

Adam Stempel z uznaniem pokiwał głową. Jak Szpicbródka do czegoś się zabierał, to organizacja była na sto dwa! Na wszelki wypadek jednak zapytał:

- A panienki? Bo ja jestem po tym kryminale cholerycznie wyposzczony. No co tak facjatę krzywisz i wybałuszasz gały, jest ci wesoło, tak?

Tak, Heniek ledwo się powstrzymał od śmiechu, bo Mietek Kosiorek przewidział to pytanie. Szpicbródka zresztą też.

- Na to będziesz pan musiał poczekać aż do Częstochowy. - Teraz Heniek się uśmiechnął już na całego. - Ale... będzie warto. Podobno najlepszy sort, dla wytrwałych pielgrzymów!

- Fiki-miki w świętym mieście, a to dobre - uśmieł się Stempel i zaległ w samochodowym fotelu.

Kasiarz się musiał uzbroić w cierpliwość, do Częstochowy było jeszcze wiele godzin jazdy.

Urząd Śledczy przyjmował cios za ciosem. Daniłowiczowska zbierała razy nie ze swojej winy i nie przez swoje zaniedbania. Poprzedni tydzień skończył się utratą dwudziestu ośmiu świadków w sprawie Bachracha, a nowy się zaczął od depechy z Poznania. Adam Stempel uciekł z miejscowego aresztu i to dosłownie na godziny przed wywiezieniem go do więzienia we Wronkach!

- Jak to uciekł? - dziwili się śledczy.

A ich zdziwienie nie znało już żadnych granic, gdy się okazało, że podczas spaceru po prostu ruszył w kierunku bramy, minął się



z dostawcami i spacerkiem przeszedł na drugą stronę jezdni, gdzie czekał na niego samochód.

- Może kto spamiętał markę i numery? - pytano z miejsca.

- Oczywiście, ale auto było kradzione! - padała odpowiedź w drugiej depeszy, a po niej następowało zdanie uprzedzające kolejne pytanie. Opla znaleziono po półgodzinie, bo policja szukała go jako skradzionego! Bandyty porzucili auto niedaleko więzienia, a więc musieli się przesiąść w inny samochód, a w jaki... tego nikt już nie wiedział.

- A więc są, panowie, na świecie rzeczy, o których nie tylko śledczym, ale i filozofom się nie śniło - zgryźliwie podsumował wydarzenia Strasburger. - Teraz może nas już uratować tylko telefon do Krakowa!

- Czemu do Krakowa? - zapytał któryś z policjantów.

- Bo tam mają szklaną kulę - zażartował Strasburger. - Nie pamięta kolega?

Po chwili rozległ się gromki śmiech, gdy zebrani przypomnieli sobie sprawę sprzed lat. Po krwawym napadzie na jubilera koledzy z Galicji najpierw zdeptali ślady, później, gdy zapach wywietrzał, zdecydowali się na ściągnięcie psa gończego, a po jakimś roku, gdy już byli w panice, inspektor Kazimierz Szczepański zamówił trzy seanse spirytystyczne! Dwóch ekspertów najęto w Krakowie, a trzeciego w... Wiedniu! Poszła na to kupa kasy, a efekt był oczywiście żaden, ale inspektorowi nie przeszkodziło to w napisaniu i wydaniu podręcznika *O metodzie w śledztwie kryminalnem*.

Denhel słuchając tego wszystkiego, nerwowo zaciskał zęby. Nagle poczuł na języku krew z przeciętej wargi, ale to przecież nie

o utoczenie jego krwi w tym wszystkim chodziło.

Na wieczór jedenastego maja Heniek dotarł ze Stemplem do Zakopanego. Kasiarz miał już nowe dokumenty i wyglądał też inaczej niż w liście gończym.

- Kto zrobił te dokumenty, skoro najlepsi fałszerze wyjechali? - dziwił się Heniek, czytając gazetę, w której jeden z artykułów z pierwszej szpalty grzmiał wielkimi literami: „UCIECZKA 28 FAŁSZERZY PIENIĘDZY”.

- Może ci od dokumentów zostali - zaśmiał się Stempel. - Nie bój bidy, dwudziestu ośmiu złapali i dali im uciec, ale drugie tyle nie wpadło w policyjną sieć! Fałszerstwo ma przyszłość!

- A kasiarstwo? - zapytał Heniek.

- Też, ale trzeba mieć trochę szczęścia - zgasił go Stempel. - Jak raz my ze Szpicem mamy go ostatnio trochę mało. Są tu jakieś rozrywki?

- Żadnych dyskretnych, tu się wszyscy znają, panienki załatwili ci z Częstochowy. W tym miejscu zawód alfonsa kuleje, więc proponuję te kolejne organizować już za granicą, tym bardziej że tu nie uznają żadnej dyskrecji.

- Gorzej niż w Warszawie?

- Gorzej.

Stempel niechętnie, ale ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Poza tym jutro będzie troszkę więcej do przejścia niż po spacerunku.

- Kto nas zaprowadzi?

- Nie wiem, ale wszystko jest zorganizowane. Pojutrze z samego rana podjeżdża furka, ładujemy się do niej i poznajemy

naszego przewodnika. Teraz się idę pokazać rodzinie oraz paru innym osobom, niestety muszę iść sam.

Adam Stempel ponownie niechętnie pokiwał głową na znak zrozumienia. Następnego dnia Heniek zerwał się przed świtem i poszedł na kwaterę Stempla. Przed domem czekała na niego furka, znał ją i konia.

- Jędrus?

Tak. To był Jędrus!

- To ty? - zdziwili się obaj.

Okazało się, że i przewodnik, i turysta, którzy chodzili ze sobą w góry, byli ludźmi z szemranego świata.

- A cożeś robili jak was tu nie było?

- No przecież w górach byłem.

- Ano racja, bo widziałem wpisy w książkach - zaśmiał się Jędrus, który swoim koślawym charakterem pisma pozostawiał w schroniskach informacje, że przechodził tędy turysta Wcisło z Warszawy.

- No jakbyśmy wiedzieli, że to o nas chodzi - złapał się za głowę Jędrus.

- To co?

- Tobysmy nie mieli pośredników i byłoby z tego więcej dutków.

- Trudno, może to jakoś nadrobimy - pocieszył Jędrusia Heniek.

- Budźmy teraz naszego klienta i ruszajmy. Facet nie zna gór.

- Jako syćke łone...

- To znaczy?

- Różnych przeprowadzałem, czekam już tylko na ciężarną zakonnicę - zaśmiał się Jędrus. - Legitymacje wypełniamy teraz cy po drodze?

- Jakie legitymacje?

- No toprowskie - Jędrus odpowiedział Heńkowi tak, jakby było oczywistą oczywistością, że w góry się wychodzi z legitymacjami TOPR-u. - No wis, jak się trafi jakiś patrol, to mówimy, żeśmy z łochotniczego pogotowia. Ja mom syćko, bo ja jestem w pogotowiu, ale wy możecie być! Trochę się tych papierów u nas poniewiera i pieczętek, a nacelnik Oppenheim tego specjalnie nie pilnuje. Mówio - tu Jędrus ściszył głos - że Opcio to był kiedyś komunista i ze z samym Leninem się zapoznał, a tera... - Jędrus mówił jeszcze ciszej - jak tseba, to im pomaga na Węgry wiać.

Kolejne kwestie omówili już w towarzystwie Stempla, którego zainstalowali na furce. Kasiarz przysłuchując się ich rozmowom, skwitował je jednym zdaniem.

- Zakopane to faktycznie małe miasto, jeszcze mniejsze od Warszawy!

Furka została pod Morskim Okiem, miał nią zjechać na dół inny przewodnik, a oni ruszyli dalej na piechotę. W pięć - sześć godzin mieli osiągnąć stary przemytniczy punkt - Przełęcz pod Chłopkiem. Kiedyś dochodzili tam tylko polowace<sup>91</sup> i przemytnicy, teraz było to popularne miejsce wypraw. Heniek już tam chodził z Jędrusiem i panem Murakamim. Początkowo szli w towarzystwie, z wycieczką na Rysy, a do tego po drodze trafili się spacerowicze, którzy chcieli spojrzeć na Morskie Oko z Czarnego Stawu. Za krzyżem byli już sami, wdrapując się mozolnie na przełęcz. Śnieg,

ślisko i coraz zimniej, pogoda się załamywała. Z nieba poleciały białe płatki.

- Co to, kurwa, jest? - zaniepokoił się Stempel. - Przecież to środek maja.

- No, trzynastego, w piątek - zażartował Jędrus, któremu jednak daleko było do żartów. Śnieg nie był problemem, ale wiatr, który się właśnie nieoczekiwanie zerwał. - Jesce trochę - zachęcił.  
- Zara będzie koleba!

- To jakiś lokal? - zapytał z nadzieją w głosie Stempel.

Heniek i Jędrus wybuchnęli śmiechem, ale Stempelowi bynajmniej do śmiechu nie było. Gdy po paru minutach mozolnego marszu i walki z wiatrem doszli do trójkątnej dziury pod wielkim głazem, kasiarz zaklął i spytał:

- Co to za nora, kurwa, to ja po to z kryminału uciekałem?

- No tego to jo juz nie wim - filozoficznie odparł Jędrus. - Pakujcie się, panocku, do środka.

W ciasnym wnętrzu koleby spędzili około godziny, grzejąc się łykami rumu oraz tytoniem. Gdy pogoda się poprawiła, ruszyli dalej. Bez przeszkód osiągnęli przełęcz, tam Heniek pożegnał się ze Stemplem.

- Pozdrów ode mnie Szpica i podziękuj - rzucił na pożegnanie kasiarz.

- Nie wiem, czy to my się prędzej nie spotkamy...

- Problemy?

- Troszkę, nie jestem tu na wywczasach, tylko czekam na lepszą pogodę, a jak jej nie będzie... - zamyślił się Heniek.

- Trzymaj się, chłopaku - Stempel poklepał Heńka po ramieniu.

- Może będzie jeszcze klawo i się spotkamy na jakiej fajnej robocie.

Podali sobie z Jędrusiem ręce i umówili się, że za tydzień pójda sami lub z panem Murakamim na Mnicha. Schodząc, Heniek spotkał patrol i przez moment poczuł się trochę jak Atanazy z powieści Witkacego. Chłop chciał popełnić w górach samobójstwo, tymczasem pojmała go straż graniczna i skończył rozstrzelany za szpiegostwo. Zycie potrafi płać figle, czasem większe niż w książkach.

Karol Denhel usłyszał salwę plutonu egzekucyjnego. Leżał jednak dalej, próbując zrozumieć, co się dzieje, i wtedy do jego uszu dobiegł dźwięk towarzyszący odwodzeniu dźwigni zasłaniającej okno ładowania w bębenu rewolweru. Po nim przyszedł delikatny odgłos wprowadzania do otworów pocisków oraz charakterystyczne tykanie obracanego bębna. Słyszał też kroki, ktoś ładował broń i szedł w jego kierunku. Dobiegło go odwodzenie kurka, więc tamtemu nie chciało się z całych sił naciskać na spust, by pierw odwieść kurek, po czym strzelić. Chciał to zrobić wygodnie, chciał... dotarło do niego, co tamten chciał zrobić. Próbował się ruszyć, ale nie mógł, zaczął krzyczeć, ale nie mógł dobyć głosu, w końcu się udało. Obudził go potężny własny ryk.

## XXXIV

### PROPOZYCJA NIE DO ODRZUCENIA

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 16 maja roku 1927*

*Przedwczoraj w Warszawie gościli tego Majakowskiego. To Sowiet, ale świetny poeta. I tu mam dylemat, czy Sowiet, bolszewik, wyznawca Lenina może być dobrym poetą? A może inaczej, czy nie będąc porządnym człowiekiem, można być porządnym twórcą? Ciekawe, czy witał go Broniewski. To dobry poeta, ale coraz bardziej się zbliżający do komunistów. Heniek go zna, bo z nim służył, był przy tym, jak udowodnił swoje przywiązanie do Polski i swoimi czynami zasłużył na *Virtuti Militari*. A teraz kapitanowi Broniewskiemu coraz bliżej do komunistów... Życie jest pełne paradoksów, mój polega na tym, że dla mnie życie się nie zmieniło znacznie od momentu, w którym Heniek wyjechał do Zakopanego; ta sama rutyna, te same zajęcia, a jednak brak Jego osoby napawa mnie przerażeniem i jest moją słabością.*

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Roztoka, 21 maja roku 1927*

*Henio troszkę nas zaniedbał; ach, te jego wyprawy! Może kiedyś też tak będę zdobywać góry? Żeby były bliżej, przenieśliśmy się na parę dni do schroniska w Roztoce. Jest tam pięknie, a nasz gospodarz, Jan Obrochta, cudnie przygrywa na skrzypkach.*

Było pięknie rozgwieżdżone niebo, w którego kierunku strzelały wesoło iskry. Siedzieli przed schroniskiem w Roztoce, grzali się przy ognisku i słuchali, jak ich gospodarz gra na skrzypkach.

Smętna melodia wybrzmiała. Słuchało zaledwie kilkanaście osób, żaden koncert, ale gdy się skończył, oklaskom nie było końca. Zaczęła Stefa, która niczym w filharmonii wołała swoim dziewczęcym głosem: „Brawo, brawo! Bis!”.

- Zagram, ale teraz ktoś inny musi zaśpiewać! - postawił warunek Obrochta.

- Tak, bis! - wszedł mu w słowo pan Murakami.

- Skoro tak, to śpiwojcie!

Po chwili zawahania Japończyk wstał. Znając go, Heniek się spodziewał, że wymówi się graniem na trąbce. Tymczasem on poprosił Obrochtę na bok i podał mu kilka dźwięków. Chwilkę popróbowali, po czym góral kiwnął głową i złapał za skrzypce. Zagrał, a pan Murakami zaśpiewał po japońsku.



Gdy skończył, bito mu brawo jeszcze mocniej niż Obrochcie, a pan Murakami kłaniał się dostojnie.

- Pięknie, pan jesteś artysta - krzyczał któryś z gości schroniska.

- To było takie przejmujące - słuchacze prześcigali się w komplementach.

- Za pozwoleniem - zapytała Stefa. - A o czym pan śpiewał?

- To *Pörando-kaiko*, *Wspomnienie Polski*, pieśń o waszym kraju, szanowni państwo. - Widząc zdziwienie, dodał: - Tak, tak, *Wspomnienie Polski* i pewnie zdziwię państwa, ale to bardzo popularna pieśń, której się uczymy w szkołach i w armii.

Widząc niesłabnące zainteresowanie, pan Murakami zaczął recytować:

*Gdym wreszcie znalazł wieś, szarą i posępną,  
Spytałem, gdzieżem zaszedł i jak zwie się ten kraj.*

*Litością zdjęty dawnych słuchałem opowieści  
O Polsce startej ze wszystkich świata map<sup>92</sup>.*

Skończywszy deklamację, pan Murakami ukłonił się słuchaczom.

- Nie mogę w to uwierzyć - wykrzyknął Heniek. - Jak to, skąd ta pieśń?

- To długa, stara i piękna historia - rozmarzył się pan Murakami.

- W końcu ubiegłego wieku pewien nasz attaché wojskowy z poselstwa w Berlinie, pan major Yasumasa Fukushima,

postanowił wrócić ze stolicy Niemiec do domu... konno. Baron Fukushima, jak na prawdziwego samuraja przystało, zrobił to, co postanowił i w ponad czterysta dni pokonał trzynaście tysięcy kilometrów z Berlina do Władywostoku, po czym się zaokrętował na statek do Japonii. W Nipponie okrzyknięto go bohaterem, szybko awansował i gdy już został generałem, poprosił poetę pana Ochiai Naobumi o napisanie pieśni o swojej podróży. Powstał utwór oddający nie tylko miłość generała do Polski i Polaków, ale i przestrozę dla nas, Japończyków.

*Zwykle światu są chwała, zmierzch, rozkwit, upadek,  
Znana to kolej rzeczy i porządek życia,  
Ale aż takie zgliszcza i taką ruinę  
Sam nie wiem, czy kto widział nawet w mroku snów<sup>93</sup>.*

- To doprawdy niezwykła historia. - Zebrani byli pod wrażeniem historii majora Fukushimy i nieco zawstydzeni faktem, że o Japonii wiedzą tak mało.

Pan Murakami czytał chyba w myślach słuchaczy.

- Szkoda, że jedyne kontakty państwa rodaków z moimi miały miejsce tylko podczas wojny.

- Stryjek, starszy brat mojego taty, był na tej wojnie - wyrwał się Heniek i od razu ugryzł się w język na wspomnienie opowieści o tym, jak rośli piechurzy z Rosji i Polski tratowali małych Japończyków w walce na bagnety<sup>94</sup>. Na szczęście ktoś przypomniał sobie, czemu pan Murakami zdecydował się zaśpiewać.

- Pan Murakami zaśpiewał, to teraz wasz bis!

- Grajcie, panie Janie, bo pięknie to robicie - babcia Eleonora także się domagała dalszego ciągu.

- Eee, ja to tylko tak sobie grom, mój tatko... - zamyślił się Janek.

- Bartuś Obrochta to był mistrz nad mistrze, ja to po nim... Ani taki głos, ani gra na gęślach, poza tym ociec miał o kim śpiewać, teraz nie ma już takich chłopów. Mój ojciec grał samemu Matei!

- A kto to był ten Mateja?

- Ostatni zbójnik.

- I jaki był?

- Ojca lubił - wymijająco odpowiedział Janek Obrochta.

- Co to znaczy? - zapytał pan Murakami.

- Pięknie grał na skrzypkach, a zbójnicy zawsze byli radzi piknej muzyce, więc zabrał mojego ojca Bartusia Obrochtę w góry, by im przygrywał. Jego więc lubił, ale z innymi rozmaicie bywało. Nie syćkich lubił i nie syćkie go poważali, ale za to syćkie się go bali. Z Mateją to było jak z pogodą, raz słońce, raz siklawica, raz wietrzyk, a raz holny. Czasem kradł bogatym i rozdawał biednym, a bywało, że brał syćko i każdemu, nawet nojbidniejszym. Czasem się bawił sam, a czasem z kompanią i nie wiadomo, jak było lepiej, bo im był starszy, tym częściej mu się zdarzało bić przypadkowych ludzi. Jak pił sam, to nie miał kogo, ale jak w kompanii, to zawsze się nawinał ktoś, kto dostał w kufę. Jak miał dzień, to płacił karcmarzowi i to godnie, ale bywało, że brał za darmo i jeszcze potrafił pobić. Tylko oćcu zawsze dutki dawał, bo jego muzykę poważał. Mówili, że o tym, coby syćkich grabił, to było bajanie, ale na pewno się skończył po tym, jak udusił jedno córkę Chramiaszka.

Po tym go ludzie przestali poważać i nikt go nie ostrzegł przed żandarmami. Powlekli go do Sącza, a potem osadzili w Wiśniczu.

Zapanowała smężna cisza, więc Janek Obrochta zagrał na dobranoc skoczną melodię. Kładąc się spać, Heniek pomyślał, że być może jemu się uda to, co się nie udało Matei: że ucieknie od przeszłości.

Zamarzył sobie, że sprawy się ułożą, że Denhel nie znajdzie nic na niego i da mu święty spokój.

To była ciężka noc, bo kapitan Beniowski musiał podjąć ostateczną decyzję. Jakąkolwiek by podjął, każda była dla Heńka zła. Lubił go, znał od szczeniaka i chciał dla niego dobrze, ale musiał myśleć o swojej służbie i o sobie samym. Musiał chronić swoją wywiadowczą robotę, ludzi i samego siebie. Zbyt wiele miał do ukrycia - sprawy bieżące, które prowadził pod przykrywką firmy handlowej, a nade wszystko akcja na Wolskiej. Myślał o tym długo przy kawie, koniaku i papierosach, by w końcu podjąć decyzję. Upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu, kto wie, choć może to wszystko być dla Heńka bolesne, to per saldo kiedyś się okaże, że był to strzał w dziesiątkę i dopełnienie starań jego ojca, by syn majstra Władysława Wcisły wyszedł na ludzi. Juliusz Beniowski wyjął z szuflady papier i zaczął pisać.

Podobno Napoleon Bonaparte, gdy przedstawiono mu zdolnego oficera, co do którego miano generalskie plany, zapytał: „A czy ma szczęście?” On, podkomisarz Karol Denhel, jeden z najlepszych,

jeśli nie najlepszy śledczy w Warszawie zostałby przez cesarza Francuzów skreślony. Kompletnie go nie miał. Ani w miłości, ani w futbolu, ani w pracy. Leokadia Rostocka wybrała nie jego, lecz tego koszmarnego typu. W futbolu szansa uciekła, gdy w ważnym dla niego meczu trafił w słupek, a w pracy... Był pracowity, uczciwy, wytrwały, miał instynkt, ale nie miał szczęścia. Sprawy Bachracha i Kurnatowskiego rozpadały się w strzępy jak kawałki zbutwiałej szmaty. Dzisiaj, to jest 25 maja 1927, karta się odwróciła! A zaczęło się banalnie i bez nadziei na wielkie awanse.

Przy Marszałkowskiej weszli do nielegalnego kasyna, jakie w swym salonie urządził podupadły arystokrata January Korybut Micki. Pierw ów jegomość utrzymywał się z zawodowej gry w karty, ale to nie starczało na prowadzenie intensywnego życia towarzyskiego. Pan January zmienił zatem politykę i z gracza się stał organizatorem gry. Najpierw dokazywało u niego ziemiaństwo, później także artyści, a w końcu również przypadkowi przybysze. Lokal nadal był ekskluzywny, tylko zasady się zmieniły. Na początku obowiązywał kod nazwisk i arystokratycznych koligacji, a później, jak to w życiu - gdzie szlachectwo i tytuł można sobie kupić za pieniądze - dołączali wszyscy z cenzusem majątkowym. Tak jak na wyścigach i w kabarecie panowała w salonie Januarego Korybuta Mickiego demokracja, o ile oczywiście kogoś było na nią stać.

Akcja policji była dobrze przygotowana i połów okazał się niezwykle interesujący, ale i jałowy zarazem. Koledzy z Urzędu Śledczego, którzy wysługiwali się reporterom, byli wygrani, ale ktoś, kto liczył na prawdziwy policyjny sukces, miał prawo czuć się rozczarowany. Nie była to istotna sprawa, odkrycie

bezkresnego oceanu łajdactw i zbrodni, choć - trzeba przyznać, w akwenu tym pływały grube ryby. Wkrótce brukowce się zapełnią notatkami o tym, że pan rejent, właściciele majątków ziemskich, aktorka z kabaretu, baryton z opery i paru przedsiębiorców dali się złapać na podziemnym hazardzie, który organizował potomek wielkiego rodu. Pyszne, ale nie- sycące. Będzie skandalik, który większości z uczestników doda jeszcze popularności, January Korybut Micki zapłaci grzywnę, a prawdziwy sukces odniosą reporterzy i prawnicy.

Ci drudzy już pracowali w pocie czoła. Mieli za zadanie jak najszybciej wyciągnąć klientów z dołka i załatwić sprawę ze śledczymi i reporterami, bo nie wszyscy bohaterowie tej sprawy wychodzili z założenia, że nieważne, co mówią, ważne, że mówią. Wielu potrzebowało rozgłosu za wszelką cenę, ale dla pozostałych sytuacja, w której ich nazwisko trafiłoby do prasy, byłaby co najmniej krepująca. Sprawa się przeciągała, bo ktoś nie pomyślał i tuż przed wieczornym nalotem na salon gier zorganizował inną obławę, tak dla równowagi, w zupełnie innym towarzystwie. Na Daniłowiczowską przywieziono kilkanaście płotek złowionych podczas rutynowego nalotu na Kercelak. Cele się zapełniły i zrobiło się w nich ciasno i hałaśliwie.

Tymczasem śledczy zamienili się w biurałistów. Kartoteki i statystyki pęczniały, zapisywane nazwiskami nic nieznaczących person. Zatrzymanymi była przestępcza trzecia liga - drobne złodziejaszki, poszukiwani listem gończym przestępcy i paserzy. Wszyscy oni robili swoje nędzne geszefty w miejscu dla policji oczywistym, a do tego wydali ich stojący wyżej w hierarchii koledzy po fachu. Część szemranych nie miała oporów przed

donoszeniem na złodziejski plankton. Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Tym ogarkiem byli drobni złodzieje, których więksi sprzedawali, by zapewnić sobie względną bezkarność. Efektem policyjnej obławy było zatem złowienie największych gamoni i nieudaczników półświatka, bo tylko tacy dawali się złapać w tego rodzaju akcjach. Jediną nadzieją na coś grubszego było zatrzymanie kogoś, kto miał wiedzę o ważniejszych i bardziej bezwzględnych od siebie.

Tak było i tym razem, a na konsumenta tego zbiegu okoliczności los wybrał aspiranta Denhela. Przesłuchiwane przez niego szczeropodobne indywiduum nazywające się Edward Rutowicz było drobnym złodziejem i paserem, któremu kolejna wpadka czyniła niechciany awans ze zwykłego przestępcy na recydywistę. Panowie sędziowie nie lubią takich artystów i najczęściej korzystają z możliwości przysolenia specjalnej premii przynależnej grupie zasłużonych łobuzów. Szczurek niechybnie do nich dołączy, ale swoje wkroczenie do elity postanowił za wszelką cenę odroczyć.

- Panie policjancie, królu złoty, ja jestem niewinny - zaczął jak większość z nich.

- Kiedyś drobny złodziejaszek, a dzisiaj paser. To chyba awans.

- Denhel spojrzał badawczo na szczurka. - Nie narobisz się tyle, a kasa gwarantowana.

- Książę z bajki, ja nie wiedziałem, że ta srebrna papierośnica jest kradziona. - Jego oczy powoli zachodziły łzami. - To była okazja, od maleńkości marzyłem o czymś takim. To była okazja, jak z niej nie skorzystać?

- A napis na papierośnicy: Mecenasowi Kordeckiemu aplikanci, nie był czasem zadziwiający?

- Mecenas Kordecki co roku ma aplikantów, a ma swoje lata, to ileż takich papierośnic ma już na chawirze? - Edward Rutowicz wyraźnie przeszedł do ofensywy. - Kochany panie, jemu te papierośnice się przestali w szafie mieścić i małżonka pewnie się chciała pozbyć tego złomu. Dla niego to pestka, a dla mnie to rarytas, papieros z takiego puzderka smakuje o niebo lepiej!

- Edziu - syknął aspirant i przysunął swoją twarz do twarzy złodzieja na taką odległość, że między ich obliczami kartka z trudem znalazłby dla siebie miejsce. - Edziu, ty mi tu nie pieprz farmazonów. Nie bądź za cwany bo mnie rozgniewasz - syczał. - Może jeszcze powiesz, że kuchta, którą Kordecy wyrzucili za kombinacje, wydała ci się jego żoną, co?! - Spokojny do tej pory Denhel ryknął tak, że paser zrobił się o połowę mniejszy. - Może jeszcze, gnido, wmówisz mi, że pani mecenasowa Kordecka handluje pamiątkami męża na Kercelaku?!

Rutowicz skurczył się w sobie, a Denhel zmienił nagle front i zaczął mówić spokojnym głosem, jaki może mieć tylko ksiądz katecheta tłumaczący dzieciom, że się nie wyrywa skrzydełek muchom, bo to też stworzenia boże.

- Edziu mój drogi, Edziu, strasznie mi ciebie szkoda, bo ty już jesteś recydywistą, a recydywiści... - Zawiesił głos i spojrzał na przestępcę z wyrzutem. - A recydywiści nie mają w sądach lekko. Niedobrze, bardzo niedobrze. Masz jednak szansę - przyśpieszył jak podekscytowany chłopak, który zdradza swojemu koledze jakąś wielką tajemnicę - jeśli mi powiesz co ciekawego. Rozumiesz?



Edward Rutowicz stanął przed wyborem, musiał przekroczyć granicę, ale jeszcze nie wiedział którą. Czy tę, gdzie była brama z napisem „recydywa”, czy tę, co powita go hasłem „policyjny informator”.

- Spokojnie, Edziu, masz czas, to ważna decyzja. Wyjdę na chwilę, a ty się zastanów i wybierz, najlepiej jak potrafisz. - Aspirant zaczął powoli podnosić się z krzesła.

- Panie inspektorze kochany, mam taką historię. Jak pan mnie wysłuchasz, panie ładny, to dostaniesz pan awans. Będziesz pan wkrótce inspektorem. Jak Boga jedynego Kocham, zostaniesz nim pan w try miga, zanim się pan obejrzysz!

Denhel miał ochotę strzelić go w ten wysuszony bezmyślny ryj, ale się uzbroił w cierpliwość i postanowił wysłuchać wystraszonego złodzieja. A nuż widelec powie coś, co się okaże przydatne? Widząc aprobujące spojrzenie Denhela, Rutowicz ruszył galopem z opowieścią, wystrzeliwując z siebie słowa, jakby chciał w ten sposób uciec przed zdradą, której się właśnie dopuszczał.

- Panie oficerze, na pewno dadzą panu za to awans, jak bum cyk cyk! Posłuchaj pan, to było tak: widziałem jak go wywoływali na przesłuchanie. Klawisz, o pardon, pan strażnik wyczytał nazwisko Paprocki Franciszek i z celi wyszedł on... W piekle bym tego łachudrę poznał. To żaden Paprocki, tylko Wlazło, Franek Wlazło - szemrany koleś z Czerniakowa, łobuz jakich mało. On robił na rympał, na bombę, a nóż wyciągał przy co drugiej okazji. Potrafił za byle co przerobić facjatę na kotlet siekany, a połamanych szpadryną nosów nawet nie ma co liczyć. Pech chciał, że byłem z niem w wojsku. Ja tam nie dawałem sobie w kaszę

dmuchać, a koleżka z pragoskiej, z którym się razem trzymaliśmy, był identyko taki sam jak ja. Więc jak tamten zaczął fikać, tośmy się na niego ustawili w łaźni. Nie żeby go zlać. - Edziu przybrał oblicze niewiniątka - tylko żeby z niem pogadać, żeby gość zrozumiał, że nie powinien chłopków z ferajny traktować jak byle frajerów. Gadka się nie kleiła, bo się okazało, że z niego to lepszy kozak jest. - Szczurowaty łach pociągnął jakby z uznaniem nosem. - Kozak bez dwóch zdań, ale tego, co zrobił, robić nie musiał. Koleżce wyjechał z bańki tak fachowo, że kinol poszedł w drebiegi. Skuliłem się w sobie, wsadziłem głowę w ramiona i się szykowałem na cios, na jeden dobry strzał, taki żeby mu łeb urwało. - Widząc uśmieszek Denhela, szybko dodał: - Może i nie wyglądam, ale pierdyknięcie zaposiadywuję, dobry cios wyprowadza się całym organizmem, szybko jak błyskawica. Impet idzie pierw z nóg, a potem z bioder i ramion, a na końcu jest pięść. Mała pięść, ale rozpędzona jak krzeselko na karuzelu... - Typek przerwał i smętnie popatrzył na śledczego. - Gości wielkich jak szafa gdańska pogotowie spod mojej ręki odwoziło, ale trafiła kosa na kamień, choć tak detalicznie to trzeba powiedzieć, że faktycznie tę kosę to miał Wlazło. Mignął mnie ostrzem przed oczami, a ja struchlałem, bo z miejsca pojąłem, że nie struga niem ziemniaków. Po ruchach było widać, że to fachura, który wie, jak pochlastać klienta. To była chwila zawahania i wtedy wyjechał mi kopa w... No wie pan gdzie... Miał, jak każdy z nas, ciężkie wojskowe buciory i trafił jak trzeba. Po tym podjajecznym ścięło mię i padłem koło funfla, a wtedy on zatańczył kujawiaka. Widzisz pan ten nos? To po kopniaku od niego. Gdyby nie kapral, który wparował do środka, toby nas pozabijał. Był z niego taki

cwaniak, że jak tylko się zorientował, że się napatoczył kapral, to upuścił nóż i krzyknął: - Panie kapralu z nożem mię napadli we dwóch! Ten mały kapral, Napoleon szarpany w te i nazad, tępą pałą, uwierzył mu i to nas wydalono z kompanii. Wcześniej odleżeliśmy swoje w szpitalu. Zacząłem się interesować tym, kto nas o mała do Bozi nie posłał, i się dowiedziałem, że był poszukiwany za pobicie na śmierć. Później, jak już wyszłem z wojska, to się dowiedziałem więcej; niektóre szemrane gadali, że Franio pomagał w morderstwie i w szatkowaniu zwłok. - Rutowicz zawiesił głos. - Słyszałeś pan o sprawie kupca Łabędzia? - Karol Denhel kiwnął głową, choć najchętniej podskoczyłby w górę jak po голу, którego nigdy nie wbił. Z trudem się opanował, bo nie chciał, by szczurowaty łobuz poczuł, że odkrywa przed nim żyłę złota. - Teraz rozumie pan, czemu tej gnidzie Wlazle życzę jak najgorzej!

- Wlazle, a nie Wcisle. Może jednak Wcisle? - zainteresował się Denhel.

- No, zdecydowanie Wlazle, choć czasem przekręcam na Wcisle - zaśmiał się szczurowaty. - He, he, widzę, że nie tylko ja. To podobne nazwiska, a do tego Wcisło także służył w naszym pułku. Z tego Wcisły to porządny chłopak był, ale on jakoś potrafił się ustawić. Może dlatego, że jego funflem był koleżka, który podobnie jak Wlazło pochodził z Czerniakowa? Nie wiem, ale faktem jest, że dowództwo przedstawiło go do wyróżnienia za jakiś numer z tramwajem, który wyciął w Kijowie, ale chłopak spaprał wszystko. Rzecz jasna przez tego łachudrę Wlazłę. Zabałaganili na przepustce, a później wycięli jakiś cyrk dyżurnemu i trafili do kozy.

- Ciekawe... - Denhel zamyślił się. - Ciekawe, doprawdy niezwykle interesujące rzeczy opowiadasz, Edziu. A ten Wcisło to przez przypadek nie miał na imię Heniek?

- No królu złoty, jakbyś przy tym był! - ucieszył się Szczurek, który widząc zaciekawienie aspiranta, znów się poczuł pewnie. - No legalnie taką kiepełę to może mieć tylko inspektor!

Karol Denhel poczuł, że jest w Klondike i że się dokopał do żyły złota. Tylko żeby teraz tego nie spieprzyć, pomyślał.

Szybko spisał ze Szczurkiem cyrograf czyniący z niego współpracownika policji. To była tylko szopka, Denhel nie miał takich uprawnień, dwadzieścia złotych wypłacił mu z własnej kieszeni, po czym kazał puścić Edzia Rutowicza jako omyłkowo zatrzymanego. Teraz musi osaczyć tego Paprockiego vel Wlazłę. A swoją drogą nieźle się dobrali; Wcisło i Wlazło, Wlazło i Wcisło, jak bracia, kurwa ich mać. Któryś z nich skończy źle, a może nawet obaj, jutro przesłucha tego Paprockiego i wydusi z niego wszystko, a może nawet więcej niż wszystko.

Heniek się umówił na wyjście w góry z panem Murakamim. Chciał się przewietrzyć i ochłonać po przedwczorajszym artystycznym eksperymencie. Nie pchał się i nie było mu to potrzebne, ale Witkacy zaprosił go, więc zaproszenie przyjął. Artysta nasprawdzał jakiegoś zielska i sprawdzał, jak się po nim maluje. Zażyli więc wspólnie pejotl i Heniek poczuł coś dziwnego. Kolory latały mu przed oczyma, dźwięk się rozjeżdżał i głos Witkacego brzmiał jak chór słuchany przez metalową rurę. Heniek po kilkunastu minutach zrobił się ruchliwy, nadmiernie

pobudzony, a na koniec zmęczony. Obraz, który zobaczył, był zupełnie taki jak to, co widział po zjedzeniu kaktusa. Witkacy nie ukrywał zadowolenia z eksperymentu, ale Heniek źle się czuł i postanowił się po nim fest przewietrzyć. Jak zawsze mieli zacząć krótszą wycieczkę U Trzaski.

Japończyka jeszcze nie było, ale siedział tam już Witkacy, który się zaciągał na przemian dymem papierosowym i rześkim górskim powietrzem.

- Zakopianina... Wdychaj pan pełną piersią, chłoń pan ten szczególnie narkotyk. Pejotl, o czym się pan przedwczoraj przekonał, ma swoją przewagę, ale przecież pejotlu mogę zażyć także w Warszawie. Ale czy namaluję wtedy równie ciekawy portret jak tu, w Zakopanem? Czy po nocy pełnej szaleństw pójde się wspinać? Nie, bo po czym, po domach?

- Niektórzy lubią ten sport - uśmiechnął się Heniek.

- Jaki sport?

- No, wspinanie po kamienicach. Tu, na wsi ich nie ma, ale w Warszawie są śmiałkowie, którzy zdobywają niebotyki tak, jak tutaj się zdobywa turnie. Powiem więcej, lubią to i robią to zawodowo.

- Kominiarze?

- Nie, panie Stanisławie. Kominiarze wychodzą po zwykłych schodach, zdobywają dachy, jakby korzystali z alpejskich kolejek górskich. Ja miałem na myśli łipkarzy, złodziei, którzy jak ludzie pająki wspinają się po ścianach.

- Naszej kamienicy przy Hożej by nie zdobyli, to wysoki dom.

- Zdziwiłby się pan. Wyższe budynki padały ofiarą złodziei, choć i oni, tak jak taternicy, też ponosili przy tym straty.

- A to niezła ciekawostka, całkiem niezła.

- Panie Stanisławie, żegnam, bo nadchodzi pan Murakami, z którym umówiliśmy się na wycieczkę.

- Na wycieczkę, a pan z linami?

- Idziemy do Doliny ku Dziurze, ale pan Murakami ma tam podobnie ciekawe miejsce do wspinania. Ot, taka przechadzka z małą gimnastyką i emocjami, by nie zardzewieć.

- Powodzenia!

Pan Murakami wymienił z Witkacym krótkie, ale serdeczne uprzejmości i po chwili szedł już razem z Heńkiem w górę Krupówek. Po drodze doszedł do nich przewodnik, z którym od paru miesięcy chodził w góry japoński zakopiańczyk. Obecność Jędrusia Olczańskiego zaskoczyła Heńka. Doprawdy dziwne.

- Jędrus ma nam zapewnić bezpieczeństwo, bo wyprawa jest trudniejsza, niż to się panu zdaje. Ja lubię zaskakiwać - uśmiechnął się tajemniczo pan Murakami.

Trasa, którą mieli pokonać, nawet dla tych, którzy poszliby w góry prosto z pociągu, nie była wielką sprawą. Gdy była dobra pogoda, to do Doliny ku Dziurze ciągnęły całe zastępy początkujących turystów, którym się wydawało, że się ocierają o wielką przygodę. Na końcu dolinki była jej główna atrakcja - jaskinia nazywana Dziurą, a czasem Zbójecką Jamą. Ta druga nazwa przyprawiała panie i młodzież o ekscytację, a miejscowych i doświadczonych taterników o śmiech. To miejsce było od wielu lat doskonale znane nie tylko góralom, ale i miejscowym, więc nie mogło być żadną tajną kryjówką ani tym bardziej kryjówką, w której zbójnik chowałby zrabowane kosztowności.

Opowiadania o tym, że ostatni tatrzański zbójnik, Wojtek Mateja, miał tam szukać schronienia i trzymać skarby, można było włożyć między bajki. No chyba że mówił o tym z pełną powagą jakiś stary przewodnik. Heniek pamiętał, jak będąc tu razem z babcią i Stefą, spotkał wycieczkę gimnazjalistek, którym wąsaty weteran opowiadał mrożące krew w żyłach opowieści o skarbach Matei. Po skończonym wykładzie Heniek podszedł i zapytał:

- Ale was poniosło, przecież Wojtek Mateja niczego by w jaskini nie schował, mógł tu co najwyżej swoją Kackę wyobrazać.

Stary przewodnik uśmiechnął się i odpowiedział:

- Pany płacom, to pany majom, jak com, to mogę nawet im prawdziwego Janosika pokazać. - Obaj wybuchnęli śmiechem.

Gdy pan Murakami oznajmił, że idą po zbójnicki skarb, Heniek się zaśmiał serdecznie, przypominając sobie popis starego przewodnika, ale gdy zobaczył, że Japończyk rozgląda się uważnie i poprosił Jędrusia nie tylko o to, by ich asekurował, ale także o to, by ostrzegł przed intruzami, zrozumiał, że się kroi coś ciekawego. Okazało się, że w każdej legendzie jest jednak ziarnko prawdy. Poczuli się wspinać nieznaną i niezbyt długą drogą, ale efekt wspinaczki był zaskakujący. Na wysokości jakichś dziesięciu metrów ponad jaskinią znajdował się niewidoczny dla stojących na ziemi otwór, który był wejściem do kolejnej jamy.

- Jest pan pierwszym ceprem - gajinem, który tu wchodzi - powiedział pan Murakami gdy już byli w środku małej jaskini.

- Niebawałe - wyszeptał Heniek - niebawałe.

- To jest prawdziwa zbójcka jama, to tutaj całe pokolenia zbójników chowały skarby i szukały schronienia. Wszystko się

skończyło wraz z pojmaniem, a później śmiercią Matei, opowiadał o tym przy ognisku Janek Obrochta. Do tej pory bywali tu tylko zbójnicy, jedna kobieta oraz pewien przybysz z Japonii, choć nie jest to precyzyjna informacja. - Yoshiho Murakami zawiesił głos. - Pewno się to wyda panu niedorzeczne, ale pracuję dla rządu Peru...

Heniek o prawda zażywał przedwczorajszej nocy pejotl, ale sądził, że halucynacje już dawno minęły.

Jeszcze niedawno było tu jak w ulu. Areszt przy Daniłowiczowskiej napęczniał, bo psom się zachciało robienia dwóch obław naraz. Jaśniepaństwo miało wygody, a Frania wsadzili tam, gdzie siedziały te smutne lamusy z Kercelaka. Musiał temu i tamtemu dać w ryj, bo robili za dużo hałasu, a poza tym był wkurzony. Strata czasu i pieniędzy, kurwy zamiast pracować siedziały w areszcie. Na dobrą sprawę nic na nich nie mają, ale cała reszta już wyszła, bo papugi się zleciały i pozałatwiały wszystko w try miga.

Kto smaruje, ten jedzie, pomyślał gorzko. Kiedy do jasnej ciasnej wezmą go na przesłuchanie, spiszą i wypuszczą? Szkoda dnia, musi pogonić dziwki do roboty, wydobyć dług dla klienta i jeszcze odbyć spotkanko w sprawie przyjemnej roboty, która się kroi. W końcu wywołali go:

- Franciszek Paprocki!

Parę minut później stanął przed jakimś młodym psem. Nie znał go. Jakiś łaluś, pizpan, frajer. Elegancik w okularach, okręci sobie dupka wokół palca.



- Dzień dobry, nazywam się Denhel, aspirant Karol Denhel, a pan to Franciszek ... - śledczy zaczął jakby czymś speszony.

- Paprocki - odpowiedział Franio, z trudem tłumiąc rozbawienie.

Zachowywał powagę, żeby ten marny psina się poczuł troszkę ważny.

- Tak? - zdziwił się śledczy. - To ja mam chyba jakoś inaczej zapisane.

- Trudno, nie moja wina - odpowiedział Franio i pomyślał: - Co za lamus i niedołęga.

- No właśnie, to nie pańska wina - psinka prawie zaskomlała.

- A za co pan tu trafił? - zapytał usłużnie.

- Poszłem sobie troszeczkę na wielki świat popatrzeć, a tu trrrrach! Imprezka z hukiem się skończyła. Człowiek to ma pecha. Pójdzie sobie na bajzel u biednych starozakonnych gdzieś przy Krochmalnej, wstąpi na Kamienne Schodki czy wybierze się do hrabiego, to wszędzie to samo, bo nie wiedzieć czemu zawsze muszą wparować panowie policjanci.

- Nie wiedzieć czemu, powiadasz pan, panie... pardon, zapomniałem.

- Paprocki, Franciszek Paprocki. - Franio poczuł, że tamten zaczyna z nim w coś grać, ale w co mógł grać taki piszpanek? A musi, bo nie można być aż takim gamoniem. - Panie władzo, wepnij pan sobie szpilkie w klapę od gajerka.

- A po co, jeśli wolno zapytać? - Policjant uniósł w górę brwi.

- Bo co dwie głowy, to nie jedna! - zarechotał Franio i pomyślał: To jednak fajtłapa, on w nic nie gra.

- Dowcipniś z pana panie...

- Paprocki.

- Chyba sobie wepnę, bo widzisz pan... Nijak nie mogę spamiętać pana nazwiska, choć z tego co pan mówisz, to w naszej kartotece już pan jesteś. Gdzie pan teraz pracuje, co pan robi, jakie ma zajęcie?

- Nigdzie nie pracuję i nic nie robię.

- To skądinąd miłe i popłatne zajęcie. Jak patrzę na pana ubranie i jak dodamy do tego okoliczności, w których pana zatrzymano, to takie nicnierobienie musi być całkiem intratnym i dochodowym interesem. Opowiedz pan coś o tym, to może i ja się bym tym zajął?

- Proszę bardzo, ale konkurencja jest większa niż w policji.

- Doprawdy dowcipy się pana trzymają i to tylko te na sto dwa! Przepraszam, że tak walę prosto z mostu, ale czy nie siedział już pan w więzieniu?

- No zdarzyło się.

- A ile lat, jeśli wolno wiedzieć?

- Pół roku.

- Czyli tak, jakby pan w ogóle nie siedział - ucieszył się Denhel.

- Bo przecież rok nie wyrok, czyż nie tak?

- Najzupełniej.

- A za co pan tam trafił

- Za nic.

- Za nic? Za nic to się idzie na dziesięć lat, a za morderstwo się dostają czapę. Kłamiesz, łachudro, kłamiesz, skurwysynu! - Nagle policjant wyskoczył zza biurka i uderzył Frania w twarz tak, że ten z krzesłem poleciał na ziemię. Gdy usiłował się podnieść,

kopnął go raz za ucho, a potem poprawił po żebrach. Zanim się Wlazło obejrzał, już miał na rękach kajdanki.

- Kłamiesz. - Policjant mówił do niego z odległości paru centymetrów. - Kłamiesz, Franciszku Wlazło! - I mówiąc to, od niechcienia trafił go czołem w czubek nosa.

Denhel podniósł krzesło, wziął więźnia za fraki i posadził, a sam wygodnie się rozsiadł naprzeciwko.

- A ja nie kłamię i mam nieposzlakowaną opinię, tak że dołożę ci jeszcze za pobicie policjanta. - Gliniarz uśmiechnął się krzywo.

- O pardon, za próbę pobicia, bo musisz przyznać, że nie narobiłem sobie wstydu i broniłem się dzielnie. - I jakby dla potwierdzenia tych słów dał Frankowi sójkę w bok tak mocno, że tego aż przytknęło.

Wlazło był coraz bardziej oszołomiony Wyglądający na młodego pizspana frajerzyna złał go i zarządził nim jak hycel kundlem. Bolały go nos, głowa i żebra, bolało go wszystko, a najbardziej świadomość, że jest spalony. Ten cały Denhel pokazał mu, kto tu rządzi, że wpadł nie jak śliwka w kompot, tylko jak pestka w gównu. Czego chce ten skurwysyn?

- Pewno zastanawiasz się, czego od ciebie chcę. - Śledczy jakby czytał mu w myślach. - Chcę prawdy i tylko ona cię wyzwoli. Nie skamlaj, bo takich jak ty dusiłem jak pluskwy, być może jestem większym mordercą od ciebie, ale ty masz zbyt prostacki łeb, by to sobie wyobrazić, więc być może będę ci to musiał udowodnić. Chcesz tego?

- Wlazło pokiwał głową, że rozumie. Był jak pokonany pies, który podkula ogon i kładzie się na grzbiecie, czekając swojego losu.

- Wiem, że maczałeś palce w pewnej zbrodni, ohydnej i okrutnej zbrodni - ciągnął spokojnym głosem Denhel. - Ale mnie ona chwilowo nie interesuje, choć być może do niej wrócę, o ile zajdzie taka konieczność... - Policjant teatralnie zawiesił głos. - Mnie interesuje zupełnie kto inny, nie nieboszczyk Łabądź, tylko wciąż całkiem żywy Henryk Wcisło...

- Ten kasiarz?

- Brawo! - Denhel zaklaskał. - Brawo, w istocie o niego jest to całe zamieszanie!

- Kasiarz i morderca! - Ku radości śledczego Franio podbił stawkę.

- To mi się podoba, nawijaj, Franiu, no mów, mój drogi. Zamieniam się w słuch.

- Ale mnie się to nie opłaca...

- Życ ci się nie opłaca?

- Jak go sypnę, to i tak moje nazwisko wyjdzie na jaw. I on dostanie czapę, i ja. Jaki w tym interes?

Nie wiadomo jak i kiedy dostał fangę w nos, nie mocną, ale ostrzegawczą.

- Rozczarowujesz mnie. - Denhel popatrzył na Frania, przekręcając głowę jak pies, który zawiedziony jest tym, że nie dostał jeszcze kości, o której marzył. - A już myślałem, że się zaprzyjaźniliśmy. Ja ci ufam, ja na ciebie stawiam, a ty... No nieładnie, nieładnie. Czy ktoś oprócz nas wie o tym, co się stało? Ach ty panikarzu, myślisz, że wtedy dziewięć lat temu szkopy tak bardzo się tobą przejęły że w dwudziestym roku jak pojechałeś po zebrach swojego kumpla, to policja się tak wzruszyła? Przesadziłeś, mój drogi, oczywiście przezorność się chwali, ale

wtedy to ty przeceniłeś policję. Teraz wiemy o tej sprawie tylko my dwaj, chyba że...

- Chyba że?

- Chyba, że sypnie cię Wcisło.

- On prawie nic o mnie nie wie i ja o nim także niewiele. No, ma się rozumieć, jestem dla niego apaszem i alfonsem.

- Zobaczymy, mój drogi, zobaczymy... Na razie zapraszam do celi, bo wiesz, on jest człowiekiem bardziej rozmownym, dlatego wciąż jest na wolności. Zastanów się, proszę, chyba że się domagasz czapy albo w najlepszym wypadku jakiegoś miłego więzienia. Co byś powiedział na Święty Krzyż? Piętnaście lat zleci tam pewnie równie szybko, jak kwadrans szczerzej rozmowy. - Śledczy zaśmiał się upiornie. - A teraz żegnam, spotkamy się za dwadzieścia cztery godziny. Załatwię to tak, żebyś siedział sam, nic nie powinno rozpraszać twoich myśli. Także jedzenie i picie wydają się w tej sytuacji zbyteczne i bezsensowne. Mnisi gdy medytują, robią to w samotności i nie zwracają sobie głowy pokusami.

Policjant wstał jak gdyby nigdy nic i opuścił pokój, po chwili weszli umundurowani funkcjonariusze z aresztu. Franek był w ciężkiej dupie, tak źle jeszcze nigdy nie było. Musi coś wymyślić, musi!

Tymczasem w jaskini nad Dziurą Heniek był w równie wielkim szoku jak Franio w Warszawie przy Daniłowiczowskiej. W końcu zebrał myśli i odezwał się do pana Murakamiego:

- Nie chcę być niegrzeczny i zgodzę się z panem, to faktycznie brzmi niedorzecznie. Jeśli już praca dla rządu, to raczej dla japońskiego...

- W pewnym sensie ma pan rację, bo jestem agentem japońskiego wywiadu. - Heńka zamurowało. - Chcę z panem grać w otwarte karty.

- Pan wybaczy, co prawda przedwczoraj - jak pan doskonale wie - zażywałem z panem Witkacym pejotłu, ale było to, podkreślam - przed-wczo-raj i z moją głową jest już wszystko w porządku. Mam wrażenie, że pan ze mnie żartuje, panie Murakami. Czyż nie tak?

- Nie dziwię się panu, nie dziwię... - Zapytany zawiesił głos. - Ale jeśli powiem, że mam rekomendację pana kapitana Juliusza Beniowskiego, to chyba pan uwierzy?

Heniek wierzył, lecz z trudem. Jego twarz nie była w stanie tego ukryć, nagle jednak przypomniał sobie, że obaj, Beniowski i Murakami, pracowali dla przedsiębiorstw handlowych wysyłających towary za morze i gdy ich o to pytał, wyglądali na dziwnie zmieszanych. Nim cokolwiek rzekł, pan Murakami mówił dalej:

- A więc, drogi panie... Mamy razem pracować, zatem opowiem panu wszystko, jak to mówicie w Polsce? O, już mam - ucieszył się.

- Jak na spowiedzi. Urodziłem się w Peru, gdzie mieszka sporo Japończyków. Dziadek Haruki przyплыł tam z pierwszą falą emigracji, jeszcze w końcu dziewiętnastego wieku. Był pracowity i szybko pomnażał majątek, a ojciec zrobił prawdziwą fortunę. Mój szanowny ojciec Takuya Murakami - Yoshiho Murakami uklonił

się, jakby mówił do swojego rodzica, a nie do Heńka - wysłał mnie na studia do kraju przodków. Tam docenili moją umiejętność posługiwania się językami gaijinów z Europy. *Gaijin*, szanowny panie, to po japońsku cudzoziemiec, a więc także i pan. - Pan Murakami uśmiechnął się i pochylił głowę z szacunkiem. - Udoskonaliłem mój japoński, zakochałem się w kraju przodków iw... Chopinie. - Heniek patrzył ze zdumieniem. - Tak, tak, zakochałem się w muzyce Chopina, pan nawet nie wie, jak wasz rodak i jego muzyka są w Nipponie kochani. Stąd był już tylko jeden krok do zainteresowania się Polską. Gdy zwerbowano mnie na współpracownika Kempeitai, czyli wywiadu wojskowego, myślałem, że pojedę do Hiszpanii albo Meksyku, tymczasem szef - tu nastąpił rytualny ukłon - pan kapitan Kurosawa dał mi rozkaz wyjazdu do pana kraju. Zabawne, prawda?

- To przez Chopina?

- Nie, Chopin i ciekawość Polski to zbieg okoliczności. Wywiady i rządy czasem ze sobą współpracują. Zaczęło się od niewinnych rozmów na temat naszej japońskiej diaspory w Peru, a skończyło na pomocy rządowi Alejandra Maguiny. Premier, teraz już były premier, wykonywał tak naprawdę wolę pana prezydenta Leguii y Salcedo.

- Nazwisko prezydenta Japończyk wymówił uroczyście, nisko się kłaniając. - Otóż pan prezydent chce sprowadzić do kraju pamiątki po swoich poprzednikach, oczywiście nie po tych bezpośrednich. - Pan Murakami uśmiechnął się szeroko. - Chodzi o skarby Inków, a zwłaszcza o przedmioty ceremonialne, należące do władców. Premier Japonii pan Wakatsuki działał szybko, bo - tu pan Murakami znów się pięknie ukłonił - sprawę poparł regent

- ukłon stał się jeszcze głębszy i dostojniejszy - i tak z bardzo ogólnej prośby o pomoc i to raczej oficjalną, dyplomatyczną wyszła sprawa, w którą zaangażowało się Kempeitai. Zaczęto więc szukać właściwej osoby. Padło na mnie, uznano, że formalnie wciąż jako obywatel Peru i zarazem poddany cesarza jestem idealną osobą do tej misji. To piękne móc pracować dla dwóch ojczyzn.

- Pan wybaczy - zająknął się Heniek. - Mam teraz do pana tysiąc pytań, ale zacznę od tego, na które pan być może nie odpowie. A gdyby ten Kemp coś tam, ten wasz wywiad skierował pana do Peru?

- To akurat proste pytanie, dałem się zwerbować, ale pod warunkiem, że nie zdradzę Peru. Moja rodzina wiele zawdzięcza temu krajowi, więc uszanowano mój wybór, co więcej, wzbudziło to nawet uznanie przełożonych. Bardzo chciałem działać na szkodę Chile, by pomóc mojej ojczyźnie, ale szefowie uznali, że pomogę i Japonii, i Peru, pracując w Polsce. - Widząc, że Heniek się zbiera do pierwszego z tysiąca pytań, które chciał zadać, pan Murakami postanowił go uprzedzić. - Jak już mówiłem, wywiady czasem ze sobą współpracują. W interesującym nas przypadku wszystko się zaczęło od wizyty w Japonii pana Marszałka Piłsudskiego. - Pan Murakami się skłonił, jakby mówił o samym cesarzu. - Było to w roku tysiąc dziewięćset czwartym w czasie wojny z Rosją. Pan Marszałek przyjechał do Tokio ze swoim politycznym rywalem, panem Dmowskim, i obaj zabiegali, każdy na swój sposób, o poparcie dla sprawy polskiej. Pan Dmowski chyba nic nie osiągnął, ale za to pan Marszałek... Nie założono, co prawda, polskich legionów, bo było już na to za późno, ale za to Cesarstwo



Japonii objęło polskich jeńców z armii rosyjskiej specjalną opieką.

- Faktycznie tak było! Starszy brat ojca, Tomasz, bardzo sobie chwalił pobyt w niewoli!

- A widzi pan! A to dopiero początek długów, jakie wtedy pan Marszałek zaciągnął w Tokio. Kempeitai nie załowało środków na polską sprawę, do Polski pojechało kilka tysięcy sztuk broni, amunicja i materiały wybuchowe. Dlatego, szanowny panie, bojowcy z PPS-u mieli czym walczyć w czasie rewolucji. Ludzie pana Piłsudskiego się szkolili w Szwajcarii, ale to my wszystko zorganizowaliśmy, a do tego dwa lata z rzędu na konta bojowców wpływało po dziesięć tysięcy funtów. Stąd Kempeitai miało pewność, że telefon naszego premiera do Marszałka Piłsudskiego błyskawicznie otworzy nam wszystkie drzwi. Wydział Drugi Sztabu Generalnego udzielił mi potrzebnej pomocy. Współpraca z panem kapitanem Beniowskim to była prawdziwa przyjemność i, gdy zbliżył się termin finału mojej sprawy, poprosiłem go o to, by wysłał mi na pomoc swojego człowieka. Tak oto się dowiedziałem o panu i nie ukrywam, że była to dla mnie niezwykle miła niespodzianka.

- To doprawdy imponujące, ale czemu ma pan pewność, że się zgodzę? Tak prawdę mówiąc, nawet nie wiem, co miałbym robić.

- Kapitan Beniowski opisał mi pana i wiem, że to robota, na którą pan czeka. Oferuję przygodę, duże pieniądze i... - Japończyk spojrział na kartkę - i „Oskubanie drania, tak by poczuł się jak skończony frajer”. Pasuje? - zakończył wyraźnie zadowolony. To ostatnie słowo też przeczytał z kartki.

- W zasadzie tak, ale Julek ma nieaktualne wiadomości, ja się zmieniłem, ja porzuciłem dawne życie!

- Porzuci je pan mocniej, niż się panu wydaje. Oferuję panu pięć tysięcy dolarów, bilet kolejowy do Cherbourga i rejs do Ameryki pierwszą klasą. - Patrząc na zdziwioną twarz Heńka, dodał: - Nie byle jakim statkiem, mam opłaconą rezerwację na rejs transatlantykiem „Majestic”! Do tego od siebie ma coś dołożyć także kapitan Beniowski.

- To szczyt wszystkiego! Ja się nie wybieram do Ameryki, nie mam takiego zamiaru. - Heniek był po prostu wściekły.

- I to pan kapitan przewidział - powiedział pan Murakami i podał Heńkowi kopertę. - Proszę, niech pan czyta, panie Henryku.

Heniek się uspokoił, rozdarł kopertę i zaczął czytać.

*Heniu, mój drogi Przyjacielu!*

*Przepraszam, że cię zaskakuję tą sytuacją, ale nie ma innego wyjścia. Jesteś osaczony i będziesz musiał uciekać. Wiem, że chciałeś wrócić do nauki, że masz plany, by zmienić swoje życie i że robisz to wszystko dla Leokadii. To piękna i mądra dziewczyna, ale tu nie ma co marzyć, tu trzeba uciekać! Skala działań aspiranta Denhela jest niebezpieczna i nie licz na to, że ci odpuści. Czuje do ciebie osobisty uraz, ustaliłem, że chciał być kiedyś kochankiem Leokadii i był naprawdę blisko, ale wszedłeś mu w paradę. Po drugie, potrzebuje jakiegoś sukcesu, bo choć był w szkole policyjnej prymusem, to na razie funkcjonariuszem jest bardzo przeciętnym. Zżerają go zazdrość i ambicja, więc będzie*

*chciał cię zniszczyć za wszelką cenę. Sprawa zakończy się tylko w dwóch przypadkach, albo jeśli wyparujesz jak kamfora, albo jeśli umrzesz. To pierwsze rozwiązanie jest chyba ze wszech miar lepsze, prawda? To nie będzie jakaś poniewierka, bo pan Yoshiho Murakami nie tylko będzie przewodnikiem w Europie i w Ameryce, ale i zapewni środki na dalsze życie i parę innych niezbędnych drobiazgów. Ja ze swojej strony uzupełniam Twoje dokumenty na znane ci nazwisko Henryk Haas. Ustaliłem całą historię, która tworzy Twoją nową legendę. Będziesz urodzonym w Warszawie obywatelem Niemiec, zatrudnionym w amerykańskiej filii przedsiębiorstwa z Berlina. Pan Murakami ma zestaw lektur na temat tego miasta. Nie będziesz go musiał znać zbyt dobrze, bo będziesz świeżym emigrantem z Polski. W Chicago wszystko jest naszykowane na Twój przyjazd. Przysięgam, że będę się opiekował Leokadią, Stefą i babcią nie gorzej niż Twój ojciec moją matką i mną. Ustalę sposób komunikacji między nami, na początek pisz na adres, który poda Ci Pan Murakami. Nie mówię żegnaj, tylko do widzenia.*

*Twój przyjaciel Juliusz*

*PS Proszę Cię, abyś zaraz po przeczytaniu niezwłocznie spalił ten list. Jak wiesz, ja także jestem na liście podejrzanych Denhela. Zadanie, które wykonasz dla pana Murakamiego będzie bardzo proste. Liczę na Twój spryt i inteligencję, wszystko będzie leżeć w Twoich rękach. Oczywiście jeśli nie będziesz chciał, to nie wyjedziesz, to tylko propozycja. Jeszcze raz pozdrawiam.*

*JB*

Heniek poczuł, że krew odpływa mu z głowy, zachwiał się i przysiadł na kamieniu. Pan Murakami wyciągnął manierkę z wodą.

- Niech się pan napije.

- Ale to chyba nie woda jest mi potrzebna - powiedział słabym głosem.

- Na to też jestem przygotowany! - Yoshiho Murakami sięgnął do plecaka i wyciągnął piersiówkę. - Łącka śliwowica - poinformował, a raczej ostrzegł. - Ponad siedemdziesiąt procent mocy - przypomniał na koniec z miną człowieka, który w tej materii miał już odpowiednie doświadczenie.

Heniek wziął solidny łyk i spuścił głowę. Kiedyś Julek powiedział mu, że „dwójka” pewnego dnia uratuje mu tyłek. W głowie huczało, ale nie na tyle, by się nie przebił w niej głos Julka: „Proponujemy ci współpracę na dobrych warunkach. To będzie twoja polisa ubezpieczeniowa. Pomyśl, skoro my o tobie wiemy, to dlaczego policja kiedyś do tego nie dojdzie, nie są tak dobrzy jak my, ale za dwa, trzy lata... Wtedy się przydadzą przyjaciele i to tacy, którzy mogą naprawdę wiele. Ale to tylko propozycja, przymusu nie ma”. Słowa wypowiedziane przez Julka niespełna dwa lata temu odtwarzały się teraz w jego głowie jak z gramofonowej płyty. Heniek sądził, że ten dzień nigdy nie nastąpi, ale stało się zupełnie inaczej i to nawet nieco szybciej, niż prorokował przyjaciel. Musi ratować skórę, musi wiać. Jak on to powie Leokadii? A może wcale nie musi uciekać za granicę? Postanowił wziąć się w garść, wypił więc szybko jeszcze jedną kolejkę łąckiej i wystrzelił z siebie ze sztucznym uśmiechem:

- No, opowiadaj pan, panie Murakami, o robocie, frajerze, którego mamy zrobić, i całej reszcie!

XXXV

## DZIEŃ ŚWIĘTEGO ANTONIEGO 1927

*Dziennik Stefanii Wcisło*

*Zakopane, 7 czerwca roku 1927*

*Nie wiem, czy powinnam to pisać, ale skoro mam uczciwie przedstawiać losy moje i moich bliskich, to chyba powinnam. Heniowi nie służy znajomość z panem Witkacym. Ja tam się lubię z nim spotykać, bo jest taki pocieszny. Inne dzieci i młodzież także, ale dorośli mają na temat pana Witkaca różne zdania. Babci nie podoba się, jak Heniek wraca rano od pana Witkacego z tych jego pozowań i, jak to mówi, „inszych szopek”. Na szczęście od pewnego czasu mój brat zajmuje się już tylko chodzeniem w góry.*

*Zapiski Leokadii Rostockiej*

*Warszawa, 8 czerwca roku 1927*

*Wczoraj w Warszawie doszło do wielkiej tragedii. Jakiś młody człowiek zastrzelił na Dworcu Głównym, sowieckiego ambasadora. Podobno to białogwardzista, a ambasador miał brać udział w zamordowaniu cara.*

Juliusz Beniowski rzadko kiedy myślał o cudzych problemach, zwykle dopadały go własne. Sprawę Heńka wyjaśnił, ustawił i zamknął. Nieodwołalnie, bo tak było trzeba. Zastanawiał się teraz, co się dzieje we wschodnich oddziałach „dwójki”. Wygląda na to, że oni oraz policjanci z defensywy nie zwrócili uwagi na białych Rosjan. Wczoraj jeden z nich, jeszcze niepełnoletni Borys Kowerda, podziurawił na Dworcu Głównym sowieckiego ambasadora Piotra Łazarewicza Wojkowa, o pardon; przedstawiciela, bo bolszewicy brzydzili się burżuazyjnymi tytułami. Ten Kowerda musiał być dobrze poinformowany albo uważnie śledził Wojkowa, bo doszedł za nim na peron i poczekał, aż ten się zajmie powitaniem Arkadija Rozenhołca, do niedawna sowieckiego przedstawiciela w Anglii, szpiega, którego Brytyjczycy wydalili precz poza swoje granice. Z ludzkiego punktu widzenia to szkoda, że Kowerda nie ustrzelił też tej drugiej kanalii, ale ze względu na politykę i stosunki polsko-sowieckie to całe szczęście, podobno sam Marszałek bez rozgłosu pofatygował się na Poznańską do ich ambasady, by złożyć kondolencje. Borys Kowerda powiedział podczas przesłuchania, że interesował go tylko Wojkow, bo należał do morderców cara i jego rodziny, a zamach był niczym innym, jak egzekucją mordercy skazanego na

śmierć przez białogwardyjski sąd. A swoją drogą, ciekawe, za co można byłoby odstrzelić tego Rozenhołca!

- Juliuszu - usłyszał głos Heleny Popiel. - Juliuszu, o czym myślisz?

- Myślę tylko o tobie, kochana. - Wyrwany z głębokich myśli nie stracił refleksu ani też nie zapomniał, jaki jest główny cel dzisiejszego dnia. - Czyż mógłbym myśleć o czymś innym jak nie o tobie i wieczorze, który nas czeka?

- Wieczór mamy już od pewnego czasu, ja myślę o tym, co czeka nas w nocy.

Jej głos był piękny, nie przesłodzony, ale uroczy, z nutką aksamitu i z domieszką pewności siebie. Takie kobiety lubił, a ją... chyba nawet kochał.

- Heleno, marzę o tobie - powiedział i pocałował ją w usta.

Odwzajemniła się namiętym pocałunkiem.

Dorożka zjeżdżała w dół ze skarpy i za chwilę będą pod pensjonatem hrabiego Ledóchowskiego. Sałata zahamował, Julek zapłacił, po czym wysiadł pierwszy i podał rękę Helenie, a w wtedy...

- Dzieńdoberek, widzę, że jestem nie w porę, ale muszem.

- Z ciemności wyszedł Franek.

- Spieprzaj, spieprzaj natychmiast - Julek syknął mu do ucha.

- Mam w dupie to, co się stało, rozumiesz!

- Nawet to, że się zostałem konfidentem policji?

- Juliuszu, czy zawsze muszę być tylko przystawką do twoich spotkań z jakimiś typami? - W głosie Heleny Popiel nie było już aksamitu.

- Zaraz, już, ja...



Beniowski nie zdążył powiedzieć więcej.

- Panie dorożkarzu - Helena krzyknęła do sałaty, który już chciał zaciąć konie i ruszyć w kierunku placu Trzech Krzyży lub Nowego Świata, gdzie mógł o tej porze liczyć na rozbawione towarzystwo.

- Niech pan zaczeka, jadę, tylko jeszcze powiem coś temu panu. Podeszła szybko, nie tracąc nic ze swojej zmysłowości. Kołysząc biodrami, zbliżyła się do niego i wyskandowała:

- Ty tumanie! Ty skończony tumanie. - Widać było, że się powstrzymuje przed atakiem hysterii i płaczu. Udało jej się, opanowała wzburzenie i dokończyła już spokojniejszym głosem. - W sumie to ja jestem skończoną kretynką, bo moja kuzynka Magda uprzedzała mnie przed tobą! Skończony bałwanie, który nie szanujesz kobiet, niepunktualny, zadufany w sobie i z tymi swoimi dziwnymi znajomościami. Żegnam i proszę mi się nie kłaniać na ulicy!

To był koniec, który nastąpił po obiecującym początku, koniec, którego nie poprzedziło rozwinięcie. Między początkiem i końcem nie było żadnej przygody, żadnego wspomnienia, tylko nieskończony niedosyt. Patrzył, jak idzie w kierunku dorożki, jak płynie po trotuarze, jak jej biodra kreślą w powietrzu niewidoczne, boskie linie.

Kurwa mać! - pomyślał. Ożeż kurwa jego mać! Skończone, a swoją drogą nie wiedział, że Magda Machnicka jest kuzynką Heleny Popiel. Szybko jednak jego myślenie przestawiło się na nowe tory, pojawienie się Frania oznaczało kłopoty znacznie większe niż przegrane romanse z powabnymi kuzynkami.

Heniek już wszystko wiedział. To nie będzie nic wielkiego, chodząc po górach, ryzykował więcej i to często po parę razy w ciągu jednego dnia; Mnich, Mięgusze, Orla Perć... Tam ludzie spadali na łeb, na szyję, a chłopaki od Oppenheima często przychodzili tylko po to, by pogruchotane szczątki miały godny pochówek. Załatwią to w trójkę rach-ciach, ciach, pan Murakami, Jędrus i on, tak jak to jeszcze niedawno robili zbójnicy. Żadna filozofia dla jednego oficera wywiadu, przewodnika, który dorabia, kłusując, i na przemycie, oraz byłego żołnierza, kasiarza i bojówkarza PPS-u. To będzie jak splunąć, za parę dni to zrobią i pozamiatane! Bardziej pochłaniało go myślenie o tym, co dalej. W sumie to pieprzy prośby Julka; nigdzie nie będzie uciekać, ten pies może mu co najwyżej naskoczyć.

A więc sposób, w jaki pokierował losami Heńka, był jak najbardziej właściwy... Ma się jednak ten instynkt i siłę, by nie ulec wzruszeniom, pomyślał o sobie z zadowoleniem Beniowski. Był zbyt mocny i doświadczony, by ulec pokusie przesunięcia ryzyka na stronę wywiadu i swoją. To, co wymyślił i wprowadził w życie, było dla oficera tajnej służby jedyną możliwą drogą. Franek miał powód, by przerwać mu tak pięknie zapowiadający się wieczór, bo podług tego, co powiedział, pętla wokół Heńka zaciskała się coraz mocniej. Wlazło vel Paprocki powiedział mu, że Denhel zatrzymał go w sprawie związanej z Heńkiem, że wiedzieli o jego konszachtach z gangiem Kopeckich, a także, o zgrozo, o

Wolskiej i podejrzewają, że to Heniek zgładził swoich sąsiadów, a jego matkę i Antosia konkurencyjny gang! Czyżby Denhelem sterował sowiecki wywiad?!

Pot zalał mu czoło, ale szybko się opanował. Pojutrze Heniek robi przysługę panu Murakamiemu i obaj bezpiecznie pryskają z Polski. Chłopak wyjedzie za granicę i przyklei się do placówki, na pewno będzie mu dobrze w Chicago i zrobi tam karierę. Murowaną! „Dwójka” miała w Berlinie firmę, która się zajmowała kasami pancernymi, sejfami i alarmami. Mieć takie coś, to dla szpiegów miód malina! Nie dość, że była to genialna przykrywka i dawała dostęp do różnego rodzaju papierów i poufnych informacji, to na dodatek przynosiła dochody! Od dwóch lat utrzymywali w Berlinie kontakt z rotmistrzem Jerzym Sosnowskim, niewielu o nim wiedziało, ale kapitan Beniowski tak, i do tego miał z nim dobre relacje. Sosnowski był prawdziwym geniuszem, to on dzięki swoim znajomościom znalazł firmę, która była w kryzysie, i zainwestował w nią środki „dwójki”. Przejęli interes, wsadzili pod dobry szyld swoich ludzi i jechali naprzód!

Biznes szedł tak dobrze, że Eisenschloss - bo tak się nazywało przedsiębiorstwo - otworzył przedstawicielstwa w innych krajach. W Stanach Zjednoczonych wywiad nie miał żadnego interesu, ale zawsze warto mieć placówkę także tam, tam gdzie się to nie wydaje konieczne. Tym bardziej warto, że oddział w Chicago - tam nazywał się Iron Castle - nie przynosił strat, a teraz mógł nawet dać podwójny zysk, bo zatrudniony zostanie tam Heinrich Haas, niemiecki emigrant urodzony w Polsce. Wiedział, że taka kariera nie była ani marzeniem, ani wyborem Heńka, ale trudno. Ryzykowałby zbyt wiele, więc musiał go poświęcić. Pomoże jego

rodzinie, a Leokadia... no cóż, jego związek z Leokadią był jak jazda pociągiem donikąd. To musiało kiedyś gruchnąć, więc lepiej, żeby on wziął za to na siebie odpowiedzialność, skoro żadne z nich nie potrafiło tego zrobić. Sprawa Henryka Wcisły posprzątana, warto być twardym. Tak trzeba.

O Frania też zadbał, to zabawne, ale tak jak jego podejrzewał o zabójstwo matki Henia, tak Franio oskarżał Julka i „dwójkę” o zamach na swoje życie. Wlazło vel Paprocki, gdy się zamieniał w durszlak, sądził, że robi to człowiek od Beniowskiego, szybko jednak zrozumiał, że to on się postarał, by go odratowano, i że to jego ludzie czuwali w szpitalu, by ktoś nie wsadził mu kosy pod zębra albo po prostu nie zatkał na wieki japy poduszką. Teraz Franio nie ma już żadnych wątpliwości, komu trzeba ufać, i ma wiernie służyć, choć zapewne do niczego się już nie przyda, jest spalony i musi się gdzieś zaszyć. To mu załatwił, a teraz musi pomyśleć o sobie. Myślał długo i wreszcie wiedział, co robić. Zagra va banque!

Franio poczuł, że może mieć kłopoty, większe niż do tej pory. Od lat czuł na plecach gorący oddech policji, ale po tym, jak ktoś podziurawił go niczym sito na melinie, zaczął się bać tak na poważnie. Zrozumiał, że wszedł do niewłaściwej gry, że zadając się z dwójkarzami, podpisał być może na siebie wyrok. Na komendzie wypucował więc Wcisłę ze wszystkiego, z czego tylko mógł, i w gratisie dołożył parę bajek. Udało się, pies wszystko łyknął i wypuścił go, licząc na jeszcze. Ale pokorne cielę dwie matki ssie. Poszedł do kapitana Beniowskiego i u niego też ugrał swoje. Było

warto, dostał nowe papiery, włącznie z paszportem, i tysiąka w rozmaitych walutach. Teraz przypomniały mu się słowa starego cwaniaka Alfreda Dudy, którego znał jeszcze z Czerniakowa: „Tu nie ma co się zastanawiać, tu trzeba spierdalać!”.

Aspirant Karol Denhel był na ostatniej prostej w prowadzonym śledztwie i postanowił załatwić sprawę w wielkim stylu. Wziął urlop po to, by pojechać do Zakopanego i tam osaczyć Wcisłę. Właśnie pod Tatrami sprowokuje go do błędu. Był już spakowany, w walizce poupychał sportową garderobę, a resztę postanowił dokupić na miejscu. Nie zarabiał tyle, by móc sobie pozwolić na wielkie luksusy, ale jako aspirant służący w Urzędzie Śledczym i do tego w Warszawie otrzymywał co miesiąc z dodatkami prawie czterysta złotych. Teraz pozostało mu tylko posprzątać biurko, po pracy odwiedzić Elizę i na dziesięć dni w Tatry!

Był ciekaw tego wyjazdu, ale po wejściu do urzędu cała wyprawa zeszła na dalszy plan. Czekająca na niego koperta z napisem: „Do rąk własnych Pana aspiranta Karola Denhela”. Rozciął ją, wyjął list i zaczął czytać:

*Szanowny Panie, nazywam się Juliusz Beniowski, kapitan Juliusz Beniowski. Uważam, że mamy do pogadania. Sprawa jest pilna, zapraszam na dziś do Ziemiańskiej przy Mazowieckiej na pół do szóstej wieczorem.*

## *Kapitan Juliusz Beniowski.*

Karol Denhel poczuł, że pocą mu się dłonie. Spojrzał na zegarek, była ledwie dziewiąta, do pół do szóstej pozostawało jeszcze tyle czasu...

Spotkanie miało się odbyć w miejscu, które Juliuszowi Beniowskiemu dobrze się kojarzyło, choć za każdym razem przypominał sobie podchorążego Wilhelma Tella<sup>95</sup> z POW, który w pierwszych latach działalności lokalu był kierownikiem sali. Młody chłopak, Karol, syn mistrza cukierniczego Luigi Graffi, miał przed sobą całe życie. Mógł zrobić, jak wielu peowiaków, karierę w wojsku, mógł też wiele zdziałać w gastronomii. Szefowie Lardellego marzyli, żeby obaj Graffi - Luigi i Karol pracowali w ich lokalu przy Mokotowskiej. Kto wie, jak by to było, ale Karol należał do tych, którym zabrakło szczęścia, zginął pod Radzyminem wraz z ojcem Heńka.

Kapitan przybył dokładnie o czasie, a policjant czekał na niego już od kwadransa. Beniowski przyszedł dużo wcześniej, ale nie przekroczył progów Ziemiańskiej, lecz się zainstalował w położonej niedaleko restauracji U Wróbla. Była sobota, więc zamówił słynne na całą Warszawę flaki. Rozsiadł się wygodnie i dyskretnie obserwował Mazowiecką. Policjant przyszedł jakieś pół godziny przed umówionym czasem, by się miotać przed lokalem. Wchodzić czy nie?

Wyglądał groteskowo, bo miał przy sobie walizkę. W końcu zapalił papierosa i zaczął dreptać jak więzień na spacerunku, najpierw z walizką w ręku, ale później, gdy zaczęła mu ciążyć, odstawił ją i zaczął krążyć wokół niej.

Kręcił się jak pies na łańcuchu, musi być zdenerwowany, z satysfakcją pomyślał kapitan, ze spokojem i smakiem napoczynając porcję flaków. Smakowały bosko, najlepiej na świecie, chociaż Heniek Wcisło uważał, że nie ma to jak flaki z wolskiego Kercelaka. Smakując jedną z popisowych potraw Wróbla, Julek zastanawiał się, jak ten harcerzyk z Urzędu Śledczego podejdzie do sprawy. Ile odkrył, czy ma jakieś haki? Wiedział o nim sporo, że jest pilny i wytrwały jak rasowy pies gończy. Miał jednak swoje wady - brak mu było doświadczenia i działał kompletnie sam.

Karol Denhel nerwowo przekładał nogę na nogę i pukał koniuszkami palców w blat stolika. Był niespokojny, bo za chwilę miał spotkanie z oficerem „dwójki” i jednym z najbliższych przyjaciół tej wolskiej przybłądy. Wiedział, że nie będzie łatwo, więc popełniał błędy. Pierwszym było to, że przyszedł tu za wcześnie. Nie mogąc wysiedzieć na nieodległej przecież Daniłowiczowskiej, udał się na Mazowiecką grubo przed czasem. To nie ukoło jego nerwów. Miał wrażenie, że czeka przez całą wieczność, że oficer wywiadu opóźnia swoje przyjście. Do tego ta cholerna walizka, ale przecież prosto ze spotkania z Beniowskim szedł do Elizy, a później miał gonić na dworzec, a tam wsiąść do pociągu i pojechać slipingiem do Zakopanego. Irytowało go to

niezmiernie, choć kapitan Juliusz Beniowski spóźnił się jedynie o trzy minuty. Oficer był od niego niewiele starszy, ale czuć było ogromną pewność siebie i obycie. Do lokalu wszedł jak do siebie, przywitał się wylewnie z kierownikiem sali i kelnerami. Był czarujący, elegancki i denerwująco swobodny. Już na powitanie pokazał mu, kto tu jest petentem.

- Spotkałem się z panem, chociaż nie musiałem...

To bezczelność, pomyślał Denhel. Jawna bezczelność, przecież to on mnie zapraszał!

- Przywiodła mnie tu ciekawość, a nie obawa. Wie pan chyba, że ciekawość to moja przypadłość i zawód jednocześnie...

Policjant poczuł, że popełnił więcej niż jeden błąd. Nie dość, że zdał sobie sprawę, iż bez powodu przyszedł wcześniej, to na dobitkę zrozumiał, że niepotrzebnie się spotkał z Beniowskim. Spodziewał się tego, co miało teraz nastąpić, ale na odwrót było już za późno.

Beniowski tymczasem ciągnął:

- Gdybym miał się czego obawiać, to...

- To rzecz jasna oczekiwałby pan nie mnie, tylko żandarmerii wojskowej - jak automat dokończył Denhel.

- A zatem się pan domyśla - Beniowski uśmiechnął się czarująco - że nie jestem tylko handlowcem i że wciąż moim miejscem pracy jest Oddział Drugi Sztabu Generalnego? - Widząc, że trafił w punkt, ciągnął dalej. - Nie jest to wiedza powszechna, raczej tajna...

Beniowski zrobił pauzę i spokojnie sięgnął do kieszeni po papierosa.

- Pali pan? - zapytał z wyszukaną uprzejmością.



- Palę - powiedział aspirant, wyciągając rękę po papierosa.

- O, egipskie!

- No cóż, palą je najlepsi - uśmiechnął się Beniowski.

- Nie będziemy chyba rozmawiać o polityce? - Był to przytyk do tego, że nałogowy palacz marszałek Piłsudski najbardziej cenił sobie właśnie egipskie.

- Pan raczy żartować...

- Czemu?

- Bo to pan mnie zaprasza na rozmowę, a pyta, o czym będziemy rozmawiać.

Denhel aż podskoczył.

- Ależ to pan mnie zapraszał!

- Czyżby? - zapytał z bezgranicznym zdziwieniem kapitan i wyciągnął z kieszeni kopertę. - Chciałbym teraz spytać, czy to pański charakter pisma, ale... wysłał pan zaproszenie napisane na maszynie.

Karol Denhel poczuł, że się poci, sięgnął do kieszeni i wyciągnął list od Beniowskiego. Rozprostował kartkę i położył ją przed kapitanem, ten się przyjrzał i obdarzył go szerokim uśmiechem.

- A zatem, panie kapitanie... - zaczął niepewnie - a zatem skąd te działania? - Beniowski patrzył na niego przenikliwym wzrokiem.

- O co w tym wszystkim chodzi?

- To ja się pytam. Czy pan przypadkiem nie zbiera na mnie materiałów? Czy nie ściąga mi pan na plecy obcego wywiadu? Czy wie pan, w jakie tajemnice się pakuje? - kapitan mówił pewnym,

niewielko oskarżycielskim, ale wciąż dość uprzejmym tonem. Był raczej belfrem niż prokuratorem.

- Bo...

- Bo co?

- Bo zastrzelił pan człowieka na ulicy?

- A o którego pan pyta? - Odpowiedź Beniowskiego kompletnie wytrąciła policjanta z równowagi. Czuł się jak bokser, który dostał mocny cios i poleciał w liny. - Bo wie pan, ja nie mam żony z pieskiem, ja w ogóle mieszkam sam. Ani żony, ani pieska, mam za to rewolwer służbowy i z nim chodzę na spacer, a że jestem porywczy, to potrafię kogoś zabić. Ot, taka przypadłość.

Denhel czuł się, jakby przyjął serię, po której musiał klęknąć na deskach ringu, by nie zostać znokautowanym. Zamiast powiedzieć coś głupiego zaciągnął się papierosowym dymem i długo wypuszczał go z płuc. Grał na czas i pomyślał, że palenie okazało się błogosławnym nałogiem.

- To ciekawe, co pan mówi - Denhel wreszcie zebrał myśli. - Bo ja marzę, by mieć automobil i rozjeżdżać nim przechodniów.

Riposta była celna. Obaj się zaśmiali serdecznie, ale kapitan szybko spoważniał i niespodziewanie przeszedł do kontry. Teraz już nie był taki uprzejmy.

- Jak mi nie mam, pyta pan o incydent, który się wydarzył w sierpniu roku dwudziestego szóstego? Dokładnej daty nie pamiętam, bo się śpieszyłem wtedy na naradę do pułkownika Bleszyńskiego. Nie mogłem się spóźnić, dlatego pozwoliłem sobie się oddalić z miejsca zdarzenia.

- Pułkownik Bleszyński?

- Pułkownik Jerzy Ferek-Błeszyński - szef Oddziału Drugiego Sztabu Generalnego. A gdybym został, to co by to zmieniło? Zabijając bandytę, co prawda mało po dżentelmeńsku, bo strzałem w tył głowy, uratowałem być może paru niewinnych obywateli. Co by mnie za to spotkało, jak pan sądzi, panie aspirancie? - To był kolejny celny cios wyprowadzony przez oficera „dwójki”.

- To była obywatelska postawa, jest pan bohaterem. - Denhel nieco bez przekonania ripostował na słowa kapitana. - Kto wie, może otrzymałby pan odznaczenie?

- Drogi panie. - Beniowski uśmiechnął się z wyższością. - Ja nie zrobiłem tego dla poklasku czy odznaczenia... Mój awans w wojsku także nie zależy od takich wyczynów.

- Ale dałeś pan dobry przykład!

- Żebyś się pan nie zdziwił, jak szybko Policja Państwowa zaczęłaby mieć kłopot z taką obywatelską postawą. - Tym razem uśmiech był szyderczy. - W Ameryce mają nawet na to specjalną nazwę: lincz. Zapewniam pana, że nie wszystkim by się to spodobało. Poza tym, jak pan to sobie wyobraża - oficer wywiadu na tapecie? Może jeszcze miałbym wystąpić w Kronice PAT-a? Praca, którą wykonuję, nie lubi rozgłosu. Dyskrecja przede wszystkim.

Karol Denhel poczuł, że zajechał w ślepią uliczkę. W gardle mu zaschło i szukał jakiegoś punktu zaczepienia.

- Czy ma pan do mnie jeszcze jakie pytania? - Widząc zaskoczoną minę Denhela, Beniowski dodał: - Spieszę się na spotkanie. Służbowe spotkanie.

- Z pułkownikiem Błeszyńskim?

- Pan raczy żartować, teraz szefem jest pułkownik Schaetzel, a poza tym to nie jest spotkanie z nim, tylko z osobą, której nazwisko wyjawilibym wyłącznie za zgodą moich przełożonych.

Policjant wiedział, że teraz ma do wyboru, albo spytać wprost, albo zakończyć spotkanie. Być może byłoby lepiej dać sobie spokój, ale nie wytrzymał.

- Chodzi mi, panie kapitanie, o sprawę napaści na pana i na Henryka Wcisłę, do której doszło w sierpniu roku dwudziestego piątego...

- To interesujące, bo widzi pan, ja też często wracam do tej sprawy. Czy wydarzyło się może coś nowego?

- Nic ponadto, co jest oczywiste... - Zawiesił tajemniczo głos. - Tej samej nocy rannych zostało więcej osób.

- To niebywałe, opowiadaj pan! - z entuzjazmem i niemal dziecięcą ciekawością ponaglił go Beniowski.

Denhel poczuł, że oficer z niego drwi.

- Ranny został podpułkownik Aleksander Nowicki...

- Przecież wiem o tym, że był ranny. - Po tonie wypowiedzi Denhel zrozumiał, że Beniowski z trudem powstrzymuje irytację.

- Postrzelił się, czyszcząc broń, to fakt powszechnie znany, myślałem więc, że się stało coś, o czym nie wiedziałem.

- Pan dokładnie wie, o czym myślę...

- Nie wiem.

- Wie pan, panie kapitanie.

- To ciekawe, że pan wie o tym, co ja mogę wiedzieć albo nie, to zastanawiające.

- Sądzę, że panowie byli we trójkę, że spotkało was coś, co wspólnie ukrywacie. Myślę, że to coś więcej niż zbieg okoliczności,

uważam...

- Uważa pan... - Beniowski przerwał Denhelowi w pół zdania, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. - To niech pan uważa, ale na siebie. Nie pchaj pan nosa w nie swoje sprawy!

- To groźba?

- Nie, to dobra rada, żebyś się pan nie czepiał oficera Wojska Polskiego, w przeciwnym razie, szanowny panie, przejdziemy na drogę służbową. Rozumiesz pan?

- Rozumiem. Proszę bardzo, panie kapitanie.

- Nic nie rozumiesz. - Głos Beniowskiego był już lodowaty. - Bo pozwalasz sobie na zbyt wiele. Jesteś, chłopaku, tak wielkim entuzjastą futbolu czy chadzasz tylko na mecze, na których i ja bywam? Czyż nie podobnie jest z wyścigami? To nie jest przypadek, skoro o tym mowa, że oficer wywiadu jest śledzony. Do tego dziwnym trafem dostaję zaproszenie na spotkanie wystukane na tajemniczej maszynie do pisania i oglądam list o tej samej treści napisany rzekomo przez siebie.

Widząc, że policjant próbuje mu wejść w zdanie, uderzył w jeszcze mocniejszy ton.

- Dalej chcesz drogi służbowej? Gdzie dzwoniemy, do Urzędu Śledczego, komisariatu miasta, a może od razu do Sławoja-Składkowskiego?

Zapanowała cisza, którą ponownie przerwał Beniowski.

- Miło było być gościem aspiranta Policji Państwowej, nawet jeśli zaproszenia wysyłał niemiecki albo sowiecki wywiad. - Kapitan najwyraźniej ochłonął, bo na jego twarzy zagościł filmowy uśmiech.

- Ja stawiam, a rewanzu niech się pan nie spodziewa, żegnam i przypominam, tego spotkania nie było, pan wszedłeś w posiadanie wiedzy, która jest panu kompletnie niepotrzebna - powiedział, kładąc na stoliku pięć złotych, i wyszedł, nie podawszy policjantowi ręki.

Denhel wiedział, że to starcie przegrał, ale nie do końca. Oficer był pewny siebie i buńczuczny, ale chyba przecenił swoje zwycięstwo. Nic nie powiedział o Wcisłe, nawet się nie zająknął w tej materii, dziwne. Na razie jednak będzie musiał sobie dać spokój z tą sprawą. Z Beniowskim, Nowickim i Wcisłą. „Dwójka”. On wciąż jest w „dwójce”, być może tamci dwaj także, a więc się wpieprzył po uszy. Pojedzie do Zakopanego, ale nie sam, tylko z Elizą. Szepnie jej słówko, a ona za nim poleci. Złapał dorożkę i pognał się odprężyć w ramionach kobiety, która była mu bezgranicznie oddana.

Eliza Okołowicz otworzyła drzwi i rzuciła się Karolowi na szyję.

- Kochany jestem w ciąży!

Świat zawirował mu przed oczami, nie wiedział, co powiedzieć. Był oszołomiony, bezradny i wściekły.

- Jestem w ciąży - szepnęła mu do ucha. - Karolu, będziemy mieli dziecko...

Wyswobodził się z jej objęć i runął w dół po schodach. Biegł, uciekał ile sił w nogach, zniknął tak szybko, że nie słyszał jej płaczu, który najpierw wypełnił tylko przedpokój, a za chwilę całą klatkę schodową.

Wpadł do szynku i zamówił kolejkę. A później jeszcze jedną. Poluźnił krawat. W matni, jest w matni! Gdy pił kolejny kieliszek, grajek siedzący w kącie nacisnął klawisze akordeonu i zaczął śpiewać jakieś nieznane mu tango, po chwili dotarły do niego słowa i ich sens.

*Ze łzami w oczach,  
ze łzami szczęścia  
stoisz przed lustrem,  
uśmiechasz się do siebie*

*Teraz wreszcie jesteś w ciąży  
Już nigdy więcej  
nie będziesz musiała  
być sama*

„Już nigdy więcej nie będziesz musiała być sama” - zahuczało mu w uszach. Nie sama, bo z dzieckiem i z nim!

Położył pieniądze i z walizką pobiegł przed siebie. Alkohol powoli go rozbierał. Spocony i zziębnięty dobiegł do skrzyżowania z Alejami Jerozolimskimi. Tam była przystań dla takich jak on. Bar pod Setką. Zamówił setkę wódki, a później oszołomiony zwolnił i poprosił już tylko o pięćdziesiątkę. Pochwalił się myślach za wstrzemięźliwość i nagrodził swoją decyzję papierosem. Spojrzał na zegarek; jeszcze zdąży, da radę! Wlał w siebie kolejkę wódki, sprawdził, czy ma nagana, i podjął decyzję. Jedzie do Zakopanego zaaresztować Wcisłę.

W tej sytuacji już nic nie jest trudne, szkoda czasu, ma wszystko i wszystkich w dupie! Położył na blacie monetę i wyszedł z baru, Dworzec Główny był po drugiej stronie ulicy. Zdąży, musi zdążyć!

Deszcz lał jak szalony, strugi wody zalewały drogę. Temperatura spadła, a mimo tego, że stali pod drzewami, byli zupełnie przemoczeni. Od trzech dni chodzili po górach i mieszkali w Morskim Oku, dzisiaj jednak zeszli na dół, dyskretnie, tak by nikt nie wiedział, że zakrytą furką jadą za Niedzicę. Tam czekali od rana na lancję barona Jungenfelda.

- W górach na pewno znów pada śnieg, parszywa pogoda. - Heniek zaszczekał zębami.

- Wysoko może być puchu po pachy - zaśmiał się Jędrus. - Niejeden wyjdzie ostatni raz, jeśli kto się poważy w taką pogodę. W żlebach pełno śniegu po zimie, a teraz dopadało nowego.

- Może nie pojedą w taki ziąb? - zapytał Heniek.

- Musom. - Jędrus znów się zaśmiał i Heńkowi po raz kolejny się zdało, że śmiech był nieco upiorny. - Musom, bo tak ma być. Baron umówiony we Wiedniu.

- Kadar też - w końcu odezwał się pan Murakami. - Ma nagranego kupca, przecież dokładnie wszystko już opowiedziałem.

Heniek przytaknął głową. Zauważył, że zwykle opanowany Japończyk zdradzał nerwowość i że dziwny uśmiech nie schodził z twarzy Jędrusia. Ludzie różnie reagują na takie sytuacje, pan Murakami był spięty, Jędrus rozbawiony, a on z kolei... Wciślak



zadawał niepotrzebne pytania. Przecież wszystko wiedział. Dzisiaj po południu - bilety mieli już wykupione - baron Teodor Jungenfeld miał pojechać na dwa dni do Wiednia, czekał tam już na niego jego pochodzący z Siedmiogrodu rządcą, a Matyas Kadar się wprosił na wyjazd.

To był chytry plan. Kadar prawdopodobnie chciał w Wiedniu uciec. Powiedział baronowi, że zostanie w stolicy dawnego cesarstwa jeszcze na dwa dni i wróci sam, dostał zresztą na to zgodę - tak donieśli informatorzy, których miał na dworze Jędrus. Z kolei od swoich ludzi w Wiedniu pan Murakami miał wiadomość, że Kadar zajedzie do jednego z domów aukcyjnych i spienięży za zawrotną sumę złotą maską. Heniek pytał się, czemu zabiorą ją gwałtem, a nie odkupią, ale pan Murakami wyjaśnił, że sprawa jest nie do przejścia. Na maskę zagiął parol jakiś kolekcjoner i nie ma takiej sumy, za jaką można by było ją od niego odkupić. Ukraść tym bardziej nie.

- Są - powiedział pan Murakami - jeźdźcy w burzy...
- A na drodze są zabójcy - dodał posępnie Jędrus.
- Nikogo nie zabijamy - syknął Japończyk.
- Powiedzialek zbójcy - wytłumaczył się Jędrus.
- Zakrywajcie twarze! - nakazał pan Murakami i pierwszy nasunął maskę na twarz.

Usłyszeli warkot silnika, lancia wyjechała zza zakrętu, Jędrus i pan Murakami wybiegli z małym, ale wysokim drzewkiem i położyli je jak szlaban w poprzek drogi. Samochód zahamował. Gdyby tamci jechali konno, to przeskoczyliby tę drobną przeszkodę bez trudu, ale auto, nawet tak doskonałe jak lancia barona, zawiesiłoby się na pniu i gałęziach.

Heniek wyskoczył na środek drogi, mierząc z browninga, pan Murakami wyciągnął swój rewolwer, a Jędrus śrutówkę polowaca.

- Ręce do góry, to jest napad - krzyknął Wcisło.

Tylko on miał mówić, bo Jędrus był prawie miejscowy, a pan Murakami miał charakterystyczny akcent, który mógłby go zdradzić.

- Won, chamy, bo każę wam porachować gnaty! - ryknął Teodor Jungenfeld. - Won! - Kadar też był pewny siebie.

Spodziewali się tego, znając opinie o nich krążące, więc pan Murakami szybko doskoczył do auta i wcisnął rewolwer pod brezentowy dach pojazdu. Jungenfeld i Kadar siedzieli na przednich fotelach, tył zarzucony był walizami. Lancia lambda nie miała imponującego bagażnika. Gdy pan Murakami trzymał lufę na skroni barona Jungenfelda, Jędrus wyciął Kadara kolbą w twarz, a następnie wywlókł go z auta na błotnistą drogę.

- A teraz grzeczniej - powiedział Heniek do barona. - Ty też won z auta i razem ze swoim pacholkiem gnaj do dworu, na piechotę.

I... Kadar wstał z błota, przyciskając dłonie do miejsca, gdzie Jędrus trafił go kolbą strzelby. Sądził, że nikt nie zwróci uwagi na małą torbę, którą starał się ukryć.

- To też zostawisz - zwrócił mu uwagę Heniek.

- Tu są wszystkie dutki. - Kadar wyjął z kieszeni portfel.

- Brawo, przyjacielu, przypomniałeś o portfelach, ty też. - Wcisłak wskazał na barona.

- Jestem baronem! - syknął Jungenfeld. - Będziesz wisieć, chامية.

Heniek nie dał się wciągnąć w dyskusję.

- Nie wiem, kim jesteś, masz auto, walizy i fanty. A teraz dziękujemy - powiedział beznamiętnym tonem. - Torba! - przypomniał już ostrzej Kadarowi.

- Tu są dutki - ten powtórzył, uparcie pokazując na portfel. - Tu są wszystkie pieniądze!

- Gównu mnie to obchodzi!

Jędrus podszedł do Kadara, ten zaczął się szamotać i drugą ręką chwycił za lufę strzelby. Huknął strzał i Kadar padł na ranny na ziemię. Baron zeszywniał, bo pan Murakami przycisnął mu żelazo lufy do skroni, tymczasem Jędrus jakby poczuł zew krwi i zaczął okładać kolbą Kadara.

- Zostaw! - Heniek próbował odciągnąć Jędrusia.

- Nie zostawię skurwysyna - krzyknął góral i raz jeszcze uderzył kolbą.

Był to śmiertelny cios, ale Heniek z trudem go uspokoił. Spojrzał na barona i rozkazał:

- No co się patrzysz, won do dworu!

Baron puścił się biegiem, a oni wsiedli do auta i ruszyli w kierunku gór.

- Po coś go zabijał?

- Musiałem, nie chciałem, ale jak ruszył na mnie, to nie zdzierzyłem - mówił wściekłym głosem Jędrus. - To był mój ojciec. Wziął siłą moja matkę, zmarnował jej życie...

O nic już nie pytali, jechali szybko, na tyle, na ile pozwalała nierówna droga i stojące na niej kałuże. Heniek poczuł niespotykaną wcześniej przyjemność z jazdy. Lancia lambda to było auto marzenie, takich wozów nie naprawiali w ich warsztacie. Włosi wyprodukowali prawdziwe cacko.

Dwuipółlitrowy silnik liczył cztery cylindry i prawie siedemdziesiąt koni mechanicznych, a do tego miał do rozpędzenia wyjątkowo lekkie auto. Zostało pozbawione ciężkiej ramy, a z lekką karoserią wyrywało do przodu jak złoto. To było cudo, ale miało jedną wadę. Lancia była przeraźliwie droga, choć Teodora Jungenfelda stać było na taki zbytek.

Pruli w kierunku Morskiego Oka, nieliczni ludzie, których mijali, byli przekonani, że są kolejną szaloną ekipą automobilistów, co trenowali przed mającym się odbyć w sierpniu pierwszym Wyścigiem Tatrzańskim.

Podobno górskie powietrze leczy kaca. Gówno prawda. Głowa pękała Denhelowi jak orzech wsadzony do wnętrza dziadka do orzechów. Chcąc nie chcąc, musiał się pozbierać, Zakopane nie było małe, ale znalezienie kwatery Wcisły mogło się okazać nie lada wyzwaniem. Ból rozsadzający czaszkę został jednak złagodzony informacją, jaką uzyskał na posterunku. Gość z Warszawy, aspirant i to z Urzędu Śledczego, zrobił wrażenie na lokalnej władzy. Mimo że gościł prywatnie, przodownik Król z posterunkowym Babiarzem byli dla niego niezmiernie mili i szybko wskazali mu, gdzie mieszka, jak sądzili, jego przyjaciel.

- Pana kolegę, aspirancie, to wszyscy tu znają - ucieszył się Król.

- To dusza towarzystwa - zachwalał Babiarz. - Znakomity taternik i bokser.

- O tak, i bokser - wystrzelił Król. - Dzięki niemu pozbyliśmy się trzech niemiłych typów, braci Izdebskich. Niby nie do końca

przepisowo - mrugnął okiem - ale goście byli zachwyceni, a nawet ci, u których mieszkali na kwaterze, bo to trudni ludzie byli.

Dowiedział się jeszcze, że zna wszystkich włącznie z tym dziwnym artystą Witkacym, ale najczęściej bywa w towarzystwie Japończyka, który zamieszkał tu prawie na stałe.

- Pan Murakami to bardzo miły człowiek.

- I wspaniały taternik - Król i Babiaryz mówili jeden przez drugiego.

- Jak chce pan mieszkać obok nich, to niech pan idzie do Zośki, pensjonatu pani Witkiewiczowej, to matka tego artysty.

- Tylko nie mówcie, panowie, o mnie. - Uśmiechnął się tak jak potrafił w sytuacji, w której jego głowa zdawała się bliska eksplozji.

- To ma być niespodzianka!

Karol Denhel nie wiedział, że słowo Zakopane znaczy więcej niż Warszawka. O ile w Warszawie w pewnych kręgach wszyscy się znali, o tyle w Zakopanem nikt nie mógł się ukryć. W dwie godziny po przybyciu do Zakopanego Denhel miał nie tylko kwaterę, ale i znał szczegóły o pobycie Wcisły. Podano mu jego adres, dostał informacje na temat przyjaciół, taternickich upodobań i powiadomiono go, że Heniek jest teraz w Morskim Oku. Nie wiedział jednak, że informacje o nim rozchodzą się równie szybko. Dwaj policjanci, obsługa pensjonatu, bagażowy, któremu mignął rewolwer schowany pod płaszczem, i wreszcie kuzynka Jędrusia, która pracowała w kuchni pensjonatu Zośka, ci wszyscy ludzie go widzieli i nim zdążył wyjść wieczorem na Krupówki, w każdym z lokali już mówiono, że przyjechał tu

aspirant z warszawskiego Urzędu Śledczego, że jest znajomym młodego pana Wcisły i że ma przy sobie rewolwer.

Porzucili auto na drodze wchodzącej w las, a walizy dokładnie przejrzeni, pozbawiając je cennych rzeczy. W końcu miało to wszystko wyglądać na zwykły rabunek. Dla nich się liczył tylko jeden przedmiot; złota maska, którą już w samochodzie wyjął z torby i obejrzał pan Murakami. Misja była bliska spełnienia, a jej cel wyglądał imponująco. Jędrusia tak duży złoty i dziwny przedmiot zdjął niemal nabożnym łękiem. Nawet Heniek, który miał w rękach zdobycze z różnych skoków i włamów, był pod wrażeniem. Prawdziwy skarb Inków, gruba złota blacha, jak elegancka karnawałowa maska, ale jakaś dzika, niepojęta. Plecak ze skarbem niósł pan Murakami, po drodze ukryli inne przedmioty, zaklinając Jędrusia, by po nie nie wracał, bo będą z tego kłopoty. Szli do schroniska taką trasą, żeby wyjść od strony gór. W nocy nie spali, Jędrus się delectował zemstą na ojcu gwałcicielu, który płodząc go, zmarnował życie jego matce. Poszedł daleko od schroniska i usiadł samotnie na kamieniu. Pozostali też byli przejęci zemstą górala.

- Morderstwo to morderstwo - mówił pan Murakami, chuchając w dłonie. Mimo że siedzieli opodal schroniska przy małym ogniu, to jak na czerwiec było wściekle zimno. Chłód bił od gór i śniegu, tego leżącego jeszcze od zimy i tego, który niedawno spadł.

- I to morderstwo rządcy barona, który został wcześniej obrabowany

- Na szczęście nie wiedzą, czego szukać. - Pan Murakami uśmiechnął się. - Ze mną sprawa prosta, jadę do Wiednia, stamtąd do Paryża, a później przez kanał. Do Ameryki popłyniemy razem, ale tam nasze drogi się rozejdą - westchnął smętnie pan Murakami.

- Pan się uda do Chicago, a ja pojedę przez cały kontynent aż do Seattle. Stamtąd statkiem naszych linii Nippon Yusen Kaisha<sup>96</sup> popłynę do Japonii.

- A później? - zapytał Heniek.

- Później misja, podczas której się przydadzą moje umiejętności - odpowiedział pan Murakami wymijająco.

Heniek nie pytał, a pan Murakami nie mógł mu powiedzieć, że najpewniej wysłany zostanie na Filipiny. W kraju opanowanym przez Amerykanów ludzie mówili przede wszystkim po hiszpańsku. To była jego wielka przewaga nad innymi agentami Kempeitai. Hiszpański był, tak jak japoński, jego ojczystym językiem.

Jak mu powiedzieć, że nie zamierzam dać nogi? - zastanawiał się Heniek. Szkoda tylko forsy, bo tę Japończyk miał mu wypłacić dopiero w Ameryce.

Ból głowy ustał, ale pukanie do drzwi wczesnym rano nie było tym, czego oczekiwał aspirant Denhel. Otworzył drzwi i mało nie usiadł z powrotem na łóżku. Na zewnątrz stali miejscowi policjanci.

- Panie aspirancie - zaczął starszy stopniem Król. - Jest pan na urlopie, ale chyba chce pan wiedzieć...

- Co chcę wiedzieć?
- Zbrodnia, zbrodnia na drodze między Falsztynem i Niedzicą!
- wypalił Babiarcz.
- Co się stało?
- Napadli we trójkę, jak zbójnicy, z rewolwerami i w maskach, jak na jakimś filmie, na auto pana barona!
- Barona?
- No baron Jungenfeld! - niemal krzyknął Król.
- Zabili go?
- Nie, rządcę Kadara! Najpierw go ranili strzałem z flinty, a później dobili kolbą!
- Auto jeszcze nie znaleziono, ale widziano je w okolicy Łysej Polany!
- Auto też skradli?
- Tak!
- To znaczy, że umieli prowadzić... - W głowie aspiranta Denhela zaczęła kiełkować pewna myśl. - Czy wiele osób potrafi tu prowadzić samochody?
- Jak się zjadą automobiliści, to wielu - powiedział Król. - A się zjadą na pewno, czternastego sierpnia ma być Automobilowy Wyścig Tatrzański, będzie pewnie z trzydziestu zawodników.
- Ilu miejscowych?
- Kilku... na pewno pan Jan Ripper, on ma lanię, więc wszyscy myśleli, że to on ćwiczy przed wyścigiem. - Widząc, że Denhel nie rozumie, Babiarcz wytłumaczył: - Auto barona to właśnie lancia, jest z niej bardzo dumny. Kto wie, czy utrata pojazdu nie poruszyła go bardziej niż śmierć rządcy.
- Ten Ripper jest tutejszy?



- No, prawie tutejszy, pan Ripper, Jan Ripper, bo jego ojciec też się ściga, jest z Krakowa - poprawił się Król. - Ale przyjeżdża tu bardzo często.

- Jest teraz w Zakopanem?

- Nie wiem, panie aspirancie. - Przodownik Król zrozumiał, że sytuacja robi się coraz bardziej oficjalna, służbowa, że aspirant z Urzędu Śledczego będzie przejmował sprawę - Ale możemy szybko sprawdzić.

Policjanci wybiegli z pensjonatu, a Karol Denhel poczuł, że wyjazd do Zakopanego może być bardzo, ale to bardzo owocny.

Trójka wczorajszych zbójników spod Falsztyna zjadła śniadanie i poszła zapalić papierosy na ganku przy wejściu. Od Łysej Polany przyjeżdżały fury i przychodzili turyści. Pierwszą osobą był Maurycy Spieller, wspinacz z Warszawy.

- Dzień dobry panowie! - pozdrowił ich.

- Dzień dobry, panie Maurycy - odpowiedzieli. - Co słychać?

- Pogoda pod psem - skrzywił się Spieller - ale od czego są raki, tylko, cholera, może zejść lawina. Lepiej jednak nie iść w góry z Morskiego Oka, niż nie pójść w nie z Zakopanego!

Cała czwórka zaśmiała się serdecznie. Nagle Maurycy Spieller jakby sobie coś przypomniał.

- Panie Henryku, być może będzie miał pan tutaj gościa!

- Gościa?

- Tak, gościa. - Spieller był wręcz rozpromieniony, że może przekazać dobrą nowinę. - Nazywa się Karol Denhel i jest policjantem!

Przez Heńka jakby przeszedł prąd elektryczny.

- Zna go pan? - zapytał Maurycy Spieller. - Bo on chodził po Zakopanem i szukał pana, mówił, że się znacie.

- Aaa, tak. - Heniek próbował opanować zmieszanie. - Znam, to bardzo zdolny funkcjonariusz Urzędu Śledczego. Jak pan go spotka, to proszę go ode mnie pozdrowić albo... albo lepiej pan nic nie mówi, może to ja mu zrobię niespodziankę!

Heniek uśmiechał się, jak umiał najnaturalniej, ale wiedział, że raczej mu się to nie udało. Porozmawiali z Maurycym Spiellerem, wypalili po papierosie i w końcu znów zostali sami.

- Henryk-san, pan zna tego Denhela i to dobrze, ale pan go nie chce ani spotkać, ani znać, prawda? - zapytał pan Murakami.

Kiwnął głową, że tak.

- Co was łączy?

- Wszystko i nic.

- Ściga pana?

- Oficjalnie nie prowadzi przeciwko mnie żadnego śledztwa.

- Ale to przez niego musi pan uciekać z Polski?

- Nigdzie nie będę uciekał!

- Sądzi pan, że się przyjechał tu wczasować! - Pan Murakami popatrzył na Heńka wnikliwie, jak starszy brat. Heniek nie miał starszego brata, ale tak to sobie wyobrażał. - Natychmiast wyruszamy - powiedział pan Murakami, ale widać było, że się zawahał, bo przecież mieli uciekać za granicę, a nie do Zakopanego, gdzie mieli swoje pokoje w Zosi i Elektronie.

- Nie możemy do Zakopanego. - Jędrus wyczuł sprawę. - Na Olczę albo do Bukowiny, tam się ukryjemy.

- A Stefa, a babcia? - Heniek niemal krzyczał.

- Nic im nie przyjdzie po wnuku i bracie w więzieniu.  
- Co dalej? Dokąd pójdziemy z tej Olczy czy Bukowiny?  
- Za granicę! - odpowiedział pan Murakami.  
- Za granicę to najszybciej tędy, przez Rysy albo Mięgusze. -  
Jędrus był przecież w tych sprawach ekspertem.

- To niebezpieczne - zaproponował pan Murakami. - Ja mogę zginąć, ale złota maska musi dotrzeć do Japonii, nasz regent obiecał to władzom Peru, honor mojej ojczyzny spoczywa w moich rękach!

Ruszyli więc w dół, nie uszli nawet kilometra, gdy spotkali zziąjanego Klemensa Dziubka.

- Jędrus, zabieraj tych panów, ino wartko, bo idą ku wam!  
Będą tu zaraz!

Nie było wyboru, pozostawał tylko jeden kierunek ucieczki. W góry.

Aspirant Karol Denhel szybko dokonał analizy sytuacji. Napad na samochód barona był sprawnie zorganizowany, do tego jeden z trójki bandytów umiał prowadzić samochód, następnie przepadli gdzieś w okolicach Łysej Polany... To musiał być Wcisło, on walczył na wojnie i radził sobie z takimi typami jak Traszka i Klajster, do tego w Zakopanem też go z tego znano. Mocny, bezwzględny, bez strachu. To po pierwsze, po drugie, prowadził samochód, po trzecie, dobrze się orientował w Tatrach. W góry poszedł wraz z Japończykiem i przewodnikiem... to jedno się nie zgadzało. Japończyk członkiem gangu napadającego na górskiej

drodze, jak rozbójnik? Tak czy owak, trzeba pana Wcisłę odwiedzić. Do trzech razy sztuka...

Wziął jednego mundurowego, posterunkowego Babiara i dostał przewodnika, przewodnik Król miał poprosić o wsparcie patrol graniczny. Ruszyli do Morskiego Oka.

Wiejący coraz silniej wiatr i świeży śnieg, który zalegał wyższe partie gór, nie zachęcały do wypraw, ale ludziom, którzy musieli uciekać, nie dawało to żadnego wyboru.

- Idziemy przez Rysy - zarządził Jędrus - w Popradzkim Stawie będę miał człowieka, który nas szybko zwiezie na dół, tam elektryczką zajedziemy do Popradu, a tam... Tam się rozstaniemy. Pojedziecie do Bratysławy, a ja... ja nie mam paszportu.

- Mamy pieniądze, jakoś to załatwimy - powiedział pan Murakami pewnym głosem. - A teraz idźmy.

Szybko obeszli Morskie Oko, weszli na Czarny Staw, stamtąd już widzieli pogoń. Wraz z wysokością przybywało śniegu i szło się im coraz trudniej, więc tamci zaczęli nadrabiać dystans. Ścigającym było łatwiej, bo poruszali się wytartym przez nich śladem. Uciekinierzy zmieniali się na prowadzeniu, raz Jędrus, on prowadził najdłużej, raz Heniek, a raz pan Murakami. W pewnym momencie Japończyk syknął z bólu.

- Stało się coś? - zapytał Wcisło.

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedział pan Murakami i próbując się uśmiechnąć, dodał: - Wszystko w porządku, chodź, mój szogunie.

Heniek czuł jednak, że coś jest nie tak. Japończyk wyraźnie utykał, po twarzy widać było, że cierpi. Warszawiak wziął jego ciężki plecak ze złotą maską. Teraz już tylko Jędrus i Heniek

przecierali szlak. Przystanęli na chwilę. Wzmagał się straszny wiatr, płatki śniegu utrudniały widoczność. Przed nimi była mozolna wspinaczka. Pan Murakami wyprostował się i powiedział:

*Nagle pojąłem, że życie  
jest jak płatek śniegu  
wraz z nimi odejdę w przeznaczenie*

Było to piękne, ale i zarazem niepokojące. Ruszyli dalej.

- Żebyśmy tylko nie skończyli w Czarnym Stawie. Puch ledwie się trzyma starego śniegu i może pójść lawina, że hej! - zauważył Heniek.

- A może lawina będzie naszą szansą? Jakby ją posłać w dół, to pogoń by ustała - zaproponował Jędrus.

- Szansa jest pół na pół, w takich warunkach sami możemy im spaść na głowy a poza tym chcesz zabijać ludzi? - wypalił Heniek.

- Na zażartego policmajstra bym puścił, ale na tamtych nie. Ja się na zbrodnię nie piszę.

- Ale w ostateczności zrobimy to - szef wyprawy, pan Murakami, zabrał głos. - A jakie jest najlepsze wyjście?

- Trzeba ich tylko postraszyć, trzeba im pokazać, że możemy to zrobić! My w górze, oni w dole, ja na ich miejscu nie pchałbym się do góry, tylko poczekał, aż spadniemy - uznał Jędrus. - Musimy iść, bo zaraz nas dopadną i się skończy nasza filozofia.

Ruszyli stromizną, pan Murakami szedł z coraz większym trudem.

W grupie pościgowej wiedzieli, co znaczy lawina, i z uwagą śledzili poczynania uciekinierów. Doświadczenie sprawiało, że domyślali się, jaki może być scenariusz.

- Panie aspirancie, jest lawiniasto, spójrz pan na śnieg, to świeży puch, którego napadało w parę godzin. Nic go nie wiąże z podłożem i tylko patrzeć, jak sami do nas wrócą. Nie wiem tylko jeszcze jak, czy dojdą do wniosku, że lepiej zgnić w kryminale, niż dać się pogrzebać żywcem, czy może zlecą na łeb na szyję i wtedy niektórych z nich wyciągniesz pan latem, o ile rzecz jasna zwierzęta nie rozwłóczą ich ścierwa. Mogą też przypadkiem czy celowo spuścić na nas lawinę, a wtedy... - próbował oszacować sytuację posterunkowy Sebastian Babiarz.

- Sebek ma rację - zabrał głos przewodnik. - Wtedy zaś spotkamy się z niemi u Świętego Pietra! Łobacycie, panie, puszcą nam lawinę na łeb ze hej!

Denhel zacisnął zęby i wściekły patrzył, jak ciemne figurki zaczynają się przesuwac po śniegu dokładnie tak, jak to przewidział posterunkowy.

- Ja idę.

- Idziecie, panie, na swoją odpowiedzialność - powiedział przewodnik!

- Idę! - władcym tonem ogłosił aspirant i zerknął na posterunkowego.

Ten spojrział uważnie na przewodnika i raz jeszcze na aspiranta.

- Musicie wydać rozkaz – powiedział.

- Wydaję!

- Na piśmie - posterunkowy upierał się zupełnie nieregulaminowo. - Inaczej nie pójdę!

Karol Denhel zaklął pod nosem i ruszył samotnie w górę. Widząc, że uciekinierzy posuwają się powoli, przyspieszył i niemal biegiem sunął w górę po śladach uciekającej przed nim trójki. Miał już za sobą marsz z Zakopanego, ale nogi niosły go jak kozicę. Wiedział, że zyskuje nad nimi przewagę, że uciekinierom jego postać zdawała się rosnąć w oczach. Do przodu pchały go kondycja, która została mu po grze w piłkę, upór i złość.

Pan Murakami przystawał coraz częściej, kostka spuchła jak balon, ale próbował to bagatelizować. Bagatelizował tragedię, jaką była ciężka kontuzja, ale robił dobrą minę do złej gry.

- Co się stało? - Heniek po raz kolejny zadał mu pytanie.

- Nic, wszystko w porządku - pan Murakami grał dalej. Nie mógł się przyznać do tego, co się dzieje z jego nogą, by nie osłabiać morale swych towarzyszy. - Nieco nadwyrężyłem nogę, był pan uprzejmy zamienić się ze mną na plecaki i to mi wystarczy. Rozchodzę nogę i za parę minut wszystko będzie w porządku.

Heniek kiwnął głową i znów ruszyli pod górę, ale było ciężko, nawet jemu. Spojrzał na pana Murakamiego. Japończyk przystanął, z tyłu za nim niemal rosła w oczach sylwetka Denhela, już niedługo będzie to zaledwie sto metrów. Pan Murakami uśmiechnął się, mówiąc:

- Niech pan weźmie ode mnie zapasowe magazynki, będzie mi łatwiej.

Heniek wpakował je do swojego plecaka, tymczasem policjant pokonał kolejne metry. Pan Murakami spojrzawszy swymi smutnymi oczami na Heńka, po czym nagle powiedział:

- Henryk-san, niech pan to zapamięta:

*Nagle pojąłem, że życie  
jest jak płatek śniegu  
wraz z nimi odejdę w przeznaczenie.*

- Wydaje mi się, że to dobry wiersz, szkoda, by przepadł. Panie Henryku Haas, pan się znowu tak nazywa. - Uśmiechnął się nad wyraz pogodnie, po czym spoważniał. - A ja naprawdę nazywam się Akira Mifune.

Mówiąc te słowa, podał Heńkowi dłoń i mocno, z szacunkiem ją uścisnął. Później był tradycyjny ukłon, po czym pan Murakami - Mifune raz jeszcze zwrócił się do Heńka:

- To był zaszczyt pana poznać!

Japończyk osunął się na plecy i jakby tyłem zanurkował w puch. Heniek usłyszał jęknięcie i zdążył jeszcze spojrzeć w oczy pana Murakamiego - Mifune. Jego wzrok był spokojny, tak jakby znowu przepowiadał swój wiersz, jakby chciał wiedzieć, że Heniek go zapamięta. Lawina ruszyła w dół ze swą potworną mocą.

Aspirant Karol Denhel pożałował, że tak bardzo zmniejszył dystans do uciekinierów. Zniknęli mu w okamgnieniu w chmurze śnieżnego pyłu. Biała masa z jakimś nieziemskim jękiem zbliżała się teraz do niego. Czy zdąży odskoczyć? Ruszył biegiem, był



blisko bezpiecznego, zdawałoby się, miejsca, był uratowany... Nie zdążył jednak, śnieg był sypki, ale w swej masie zmiatał wszystko jak wielka fala. Wtem nogi podcięła mu potężna siła, przypomniał sobie mecz, podczas którego kopnął w piszczel przeciwnika. Ten odczekał parę minut, zebrał siły i gdy obaj byli blisko piłki, wszedł w niego obunóż wślizgiem. Chłop był solidny i poszedł z impetem, a jego wyrwało jak z katapulty, wywinął wtedy w powietrzu salto.

Teraz było podobnie z tą różnicą, że uderzenie poszło od tyłu. Jak wówczas przekręcał się w powietrzu jak rzucony przed siebie patyk, z tą różnicą, że wtedy opadł na murawę boiska, a tu w białą nicość. Jego ciało turlane było w okrutnym rytmie niczym szmacianka. Poczł uderzenia w głowę, w bark i prawe kolano, a w kolejnym ułamku sekundy przestał czuć cokolwiek. Chciał jeszcze coś powiedzieć ojcu i matce, chciał, by wiedzieli to, czego się nie dowiedzieli do tej pory, jak ekscytująca była robota w żandarmerii, którą mu wychodził ojciec, jakie piękne było łapanie szpiegów i dezertarów! Chciał krzyczeć: „Nie mieliście pojęcia, co robiłem, jak kończyli złapani przeze mnie ludzie. Nie wiecie, że gdy nie było pod ręką starszych stopniem, to wasz syn kierował plutonem egzekucyjnym! Pamiętam ich wszystkich; sowiecki szpieg, trzech polscy żołnierze złapani na rozboju. No i ci dwaj, których nie zapomni. Młody Żydek, krawiec, który należał do KPRP<sup>97</sup>, oraz dezertar z Radomia. Ich zapamięta najbardziej, bo podchorąży Denhel jako dowódca plutonu musiał ich dobijać. Jak szedł do tego żydowskiego krawca, to miał niezaladowany rewolwer. Drżącymi rękoma pakował naboje do bębna, dwa poleciały mu na ziemię, tuż przed twarzą przerażonego skazańca... Za każdym razem z bliska w głowę, wsłuchując się w

oddechy i jęki dobijanych skazańców. Ale mi zrobiliście przysługę, kochani rodzice... Nie mieliście o tym pojęcia, ani wy, ani ci, pożal się Boże, koledzy policjanci, ani Eliza...”. Aż gruchnął strasznym śmiechem, lecąc w dół i kręcąc się jak na karuzeli. Nagle spoważniał, jeśli przeżyje, to... Tak! Zrobi to!

## EPILOG

### Tydzień później

Juliusz Beniowski pojechał do Zakopanego, by na miejscu zbadać sytuację. Okazało się, że aspirant Karol Denhel był szczęściarzem. Szczęściarzem, który miał parę w nogach. Na futbol czy lekką atletykę nie był dość szybki, ale na to, żeby uciec przed śmiercią w lawinie, tak. Dopadł go tylko koniuszek jej jęzora, więc choć przysypało go i stracił przytomność, to jednak idący za nim przewodnik i posterunkowy Babiarcz zdołali go wykopać, zanim wyzionął ducha. Szybko zniesiono go na brzeg Morskiego Oka. Po drodze spotkali patrol strzelców. Łodzią przez wodę przewieziono go pod schronisko, a tam szczęśliwie jednym z taterników szykujących się do wyjścia w góry był lekarz. Odratowano go i skończyło się tylko na złamanej ręce.

Mimo gipsu był pełen werwy, ale znów gaszono jego entuzjazm. Zarzucono mu pochopne działania i nie dawano od razu wiary w winę Wcisły. Tymczasem ratownicy znaleźli w lawinie zwłoki pana Murakamiego, a później plecak, który należał do Henryka Wcisły. Dokumenty, prywatne rzeczy, wszystko świadczyło niezbicie o tym, że także i jego porwał górski żywioł.

Juliusz Beniowski był pewien, że ta wersja zdarzeń nie trafi do przekonania Denhelowi, bał się natomiast, że dla babci i siostry

Heńka może być jedyną. Udał się do pensjonatu Zosia, długo z nimi rozmawiał, później poszedł ze Stefą na lody i opowiadał jej o Heńku, o tramwaju w Kijowie, o Śląsku, o tym, jak chodzili na wyścigi i mecze. Poinformował ją także o tym, że Heniek przepisał na nią i na babcię wszystkie place, a oszczędności przekazał jemu, by nimi dysponował i wypłacał comiesięczną pensję.

Stefa to mądra dziewczynka. Da sobie radę, pomyślał. Uspokojony wsiadł w pociąg i pojechał z powrotem do Warszawy, za parę dni Karol Denhel wyjdzie ze szpitala i zaczną się kłopoty albo... On sam się w nie wpakuje. Miał zresztą jeszcze jedną sprawę na głowie, odesłanie do kraju prochów porucznika Murakamiego.

Prawie tydzień trzymali go w szpitalu, w końcu Karol Denhel wyszedł i zaczął działać. Oczywiście wszystko było pod górkę, ale nikt go już nie zatrzyma. Od razu skierował się do pensjonatu Zosia, do tej całej Eleonory Müller i Stefanii Wcisło. Nie wyglądały na rodzinę bandyty. Znalazł je zapłakane i roztrzęsione. Uważały, jak niemal wszyscy, że Henryk Wcisło zginął. Brakowało jednak ciała, ale wszyscy mówili, że jego odnalezienie może potrwać tygodnie, jeśli nie miesiące, a i na to nie było gwarancji, bo mogło wpaść w jakieś niedostępne miejsce. Często też odnajdowano jedynie nędzne szczątki, poszarpane przez górskie zwierzęta. Nie dowiedział się od tych kobiet absolutnie niczego, ale gdy był już na progu, zobaczył, że na stole leży jakiś zeszyt z napisem „Dziennik”. Okazało się, że te mała Stefa wszystko notowała. Z wypiekami na twarzy zabrał notatnik

ze sobą, mimo że ta gówniara uczepiła się jego rękawa i krzyczała, że nie ma prawa. Zrzucił ją z siebie zdrową ręką, tą zagipsowaną przyciskając do tułowia zeszyt. W istocie nie miał prawa, ale nie obchodziło go to.

Przez kolejny dzień studiował zapiski, szukając potwierdzenia dowodów obciążających Wcisłę. Było tam wiele, o Heńku, rodzinie, znajomych z Leokadią i kapitanem Beniowskim włącznie. Zapisano mnóstwo obserwacji, które świadczyły o spostrzegawczości dziewczynki, a nawet o jej wścibstwie. Nie było jednak nic, co mogłoby pogrążyć jej brata. Jak niepyszny zwrócił zeszyt. Gdy się zbierał do wyjazdu do Zakopanego, odwiedził go komisarz Mikołajewicz z krakowskiego Urzędu Śledczego, który ostatecznie pozbawił Karola wszelkich nadziei. On też obejrzał zeszyt Stefanii Wcisło i zawyrokował:

- Zamykamy sprawę Henryka Wcisły. Decyzję podjęliśmy już wcześniej, ale teraz jestem jej pewny w całej rozciągłości. Jeśli nawet naiwne dziecko go nie wsypało, to nasze dowody nie wystarczą, są zbyt wątpliwe, by pogrążyć nieboszczyka. Mord na drodze został dokonany w akcie zemsty, być może był zaplątany w to przewodnik, ale nie Wcisło. Zresztą. .. już panu mówiłem, to trup.

- On żyje!

- A jak żyje, to co?

- Mam świadków!

- To ich pan formalnie przesłuchaj w Warszawie - krzyknął komisarz Mikołajewicz. - I uważaj pan, bo do złodziejów z Warszawy, a także do panów policjantów z tego miasta specjalnej mięty nie czuję!

Denhel powściągnął nerwy, nie było co się szarpać, a w Warszawie faktycznie zaczął formalną sprawę. Wygarnie z Cyrku Karolaka, posłuży się swoimi konfidentami, to powinno wystarczyć!

Wiesiek Karolak wyszedł z Cyrku i więcej tu nie wróci, teraz jak na skrzydłach gnał na Dworzec Główny. Wcześniej poszedł do łaźni Diana przy Chmielnej i wypucował się tak, jak tego nie robił od lat. Po wyjściu z wanny, w której łaźiebni dwa razy zmieniali wodę, poszedł do przebieralni i rozpakował paczkę z nowymi, eleganckimi rzeczami. Na ciuchy i buty wydał fortunę, niemal wszystko, co miał. Stare łachy i schodzone kamasze wyrzucił do śmietnika. Z łaźni poszedł do fryzjera, ten elegancko go ostrzygł, uczesał i ogolił, skrapiając na koniec wodą kolońską. Spojrzał w lustro, był zupełnie innym człowiekiem, był znów Panem Szafą z dawnych lat! A teraz dorożka i jazda na róg Alej i Marszałkowskiej. Musi zdążyć na pociąg, musi zdążyć na czas do Bydgoszczy, do Fordonu, bo właśnie jutro rano ona wychodzi za dobre sprawowanie. Brutalny typ, jakim był jeszcze wczoraj, przegrał z zakochanym do granic możliwości mężczyzną.

Wyjście Jadwigi Kopeckiej przed terminem to święto największe, a to, że napisała do niego o skróceniu kary i poprosiła go o przyjazd, to jakiś cud, niewyobrażalna radość. Przechodnie na ulicy ze zdziwieniem patrzyli na potężnego typa, który wyskoczył z dorożki pod Dworcem Głównym i śmiał się szeroko, ocierając jednocześnie łzy płynące z oczu.

Leokadia Rostocka usłyszała dzwonek do drzwi, uchyliła je i zobaczyła...

- Karol? - zapytała ze zdziwieniem. - Karol Denhel!

- Tak, to ja!

- Co cię sprowadza?

- Henryk Wcisło!

Jego słowa były zupełnym szokiem, a jego opowiadanie jeszcze większym. Krzyczał coś, o tym, że to bandyta, że dorwie go nawet zza grobu. Karol Denhel, w którym chyba nawet była kiedyś zadurzona, był jak w jakimś amoku. Mimo protestów Łodzi doskoczył do jej biurka i zaczął w nim grzebać, wreszcie natrafił w szufladzie na notesik z zapiskami. Nie była w stanie nic zrobić, siedziała i płakała, a on czytał, czytał i czytał. W końcu rzucił wściekły notesem o ścianę i warknął:

- Idiotka, naiwna idiotka!

Śmiał się bez opamiętania i mówił na przemian, że albo była z nim w zмовie, albo jest głupią gęsią. Nakrzyczał na nią i wybiegł z domu jak szalony. Nie mogła pojąć, co się dzieje, czy Heńkowi coś się stało, czy Denhel pracując w policji, kompletnie oszalał? Rozległ się kolejny dzwonek, tym razem nie przy drzwiach, to dzwonił telefon.

- Halo - powiedziała przez łyzy

- Czy pani Leokadia? Tu Juliusz Beniowski, pamięta mnie pani? Musimy się spotkać, chciałem pani opowiedzieć pewną zajmującą historię...

Pociąg jechał na południe, teraz i oni zasmakują przyjemności pobytu w górach. Poprzednim razem było tak wspaniale, że postanowili wrócić pod Tatry jak najszybciej. Byli w doskonałych nastrojach, cieszyli się na ten wyjazd, cieszyli się też na każdą chwilę bycia razem. Duży Stanisław i mały Staś, czyli dziadek i wnuczek, poszli do wagonu restauracyjnego, Emilia i Aleksander Nowiccy zostali w przedziale sami.

- Aleksandrze - zaczęła Emilia. - Były w naszym życiu różne chwile, także te ciężkie, ale teraz nic nas nie rozłączy, prawda?

- Nie, już nic - odpowiedział zapytany.

- Wystarczymy sobie tylko my dwoje.

- Emilio... - zaczął niepewnie Aleksander - ta sprawa z gosposią...

- To było dawno temu, nie to miałam na myśli. - Emilia położyła mu rękę na dłoni. - Miałam na myśli nie to, co się działo parę lat temu, tylko co ostatnio przeżyliśmy.

Przytuliła się do męża. Kochała go równie mocno jak wtedy, gdy trzynaście lat temu zegnała się z nim pod cerkwią Świętego Michała Archanioła. Cerkwi już nie ma, zniknęła z placu Na Rozdrożu cztery lata temu i cztery lata temu była ta afera z gosposią. Nie chciała mu tego wypominać, zrozumiał ją opacznie, a może cały czas czuł wyrzuty sumienia?

Tak, Aleksander Nowicki czuł wyrzuty sumienia, romans z Ludmiłą nie wyglądał tak niewinnie, jak to przedstawił Emilii. Męczyło go to cały czas, podobnie jak to, że oszukał ją w sprawie dzieciaka. Wytłumaczył, że ich służąca Ludmiła zaszła w ciążę z tym młodym chłopakiem, z tym uczniem od Wawelberga, który ją obskakiwał. On przekonał Emilię, a Ludmiła otumaniła swojego



narzeczonego. Był tak zakochany, że uwierzył, że to jego dziecko. A czyje było naprawdę? Czort jeden wie.

Eliza Okołowicz od blisko dwóch tygodni pogrążona była w niewymownym smutku. Słowa lekarza były dla niej nie jak wyrok, lecz jak nadzieja! Dziecko, dziecko, którego tak pragnęła, teraz już na pewno zwiąże jej losy z Karolem. Nie był szczególnie przystojny, z tą swoją grzywką, w okularach, ale był silny i władczy, to ją w nim pociągało. Pragnęła go, oddawała mu się bez reszty, a tymczasem o nią ją odrzucił. Słyszała, że zdarza się to mężczyznom, że taka wiadomość ich przerasta. Czy jego też przerosło, czy może uciekł od niej jak od trędowatej? Rozbrzmiał dzwonek do drzwi, otworzyła. Tak, to był on, spocony, zmierzwiony, jakby dotknięty obłędem, a w rękach trzymał kwiaty, ukląkł...

- Elizo - powiedział - w sytuacji krytycznej, gdy ważyło się moje życie, mój los, powziąłem decyzję, że jeśli przeżyję, to...

Nie musiał nic mówić, wiedziała, o co chodzi, był na kolanach, wręczył jej kwiaty, a po chwili z kieszeni wyciągnął pierścionek zaręczynowy.

Lwów. Tu Frania nie znajdują, tu ma paru funfli, kozaków ze starej Bruderferajn, którzy nawiali z Wilna. Prowincja, ale fajna. Mocni ludzie, szemrani na maksa i gdyby nie to, że miał tu osoby wprowadzające, to ciężko byłoby się zaczepić. Ale referencje miał dobre, nawet i bez tej ostatniej, że przed wyjazdem z Warszawy pociągnął smykem po gardle szpicla. Edzio Rutowicz, znany w

ferajnie jako Szczurek, nie miał do niego szczęścia. Już w wojsku zdążył mu zdefasonować nos. Teraz wysłał go do Bozi, o ile szcurki takie jak on mają jakąś Bożię. Czas załatwić sobie nowe dokumenty. Nie może już być ani Wlazłą, ani Paprockim, ani tym trzecim, do którego nazwiska się jeszcze nie przyzwyczaił. Będzie git, może się nazywać nawet Wincenty Dupa, ale i tak będzie miał szacunek, a kto tego nie wie, ten może w try miga spotkać się ze Szcurkiem Rutowiczem.

Kornel Strasburger stał przed Urzędem Śledczym i palił papierosa. Zastanawiał się, jak by wyglądało wejście do urzędu, gdyby jakiś pacan zabronił palenia. Byli tacy, co tego nie uznawali, uśmiechnął się złośliwie. Nie chcą wdychać cudzego dymu, to niech kupią własne fajki. Ale pewnie kiedyś nadejdzie taki dzień, że ci wszyscy doktorzy, skauci i cholerne mamuśki doprowadzą do tego, że będzie się paliło tylko na schodach przed urzędem. Na razie to był wybór, a nie konieczność. Zaciągnął się z lubością. Wypuszczając dym, otworzył oczy i na końcu ulicy zobaczył znaną sobie sylwetkę, był to Karol Denhel z ręką na temblaku.

O z kuriera wycięty, a więc trafiło na niego, pomyślał.

- Witaj, Kornelu.

- Witaj Karolu, gratuluję ci!

- Czego?

Ożeż kurwa, jakoś musiał mu to powiedzieć...

- Zostałem podkomisarzem? - zapytał z nadzieją Denhel.

- No nie, niezupełnie, ale dostałeś samodzielne stanowisko...

- Jakie, mam jakąś własną brygadę, zostałem kierownikiem?

- Zostałeś kierownikiem brygady kradzieżowej!

- A Lange?

- Henryk Lange nadal nim jest, Lange jest szefem w Warszawie, a ty w... - cholera musiał mu to powiedzieć - a ty, w Stanisławowie.

Denhel zbladł i usiadł na schodkach, wydawało się, że zemdleje.

- Wiesz, jaka forsa? Może być nawet czterysta dwadzieścia złotych i mieszkanie służbowe, a słyszałeś, jakie tam są koszty życia? Połowa tego, co w Warszawie.

Nie pomagało, rumieniec, który jeszcze przed chwilą Denhel miał na twarzy, przegrywał z trupio bladym odcieniem, co bez pardonu zdobywał jego oblicze. A to nie koniec, przecież jeszcze musiał mu powiedzieć, że sąd uniewinnił zarówno Bachracha, jak i Kurnatowskiego.

Wakacje nie zostały przerwane. Bo po co. Heniek żył, tak zapewniał je pan kapitan. Pan kapitan zostawił także pieniądze na dalszy pobyt i zapytał Stefę, czy nie pisze jakiegoś pamiętnika czy dziennika. Pokazała mu więc dziennik. Beniowski czytając, rozluźniał sobie kołnierzyk i na koniec poprosił:

- Spal go, ale najpierw przepisz na nowo. Zaznaczę ci ołówkiem, jak nauczyciel w szkole, co masz zmienić. Dobrze?

Nie odpowiedziała.

- Stefciu, być może Henio kiedyś wróci, ale żeby tak było, twój dziennik musi wyglądać inaczej. Na pewno przyjdzie tu ktoś, kto

zrobi rewizję. Rozumiesz?

Zrozumiała. Kiwnęła głową. Pod kierownictwem pana kapitana napisała swój dziennik na nowo. Uwzględniając jego wskazówki, pisała trzema rodzajami atramentu i dwiema różnym stalówkami. Pracowała ciężko, zupełnie jak ten chłopiec w książce pana De Amicisa. Czuła się jak mały pisarczyk z Florencji, on miał pomóc ojcu, ona zaś ratowała brata. Stało się tak, jak przewidywał. Wpadł tu pan policjant i zabrał jej dziennik do czytania. Nie będzie już pisała żadnego dziennika.

Po wakacjach powie o tym pani Muszyńskiej, a to co ważne będzie trzymać w głowie. Czasem fajnie mieć jakąś tajemnicę.

**Północny Atlantyk,  
pokład RMS Majestic, sierpień, rok 1927**

Nie wiedział dokładnie, jaki jest dzień tygodnia. Zaczął się sierpień i od kilku dni był w drodze. Statek odbił z Southampton, a na pokładzie witał go sam kapitan, pan Metcalfe, bo był pasażerem pierwszej klasy, to był jego przywilej, podobnie jak piękna kabina, lepszy pokład i wyborne jedzenie. Zawinęli jeszcze do Cherbourga i tam zaczął się ostatni etap jego podróży. Wcześniej zjechał całą Europę, a w japońskim poselstwie w Berlinie oddał złotą maskę i dokumenty pana Murakamiego. Adres tej placówki znalazł wśród papierów Japończyka. Został nie tylko sowicie wynagrodzony, ale otrzymał także od jednego z urzędników, który mimo eleganckiego surduta sprawiał wrażenie wojskowego, kartkę zapisaną japońskimi znakami. Urzędnik

powiedział po niemiecku, że jeśli kiedykolwiek mu się przytrafią problemy, a będzie w Japonii lub w jednej z japońskich ambasad, to ma prosić o pomoc oficera Kempeitai. Grzecznie podziękował i od tego czasu nosił ten papier przy sobie, traktował go jak talizman, bo nie zakładał, że kiedykolwiek będzie mu on potrzebny.

Na razie nie wybierał się do Japonii, lecz do Ameryki. Statek pruł fale i miało mu wystarczyć zaledwie pięć dni, by dopłynąć do Nowego Jorku. Było jak w niebie, a najpiękniej nocą, gdy mógł się przechadzać po pokładzie, mając nad sobą tylko rozgwieżdżone niebo. Stanął na dziobie prawie trzystumetrowego kolosa i rozpostarł ramiona. Pęd powietrza sprawiał, że czuł się jak ptak. Gdyby tylko mógł objąć teraz Leokadię i razem z nią płynąć na podbój świata. Pojął wtedy, że mimo biletu pierwszej klasy, luksusów i wypchanego portfela nie był panem świata, tylko uciekinierem.

*Warszawa, Bukowina Tatrzańska, Estepona  
grudzień 2014 - lipiec 2015*

## POSŁOWIE

Dziękuję Państwu za wytrwanie wraz z Heńkiem Wcisłą i jego przyjaciółmi oraz wrogami do końca drugiej części jego przygód. W szczególny sposób chciałbym podziękować mojemu mecenasowi, podporze i miłości, czyli mojej Zonie Beacie, oraz moim synom. Dziękuję też Wydawnictwu, panu prezesowi Marcinowi Garlińskiemu, pani prezes Małgorzacie Czarzasty, pani redaktor Małgorzacie Burakiewicz, redagującej moje powieści pani Adriannie Michalewskiej oraz wszystkim z Bagateli, Marszałkowskiej i Smulikowskiego, którzy przyczynili się do tego, że seria *Śmierć frajerom* nie tylko ujrzała światło dzienne, ale także dobrze się sprzedaje. Współpraca układa się doskonale, a sformalizowanie jej zawdzięczamy mecenas Dorocie Bryndal.

Nie bez znaczenia jest też robota, którą wykonali moi pierwsi recenzenci; ponad setka znajomych i nieznanymi mi osób przeczytała skrypt i książkę, dzieląc się później ze mną swoimi uwagami. Wykorzystałem je, pisząc drugą jej część. Cieszę się, że Juliusz Machulski ponownie znalazł czas dla mojej powieści, dziękuję Panu, może kiedyś się odwzajemnię scenariuszem.

Tytułowej złotej maski nie było albo i... była, bo co kilka lat odradza się legenda zamku w Niedzicy. Po ucieczce z rodzinnych stron i po śmierci swego męża zasztyletowanego w Wenecji znalazła tam schronienie inkaska księżniczka Umina. Była ona

córką Sebastiana Berzeviczego, który sądził, że w warowni nad Dunajcem zapewni córce i wnukowi bezpieczeństwo. Niestety Umina zginęła zamordowana na zamkowym dziedzińcu, a jej syn Antoni, jak chce legenda, ukryty został na tyle skutecznie, że prawowity spadkobierca skarbu oraz tytułu odnalazł się dopiero po II wojnie światowej. Był nim Andrzej Benesz - żeglarz (prezes Polskiego Związku Żeglarskiego) i poseł na Sejm PRL (był też wicemarszałkiem), który próbował odnaleźć skarb Inków. Benesz zginął w roku 1976 w wypadku samochodowym, ponoć tuż przedtem, jak miał swojemu synowi przekazać informacje o tajemnicy ich rodu.

Spisz faktycznie utrzymywał relikwiarz pańszczyzny, za przypomnienie o tym dziękuję Leszkowi Chorzewskiemu, a za opowiadanie o właścicielach Niedzicy pani Irenie Szydłak, której ojciec Franciszek, legendarny przewodnik i gawędziarz, wychował się na przyjaznym dla poddanych dworze hrabiny Ilony Bethlen.

Tak jak w pierwszej części postacie prawdziwe przenikają się z fikcyjnymi, tak samo ma się sprawa z wydarzeniami. Faktów historycznych nie przestawiam, z wyjątkiem kąpieli w restauracyjnym akwarium, której dopuścił się malarz Romuald Kamil Witkowski. Przesunąłem ją o kilka miesięcy, cała reszta się zgadza.

Katastrofa podczas lotniczego pogrzebu rzeczywiście miała miejsce i nie była jedyną w międzywojennej Warszawie. Samoloty spadały często, mimo że ruch powietrzny był wtedy o wiele mniejszy. Spora w tym „zasługa” fatalnego kontraktu z francuską firmą Spad, którego architektem był generał Zagórski. Polecam artykuł Rafała Jabłońskiego *Spadały jak ulęgałki* zamieszczony w

jego znakomitej książce *Historie warszawskie*. Stefan Wiechecki Wiech przeszedł do historii jako reporter i pisarz, ale chciał być aktorem, reżyserem i właścicielem teatru. Był nim tylko dwa lata, co opisał w swych wspomnieniach *Piąte przez dziesiąte*. Mimo że debiutowali u niego znakomici później aktorzy i literaci, a śpiewał gościnnie sam Kiepusza, Wiech nie jest kojarzony z przedwojennym show-biznesem. Więcej szczęścia miał Szpicbródka, którego teatralno-kabaretową legendę utrwalił film *Hallo, Szpicbródka*. Nie była to tylko filmowa kreacja, bo Czarny Kot przeszedł do historii jako miejsce przełomowego dla polskiej sceny jazzowej koncertu. W lutym 1926 roku wystąpił tam Sam Gooding & His Chocolate Kiddies, ponadtrzydziestoosobowa grupa czarnych muzyków, śpiewaków i tancerzy, która zmierzała przez Warszawę do Związku Radzieckiego na trzymiesięczne tournée. Gorzej szło w tym czasie Szpicowi na jego głównym froncie, bo ze skokiem na Bank Dyskontowy wyszło trochę jak filmach o Gangu Olsena; plan był genialny, ale zawiodły szczegóły. Przestępczy Związek Inwalidów Wojennych istniał naprawdę. Oszuści wyłudzali ogromne sumy pieniędzy, a wpadli dopiero na dworze księcia pszczyńskiego'

Jeśli komuś wydadzą się znajome słowa piosenki o dziewczynie, która zaszła w ciążę „i nigdy więcej nie będzie już sama”, to znaczy, że słuchał grupy Komety. To zespół jak najbardziej współczesny, ale jak ulał pasujący do tej historii.

I jeszcze trochę o polityce; sądy partyjne, swoisty arbitraż prowadzony przez Tasiemkę odbył się w jego powązkowskiej organizacji PPS i po pewnym czasie wyszedł poza ramy tej organizacji, ale to już zupełnie inna historia. Na ile to było



możliwe, wiernie przedstawiłem historię warszawskiego Sherlocka Holmesa i doktora Watsona, a tam gdzie gazety i kronikarze milczeli, pozwoliłem mówić i działać moim bohaterom. Faktycznie pp. Kurnatowski i Bachrach byli o krok od zakończenia swych karier w więzieniach. Zakończyli je tymczasem jako... literaci. Ich książki są wznawiane do dziś.

Pierwszy maja 1926 i przewrót majowy to wydarzenia historyczne najcięższego kalibru i obydwie dość słabo opisane. A szkoda, zwłaszcza przejęcie władzy przez Józefa Piłsudskiego aż się prosi o większą liczbę opracowań. Wypadki majowe były w istocie wydarzeniem niezwykle tragicznym, pełnym ulicznych walk i wielu cywilnych ofiar. Większość z nich zapłaciła najwyższą cenę za własną ciekawość. Wśród nich mogła być moja babcia Janina Bożym z domu Świętochowska, która wraz z koleżanką poszła oglądać to niezwykle widowisko. Podobnie jak w przypadku Leokadii Rostockiej skończyło się na płazowaniu szablą i okrzyku: „Uciekajcie do domu, panienki!”

Barwną opowieść o żołnierzach z prowincji, którzy byli przekonani, że walczą z bolszewikami, zawdzięczam z kolei rodzinnym przekazom Agaty i Roberta Manowskich. Choć brzmi to nieprawdopodobnie, to faktycznie jakiś szaleniak strzelał do ludności cywilnej. Wspominają o tym pamiętniki z tego okresu. Na pewno mój opis tego, co się działo na ulicach Warszawy, przyprawi o zgrzytanie zębami paru zawodowych historyków, specjalistów od tego okresu. I bardzo dobrze, pora, by ktoś stworzył porządną monografię na ten temat.

Kilka słów trzeba poświęcić pociągowi, jaki mieli nasi pradziadowie do sztuk tajemnych. Książka Oko miałaby o czym

głosić kazania, o tak! Nieoceniona jest praca, której dokonał pisarz Jacek Dehnel, jego blog i „Tajny Detektyw” są kopalnią wiedzy nie tylko o przedwojennym świecie przestępczym, ale także o świecie mistrzów okultyzmu. Komu mało, polecam ich lekturę oraz książkę Przemysława Semczuka *Magiczne dwudziestolecie*.

Spośród wszystkich wydarzeń i postaci historycznych największym odkryciem był warszawski pierwszy mecz ligowy Legia - Warszawianka i jego cichy bohater, trener Richard Kohn Dombi. Redaktor Adrianna Michalewska niemal zmusiła mnie do stworzenia przypisu o tej postaci. No i co? Kobięca intuicja! Ja i pewnie większość z Państwa zyskaliśmy w ten sposób wiedzę o trenerze z najlepszym CV w historii polskiego futbolu klubowego. Bo czy był i będzie ktoś, kto prowadził tyle markowych zespołów, w tym Barcelonę (dwa razy!), Feyenoord Rotterdam (trzy razy), TSV1860 Monachium i Bayern Monachium oraz FC Basel?

Po otrzymaniu „certyfikatu warszawskości” od pana Janusza Dziano ze Stowarzyszenia Gwara Warszawska nabrałem śmiałości i zaatakowałem góralszczyznę. Rozczarowanych ceprów (bo moi górale nie mówią jak w *Janosiku*) i góralskich purystów (z Wojciechem Szatkowskim na czele, którego przy okazji serdecznie pozdrawiam) informuję, że w *Złotej Masce* podtatrzańska mowa jest stylizowana, tak by reszta Polski mogła się w niej połapać. Dzięki moim kościeliskim przyjaciołom Pitoniom oraz bukowiańskim: Fiedorom, Koszarkom, Kuźmiczom i Kołubuszom (dzięki, Ewo, za cierpliwość) poznałem trochę współczesnej góralszczyzny. Przy okazji muszę wytłumaczyć się z czerwcowej lawiny. Pierwotnie ta scena miała się odbyć w sierpniu, co i tak

wydawało się jeśli nie niemożliwe, to mało prawdopodobne. Nic bardziej błędnego, główny specjalista lawinowy TOPR Andrzej Maciata znalazł w kronikach słowackich informacje o śmiertelnej w skutkach lawinie, która zeszła w sierpniu w latach dwudziestych. Tegoroczne czerwcowe opady śniegu, które zdarzyły się w Tatrach, ośmieliły mnie do takiego, a nie innego finału pościgu aspiranta Denhela za Heńkiem, Jędrusiem i panem Murakamim. Bardziej fantastyczna może się wydawać osoba japońskiego szpiega i jego współdziałanie z „dwójką”. To moja fantazja, ale nie fantastyka, wywiady polski i japoński łączyły, podobnie jak rządy i dyplomację, bardzo dobre stosunki. Postać pana Murakamiego jest fikcyjna, ale już jego rodak z Warszawy, Ryochu Umeda, to prawdziwa osoba. Pan Umeda faktycznie grywał nocą na skrzypcach w Paru Ujazdowskim i wykładał w Instytucie Wschodnim. Umeda opuścił Polskę w roku 1939, już w Japonii w roku 1961 ochrzcił się i przyjął imię Stanisław. Jego syn Yoshiho Umeda większość życia spędził w Polsce, w Warszawie i Kościelisku, i miał ogromny wkład w odzyskanie przez nas niepodległości. Zmarł 4 maja 2012 roku. Inny japoński wątek, czyli koncert na trąbce na cześć majestatu Tatr, ma swoje odbicie w rzeczywistości. „Tygodnik Podhalański” opisał japońskiego turystę trębacza, który grał na trąbce na zdobytych przez siebie szczytach. Skoro jesteśmy przy Tatrach, to Witkacego faktycznie ukąsił bąk i to w intymne miejsce.

Opisane lokale gastronomiczne, restauracje, kawiarnie oraz cukiernie istniały i miały się dobrze, a jeszcze lepiej ich wierna klientela. Czy można sobie wyobrazić przedwojenną literacką Warszawę bez Małej Ziemiańskiej? Rozumiem to, bo gdyby nie

kilku restauratorów i kucharzy, to nie powstałaby żadna z książek o Heńku Wciśle. Wiele pomysłów przyszło mi do głowy i wiele stron napisałem w gościnnych progach Boscaioli u Andrei na warszawskim Powiślu, u Ewy i Bartka w Burym Misiu w Bukowinie, u rodziny Graffich w Lechalet w Murzasichlu oraz w latającej podhalańskiej kuchni Salvatore. Dziękuję za wyrozumiałość obsłudze Porkowni, bo rzadko zdarza się ktoś proszący na deser zamiast sorbetu... boczek jabłkowy.

Z pewnością byłbym dobrym klientem i U Wróbla i Pod Ryjkiem, u Herszfinkla, Hirszfeldów. W Cristalu jakoś siebie nie widzę, podobnie jak w modnej i wychwalanej pod niebiosa kuchni molekularnej. Czy wyobrażają sobie Państwo w takim lokalu Mięcia Kosiorka? Ja tak, to z pewnością byłaby okazja do tego, by wygłosić kwiecisty monolog, a być może nawet zapoczątkować kuchenną rewolucję.

Mam nadzieję, że kilka fragmentów książki wywołało u Państwa zaciekawienie, a być może nawet niedosyt. Poniżej zamieszczam spis książek, które dały mi wiedzę na temat tamtych czasów. Proszę także szukać informacji na moim facebookowym profilu, na Janusz Dziano, Stowarzyszenie Gwara Warszawska, Jestem z Woli. Komu mało obrazów przedwojennej Warszawy zamieszczanych w niezliczonych albumach, które pojawiają się na rynku, ten z pewnością znajdzie swoje miejsce na FB. Polecam.

Na papierze nie ma już „Życia Warszawy”, nadal jednak można znaleźć jego ślady w internecie. Chwała Bogu żyją i mają się dobrze „Gazeta Stołeczna” oraz miesięczniki „Skarpa Warszawska” i „Stolica”.

Zakończenie tej części nie pozostawia wątpliwości. Heniek Wcisło żyje, ale czy ma się dobrze? O tym w kolejnej części sagi *Śmierć frajerom. Tajemnica skarbu Ala Capone.*

## BIBLIOGRAFIA

*Alarm w Cedergrenie* - Henryk Lange, Czytelnik, Warszawa 1961  
*Ambicje, rachuby, rzeczywistość. Wolnomularstwo w Europie Środkowo-Wschodniej 1905-1928* - Ludwik Hass, PWN, Warszawa 1984

*Błyskawiczny Przewodnik Historyczny po Warszawie* - Maciej Łubieński i Michał Wójcik, G+J 2012  
*Boso, ale w ostrogach* - Stanisław Grzesiuk, Książka i Wiedza, Warszawa 1967

*Było takie miasto... Warszawa na starych pocztówkach* - Rafał Bielski, Veda, Warszawa 2012

*Ciemne sprawy dawnych warszawiaków (Biblioteka Syrenki)* - Stanisław Milewski, PIW, Warszawa 1982

*Doktor Łokietek i Tata Tasiemka. Dzieje gangu* - Jerzy Rawicz, Czytelnik, Warszawa 1968  
*Dwudziestolecie międzywojenne* - seria wydawnicza Bellona, Warszawa 2013

*Dzielnice biedy - ciemna strona Gdyni* - Jakub Knera,  
<http://www.trojmiasto.pl/wiadomosci/Dzielnice-biedy> ciemna-

strona-Gdyni--n55928 .html, dostęp 1 marca 2012 *fzp.pl* - *Forum Żydów Polskich, zakładka wzbogacaj słownictwo* - słownik jidysz - polski opracowany przez Dagmarę Mańkę, <http://www.fzp.net.pl/>

*Gdynia: Chiny i Budapeszt, czyli gdyńskie dzielnice biedy* - Ksenia Pisera, <http://gdynia.naszemiasto.pl/artukul/zdjecia/gdynia-chiny-i-bu-dapeszt-czyli-gdynskie-dzielnice-biedy-tam,l317587,galop,2275209,t,id,tm,zid.html>, dostęp 13 marca 2012

*Gwara warszawska wczoraj, dawniej i dziś (Biblioteka Syrenki)* - Bronisław Wieczorkiewicz, PIW, Warszawa 1974

*How The Beatles Rocked the Kremlin: The Untold Story of Noisy Revolution* - Leslie Woodhead, Bloomsbury Publishing 2013

*Ilustrowany Atlas Dawnej Warszawy* - Robert Marcinkowski, Oliwka Warszawa 2013

*Jak „wrócił do Warszawy” p. Marjan Kurnatowski* - „Głos Polski”, Łódź piątek 7 stycznia 1927

*Kielbie we łbie* - Stanisław Zieliński, Zysk i S-ka, Poznań 2009

*Korpus policji w II Rzeczypospolitej. Służba i życie prywatne* - Robert Litwiński, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2010

*Krótki ilustrowany przewodnik po Warszawie* - Mieczysław Orłowicz Polskie Towarzystwo Krajoznawcze 1922

*Magiczne diudziestolecie* - Przemysław Semczuk, PWN, Warszawa 2014

*Mahatma Witkac* - Joanna Siedlecka, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005

*Meksyk - co dalej?* - Michał Sikora, [gdyniawktorejzyje.blogspot.com](http://gdyniawktorejzyje.blogspot.com), dostęp 12 września 2012

*Między Warszawą a Tokio - Polsko-japońska współpraca wywiadowcza 1904-1944* - Hiroaki Kuromiya i Andrzej Peplowski, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2009

*Mit polskiego satanizmu. Czesław Czyński - proces, którego nie było* - Zbigniew Łagosz, Hermaion, nr 1/2012, [http://www.academia.edu/7040510/Z.\\_%C5%81agosz\\_Mit\\_polskiego\\_satanizmu.\\_Czes%C5%82aw\\_Czy%C5%84ski\\_proces\\_kt%C3%B3rego\\_nie\\_by%C5%82o\\_Hermai\\_on\\_nr\\_1\\_2012\\_s.\\_186-206](http://www.academia.edu/7040510/Z._%C5%81agosz_Mit_polskiego_satanizmu._Czes%C5%82aw_Czy%C5%84ski_proces_kt%C3%B3rego_nie_by%C5%82o_Hermai_on_nr_1_2012_s._186-206), dostęp 15 lipca 2015

O „Cyrku”, który nie był cyrkiem - rzecz o warszawskim międzywojennym domu noclegowym - Mateusz Rodak, Praca Socjalna 2010, nr 4,



[www.marginesdrugiejrp.republika.pl/teksty/domy%20noclegowe%20w%20warszawie.pdf](http://www.marginesdrugiejrp.republika.pl/teksty/domy%20noclegowe%20w%20warszawie.pdf), dostęp 15 maja 2015

*Odkrycie Machu Piechu* - Jacek Walczak, Novae Res, Gdynia 2012

*O przewrocie majowym, opinie świadków i uczestników* - wyboru dokonał Eugeniusz Kozłowski, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1984

*Piąte przez dziesiąte* - Stefan Wiechecki Wiech, PIW, Warszawa 1970

*Piorunochron nad przepaścią* - Bogumił Kurylczuk, Małgorzata Wosion (artykuł o rodzinie Jungenfeldów), <http://www.polskispisz.republika.pl/materialy/falsztyn.htm>, dostęp 10 kwietnia 2015

*Polskie ścieżki masonerii* - Andrzej Zwoliński, wydawnictwo M, Warszawa 2014

*Powróćmy jak za dawnych lat... Historia polskiej muzyki rozrywkowej lata 1900-1939* - Dariusz Michalski, Iskry, Warszawa 2007

*Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej* - Sergiusz Mikulicz, Książka i Wiedza, Warszawa 1971

*Przewrót majowy 1926 w relacjach i dokumentach* - wstęp i wybór tekstu Eugeniusz Kozłowski, KAW, Warszawa 1987

*Religia masońska* - Andrzej Zwoliński, wydawnictwo M, Kraków 2014

*Tajnydetektyw.blogspot.com, jacekdehnel.natemat.pl* - błogi Jacka Dehnela w którym przedstawia i komentuje przedwojenne artykuły kryminalne

*Służby specjalne II Rzeczypospolitej* - Andrzej Misiuk, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1998

*Spacer w czasie. Warszawa* - Jerzy S. Majewski, Krzysztof Smura, Wydawnictwo Debiuty 2011

*Spacerownik po żydowskiej Warszawie* - Jarosław Zieliński, Jerzy S. Majewski, Agora, Warszawa 2014

*Sprawy kryminalne II RP* - Ludwik M. Kurnatowski i Daniel Bachrach, Wydawnictwo CM, Warszawa 2014

*Szemrane towarzystwo niegdysiejszej Warszawy* - Stanisław Milewski, Iskry, Warszawa 2009

*Tatry i Podhale* - Rafał Malczewski, Wydawnictwo Polskie R. Wegner, Lwów - Poznań 1935

*Ucieczka z aresztu przy Młyńskiej kasiarza Adama Stempla* -  
Dodatek do „Tygodnika Ostrowskiego i Odołanowskiego”, 17 maja  
1927.

*Ucieczka 28-miu fałszerzy pieniędzy* - „Ilustrowana  
Republika”, Łódź, poniedziałek 9 maja 1927 roku

*Urodziłem się w knajpie* - Wiesław Wiernicki, Rosner i  
wspólnicy, Warszawa 2003

*Warszawa jakiej nie ma* - Wiesław Wiernicki, wydawnictwo  
Wiesław Wiernicki, Warszawa 1999 *Warszawa, maj 1926* - wybór i  
opracowanie Agnieszka Knyt, Dom Spotkań z Historią, Ośrodek  
KARTA, Warszawa 2006

*Warszawa nieodbudowana* - cykl artykułów Jerzego S.  
Majewskiego w „Gazecie Stołecznej” oraz seria książek pod tym  
samym tytułem.

*Warszawa nieodbudowana. Żydowski Muranów i okolice* -  
Jerzy S. Majewski, Agora, Warszawa 2012

*Warszawa przewodnik turystyczny* - Karol Morawski, Wiesław  
Głębocki, Krajowa Agencja Wydawnicza RSW Prasa Książka  
Ruch, Warszawa 1982

*Warszawa sprzed lat* - Jerzy Kasprzycki, Kazimierz J. Nowak,  
Wydawnictwo PTTK Kraj, Warszawa 1989

*Warszawa w starej fotografii* - Olgierd Budrewicz, Bosz, Olszanica 2013

*Plac Unii i okolice. Warszawa wielkowiejska* - Ekbin, Warszawa 2013

*Warszawskie ballady podwórzowe* - Bronisław Wieczorkiewicz, PIW, Warszawa 1971

*Warszawskie historie nieznane, wstydlive* - Rafał Jabłoński, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2012

*Warszawskie pożegnania* - Jerzy Kasprzycki, Marian Stępień, Zakład Wydawniczo-Propagandowy PTTK, Warszawa 1982

*Wspomnienia i przyczynki historyczne* -Jan Rzepecki, Czytelnik, Warszawa 1983

Zabójca poety Kuruliszwilego stanie przed sądem okręgowym w Warszawie - „Ilustrowana Republika”, Łódź, poniedziałek 9 maja 1927 roku

*Zakon Martynistów w Polsce (geneza, rozwój, upadek)* - Zbigniew Łagosz, Przegląd Religioznawczy 2006, nr 3, [http://www.academia.edu/7133849/Z.\\_%C5%81agosz\\_Zakon\\_Martynist%C3%B3w\\_w\\_Pol-](http://www.academia.edu/7133849/Z._%C5%81agosz_Zakon_Martynist%C3%B3w_w_Pol-)

sce\_geneza\_rozw%C3%B3j\_upadek\_Prze%C4%85d\_Religioznaw  
- czy\_2006\_nr\_3\_s.\_141-148, dostęp 10 maja 2015

*Zamach stanu Józefa Piłsudskiego* - pod redakcją Marka Siomy, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Skłodowskiej Curie, Lublin 2007

*Zamachy stanu w Polsce XX wieku* - Andrzej Skrzypek, Bellona, Warszawa 2014

*Zmierzch barona Jungenfelda* - Józef Figura, „Tygodnik Podhalański”, 24tp.pl, 22 lutego 2008

*Życie przestępcze w przedwojennej Polsce* - Monika Piątkowska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2012

*Życie uliczne niegdysiejszej Warszawy* - Stanisław Milewski, Iskry, Warszawa 2013

Książkę wydrukowano na papierze Creamy HiBulk 2.4 53 mg/m<sup>2</sup>  
dostarczonym przez ZiNG Sp. z o.o.

ZiNG

[www.zing.com.pl](http://www.zing.com.pl)

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA ul.  
Marszałkowska 8,00-590 Warszawa tel. 22 6211775 e-mail:  
[info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360 Księgarnia internetowa:

[www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Warszawa 2015

Wydanie I

Skład i łamanie: Magraf s.c., Bydgoszcz Druk i oprawa: Colonel  
S.A., Kraków

# Notatki

[←1]

Wózkować – wtedy: kiwać, dryblować.

[←2]

KPP – Komunistyczna Partia Polski.

[←3]

Defensywa – policja polityczna.

[←4]

Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego zajmujący się wywia-dem.

[←5]

Protoplasta Biura Ochrony Rządu.

[←6]

Przysięga polskiej Policji Państwowej.

[←7]

Profesor Moriarty – rywal Sherlocka Holmesa, głównego bohatera powieści kryminalnych Arthura Conan Doyle'a.

[←8]

Giser - pracownik odlewni

[←9]

Zakład - szpital psychiatryczny.

[←10]

Prometeizm - ruch mający na celu wyzwolenie spod władzy sowieckiej ujarzmionych przez nią narodów. Prometejczycy współpracowali z emigracyjnymi rządami, wspierając je organizacyjnie oraz finansowo. Centrami ruchu prometejskiego były Warszawa i Paryż.

[←11]

*Czikawes* - ciekawostka (jidysz).

[←12]

*Szwicen* - popis (jidysz).

[←13]

*Zaj gezunt (gezint). Ojf widerzejn* - Bądź zdrowy. Do zobaczenia (jidysz).

[←14]

POW - Polska Organizacja Wojskowa, tajna organizacja założona w 1914 przez Józefa Piłsudskiego.

[←15]

Cyrk - dom noclegowy przy ulicy Dzikiej 4.

[←16]

PPS - Polska Partia Socjalistyczna.

[←17]

Bek-bojowiec.

[ ←18 ]

Osoba wystawiająca skok, czyli informująca złodziei o szczegółach, nadająca im robotę.

[ ←19 ]

*Hint* - policjant, od niemieckiego *Hund* - pies.

[ ←20 ]

*Mamona* - pieniądze (jidysz).

[ ←21 ]

*Harcin dank* - serdecznie dziękuję (jidysz).

[ ←22 ]

*Geszefit* - interes, biznes (jidysz).

[ ←23 ]

*Curesy* - kłopoty (jidysz).

[ ←24 ]

*Ich hab kaine gelt in der kienszenje* - Nie mam w kieszeniach ani grosza (jidysz).

[ ←25 ]

*Zol, zol, azoj* - Niech tak będzie (jidysz)

[ ←26 ]

*Miszmasz* - bałagan (jidysz).

[ ←27 ]

*A szlag zol dich trefn* - Niech cię szlag trafi (jidysz).

[ ←28 ]

*Polin* - Polska (jidysz).

[ ←29 ]

*Kisz mir in tochens* - Pocałuj mnie w dupę (jidysz).

[ ←30 ]

*Szajgec* - nieżydowski chłopak (jidysz).

[ ←31 ]

*Kiepeła* - głowa (jidysz).

[ ←32 ]

Kufa - gęba (gwara góralska).

[ ←33 ]

Przez długie lata cywilizacja kończyła się na Szaflarach, a Tatry pozostawały rejonem dzikim i niezagospodarowanym. Wyjątek stanowiły małe osady, w których często ukrywali się ludzie wyjęci spod prawa, oraz kopalnie. Pierwsze zapiski o tatrzańskich kopalniach pojawiają się w XV wieku.

[ ←34 ]

*Idi w kibinimetry* - ordynarny rosyjski zwrot.

[ ←35 ]

*Małczat', job twoju mat* - rosyjskie przekleństwo.



[ ←36 ]

Okręgowy Komitet Robotniczy.

[ ←37 ]

Mortusiewicz - biedak.

[ ←38 ]

Przygody Heńka opisane w powieści *Śmierć frajerom*.

[ ←39 ]

Bund - Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji, socjalistyczna partia polskich Żydów. Członkowie Bundu byli przeciwnikami zarówno syjonizmu, jak i komunizmu.

[ ←40 ]

Poalej Syjon - radykalna partia żydowska.

[ ←41 ]

*Ponial?* - *Zrozumieliście?* (rosyjski).

[ ←42 ]

Partia chłopska PSL Piast.

[ ←43 ]

Chjeno-Piast - Koalicja PSL Piast z endecko-chadeckim Chrześcijańskim Związkiem Jedności Narodowej.

[ ←44 ]

Wacław Kostek-Bienacki - członek PPS, pisarz i poeta.

[ ←45 ]

Obecnie plac Piłsudskiego.

[ ←46 ]

*Naplewat', job twoju mat'* - rosyjskie przekleństwo.

[ ←47 ]

Porucznicy Marian Żebrowski i Michał Galiński.

[ ←48 ]

Centrala telefoniczna w wieżowcu przy ulicy Zielnej, od nazwy szwedzkiej firmy, która bvia pierwszym operatorem telefonii warszawskiej, dzisiejsza nazwa tego miejsca PAST-a nawiązuje do kolejnego operatora, Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej.

[ ←49 ]

Instytucja powołana w roku 1721 przez cara Piotra I, miała łączyć funkcję sierocińców i szkół wojskowych. W XIX wieku rozszerzono ich działalność o „wychowanie” i rusycyzację Żydów. Po powstaniu listopadowym dokonano przymusowego wcielenia do tej instytucji dzieci z Królestwa Polskiego.

[ ←50 ]

Morskie Oko - hotel i restauracja przy zakopiańskich Krupówkach.

[ ←51 ]

Karczma U Wnuka, najstarszy, bo założony już w 1870 roku lokal gastronomiczny w Zakopanem, od roku 1907 znany pod obecną nazwą.

[ ←52 ]

Historia została opisana w powieści Grzegorza Kalinowskiego *Śmierć frajerom*.

[ ←53 ]

He? - co? (gwara góralska).

[ ←54 ]

Zwyrtać - obracać (gwara góralska).

[ ←55 ]

Haiku japońskiego poety Matsuo Basho, przekład Agnieszka Żuławska-Umeda.

[ ←56 ]

Haiku Issy Kobayashiego, przekład Agnieszka Żuławska-Umeda.

[ ←57 ]

Cucha, inaczej guńka - góralska kurtka wykonana z sukna.

[ ←58 ]

Mikado - cesarz japoński.

[ ←59 ]

Szparować - toczyć treningowe, sparingowe walki (określenie stosowa-ne przez pięściarzy).

[ ←60 ]

Kodeks Boziewicza - *Polski kodeks honorowy* wydany w roku 1919 przez Władysława Boziewicza. Wydawnictwo zawierało spis zasad postępowania honorowego, w tym także sposób prowadzenia pojedynków.

[ ←61 ]

Przed wojną ruch krzyżował się na placu Zamkowym, z którego tramwaje i auta zjeżdżały na most Kierbedzia przez wiadukt Pancera. Dzisiaj tramwaje jadą pod placem przez tunel Trasy W-Z.

[ ←62 ]

Skitrać - schować (gwara warszawska).

[ ←63 ]

*Na wsiakij słuczaj* - na wszelki wypadek (rosyjski).

[ ←64 ]

Świnka - złota pięciorublówka, nazwa pochodzi od tego, że w Polsce z początku XX wieku stanowiła równowartość prosiaka.

[ ←65 ]

Nuty - program (slang wyścigowy).

[ ←66 ]

Kwinta - wytypowanie zwycięzców pięciu kolejnych gonitw

[ ←67 ]

Sztynkier - marny jeździec (slang wyścigowy).

[ ←68 ]

*Pożiwiom, uwidim* - pożyjemy, zobaczymy (rosyjski).

[ ←69 ]

Ochraha - tajna policja polityczna w carskiej Rosji.

[ ←70 ]

Sysknoje otdielenije - służba śledcza w carskiej Rosji.

[ ←71 ]

Budy Pstrąga - czynszowe baraki dla biedaków na terenie dzisiejszego Mokotowa.

[ ←72 ]

Barachło - byle co.

[ ←73 ]

Karrenwall - obecnie Okopowa.

[ ←74 ]

Stadtgraben - obecnie Podwale Grodzkie.

[ ←75 ]

Czto eto, cirkl - Co to, cyrk? (z rosyjskiego).

[ ←76 ]

„Ikac” - „Ilustrowany Kurier Codzienny”.

[ ←77 ]

Pasy - KS Cracovia.

[ ←78 ]

Dombi - Richard Kohn, austriacki piłkarz i trener żydowskiego pochodzenia (1888-1963). Grał w reprezentacji Austrii, a jako trener prowadził między innymi Herthę, Barcelonę (dwukrotnie), TSV Monachium, Bayern Monachium, FC Basel i Feyenoord (trzykrotnie).

[ ←79 ]

Francopol - polsko-francuska spółka mająca produkować i sprowadzać do Polski samoloty marki Spad. Samoloty zyskały miano latających trumien (31 wypadków śmiertelnych), ale ich produkcję forsował szef lotnictwa generał Włodzimierz Zagórski. Zagórski był także współzałożycielem spółki.

[ ←80 ]

Generał Włodzimierz Zagórski - oficer austriackiego wywiadu, legionista, lotnik. W czasie wydarzeń majowych po stronie rządu, wsławił się decyzją o bombardowaniu pozycji oddziałów Piłsudskiego. Zaginął w sierpniu 1927 roku.

[ ←81 ]

Martynizm - zrodzony we Francji nurt filozoficzno-religijny łączący w sobie także elementy okultyzmu i kabały. Francuski Zakon Martynistów powstał w XVIII wieku, polską filię założył w 1918 roku okultysta i hipnotyzer Czesław Czyński znany także jako Punar Bhava. Kontrowersyjne działania Czyńskiego doprowadziły do usunięcia go z zakonu.

[ ←82 ]

George Sydney Arundale - mason, teozof, biskup Kościoła liberalno-katolickiego.

[ ←83 ]

Inaczej towianizm. Idee Andrzeja Towiańskiego, oryginalne połączenie mistycyzmu z programem politycznym oraz wiarą w szczególne możliwości narodów polskiego, żydowskiego i francuskiego.

[ ←84 ]

Nekome - zemsta (jidysz).

[ ←85 ]

Proszek z kogutkiem - Migreno-Nervosin, opracowany w roku 1903 przez plockiego farmaceutę Adolfa Gąseckiego środek na ból głowy. Proszek, a od roku 1930 pastylki, sprzedawane były w opakowaniach z kogutem. W roku 1926 przy ulicy Belgijskiej założono Mokotowską Fabrykę Chemiczno-Farmaceutyczną. Proszki z kogutkiem znane były w 46 krajach świata.

[ ←86 ]

Podlany - podpity, pijany (gwara warszawska).

[ ←87 ]

Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Pożegnanie jesieni*, Warszawa 1927.

[ ←88 ]

Bimbaj - tramwaj (gwara poznańska).

[ ←89 ]

Stanisław Mielech - żołnierz Legionów, współzałożyciel Legii i pomysłodawca nazwy klubu. Reprezentant Polski, największe sukcesy odnosił w barwach Cracovii.

[ ←90 ]

Fragment dzisiejszej Solnej.

[ ←91 ]

Polowac - myśliwy, kłusownik (gwary góralska).

[ ←92 ]

Podaję za Wybrane *epizody w historii stosunków japońsko-polskich*, Ambasada Japonii w Polsce.

[ ←93 ]

Przekład Agnieszka Zulawska-Umeda.

[ ←94 ]

Wojna rosyjsko-japońska 1904-1905.

[ ←95 ]

Pseudonim organizacyjny.

[ ←96 ]

NYK Line - japońska linia żeglugowa należąca do koncernu Mitsubishi.

[ ←97 ]

KPRP - Komunistyczna Partia Robotnicza Polski.

Heniek Wcisło, najbardziej utalentowany spośród warszawskich kasiarzy, powraca! Jest zakochany i szczęśliwy. Postanawia rozpocząć ucziwe życie, marzy o przyszłości z piękną Łodzią. Ale los ma wobec niego inne plany.

Brawurowa akcja *Złotej maski* prowadzi nas na masońskie salony międzywojennej Warszawy, pokazuje szalone życie artystów skupionych wokół Witkacego w Zakopanem, a nawet pozwala zajrzeć nocą do parku Ujazdowskiego, aby posłuchać japońskich muzyków.

Grzegorz Kalinowski, jak nikt dotychczas, ukazuje kulisy przewrotu majowego i łączy wielką historię Polski z opisem życia w stolicy, gdzie niewysłowione bogactwo miesza się z niewyobrażalną nędzą. Nie brak też namiętnej miłości, polityki i wielkiej tajemnicy, która połączy Heńka Wcisła i peruwiańską księżniczkę.

*Grzegorz Kalinowski wpadł na genialny w swej prostocie pomysł: opisał odzyskanie przez Polskę niepodległości i budowę zrębów nowego państwa w konwencji powieści lotrzykowskiej. Jako wielką drakę, w której główne role odgrywają ludzie nieprzypominający ani aniołów ani bohaterów akademii ku czci. W drugiej – jeszcze bardziej zwariowanej – części pojawia się najprawdziwszy wątek kryminalny, marszałek Piłsudski dokonuje przewrotu, a Historia znów jawi się jako wielka przygoda.*

PIOTR BRATKOWSKI, „NEWSWEEK”

*Warszawa, Zakopane, Gdynia lat dwudziestych ubiegłego wieku. Zaginiony świat naszych przodków, bliski i realny, wzruszający barwnym folklorem, zapomnianą gwiazdą. Czytasz tę powieść a jakbyś przeglądał przedwojenny „Express Poranny” czy żydowski „Hajnt”, w których nawet ogłoszenia i reklamy wydają się aktualne. A to dopiero początek! Bogactwo postaci i wątków, podobnie jak w pierwszej części, wciąga i uzależnia, a Henio Wcisło... z pewnością wciąż się gdzieś kręci – po Powiślu albo Woli.*

VINCENT, V. SEVERSKI

PATRONAT



WAWA LOVE.PL

metrocafe.pl

ISBN 978-83-287-0212-7



9 788328 702127

Cena 44,90 zł

www.muza.com.pl



# Spis treści

Okładka

strona tytułowa

nota wydawnicza

dedykacja

CZĘŚĆ PIERWSZA POWRÓT Z DALEKIEJ PODRÓŻY

DZIEŃ ŚWIĘTEGO ANTONIEGO AD 1797

POBUDKA

CUD NIEPAMIĘCI, CZYLI REKONSTRUKCJA

ZDARZEŃ

POŁÓW

RODZINNE PROBLEMY

CZĘŚĆ DRUGA - ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY

NA GÓRSKIEJ DRODZE

ĆWIARTECZKA POD CHAŁWĘ

ZAGUBIONA BARONÓWNA

MŚCICIEL Z PEKINU

FAŁSZERZE I BOKSERZY

CZĘŚĆ TRZECIA - WIELKA MAJÓWKA

ONDREJ MUCHA

PRZED BURZĄ

1 MAJA

BECZKA PROCHU

WOJNA W MIEŚCIE

CZĘŚĆ CZWARTA - PIĘKNE WAKACJE

WOJTEK MATEJA

PO BURZY

ZAKOPIANINA

ZAKOPIAŃSKIE DRAKI  
WESTERN NA TEATRALNYM  
CZEŚĆ PIĄTA - ALE SIĘ POROBIŁO  
SKARB  
KOMPROMITACJA NA KOLEI  
WIELKIE PORZĄDKI  
DZIEŃ NA WYŚCIGACH  
KONIEC ŚWIATA  
CZEŚĆ SZÓSTA - KŁOPOTY TO MOJA SPECJALNOŚĆ  
MATYAS KADAR  
WIATR OD MORZA  
SZAFA Z CYRKU  
BLISKO, CORAZ BLIŻEJ  
ZNAK NA TRWOGE  
CZEŚĆ SIÓDMA - NIE ZAZNASZ SPOKOJU  
ZŁOTA MASKA  
WIDMO BROCKENU  
NIEOCZEKIWANA ZMIANA MIEJSC  
PROPOZYCJA NIE DO ODRZUCENIA  
DZIEŃ ŚWIĘTEGO ANTONIEGO 1927  
EPILOG  
POSŁOWIE  
BIBLIOGRAFIA  
Przypisy.